

ANDY McNAB

ZDALNE STEROWANIE

Z angielskiego przełożył

Grzegorz Woźniak

Tytuł oryginału

REMOTE CONTROL

Słownik wybranych skrótów i określeń

ASU	<i>active service unit</i> , oddział w służbie czynnej
ATO	<i>ammunitions technical officer</i> , oficer amunicyjny
DEA	<i>Drug Enforcement Administration</i> , Biuro Zwalczania Narkotyków, agenda rządu USA
Det	skrót od <i>detachment</i> . Oddział specjalny 14 Grupy Wywiadu prowadzący inwigilację organizacji działających w Irlandii
the Firm	Północnej
<i>head shed</i>	„Firma”, <i>Secret Intelligence Service</i> , wywiad brytyjski
K	dowództwo (niezależnie od szczebla)
MoD	tajny agent, pozornie nie związany z oficjalną organizacją wy-
OPSEC	wiadowczą
PIRA	<i>Ministry of Defense</i> , Ministerstwo Obrony (Pentagon) zasady bezpieczeństwa operacyjnego
SF	<i>Provisional Irish Republican Army</i> , Irlandzka Armia Republi-
SIS	kańska - Tymczasowa
SOP	<i>Special Forces</i> , Oddziały Specjalne
SWAT	<i>Secret Intelligence Service</i> , Tajna Służba Wywiadowcza
VDM	<i>standard operating procedure</i> , reguły postępowania operacyjnego <i>special weapons and tactics</i> , specjalne uzbrojenie i taktyka <i>visual distinguishing mark</i> , widoczny znak rozpoznawczy

Gibraltar, niedziela, 6 marca 1988

Od razu go namierzyłem.

- Delta do Alfego. Mam go z prawej. To Bravo Jeden. Dochodzi do Niebieskiej Dwójki. Brązowa marynarka, wytarte dżinsy - zameldowałem przez radio.

Łachów nigdy nie zmieniał, stale nosił to samo - marynara jak psu z gardła, kieszenie wypchane, wyświechtane dżinsy z krokiem pętającym się między kolanami a jajami. Lekko zgarbiony, krępy, włos krótki, baki długie. Widziałem go od tyłu, ale mogłem się założyć, że to on - Sean Savage.

- Tu Delta. Mam go nadal. Mija Niebieską Dwójkę, zmierza w stronę Siódemki.

Jeszcze przed odprawą, a prowadził ją Simmonds, ustalono kryptonimy. Kolor plus liczba to skrzyżowanie lub znaczniejszy punkt w mieście. Cały Gibraltar tak oznaczono.

Savage dochodził właśnie do skrzyżowania przed biblioteką. Niebieska Dwójka to niewielki plac - na końcu Main Street, zaraz obok siedziby gubernatora - z którego w czasie uroczystych zmian wart korzysta orkiestra garnizonu. Był tam parking i bomba pewnie też.

Alfa - koordynator operacji - powtórzył mój ostatni meldunek, żeby do wszystkich dotarło, dokąd to zmierza Savage. Bez wątpienia Kev i Pat zaraz ruszą w moją stronę.

Na placu, w cieniu pod ścianą starego budynku w kolonialnym stylu, stało sześć, może siedem aut i właśnie tam kierował się nasz figurant. Z daleka widziałem, że pakuje łapę do kieszeni marynarki. Sięga po zapalnik, pomyślałem, przypominając sobie odprawę.

Simmonds nie wiedział, bo i skąd, w którym konkretnie aucie podłożono bombę. Wiadomo było tylko, że chodzi o RCIED - ładunek zdalnie odpalany.

- Zdalnie - podkreślił Simmonds - i pamiętajcie, że nie wiadomo też, który z nich - mówił oczywiście o bojówkarzach PIRA, którą właśnie tropiliśmy - będzie

dysponować urządzeniem odpalającym. Zapalnik - tłumaczył jak dzieciom - może znajdować się w kieszeni któregośkolwiek. Zadanie polega na tym, aby nie dopuścić do eksplozji, pochłaniającej setki ofiar.

Savage nie przyśpieszył kroku, ale widziałem już, do którego z zaparkowanych aut zamierza podejść.

- Delta do Alfy - zameldowałem. - Bravo Jeden jest na Niebieskiej Siódemce... Sprawdźcie numer ML, Mike Lima, siedemnaście, czterdzieści cztery, dwanaście, biały renault pięć.

Alfa w pokoju, gdzie koordynowano działania, miał do dyspozycji zestaw komputerów z całą bazą danych. W dowództwie operacji wszystko przygotowano jak trzeba.

- Alfa. Potwierdzam odbiór. Mike Lima, siedemnaście, czterdzieści cztery, dwanaście, biały renault pięć.

- Trzeci samochód po prawej od wejścia, przodem do ściany - dodałem. Pracowaliśmy w sieci, cała ekipa na tej samej częstotliwości. - Uwaga, uwaga - nie przerywałem meldunku, bo zobaczyłem, że Bravo wyjął kluczyki - jest przy aucie, powtarzam, podszedł do auta.

Nie mogłem ani zawrócić, ani się cofnąć, bo to wzbudziłoby podejrzenia Savage'a. Musiałem przejść obok. Mignęła mi jego usiana krostami twarz. Taki już był. W stresie, z nerwów, zawsze dostawał wysypki.

Stał przy aucie, udawał, że wybiera właściwy klucz z całego pęku, w istocie jednak - dobrze o tym wiedziałem - sprawdzał zabezpieczenia. Te mogą być różne: kawałek taśmy klejącej na drzwiach, drobiazg na siedzeniu, coś zostawione niby przypadkiem. Najmniejsza zmiana, a Savage nie ruszyłby auta.

Golf i Oskar, czyli Kev i Pat Portek, bo taką miał ksywę, powinni już być za rogiem, u wejścia na placyk, gotowi przejąć obserwację, gdyby obiekt się mną zainteresował, albo skończyć z nim, gdybym wdepnął w gówna, to znaczy gdyby doszło do starcia.

Duchota poranka zapowiadała upalny dzień, odrobina chłodu skryła się w

cieniu pod murem. Savage ciągle stał tyłem do mnie. Ze słuchawki dobiegał tylko szum. Również milczałem, byłem zbyt blisko Bravo Jeden, aby meldować.

Skierowałem się w stronę ławki po drugiej stronie placu. Z kosza obok niej wystawały jakieś gazety. Wyjąłem jedną, usiadłem i udając, że czytam, nie przerywałem obserwacji. Włączyłem mikrofon.

- Delta do Alfego. Bravo Jeden w Charlie Jeden... - Charlie Jeden to samochód - sekundę... nie, nie odjeżdża, kulasy wystają, grzebie coś pod tablicą rozdzielczą. - Poczekajcie. - Nie zwalniałem przycisku mikrofonu, więc nikt inny nie mógł się na razie odezwać.

Ale właśnie gdy popisywałem się umiejętnością brzuchomówstwa, bardzo przydatną w czasie akcji, pojawił się jakiś starszy facet - szedł przez plac, pchając rower. Podeszedł do mnie, najwyraźniej miał ochotę pogadać. Zdjąłem palec z przycisku nadajnika i wlepiłem wzrok w gazetę. Stary coś zamamrotał, nie zareagowałem, co wcale go nie speszyło. Napalony na pogawędkę, nie zamierzał łatwo zrezygnować. Niestety, nie mogłem go z miejsca opieprzyć i spławić, bo mógłby narobić szumu, a to z kolei mogło zwrócić uwagę Savage'a.

Znów coś zamamrotał. Zrobiłem niechętną minę, wzruszyłem ramionami i nie odrywałem oczu od gazety. Obraził się. Zagulgotał gniewnie i wreszcie się zmył, pchając ten swój pieprzony rower.

Włączyłem mikrofon. Savage dłużył w schowku przy tablicy rozdzielczej. Co konkretnie robił, tego nie widziałem, ale nogi ciągle miał na zewnątrz auta i ciągle też sięgał do kieszeni. Może coś poprawiał albo ustawiał urządzenie do odpalenia ładunku wybuchowego.

Tkwiłem w tym zaklętym kręgu, nic innego nie miało teraz znaczenia. Śródziemnomorskie słońce na porannym błękitnie pulsowało żarem. W drzewach okalających plac podniosły wrzawę gromady ptaków. W gęstwinie liści nie było ich widać, ale ten gromadny trzask zagłuszał chwilami odgłosy miejskiego gwaru dobiegającego z głównej ulicy.

Czułem się jak bokser w ringu, co to, owszem, słyszy wrzask tłumu, uwagi

sekundanta, polecenia arbitra, ale tak naprawdę widzi tylko przeciwnika. Czeka na gong, żeby się rzucić na rywala, bo tylko to się liczy. Tylko oni dwaj. Dla mnie też liczyły się teraz tylko dwie osoby, ja i Bravo Jeden, reszta nie istniała.

Euan pracował tak samo. Jak szaleniec. Skupiał całą uwagę na pozostałej dwójce. Znałem go jak brata, a nawet lepiej, bo rodziny nie widziałem na oczy od dwudziestu lat, a z Euanem byłem na co dzień. Oddany służbie duszą i ciałem, pracował jak maszyna, a ja znałem go na wylot, czytałem w jego myślach i doskonale wiedziałem, że każdy jego meldunek przez radio to zawsze jasna, precyzyjna i klarowna informacja.

Kev i Portek ubezpieczali mnie, Zulu i Lima - Euana. Byli pod ręką, ale poza zasięgiem wzroku przeciwników. Takie są zasady - słuchać meldunków, utrzymywać dystans i gotowość na wypadek, gdyby partnerzy wdepnęli w gówno.

Euan zameldował, że widzi Bravo Dwa i Echo Jeden.

Bravo Dwa to Daniel Martin McCann. W odróżnieniu od Savage'a, faceta całkiem światłego, wykształconego i naprawdę wybitnego specjalisty od produkcji bomb, McCann - Danny Wariat - to zwyczajny rzeźnik. Taki miał charakter, zawód zresztą też. Żonaty, dwoje dzieci i dwadzieścia sześć zabójstw na koncie. Ulsterscy lojaliści próbowali go kiedyś zlikwidować, ale nie wyszło. Uważam, że powinni lepiej się przyłożyć, bo był naprawdę groźny. W 1985 roku Gerry Adams wyrzucił go nawet z organizacji, co było dość groteskowym zagranem, bo to tak, jakby z gestapo wyrzucano ludzi za okrucieństwo. Fakt, że Danny zapowiadał całą serię morderstw, a to mogło zagrozić nowej politycznej strategii IRA. Banicja nie trwała długo, wkrótce bowiem dzięki staraniom swoim i swoich popleczników Danny wrócił do łask.

Echo Jeden to Mairead Farrell, klasa średnia, szkoła u sióstr, trzydzieści jeden lat. Z wyglądu wprost anioł, a na liście PIRA ich kobieta numer jeden. Strasznie zacięta. Odsiedziała dziesięć lat za zamach bombowy w Belfaście, ale już naza jutrz po wyjściu na wolność zameldowała się w organizacji, ponoć także dlatego, że parę miesięcy wcześniej straciła narzeczonego. Zginął, gdy majstrował przy

jakiejś bombie. Można powiedzieć, że sam się wysadził w powietrze, ale baba - jak to podkreślił Simmonds na odprawie - obraziła się na cały świat.

Euan meldował na okrągło, gdzie są, gdzie idą, w jakim kierunku zmierzają, więc nasi mogli w porę usuwać się z drogi, aby nie budzić żadnych podejrzeń u dwójki zawodników.

- Bravo Dwa i Echo Jeden przechodzą przez Niebieską Dwójkę, kierują się w prawo, w stronę Niebieskiej Siódemki.

Oznaczało to, że przechodzą właśnie przez skrzyżowanie w kierunku placu, gdzie parkowało renault. Rozpoznałem ich, gdy tylko wychynęli zza rogu. Farrell - drobna o miłych, delikatnych rysach. McCann - kudłaty blondyn o złej twarzy. Znałem ich dobrze, deptałem im po piętach od lat. Włączyłem mikrofon, potwierdziłem, że nie ma pomyłki, że to oni.

Wszyscy byliśmy na stanowiskach, gotowi do akcji. Problem polegał tylko na tym, że inicjatywa nie należała do nas, bo kierownictwa akcji nie przekazano jeszcze w ręce wojska. Póki co za plecami Alfya, czyli koordynatora operacji, stała cała gromada facetów - przedstawiciele policji, MSZu, MSW i czego tam jeszcze. Każdy wtrącał swoje trzy grosze, a nade wszystko dbał o interes własnej firmy. Chciałem wierzyć, że Simmonds dba o nasz. Poznałem go dopiero co, na odprawie przed paroma dniami. Pracował w fabryce, czyli SIS, czyli wywiadzie, i szefował wydziałowi do spraw Irlandii Północnej, a tu odpowiadał za nasz udział w operacji. Budził zaufanie. Z jego wymowy sądząc, kształcił się w Eton, a wiadomo, co to znaczy. Słowa cedził niczym tajny radca Jej Królewskiej Mości.

Ale dowództwo to nie nasza sprawa. My byliśmy tu do roboty, a robota była delikatna. Najmniejszy błąd z naszej strony, a trupy padną gęsto. Zawodnicy wysadzą cały plac, ze wszystkim co żyje, nas nie wyłączając. Zależało nam więc na tym, żeby kłamka wreszcie zapadła. Góra mogłaby w końcu zdecydować, jak ma być, tymczasem debatowała w kłębach dymu. Mógłbym się założyć, iż napalili tak, że w sali dowodzenia dałoby się zawiesić siekierę. Alfa słuchał meldunków, powtarzał je na użytek pozostałych bonzów, wyjaśniał co trzeba, gdzie

jesteśmy, co robimy. Następny ruch należał do przedstawiciela policji. On podejmował decyzję o rozpoczęciu akcji, ale tylko tyle, bo w momencie jej rozpoczęcia dowództwo w terenie przejmował Kev.

Nic tak nie zżera nerwów jak czekanie. Marzyłem, żeby to się wreszcie skończyło.

Farrell stała oparta o drzwi samochodu, obok niej obaj zawodnicy. Wyglądali tak zwyczajnie, ot, przyjacielska pogawędka. Nie słyszałem, oczywiście, o czym rozmawiają, ale też nie widziałem śladu napięcia na ich twarzach, mało tego, cała trójka od czasu do czasu wybuchała głośnym śmiechem. Savage częstował miętkami, które właśnie wyjął z kieszeni.

- Delta do Alfę, sytuacja bez zmian - zameldowałem przez radio.

- Tu Alfa, potwierdzam odbiór, bez zmian.

Przez chwilę w eterze panowała cisza. Wreszcie usłyszeliśmy to, na co czekaliśmy.

- Tu Alfa, Alfa do wszystkich, przejmujemy operację, przejmujemy operację. Golf, potwierdź odbiór.

Kev potwierdził. Komunikat nadany przez Alfę oznaczał, że policja wreszcie zniosła jajo i oddała nam inicjatywę. Ciąg dalszy należał do Keva.

A tymczasem lewym uchem wyłowilem zdanie jakby z innego świata.

- Usiądziemy tu sobie, odpoczniemy.

On wiekowy, ona też, słowem para emerytów. Rozsiedli się na mojej ławce z całym bagażem - gazetami i buteleczkami wody Evian. Zaczęli popijać, narzekać na gorąco - że niby wczoraj było chłodniej - i w ogóle paplać, i to dokładnie wtedy, gdy w słuchawce usłyszałem Keva.

- Golf do Delty, melduj co u ciebie.

Co miałem zrobić? Ani się odezwać, ani się ruszyć, bo niby gdzie?

- Delta, odezwij się - ponaglał Kev.

Dwukrotnie nacisnąłem przycisk mikrofonu na znak, że nie mogę mówić. Kev znał zasady, więc zaczął mnie odpytywać.

- Bravo Jeden i Dwa oraz Echo Jeden przy Charlie Jeden, możesz potwierdzić?

Klik, klik.

- Wyczuli coś?

Cisza z mojej strony.

- A więc nie orientują się?

Klik, klik.

- Samochód zamknięty?

Klik, klik.

- Na klucz.

Klik, klik.

- Czy Echo Jeden ma przy sobie torebkę? - Kev liczył się z tym, że zdalny zapalnik może znajdować się w torebce Farrell.

Klik, klik.

- Czy zabrali coś z samochodu?

Cisza.

Tymczasem emeryci gaworzyli w najlepsze. Dzielili się uwagami na temat prasowych rewelacji o jakimś idolu muzyki pop, urządzającym orgie z nieletnimi dziewczynkami, których fotografie w samej bieliźnie zamieszczono na pierwszej stronie gazety.

- Widziałaś, a popatrz na to.

- Ja ci mówię, nie ma dymu bez ognia - zamlaskała babcia, pożerając największy chyba w świecie baton „Fruit & Nut”.

A tymczasem moi podopieczni ruszyli z miejsca. Nacisnąłem przycisk cztery razy.

- Golf do wszystkich, uwaga! Idą? - To pytanie było do mnie.

Klik, klik.

- W stronę Żółtej Szóstki?

Cisza. Szli zupełnie gdzie indziej, tam, skąd przyszli, czyli w stronę Main

Street. Kev musi zapytać jeszcze raz.

- W stronę Niebieskiej Dwójki?

Klik, klik.

- Widzisz ich?

Klik, klik.

- Golf do wszystkich. Bravo Jeden, Dwa, Echo idą w kierunku Niebieskiej Dwójki. Delta ma ich na oku.

Odczekałem chwilę, a kiedy weszli na plac defilad, ruszyłem za nimi. Jedno było pewne, w miejscu, w którym teraz się znajdowali, nie wchodziła w grę próba ich zatrzymania. Za dużo ludzi, za mało przesłanek. Inaczej mówiąc, nie wiedzieliśmy, co nasi podopieczni zrobią - zaczną strzelać, brać zakładników czy wzorem kamikadze odpalą ładunek. Tymczasem odszedłem na tyle daleko od pary emerytów, że mogłem normalnie meldować.

- Uwaga. Bravo Jeden, Dwa, Echo są w połowie drogi między Niebieską Siódmką a Dwójką.

Byłem najbliżej i jak na razie nie potrzebowałem pomocy. Mogłem ich śledzić aż do Main Street.

W tym momencie odezwał się Alfa.

- Do wszystkich, przerwać akcję, przerwać akcję. Golf, potwierdź odbiór.

Kev, owszem, potwierdził, ale raczej nieregulaminowo.

- Co się, kurwa, dzieje?

- Sekundę... - Głos Alfego zdradzał napięcie, a w tle dało się słyszeć gwar rozmów w centrum dowodzenia. - ...Alfa do wszystkich... - odezwał się po chwili - ...policja żąda ponownego potwierdzenia tożsamości obiektów. Golf, potwierdź odbiór.

Co za idiotyzm! Wyobrażają sobie, że co? Że Sean podejdzie do nas, przywita się i powie: „Dzień dobry, jestem zamachowcem z IRA, bardzo mi się tu podoba”.

Jeszcze chwila, a cała trójka ewakuuje się przez granicę do Hiszpanii, a my zostaniemy z rękami w nocniku.

- Alfa do wszystkich. Wysyłamy pirotechnika, żeby sprawdził samochód. Delta, zadanie dla ciebie, potwierdzić tożsamość.

Kliknąłem dwa razy.

Było jasne, że na górze zaczął się burdel, a policja rzuca nam po prostu kłody pod nogi. Niech ich rudy byk...

Podążałem śladem moich podopiecznych drugą stroną ulicy. Przyśpieszyłem, żeby się z nimi zrównać. Rozkaz to rozkaz, a skoro mam potwierdzić tożsamość, to muszę spojrzeć w buźki.

- Delta - nadałem meldunek - Bravo Jeden, Dwa, Echo Jeden po mojej prawej na Czerwonej Jedyńce. Kierunek Niebieska Szóstka.

Przyklęknąłem, niby to poprawiając sznurowadło. W istocie chodziło mi o zwiększenie dystansu. Browning 9 mm dziabnął mnie w żebra. Jak zwykle, wcisnąłem go za pas z przodu. Inni wolą nosić broń z boku, ale mnie to nie odpowiada, a poza tym przyzwyczailem się, a tego typu nawyków nie należy zmieniać, jeśli człowiekowi życie miłe. Tak więc nosiłem gnata z przodu. W razie czego wystarczy rozpiąć albo po prostu podciągnąć wiatrówkę.

W browningu zamontowałem specjalny, wydłużony magazynek na dwadzieścia sztuk amunicji. Prócz tego miałem w zapasie trzy zwykłe magazynki po trzynaście naboń każdy, razem pięćdziesiąt dziewięć naboń, i to powinno wystarczyć, a jeśli nie, to czas pomyśleć o zmianie zawodu.

Alfa nie wyłączył mikrofonu w centrali, słyszałem więc gwar, dzwonki telefonów, rozmowy i napięcie w głosie Simmonsa, gdy z kimś tam gadał.

- Pieprzyć! - odezwał się Kev, mając na myśli górę - czekamy, aż się wykoszą, a tymczasem nie spuszczaamy obiektów z oka. Lima, Zulu, przemieścić się do Niebieskiej Szóstki. Dacie radę?

- Zulu, Lima - odezwał się ten pierwszy, ciężko dysząc - chyba tak.

- W porządku, wykonać.

Kewowi chodziło o to, aby Zulu z Limą zaszli bojówkarzy od drugiej strony, mniej więcej na wysokości ośrodka zdrowia przy Niebieskiej Szóstce. Musieli

więc puścić się biegiem. Tak też zrobili, nie bacząc na przechodniów. Biegli okrężną trasą, poza zasięgiem wzroku trójki terrorystów. Tymczasem nadal nie mogliśmy działać. Co, kurwa, zrobimy, gdy podopieczni dojdą do przejścia granicznego? A to się stanie lada moment.

- Golf do Alfya. Konieczna natychmiastowa decyzja. Co mamy robić? Za chwilę ich stracimy.

- Alfa do Golfa, czekamy, jeszcze czekamy... - I znów w tle słychać było gwar, telefony, przekrzykiwania. - Czekamy, powtarzam, czekamy.

Nagle wszystko umilkło, zapadła cisza tak głęboka, że słyszałem bicie własnego serca. Nie wiem, ile to trwało, ale w końcu góra podjęła decyzję. Usłyszałem bowiem Simmondsa, mówił wyraźnie i stanowczo:

- Proszę przekazać dowódcy w terenie, że kontynuujemy.

- Alfa do wszystkich, Alfa do wszystkich, jest decyzja. Potwierdzić odbiór.

Kev potwierdził, ale znów nieregularnie.

- Dzięki, kurwa! Golf do wszystkich. Zdejmujemy ich przy lotnisku, jeśli tam dojdą, albo wcześniej, na mój rozkaz. Zulu, Lima, co u was?

- Jesteśmy przy Niebieskiej Dziewiątce. Możemy ich tu przejąć.

Zulu i Lima czekali na terrorystów przy skrzyżowaniu Main Street z aleją Dorrien - główną arterią prowadzącą do przejścia granicznego z Hiszpanią, oddalonego od tego punktu o ledwie kilkaset metrów.

- Golf do Delty, zgłoś się.

- Delta do Golfa. Mam ich po swojej prawej między Niebieską Szóstką i Dziewiątką.

- W porządku. Golf do wszystkich, zdejmujemy ich przy Dziewiątce, powtarzam, przy Dziewiątce.

- Tu Delta. Przy Dziewiątce. Nadal mam ich z prawej, nadal idą w kierunku Dziewiątki.

- Tu Zulu. Przejmujemy ich przy Dziewiątce.

- Delta do Zulu. W porządku. Nadal idą w twoim kierunku.

Na tym właściwie kończyła się moja rola. Za chwilę, gdy tylko skrećą w aleję Smitha Dorriena, znajdą się w zasięgu Zulu.

Ale oni nagle się zatrzymali.

Kurwa, co jest!?

- Tu Delta. Bravo Jeden, Dwa, Echo stoją dwadzieścia metrów za Dziewiątką, po mojej prawej.

Stoją, ale otoczeni ze wszystkich stron. Jeśli zdejmować, to teraz.

Jak na złość Savage ruszył z powrotem w kierunku śródmieścia.

Sprawa zaczęła się pieprzyć, rozdzielili się, a my nadal nie wiedzieliśmy, które z nich dysponuje zapalnikiem.

Kątem oka zobaczyłem Keva. Ubezpieczał mnie, bo Savage należał do nas, a ściślej - do mnie. Bravo Dwa i Echo - do reszty pod wodzą Euana. Zameldowali właśnie, że idą za nimi wzdłuż alei Churchilla. Służyłem w Gibraltarze w piechocie, pamiętałem więc, że aleja Churchilla to dwu-pasmówka biegnąca z południa na północ, w stronę granicy, i że po jednej jej stronie wznosi się osiedle mieszkaniowe Laguna Estate, i że jest tam też stacja benzynowa Shella. Tymczasem ja i Kev siedzieliśmy Savage'owi na ogonie. Szedł w kierunku centrum miasta.

Skrecał właśnie w lewo, w niewielką przecznicę, gdy usłyszałem policyjną syrenę, strzały, a zaraz potem - w słuchawce - Euana.

- Starcie! Starcie!

I znów strzały.

Co się, kurwa, dzieje?

Spojrzeliliśmy z Kevem po sobie. Bez słowa wyrwaliśmy za Savage'em, ale on też usłyszał strzały i właśnie zawracał. Trząśł się jak w konwulsjach, oczy miał wielkie jak spodki.

Między nim a nami znalazła się jakaś kobieta. Savage zawrócił na pięcie i zaczął uciekać.

- Stać! Służba Bezpieczeństwa! Stać! - krzyknął Kev.

Lewą ręką z impetem pchnął kobietę pod mur, ta uderzyła głową o ścianę i krwawiąc, osunęła się na ziemię. Lepsze to, niż dostać kulę. Zaczęła jęczeć i pisać ze strachu, Kev klął i wrzeszczał za Savage'em, przechodnie wokół spanikowali - w ogóle totalna rozpierducha.

Kev odrzucił połę marynarki i sięgnął po broń, którą nosił w kaburze przypiętej na wysokości nerek. W kieszeni marynarki dobrze jest mieć coś ciężkiego, na przykład pełny magazynek, bo wtedy o wiele łatwiej odrzucić połę do tyłu.

Nie gapilem się, oczywiście, na Keva. Nie spuszczałem wzroku z Savage'a. Właśnie sięgał prawą ręką do kieszeni. Nie było co się zastanawiać, bo przecież mógł tam mieć detonator, a nasze pierwsze zadanie to nie dopuścić do eksplozji.

Savage dobrze wiedział, w co się bawi. Gdy tylko nas zobaczył zdał sobie sprawę, że to koniec.

Kev wyciągnął pistolet, wymierzył, nacisnął spust i... cisza.

- Kurwa, zacięło się. Nick - to do mnie - zacięło się! - Ukląkł, żeby stanowić mniejszy cel, gdyby Savage zaczął strzelać, i próbował odblokować broń.

W takich chwilach człowiek ma wrażenie, że wszystko wokół dzieje się na zwolnionych obrotach. Nieme kino. Patrzysz, ale nic nie słyszysz.

Savage wiedział, co zaraz zrobię i miał jeszcze szansę. Mógł podnieść ręce w górę. Nie uczynił tego.

Szarpnąłem za wiatrówkę. Puściły rzepy. Na akcję zawsze tak się ubieram. Żadnych guzików, suwaków, niczego takiego, tylko rzepy, bo wystarczy szarpnąć.

Jeśli chce się zareagować naprawdę szybko trzeba w myślach podzielić wszystko na etapy.

Etap pierwszy: nie spuszczam oczu z celu, lewą ręką unoszę wiatrówkę, wciągam brzuch, wypinam pierś, żeby łatwiej wyszarpnąć pistolet zza pasa. W takich sytuacjach może nie trafić się okazja na poprawkę.

Widziałem, że Savage coś do mnie krzyczy, ale nic nie słyszałem. Zbyt wiele działo się jednocześnie.

Etap drugi: chwytam kolbę pistoletu, palec wskazujący wyciągnięty do przodu, równoległe do lufy, jeszcze nie na spuście - w ten sposób unika się przypadkowego strzału. Savage nadal krzyczy i patrzy na mnie, ale ręką sięga do kieszeni. Nie wiem, czy po broń, czy zapalnik, ale to nie ma znaczenia, tak czy owak muszę go unieszkodliwić.

Etap trzeci: wyciągam broń, jednocześnie kciukiem odciągam bezpiecznik.

Savage przegrał, widziałem, jak drżą mu wargi, zrozumiał, że już po balu.

Etap czwarty: pistolet wyciągnięty, strzelam z biodra, nie ma czasu na przybranie klasycznej pozycji i dokładne celowanie, a zresztą wiem, że trafię. Nie patrzę na pistolet, patrzę na cel.

Huk wystrzału i odrzut broni. Urywa się zwolniony film. Wszystko znów nabiera tempa. Pierwszy pocisk sięga celu, nie wiem dokładnie gdzie, ale po oczach Savage'a widzę, że trafiłem.

Nie przerywam ognia. Nie ma czegoś takiego jak nadreakcja. Nie wystarczy zranić, choćby śmiertelnie, bo ranny Savage nawet w ostatniej chwili może uruchomić ten pieprzony zapalnik. Jeśli trzeba, wpakuję w niego cały magazynek. Savage pada na ziemię. Kuli się, zwija w kłębek. To naturalna reakcja po postrzale. Nie widzę jego rąk. Podchodzę, celuję w głowę. Savage już nigdy nikomu nie zagrazi.

Podbiega Kev, sprawdza jego kieszenie.

- Nie ma broni ani zapalnika! - Wyciera zakrwawione ręce o dzinsy Savage'a.
- A więc zapalnik ma któreś z pozostałej dwójki - kończy myśl. - Nie słyszałem wybuchu, a ty?

- Nie wiem, ale chyba nie. - Nie mogę sobie przypomnieć, czy coś słyszałem, czy nie. Całą uwagę skupiałem na Savage'u i tylko na nim. Nie wiem, co się działo wokół.

Mama Keva Browna pochodziła z południowej Hiszpanii i gdy teraz patrzyłem na niego, pomyślałem, że Kev śmiało mógł uchodzić za rodowitego obywatela tych stron. Kruczoczarne włosy, metr osiemdziesiąt z kawałkiem i najbar-

dziej błękitne oczy na całym świecie. Kev, który dopiero dobiegał czterdziestki, zżymał się, gdy żona porównywała go do Mela Gibsona, ale w cichości ducha pochlebiali mu to podobieństwo. Kev Brown nawet w tej chwili wyglądał jak z obrazka i patrzył na mnie z wdzięcznością. Zamierzałem powiedzieć: „W porządku, zdarza się”, ale uznałem, że nie pora. Zamiast tego rzuciłem:

- Niech cię szlag, Brown, ale czego się spodziewać po człowieku o nazwisku jak kolor gówna?

Zabezpieczyliśmy broń i zamieniliśmy się pistoletami. On wziął mój, ja jego.

- Mnie nie będą się czepiać, ty lepiej przygotuj się na przesłuchania.

Zaśmiał się tylko, włączył radiostację, nadał meldunek. Kev mógł stanąć przed komisją, a taka oczywiście zostanie powołana, natomiast ja i Euan powinniśmy się zwinąć przed przybyciem policji.

Schowałem więc broń i zawróciłem na pięcie. Rzecz w tym, że obaj służyliśmy właśnie w Det, czyli 14 Grupie Wywiadu w Irlandii Północnej, i w myśl prawa nie wolno nam było działać poza tym obszarem.

1997

1

Gdy pracownik wywiadu brytyjskiego taki, powiedzmy, jak ja otrzyma polecenie stawienia się w Centrali w Vauxhall w Londynie tuż nad Tamizą, to może oczekiwać jednego z trzech rodzajów przyjęcia. Kawa z biszkoptami - ojcowska reprimenda. Kawa bez biszkoptów, gorzej - przypomnienie o bezwzględnej dyscyplinie. Ani kawy, ani biszkoptów - znak, że ma się przechlapane. Od 1993 roku, kiedy to pożegnałem pułk i zostałem oficerem wywiadu kategorii „K” - a więc agentem wykonującym takie tajne operacje, od których władze zawsze mogą się oficjalnie odciąć - byłem wzywany do Centrali nieraz i zaznałem wszystkich rodzajów przyjęć. W ten zaś konkretny poniedziałek miałem powody, żeby spodziewać się najgorszego, bo tak się ostatnio składało.

W takim też nastroju wyszedłem ze stacji metra Vauxhall niedaleko Centrali. Żaden znak na ziemi i niebie nie wróżył, żeby miało być inaczej, niż myślałem, że będzie. Aura marcowa, niebo zasnute jak to przed Wielkanocą, ulica rozgrzebana, a warkot młotów pneumatycznych niósł się echem jak salwy plutonu egzekucyjnego. Vauxhall Cross, siedziba Secret Intelligence Service, określanej przez prasę mianem MI 6 - znajduje się mniej więcej o dwa kilometry w górę rzeki od Parlamentu. Budynek jest dość dziwny. Utrzymany w beżu i czerni, wygląda jak piramida z uciętym czubkiem. Po obu stronach zwieńczają ją jakby wielkie wieże, od strony rzeki ciągnie się zaś taras. Gdyby tu i ówdzie zamontować parę neonów, całość jawiłaby się jak kasyno gry w Las Vegas. Osobiście żałowałem dawnej siedziby, Century House, niedaleko stacji Waterloo. Owszem, budynek był dość okropny - typowy blok z lat sześćdziesiątych - przeszklona bryła bez charakteru, z siatkowymi zasłonami w oknach i mnóstwem anten na dachu, a na dodatek daleko od metra, mimo to człowiek czuł się tam u siebie.

Naprzeciwko Vauxhall Cross, po drugiej stronie szerokiej na jakieś dwieście

metrów arterii, wznosi się wiadukt kolejowy. Pod nim, między łukowatymi podporami, urządzono sklepy i magazyny, a wśród nich wielki salon motocyklowy. Miałem jeszcze czas, bo przyjechałem wcześniej, więc zajrzałem tam, obmyślając, który z modeli ducati wybiorę sobie, gdy już dadzą mi podwyżkę. Czysta fantazja. Na podwyżkę nie ma co liczyć, zwłaszcza dziś, a przy moim fardzie, gdybym miał motocykl, to pewnie bym się zabił, więc lepiej się nie rozmarzać.

Fartu to ja nie miałem, a ostatnio spieprzyłem parę spraw, a już wprost koncertowo w Arabii Saudyjskiej. Wysłali mnie tam, abym przeszkolił jakichś Kurdów z Iraku, co to mieli zabić trzech ważniaków z irackiej partii BAAS. Miano nadzieję, że zabójstwo wywoła wstrząs, a w efekcie dojdzie do obalenia reżimu w Bagdadzie.

Na początek miałem przejąć w Arabii transport broni, sprowadzony po cichu z byłego bloku komunistycznego: rosyjskie karabiny snajperskie konstrukcji Dragunowa, pistolety Makarowa i dwa kałasznikowy w wersji ze składaną kolbą, jak dla wojsk spadochronowych. Bez numerów seryjnych, oczywiście. Usunięto je, aby nie było śladów.

Założono, że Kurdowie przeprowadzą trzy akcje jednocześnie, w Bagdadzie i okolicy, żeby wywołać możliwie największe zamieszanie. Pierwsza z nich to prawdziwa jatka z użyciem pistoletów Makarowa. Zamysł polegał na tym, że dwóch chłopaków z makarowami miało - bez względu na ryzyko przypadkowych ofiar - wedrzeć się do domu jednego z tych ważniaków, wykończyć go na miejscu i dać nogę.

Powodzenie drugiej akcji zależało od snajperów. Facet, o którego w tym przypadku chodziło, miał ambicje sportowe i w ogóle dbał o tężyznę. Codziennie zjawiał się na stadionie, ubrany w oliwkowy dres, i biegał, a raczej usiłował, bo dystans czterysta metrów wyczerpywał jego możliwości. Już po stu metrach zaczynał prychać i zwalniał, właśnie w tym momencie stawał się dogodnym celem. Moje zadanie polegało na tym, żeby wszystko skoordynować i dopilnować, by

snajperzy strzelili jednocześnie.

Trzeciego faceta chciano zdjąć w czasie drogi do ministerstwa. Jeździł tam codziennie. Dwóch motocyklistów miało w sprzyjającym momencie, a więc najlepiej na czerwonych światłach, przekazać mu wyrazy największego szacunku z kałachów.

Dotarcie do północnego Iraku, czyli części kraju zamieszkanym przez Kurdów, nie sprawiło mi żadnych problemów. Mogłem rozpocząć szkolenie i przygotowania do akcji, której istoty Kurdom w szczegółach nie wyjaśniano. Tymczasem snajperskie dragunowy okazały się gównem warte. Z tym można by sobie jeszcze poradzić, gdyby tylko amunicja była jak należy. Amunicja jest ogromnie ważna. Ważniejsza od broni. Tymczasem dostarczone nam indyjskie naboje kal. 7.62 mm okazały się gorsze nawet od gówna. Gdyby to ode mnie zależało, to wybrałbym raczej fińskie karabiny systemu Lapua. Tyle że wówczas trzeba by użyć zachodniej amunicji, a wtedy sprawa by się ryła.

Z amunicją z Indii nigdy nie wiadomo - odpali czy nie? Częściej zresztą nie, a dragunowy to - niestety - półautomaty, gdy akurat do tej akcji odpowiedniejsza byłaby broń zwykła. Lepiej się celuje i, co ważniejsze, łuska zostaje w zamku. Wylatuje dopiero wtedy, gdy się broń przeładowuje. Cóż, szkoda słów, broń musiała być taka, jaka była, czyli rosyjska. Żadne ślady nie mogły prowadzić na zachód.

Po akcji broń miano zniszczyć. Tak się jednak nie stało. Stało się natomiast coś znacznie gorszego, i to za moją sprawą. Otóż na lufie kałasznikowa, pod muszką, znajduje się numer seryjny broni. Ustalono, że wszystkie numery zostaną usunięte. Nie sprawdziłem tego, no i spieprzyłem sprawę.

Według Londynu w tej sytuacji nie pozostało nic innego, jak zlikwidować Kurdów, których szkoliłem. Coś takiego nazywa się minimalizowaniem szkód, a w tym przypadku chodziło o bardzo radykalne zminimalizowanie ewentualnej szkody. Diabeł zawsze tkwi w szczegółach. Gdyby Irakijczycy sprawdzili numery, mogliby tym śladem dojść do Londynu. Gdyby jeszcze złapali Kurdów, a ci

bąknęliby, że szkolił ich taki jeden Europejczyk - Nick Stone - wtedy już każdy głupi doszedłby do tego, skąd się ów Nick Stone wziął. Było mi strasznie przykro, bo polubiłem moich chłopaków, jednak nie miałem innego wyjścia. Musiałem ich wykończyć. Ale do dziś noszę zegarek od jednego z nich. Właściwie to go wygrałem. Założyliśmy się bowiem, kto lepiej strzela. Mimo przewagi na wszelki wypadek zrobiłem jeszcze to i owo. Musiałem okazać się lepszy, choć naprawdę lubiłem tego Kurda.

W prawdziwe szambo wpadłem po powrocie. W Firmie trwało śledztwo, szukano winnego, a wszyscy starali się chronić własne tyłki. Faceci od techniki rozpowiadali, że to moja wina, bo nie sprawdziłem, czy broń jest rzeczywiście czysta. A co ja mogłem? Z kategorią „K” człowiekowi nie wolno nawet głośno oddychać. Takiego człowieka oficjalnie nie ma, a więc i nie ma się z kim liczyć.

Do Vauxhall Cross wchodzi się przez pojedyncze metalowe drzwi, zaraz za nimi jest recepcja. Hol wygląda nijako, a właściwie tak jak w każdym innym nowoczesnym biurowcu w City. Czysto, elegancko, dostojnie. Zamki otwierane za pomocą karty magnetycznej i temu podobne zabezpieczenia. Ja oczywiście karty nie miałem. Musiałem zgłosić się w recepcji. Siedziały tam dwie kobiety, skryte za grubymi, pancernymi szybami.

- Jestem umówiony z panem Lynnem - oznajmiłem przez interkom.

- Proszę to wypełnić - usłyszałem w odpowiedzi i przez szparę w szybie wysunął się stosowny formularz.

Gdy wypełniałem kolejne rubryki jedna z kobiet zapytała, kogo ma zameldować.

- Moje nazwisko Stamford.

Formularz składa się z dwóch części. Jedną recepcjonistka odrywa i zatapia na poczekaniu w plastikowym identyfikatorze. Dostałem niebieski, z dużym napisem: TYLKO Z OSOBAŃ TOWARZYSZĄCĄ.

- Wkrótce ktoś po pana zejdzie - usłyszałem w głośniku. Zaraz też zjawił się młody człowiek.

- Pan Stamford?

- Cześć, kolego, co słyszeć?

Skrzywił się lekko w półśmiechu.

- Proszę za mną - powiedział, wzywając windę - udamy się na piąte piętro.

Centrala to istny labirynt, nie miałem pojęcia, dokąd zmierzamy. W korytarzu, którym szliśmy, panowała cisza, zakłócana tylko szumem klimatyzatorów. Na końcu korytarza skręciliśmy w lewo, weszliśmy do pomieszczenia biurowego, jakich setki: metalowe szafki na akta, parę biurka, czajnik elektryczny, szklanki, słoiki z kawą, cukier. Ale na kawę nie liczyłem. Wiedziałem, że zostanę poczęstowany wyłącznie wyrazami dezaprobaty, które winienem przyjąć z pokorą.

Do gabinetu podpułkownika Lynna wchodziło się z tego właśnie pomieszczenia przy końcu korytarza. Mój przewodnik zapukał, a gdy zza drzwi dobiegło energiczne „wejść”, nacisnął klamkę i wpuścił mnie do środka.

Lynn stał za biurkiem. Miał niewiele ponad czterdzieści lat, przeciętny wzrost, wygląd i w ogóle prawie wszystko. Nieprzeciętnie się tylko sadził, natomiast łysiał tak, że się plasował poniżej przeciętnej dla swojej grupy wiekowej. Mała rzecz, a cieszy. Stykałem się z nim częściej lub rzadziej od dziesięciu lat. Od dwóch lat Lynn pełnił funkcję łącznika między SIS a Ministerstwem Obrony.

Dopiero po chwili zorientowałem się, że nie jesteśmy sami. Z boku, przy biurku, siedział Simmonds. Nie mogłem go zauważyć przy wejściu, bo zasłoniły go drzwi. Nie widzieliśmy się od czasu Gibraltaru, kiedy to w śledztwie zamącił sprawę tak, że nie można lepiej. W każdym razie żaden raport nie donosił o moim i Euana udziale w akcji. Zaskoczyła mnie obecność Simmondsa w gabinecie Lynna, ale też nieco poprawiła mi nastrój. Simmonds nie mógł mieć nic wspólnego ze sprawą Kurdów, więc kto wie, może nawet poczęstują mnie kawą?

Simmonds podniósł się z krzesła. Wysoki, metr osiemdziesiąt z okładem, pięćdziesiątka na karku, ale przystojny i nadzwyczaj uprzejmy. Tak pomyślałem, gdy wyciągnął dłoń na powitanie. Miał na sobie welwetowe spodnie w kolorze musztardy Colmana i koszulę wymiętą tak, jakby w niej spał.

- Miło cię znów zobaczyć, Nick.

Przywitaliśmy się, a Lynn zapytał, czy się czegoś napiję.

- Chętnie. Kawy z odrobiną mleka i cukrem.

Usiedliśmy. Mnie przypadło drewniane krzesło przed biurkiem. Gdy Lynn zamawiał kawę rozejrzałem się po gabinecie, którego okna wychodziły na Tamizę. Bardzo funkcjonalne i bardzo bezosobowe wnętrze. Żadnych zbytków, żadnych akcentów osobistych, jeśli nie liczyć zdjęcia w ramce na biurku. Przedstawiało kobietę z dwojgiem dzieci, pewnie szanowną małżonkę i pociechy gospodarza. Na parapecie leżały dwie pisanki i trochę ozdobnego papieru do pakowania prezentów. Wiadomo, Wielkanoc już blisko. W rogu pokoju, zamontowany na ścianie, wisiał telewizor. Na ekranie widniała strona telegazety z serwisem wiadomości ze świata. Pod telewizorem, jak we wszystkich męskich gabinetach, stała rakietka do gry w squasha, a zaraz obok na wieszaku wisiała marynarka.

Bez dalszych wstępów i formalności Lynn pochylił się w moją stronę i oświadczył:

- Mamy dla ciebie coś na już.

Spojrzałem na Simmondsa.

- Stone - ciągnął tymczasem Lynn - sam wiesz, jaka jest sytuacja. Po ostatniej robocie siedzisz po uszy w gównie. To może się zmienić. Nie chcę niczego obiecywać, ale przynajmniej zostaniesz w Firmie, a więc albo, albo. Albo bierzysz, albo fora ze dwora.

- Biorę.

Wiedział, że się zgodzę, zanim jeszcze otworzyłem usta, bo już sięgał po teczkę z kilkoma zdjęciami i dokumentami. Na jednym z nich zauważyłem dekretację naniesioną zielonym atramentem, a to znaczy, że ręką samego szefa Firmy. Simmonds milczał.

Lynn podsunął mi zdjęcia.

- Co to za jedni? - spytałem.

- Michael Kerr i Morgan McGear. Właśnie teraz jadą na lotnisko Shannon, żeby złapać samolot na Heathrow, a stamtąd do Waszyngtonu. Zamówili bilety powrotne na samolot Virgin Airlines. Posługują się fałszywymi paszportami Republiki Irlandzkiej. Masz ich przejąć na Shannon. Siądziesz im na ogonie, polecisz do Waszyngtonu. Interesuje nas, po co tam jadą i z kim będą się spotykać.

Nie pierwszozna. Wiele już razy śledziłem podobne osoby podróżujące przez Republikę Irlandii, wiedziałem więc, jakie mogą być kłopoty i trudności.

- A jeśli zmienią plan? Skoro mają lewe papiery, mogą zadziałać ostrożniej. W Londynie wymienią je na inne i spieprzą do Amsterdamu. Zdarzało się.

- Uwaga słuszna i przyjmujemy ją do wiadomości - uśmiechnął się Simmonds - ale tym razem nic takiego się nie zdarzy.

- Tu jest wszystko. Zrobili rezerwację wczoraj, w Belfaście. - Lynn podał mi kartkę z wydrukiem lotów.

Zapukano do drzwi i wniesiono trzy kawy w kubkach. Pierwszy z wizerunkiem tasmańskiego diabła, drugi - ze starym samochodem, trzeci - z białego fajansu. Odniosłem wrażenie, że obaj - Lynn i Simmonds - byli już po co najmniej jednej kawie.

Simmonds sięgnął po biały kubek, Lynn wziął muzealny samochód, a mnie pozostał tasmański diabeł.

- A który z naszych prowadził ich z Belfastu?

- Euan. Przejmiesz od niego obserwację na Shannon.

Uśmiechnąłem się do siebie na myśl o Euanie. Byłem w zasadzie poza Firmą, bo taka jest istota działania w kategorii „K”, czyli niejawnej. Odpowiadała mi ta forma, miałem jeszcze inne plany. Jakże? Właściwie niezbyt sprecyzowane, ale miałem. Różne rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy, gdy ma trzydzieści siedem lat. Euan? On należał do innego rodzaju ludzi - tych poważnych i odpowiedzialnych, całkowicie identyfikował się z Firmą. I z własnej woli zapewne nigdy nie odejdzie. Chyba że go wykopią.

- Zapoznaj się z tym. - Simmonds podał mi teczkę z aktami. - Wszystkiego trzynaście stron, przeczytaj po drodze, podpisz i oddaj potem pilotowi i... powodzenia - dodał, jakby chciał się mnie pozbyć.

- Jak to, to już? Nie mam nawet paszportu. Rozumiem, że to sprawa ekspresowa, ale...

- Paszport jest w teczce. Jeszcze jakieś pytania? - uciał Lynn.

Spojrzałem na niego, jakby mnie obraził.

Paszport, prawo jazdy, karty kredytowe - to podstawowe rekwizyty, jeśli idzie o tworzenie tzw. legendy, czyli tożsamości operacyjnej. Za pomocą kart można zamówić prenumeratę stosownych czasopism, opłacić składki w klubie, kupić co trzeba, aby stworzyć odpowiednie tło. Karty miałem ze sobą, bo zawsze je noszę. Paszport został w domu. Ten w teczce został sporządzony zapewne przed paru godzinami, ale nie będzie budził niczyich podejrzeń. Wizy w komplecie, a sama książeczka wystarczająco zużyta. W tym fachu liczą się szczegóły.

Nie skończyłem kawy. Zjawił się młody człowiek, moja osoba towarzysząca. Podpisałem jeszcze odbiór dokumentów od Simmondsa, musiałem postawić inicjały na każdej stronie, a osobno pokwitować całą teczkę. Pieprzona biurokracja.

Na dole czekało już auto. Zająłem miejsce obok kierowcy. Jako dziecko zawsze dziwiłem się, że ważniacy siadają z tyłu. Zacząłem rozmowę o niczym, co pewnie szofera śmiertelnie nudziło, bo ledwie cedził słowa, ale to jego sprawa. Ja poczułem się lepiej, jakbym spełnił dobry uczynek.

Na lądowisku śmigłowców w Battersea czekał już, grzejąc silnik, squirrel z cywilnymi znakami. Pozostało mi tylko zadzwonić pod znany numer, do rodziny, która pełniła funkcję mojego parasola ochronnego. W razie wpadki zawsze mogę powołać się na ich świadectwo, poręczą za mnie i potwierdzą tożsamość.

- James, tu Nick. Właśnie trafiła mi się okazja wyskoczenia do kumpli w Stanach. Nie będzie mnie tydzień, góra dwa. Gdyby miało się przedłużyć, to zadzwonię.

Jamesowi niczego nie trzeba powtarzać dwa razy.

- Dwa dni temu włamano się do Wilmotów, a my na Wielkanoc wybieramy się do Boba do Dorest.

Takie szczegóły miały znaczenie. Umacniały moją wiarygodność, czytałem nawet lokalną prasę. Wszystko po to, by pozory nabrały znamion realnych faktów.

- No to cześć, a Bobowi przypomnij, że winien mi jest kolację na mieście.
- Przypomnę. Miłej podróży.

Gdy wyszliśmy nad Morze Irlandzkie otworzyłem teczkę z materiałami operacyjnymi. Niewiele tego. Właściwie tylko tyle, że tych dwóch zarezerwowało bilety do Waszyngtonu. Reszta to same znaki zapytania, które domagały się odpowiedzi. Z doświadczenia wiedziałem, że sprawa nie będzie łatwa. Bo jeśli nawet panowie odprawią się do Waszyngtonu zgodnie z rezerwacją i jeśli tam dolecą, to w pojedynkę trudno mieć na oku dwóch. Podstawowa zasada konspiracji - a miałem do czynienia z fachowcami - stanowi, że w pewnym momencie należy się rozdzielić. Tak też zapewne zrobią i co wtedy? Trudno. Niech się dzieje, co chce. Nie ma się wyboru, gdy Firma trzyma człowieka za jaja.

Sądząc z tego, co było w tezcze właśnie zaczął się sezon wypraw facetów z PIRA do Ameryki. Podróżowali do Bostonu, Waszyngtonu, Nowego Jorku, a nawet dalej na zachód - do Tuscon w Arizonie, słowem wszędzie tam, gdzie mieszkają sympatyzujący z ruchem Amerykanie irlandzkiego pochodzenia. Misje emisariuszy sprowadzały się do kwestowania, bo zasoby IRA zostały poważnie nadwerężone. We wrześniu 1996 roku policja skonfiskowała w Londynie całkiem pokaźny magazyn broni należącej do IRA, w tym ponad dziesięć ton materiałów wybuchowych. O kryzysie w finansach IRA świadczyło także i to, że w Ulsterze rozpoczęto, legalnie zresztą, zbiórkę pieniędzy. Ale oprócz oficjalnych metod gromadzenia funduszy sięgano także po inne sposoby. Nie miałem wątpliwości, że dwójka moich przyszłych podopiecznych wybiera się do Ameryki w tej właśnie sprawie.

Nic innego o czekającej mnie robocie nie wiedziałem. Mogłem jedynie mnożyć pytania, jak choćby te: za kogo podawać się będą moi klienci? Czy zostaną w Waszyngtonie, czy też wyprawią się gdzieś dalej? Znałem tylko ich nazwiska i z grubsza wiedziałem, jak wyglądają, bo w dokumentach znalazłem rysopisy. Michael Kerr był aktywnym członkiem bojówki w South Armagh w Ulsterze. Brał udział w czterech atakach na obiekty sił bezpieczeństwa, kiedy to koszary ostrzelano z moździerzy i w dziesięciu innych potyczkach. Został nawet ranny, ale zbiegł przez granicę na południe, czyli do Irlandii. Twarda sztuka.

To samo można powiedzieć o Morganie McGear. Po dziesięcioletniej praktyce ze zwykłego bojownika awansował do służby bezpieczeństwa PIRA. Miał trzydzieści jeden lat, a jego specjalność to demaskowanie i przesłuchiwanie konfidentów i informatorów, słowem wrogów. Przesłuchiwał skutecznie, ba! z lubością, pomagając sobie wiertarką Black & Deckera.

2

Śmigłowiec miał cywilne znaki, należał do pewnego prywatnego przedsiębiorstwa. Oczywiście stała za nim Firma, ale wiedzieli o tym tylko wtajemniczeni. Musiałem więc przejść przez rutynową kontrolę paszportową jako zamiejscowy hodowca amator, co to przylatuje do Irlandii, żeby rzucić okiem na stadninę pod Tipperary, którą właśnie kupił, albo jak jakiś biznesmen wpadający z Londynu do filii w Irlandii, żeby załatwić dotacje ze Wspólnego Rynku. Z Dublina zawsze bliżej do brukselskich pieniędzy niż z Anglii. Odprawa odbyła się sprawnie i wyszedłem z hali. Udałem się na postój taksówek. Oczekałem chwilę i skierowałem się do hali odlotów.

W recepcji Aer Lingus odebrałem bilet na lot do Londynu. Zarezerwowano go na nazwisko Nick Stamford. Kiedy wybiera się pseudo, czy jak kto woli nazwisko operacyjne, dobrze jest zachować własne, prawdziwe imię. Człowiek reaguje wtedy naturalniej, gdy ktoś się do niego zwróci. Warto też, żeby nazwisko za-

czynalo się na tę samą literę, co prawdziwe, bo podpis wychodzi swobodniej. Wymyśliłem sobie Stamforda na cześć słynnej bitwy o most w Stamfordzie w 1066 roku, kiedy to nasi przodkowie spuścili lanie uzurpatorom ze Skandynawii. Uwielbiam historię średniowiecza.

Po odebraniu biletu zaszedłem do kiosku, żeby kupić sobie torbę. Trzeba mieć podręczny bagaż, bo wszyscy podróżni mają. Bez niego odstawałbym od reszty pasażerów jak jaja od tyłka buldoga. Nigdy natomiast nie zabieram bagażu, który trzeba oddawać do luku. Człowiek uzależnia się wtedy od jakiegoś idioty, który walizkę z wywieszka „Tokio” wysyła do Buenos Aires. Nie brak takich. Jeśli nawet wsadzą walizkę na właściwy lot, to może się zdarzyć, że bagaż trafi na taśmę pięć minut wcześniej, wówczas ma się przerażane.

Kupiłem pastę do zębów i parę drobiazgów. Cały czas rozglądałem się dyskretnie za Euanem. Wiedziałem, że będzie tam, gdzie Kerr i McGear, chyba że już odlecieli.

W hali odlotów kłębił się taki tłum, jakby cała Irlandia wyprawiała się na wielkanocne wakacje do ciepłych krajów. Między Irlandczykami kręcili się „Airysze” - Amerykanie irlandzkiego pochodzenia. Gdy tylko dochrapią się emerytury jeżdżą do „starego kraju”. Sprawiają sobie koszulki z logo Guinnessa, także czapki baseballowe i parasole, kupują puszek z irlandzką wodą i małe sadzonki w doniczkach, żeby sobie w domu wyhodować prawdziwą irlandzką koniczynę. Tak kończą się wszystkie wyprawy do „korzeni”.

Ruch był duży, barmani nabijali kasę. Zlokalizowałem wreszcie Euana. Siedział w kawiarni usytuowanej w samym kącie hali odlotów. Czytał gazetę i popijał kawę z dużą śmietaną. Jego imię, Euan - najbardziej szkockie, jakie można sobie wyobrazić - zawsze mnie dziwiło, pasowało do niego jak pięść do nosa. Właściciel takiego imienia powinien nosić spódnice w kratkę i grać na kobzie. Tymczasem Euan urodził się w Bedfordzie, daleko od Szkocji, a jego rodzice też ze Szkocją nie mieli nic wspólnego. Może zainspirował ich jakiś film albo zachwycili się Walterem Scottem, i stąd szkockie imię pociechy. Pociecha wyrosła

na raczej niskiego faceta o dziobatym obliczu. Przedmiotem dumy Euana był ogromny motocykl, a jazda na nim prawdziwym wyzwaniem, bo stopami ledwie dotykał podnóżków.

Z kawiarnią sąsiadował bar. Sądząc z miejsca, które Euan wybrał, jego podopieczni tam się usadowili, ale nie zadałem sobie trudu, żeby to sprawdzić. Nie ma gwałtu, wskaże mi ich w odpowiedniej chwili.

Euan też mnie dostrzegł. Nawiązaliśmy więc kontakt wzrokowy, zaraz też przybrałem stosowną minę - uśmiech od ucha do ucha, jakbym właśnie zobaczył dawno nie widzianego kumpla - i zacząłem iść w jego stronę. Taką scenę trzeba rozegrać w sposób możliwie naturalny, ale z umiarem, żeby nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi. Ważne są szczegóły. Za błąd można drogo zapłacić, niekoniecznie zaraz, może później. Za błędy zawsze się płaci.

Euan uniósł się lekko z krzesła, przywołał uśmiech na twarz.

- Cześć, stary, kopę lat, co tu robisz? - przywitałem się.

Gestem zaprosił, żebym usiadł, był gospodarzem tego niby przypadkowego spotkania - styku, jak mówi się w naszym języku - do niego należała inicjatywa. Powinien zasugerować scenariusz na wypadek, gdyby ktoś nadstawiał ucha.

- Właśnie przyjechałem z Belfastu, żeby zobaczyć się z tobą, zanim odleczysz do Londynu, znamy się jeszcze ze szkoły.

- A gdzie twój? - zapytałem niby to o rodzinę.

- Za mną, po mojej lewej, bar - odparł krótko. - Ci dwaj pod telewizorem. Jeden w dzinsowej marynarce, drugi w zamszowej kurtce trzy czwarte. Ten z prawej to Kerr. Używa nazwiska Michael Lindsay. McGear występuje jako Morgan Ashdown.

- Już się odprawili?

- Tak. Bagaż tylko ręczny.

- Na dwa tygodnie w Waszyngtonie?

- Tak, ale są to torby lotnicze na ubrania.

- Podchodzili tylko do jednego stanowiska odpraw?

- Tak. Wygląda na to, że jednak lecą na Heathrow. Żadnych niespodzianek.

Kawiarnia była samoobsługowa. Podeszedłem do lady, wziąłem dwie kawy.

Poza naszymi Irlandczykami w barze urzędowali sami Amerykanie w koszulkach z reklamą Guinnessa i takimż trunkiem w kuflach. Nasi sączyli bu-dweisera prosto z butelek, oglądali mecz w telewizorze i kopcili jak stare lokomotywy. Gdyby tak palili w Londonderry czy innym ulsterskim mieście odczytałbym to jako sygnał, że czują się niepewnie, ale tu - przeciwnie. Na pokładach samolotów Aer Lingus obowiązuje ścisły zakaz palenia, nic więc dziwnego, że chłopcy dają sobie w płuca przed wejściem na pokład.

Sprawiali wrażenie turystów. Ogoleni, wypucowani, wygodne ubrania bez ostentacyjnej elegancji, z jaką obnoszą się podróżujący w interesach, ale też bez przesadnego luzu niedzielnych wycieczkowiczów. W sumie wtapiali się w tło, niczym nie zwracali uwagi - fachowcy! Gdyby okazywali choć trochę zdenerwowania albo w ogóle ściągali na siebie uwagę, uznałbym, że należą do drugiej albo nawet trzeciej ligi, a to oznaczałoby łatwą robotę. Jednak wszystko wskazywało, że to zawodnicy z ekstraklasy, a nie trampkarze, co to dopiero zaczynają zaczepki w Ulsterze.

W hali było gwarno. Mnóstwo rozwrzeszczanych dzieciaków, próbujących grać w berka, i mam pokrzykujących na mniejsze pociechy, które właśnie nauczyły się raczkować i chcą korzystać z nowo zdobytej umiejętności. Dla nas tym lepiej, bo można było rozmawiać w miarę swobodnie, a chciałem dowiedzieć się jak najwięcej.

Nie musiałem pytać, Euan sam zaczął.

- Namierzyłem McGeara w Derry. Był w przedstawicielstwie Sinn Féin przy Cable Street. Tam pewnie otrzymał instrukcje. Potem pojechał do Belfastu. Nasi próbowali założyć podsłuch, ale nie wyszło. Poza tym nic ciekawego. W nocy obaj trochę popili, a potem przyjechali tu, dwie godziny temu. Za bilety zapłacili kartami kredytowymi na fałszywe nazwiska, ale papiery mają w porządku. Odprawili się prosto do Waszyngtonu. Wzięli nawet wywieszki na bagaż na Virgin

Airlines. Są ostrożni.

- Mają hotel w Waszyngtonie?

- Nie wiem. Rezerwację na przelot robili w ostatniej chwili. Jest spory tłok, bo to Wielkanoc. W Waszyngtonie około dziesięciu hoteli współpracuje z Virgin Airlines, pewnie wzięli pokój w którymś z nich. Nie zdążyłem sprawdzić.

- To wszystko?

- Teraz to już twoja broszka. Jedno jest pewne, lecą do Waszyngtonu.

Euan swoje załatwił, jego rola się kończyła, moja - zaczynała. Tymczasem było jeszcze trochę czasu, żeby pogadać o tym i owym.

- Widujesz Keva, co z nim? - spytał.

- Widuję - przytaknąłem. - Urządził się w Waszyngtonie i nieźle tam funkcjonuje. Marsha i dzieci w porządku. Spotkałem się z nimi cztery miesiące temu. Kev poszedł do przodu, awansował. Kupili sobie dom w całkiem niezłej dzielnicy, duży, ale z plastiku, jak to w Ameryce.

Uśmiechnął się. Ze śmietanowym wąsem, bo właśnie pociągnął łyk kawy, wyglądał jak święty Mikołaj. Sam mieszkał stylowo. Wybudował sobie prawdziwy, pasterski kamienny dworek w walijskich górach na absolutnym odludziu. Do najbliższego sąsiada ma trzy kilometry z okładem.

- Marsha uwielbia Waszyngton, czuje się tam bezpiecznie - dodałem.

Marsha - druga żona Keva - była Amerykanką. Przenieśli się do Stanów, gdy Kev wyszedł z pułku. Dostał pracę w Agencji do Walki z Narkotykami. Kev ma troje dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa i dwie córeczki - Kelly i Aidę - z Marshą.

- A Pat Luzak? Też jest w Stanach?

- Chyba tak, ale to nic pewnego. Wiesz, jaki on jest. Opowiada ci, że właśnie zamierza budować dom, a już po chwili pochłania go zupełnie coś innego. Trudno za nim trafić.

Przez dwa lata Pat pracował jako ochroniarz u pewnego arabskiego dyplomaty w Waszyngtonie i chwalił sobie. Służbowe mieszkanie, kasa i w ogóle.

Później jednak dzieciaki, których pilnował, dorosły i przestał być potrzebny, a poza tym pracodawca został odwołany z placówki i wyjechał do Arabii Saudyjskiej. Pat został w Ameryce, niby to szukał zajęcia, ale nie musiał się śpieszyć. U Araba nieźle się dorobił.

Tak sobie gadaliśmy, ale Euan stale zerkał na naszych podopiecznych.

Właśnie zamówili kolejne piwa. Wyglądało na to, że jeszcze posiedzą. Wróciliśmy więc do rozmowy.

- A jak ci idzie budowa domu? - spytałem, bo chociaż wznosił mury dziesięć lat temu, to ciągle coś ulepszał, coś dodawał.

- Normalnie. Mam kłopoty z ogrzewaniem.

Euan postanowił sam założyć centralne. Minęło już sporo czasu, wydał dwa razy więcej, niż gdyby wziął fachowców i stale coś szwankowało.

- Ale poza tym wszystko w porządku. Powinieneś przyjechać. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie pójde na emeryturę. Muszę odbębnić jeszcze dwa lata, ale ani dnia dłużej.

- I co będziesz robił?

- Wszystko jedno, mogę zatrudnić się do oczyszczania miasta. Biorę emeryturę i pieprzę całą resztę.

- I myślisz, że ci uwierzę - zaśmiałem się. - Życ bez Firmy nie możesz. Narzekasz, ale, tak naprawdę, to świata poza nią nie widzisz. Pazurami będziesz się trzymał.

Euan zerknął na Irlandczyków i spojrzał na mnie. Dokładnie wiedziałem, o czym myśli.

- Masz rację. To gówniana robota.

- A co u ciebie? - spytał. - Co porabiałeś po naszej przygodzie na Bliskim Wschodzie?

- Najpierw byłem na wakacjach, a potem rozmaicie. Pracowałem tu i tam, ale nie za wiele i, szczerze mówiąc, dobrze mi było. Teraz czekam na wyniki śledztwa. Wiesz, w jakiej sprawie. Zapowiada się raczej nieciekawie, chyba że ta

robota coś zmieni.

Euan znów zerknął w stronę baru.

- Wygląda na to, że musisz poderwać tyłek, chłopcy szykują się do wyjścia.

- Zadzwoń do ciebie po powrocie. A ty kiedy wracasz?

- Nie wiem jeszcze, ale chyba za parę dni.

- No to będziemy w kontakcie. Związałeś się z jakąś kobietą?

- Ja? Oszalałeś! Zacząłem nawet chodzić z taką jedną od nas z Centrali, ale nie wyszło. Chciała zaprowadzić swoje porządki i w ogóle. Nie podobało mi się.

- No jasne, nie prasowała ci dzinsów do kantu?

- Jak by ci tu powiedzieć... wszystko robiła inaczej, nie po mojemu. - Wzruszył ramionami.

Trudno zadowolić kogoś chorobliwie wręcz pedantycznego, a taki był Euan. Gdy człowiek wstawał u niego z kanapy, to zaraz leciał poprawiać poduszki. Nawet skarpetki starannie składał przed włożeniem ich do szuflady. Drobne monety sortował według wielkości, a po rozwodzie to już zupełnie zwariował. Wszystko robił „naj”. Ten jego domek w Walii musi wyglądać jak bombonierka. Euan dorobił się zresztą ksywy - „Pan Habitat”. Nosił się też starannie. Zawsze w garniturze z kamizelką zapięty na ostatni guzik.

A teraz nie spuszczał Irlandczyków z oka. Pewnie już wstają, zabierają bagaże.

Na razie nie ruszałem się z miejsca. Euan da mi znać, kiedy nadejdzie właściwy moment.

- Są za tobą. Właśnie przechodzą obok kiosku.

Wstałem. Fajnie było zobaczyć Euana. Niewykluczone, że ta robotka niewiele mi pomoże, ale przynajmniej udało mi się pogadać z najlepszym przyjacielem. Podaliśmy sobie ręce, pożegnaliśmy się. Odwróciłem się, ruszając za obiektami. Szli przede mną, z torbami lotniczymi na ramionach.

Sala odlotów wyglądała jak wystawa irlandzkiej sztuki ludowej. Zacząłem

żałować, że nie kupiłem sobie czapeczki z reklamą Guinnessa.

Zastanawiałem się, jak to będzie w Waszyngtonie. Same niewiadome: ktoś może czekać na moich podopiecznych, żeby zabrać ich z lotniska. Mogą też wziąć taksówkę albo pojechać autobusem, a jeśli załatwili sobie hotel, to równie dobrze mogą się zabrać firmowym mikrobusem. A jeżeli zaczną krążyć po mieście? Owszem, trochę znałem Waszyngton, ale niezbyt dobrze.

Ciągle jeszcze dymili jak kominy. Stali przy barze, rozmawiając. Usiadłem nieopodal, rozłożyłem gazetę. McGear grzebał w kieszeni, szukał drobnych. Pójdzie albo do telefonu, albo do kiosku.

Wyciągnął banknot. Poprosił barmana o wymianę na drobne. Siedziałem jakieś siedem metrów od nich, dokładnie za ich plecami. Musieliby odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby mnie zobaczyć.

McGear ruszył w kierunku stoiska z owocami, ale się nie zatrzymał. A więc - telefon.

Wstałem, poszedłem do kiosku z gazetami, udając, że zainteresowała mnie półka z książkami.

McGear podniósł słuchawkę, wrzucił kilka funtowych monet do automatu, wykręcił numer. Numer miał zapisany na kartce, a więc nie znał go na pamięć. Spojrzałem na zegarek - 16.16. Elektroniczny wyświetlacz nadal nastawiony był na dwa czasy. Gdyby ktoś chciał sprawdzić, która w tej chwili jest godzina w Bagdadzie, to tylko u mnie. Przeliczyłem drobne. Miałem zaledwie dwa i pół funta. Za mało na to, co zamierzałem zrobić. Wyciągnąłem więc dwudziestkę i poprosiłem o gazetę. Kioskarka spojrzała na mnie z podziwem, jak na rzadki okaz.

McGear skończył rozmowę i wrócił do baru. Chłopcy nie spieszyli się. Zamówili po piwie, znów zapalili i zaczęli przeglądać gazety.

Odczekałem chwilę, po czym podszedłem do tego samego automatu, z którego telefonował McGear. Podniosłem słuchawkę, wrzuciłem parę monet i zanim wykręciłem znany sobie numer powiodłem wzrokiem po automacie. Potrzebny

mi był jego numer. Nie znalazłem. Nie szkodzi. Tyle że na odpowiedź będę musiał trochę poczekać.

Wybrałem numer w Londynie. W słuchawce rozległ się damski głos:

- Dzień dobry, proszę podać osobisty numer identyfikacyjny.

- Dwadzieścia cztery, dwadzieścia dwa. - Były to pierwsze cztery cyfry numeru mojej książeczki wojskowej. Towarzyszyły mi od szesnastego roku życia, kiedy to wstąpiłem do wojska. Na zawsze wryły mi się w pamięć.

- Numer telefonu?

- Niestety nie znam, ale to ten aparat, z którego dzwonię.

- Chwileczkę. - W słuchawce zaległa cisza. Patrzyłem z daleka na swoich podopiecznych i systematycznie wrzucałem monety do automatu, aby utrzymać połączenie. Telefonistka odezwała się po minucie.

- Jaki czas pana interesuje?

- Od szesnastej trzynaste do chwili obecnej.

- Rozumiem. Czy mam oddzwonić, czy sam się pan zgłosi?

- Zadzwoń. Za dziesięć minut.

- Doskonale. Do usłyszenia.

Tak to właśnie jest - wystarczy zadzwonić, wszystko jedno skąd, a specjaliści w Firmie zaraz sprawdzą interesujący cię telefon.

Po dziesięciu minutach znów wykręciłem numer w Londynie. Ponowna rutynowa weryfikacja i telefonistka podała informację:

- Siedemset trzy, sześćset sześćdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa trzydzieści w Waszyngtonie. Numer należy do korporacji taksówkowej Washington Flyer Taxis.

Zanotowałem, odłożyłem słuchawkę i natychmiast podniosłem ją ponownie.

- Dzień dobry, Washington Flyer Taxis, Gerry przy aparacie, czym mogę służyć?

- Proszę mi powiedzieć, czy panowie Ashdown albo Lindsay zamawiali taksówkę. Jestem z nimi umówiony i chcę sprawdzić, czy zdążę.

- O tak, proszę pana, właśnie przyjęliśmy zamówienie. Taksówka zabierze ich z lotniska, przylatują rejsem...

- Zamówili przejazd do hotelu czy tutaj do nas, do Tyson's Corner? - przerwałem, nie pozwalając mu dokończyć.

- Chwileczkę, sprawdzę... do hotelu Westin przy M Street.

- Rozumiem. Bardzo panu dziękuję.

Dobrze się zaczęło. Powinienem dotrzeć do hotelu Westin przed nimi. Wyglądało na to, że wszystko idzie zgodnie z planem. Chyba że faceci wyczuli pismo nosem i specjalnie kierują mnie na fałszywy trop.

Tymczasem pasażerów rejsu do Londynu zaproszono do zajmowania miejsc w samolocie. Moi chłopcy wyciągnęli karty pokładowe i ruszyli do wyjścia.

W czasie tego typu akcji zamawia się bilet ekstraklasy, a więc na miejsce z przodu samolotu. Z takim biletem ma się zawsze wybór. Można więc zająć swoje miejsce i spokojnie patrzeć na defiladę reszty pasażerów. Można też wsiąść na samym końcu, a wtedy ma się możliwość rzucenia okiem na wszystkich siedzących już w kabinie pasażerów. Po przybyciu na miejsce czeka się, przepuszcza obiekt przodem i rusza się w ślad za nim albo przeciwnie - wysiada się pierwszymu i podejmuje obserwację w hali przylotów.

Zrezygnowałem z zamówienia drinka. Nie miałem pojęcia, jak się sprawy rozwiną po przylocie, więc wolałem nie ryzykować. Mogłem zakładać, co prawda, że po tylu piwach moi chłopcy niczego nie będą planować, są na to za ostrożni i mają doświadczenie, jak to zawodowcy, ale mimo to wolałem nie ryzykować. Żadnego drinka.

A tymczasem rozmyślałem o Kevie i jego rodzinie. Marszę znałem od lat, Kev przedstawił mi ją na samym początku ich znajomości. Zostałem świadkiem na ślubie i ojcem chrzestnym Aidy - młodszej córki. Traktowałem tę rolę poważnie, a przynajmniej starałem się, choć nie bardzo wiedziałem, do czego taki tytuł zobowiązuje.

Pogodziłem się już, że własnych dzieci raczej nie będę miał. Zbyt wiele czasu

zajmowało mi latanie po świecie w różnych gównianych sprawach, jak choćby ta. Kev i Marsha też o tym wiedzieli i dokładali starań, abym czuł się u nich jak w rodzinie, a stanowili - moim zdaniem - wspinałą rodzinę, taką, o jakiej zawsze marzyłem. Pierwsze małżeństwo Kewowi nie wyszło, ale drugie było naprawdę udane. W DEA pracował głównie za biurkiem, rzadko ruszał się z Waszyngtonu, co mu bardzo odpowiadało. „Bo mam więcej czasu dla dzieci” - mawiał. Z Marshą doskonale się rozumieli i uzupełniali. Mieszkali pod Waszyngtonem, w Tyson's Corner. Stworzyli naprawdę znakomity dom i nie chodzi w tym przypadku o ściany i dach, ale cudowną, rodzinną atmosferę. Chętnie ich odwiedzałem, jednak po trzech, czterech dniach miałem dość, bo choć przepadałem za nimi, to z drugiej strony ogarnia mnie skrepowanie między ludźmi, którzy potrafią okazywać sobie tyle uczucia. Lepiej czuję się w towarzystwie Euana, bo pod tym względem jesteśmy podobni.

A Pat? Pat był młodszy od Keva, skończył ledwie czterdziestkę i ciągle jeszcze szalał. A miał warunki - przystojny blondyn z niebieskimi oczami, wygadany, inteligentny, dowcipny. Krótko mówiąc, miał te wszystkie cechy, których nie znoszę. Wysoki, blisko metr dziewięćdziesiąt, szedł przez życie lekko, łatwo i przyjemnie. Nie musiał ćwiczyć ani dbać o kondycję, a i tak mięśnie miał jak ze stali. Widywałem go w przeróżnych sytuacjach. Bywało, w czasie akcji sypialiśmy byle gdzie, w śpiworach. Pat wstawał rano i wyglądał jak spod igły. Jak on to robił - nie wiem. Jednego tylko los mu poskąpił, tyłka mianowicie. Stąd jego ksywa - Portek - bo na jego dupie każde portki luźno zwisały.

Kiedy zatrudnił się jako ochroniarz w Waszyngtonie poszedł z pośrednikiem oglądać mieszkania w Georgetown, historycznej i wielce szacownej dzielnicy. Pat opowiadał, że udali się z pośrednikiem w okolice uniwersytetu i tam zwrócił uwagę na tłumek przy pewnym budynku.

- Co tam jest? - zapytał.

- Jeden z najlepszych lokali w mieście. Pół Kongresu tu bywa.

- Ach tak, biorę!

Opowiadał mi, że stał się bywalcem, znał wszystkie kelnerki i tancerki po imieniu, jedną nawet poderwał. Być może to za jej sprawą wpadł, jak słyszałem, w narkotyki. Jeszcze w Kolumbii, gdzie razem służyliśmy, na własne oczy mogliśmy się przekonać, jakie spustoszenie wywołują. O ćpunach Pat mawiał wtedy, że to przegrani ludzie. Miałem nadzieję, że nie został jednym z nich.

3

Przeziadka na Heathrow przebiegła bez problemów. Moi podopieczni przeszli przez kontrolę, nikt ich nie zatrzymał, nikt szczególnie nie sprawdzał, pewnie Centrala dała sygnał, gdzie trzeba. Samolot do Waszyngtonu wystartował o czasie.

No i właśnie dolatywaliśmy do celu. Zapiąłem pas, podniosłem oparcie do pionu i popatrywałem na Amerykę z wyżyn swego siedzenia. Lubilem ten widok, zawsze mnie dobrze nastrajał. Ogrom tego kraju, jego olbrzymie przestrzenie zdają się zapewniać, że tu wszystko jest możliwe i wszystko dostępne. To bardzo zwodnicze wrażenie.

Zakładałem, że McGear z Kerrem pojedą prosto do hotelu, jak porządni turyści, i nie wytną mi żadnego numeru. Kiedy zdarzy mi się zgubić obiekt, któremu powinienem siedzieć na ogonie, wtedy zaczynam poszukiwania od najbardziej prawdopodobnych miejsc jego pobytu - domu, miejsca pracy, szkoły, do której chodzą jego dzieci, knajpy, w której bywa, sprawdzam nawet bukmachera, u którego zwykle obstawia wyścigi. Aby wszcząć takie poszukiwania, trzeba o obiekcie sporo wiedzieć. Musiałem więc jak najpilniej zdobyć jak najwięcej wiadomości o obu panach. Gdy bowiem pozna się obiekt można wyprzedzać jego posunięcia. Zaczyna się bowiem rozumieć, dlaczego ten ktoś postępuje tak, a nie inaczej. Niestety, na razie o moich podopiecznych wiedziałem niewiele, tyle tylko, że ich ulubionym gatunkiem piwa jest Budweiser i że pewnie marzą o papierosie.

Do hotelu powinienem dotrzeć przed nimi. Początek operacji nie nastęczał trudności. Pasażerowie z ekstraklasy, a taką podróżowałem, wychodzą z samolotu jako pierwsi. Kłopot może zacząć się później. Moi podopieczni mieli zamówioną taksówkę, a ja nie. Nie zrobiłem tego pomny pewnego przykrego doświadczenia, jakie spotkało mnie kiedyś na lotnisku w Warszawie. Okoliczności były podobne. Zamówiłem taksówkę przed przylotem. Na miejscu okazało się, że czekają dwie, a kierowcy właśnie ostro debatują, który weźmie którego, to znaczy który ma wziąć mnie, a który mojego podopiecznego. Od tego czasu po prostu idę na postój i wsiadam do pierwszej z brzegu taryfy.

Przeszedłem przez kontrolę paszportową i celną i znalazłem się w hali przylotów, gdzie kłębił się tłum oczekujących pasażerów. Nie zatrzymując się, wyszedłem z lotniska na zewnątrz. Słońce i upał, jak to w Waszyngtonie.

Na postoju zastałem sporą kolejkę pasażerów. Wyglądało na to, że trzeba czekać. Poszedłem więc na koniec podjazdu, zamachałem banknotem dwudziestodolarowym i po chwili jechałem już w kierunku stolicy. Lotnisko Dulles i jego otoczenie robią wrażenie wyjątkowo schludnych. Wokół rozlokowały się wielkie wytwórnie elektroniczne, wytwarzające najnowocześniejsze cuda techniki. Dzielnice mieszkaniowe zaczynają się dalej, jakieś dwadzieścia cztery kilometry od lotniska i ciągną się wzdłuż waszyngtońskiej obwodnicy. Osiedla są różne, domy też, z cegły, z drewna i z czego tam jeszcze. Ciągłe powstają nowe. Minęliśmy po drodze zjazd na Tyson's Corner. Wyciągnąłem szyję, licząc, że uda mi się zobaczyć dom Keva, ale nic z tego. Euana by to nie zdziwiło, bo według niego wszystkie te amerykańskie niby-rezydencje wyglądają jednakowo.

Wreszcie przejechaliśmy przez most na Potomacu i znaleźliśmy się w samym Waszyngtonie.

Westin przy M Street to typowy, amerykański hotel średniej - w dobrym tego słowa znaczeniu - klasy. Gładki, wychuchany, czysty i zupełnie bez charakteru. Wszedłem do środka i skierowałem się do baru na półpiętrze z widokiem na re-

cepcję i wejście - jedyne zresztą, jakie wiodło do hotelu. Zamówiłem podwójne espresso.

Zdażyłem wypić parę filiżanek, nim wreszcie Kerr z McGearem stanęli w drzwiach. Wyglądali na zrelaksowanych, na dużym luzie. Podeszli do recepcji. Zostawiłem pięć dolarów na stoliku i opuściłem bar.

Teraz trzeba zadziałać z wyczuciem. Obsługa była tu błyskawiczna i kompetentna. Recepcjonistka wystukała coś na komputerze, Kerr podał kartę kredytową. Oto dogodny moment dla mnie. Lepiej zdobyć potrzebną informację z marszu, niż skradać się za obiektem na piętra, nie mówiąc już o wspólnej podróży windą. Miałem nadzieję, że wezmą jeden pokój.

Tuż obok recepcji, jakieś dwa metry w prawo, znajdował się stojak z materiałami reklamowymi i informatorami polecającymi stołeczne atrakcje. Tam właśnie podszedłem. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Hotel duży, ruch spory. Stałem tyłem do moich podopiecznych, udając, że przeglądam informatory, ale z taką miną, żeby nikomu z obsługi nie przyszło do głowy, aby podejść i zaofiarować pomoc. Znajdowałem się na tyle blisko, że wyraźnie słyszałem, co mówi recepcjonistka.

- Pokój czterysta trzy, proszę panów. Winda jest po lewej za tymi kolumnami. Życzę miłego pobytu.

Teraz nie pozostawało mi nic innego, jak założyć podsłuch w ich pokoju, w tej zaś sprawie musiałem porozumieć się z Firmą. Z automatu wykręciłem znany numer.

- Tu dwadzieścia cztery, dwadzieścia dwa.

- O co chodzi?

- Potrzebny jest pokój w hotelu Westin, Waszyngton, ulica M. W grę wchodzi czterysta jeden, czterysta pięć, trzysta trzy lub pięćset trzy.

- Ma pan telefon kontaktowy?

- Nie, zadzwonię za pół godziny.

W czasie tych trzydziestu minut ktoś zarezerwuje jeden z podanych przeze

mnie pokoi w imieniu i na rachunek jakiegoś przedsiębiorstwa prywatnego, za którym kryła się Firma. Podałem numery pokoi, z których łatwo zainstalować podsłuch. Dwa sąsiadowały przez ścianę, jeden znajdował się piętro wyżej, a czwarty tuż pod pokojem obiektów. Tymczasem wróciłem na swoje stanowisko obserwacyjne na półpiętrze, układając w myślach listę potrzebnego sprzętu. Część zamontuję sam: mikrofon w ścianie, modem i kable do przekazu wizji. Te podłączę do telewizora w moim pokoju. Cała operacja potrwa więcej niż trzy godziny.

Bardziej skomplikowanym sprzętem zajmie się ekipa techników z ambasady. Ci potrafią zamienić zwykły hotelowy telewizor w najwyższej klasy nadajnik wizji, a z telefonu uczynić superprzebieżnik fonii.

Minęło pół godziny, zadzwoniłem ponownie. Chwilę trwała weryfikacja mojego numeru identyfikacyjnego, w tym czasie wysłuchałem fragmentu kwartetu skrzypcowego, a zaraz potem:

- Poleca się przerwać zadanie i wracać jeszcze dziś. Proszę potwierdzić odbiór.

Sądziłem, że się przesłyszałem. Wokół było gwarno. W hotelu trwała jakaś konferencja międzynarodowa i właśnie zaczęła się przerwa w obradach. Tłum uczestników zaczął oblegać stoiska z kawą.

- Proszę powtórzyć.

- Ma pan przerwać zadanie i wracać natychmiast.

Dziwne - pomyślałem, odkładając słuchawkę. Widziałem adnotację na dokumentach, poczynioną zielonym atramentem, a więc ręką samego wielkiego szefa. Mówiono mi, że sprawa jest pilna, a tu nagle szlaban. Owszem, zdarzało się i tak, ale nigdy w początkowej fazie operacji. Nie rozumiałem, o co chodzi. Przyszło mi tylko na myśl, iż może Simmonds doszedł do wniosku, że tych dwóch, którym deptałem po piętach, to jakieś zwykłe płotki i szkoda zachodu.

Koniec końców machnąłem ręką. Nie moja broszka. Ja zrobiłem, co do mnie należało. Zadzwoniłem do biura podróży z pytaniem o najbliższy lot. Mieli

jeszcze miejsca na rejs British Airways o dwudziestej pierwszej trzydziści pięć. Pozostawało więc dużo czasu. Mogę odwiedzić Keva i Marszę, zwłaszcza że to po drodze na lotnisko.

Wykręciłem numer, odezwał się Kev. Poznał mnie dopiero po chwili.

- Ach, to ty, Nick - wyraźnie się ucieszył. - Co u ciebie?

- Nic specjalnego, tyle tylko, że jestem w Waszyngtonie.

- No i co tu robisz, chociaż nie, lepiej nic nie mów, nie chcę wiedzieć. Odwiedzisz nas?

- Chętnie. Odlatuję dopiero wieczorem, więc mogę na chwilę wpaść.

- A mógłbyś już? Właśnie rozpocząłem pewną grę i ciekaw jestem twojego zdania. Zobacysz, naprawdę coś wyjątkowego.

- W porządku. Wezmę auto z hotelu i przyjeżdżam.

- Marsha się ucieszy, powinna zaraz wrócić z dziewczynkami. Pewnie przygotowuje nam coś dobrego, więc nic nie jedz na mieście. Potem podrzucę cię na lotnisko. Nie uwierzysz, na co tutaj wpadłem. Twoi przyjaciele za wielką wodą pracują jak mrówki.

- Nie mogę się doczekać.

- No to bierz tyłek w troki i... Nick, jeszcze jedno...

- O co chodzi?

- Aidzie należy się od ciebie prezent. Znow zapomniałeś o jej urodzinach, palancie.

Jadąc w stronę Tyson's Corner zastanawiałem się, o czym Kev tak bardzo chce ze mną pogadać. Przyjaciele za wielką wodą? Z tego, co wiedziałem Kev nie miał nic wspólnego z PIRA. Był w DEA, a nie w CIA. Zajmował się walką z narkotykami, a nie terroryzmem, a poza wszystkim jego praca miała charakter raczej administracyjny, nie operacyjny. Pomyślałem więc, że bardziej będzie chciał się czegoś dowiedzieć, niż coś mi przekazać. Ja zaś zanotowałem sobie w pamięci, żeby zapytać go o Luzaka. Może ma jego adres i telefon.

Jechałem obwodnicą. Do Tyson's Corner wiedzie specjalny zjazd, ale do Keva lepiej skręcić nieco wcześniej.

Przedmieścia Waszyngtonu, zwłaszcza wiosną, przywodzą na myśl Surrey. Po obu stronach drogi sztywne domy, przed każdym rodzinny, co najmniej siedmioosobowy wóz, a na ścianie garażu obowiązkowa tablica do koszykówki. Jechałem raczej na nosa, ale na ulicę Hunting Bear Path trafiłem bezbłędnie. Po drodze jeszcze zatrzymałem się przy niewielkim centrum handlowym pełnym butików i eleganckich delikatesów. Kupiłem słodczy dla Aidy i Kelly, choć Marsha pewnie nie pozwoli im nic z tego zjeść - że niby niezdrowo - no i nie zapomniałem o prezentach.

Naprzeciwko sklepów, po drugiej stronie drogi, rozciągał się ugór, na którym właśnie zaczynała się budowa kolejnego osiedla. Zwieziono już materiały i sprzęt.

Patrząc od sklepów w prawo, pośród imponujących rozmiarów domów, wzorowanych na stylu kolonialnym, można było zobaczyć tył willi Keva. Ruszyłem w tamtą stronę. Na podjeździe stał daihatsu combi, którym Marsha co-dziennie rano woziła dziewczynki do przedszkola, nie bacząc na ich protesty. Szczerze nie lubiły rano wstawać. Na tylnej półce leżał pluszowy kot, Garfield. Kev miał służbowego caprice'a classica z mnóstwem anten - do radia, krótkofalówki i telefonu. Caprice jest wyjątkowo szpetny, nic dziwnego, że jeżdżą nim wyłącznie urzędnicy państwowi. Kev zawsze wstawiał auto do garażu w obawie przed wandalami.

Stęskniłem się za Brownami, zwłaszcza za dziewczynkami, choć doskonale wiedziałem, że umęczą mnie jak zawsze. Skręciłem na podjazd, wyłączyłem silnik.

Nikt na mnie nie czekał. Nikogo też nie dostrzegłem przy sąsiednich domach, dość odległych zresztą, bo działki pod Waszyngtonem są spore. Cisza i pustka wcale mnie nie zdziwiły. Tak tu zwykle bywa o tej porze w dni powszednie. Dzieci w szkole, a rodzice w pracy - w Waszyngtonie.

Przygotowałem się na to, co mnie czeka. Dziewczynki zwykle rzucają się na mnie, nim jeszcze zdążę wysiąść z samochodu. Urządzają prawdziwe zasadzki. Ja udaję, że się boję i dąsam, a w rzeczywistości uwielbiam te powitania z małymi. Dziewczynki wiedzą, że dostaną prezenty. Tym razem Aidzie kupiłem śmieszny zegarek, a starszej - Kelly - zbiorek opowieści niesamowitych dla dzieci. Nie wspomnę ani słowem o przeszłych urodzinach Aidy licząc, że ona też już nie pamięta.

Wysiadłem, podszedłem pod drzwi. Żadnej zasadzki. Tymczasem.

Drzwi były lekko uchylone, niewiele, może na pięć centymetrów. Tu was mam, pomyślałem. Pewnie liczycie, że wejść jak ten fajtłapowaty inspektor Clouseau, a wy wtedy skoczycie na mnie z boku. Postanowiłem uprzędzić atak.

- Hej, jest tam kto?! - zawołałem, otwierając drzwi na oścież.

Teraz dziewczynki powinny wybiec z ukrycia.

Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Zmiana planów. Schowały się gdzieś w kącie i chichoczą, widząc moją minę.

Za frontowym pokojem rozciągał się spory, prostokątny hol, przez który przechodziło się do kuchni i pozostałych pomieszczeń. W kuchni grało radio, kobieca wokaliza odtwarzała sygnał stacji.

W dalszym ciągu dzieci ani śladu. Ruszyłem na palcach w stronę kuchni, a jednocześnie scenicznym szeptem zapowiadałem:

- Trzeba będzie wrócić do auta... nikogo nie ma... a szkoda, bo mam prezenty dla pewnych młodych dam.

Kuchnia znajdowała się po prawej, po lewej natomiast - salon. I te drzwi były uchylone. Nie patrzyłem w tamtą stronę, ale kątem oka coś zarejestrowałem, nie od razu wszakże, być może dlatego, iż mózg zbuntował się przeciwko temu, co sygnalizował wzrok. Nie chciał uwierzyć, że to możliwe.

Ale rzeczywistości nie da się wyłączyć. Poczułem, jak krew odpływa mi z głowy.

Obróciłem się z wolna, próbując ogarnąć cały obraz.

Kev leżał na boku z roztrzaskaną okrutnie czaszką. Utluczono go kijem baseballowym. Nie musiałem się domyślać. Zakrwawione narzędzie leżało obok niego. Był to ten sam kij, którym Kev chwalił się ostatnim razem - specjalny, z aluminium. Kev żartował, że miejscowi brutale ochrzczili ów nowy model mianem „wykrywacza kłamstw z Alabamy”.

Stałem w drzwiach jak wrośnięty, nie mogąc ruszyć się z miejsca.

Kurwa mać, nie żyje.

Co z Marshą i dziećmi?

Morderca jeszcze tu jest?

Muszę mieć broń.

Dla Keva nic już nie mogłem zrobić. Teraz potrzebny mi był jeden z jego pistoletów. Miał ich pięć, trzymał je w skrytkach poza zasięgiem dzieci, zawsze gotowe do użycia, z pełnym magazynkiem i pociskiem w komorze. Pracował przeciwko środowisku handlarzy narkotyków i miał powody, żeby się obawiać zemsty. Kurczę, pomyślałem, a jednak go dopadli.

Wolno, bardzo wolno, położyłem paczki z prezentami na podłodze. Cały czas nasłuchiwałem, czy gdzieś nie zaskrzypi podłoga, nie rozlegnie się podejrzany szmer.

W dużym salonie w kształcie prostokąta po obu stronach kominka stały regały na książki. Wiedziałem, gdzie Kev trzyma broń: druga półka od góry, po prawej stronie kominka, na grubym słowniku. Kładł pistolet tak, że wystarczyło tylko sięgnąć ręką i już był gotowy do strzału.

Tam właśnie skoczyłem, nieważne, czy w salonie ktoś się kryje. Bez broni i tak nic bym nie zdziałał.

Złapałem pistolet, obróciłem się na pięcie i błyskawicznie przyklęknąłem, celując przed siebie. Heckler & Koch USP kalibru 9 mm to fantastyczna broń, a egzemplarz, który miałem w ręce wyposażony był nawet w celownik laserowy. Pocisk trafia tam, gdzie pada promień lasera.

Odetchnąłem głęboko, próbując się uspokoić. Sprawdziłem zamek, odcią-

gnąłem go nieco do tyłu. W komorze błysnęła mosiężna łuska naboju.

Co dalej? Samochód zostawiłem na podjeździe. Jeśli ktoś zanotuje numer, to po pierwsze szlag trafi moją najnowszą tożsamość, a po drugie wyda się zadanie, które sprowadziło mnie do Ameryki, a to już sprawa polityczna. I znowu w szambie po uszy.

Raz jeszcze spojrzałem na Keva, upewniając się, czy nie daje oznak życia. Nie dawał żadnych. Mózg wypływał z rozbitej czaszki, zamiast twarzy - miazga. Zabójca miał tyle zimnej krwi albo był tak pewny siebie, że nie zadał sobie trudu ukrycia narzędzia zbrodni. Rzucił kij obok zwłok.

Krew rozlała się plamą na stoliku do kawy i na grubym dywanie, trysnęła też na przeszklone drzwi wiodące na werandę, ale - co dziwne - nie dostrzegłem żadnych śladów walki.

4

Muszę sprawdzić, co z Marshą i dziewczynkami. Niewykluczone, że sukinyś, który załatwił Keva związał je i zamknął w którymś z pomieszczeń albo jeszcze gorzej - trzyma je na muszce. Sprawdzić to w tej chwili najważniejsze.

Łatwo powiedzieć. Przeczesać domu w poszukiwaniu zabójcy wcale nie jest takie proste, jak pokazują w „Policjantach z Miami”. Tam - wiadomo - nieustraszony w roli detektywa Don Johnson podchodzi do drzwi, otwiera je kopniakiem, omiata pistoletem wewnątrz i sprawa załatwiona. Gdyby tak zrobił w życiu byłoby po zabawie. Prześwit drzwi to oczywisty cel dla zabójcy. Z miejsca otwiera ogień, gdy tylko w przejściu coś mignie. Krótko mówiąc, naśladowanie Dona Johnsona to samobójstwo.

Najpierw muszę sprawdzić najbliższe pomieszczenie, a więc kuchnię, zwłaszcza że dobiegał stamtąd dźwięk radia.

Stałem w salonie, dokładnie naprzeciw kuchennych drzwi. Trzymając się ściany, zacząłem iść w tamtą stronę. Przeszedłem nad ciałem Keva, nawet na

niego nie spojrzałem. Pistolet trzymałem przed sobą, palec na spuście. Zobacząc cel, otwieram ogień. Tam gdzie pada wzrok, padnie strzał. Pocisk idzie za wzrokiem.

W myślach podzieliłem salon na sektory. Pierwszy - od kanapy do telewizora, odcinek około sześciu metrów. Telewizor dawał jaką taką osłonę, stanąłem więc za nim, planując kolejny ruch. Spojrzałem w stronę drzwi na korytarz.

Pusto. Wyszedłem więc do holu. Zamknąłem salon. Podeszedłem do drzwi wiodących do kuchni. Klamka po prawej, zawiasów nie widać, a zatem drzwi otwierają się do środka. Przystanąłem, nasłuchując. Tylko bicie mojego serca, oddech i radio po drugiej stronie drzwi. Jak na ironię, reklamowano właśnie usługi firmy prawniczej specjalizującej się w uzyskiwaniu odszkodowań za wypadki przy pracy. „Płacisz tylko za wygrane sprawy!”

Nacisnąłem klamkę, pchnąłem lekko drzwi i odskoczyłem do tyłu. Zerkałem przez szparę, oczekując jakiejś reakcji.

Tylko radio i szum pralki - bęben w prawo, stop, bęben w lewo, stop.

Pchnąłem drzwi jeszcze raz, mocniej. Ostrożnie, przylegając do ściany, przesunąłem się bliżej, aby zajrzeć w głąb kuchni. Skradałem się powoli, przystając, stale nasłuchując i wypatrując, czy nie dzieje się coś podejrzanego. Byłem mniej więcej dwa metry od drzwi. Blisko, krótki dystans, trudny strzał, ale dałbym sobie radę. Gdybym tego nie umiał, to musiałbym wycofać się z branży. Kciukiem uruchomiłem celownik laserowy. Czerwona plamka wykwitła na kuchennej ścianie.

Przylgnąłem do framugi. Jeśli ktoś jest w kuchni, to zobaczy co najwyżej czubek głowy - niewielki cel w porównaniu z całym Donem Johnsonem.

Kuchenny blat przywodził na myśl program „Gotuj z nami”. Wszystko przygotowane do wrzucenia do garnka. Kev zapowiadał, że Marsha robi coś specjalnego, przypomniałem sobie, patrząc na obrane warzywa i przyprawione mięso. Zamknąłem za sobą drzwi. W radiu pobrzmiwała teraz muzyka rockowa, w pralce zaczął się cykl wirowania. Serce ścisnął mi widok wpółnakrytego stołu.

I Kev, i Marsha byli dość wymagający w stosunku do dziewczynek, jeśli idzie o drobne prace domowe. Nakrywanie stołu należało właśnie do nich, a skoro nie zdążyły dokończyć, to albo spotkał je taki sam los jak Keva, albo jakiś sukinsyn trzyma je na górze z pistoletem przyciśniętym do skroni.

Przeszedłem przez kuchnię ku drzwiom do garażu. Przekręciłem zamek, zabezpieczając się od tej strony. Woląłem, żeby nikt mnie nie zaskoczył od tyłu, gdy przejdę do pozostałych pomieszczeń na dole.

Nadal czułem ucisk w sercu. Niepokoilem się o Marszę i dziewczynki. Uwięziono je gdzieś tu, w domu, a może udało im się uciec? Musiałem to sprawdzić do końca, bez względu na niebezpieczeństwo, a bałem się jak diabli. Ten, który tak załatwił Keva jest zdolny do wszystkiego. Co zobaczę na górze?

Wróciłem do holu. Pistoletem mierzyłem w górę schodów, zabezpieczając się od tej strony. Na parterze pozostało już tylko jedno pomieszczenie do sprawdzenia - gabinet Keva. Przyłgnałem uchem do drzwi, nasłuchując. Cisza. Wszedłem więc do środka, tak samo ostrożnie jak do kuchni.

Gabinet był niewielki: biurko, krzesło, parę szafek na papiery i regały z książkami, między którymi zwykle stały oprawione w ramki fotografie Keva: Kev na polowaniu, Kev na bieżni - czas zatrzymany w kadrze. Wszystko to wałało się teraz bezładnie na podłodze, pokój wyglądał tak, jakby przeszło po nim tornado. Ocalał tylko komputer. Był włączony. Na ekranie monitora biegali żołnierze Jej Królewskiej Mości - funkcjonował screen saver, który kiedyś wysłałem Kewowi w prezencie, bo gra wydawała się zabawna. Drukarka i skaner stały na swoim miejscu, na podłodze przy biurku.

Wróciłem do holu, spojrzałem na schody. Wiodły najpierw na podest w połowie wysokości, a dopiero stamtąd na piętro. Ktoś, kto jest na górze zobaczy najpierw moje plecy, tymczasem ja będę miał przed oczami tylko ścianę.

Sprzyjała mi tylko jedna okoliczność - stopnie pokrywała gruba wykładzina tłumiąca kroki.

Wspinałem się powoli, cały czas nasłuchując.

Niczego nie mogłem wykluczać. Miałem wszystkiego trzynaście naboju w magazynku i czternasty w komorze. Tylko tyle przeciwko automatom, którymi mogą dysponować napastnicy kryjący się na górze. Rachunek sił co najmniej niekorzystny.

W kuchni pralka zwalniała obroty, w radiu nadal rock. Poza tym nic, cisza.

Adrenalina robi swoje. Mimo klimatyzacji pocilem się jak mysz. Lewą dłonią ocierałem krople spływające z czoła do oczu.

Stałem naprzeciwko pokoju dziewczynek. Z tego, co pamiętałem w środku powinno być piętrowe łóżko, poza tym pokój wyglądał jak największa w świecie świątynia Pocahontas: pościel we wzory z „Pocahontas”, plakaty z indiańską księżniczką i jej umiłowanym Johnem Smithem, także lalki i w ogóle wszystko.

Sięgnąłem do klamki, spodziewając się najgorszego.

Niepotrzebnie. Zobaczyłem zwykły ład i porządek. Na łóżkach misie i całe mnóstwo lalek. Pocahontas, oczywiście, ale także konkurencja z „Toy Story”.

Zawróciłem do holu. Z plecami przy ścianie zacząłem przesuwając się w stronę następnej sypialni, cały czas mierząc pistoletem przed siebie i rozważając sytuację. Co zrobię, gdy zabójca pojawi się w drzwiach, co zrobię, gdy napastnik...

Drzwi do sypialni Keva i Marshy były lekko uchylone, zbyt mało, by coś dojrzeć, ale zapach dobywający się z sypialni był nie taki. Zalatywało jakby czymś metalicznym i - wyraźniej - fekaliami.

Podszedłem bliżej i wtedy zobaczyłem Marshę. Klęczała przy łóżku, głowa i tors bezwładnie rozciągnięte na pościeli pośród wielkiej, krwawej plamy.

Nie wytrzymałem, osunąłem się na podłogę, nie wierzyłem własnym oczom, nie potrafiłem. Dlaczego, dlaczego ją też? To, że Keva - jeszcze mogłem pojąć, ale dlaczego ją też? Siły mnie opuściły, łzy nabiegły do oczu, nie byłem w stanie się ruszyć. Dziewczynki! Co z nimi? Były przecież w domu. Może gdzieś tu jeszcze są.

Zmusiłem się, żeby wstać i ruszyłem dalej, próbując nie patrzeć na Marszę.

Kolejne pomieszczenie do sprawdzenia to łazienka. Wszedłem do środka i

znów osunąłem się na podłogę. Ten widok obaliłby każdego.

Aida leżała między muszlą klozetową a wanną. Główka niemal całkowicie oderwana od ciała. Z koszmarnej rany ziała resztką tchawicy. Wokół pełno krwi i ja miałem krew na sobie, na rękach, na koszuli. Osuwając się na podłogę wylądowałem w czerwonej kałuży, czułem, jak krew przesiąka przez moje spodnie.

Z trudem powstrzymałem się od krzyku. Z miejsca na podłodze wyraźniej widziałem Marszę. Uda miała rozwarte, a bieliznę dziwnie nabrzmiałą i ten odór ludzkich odchodów. Defekacja nastąpiła w chwili śmierci. Brakowało mi oddechu, czułem, że opuszcza mnie świadomość. Oto dwie istoty, które kochałem, pozbawione życia w najokrutniejszy sposób.

Przetarłem oczy. Albo ruszę dalej, albo zapadnę w nicość bez przytomności. Na górze znajdowały się jeszcze dwa pomieszczenia, które trzeba sprawdzić: druga łazienka i nadbudówka nad garażem.

Nie wiem, jak się wydostałem z łazienki, ale zrobiłem to, a później bez sił siadłem na podeście schodów. Przed oczami miałem tylko krwawe ślady własnych stóp na wykładzinie.

Najpierw trzeba się opanować, zebrać myśli. Co dalej? Nie widziałem Kelly. Gdzie ona jest? Gdzie, u diabła, podziła się Kelly?

Trwało dobrą chwilę, nim oprzytomniałem na tyle, by przypomnieć sobie o skrytce. Kev liczył się z zagrożeniami, więc swego czasu zbudował kryjówkę i wpoił dziewczynkom, że w razie czego mają tam zaraz biec.

Z wolna odzyskiwałem jasność myśli. Jeśli Kelly zdołała uciec i się schowała, to przynajmniej na razie jest bezpieczna i nic jej nie grozi. Pójdę po nią za chwilę, tymczasem jest parę innych spraw do zrobienia.

Zszedłem na dół. W miejscu, gdzie przysiadłem na schodach została czerwona, krwawa plama. Krwawe smugi widniały też na ścianie, po której osunąłem się na podłogę. Pistolet cały czas trzymałem przed sobą, marząc, żeby pojawił się napastnik. Wręcz fizycznie chciałem spojrzeć w jego oczy.

W kuchni wyszukałem parę ścierek i worek na śmieci. Na tyle starannie, na ile

potrafiłem powycierałem klamki i ściany, tam gdzie mogłem zostawić ślady palców. Jeśli miano by ustalić moją tożsamość, to im później, tym lepiej, a najlepiej, gdy już będę w samolocie do Londynu.

Opanowałem się już na tyle, że mogłem spojrzeć na Keva. Nie było już przyjaciela, zostało tylko ciało.

Wróciłem na górę. Zmyłem krew z rąk i twarzy. Zajrzałem do szafy Keva, wybrałem parę dzinsów, czystą koszulę i adidasy. Niezbyt to wszystko pasowało, ale tymczasem musi wystarczyć. Swoje rzeczy wrzuciłem do worka na śmieci. Niczego nie wolno zostawić.

5

Wiedziałem, gdzie jest kryjówka, bo Kev kiedyś mi pokazał. Urządził ją w garażu pod schodami do komórki, w której trzymał drabiny. Nauczył dziewczynki, że kiedy krzyknie: „Disneyland!”, to zaraz mają się ukryć i nie wychodzić, aż zjawi się on lub Marsha.

Poszedłem więc do garażu. Miał cztery stanowiska. Zwykle stał tu tylko służbowy wóz, za którym Kev nie przepadał. „W środku luksus, wszystkie bajery, ale wygląda jak stara lodówka z lat sześćdziesiątych” - mawiał.

Omiotłem wnętrze pistoletem, wodząc czerwonym promieniem laserowego celownika po ścianach, na których wisiały rowery dziewczynek. Po kątach walały się sterty rupieci, co to jeszcze-mogą-się-przydać. Nieprawdopodobne, jak ludzie obrastają w przedmioty i jak niechętnie się z nimi rozstają.

Upewniłem się, że w garażu nie ma nikogo.

Podszedłem do schodów, pod którymi znajdowała się kryjówka.

- Kelly, to ja, Nick! - zawołałem z cicha. Pistolet cały czas trzymałem w pogotowiu. - Kelly, gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi.

- Skoro cię tu nie ma, to sobie pójdę - ostrzegłem, ale zaraz dodałem. - Jeszcze

się rozejrzę. Zakład, że cię znajdę. Jesteś w Disneylandzie! Zgadłem?

Kev urządził kryjówkę z pustych skrzynek i kartonów po lodówce, pralce i czym tam jeszcze. W środku zostawił trochę zabawek.

Wsunąłem broń za pas. Nie chciałem przestraszyć Kelly. Dość już dziś działa.

- Kelly, to ja, Nick - szepnąłem, przykładając usta do szpary między skrzyniami. - To ja. Kelly, nie bój się. Zaraz wsunę się do twojej kryjówki. Zobacysz najpierw rękę, a ja chciałbym zobaczyć uśmiech na pysiu - kusilem.

Przykucnąłem i zacząłem odsuwać skrzynie. Robiłem to powoli, starając się uniknąć hałasu, nie wiedziałem, jak Kelly zareaguje.

- Hej, jestem już blisko - wczółgiwałem się do środka. - Zaraz zobaczysz moją głowę.

Nabrałem haust powietrza w płuca i wsunąłem ramiona do wnętrza kryjówki. Podniosłem głowę, starałem się uśmiechać, choć nie wykluczałem najgorszego.

Wreszcie ją zobaczyłem. Była w szoku. Na twarzy malowało się przerażenie. Przycupnęła skulona w kącie, rączkami zasłaniała uszy, kołysała się rytmicznie do przodu i do tyłu.

- Cześć, Kelly - szepnąłem półgłosem.

Poznała mnie, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, ale nie zareagowała na powitanie. Milczała. Nadal kołysała się rytmicznie, patrząc na mnie przerażonym wzrokiem.

- Mama i tata nie mogą na razie przyjść. Tata powiedział, że masz pójść ze mną - wyjaśniłem swoją obecność. - No, chodź, idziemy - zachęcałem łagodnym tonem.

Żadnej reakcji. Wsunąłem się cały do środka, przycupnąłem obok Kelly. Szlochała cicho. Włosy przykleiły się jej do buzi. Oczy zaczerwienione i spuchnięte od łez. Delikatnie pogłaskałem ją po głowie, odgarnąłem kosmyki przyklejone do ust.

- Trzeba cię doprowadzić do porządku. Chodź, wyjdziemy stąd. - Delikatnie

pociągnąłem ją za rękę w stronę wyjścia.

Ubrana była w dżinsowe spodenki, bluzkę, ortalionową wiatrówkę i adidas. Jak na swoje siedem lat Kelly jest wyjątkowo szczupła, ale i stosunkowo wysoka. Włosy miała obcięte do ramion, nieco krócej niż wtedy, gdy widziałem ją ostatnio.

Wziąłem ją na ręce, przytuliłem mocno i zaniósłem do kuchni. Pamiętałem, że drzwi do salonu zostawiłem zamknięte, nie było więc niebezpieczeństwa, że zobaczy ciało Keva. Posadziłem ją na krześle przy stole.

- Mama z tatą musieli nagle wyjechać, poprosili mnie, żebym się tobą zajął do ich powrotu, rozumiesz?

Dygotała, drżała na całym ciele tak mocno, że nie wiedziałem, czy kiwa głową na tak, czy na nie i czy w ogóle zrozumiała, co do niej mówię.

Lubiłem ją nie tylko dlatego, że była córką mojego najlepszego przyjaciela, ale w ogóle bardzo mi to dziecko przypadło do gustu i zawsze miałem wrażenie, że ona też mnie lubi. W każdym razie zwykle rychło znajdowaliśmy wspólny język. Spojrzałem na nią ciepło. Kelly patrzyła tępo w stół.

Zajrzałem do lodówki, znalazłem dwa wielkanocne jaja z czekolady. Rozłupałem jedno na talerzu i postawiłem na stole. Wyłączyłem po drodze radio. Miałem dość rocka.

Gdy znów spojrzałem na Kelly pojąłem nagle, że wpakowałem się w niezłą kabałę. Nie mogłem dziewczynki tu zostawić, nie tylko dlatego, że tuż obok leżały ciepłe jeszcze zwłoki jej rodziców i siostry, ale także dlatego, że gdyby znalazła ją policja, to Kelly powiedziałyby bez żadnej złej woli: „Był tu Nick Stone”. Zaraz też policja ustaliłaby, że Nick Stone to jeden z kumpli ojca, a i z rysopisem też nie miałyby kłopotów. W zbiorach Keva znajdowało się sporo wspólnych zdjęć. I tak po nitce do kłębka rychło odkryliby, że Nick Stone i Nick Stamford to jedna i ta sama osoba, a wtedy rozpętałyby się afera na skalę międzynarodową, a ja na dobre utknąłbym w szambie. Nie miałem innego wyjścia, jak wziąć Kelly pod pachę i czym prędzej wiać.

Na krześle wisiała kurtka Keva.

- Otulę cię w to, będzie ci ciepło. - W cichości ducha liczyłem, że rzecz należąca do ojca pozwoli Kelly choć trochę otrząsnąć się z szoku.

W odpowiedzi usłyszałem tylko niewyraźny pomruk. Kelly zeszywniała z przerażenia, ale przynajmniej odwróciła wzrok w moją stronę. Gdyby coś takiego nastąpiło przed tym koszmarem wezwałbym Marshę na pomoc. Nie znam się na dzieciach i nie bardzo wiem, jak ukoić ich maleńkie dusze. Ale byłem skazany wyłącznie na siebie.

Ubrałem dziewczynkę w kurtkę Keva.

- Załóż, to taty. Nic mu nie powiemy, to będzie taka nasza tajemnica, dobrze?
- Wyczułem w kieszeni kurtki jakiś przedmiot. - O popatrz, jego komórka, zadzwonimy do niego później.

Wyrząłem przez okno. Na ulicy pusto, żadnego ruchu. Jedną ręką wziąłem worek na śmieci z moimi rzeczami, drugą chwyciłem maleńką dłoń Kelly. Już miałem ruszyć, kiedy zdałem sobie sprawę, że lepiej wyjść od kuchni.

- Poczekaj, coś mi się przypomniało. - Sprawdziłem, czy drzwi frontowe są zamknięte i jeszcze raz wyrząłem przez okno. Ulica nadal pusta. Kelly poruszała się jak automat. Wyszliśmy drzwiami kuchennymi. Nie zastanawiałem się już, czy na klamkach zostały jakieś ślady, czy nie. Najważniejsze to zniknąć stąd jak najszybciej, zanim zjawi się policja.

- Tu ci będzie wygodnie - zapewniałem, sadzając Kelly w samochodzie - i pilnuj kurtki tatusia. Trzeba będzie mu ją oddać.

Worek z rzeczami wrzuciłem do tyłu. Ruszyłem pilnując się, żeby nie jechać za szybko. Dopiero po paruset metrach uświadomiłem sobie, że o czymś jednak zapomniałem.

- Kelly, zapnij pasy. Potrafisz?

Nie zareagowała. Prowadząc jedną ręką drugą zapiąłem pas mojej małej pasażerki.

Cały czas starałem się ją zagadywać.

- Piękna pogoda, prawda? Zostaniesz ze mną przez parę dni. Trzeba poczekać, aż wszystko się ułoży.

Cisza, nawet cienia reakcji.

Zacząłem analizować sytuację i zastanawiać się, co zrobić. Najpierw - i to jest najważniejsze - trzeba zniknąć z okolicy. Skierowałem się do Tyson's Corner, do centrum handlowego, najlepiej bowiem wtopić się w tłum.

Uśmiechnąłem się do Kelly. Próbowałem stworzyć klimat zwykłej wycieczki z wujkiem Nickiem i znów żadnej reakcji. Kelly patrzyła tępym wzrokiem przed siebie, jakby zdawała sobie sprawę, że już nigdy nie zobaczy miejsc, w których upłynęło jej dzieciństwo.

- Już dobrze - wyciągnąłem rękę, chcąc pogłaskać ją po głowie.

Odsunęła się gwałtownie, jakbym ją sparzył.

Trudno, nic nie poradzę, może później. Trzeba czasu.

Wróciłem w myślach do rozmowy telefonicznej z Kevem, a ściślej do zdania, że ma dla mnie „wiadomości o przyjaciółach zza wielkiej wody”. Czyżby morderstwa dokonała PIRA? Ale dlaczego? A poza tym wydaje się nieprawdopodobne, aby faceci z PIRA zadziałali w taki sposób, zwłaszcza w Ameryce. Są zbyt cwani, aby gryźć rękę, która ich karmi.

Znaki zapytania mnożyły się jak grzyby po deszczu. Dlaczego nie było żadnych śladów walki, żadnego oporu? Kev miał w domu broń, także Marsha wiedziała, gdzie się znajduje, a jednak ani on, ani ona broni nie użyli. Dlaczego? Dlaczego drzwi frontowe zostawiono otwarte na oścież? To nie mógł być przypadek. Nie wchodzi się do cudzego domu ot tak sobie, wchodzi się na zaproszenie gospodarzy.

Poczułem, że ogarnia mnie wściekłość. Mógłbym pogodzić się z ich śmiercią, gdyby moi przyjaciele zginęli w wypadku samochodowym, bo to się zdarza. Mógłbym zrozumieć, gdyby zginęli od kuli. Owszem, byłoby mi żal, ale też kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Ale stało się inaczej. Nie potrafiłem wytłumaczyć sobie makabrycznego morderstwa, którego na nich dokonano. Nie

rozumiałem powodu tej masakry.

Zmobilizowałem całą siłę woli, aby myśleć racjonalnie. Nie mogło być mowy o zgłoszeniu się na policję i złożeniu wyjaśnień. Zadanie, które miałem do wykonania w Waszyngtonie zostało, co prawda, odwołane, ale przybyłem tu nielegalnie, pod fałszywym nazwiskiem i działałem bez wiedzy, nie mówiąc już o zgodzie miejscowych władz. Gdyby rzecz wyszła na jaw miejscowi odczytaliby to jako zamach na ich suwerenność, doszłoby do konfliktu między amerykańską a brytyjską służbą wywiadowczą i w ogóle do wielkiej afery politycznej. Oczywiście SIS oficjalnie odcięłaby się od wszystkiego i wyparła jakichkolwiek związków ze mną, bo na tym przecież polega cała koncepcja nielegalnych akcji, wykonywanych rękami agentów kategorii „K”. Byłem więc skazany na siebie, wyłącznie na siebie.

A na dodatek mam jeszcze jeden problem, pomyślałem, patrząc na swoją małą pasażerkę. Zbliżaliśmy się do Tyson's Corner. Wielkie centrum handlowe ciągało się po prawej stronie, po lewej stał motel należący do sieci Best Western. Uświadomiłem sobie, że najpierw muszę się pozbyć auta. Trzeba je gdzieś zostawić. Któryś z sąsiadów zapewne zapamiętał jeśli nie numery, to markę, i policja zacznie poszukiwania. Jeśli zaś zastanie mnie za kierownicą, to po sprawie. Trzeba więc znaleźć jakieś miejsce, możliwie ustronne, bez kamer, które zwykle strzegą wielkich parkingów w centrach handlowych.

Parking przy centrum handlowym ma jeszcze inne wady. To prawda, że w ciągu dnia, wśród masy samochodów, nikt niczego nie zauważy, ale nocą, gdy klienci pojedą do domów, na całym wielkim parkingu zostanie tylko to jedno auto i jest oczywiste, że pierwszy lepszy radiowóz zaraz zacznie sprawdzać, co i jak. Nie mogłem też zostawić samochodu w jednym z licznych w okolicy piętrowych parkingów publicznych, bo w tych przy wjeździe specjalne kamery rejestrują numer auta i kierowcę. Niebezpieczna także była dalsza jazda autostradą. Przy większości skrzyżowań zainstalowane są kamery do obserwacji ruchu. Jeśli moje auto namierzono przed domem Keva, a zapewne tak się stało, to przede wszyst-

kim policja zacznie zwracać uwagę na obrazy z kamer przy szosach i przeglądać dane z publicznych parkingów.

- Hej - zwróciłem się do Kelly - może masz ochotę na hamburgera? - Skrecałem w stronę restauracji Burger King na skraju centrum handlowego z myślą, żeby tam właśnie zostawić auto. - Mam pomysł, zaparkuję, coś zjemy, a potem pójdziemy sobie po zakupy, zgoda?

Jeść mi się nie chciało, nie przypuszczałem też, aby Kelly miała ochotę na cokolwiek, ale nie mogłem zostawić auta przy restauracji i z miejsca ruszyć do sklepów oddalonych o dobre kilkaset metrów. Nikt tak nie robi, a nam nade wszystko nie wolno niczym odróżniać się od reszty.

- A więc - wróciłem do rozmowy z Kelly - koktajl waniliowy czy truskawkowy?

Żadnej odpowiedzi.

- Ja biorę czekoladowy. Chcesz też?

Cisza. Wyłączyłem silnik. Ruch był spory, zajęte niemal wszystkie miejsca na parkingu. Ująłem Kelly delikatnie pod brodę, zmuszając, żeby na mnie spojrzała.

- A więc mleczny?

Kiwnęła nieznacznie głową. Nie umiałem stwierdzić, czy rzeczywiście lubiła ten koktajl, czy kiwnęła, żeby dać jej spokój. Ważne, że wreszcie zaczęła reagować.

Ciągnąłem więc swoje ple-ple.

- Zaczekaj tu, ja skoczę po koktajle, a potem pójdziemy po zakupy, cieszysz się?

Odwróciła twarz.

Udałem, że tego nie widzę. Wsiadłem z auta, zamykając drzwi na kluczyk. Poszedłem po napoje. Pistolet Keva ciągle miałem za pasem. Przed ciekawskimi spojrzeniami chroniła go kurtka Keva. Po chwili wróciłem do Kelly.

- Waniliowy czy czekoladowy?

Ani drgnęła.

- Weź czekoladowy, wiem, że lubisz.

Nie wyciągnęła ręki, postawiłem więc kubek na jej kolanach. Napój był zimny, szybko ujęła kubek w dłoń. Na to tylko czekałem.

- Chodź - zaproponowałem - pójdziemy coś kupić, wypijesz po drodze.

Wyciągnąłem Kelly z auta. Zamknąłem wóz, nie przejmując się śladami palców. I tak wszystkich nie usunę. Otworzyłem bagażnik. Do worka z pokrzwawionymi rzeczami wrzuciłem drobiazgi kupione na lotnisku w Shannon.

Zanosilo się na deszcz. Ruszyliśmy w stronę sklepów. Cały czas gadałem jak najęty, a dziewczynka milczała jak zaklęta, w ogóle nie zwracała na mnie uwagi.

Próbowałem wziąć ją za rękę, ale zaczęła się wrywać. Nie nalegałem, żeby nie robić widowiska.

W centrum handlowym, które wygląda jak wyspa pośród morza zaparkowanych wokół samochodów, chętny klient znajdzie wszystko. W pierwszym z brzegu sklepie kupiłem dzinsy i koszulę. Przebiorę się, gdy tylko wezmę prysznic i zmyję krew Aidy z nóg i pleców.

Z bankomatu pobrałem trzysta dolarów, maksimum tego, na co pozwalała moja karta kredytowa.

Wyszliśmy z centrum. Wziąłem małą za rękę i skierowałem się w stronę motelu.

6

Dopiero kiedy podeszliśmy bliżej spostrzegłem, że między hotelem a drogą wznosi się jeszcze rząd parterowych budynków biurowych i że do „Best Western” wchodzi się z drugiej strony, od innej ulicy. Postanowiłem pójść skrótem, między budynkami biurowymi. Najpierw jednak trzeba przejść przez szosę. Ruch był duży, a system dróg w Ameryce rzadko kiedy uwzględnia interesy pieszych. Zaczęliśmy przedzierać się przez jezdnię jak przez rwącą rzekę.

Ale udało się, wylądowaliśmy szczęśliwie na drugim brzegu akurat między

dwoma budynkami biurowymi. Niebo zrobiło się ołowiane, lada chwila zacznie lać. Za biurowcami ciągnął się pas ziemi niczyjej, a zaraz za nim rozpościerał się hotelowy parking. Po drodze do recepcji wbiłem sobie w pamięć typowy układ liter i cyfr rejestracji samochodowej stanu Wirginia - na parkingu stało całkiem sporo aut.

Hotel był dość duży, trzypiętrowy budynek z lanego betonu, o ścianach w kolorze złamanej żółci. Standard lat osiemdziesiątych. Zerknąłem przez szybę ku recepcji, upewniając się, czy nikt nie zwrócił na nas uwagi. Zwykle bowiem goście zajeżdżają najpierw pod recepcję, a dopiero potem odstawiają samochód na parking. My samochodu nie mieliśmy, musiałem więc udawać, że już zaparkowałem, a po bagaże pójdę, gdy dostaniemy pokój. Miałem nadzieję, że Kelly z niczym się nie wyrwie. Na wszelki wypadek jednak kazałem jej usiąść w holu.

- Poczekaj tu, a ja załatwię co trzeba. - Wcisnąłem jej w rękę jakiś folder, który leżał na stoliku. Nie zareagowała.

W recepcji królowała czterdziestoletnia na oko dama, najwyraźniej jednak przekonana, że dwudzieste piąte urodziny obchodziła ledwie wczoraj. Gapiała się w ekran wielkiego telewizora stojącego nieopodal ekspresu na kawę. Na ekranie zmagало się dwudziestu dwóch osiłków - footballistów - a recepcjonistka ani chybi ważyła w myślach, jak by to było z któryś z nich. Przywitałem się cały w uśmiechach.

- Chciałbym pokój na jedną dobę dla dwojga dorosłych z dzieckiem.

- Witam pana - odpowiedziała z uprzejmością prymuski hotelowej szkoły wdzięku. - Proszę wypełnić ten formularz - podsunęła mi kartę meldunkową.

- A ile państwo liczą za pokój? - zapytałem, nie przerywając wypełniania rubryk.

- Sześćdziesiąt cztery dolary plus podatek.

Uniosłem nieco brwi, manifestując zdziwienie, że aż tyle.

- Bardzo mi przykro, ale takie są stawki - odparła, jakby wstydząc się za firmę, która zdziera z klientów.

Kończąc wypełnianie rubryk karty hotelowej podałem recepcjonistce kartę kredytową. Dane do meldunku wziąłem z sufitu, jak setki razy w moim życiu. Bez zmruczenia oka wpisałem zmyślony numer samochodu, a w rubryce „osoby towarzyszące” - małżonkę i jedno dziecko.

- Pokój dwieście dwadzieścia cztery. - Recepcjonistka nie rzuciła nawet okiem na wypełniony formularz. - Gdzie pan zaparkował?

- Zaraz za rogiem. - Gestem dałem do zrozumienia, że zostawiłem auto na tyłach hotelu.

- Dwieście dwadzieścia cztery jest tu - pokazała na planie hotelu. - Z recepcji proszę pójść w prawo. Za automatami z colą i lodem są schody. Pierwsze piętro w lewo. Życzę miłego pobytu.

Nasz apartament mógłbym opisać w najdrobniejszych szczegółach bez oglądania: dwa podwójne łóżka, telewizor, dwa krzesła, szafa w ścianie, plastikowa boazeria udająca ciemny orzech. Żaden amerykański dekorator hotelowy nie wyobraża sobie innego wystroju.

Musiałem jak najszybciej zająć czymś Kelly, potrzebowałem bowiem pilnie zatelefonować. Włączyłem telewizor i przeskakiwałem przez kanały, szukając czegoś stosownego dla dzieci. Znalazłem jakiś film rysunkowy.

- O, znam to, świetny film, oglądamy?

Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami. Postawa i mina świadczyły dowodnie, że nie podoba jej się ani wycieczka ze mną, ani w ogóle nic, co oczywiście doskonale rozumiałem.

- Kelly - oznajmiłem - poczekasz tu na mnie. Muszę wyjść do telefonu. Przyniosę też coś do picia. Wolisz colę czy sprite'a? A może masz ochotę na coś słodkiego?

Nie zareagowała. Siedziała na łóżku bez słowa.

- Pamiętaj, żebyś nikomu nie otwierała, pod żadnym pozorem. Wrócę za pięć minut, mam klucz. Pooglądaj telewizję, OK?

I znów żadnej reakcji.

Wychodząc umieściłem na klamce wywieszkę z napisem „nie przeszkadzać”.

Postanowiłem skorzystać z automatu na ulicy, bo nie chciałem rozmawiać przy Kelly. Nie znam się na dzieciach, ale z własnego doświadczenia - też kiedyś byłem dzieckiem - wiem, że są piekielnie spostrzegawcze. Jako siedmiolatek doskonale znałem wszystkie domowe tajemnice. Po drodze sprawdziłem jeszcze, czy komórka Keva działa. Owszem, działała, ale nie znałem PIN-u, który trzeba wprowadzić, gdy chce się aparat uruchomić. Spróbowałem cztery zera - typowy układ fabryczny, potem sekwencję 1, 2, 3, 4. Nie udało się. Więcej nie próbowałem. Większość telefonów komórkowych ma dodatkowe zabezpieczenie przed niepowołanym użytkownikiem, funkcjonujące w ten sposób, że gdy po raz trzeci wprowadzi się niewłaściwy kod automat wyłącza aparat z sieci na dobre. Wsunąłem komórkę do kieszeni, postanawiając przy okazji zapytać Kelly, czy nie zna PIN-u ojca.

Przeszedłem przez parking ku ulicznej budce telefonicznej, układając w myślach, co i jak powiedzieć. Połączyłem się z Londynem.

Po zwykłych formalnościach wstępnych złożyłem następujący meldunek:

- Po zakończeniu zadania postanowiłem odwiedzić starego przyjaciela. Pracowaliśmy razem dziesięć lat temu, a obecnie mój przyjaciel jest zatrudniony w jednej z amerykańskich agend rządowych. - Następnie krótko, nie wdając się w szczegóły, opisałem sytuację, kończąc prośbą o pomoc.

Telefon to niezbyt pewny środek komunikacji, nigdy się nie wie, czy nie jest na podsłuchu. Oczywiście meldunek ubrałem w stosowną formę, odpowiednie kody przygotowane na takie właśnie okoliczności. Zabezpieczenie zerowe, jeśli podsłuchuje profesjonalista, ale amator raczej nie zorientowałby się w czym rzecz. Londyn nie musiał znać szczegółów. Wystarczył sygnał, że są kłopoty, że mam dziecko Keva i że trzeba mnie wyciągać z gówna, i to szybko.

- Zrozumiałam, przekażę. Pański numer kontaktowy?

- Brak. Zadzwoń ponownie za godzinę.

- W porządku, do usłyszenia.

Telefonistki z Firmy zawsze mnie zadziwiały. Miałem wrażenie, że nic i nigdy nie jest w stanie ich podniecić. Współczułem mężom.

Odkładając słuchawkę czułem się znacznie lepiej, niż przez ostatnie kilka godzin. Faceci z Firmy wszystko załatwią. Niewykluczone, że trzeba będzie odwołać się do wysokich szczebli w Waszyngtonie, żeby mnie wyciągnąć, ale to już nie moja sprawa. A zresztą zależeć im będzie nie tyle na mnie, ile na zatuszowaniu operacji, którą mi zlecono.

W każdym razie na mojej ulicy już wkrótce zaświeci słońce, taką miałem nadzieję. Na razie jednak wokół było szaro. Kiedy wychodziłem z hotelu siąpiło, a teraz rozpadało się na dobre. Jeśli wszystko pójdzie dobrze Firma postara się zabrać nas jeszcze dziś. Zaopiekują się Kelly, a mnie zapewne odeślą ciupasem do Londynu. Potem każą się stawić, nie dadzą ani kawy, ani biszkoptów, ale to już zupełnie inna historia.

Po drodze do hotelu wstąpiłem do sklepu przy stacji benzynowej. Lepiej nie zachodzić do restauracji.

- Zobacz, co przyniosłem. Kupiłem ci nawet parę książeczek.

Chciałem dać Kelly coś, co przyniosłoby jej ukojenie, zwłaszcza że nie potrafię, jak inni, wziąć dzieciaka w ramiona i przytulić.

Zabawki wystarczą, a poza tym zależało mi, żeby faceci z Firmy, gdy już po nas przyjadą, przekonali się, że zadbałem o małą i w ogóle. W końcu to dziecko kumpla.

Przygotowałem kąpiel.

- Rozbieraj się! - zawołałem z łazienki.

Nie odpowiedziała. Wróciłem więc do pokoju i sam zacząłem ją rozbierać. Zdjąłem bluzkę i koszulkę.

- Portki zdejmuj sama.

Miała, co prawda, ledwie siedem lat, ale jakoś się krępowiałem. Kelly jednak nie zrobiła najmniejszego ruchu, pokonałem więc swoje opory, rozebrałem dziewczynkę do końca i zaniósłem ją do łazienki. Na stacji benzynowej kupiłem

płyn do kąpieli i teraz piana z wanny aż się wylewała.

- Masz tu mydło i szampon. Umyć ci głowę?

I znów żadnej reakcji. Patrzyła tępo na mydło, które jej wcisnąłem w dłonie.

Nadszedł czas na rozmowę z Londynem. Tym razem nie musiałem wychodzić. Mogłem zadzwonić z pokoju. Kelly w łazience nic nie usłyszy.

- Pański PIN?

Podąłem.

- Jedną chwilę.

Sekundę później w słuchawce zaległa cisza. Połączenie zostało przerwane.

Dziwne. Ponowiłem operację. Z takim samym skutkiem.

Co się dzieje, do kurwy nędzy? Próbowałem przekonać samego siebie, że to tylko nieporozumienie, ale z wolna docierało do mnie, iż o nieporozumieniu nie ma mowy, że to świadoma decyzja Londynu. Pomyślałem o awarii na łączach - jeszcze szukałem cienia nadziei - ale już wiedziałem. Nie ma się co oszukiwać, trzeba działać.

- Telefon popsuty - oznajmiłem, wracając do łazienki. - Muszę zejść do automatu na ulicy. Czy potrzebujemy czegoś ze sklepu? A zresztą pójdziemy razem po zakupy, gdy tylko wrócę.

Kelly patrzyła pustym wzrokiem w kafelkową przestrzeń łazienki. Wyjąłem ją z wanny, owinałem ręcznikiem.

- Jesteś już dużą dziewczynką. Wytrzymaj się, uczesz - podałem jej grzebień - i ubierz. Masz być gotowa, gdy wrócę. Pójdziemy gdzieś na spacer. A tymczasem nie otwieraj nikomu, pamiętaj.

Nie odpowiedziała. Wyłączyłem telefon z sieci i wyszedłem.

Czułem się zdezorientowany. Nie zrobiłem przecież nic niestosownego, więc dlaczego mnie odcięli? Idąc do telefonu analizowałem możliwe przyczyny. Do-

szli do wniosku, że to ja dokonałem zabójstwa? Wystawiają mnie na odstrzał?

Jeszcze raz wykręciłem numer w Londynie, niepotrzebnie. Usiadłem na murku okalającym wejście do hotelu. Zacząłem się zastanawiać. Zostało mi tylko jedno wyjście - zadzwonić do ambasady. Zdawałem sobie sprawę, że to wbrew procedurze i w ogóle wszelkim zasadom, ale nie miałem wyboru. Sprawdziłem numer w informacji. Dodzwoniłem się za pierwszym razem.

- Ambasada Brytyjska, słucham?

- Chciałbym rozmawiać z oficerem łącznikowym służb specjalnych.

- Słucham?

- Proszę mnie połączyć z oficerem łącznikowym służb specjalnych.

- Przykro mi, w ambasadzie nie ma nikogo takiego.

- To proszę dać znać attaché wojskowemu, że jest telefon do oficera łącznikowego w sprawie najwyższej wagi.

- Proszę poczekać. - W słuchawce zabrzmiała dyskretna muzyka. Czekałem cierpliwie, a tymczasem kończył się kredyt na telefonicznej karcie magnetycznej.

Słuchawka wreszcie przemówiła.

- Słucham pana? - Głos damski, ale inny niż poprzednio.

- Chciałbym rozmawiać z oficerem łącznikowym.

- Nie mamy nikogo takiego w ambasadzie.

- Zatem niech będzie attaché wojskowy.

- Przykro mi, jest nieobecny. Zechce pan podać nazwisko i numer telefonu, spróbuję pana połączyć po powrocie attache.

- Niech pani posłucha, muszę się skontaktować z oficerem łącznikowym lub attaché wojskowym. Mam pilne wiadomości. Mój numer identyfikacyjny - dwadzieścia cztery, dwadzieścia dwa, ale wiadoma centrala nie przyjmuje połączenia. Tymczasem potrzebuję pomocy natychmiast. Niech pani przekaże komu trzeba, że jeśli nie uzyskam połączenia z Londynem ujawnię wszystko, całą sprawę. Zadzwonię za trzy godziny.

- Nie rozumiem, proszę powtórzyć.

- Ani myślę. Nagrała pani przecież tę rozmowę. Zainteresowani zrozumieją. Za trzy godziny będę się łączył z Londynem pod swoim numerem identyfikacyjnym. - Odłożyłem słuchawkę, bo nic więcej nie musiałem dodawać. Byłem pewien, że sygnał dotrze gdzie trzeba, tak jak byłem pewien, że oficer łącznikowy albo attache słuchali mojego wyводу na drugiej linii.

Z racji swojej profesji maczałem palce w brudnych sprawach, których ujawnienie spędziłoby sen z powiek wielu ważniaków. Z drugiej jednak strony, z tego właśnie powodu tacy jak ja są po prostu na odstrzał. Dlatego z góry założyłem, że w ostateczności użyję swojej wiedzy jako polisy ubezpieczeniowej. Byłbym naiwny myśląc inaczej i zasłużyłbym na swój los. Istnienie polisy dla nikogo zresztą nie było tajemnicą, choć oczywiście wszyscy zaprzeczali - my, czyli cała kategoria „K”, szefostwo i w ogóle cała SIS. A tak naprawdę to Firma stale próbowała dobrać się do naszych polis, czyli - mówiąc po ludzku - instrumentów szantażu, i w moim przekonaniu poświęcała na to tyle samo trudu i wysiłku, co na działalność operacyjną.

No i stało się. Postawiłem wszystko na tę ostatnią kartę, zdając sobie sprawę z konsekwencji. W Firmie jestem spalony i pewnie do końca życia będę musiał się pilnować, żeby ktoś nie zaszedł mnie od tyłu. Nawet jeśli zaszyję się na końcu świata - w takiej, powiedzmy, Sri Lance czy jeszcze dalej - spokoju nie zaznam. Firma ma długie ręce.

Niewykluczone, że faceci z SIS spróbują rozegrać sprawę inaczej. Pójdą do Amerykanów, uderzą się w piersi, przyznają, że owszem prowadzili operację, tylko zapomnieli o tym uprzedzić. Dostaną, oczywiście, po łapach, ale zaraz wskażą winnego śmierci Keva Browna. Tym winnym będę ja. Możliwe, ale nieprawdopodobne. Rzecz w tym, że chłopcy do końca nie znali zawartości mojej polisy, nie wiedzieli, ile mogą narobić szkód, ujawniając wszystko prasie. Musieli więc zakładać najgorszy scenariusz. Po pierwsze, że nie blefuję, a po drugie, że afera zatoczy szeroki krąg. Skoro tak, to nie mają wyboru. Krótko mówiąc, muszą mnie stąd zabrać do kraju, a tam wszystko się jakoś ułoży. Gdzieś się zaszyję,

przeczekam, może w końcu zapomną.

Kelly leżała na łóżku owinięta w ręcznik. Program dla dzieci właśnie się skończył i zaczęły się wiadomości, na które zresztą nie zwracałem specjalnej uwagi. Bardziej mi zależało, żeby wyrwać Kelly z tego odrętwienia. Nie widziałem przyjaciół wokół siebie, więc dobrze byłoby mieć przynajmniej ją po swojej stronie, choć to tylko dziecko.

- Musimy jeszcze trochę poczekać - oznajmiłem - może dwie, może trzy godziny, a później... - nie dokończyłem, bo w tym momencie dotarła do mnie groza słów: „...brutalne morderstwo i porwanie...” Beznamiętny głos relacjonował wydarzenia. Niemal przylepiłem się do ekranu.

Reporterka, Murzynka po trzydziestce, stała na tle domu Keva. Na drugim planie widać było daihatsu Marshy, tłum policjantów i dwie karetki pogotowia z włączonymi kogutami.

Złapałem pilota, wyłączyłem telewizor.

- Kelly, ty niegrzeczna dziewczynko, nie umyłaś szyi. Biegnij do łazienki. Natychmiast! - Niemal siłą zaciągnąłem ją do wanny. - Nie wychodź, aż ci powiem. - Zamknąłem za sobą drzwi.

Włączyłem telewizor, ścisząc dźwięk, żeby Kelly nie słyszała.

- ...sąsiedzi widzieli mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat. Biały, wzrost około metra osiemdziesięciu, średnia budowa ciała, włosy krótkie, kasztanowe. Zajechał pod dom białym dodge'm z numerami stanu Wirginia, mniej więcej za piętnaście trzecia. O dalsze szczegóły poprosiliśmy porucznika Daviesa z komendy policji powiatu Fairfax...

Kamera najechała na łysawego faceta, stojącego obok reporterki.

- Tak, mężczyznę o takim rysopisie widziano na miejscu przestępstwa. Chciałbym jednocześnie zaapelować do wszystkich, którzy nas słuchają i którzy mogli widzieć coś podejrzanego, o zgłaszanie się do nas. Przede wszystkim chcemy ustalić miejsce pobytu córki państwa Brownów, siedmioletniej Kelly.

Realizator pokazał zdjęcie z rodzinnego albumu Brownów, przedstawiające

Aidę i Kelly. Głos zza kadru podał rysopis. Po chwili na ekranie ukazało się studio z dwojgiem prowadzących wiadomości.

- Policja podejrzewa, iż zabójstwo ma związek z narkotykami. Kevin Brown - dodał prezenter - był pracownikiem DEA.

W krótkim komentarzu uzupełniającym wiadomość podano kilka danych o problemie narkomanii na terenie Waszyngtonu.

Nie słyszałem plusku wody w łazience, a więc Kelly skończyła mycie i lada moment wróci do pokoju. Przełączyłem kanał, znalazłem coś dla dzieci, poszedłem pomóc Kelly.

Plusku nie słyszałem z tej prostej przyczyny, że Kelly wcale się nie zanurzyła. Wcisnęła się pod umywalkę. Siedziała tak samo skulona jak w kryjówece, z nogami pod brodą. Rączkami zasłaniała uszy, jakby broniąc się przed tym, co mówiono w telewizorze.

Chciałem ją podnieść, przytulić, pocieszyć, tyle że nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Postanowiłem więc udać, że nic takiego się nie stało.

- Hej, mała, a co ty robisz na podłodze?

Oczy miała zamknięte, z całej siły zaciskała powieki, marszcząc buzię. Wziąłem ją w ramiona, zaniósłem na łóżko.

- Oj, chyba jesteś śpiąca. Pooglądasz jeszcze telewizję czy pójdziesz spać? - Zdawałem sobie sprawę, że chrzańię głupoty, ale naprawdę nic innego nie przychodziło mi do głowy i nie miałem pojęcia, co powinienem zrobić. - Ubierzemy się teraz - odwinąłem ją z ręcznika - i uczeszymy. - Najprostsze słowa przychodziły mi z trudem.

Siedziała w milczeniu, nie okazując żadnej reakcji. W końcu jednak, gdy zacząłem zakładać jej koszulkę, odezwała się cicho:

- Mama i tatuś umarli, prawda?

- Co też przychodzi ci do głowy? - Zająłem się ubraniem. - Mówiłem ci, że poprosili mnie, abym się tobą zajął przez jakiś czas.

- A więc wrócę do nich?

- Oczywiście! - Nie potrafiłem się zdobyć na to, żeby jej powiedzieć całą prawdę. - Musieli tylko gdzieś nagle wyjechać. Spóźniłem się trochę i dlatego ich nie zastałem, ale, jak ci mówiłem, prosili mnie, żebym się tobą zaopiekował. Gdy tylko wrócą zaraz cię do nich odwiozę. Sądziłem, że wyjeżdżają na krótko, ale widać coś ich zatrzymało.

- A dlaczego mnie nie zabrali? - zapytała po chwili ze smutkiem w głosie.

Unikałem jej wzroku, skupiając się na częściach garderoby.

- Ależ chcieli cię zabrać, tylko że wynikło nieporozumienie i dlatego zadzwonili po mnie, żebym się tobą zajął.

- To tak jak w tym filmie „Sama w domu”?

Wreszcie się uśmiechnęła. Widziałem ten film, wyświetlali go w samolocie, żadna rewelacja, ale miał parę niezłych momentów.

- Właśnie. - Zająłem się guzikami.

- A kiedy wrócą?

Nie da się uniknąć odpowiedzi, bo jak długo można zapinać guziki.

- Jeszcze nie teraz, sprawy się przedłużają, ale gdy z nimi ostatnio rozmawiałem kazali powiedzieć, że bardzo, bardzo cię kochają, tęsknią i żebyś była grzeczna, i we wszystkim mnie słuchała.

Tym razem uśmiechnęła się promiennie, wierząc w to, co mówiłem, ja zaś zastanawiałem się, czy kiedykolwiek zbiorę tyle sił, żeby jej powiedzieć prawdę.

- Musisz mnie słuchać, Kelly, robić wszystko, co ci powiem.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową.

Miałem do czynienia z dzieckiem spragnionym ciepła i miłości, a zdobyłem się tylko na niezbyt szczery uśmiech.

- Pamiętaj, rodzice kazali mi się tobą zająć, a teraz pooglądamy telewizję.

Wyświetlali akurat kreskówkę „Power Rangers”. Pogrążyłem się we własnych myślach. W wiadomościach pokazali zdjęcie Kelly. Recepcjonistka, ekspedientka w sklepie i jeszcze kilka osób może ją rozpoznać. Ambasada skontaktowała się już pewnie z Londynem. A i tak wiadomo, co się stało, bo wszystkie

kanały dudniły o sprawie, nie ma więc sensu czekać te trzy godziny.

Musiałem znów wyjść, bo nie chciałem, żeby Kelly była świadkiem rozmowy. Wziąłem kurtkę Keva, do kieszeni wsunąłem pilota, aby przypadkiem nie przełączyła telewizora na inny kanał, i oznajmiłem, że wychodzę.

Zszedłem na dół i najpierw się rozejrzałem. Przed recepcją stały dwa auta, drzwi otwarte na oścież, jakby pasażerowie wysiedli w pośpiechu. Przyjrzałem się dokładniej: biały ford taunus i niebieski caprice. Poza zwykłymi antenami radiowymi miały jeszcze dodatkowe, półmetrowe anteny na tylnych błotnikach.

Nie było co się zastanawiać, obróciłem się na pięcie i jak szalony skoczyłem ku drabinie przeciwpożarowej na tyłach budynku.

8

Nawet się nie zastanawiałem, jak trafili na nasz trop. Trafili i już. Biegając rozważałem możliwości. Najprościej byłoby zostawić Kelly na miejscu, niech ją znajdą. Wisiała mi u szyi jak młyński kamień, bez niej będzie łatwiej wydostać się z matni.

Ale instynkt podpowiadał co innego, że jednak nie powinienem jej opuszczać. Wpadłem do pokoju.

- Kelly, musimy wychodzić, natychmiast. Ruszaj się.

Właśnie zasypiała. Spojrzała na mnie wystraszona. Przeraził ją nagły ton.

- Wychodzimy.

Wziąłem ją na ręce, w biegu złapałem kurtkę, buciki wcisnąłem do kieszeni i ruszyłem do drzwi. Zakwiliła cicho ze strachu, a może w proteście.

- Trzymaj się mocno.

Wybiegłem na korytarz, drzwi zatrzasnęły się automatycznie. Będą musieli je wyłamać, kiedy za chwilę zjawią się na piętrze. Pobiegnę w przeciwną stronę, ku wyjściu awaryjnemu.

Kelly zaczęła płakać. Nie było czasu na dyplomację. Obróciłem ją ku sobie i

patrzając jej prosto w oczy, powiedziałem:

- Obcy ludzie chcą cię zabrać, właśnie przyszli, rozumiesz? - Zdawałem sobie sprawę, że to wystraszy ją jeszcze bardziej, ale trudno. - Chcę cię uratować. Nic teraz nie mów i rób, co ci każę. - Ująłem jej twarz w obie dłonie. - Kelly, rozumiesz? A teraz bądź cicho i mocno się trzymaj.

Zbiegłem po schodach i wyszedłem na zewnątrz. Przed sobą miałem czterdzieści metrów zapuszczonego trawnika czy ugoru, za którym biegło równie zapuszczone ogrodzenie z siatki, dość wysokie, na oko metr osiemdziesiąt. Za ogrodzeniem rozciągał się teren należący do parterowych biurowców, pełniący funkcję wysypiska. Pojemniki były przepełnione, wokół walały się śmieci.

Przez trawnik wiodła wydeptana ścieżka. Kończyła się przy siatce, która w tym miejscu zwisała nieco niżej. Najwyraźniej nie brakowało tu amatorów skrótów.

Kelly wisiała na mnie jak plecak, tyle że nie z tyłu, lecz z przodu. Z tak usytuowanym bagażem trudno biec, wziąłem więc Kelly na barana. Zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Cisza, żadnych krzyków, żadnych odgłosów wyważanych drzwi. Instynkt, jak u ściganego zwierzęcia, podpowiadał, żeby puścić się biegiem do wyrwy w ogrodzeniu, ale w takich sytuacjach nie wolno działać impulsywnie. Ucieczka, jeśli ma się udać, musi być przemyślana. Najkrótsza droga niekoniecznie jest najlepsza.

Na razie przykucnąłem, nie uprzedzając zresztą mojej pasażerki. Na czworakach wyjrzałem ostrożnie zza węgła, badając sytuację.

Oba auta stały teraz obok automatu z colą, przy klatce schodowej. Sukinsyny dotarły na górę. Nie wiadomo tylko ilu.

Są pewnie w naszym pokoju, ale stamtąd nie widać trawnika na zapleczu i to była szansa. Zacząłem biec po rozmięklej od deszczu ziemi. Kierowałem się prosto ku przejściu w ogrodzeniu.

Kelly ciążyła na plecach. Pochyliłem się do przodu, tak jak się to robi biegnąc z plecakiem. Mała pojękiwała w rytm kroków.

Dobiegliśmy do płotu, gdy usłyszałem pisk opon i ryk silników na wysokich obrotach. Nawet się nie obejrzałem, bo i po co. Wydłużyłem tylko krok. Po chwili przedostaliśmy się na drugą stronę. Nie widziałem przejścia między budynkami, z którego korzystaliśmy, dochodząc do hotelu przed kilkoma godzinami. Ruszyłem w lewo, licząc, że gdzieś w końcu znajdzie się ścieżka i wyjdziemy na główną drogę.

Wokół biurowców nawierzchnia była wybetonowana, mogłem więc przyspieszyć, ale Kelly zaczęła się zsuwać.

- Trzymaj się mocniej! - krzyknąłem.

Nie miała już chyba siły. Lewą ręką złapałem ją za obie dłonie i pociągnąłem w dół, jak szelki plecaka. Kelly przyłgnęła mocno do moich pleców, mogłem więc biec szybciej, a to liczyło się przede wszystkim. Prześladowcy zaraz się pojawią. Gdzie, u diabła, jest to przejście?

Niewyszkolony i niedoświadczony człowiek, uciekając przed pogonią, chce odskoczyć możliwie jak najdalej od prześladowców i na ogół biegnie w prostej linii. Tymczasem skuteczna ucieczka wymaga zupełnie innej taktyki. Trzeba kluczyć. Im więcej zwrotów i zakrętów, tym lepiej, zwłaszcza w mieście. Ściągający, gdy dotrze do skrzyżowania, musi się zastanowić, którą z dróg wybrać, to zaś opóźnia pościg. Jeśli dotrę do przejścia między budynkami i przedostanę się na drugą stronę nie będę biegł prosto. Wzorem zająca skręcę w prawo lub lewo, a potem znów uskoczę w bok.

Znalazło się przejście. Nie czas na myślenie. Za plecami słyszałem krzyki. Pościg był niedaleko, sto, może sto pięćdziesiąt metrów. Zarejestrowałem też pisk opon. Chcą mnie zająć z drugiej strony, wziąć w dwa ognie. Zawodowcy.

Traciłem oddech. Mała ciążyła mi coraz bardziej. W ustach czułem suchość, a jednocześnie oblewał mnie pot. Kelly trzymała się kurczowo, jej broda wpijała mi się w kark. Cierpiała, bolało ją, zaczęła płakać.

- Nick, już nie mogę. Zatrzymaj się, Nick.

Nie słuchałem. Wybiegłem właśnie z przejścia między parterowymi budyn-

kami. Tu zaczynał się zupełnie inny świat. Przed sobą miałem wewnętrzną drogę ciągnącą się równoległe do budynków, za nią trawiaste zbocze, za którym biegła szosa. Po jej drugiej stronie rozciągał się parking centrum handlowego. Szum pojazdów na szosie zagłuszał jęki Kelly.auta pędziły, choć nawierzchnia była mokra od deszczu. Przystanąłem.

Z pewnością budziliśmy zdziwienie. Zdyszany facet z bosym, rozszlochany dzieckiem na plecach, zsuwający się po mokrej trawie ku szosie to raczej niezwykły widok. Przeszedłem przez barierkę na poboczu i zaczęła się zabawa w berka na szosie w godzinie szczytu. Niektórzy obsobaczali nas klaksonami, inni hamowali gwałtownie, ryzykując poślizg. A wszyscy, jak podejrzewam, ślali ciężkie joby pod moim adresem. Ich sprawa, ja walczyłem o życie.

Kelly piszczała ze strachu. Ruch na szosie przerażał ją jeszcze bardziej niż szalona ucieczka. Kładziono jej przecież do głowy, że nigdy, ale to nigdy nie wolno wychodzić na ulicę, nie mówiąc już o autostradzie, a tu znalazła się w samym środku piekła pełnego ciężarówek, pędzących aut, pisku opon, huku silników i kakofonii klaksonów.

Ale udało się. Ledwo zipałem, gdy dotarliśmy wreszcie na drugą stronę. Kelly ciążyła coraz bardziej, a to nie koniec. Trzeba przebiec jeszcze wiele metrów, nim znajdzie się jakieś schronienie. Kluczyłem między samochodami na parkingu, wybierałem co większe vany i pikapy, żeby się skryć przed pościgiem.

Po prawej, na samym skraju centrum handlowego, reklamował się CompUSA - salon wielkiej firmy komputerowej. Tam właśnie chciałem dobiec, licząc, że narażony sklep musi mieć co najmniej dwa wejścia - frontowe i od zaplecza, a to pozwoli zmylić pogoń.

Wiedziałem o tym z doświadczenia, z czasów służby w Ulsterze, kiedy to sam występowałem w roli ścigającego. Gdy facet, którego tropiliśmy szukał ucieczki w pasażu handlowym, wtedy jeden ze ścigających szedł jego śladem, a reszta błyskawicznie obstawiała wszystkie wyjścia, co wcale nie było łatwe. Jeśli facet znał się na rzeczy wiedział, jak zmylić pogoń. Nie wychodził od razu, kluczył po

piętrach, mieszał się z tłumem, a na koniec wydostawał się z matni, korzystając z podziemnego parkingu. Jeśli mam do czynienia z zawodowcami, a pewnie tak jest, to będą chcieli zablokować wyjścia z CompUSA, gdy tylko zobaczą, że tam wchodzę. Musiałem więc działać szybko.

Weszliśmy do środka dużego, nawet bardzo dużego sklepu: dziesiątki półek z komputerami, częściami, akcesoriami i programami - prawdziwa mekka dla pasjonatów. Nie wziąłem wózka. Dyszałem ciężko. Mała na plecach zanosila się płaczem. Było tłumnie, ludzie gapili się na nas.

- Puść mnie, chcę zejść! - wołała Kelly.

- Jeszcze nie, najpierw musimy stąd wyjść.

Zerknąłem do tyłu. Dwóch osiłków biegło przez parking. Ubrani po cywilnemu, jak to tajniacy. Nie wątpiłem, że kierują się w stronę sklepu i że zamierzają obsadzić wyjścia. Musiałem zrobić wszystko, by ich zmylić.

Wbiegłem między półki, skręciłem w prawo i trzymając się ściany podążyłem w przeciwną do wejścia stronę licząc, że trafię na wyjście służbowe. Kurwa mać, niczego takiego nie widać. Czyżby salon miał tylko jedne drzwi? Zawrócić nie mogłem. Jeśli nie znajdę wyjścia będę krążył między półkami do usranej śmierci.

Jeden z ekspedientów spojrzał na mnie podejrzliwie i gdzieś pokłusował, pewnie po kierownika lub ochronę. I rzeczywiście, już po sekundzie zjawilo się dwóch takich z odznakami na koszulach.

- W czym możemy pomóc? - spytali uprzejmie, bo nie wypadalo inaczej.

Nie miałem czasu na pogawędki. Znów puściłem się biegiem w stronę zaplecza, rozpaczliwie rozglądając się za wyjściem, rampą dostawczą lub choćby oknem. Wreszcie zobaczyłem coś, czego szukałem. WYJŚCIE POŻAROWE. Pchnąłem drzwi, rozległy się dzwonki alarmowe, ale byliśmy już na zewnątrz, na rampie, do której zwykle podjeżdżają ciężarówki z towarem.

Ześlizgnąłem się ze schodków na ziemię, skoczyłem w lewo, krzycząc do małej, żeby się trzymała.

Wokół pustka, jeśli nie liczyć pojemników na śmieci, paru kontenerów z to-

warem, mnóstwa kartonów i wszelkiego baracha. Wszystko to ogrodzone pięciometrową siatką, za którą ciągnął się z rzadka porośnięty krzewami i drzewami ugór, a za nim - jak się domyślałem - pewnie drugi parking dla ciężarówek i drugi rząd sklepów.

Znalazłem się w pułapce i tak też się poczułem. Mogłem ruszyć tylko w lewo lub w prawo, ku wylotom drogi, którą zajeżdżały samochody dostawcze na zaplecza sklepów.

9

Z małą na plecach nie było mowy o przesadzeniu siatki, a gdybym chciał ją przerzucić na drugą stronę mogłaby połamać nogi. Ruszyłem więc biegiem w lewo, do wjazdu na rampy dostawcze. Po sekundzie uświadomiłem sobie, że to raczej fatalny pomysł. Oba wjazdy są już pewnie obstawione.

Trzeba wymyślić coś innego i to zaraz. Skoczyłem między pojemniki na śmieci, tam gdzie piętrzyły się puste kartony i opakowania.

Ściągnąłem małą z pleców, wcisnąłem w cały ten bajzel i przykryłem napędce, czym tylko się dało.

Patrzyła na mnie przerażona, z buzią w podkówkę i łzami jak grochy.

- Disneyland, Kelly, Disneyland, pamiętasz?

Szlochała bez przerwy. Dorzuciłem jeszcze kartonów, żeby skuteczniej zamaskować kryjówkę.

- Kelly, nie płacz, wrócę tu po ciebie, daję słowo.

Pobiegłem w stronę kontenera stojącego tuż przy ogrodzeniu z siatki. Był wielki jak ciężarówka. Bez Kelly na plecach pędziłem jak wiatr, czułem się, jakby przypięto mi skrzydła.

Nagle przy jednej z ramp dostrzegłem zaparkowane auto. Model z połowy lat osiemdziesiątych. Ścigający mieli nowsze wozy, ten więc musi być czysty. Jeśli na dodatek okaże się, że właściciel zostawił kluczyki w stacyjce, to moje szczęś-

cie będzie zupełne, zamiast biec przez otwarty teren podjadę pod kontener jak panisko.

Przy rampie obok stała ciężarówka. Mijałem ją właśnie, gdy z drugiej strony, też pędem, nadbiegł jakiś facet. Zderzyliśmy się z takim impetem, że obaj wyładowaliśmy na ziemi.

- Kurwa - jęknąłem, widząc gwiazdy w oczach i garnitur na osobie współuczestnika wypadku.

Skoczyłem na równe nogi i zdziesiąłem faceta bykiem, przyciskając go do samochodu. Bronił się, próbując założyć mi chwyt obezwładniający. Sukinsyn miał pod koszulą kamizelkę kuloodporną. Odskoczyłem pół kroku, wyciągnąłem gnata, uruchamiając kciukiem celownik laserowy.

Półprzytomny, bo nadal szumiało mi w głowie, a przed oczami iskrzył komplet ciał niebieskich, osunąłem się na kolana. Mój przeciwnik też odczuwał skutki kolizji. Patrzył na mnie oszołomiony, ale widziałem, że nie zamierza zrezygnować. Wymierzyłem pistolet prosto w jego twarz.

- Lepiej daj spokój - poradziłem - nie warto marnować życia. Łapy go góry.

Tak też zrobił, choć z ociąganiem. Zauważyłem, że nosi obrączkę.

- Pomyśl o rodzinie - udzieliłem mu lekcji. - Dla tej sprawy nie warto umierać, bo mylicie się, ja tego nie zrobiłem. Pamiętaj, jeden fałszywy ruch i po tobie. Ręce na kark! - rozkazałem.

W miarę jak odzyskiwałem pełną świadomość rozum podpowiadał, że muszę szybko działać. Tylko patrzeć, jak zjawiają się inni.

- Nie podnoś się. Obróć się w prawo, przesun na tył auta.

Sam tymczasem wstałem, dość niepewnie zresztą, oczy mnie piekły jak po gazie.

Tkwiliśmy w wąskiej przestrzeni między autem a rampą załadowniczą. Facet zdawał sobie sprawę, że jego życie wisi na włosku i na pewno myślał o żonie i dzieciach. Przerzuciłem broń do lewej ręki i wcisnąłem mu lufę pod pachę. Obróciłem w lewo i prawo, wkręcając pistolet w tkaninę marynarki. Agent ze-

sztywniał.

- Objaśnię ci kilka prostych faktów. Masz pod pachą lufę. Tak się składa, że wmotaleś ją sobie w marynarkę. Ja zaś mam palec na spuście, a bezpiecznik jest odwiedziony. Spróbuj tylko mrugnąć, a po tobie. Zrozumiano?

Nie odpowiedział.

- No - ponagliłem - to nic trudnego, pytam, czy zrozumiałeś?

- Tak.

- Łapy na kark.

Prawą ręką wyjąłem mu broń z kabury na plecach. Sig 45, służbowy pistolet agentów FBI. Odebrałem mu też trzy zapasowe magazynki. W ten sposób swój stan posiadania powiększyłem do czterech.

Mój nowy znajomy miał jakieś trzydzieści kilka lat i wyglądał, jakby dopiero co zszedł z planu „Słonecznego patrolu” - głęboka opalenizna, mocna szczęka, sylwetka kulturysty, no i oczywiście wspaniała blond czupryna. W sumie zdecydowanie przystojny okaz rodzaju męskiego. Roztaczał wokół siebie dyskretny zapach oliwki dla dzieci. Dbał widać o skórę, a może miał małe dziecko? Nieważne. Jeśli się ruszy, to koniec z nim.

I jeszcze jedno - z wewnętrznej kieszeni biegł w stronę jego ucha taki dyskretny, biały kabelek.

- Skąd jesteś? - spytałem, choć tak naprawdę co to za różnica: FBI czy też zwykły tajniak?

Milczał.

- Coś ci powiem - ciągnąłem - ja nie zabiłem tych ludzi. Nie zabiłem! Rozumiesz?

Cisza. Znam ten typ. Nie wyciśnie się z niego ani słowa, a zresztą nie miałem czasu na konwersacje.

Zabrałem mu nadajnik i wyciągnąłem pieniądze z portfela, a potem, ciągle wciskając lufę pod pachę pięknisia, zawołałem półgłosem:

- Nie ruszaj się, Kelly, zaraz po ciebie przyjdę! - Chodziło mi o to, aby agenci

nabrali przekonania, że Kelly jest cały czas ze mną. Pójdą więc za mną, nie dając sobie trudu przeszukania terenu. - A teraz - zwróciłem się do tajniaka - cofnę pistolet, ale nie próbuj żadnych numerów, żebyś nie żałował.

Powoli, jakby z namysłem, zacząłem zwalniać nacisk lufy, a gdy ta skomplikowana procedura dobiegła końca natychmiast wycelowałem broń w jego głowę. Facet zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili mogę pociągnąć za spust.

- Wiesz, co teraz będzie?

Kiwnął nieznacznie głową na znak, że pogodził się z losem.

Wolną ręką chwyciłem kawał żelaza ze śmietnika, chyba fragment podpórki pod sklepowe regały, i zdzieliłem przystojniaczka w kark. Zwalił się jak worek siana. Dla pewności dostał jeszcze parę kopów w łeb i jaja. Nie sądzę, abym z tego tytułu miał się obawiać czegoś specjalnego z jego strony, i tak chciał mnie zabić. Poza tym nie miałem innego wyjścia, musiałem go uspić, żeby nie zalarmował reszty, a zresztą, jako zawodowiec, zdawał sobie sprawę, że tak właśnie będę musiał postąpić. Gdyby role się odwróciły postąpiłby podobnie. A tymczasem unieszkodliwiłem go na jakieś dziesięć minut i tyle mi wystarczy.

Wysunąłem się z za auta, za którym odbywaliśmy nasze małe spotkanie, rozejrzałem się. Pusto. Popędziłem w stronę kontenera. Tuż obok stał pojemnik na śmieci. Skorzystałem z niego, wspinając się na górę. Już po chwili przycupnąłem na szczycie kontenera, jeszcze tylko pięć metrów w dół i świat stał otworem.

Zaraz za ogrodzeniem skręciłem w lewo i przez parking dostałem się na Maylords Boardwalk, promenadę biegnącą wzdłuż całego centrum handlowego.

Rozglądałem się za toaletą. Powinna być na skraju promenady.

Była. Dwóch facetów myło ręce. Zamknąłem się w kabinie, przysiadłem na kiblu, żeby się uspokoić i chwilę odpocząć. Wcisnąłem słuchawkę do ucha, włączyłem zdobyczny nadajnik. Słyszałem same trzaski, widać ściany i drzwi dość skutecznie blokowały fale radiowe.

Papierem toaletowym wytarłem błoto i krew z butów, ogarnąłem się jako tako i gdy tylko dwaj higieniści wyszli umyłem twarz i ręce w umywalce. W słu-

chawce nadal tylko trzaski.

Nieopodal toalety znajdował się bar kawowy. Wziąłem cappuccino, wybrałem stolik w głębi sali, ale z widokiem na oba wejścia na promenadę. Słuchawka w uchu nie powinna budzić zdziwienia, bo wszyscy ochroniarze korzystają z czegoś takiego, a w centrum handlowym jest ich bez liku.

W słuchawce zrobiło się głośno, trwała gorączkowa wymiana meldunków. Nieco mnie zdziwiło, że mówią otwartym tekstem. Sprawdziłem aparat i przestałem się dziwić. System zabezpieczenia był włączony, a to oznaczało, że otwarty tekst słychać tylko w tej konkretnej sieci. Poza nią - szum.

Z tego, co usłyszałem jedna grupa sprawdzała teren na zapleczu, tam gdzie powaliłem blondasa. Nie rozumiałem, co i gdzie przeczesują inni. Zastanawiały mnie dwie sprawy. Po pierwsze nie słyszałem centrali, czyli centrum dowodzenia. Po wtóre nie rozumiałem, dlaczego w hotelu pojawili się faceci po cywilnemu, a nie mundurowi policjanci. Gdy poluje się na porywacza, a za takiego przecież uchodziłem, to zwykle do akcji rzuca się chłopców z oddziału prewencji. Otaczają teren, snajperzy zajmują stanowiska. A zatem operacja nie była typowa. Instykt podpowiedział mi, że lepiej zabrać Kelly ze sobą. Żałowałem, że nie sprawdziłem dokumentów mojego nowego znajomego. Teraz już za późno.

Zastanawiałem się też, jak to się stało, że tak błyskawicznie zostałem namierzony w hotelu. Czyżby podsłuch na linii do Londynu? Chyba nie o to chodzi, bo jeśli nawet, to nie zdołaliby zjawić się tak szybko. Karta kredytowa, którą płaciłem za pokój? Raczej nie. Dane na karcie były nieprawdziwe i tylko Firma mogłaby wskazać na mnie jako właściciela, a tego zapewne nie uczyniłaby w obawie przed ujawnieniem tajnej operacji. Wreszcie uznałem, że alarm podniosła recepcjonistka. Musiała oglądać wiadomości i na fotografii rozpoznała Kelly. Ale i ten prawdopodobny scenariusz miał luki. Coś w nim nie pasowało. Poczułem niepokój, jak zawsze gdy ma się do czynienia z niewiadomym.

Jedno jest pewne, nie ganiłi mnie ani harcerze, ani amatorzy. Przypomniałem sobie, że ten mój nosił dwurzędową marynarkę i że marynarka była rozpięta, gdy

zaczęliśmy się szamotać. Guzików nie da się odpiąć w takim tempie, a zresztą nie zauważyłem, żeby manipulował przy zapieciu. To znaczy, że od spodu miały rzepy, a to już wyższa szkoła jazdy.

W radiu trwała gorączkowa wymiana zdań. Właśnie znaleźli mojego śpiącego rycerza. Dowiedziałem się, że ma na imię Luther. Dowiedziałem się też, że dowódca akcji, kimkolwiek był, nie interesuje się stanem zdrowia kolegi Luthera. Chciał tylko wiedzieć, czy facet może mówić.

- Tak, może.

- Był sam?

Pytanie o mnie.

- Sam.

- Widział ją?

Interesowało go, czy Luther widział Kelly.

- Nie, ale twierdzi, że mała jest z nim.

- A w którym kierunku zbiegli?

Cisza i po chwili odpowiedź:

- Nie wie.

Wyobrażałem sobie, jak to wygląda na miejscu. Luther siedzi na ziemi wsparty o auto, łeb mu pęka, a on marzy, żeby mnie dostać. W tle słychać było, że mamrocze jak nawalony.

- Nie, nie wie, w którym kierunku zbiegli - powtórzono informację - i jeszcze jedno, jest uzbrojony. Ma pistolet i zabrał też broń Luthera i... sekundę.... - Zaległa cisza, ale już po chwili głos, który relacjonował wiadomości od Luthera, rozległ się ponownie, wyraźnie zdenerwowany: - Jest problem, on ma radio, zabrał radio Luthera!

- Kurwa mać - przerwał meldunek dowódca akcji. - Polecenie do wszystkich, uwaga, wszystkie stacje, przerwać łączność, powtarzam, przerwać łączność. Bez odbioru.

W słuchawce zaległa cisza. Pewnie zaraz włączą nowy kod zabezpieczenia,

zgodnie z ustaloną procedurą. Dużo bym dał, żeby poznać ten nowy kod. Tymczasem radio Luthera mogłem sobie rozbić o kant tyłka.

10

Pierwsze pytanie dotyczyło Kelly, czyli chodzi im bardziej o nią, niż o mnie. Poczulem zimny pot na plecach. A więc to oni załatwili Keva - to jedyne logiczne wytłumaczenie - i teraz chcą dokończyć dzieła. Zakładają pewnie, a przynajmniej muszą zakładać, że Kelly ich widziała i może rozpoznać. Cały ten pościg za nami nie ma nic wspólnego z poszukiwaniem przestępcy. Nie tropią rzekomego zabójcy, ale chcą zlikwidować świadka!

Skończyłem kawę, a kelnerka natychmiast sprzątnęła filiżankę, dając do zrozumienia, że tkwię jak wrzód na dupie, a inni goście czekają na stolik. Poszedłem do toalety. Bezużyteczne radio wylądowało w koszu. Pozbyłem się też pilota do hotelowego telewizora.

Co dalej? - zastanawiałem się gorączkowo. Iść po małą? Bez sensu. Jeśli ją znaleźli, to już jej nie pomogę, bo zapewne zdążyli ją załatwić i tylko czekają, żeby mnie też wykończyć. Ja przynajmniej tak bym zrobił na ich miejscu. Logicznych powodów, żeby nie zawracać sobie głowy dziewczynką nie brakowało.

A niech to!

Skierowałem się do wyjścia z promenady. Rozpadało się na dobre. Podniosłem kołnierz kurtki Keva. Na parkingu ciągle jeszcze było tłoczno. W oddali widziałem dach CompUSA, a pośrodku parkingu wabiła neonem restauracja Wendy'ego. Dałem się zwabić. Poszedłem na kawę i hamburgera.

Usiadłem przy oknie. Niewiele zresztą stąd widziałem, tylko wjazd na rampy dostawcze, ten sam zresztą, którym biegłem, gdy doszło do starcia z Lutherem.

Z kąta restauracji, gdzie urządzono miejsce zabaw dla dzieci, dobiegały wesołe piski. Przypomniało mi się własne dzieciństwo, gdy za najmniejsze wykroczenie ojczym zamykał mnie w komórce. Jak ja się wtedy bałem, zwłaszcza gdy

deszcz walił o dach. Siedziałem skulony ze strachu, wyobrażając sobie nie wiadomo co. W dorosłym życiu, jako żołnierz i agent kategorii „K”, przeżyłem niejedno. Strzelano do mnie, bito mnie, więziono i nieraz miałem powody, by się bać jak cholera. Nigdy jednak nie doznałem takiego koszmarnego strachu jak w dzieciństwie. Pomyślałem o Kelly, o tym, że siedzi sama w kryjówce pod kartonami, o które walą ciężkie krople deszczu. Trudno, musi sobie poradzić. To już nie moja broszka, a zresztą zdarzało mi się robić jeszcze większe świństwa.

Za oknem mignął biały taunus. Wyjechał zza budynków centrum handlowego, potoczył się do skrzyżowania, odczekał chwilę i włączył się do ruchu. Deszcz utrudniał obserwację, ale wydawało mi się, że w samochodzie jechało ich czterech, wszyscy w garniturach. Skoro czterech, to znaczy, że się ewakuują. Gdyby tylko odwozili Luthera do szpitala, to w wozie byłoby trzech: kierowca, Luther i ktoś do opieki nad ofiarą mojego zdenerwowania. Dwaj zostaliby na miejscu. Sytuacja stawała się jaśniejsza, łatwiej będzie coś zdecydować.

Po pierwsze muszę nieco zmienić wygląd i to tanim kosztem. Miałem raptem pięćset dolarów, a Bóg jeden wiedział, co jeszcze mnie czekało.

Dopiłem kawę, wyszedłem na promenadę. Znalazłem magazyn z konfekcją. Kupiłem płaszcz przeciwdeszczowy z cienkiego materiału, taki, co da się zwinąć w niewielki pakunek, a także czapkę Kangola z gatunku tych, które nosi się daszkiem do tyłu.

Następnie zaszedłem do optyka po okulary zerówki w grubych oprawkach. Okulary znakomicie zmieniają twarz, wiem o tym z doświadczenia. Gdy tylko okoliczności zmuszały mnie do zmiany wyglądu zakładałem okulary, fundowałem sobie nową fryzurę, czasami jeszcze farbowałem włosy. Wystarczało.

Jeszcze raz wstąpiłem do toalety, tym razem po to, by się przysposobić. Wyrwałem z płaszcza kieszenie. Siga, którego skonfiskowałem Lutherowi, wcisnąłem za pas. W razie czego broń da się wyciągnąć przez dziurę po kieszeni, a strzelić można przez płaszcz.

Do zmroku zostało jakieś czterdzieści pięć minut, postanowiłem więc wy-

korzystać resztkę światła dziennego na rozpoznanie sytuacji w rejonie śmietniska. Nie mogłem bowiem wykluczyć, że moi przeciwnicy zmontowali pułapkę - udali ewakuację i wrócili albo w ogóle zostawili swoich ludzi na miejscu i spokojnie czekają, żebym się pojawił. Zdecydowałem więc, że zrobię krąg wokół śmietniska, przedtem jednak postanowiłem przejść obok hotelu. Jeśli zobaczę tam policyjne radiowozy będzie to znaczyć, że moi prześladowcy działają z ramienia oficjalnych organów ścigania. Jeśli przyjąć, że Luther z kompanami tropi morderców Keva, to policja powinna teraz zabezpieczać ślady w hotelu, zdejmować odciski palców i w ogóle przeprowadzać tzw. czynności.

Założyłem okulary, wcisnąłem czapkę na głowę. Z lustra spojrział na mnie typowy waszyngtoński luzak, taki co to ma już swoje lata, ale jeszcze podskakuje. Poszedłem pod hotel. Niczego podejrzanego nie zauważyłem, ani śladu radiowozu.

Wracając zastanawiałem się nad sposobem, w jaki wykończono Keva i Marszę. Dlaczego, do diabła, tak ich zmasakrowano? Luther i jego kompani to nie rzeźnicy, ale zawodowcy, a tacy nie robią niczego bez potrzeby, więc jatka była celowa i przemyślana. Chodziło o upozorowanie zabójstwa na tle narkotyków. Chcieli skierować ewentualne śledztwo na fałszywy trop. Zważywszy, że miało miejsce wiele zamachów na Keva, że ten i ów próbował go sprzątnąć, policja mogła dojść do wniosku, iż komuś wreszcie się udało, a co więcej, że sprawcy celowo zmasakrowali ciała, aby w ten sposób ostrzec innych, co może ich spotkać. Niby logiczne, ale skłaniałem się do przekonania, iż Marszę zabito w obawie, że znała pewne tajemnice, że Kev przekazał jej to, co wiedział. Aida zginęła, bo była świadkiem całego zdarzenia. Kelly zaś uszła z życiem tylko dlatego, że jej nie widzieli. Dopiero gdy w telewizji powiedziano, iż Brownowie mieli jeszcze jedno dziecko zabójcy uświadomili sobie, że spartaczyli robotę, że Kelly mogła wszystko widzieć. Słowem, Kelly to świadek zbrodni.

Sposób, w jaki załatwili Aidę przywiódł mi na myśl to, co się działo w Wietnamie, gdy Amerykanie chcieli wdrożyć program „zdobywania serc Wiet-

namczyków”. W ramach tego programu zamierzano przeprowadzać, na przykład, masowe szczepienia dzieci przeciwko ospie. Szybko jednak musiano się z tego wycofać. Gdy bowiem zaszczepiono dzieci w pewnej wiosce, to parę dni później do wioski przybył oddział Wietkongu i wszystkim zaszczepionym dzieciom poobcinano rączki. Czasami cel uświęca środki. Wraz z uciętymi rączkami program „zdobywania serc” przestał istnieć. Żywiłem pewnego rodzaju szacunek dla Luthera i spółki, ale nie chciałbym zadawać się z tymi ludźmi - byli zbyt podobni do mnie.

Godzina szczytu na drogach już się zaczęła, a wkrótce zapadnie zmrok. W sklepach, jak to o tej porze, robiło się coraz tłoczniej, z czego mogłem się tylko cieszyć.

Doszedłem do parkingu przy restauracji Wendy'ego. Mogłem stąd obserwować rampy dostawcze na zapleczu centrum handlowego. Właśnie podjeżdżał wielki tir, szykując się do wyładowania. Trzy inne stały obok samochodu, przy którym nawiązałem znajomość z Lutherem. Ale i tu, podobnie jak przy hotelu, nie zauważyłem żadnych radiowozów, policji ani śladu. Być może waszyngtońskie gliny nie ruszają tyłków przy takiej pogodzie.

Rampy, przy których wyładowywano towar, były oświetlone, reszta terenu, a także śmietnisko, gdzie ukryłem Kelly, tonęła w mroku. Wyobraziłem sobie, jak mała dygocze ze strachu, słysząc łomotanie deszczu i tajemnicze dźwięki dobiegające ze wszystkich stron.

Zobaczyłem dosyć, nie ma potrzeby przeprowadzania rozpoznania z drugiej strony. Rozważając, co teraz uczynić i jaką wybrać drogę, zwróciłem uwagę na autobus, który właśnie zajechał na przystanek pod restauracją. Moglibyśmy wymknąć się stąd właśnie autobusem.

A jeśli schwyтали Kelly i czekają na mnie? Trzeba zastanowić się nad sposobem i drogą ewentualnego odwrotu. Najlepiej pieszo, bo kradzież samochodu w tak uczęszczanym miejscu jest ryzykowna. Wycofując się pieszo można wtopić się w tłum i łatwiej wtedy zdezorientować pościg. Zakonotowałem sobie w my-

ślach trzy różne trasy odwrotu.

Nie wolno zbyt długo przebywać w jednym miejscu. Faceta, który tkwi jak kołek łatwiej namierzyć. Ruszyłem więc w stronę sklepów, zwłaszcza że chciałem kupić to i owo dla małej. Ją też trzeba przebrać, zmienić jej wygląd. Za sprawą telewizji stała się sławna!

Wybrałem kapelusik z szerokim rondem. Włosy upchnie się do środka, a rondo przysłoni buzię. Kupiłem też kurtkę trzy czwarte, żeby zasłonić chude nogi Kelly. Pamiętając, że dziewczynka jest dość wysoka na swój wiek wziąłem komplet ubrania na dziewięć lat. W ostatniej chwili zafundowałem sobie nowe dżinsy i trykotową koszulę.

Dźwigając zakupy ruszyłem w stronę siatki ogradzającej śmietnisko. Światła sklepów odbijały się na mokrym od deszczu asfalcie parkingu. Ruch na szosie stracił nieco ze swego obłąkanego tempa. Wycieraczki w samochodach niestrużenie pracowały.

Przy płocie obejrzałem się, raz jeszcze badając sytuację. Wszystko w porządku. Deszcz zamienił się w mżawkę. Szedłem wzdłuż ogrodzenia, równoległe do ramp załadowniczych, ledwo tłumiąc w sobie chęć rzucenia się biegiem po małą. Właśnie - pobiec, wyciągnąć ją z kryjówki i uciekać gdzie pieprz rośnie. Tego nie wolno robić, bo takie działanie grozi śmiercią lub kalectwem. Wiem coś o tym.

A może Kelly uciekła? Zadzwonię na policję i powiem, że widziałem w pobliżu dziewczynkę, której zdjęcie pokazywano w telewizji. Jest nadzieja, że policja odnajdzie ją, zanim zrobi to Luther i jego ludzie. A jeśli jest już w rękach policji albo - gorzej - Luthera, to niebawem zacznie się polowanie na mnie. Ktokolwiek bowiem dopadł małą, ten wie, że z domu zabrał ją Nick Stone.

Od śmietniska dzieliło mnie jakieś dwadzieścia metrów. Nadal szedłem równym krokiem, ale przestałem się rozglądać. Nie było już sensu.

Dochodząc do pojemników zacząłem nawoływać małą.

- Kelly, to ja! Mówiłem ci, że wrócę. Kelly, gdzie jesteś? - Odgarniałem pośpiesznie przemokłe od deszczu kartony. I wreszcie ją znalazłem. Siedziała na

ziemi skulona, niemal dokładnie tak, jak ją zostawiłem. Rączkami zasłaniała uszy. I wcale nie przemokła. Pod kartonami było sucho.

Podniosłem dziewczynkę, narzuciłem kurtkę na jej ramiona.

- Pomyślałem, że lubisz różowy kolor. Mam jeszcze coś dla ciebie. - Na główkę Kelly włożyłem kapelusik.

Zgłupiałem, gdy nagle przytuliła się do mnie. Nie spodziewałem się tego i nie bardzo wiedziałem, co zrobić, więc tylko gadałem jak najęty.

- W tym nie zmokniesz - zapewniłem, poprawiając kapelusz. - Teraz pójdziemy coś zjeść, a potem pomyślimy o kąpieli.

Ruszyliśmy. Torby z zakupami niosłem w lewej ręce, mała też chwyciła mnie za lewy rękaw. Nie było to najwygodniejsze, trudno, prawą rękę musiałem mieć wolną na wypadek, gdyby przyszło sięgnąć po broń.

11

W autobusie nie było tłoku, połowa miejsc była wolna. Obładowani torbami i paczkami ludzie wracali z zakupów. Kelly przycupnęła na fotelu przy oknie, ja usiadłem obok. Kapelusz, który jej kupiłem spełniał swoje zadanie. Szerokie rondo ocieniało twarz. Cieszyłem się, że udało mi się uratować córkę Keva przed Lutherem i jego zgrają. Tak właśnie należało postąpić.

Jechaliśmy do Aleksandrii - miasta pod Waszyngtonem, na południowym brzegu Potomacu - bo trafił nam się taki autobus.

Wewnątrz pojazdu panowała duchota, okna szybko zaparowały. Pochyliłem się w stronę mojej małej towarzyszki, próbując rękawem przetrzeć szybę. Niezbyt to pomogło, w strugach deszczu niewiele dało się zobaczyć. Skupiłem się więc na przedniej szybie, za którą niezmordowanie pracowały wycieraczki.

Najważniejsze to znaleźć jakiś hotel i to w ciągu najbliższej godziny. Im później bowiem, tym więcej podejrzeń możemy budzić.

- Nick?

Przeczuwałem, niestety, że do tego dojdzie, i z góry wiedziałem, o co Kelly spyta.

- Tak?

- A czemu oni chcą cię złapać? Zrobiłeś coś złego?

Szerokie rondo skrywało oczy Kelly, ale czułem, że mała patrzy na mnie uważnie.

- Nie wiem, Kelly, w ogóle ich nie znam - odparłem, nie odwracając wzroku od przedniej szyby. - Jesteś głodna? - Kątem oka zobaczyłem, że kiwnęła głową. - Niedługo coś znajdziemy. Wolisz McDonald'sa czy Wendy'ego?

Kelly mruknęła niezrozumiale. Nadal wpatrywałem się w świat za oknem.

- A więc?

- Micky D's.

- Micky D's, a co to takiego?

- Nie wiesz? McDonald's.

- W porządku, pójdziemy do McDonald'sa.

Powróciłem do własnych myśli. Rozważałem najgorsze warianty. Namierzyli mnie przez kartę kredytową. Karta jest więc spalona, pozostaje tylko gotówka, a to nie będzie łatwe. Muszę też zadzwonić do Londynu, choć przypuszczałem, że moją teczkę operacyjną już zniszczono. Takiego człowieka po prostu nie ma.

Autobus mijał właśnie hotel. TAWERNA PRZYDROŻNA - głosił napis na szyldzie. Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jesteśmy, ale to nieważne. Dowiem się w stosownym czasie. Dałem sygnał kierowcy, aby zatrzymał się na najbliższym przystanku.

W latach sześćdziesiątych hotel z pewnością miał klasę. Dziś zostały tylko smutne resztki dawnej świetności - wyszarzały trawnik oraz wyszczerbiony neon polecający wolne pokoje. Dobre i to.

Na wszelki wypadek zerknąłem najpierw przez szybę do środka. W recepcji młoda kobieta oglądała telewizję, paląc papierosa. Oby tylko nie wspominali o nas w wiadomościach, pomyślałem. W kantorku za recepcją siedział otyły, ły-

sawy facet po pięćdziesiątce.

- Poczekaj tu. - Postawiłem Kelly pod ścianą. Nie była tym zachwycona. - To nie potrwa długo - zapewniłem, robiąc krok w tył. - Zaraz wrócę.

Recepcjonistka - najjaśniejsza w świecie blondynka, gdyby nie odrosty - w dżinsach i bawełnianym podkoszulku oderwała wzrok od telewizora.

- Czym mogę służyć? - rzuciła z wdziękiem automatu.

- Chcemy się tu zatrzymać na trzy, może cztery dni.

- Ile osób?

- Dwie dorosłe i dziecko.

- Chwileczkę. - Zaczęła sprawdzać rezerwacje w grubej księdze.

W telewizorze nadawali właśnie wiadomości. Na szczęście ani słowa o morderstwie. Najwyraźniej przestało być newsem.

- Poproszę o pańską kartę kredytową.

Zrobiłem zakłopotaną minę.

- Cóż - zacząłem zmartwionym tonem - z tym będzie kłopot. Jesteśmy na wakacjach i właśnie skradziono nam dokumenty i bagaże. Zawiadomiłem odnośne władze, czekamy na dosłanie nowych kart kredytowych, a tymczasem posługujemy się wyłącznie gotówką. Rozumiem, że karta potrzebna jest do mel-dunku, ale może zrobi pani wyjątek. Gotów jestem zapłacić z góry i może pani wyłączyć telefon w pokoju.

Kiwała głową, że niby rozumie trudną sytuację, ale słuchała bez specjalnej sympatii.

- Rzeczywiście jesteśmy w kropce - nie wypadalem z roli biednego, prze-moczonego przybysza z Albionu. - Jutro mamy wizytę w konsulacie w sprawie paszportów. - Wyciągnąłem zwitek banknotów.

Chwilę trwało, nim pojęła, co to znaczy.

- Współczuję panu - wyjąkała wreszcie. Kojarzenie pod blond fryzurą prze-biegało wyjątkowo opornie. - Poproszę kierownika - oznajmiła.

Podeszła do kantorka i zaczęła coś klarować łyseму tłusciochowi. Z gestów

obojga domyślałem się, że tłusty jest jej ojcem. Zimny pot spłynął mi po plecach. Jeśli nie dostaniemy pokoju, to będzie problem. Cholera wie, gdzie jesteśmy, trzeba będzie zamawiać taksówkę, krótko mówiąc, zrobi się szum wokół nas, a tego akurat nam nie trzeba.

Pospieszcie się, ponagliłem w myślach moją rozmówczynię i starego, a tymczasem wyjrzałem przez szybę, żeby sprawdzić, czy z Kelly wszystko w porządku. Zawsze bowiem może się napatoczyć dobry samarytanin, który podniesie raban, że wyrodny ojciec zostawia dziecko samo, bez opieki, na pastwę losu. Przez okno nie widziałem małej. Podeszedłem więc do drzwi, uchyliłem je. Stała tam, gdzie jej kazałem.

Właśnie zdejmowałem rękę z klamki, gdy stary wyłonił się ze swej dziupli. Blondyna rozmawiała przez telefon.

- Sprawdzalem, czy dobrze zaparkowalem. - Uśmiechnąłem się.

- Ma pan kłopot, jak rozumiem. - Tłusty też się skrzywił w uśmiechu, co znaczyło, że sprawa jest na dobrej drodze.

- Właśnie - westchnąłem z troską - byliśmy już na policji i skontaktowaliśmy się z bankiem w sprawie nowych kart kredytowych, ale to potrwa parę dni, a tymczasem posługujemy się gotówką. Chętnie zapłacę za trzy dni z góry.

- Oczywiście.

Odetchnąłem. Byłem pewien, że nasza skromna transakcja gotówkowa nie znajdzie odbicia w księgach. Ludzi typu tłuszciocha i jego blond pociechy jedni nazywają białym śmieciem, inni - jak Kev - dziećmi kukurydzy. Mistrzami intelektu może i nie są, ale też wiedzą, gdzie stoją konfitury.

- I proszę korzystać z telefonu. - Uśmiechnął się zachęcająco.

Odegrałem finałową scenę, wcielając się w postać głęboko wdzięcznego Brytyjczyka, wypełniłem rubryki w formularzu meldunkowym i zewnętrznymi schodami pomknęliśmy z małą na piętro.

Przed drzwiami Kelly zawahała się.

- Ja chcę do mamy. Kiedy pojedziemy do domu, Nick?

Kurde, znowu ją naszło. Z całego serca życzyłbym jej, żeby mogła zobaczyć matkę. Sam też miałbym mniej kłopotów. Ale jest, jak jest.

- Już niedługo - zapewniłem i szybko zmieniłem temat. - Zaraz postaram się o coś do przegryzienia, OK?

- OK.

Tymczasem zaległem na łóżku, obmyślając co dalej.

- Nick?

- Tak?

- Czy mogę pooglądać telewizję?

Bogu niech będą dzięki. Sięgnąłem po pilota, przeleciałem po kanałach, aby przypadkiem nie natrafić na wiadomości z nami w rolach głównych. Znalazłem kanał filmowy. W myślach ułożyłem już plan działań na najbliższe godziny.

- Wyjdę teraz i przyniosę coś do jedzenia. - W istocie chciałem przede wszystkim zadzwonić, sprawa Londynu nie była jeszcze zamknięta. - Poczekasz tu na mnie, tak jak przedtem, dobrze? Umieszczę na drzwiach wywieszkę „nie przeszkadzać”, a ty nikomu nie otwieraj.

Skinęła głową.

Wyszedłem na ulicę. Ciagle jeszcze mżyło. Znalazłem automat telefoniczny tuż obok sklepu spożywczego.

Wrzuciłem kilka monet do aparatu, wykręciłem numer. Dodzwoniłem się za pierwszym razem.

- Dobry wieczór, Ambasada Brytyjska, czym mogę służyć?

- Chciałbym rozmawiać z attaché wojskowym.

- Pańskie nazwisko?

- Stamford - odparłem bez wahania, nie miałem nic do stracenia.

- Proszę chwilę poczekać.

Niemal w tej samej chwili w słuchawce rozległ się męski głos:

- Stamford?

- Tak.

- Niech pan poczeka. - Zabrzmiało to jak rozkaz.

Tym razem czekanie trochę trwało, zacząłem nawet podejrzewać, że rozmowę zwyczajnie przerwano, ale po półminucie albo i więcej w słuchawce odezwał się... Simmonds. Rozmowę przełączono więc na Londyn.

- Wygląda na to, że masz kłopoty - rzekł Simmonds obojętnym jak zawsze głosem.

- Mało powiedziane! - odpaliłem. Posługując się szyfrem opowiedziałem o wszystkim, co wydarzyło się od mojego ostatniego telefonu.

Nie przerywał, wysłuchał do ostatniego słowa.

- Niewiele mogę dla ciebie zrobić - stwierdził na koniec. - Zdajesz sobie sprawę z mojej sytuacji. - Czulem przez skórę, co się święci. Drań zamierzał mnie po prostu olać. - Miałeś - ciągnął - natychmiast wracać. Nie wykonałeś rozkazu. Doskonale wiesz, że nie powinieneś się z nim spotykać. - Nadal mówił spokojnym, wyważonym tonem, ale domyślałem się, że jest wściekły.

Oczami wyobraźni widziałem, jak siedzi za biurkiem w wymiętej koszuli i workowatych sztruksach, mając przed sobą cały plik pilnych depeesz i faksów z Waszyngtonu, a obok zdjęcia rodziny i prezenty wielkanocne.

- Wiem też - przerwałem - że mogę wam dać popalić. Mam pewne materiały i gotów jestem przekazać je byle pismakowi. Zdajesz sobie sprawę, o czym mówię, wystarczy tego, żeby was skompromitować. I to nie jest blef. Muszę wydostać się z tego gówna i potrzebuję pomocy. Natychmiast.

W słuchawce zaległa cisza. Simmonds zamilkł niczym ojciec, który czeka, aż dziecko się wykrzyczy.

- No cóż - odezwał się wreszcie - musisz realnie ocenić sytuację. Dopóki nie będę miał dowodu, że nie masz z tą sprawą nic wspólnego, nie mogę ruszyć nawet palcem. Więc moja rada jest taka: postaraj się wyjaśnić, co się naprawdę stało i dlaczego, a wtedy pogadamy, może znajdzie się jakieś wyjście. Co ty na to? Oczywiście możesz też spełnić swoją groźbę, ale na twoim miejscu raczej bym się zastanowił.

Miał mnie w ręku, a to, co usłyszałem nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Bez względu na to, jak zareagują - ulegną szantażowi czy nie - byłbym spalony i do końca życia musiałbym uciekać, kryć się i kluczyć. Firma nie lubi, gdy ktoś się stawia.

- A więc nie mam wyboru?

- Właśnie. Cieszę się, że to rozumiesz. Postaraj się więc wyjaśnić co i jak, a potem się zgłoś. - W słuchawce zaległa cisza.

W drodze powrotnej wstąpiłem do drogerii, kupiłem przyrząd do samodzielnego strzyżenia, farbę do włosów oraz przybory do golenia. Trzeba o siebie zadbać. Nie możemy z małą latać po Waszyngtonie jak para brudasów na gigantycznej. Wziąłem też parę butelek coli, jabłka, trochę słodczy.

W pobliżu nie było Micky D'sa, a przynajmniej ja nie znalazłem. Trafił się natomiast Burger King. Napakowałem całą torbę jedzenia na wynos i wróciłem do hotelu.

Przed otwarciem drzwi zapukałem.

- Zgadnij, co mam! Hamburgery, placek z jabłkami, gorąca czekolada. - Rzuciłem swoje trofea na stół, czując się jak myśliwy wracający z polowania. Po chwili oboje zabraliśmy się do jedzenia. Kelly wyglądała jak wilk.

Odczekałem chwilę, a gdy miała pełne usta, powiedziałem jej tak:

- Wiesz, przyszło mi coś do głowy. Może chciałabyś jak dorosła zmienić fryzurę i pomalować włosy. Kobiety stale to robią. Co ty na to?

Wcale się nie zdziwiła.

- Próbuje? Jaki kolor? Ciemnobrązowy?

Wzruszyła ramionami.

Chciałem załatwić sprawę możliwie szybko, zanim dziewczynka zacznie ogarniać całą sytuację, więc gdy tylko przełknęła ostatni kęs ruszyliśmy do łazienki. Umyłem Kelly głowę, wytarłem ręcznikiem i wziąłem się do strzyżenia. Zanim zorientowałem się, że przyrząd, który kupiłem bardziej nadaje się do modelowania męskich bród niż damskich fryzur, było już za późno. Włosy Kelly

przypominały strzechę, a im bardziej próbowałem poprawiać, tym gorzej wyglądały.

Sięgnąłem po farbę. Zacząłem studiować instrukcję na butelce, gdy mała spojrzała na mnie pytająco.

- Nick?

- Tak? - Miałem nadzieję, że nie zrobię z niej rudzielca.

- A znasz tych ludzi?

- Jakich ludzi?

- No tych, co chcą cię złapać.

Dobre sobie, to raczej ja powinienem pytać.

- Nie, Kelly, nie znam, ale dowiem się, bądź pewna.

Staliśmy przed lustrem i patrzyliśmy w swoje odbicia. Oczy małej były podpuchnięte, białka zaczerwienione. W moich odbijało się śmiertelne znużenie.

- Kelly, dlaczego pobiegłaś do kryjówki?

Nie odpowiedziała. Sądząc z miny oceniała właśnie mój talent fryzjerski.

- Czy tata krzyknął: Disneyland?

- Nie.

- No to czemu? - Rozmowa stawała się trudna. Poczułem się nieswojo. Musiałem czymś zająć ręce. Wziąłem flakon z farbą.

- Bo był straszny hałas.

Zacząłem nakładać farbę na włosy Kelly.

- Nie rozumiem, jaki hałas?

Mała obserwowała mnie w lustrze.

- Byłam w kuchni i usłyszałam krzyki w salonie, więc poszłam tam.

- I co zobaczyłaś?

- Tata krzyczał, a oni strasznie go bili.

- A ciebie widzieli?

- Nie wiem. Nie wchodziłam do salonu. Chciałam zawołać mamę, żeby przyszła tacie na pomoc.

- I co zrobiłaś?

- Sama nie mogłam nic zrobić, bo jestem za mała. - Najwyraźniej miała żal do siebie, jej buzia wygięła się w podkówkę. - Pobiegłam do kryjówki. Ci ludzie tak okropnie bili tatę, tata tak strasznie krzyczał, a mama z Aidą były na górze.

- Schowałaś się?

- Tak.

- Czy mama cię wołała, a może przyszła po ciebie?

Obraz dwóch zmaltretowanych ciał stanął mi przed oczami. Mała cicho płakała. Objąłem ją i przytuliłem.

- Już dobrze, Kelly. Nie mogłaś pomóc tacie. Nie dałabyś rady. To byli dorośli i silni ludzie. Nawet ja nie dałbym rady, choć też jestem dorosły. To nie twoja wina, że tatę pobili. Ale nic mu nie jest. Prosił mnie, żebym się tobą zajął. Mama z Aidą pojechały razem z tatą. Nie było czasu, żeby cię szukać.

Pozwoliłem jej chwilę popłakać.

- Czy poznałaś kogoś z tych ludzi?

Zaprzeczyła gestem głowy.

- A ci ludzie, na których tata krzyczał, jak byli ubrani? W garnitury?

- Chyba tak, ale mieli jeszcze takie ubrania do malowania.

Wydawało mi się, że wiem, o czym mówi, ale się upewniłem:

- Mieli na sobie coś takiego, jak tata, gdy maluje ściany? - Wyobraziłem sobie ulubione kombinezony robocze wszystkich majsterkowiczów.

Potwierdziła.

Sukinsyny zawodowcy. Zabezpieczyli się. Nie chcieli powalać eleganckich garniturów lepką, czerwoną cieczą. Cwaniacy.

Próbowałem jeszcze wyciągnąć z Kelly, ilu ich było i jak wyglądali, ale bez skutku. Mała niczego nie pamiętała. Wydarzenia ją przerastały.

- A kiedy wrócimy do domu? - spytała przez łzy.

- Już niedługo, dziecko, niedługo, gdy tylko tata wyzdrowieje, a do tego czasu ja będę z tobą. A teraz uczeszę cię jak dużą dziewczynę.

Skończyłem zabiegi fryzjerskie i ubrałem Kelly w nowe rzeczy. Zależało mi, żeby była gotowa do wyjścia w każdej chwili. Nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Obejrzała się w lustrze. Ubranie nieco przyduże, a nowa fryzura... Na szczęście nie skomentowała.

Potem oglądaliśmy telewizję, wreszcie mała zasnęła. Ja zaś gapilem się w sufit, analizując sytuację. Rozważałem możliwości.

A gdyby tak odszukać Pata Luzaka? Pat mógłby mi pomóc, jeśli tylko funkcjonuje w miarę normalnie, to znaczy, jeśli nie został jednym z głosicieli New Age. Ale jak go znaleźć? Jedyne miejsce, jakie przychodziło mi do głowy, to restauracja, o której opowiadał z takim zapałem. Mówił, że praktycznie z niej nie wychodzi. Problem polegał na tym, że nie pamiętałem jej nazwy. Kojarzyłem tylko, że to gdzieś na skraju Georgetown.

A Euan? Na Euana nie mogłem liczyć, przynajmniej na razie. A zresztą pewnie jeszcze jest w Ulsterze, więc nie złapię z nim kontaktu, dopóki nie wróci do Anglii.

Spojrzałem na Kelly, myśląc ze współczuciem, że tak właśnie przyjdzie jej żyć w najbliższej przyszłości: niepewnie, stale w gotowości do ucieczki. Otuliłem ją kołdrą.

Zebrałem resztki jedzenia, wyrzuciłem do kosza. Sprawdziłem, czy na drzwiach jest wywieszka „nie przeszkadzać”, upewniłem się też, czy buciki małej są w kieszeniach kurtki. Sprawdziłem jeszcze oba pistolety. Z całą pewnością zdjęcia Kelly pojawią się na szpaltach jutrzejszych gazet, ale my będziemy gotowi. W ostateczności broń utoruje nam drogę.

Poszedłem do łazienki, ogoliłem się, rozebrałem. Rzeczy, które miałem na sobie śmierdziały potem i krwią. Wrzuciłem wszystko do plastikowej torby. Rano wyniosę. Wziąłem gorący prysznic, przebrałem się, jeszcze raz sprawdziłem drzwi i wreszcie położyłem się na łóżku.

Obudziłem się o piątej trzydzieści. Miałem koszmarne sny i, jeszcze zaspany, nie bardzo wiedziałem, czy to tylko sny.

Nagle uświadomiłem sobie kolejny problem. Kasa! Kart kredytowych nie da się użyć. Gdyby nawet nie zamrozili mi konta, to karta zostawia ślad, po którym łatwo mnie namierzyć. Pozostaje tylko gotówka, a w dzisiejszych czasach na Zachodzie gotówka rzadko jest w obrocie. Pat, jeśli tylko uda mi się go odnaleźć, z pewnością dostarczy trochę szmalu, ale i tak w pierwszej wolnej chwili trzeba będzie postarać się o pieniądze. Kelly pochrapywała przez sen. Wstałem po cichu, wziąłem magnetyczną kartę do zamka i wyszedłem. Potrzebna mi była gaśnica.

12

Tymczasem znalazłem coś jeszcze. Mijałem właśnie pokój służbowy sprzątaczek czy raczej magazynek na bieliznę, drzwi były otwarte, więc zerknąłem do środka. Na półce zauważyłem z pół tuzina klinów służących do blokowania drzwi w czasie sprzątania. Skonfiskowałem dwa. Przydadzą się.

Gaśnica wisiała na ścianie obok windy. Odkręciłem zawór i wyjąłem pojemnik z dwutlenkiem węgla, kawał stalowej rurki długiej na jakieś dwadzieścia pięć centymetrów. Tak wyposażony wróciłem do pokoju.

Zrobiłem porządek z bronią. Trzy zapasowe magazynki do siga odziedziczonego po Lutherze wcisnąłem do lewej kieszeni kurtki Keva. Pistolet po Kevie postanowiłem zostawić w pokoju, ale nie chcąc, żeby Kelly przypadkiem go znalazła, bo mogłaby zrobić sobie krzywdę, schowałem go w spluczce. Na krótką metę woda nie szkodzi.

Potem zdrzemnąłem się jeszcze trochę. Obudziłem się o siódmej, głodny jak wilk. Śniadania, wliczone w cenę pokoju, wydawano na dole.

- Co byś zjadła, Kelly, a w ogóle to dzień dobry.

Mała właśnie zaczęła się budzić, ziewając jak hipopotam. Z braku lepszego pomysłu włączyłem telewizor. Kelly tymczasem z niejakim zdziwieniem stwierdziła, że spała w ubraniu.

- Zasnąłaś tak szybko, że nie zdążyłem cię rozebrać. Ale nie szkodzi, prawda?

To tak jak na biwaku.

Spodobało jej się to porównanie. Uśmiechnęła się ciągle jeszcze półprzytomna ze snu.

- Pewnie jesteś głodna, pójdę po śniadanie.

Kiwnęła tylko twierdząco głową, bo pochłaniał ją telewizor.

- Pamiętaj, żebyś nikomu nie otwierała i nie odsłaniaj też okna, bo sprzątaczką pomyśli, że nikogo nie ma i zechce wejść, żeby posłać łóżka, a nam to nie jest potrzebne. Zostawię na drzwiach wywieszkę „nie przeszkadzać”.

I znów tylko kiwnęła głową. Wziąłem więc tacę, założyłem na nos okulary i zszedłem na dół po śniadanie.

Gości było sporo: turyści podróżujący z przyczepami kempingowymi, którzy jednak woleli nocować w hotelu, handlowcy i akwizytorzy wygoleni, wypucowani zgodnie z zasadą, że klient zawsze najpierw zwraca uwagę na wygląd.

Zamówiłem płatki, mleko, rogalce, parę ciastek, kawę i sok pomarańczowy.

Blondynka z recepcji kończyła właśnie dyżur. Przywitała się uprzejmie.

- Dzień dobry, mam nadzieję, że uda się panu dzisiaj załatwić nowe dokumenty.

- Też mam taką nadzieję. Wyznam, że nie przejmuję się tym zbytnio. Nie chcę sobie psuć wakacji.

- Gdyby trzeba było pomóc, to proszę dać znać.

- Wielkie dzięki. - Wziąłem z recepcji gratisowy egzemplarz gazety „USA Today”, pudełeczko reklamowych zapalek i spinacz do papieru. Tak obładowany wróciłem do pokoju.

Kelly siedziała przed telewizorem, a gdy zaczęła jeść oznajmiłem, że muszę wyjść na godzinę.

- Mam parę spraw do załatwienia - wyjaśniłem. - A ty, gdy już zjesz, masz się umyć i uczesać. Dasz sobie radę z nową fryzurą?

Wzruszyła tylko ramionami.

- Jakie kolory lubisz najbardziej? - spytałem.

- Różowy i niebieski.

- Świetnie. Coś różowego już mamy. - Gestem wskazałem na kurtkę, którą wczoraj kupiłem, szczęśliwie trafiając w gust Kelly. - A teraz postaramy się o coś niebieskiego.

Przeczyściłem szkła kawałkiem papieru toaletowego, włożyłem do futerału i schowałem do kieszeni kurtki po Kevie. Narzuciłem płaszcz przeciwdeszczowy, sprawdziłem, czy wymontowany z gaśnicy pojemnik jest na miejscu, wyjąłem wszystkie drobne. Nie lubię, gdy mi brzęczy w kieszeniach, a poza tym wyznaję zasadę: im ciszej, tym lepiej. Wziąłem czapkę i byłem gotów do wyjścia.

- Niedługo wrócę i pamiętaj, nikomu nie otwieraj.

Deszcz przestał padać, ale niebo nadal zasnuwały chmury. Trwał poranny szczyt - sznur samochodów, a i mnóstwo pieszych zdążających do pracy.

Szedłem żwawo, jak wszyscy. Rozglądałem się za dogodnym miejscem, w którym dałoby się załatwić od ręki trochę forsy. Śpieszyło mi się, nie chciałem zbyt długo zostawiać Kelly samej.

Sklepy na razie odpadały, wielkie magazyny otwierają dopiero po dziesiątej. Mijałem rozmaite bary szybkiej obsługi, ale te nie bardzo nadawały się na operację, którą zamierzałem przeprowadzić. Większość ma tylko jedno wejście, a do toalety bez przerwy ktoś wchodzi. Najlepsza byłaby stacja benzynowa, ale starszego typu, z ubikacją na zewnątrz, do której klucz wydają w kasie.

Czas uciekał i chociaż na mojej drodze pojawiło się kilka stacji, to jednak żadna nie spełniała podstawowego kryterium.

W końcu, po dwudziestu minutach, trafiła się taka, o jaką mi chodziło. Ubikacja z boku, na drzwiach napis: „klucz w kasie”. Upewniłem się, czy drzwi są zamknięte.

Teraz należało znaleźć dogodny punkt, z którego można obserwować stację, nie budząc niczyich podejrzeń, i opracować trasę odwrotu. Niemal naprzeciwko stacji wznosiło się kilka przyjemnie wyglądających budynków z lat trzydziestych. Na fasadach widniały szyldy kancelarii prawniczych, agencji ubezpieczeniowych

i kas pożyczkowych. Między budynkami wiły się alejki wiodące na tyły domów. Poszedłem więc w tamtą stronę. Okrążyłem parę budynków, sprawdzając, co i jak. Teren nadawał się znakomicie. Mnóstwo zakrętów i zaułków. Wróciłem pod stację benzynową inną drogą.

Mniej więcej sto metrów od stacji, po drugiej stronie ulicy, znajdował się przystanek autobusowy. Tam właśnie postanowiłem się zainstalować. Człowiek tkwiący na przystanku nie budzi żadnych podejrzeń, a zresztą stało już tam kilka osób. Nadjechał autobus, paru oczekujących wsiadło. Zacząłem studiować rozkład jazdy, przybierając zniecierpliwioną minę. A tymczasem kolejka znów się wydłużyła.

W dzisiejszych czasach, a zwłaszcza w Ameryce, kraju czeków i kart kredytowych, mało kto nosi gotówkę przy sobie, zwłaszcza grubszą. Idealnym celem mojej operacji byłby więc ktoś zamiejscowy, najlepiej turysta. Turyści mają na ogół zasobniejsze portfele i jeśli nawet korzystają z czeków podróźnych, to zwykle mają też gotówkę. Szkoda tylko, że nie była to dzielnica uczęszczana przez turystów.

Minęło pół godziny. Pod stację podjechało w tym czasie pięć czy sześć samochodów wyglądających obiecująco z mojego punktu widzenia. Jednak żaden z kierowców nie zamierzał pójść za własną potrzebą. Martwiłem się o Kelly, miałem nadzieję, że jeszcze nie zaczęła dygotać ze strachu.

A tymczasem na stacji zatrzymało się białe camaro z tymczasową rejestracją. Kierowca, facet dwudziestoparoletni, ostrzyżony na jeża, miał na sobie czerwono-niebiesko-żółto-pomarańczowy dres - o ile zapamiętałem wszystkie kolory - i adidas do kompletu. Radio czy raczej magnetofon rznął na cały regulator, basy w głośnikach wprawiały w wibrację całą ulicę.

Nalał do pełna, poszedł zapłacić, a gdy odchodził od kasy zauważyłem, że ma w ręce mały przedmiot ze sporą, drewnianą wywieszką - klucz do toalety. Oto mój bohater, pomyślałem.

Postawiłem kołnierz płaszcza, przeszedłem przez ulicę. On tymczasem

wkładał portfel do górnej zamykanej na suwak kieszeni dresu. Przygotowując się do akcji sprawdziłem rozmieszczenie kamer systemu telewizyjnego monitorującego stację. Wszystkie nastawiono na dystrybutory, bo obawiano się głównie złodziei paliwa, co to tankują do pełna i nie płacąc przyciskają gaz do dechy. Żadna kamera nie śledziła zaplecza. Widać nie bano się, że ktoś obrabuje sracz.

Zrobiłem minę jak ktoś, kto ma pełny pęcherz i musi lecieć do toalety nie bacząc, czy autobus, na który czekał nadjeżdża, czy nie. Byłem niemal pewien, że nikt ze stojących na przystanku nie zwróci na mnie uwagi. Rankiem ludzie mają inne zmartwienia. Myślą o pracy, hipotece, dzieciach, nocnym bólu głowy żony. Ani spojrzą na faceta przebijającego nogami.

Szedłem jak ktoś, kto ma wrażenie, że zaraz pęknie mu pęcherz. Wpadłem do środka. Pomieszczenie było stosunkowo niewielkie, trzy metry na trzy, w miarę czyste, zalatujące chlorkiem. Na wprost wejścia znajdowały się dwa pisuary i umywalka, a obok pojemnik z papierowymi ręcznikami. Po prawej - dwie kabiny. W jednej z nich stękał mój bohater.

Zablokowałem drzwi wejściowe, wsuwając pod nie kliny, które zabrałem z hotelu. Nikt nie wejdzie, nikt też nie wyjdzie bez mojego przyzwolenia.

Stanąłem przy pisuarze, tak jakbym się odlewał. Ręce z przodu, z tym że zamiast małego dzierżyłem w dłoni pojemnik z dwutlenkiem. Postanowiłem nie odwracać się, aż facet wyjdzie z kabiny i podejdzie do umywalki.

Minęły trzy, może cztery minuty. Należał pewnie do tych, co te sprawy ułatwiają powoli i z rozmysłem. Na wszelki wypadek nie odstępowałem od pisuaru, facet mógł mnie przecież widzieć przez szparę. Rozglądałem się tylko nie-dbale, jak ktoś zaprzątnięty własnymi myślami i własną fizjologią. Wtedy to spostrzegłem coś, co mnie zaskoczyło.

Amerykańskie szalety różnią się od naszych, przede wszystkim drzwiami. W kabinach montuje się drzwi takie jak w saloonie z westernu. Między podłogą a ich dolną krawędzią jest więc sporo wolnej przestrzeni. No i właśnie w tym prze-

świcie zobaczyłem stopę faceta, zwróconą w stronę ściany, a nie drzwi. Przewdziwna pozycja - przemknęło mi przez myśl, ale dalej już się nie zastanawiałem, bo spostrzegłem, że drzwi są uchylone. Facet się nie zamknął.

Tego też nie analizowałem. Chwyciłem mocniej rurę w garść, podszedłem podabinę, wziąłem głęboki oddech i ramieniem pchnąłem silnie skrzydło drzwi.

Faceta odrzuciło pod ścianę. Wrzeszcząc: „O co, kurwa, chodzi!” wspierał się rękami, żeby nie upaść. Był rosły, kabina mała, musiałem powtórzyć manewr.

Pierwsza zasada ataku brzmi: szybko i mocno. Z całej więc siły napałem na drzwi, przyciskając faceta do ściany. Lewą ręką złapałem go za wybrylantynowane włosy, pociągnąłem w lewo, jednocześnie wziąłem rozmach jak do prawego sierpowego i łupnąłem go rurą tuż poniżej ucha. Nie chciałem go zabić ani trwale okaleczyć. Gdyby na tym mi zależało uderzyłbym kilkakrotnie. Chodziło jedynie tylko o to, by go ogłuszyć.

Tak też się stało. Facet jęknął i osunął się na posadzkę. Przed oczami miał zapewne całą konstelację gwiazd i wrażenie, że łeb mu pęka, bo zawsze tak się dzieje, gdy traci się przytomność. Świadomie użyłem rury, a nie pistoletu. Ludzie różnie reagują na widok pistoletu. Niczego nie można wykluczać. Mogłem trafić na tajniaka skorego do sięgnięcia po broń albo na idealistę, co za swój obowiązek uznaje walkę ze złem. Uważam, że lepiej nie eksperymentować. Nie ma to jak tradycyjne sprawdzone metody.

Osuwając się na ziemię facet uderzył nosem o spluczkę, zaczął krwawić i pojękiwać, musiałem więc go uciszyć.

Lewą ręką obróciłem mu głowę tak, żeby nie zobaczył mojej twarzy, gdyby raptem odzyskał przytomność. Przeszukałem jego kieszenie. Znalazłem portfel i sporą plastikową torebkę. Taka porcja białego proszku pozwoliłaby orbitować przez tydzień nawet bardzo licznej rodzinie. Towar starannie opakowany, gotów do zaoferowania klientom, ale dla mnie bezużyteczny, więc go facetowi zostawiłem.

Teraz już wiedziałem, dlaczego stał w takiej dziwnej pozycji, po prostu się

szprycował. Na podłodze leżała strzykawka, a na jego lewym przedramieniu dojrzałem ślad wklucia.

Ale końcówka należała do mojego przeciwnika. Gdy wstałem poczułem nagle, że mam mokre spodnie. Spojrzałem w dół. Na posadzce rozlewała się wielka, mokra plama. Tracąc przytomność mój klient zlał się jak szczeniak, a ja przez cały czas klęczałem w jego szczynach.

W moczu leżał też klucz do kibla. Gdy go podnosiłem facet zaczął odzyskiwać przytomność, jęczeć i stękać, kolejny cios stał się więc absolutną koniecznością.

Zrobiło się późno. Wyszedłem z kabiny, wyciągnąłem kliny spod drzwi wejściowych, zamknąłem szalet na klucz, klucz rzuciłem w krzaki.

Nie powiem, byłem trochę zmęczony, dyszałem ciężko i czułem, że krople potu płyną mi po twarzy. Musiałem nad tym zapanować, wyglądać w miarę normalnie, bo w każdej chwili mógł nadejść ktoś, kto chciałby właśnie skorzystać z toalety. Gdyby coś takiego się zdarzyło poinformowałbym, że ubikacja jest nieczynna.

Na szczęście nic takiego jednak nie nastąpiło, zacząłem więc spokojnie wycofywać się na z góry upatrzone pozycje. Przeszedłem przez ulicę, tylko raz zerkając za siebie. Więcej nie będę się oglądał. Jeśli coś się zacznie usłyszę hałasy, krzyki, tupot nóg, pościg. Wtedy będę musiał zareagować, w razie gwałtownej potrzeby - miałem za pasem broń.

Przeszedłem obok przystanku i skręciłem w alejkę między domami. Za drugim zakrętem ściągnąłem płaszcz, zdjąłem czapkę i razem z pojemnikiem wrzuciłem do pierwszego kosza na śmieci, jaki się trafił. Wyglądałem zupełnie inaczej niż przed chwilą. Jeszcze tylko okulary i nikt z ewentualnych świadków wydarzenia nie zdołałby mnie rozpoznać.

Wracając na główną ulicę wyjąłem portfel i zacząłem przeglądać zawartość udając, że sprawdzam, czy mam stosowną kartę kredytową. Poprzedni właściciel portfela - Lance White, jak opiewały dokumenty - wydawał się człowiekiem

oddanym rodzinie. W portfelu bowiem znalazłem zdjęcie całej rodziny - Lance z małżonką i dwojgiem dzieci. Nie sądzę, aby panią White zachwyił wygląd męża, gdy już Lance wróci do domu.

Co ważniejsze, znalazłem dwieście czterdzieści dolarów w gotówce. White zdążył więc skorzystać z bankomatu albo z samego rana sprzedał co nieco z zawartości plastikowej torebki. W portfelu było też kilka kart kredytowych, których, niestety, nie mogłem wykorzystać. Szukanie ewentualnego kupca zajęłoby zbyt dużo czasu, z kolei użycie karty w bankomacie lub sklepie zostawia ślad. Poza tym w portfelu znajdowały się jeszcze jakieś zapiski, numery telefonów - zapewne lista klientów pana White'a. Pieniądze schowałem do kieszeni, portfel z resztą zawartości wrzuciłem do kosza.

W sumie miałem teraz czterysta dolarów. Wystarczy na kilka dni, a do tego czasu może odzyskam Pata.

Siki White'a na moich spodniach zaczęły wysychać, ale smród został. Należało pomyśleć o nowych ciuchach.

W pobliżu hotelu, obok restauracji Burger Kinga, zauważyłem kilka tanich sklepów. W kwadrans kupiłem co trzeba: dzinsy, podkoszulek, gacie. Kupiłem także nowe rzeczy, łącznie z bielizną, dla Kelly.

Wracając do hotelu spojrzałem na zegarek. Od wyjścia minęły dwie godziny i piętnaście minut. Nie było mnie dłużej, niż zapowiadałem.

Serce podeszło mi do gardła, gdy zobaczyłem, że drzwi do pokoju są szeroko otwarte. Telewizor był włączony.

Wyciągnąłem pistolet, przylgnąłem do ściany. Nie wierzyłem własnym oczom. Zrobiło mi się słabo, nogi ugięły się pode mną.

Ostrożnie wślizgnąłem się do pokoju. Cisza.

Zajrzałem pod łóżko, może mała schowała się dla zabawy.

- Kelly, gdzie jesteś?! - zawołałem ostrym głosem, żeby zrozumiała, że nie żartuję.

Żadnej odpowiedzi. Serce biło mi tak mocno, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi. Jeśli dopadli małą, to dlaczego jeszcze nie rzucili się na mnie?

Krople potu spłynęły mi z czoła, ogarniała mnie panika. Pamięć podsunęła obraz domu w Tyson's Corner. Rozumiałem teraz, jak bardzo można pragnąć zapomnienia; rozumiałem, co czuła Kelly.

Całą siłą woli starałem się opanować, uspokoić, myśleć logicznie. Wyszedłem na korytarz.

- Kelly, Kelly! - wołałem półgłosem, biegnąc w stronę wyjścia.

I oto, radosna jak ptaszę, z dumną miną, że jest już taka dorosła, mała wyłoniła się zza rogu, trzymając w ręce puszkę coli prosto z automatu. Stropiła się, widząc mnie z pistoletem w ręku i śmiertelnie poważną miną. Uśmiech znikł z jej buzi.

W pierwszym odruchu chciałem ją zwymyślać jak diabli, ale ugryzłem się w język.

Idąc po colę Kelly po raz pierwszy od dłuższego czasu zrobiła coś z własnej inicjatywy. Była dumna i zadowolona z siebie, że się udało. Słowa reprimendy odbiorą jej całą radość, więc nie wolno mi okazać złości. Rozejrzałem się tylko, czy ktoś nas nie widział.

Wróciliśmy razem do pokoju. Poszedłem do łazienki, żeby przygotować kąpiel, potem wróciłem do małej. Wyglądała jak obraz nieszczęścia.

- Nie gniewam się na ciebie - przytuliłem ją - ale niepokoję się, gdy nie wiem, co się z tobą dzieje. Nie powinnaś wychodzić bez uprzedzenia, dajesz słowo?

- A ty daj słowo, że mnie więcej nie zostawisz.

- Słowo. A teraz rozbieraj się i marsz do wanny. - Nie dając jej chwili do namysłu zaniósłem do łazienki.

- Trzeba umyć głowę, potrafisz sama? - Nie miałem pojęcia, czy dziewczynki w jej wieku same myją włosy, czy nie. Zauważyłem, że jest bliska płaczu.

- A więc mam ci pomóc?

- Tak, proszę.

Kto wie, co dzieje się w głowie takiego małego stworzenia. Wziąłem szampon i zabrałem się do mycia. Mała prychała i narzekała, że szczypie ją w oczy, ale chętnie się temu poddawała. Widać potrzebowała takiej właśnie bliskości kogoś drugiego. I nie ma co się dziwić. Cały jej świat stanął na głowie, choć nie zdawała sobie z tego jeszcze sprawy.

- Śmierdzisz. - Pokręciła z odrazą nosem, gdy pod wpływem ciepła zawartość pęcherza Lance'a White'a zaczęła parować z mojego ubrania.

- Muszę się przebrać - odparłem - a ty wskakuj teraz do wanny.

Kelly zajęła się prysznicem z miną osoby zadowolonej z życia. To dobrze, bo o sobie nie mógłbym tego powiedzieć.

Wyszedłem z łazienki. Już z pokoju zawołałem, że ma włożyć nową koszulkę i figi.

- Jakie figi? - zdziwiła się.

Pokazałem jej.

- A, majtki! - Słowo „figi” jeszcze nie zaistniało w jej języku.

Kelly, jak się okazało, lubiła pławić się w wannie, mogłem się z tego tylko cieszyć. Im dłużej się moczyła, tym mniej mnie absorbowwała. Nie nawykłem do zajmowania się małymi dziewczynkami. Pozwoliłem jej więc pluskać się jeszcze dobre pół godziny, po czym kazałem wylazić z wanny i ubierać się.

Sam też wziąłem prysznic, ogoliłem się. Zebrałem wszystkie brudne rzeczy, swoje i Kelly, spakowałem do plastikowej torby. Pozbędę się tego przy pierwszej okazji.

Kelly zdążyła już się ubrać, ale - jak to dziecko - pomyliła guziki u bluzki. Zabrałem się do poprawiania, gdy spostrzegłem, że patrzy na mnie z wyraźną dezaprobatą.

- O co chodzi?

- Te twoje dzinsy są takie... smutne. Powinieneś kupić pięćset jeden, jak tata.

Kurczę! Na domiar wszystkiego trafiła mi się jeszcze dyktatorka mody.

- Właśnie, jak tata - ciągnęła znawczyni najnowszych trendów - też bym takie chciała, ale mama mówi, że nie robią pięćset jeden dla dzieci. A mama nie nosi dżinsów. Aida też nie. Wolą sukienki i spódniczki.

Stanął mi przed oczami obraz Marshy na klęczkach w jej własnej sypialni. Odwróciłem się, skrywając twarz przed wzrokiem Kelly.

Zacząłem ją czesać. Szło mi raczej niesporo. Mała protestowała głośno, bo w moim wykonaniu czynność ta okazywała się nader bolesna. Zrezygnowałem więc z fryzjerskich ambicji na jej rzecz.

Gdy zajęła się fryzurą zacząłem wypytywać ją o PIN Keva.

- Wiesz - powiedziałem - nie pamiętam, jaki tata ma numer do włączania komórki. Próbowałem już jedenaście, jedenaście oraz dwadzieścia dwa, dwadzieścia dwa, ale to nie to. Może ty pamiętasz?

Odłożyła szczotkę, spojrzała na mnie z uwagą i po chwili kiwnęła głową.

- Pamiętasz?

Nie odpowiedziała, ale widać było, że się głęboko zastanawia. Może przyszło jej do głowy, że podając mi numer w jakiś sposób zdradzi ojca.

Wyciągnąłem komórkę z kieszeni. Włączyłem.

- Widzisz? Tu jest napisane, że trzeba teraz podać numer. No więc, wiesz, jaki numer tata wprowadzał?

Milcząc kiwnęła głową. Podąłem jej aparat.

- Pokażesz mi?

Małymi paluszkami zaczęła przebierać po klawiaturze. Patrzyłem uważnie.

- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt! - odczytałem głośno.

- Właśnie, rok mojego urodzenia - potwierdziła z wyraźną satysfakcją i znów sięgnęła po szczotkę.

Ja tymczasem zacząłem studiować książkę telefoniczną.

- Czego szukasz? - spytała, nie przerywając czesania.

- Sprawdzam adres takiej jednej restauracji. Nazywa się „Good Fellas”. Pojedziemy tam poszukać Pata.

Początkowo chciałem po prostu zatelefonować i dowiedzieć się, czy wiedzą, gdzie obraca się Pat. Doszedłem jednak do wniosku, że przez telefon niczego nie wskóram. Zbędą mnie i tyle albo, co gorsza, doniosą gdzie trzeba, że taki jeden telefonował. Konsekwencje mogą okazać się fatalne. Uznałem więc, że lepiej pojechać na miejsce.

Założyłem okulary, co wywołało niepokonowaną wesołość Kelly. Gdy podawałem jej kurtkę zauważyłem, że na dzinsach dynda jeszcze metka ze sklepu. Naprawiłem to przeoczenie i jeszcze raz sprawdziłem uważnie, czy wszystko jest w porządku. Krótko mówiąc, zachowałem się jak troskliwy ojciec przed wyjściem z pociechą na spacer.

Włożyłem kurtkę, sprawdziłem magazynki w kieszeni i komórkę.

- Pamiętasz Pata? - spytałem.

- Nie, a dlaczego?

- Pat, Patrick, kolega taty, może go widziałaś?

- A czy ten Pat zabierze mnie do domu?

- Już niedługo pojedziesz do domu. Musisz być tylko grzeczna i mnie słuchać.

Posmutniała.

- A w sobotę? Wrócimy do domu na sobotę? - spytała. - W sobotę są urodziny Melissy, mojej najlepszej koleżanki. Zaprosiła mnie na cały weekend.

Zmilczałem, bo co miałem powiedzieć? Zresztą nie umiem pocieszać młodych dam.

- Pat pewnie przychodził do was czasami - zmieniłem temat. - Musiałaś go widzieć.

- I muszę kupić prezent dla Melissy. - Kelly ciągnęła swoje. - Zrobiłam dla niej bransoletkę z koralików, ale chcę jeszcze coś.

- Tak więc - trwałem przy swoim - spróbujemy odszukać Pata, bo Pat pomoże nam wrócić do domu, a kto wie, może pójdzie z tobą po zakupy.

- A gdzie on jest?

- Myślę, że znajdziemy go w restauracji, ale musimy bardzo uważać. Pamię-

taj, żebyś z nikim nie rozmawiała, a gdy ktoś cię o coś zapyta, to tylko kiwnij głową i nic nie mów. Jeśli nie będziemy ostrożni, to nie dowiemy się, gdzie jest Pat.

Wierzyłem, że mała zachowa się jak należy, że mogę na nią liczyć. Udowodniła to, gdy pojawił się Luther. Czuję się nieswojo, zapewniając ją o rychłym powrocie do domu, ale też nie miałem innego pomysłu i w ogóle nie bardzo wiedziałem, jak się postępuje z małymi dziewczynkami w takiej sytuacji. Przy odrobinie szczęścia nie mnie przypadnie obowiązek objawienia jej całej prawdy.

Przed wyjściem zadbałem jeszcze o to i owo. Lewy dolny róg koca na moim łóżku ułożyłem na kształt niewielkiej kopertki. Między komodę, na której stał telewizor, a ścianę wcisnąłem zapalną, dokładne miejsce zaznaczyłem długopisem na ścianie. Na koniec umieściłem spinacz do papieru w jednej z szuflad pod telewizorem i podkręciłem odrobinę dźwięk w głośniku.

Rozejrzałem się jeszcze, sprawdzając, czy o czymś nie zapomniałem, czy nie zostawiliśmy nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Książkę telefoniczną odłożyłem na miejsce do szuflady. Pistolet Keva już wcześniej ukryłem w spłuczce. Sprzątaczką tam nie zajrzy, a policja musiałaby mieć nakaz rewizji, co raczej wykluczałem.

Zadbałem o prowiant. Do kieszeni mojej nowej, błękitnej kurtki trzy czwarte wcisnąłem parę jabłek i batonów. Sprawdziłem jeszcze wywieszkę na drzwiach, no i tyle.

Wzięliśmy taksówkę. Oczywiście oszczędniej byłoby pojechać metrem albo autobusem. Od Georgetown dzielił nas spory kawałek drogi, a fundusze mieliśmy ograniczone, jednak zwykła ostrożność nakazywała unikania tłumných miejsc.

Kierowca - Nigeryjczyk - chyba dopiero poznawał miasto, a i z angielskim ledwie sobie dawał radę. Na siedzeniu obok miał rozłożony plan Waszyngtonu, mimo to zaczął mnie wypytywać, jak ma jechać do Georgetown. Gdzie te czasy, kiedy taksówkarze znali miasto jak własną kieszeń? Z cierpliwością pedagoga

objaśniałem mu drogę na planie. Ruszyliśmy. Zakładałem, że podróż potrwa pół godziny.

Mżyło i co pewien czas kierowca uruchamiał wycieraczki. Kelly pogryzała jabłko i gapiła się przez okno. Ja wyglądałem moteli, a nuż trzeba będzie się przenosić.

Jechaliśmy w milczeniu, aż zdałem sobie sprawę, że to może wzbudzić podejrzenia kierowcy. Pasażerowie zwykle rozmawiają, zwłaszcza zaś ojcowie udający się na spacer z dzieckiem.

- Kiedy byłem w twoim wieku - zagadnąłem małą - to nie wozilem się taksówkami. Miałem chyba piętnaście lat, kiedy po raz pierwszy wsiadłem do taksówki.

- Czemu? - Spojrzała na mnie zdziwiona. - Nie lubiłeś taksówek?

- Nie o to chodzi - odparłem. - Nie mieliśmy pieniędzy. Ojczym nie mógł znaleźć pracy.

Chyba nie zrozumiała, o czym mówię. Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, żując cukierka, po czym znów zaczęła wyglądać przez okno.

Przed mostem Key utknęliśmy w korku, niemal o krok od celu. Georgetown rozciągał się po drugiej stronie Potomacu. Piechotą dotarlibyśmy szybciej, ale po co ryzykować. We wszystkich gazetach z pewnością pojawiły się zdjęcia Kelly. Nie wykluczałem też, że na mieście rozlepiono afisze z jej wizerunkiem. Policja zwykle dokładała starań, żeby znaleźć porwane dziecko i schwytać porywacza.

Z planem miasta w rękę dawałem kierowcy wskazówki, jak ma dojechać do wylotu Wisconsin, głównej arterii biegnącej od Potomacu na północ przez całą Georgetown. Bywałem tu kiedyś i nieco pamiętałem. Georgetown to elegancka dzielnica. Osobiście kojarzy mi się z San Francisco. Ceglane chodniki, malownicze, piętrowe domki w stylu kolonialnym, a przed nimi ekstrasamochody - same europejskie marki. Niemal na każdym sklepie i domu wielkie napisy ostrzegające, że obiekt jest pod opieką wyspecjalizowanej agencji ochroniarskiej. Spróbujecie tylko włamać się do środka, a ekipa szybkiego reagowania weźmie

was za dupę, zanim jeszcze zdążycie wyłączyć wideo z kontaktu.

Aleja Wisconsin jest stosunkowo szeroka z mnóstwem sklepów i restauracji. Wśród nich znajduje się „Good Fellas”, po prawej stronie. Fronton w ciemnych barwach, nawet szyby w oknach sporządzono z przydymionego szkła. Tylko szyld nad drzwiami połyskiwał złotymi literami. Zbliżała się pora lunchu, więc cały personel powinien być na miejscu.

Za uchylnymi drzwiami powiało klimatyzowanym chłodem. W długim holu panował dyskretny półmrok. Nastrojowe miejsce. Dziewczyna w recepcji - uśmiechnięta, przystojna i elegancka. Już mnie nie dziwił entuzjazm Pata.

Z bliska wszakże okazało się, że służbowy uśmiech recepcjonistki wyrażał raczej zdziwienie, wręcz niechęć.

- Pan wybaczy... - poderwała się na nasz widok. Miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie - ale...

- W porządku - uspokoiłem ją - nie przyszliśmy na lunch. Szukam przyjaciela, nazywa się Patrick i bywał tutaj często jakieś sześć, siedem miesięcy temu. O ile wiem, Patrick chodził z jedną z waszych dziewcząt. Anglik, mówi z akcentem jak ja - wyjaśniałem śpiesznie, trzymając Kelly za rączkę.

- Nie, proszę pana, nie słyszałam, jestem tu dopiero od początku semestru.

Semestru? - zdziwiłem się w duchu, ale już po chwili skojarzyłem. Georgetown to dzielnica uniwersytecka. Przyszli magistrowie dorabiają, jak mogą.

- A może zapytałaby pani kogoś z personelu, sprawa jest naprawdę ważna. - Mrugnąłem porozumiewawczo, gestem głowy wskazując małą. - Właśnie mam dla niego niespodziankę.

Spojrzała na Kelly i uśmiechnęła się serdecznie.

- Cześć, mała, chcesz miętówkę?

Kelly nie dała się prosić. Wzięła całą garść.

- Może któraś z kelnerek coś wie... - naciskałem.

Gdy moja rozmówczyni zaczęła się zastanawiać do lokalu weszło kilku dżentelmenów. Kelly obróciła ku nim buzię pełną cukierków.

- Jak się masz, młoda damo - zaśmiał się jeden z nowoprzybyłych gości. - Wcześniej zaczynasz - dodał z życzliwą ironią.

Kelly wzruszyła tylko ramionami.

- Niech pan zaczeka - rzuciła recepcjonistka w moją stronę, zajmując się gośćmi. Wskazała im stolik, odprowadziła, po chwili wróciła. - Spróbuję się czegoś dowiedzieć - obiecała i sięgnęła po słuchawkę wewnętrznego telefonu. - Jest tu ktoś z dzieckiem. Pyta o niejakiego Patricka, Anglika, podobno tu bywał... - Zgodnie z modą narodzoną w Londynie, w okolicach Ramsay Street, akcentowała końcówki. - Zaraz ktoś przyjdzie - oznajmiła, odkładając słuchawkę. Staliśmy z Kelly w milczeniu. Minęła minuta, może dwie, gdy zjawiła się kelnerka.

- Proszę pójść ze mną.

A więc jest nadzieja. Pociągnąłem Kelly za sobą, weszliśmy do środka.

Najwidoczniej bywalcy „Good Fellas” lubili obiadować w półmroku. Za całym oświetleniem służyły świece na stołach biesiadników, którym usługiwały skapo odziane kelnerki.

Bar, nieco lepiej oświetlony niż reszta lokalu, znajdował się na prawo od wejścia, pośrodku sali zaś królowała niewielka estrada, nad którą zwieszało się kilka jupiterów.

Wiedziałem teraz, co za magnes przyciągał tu mojego przyjaciela.

Pat lubił to, o czym wszyscy wiedzą, i miał szczęście do kobiet. Przypomniałem sobie gibraltarskie czasy. Mieszkaliśmy wtedy obok siebie. Wynajmowaliśmy modne niby to wille. Obaj byliśmy samotni, teoretycznie przynajmniej, bo Pat niemal przez cały rok utrzymywał coś, co nazywał „związkiem”. A zaczęło się od tego, że wybrał się do klubu na... bal przebierańców. Wrócił o czwartej rano, o czym wiem doskonale, bo obudził mnie pisk hamulców, trzask drzwi, chichoty. Potem z otwartych okien zaczęła płynąć nastrojowa muzyka, nieco później szum wody lejącej się do wanny i znów damskie chichoty, wreszcie nastąpiła cisza. Nazajutrz, około południa, zmywałem właśnie w kuchni, pod dom Pata zajechała taksówka, a z domu wytoczyła się przedziwna para - królowa

Elżbieta I z dwórką. Włosy w nieładzie, stroje też, miny co najmniej zakłopotane. Przemknęły do taksówki, licząc, że nikt ich nie widzi. Kiedy zaczęliśmy później Pata naciskać przyznał, że poderwał rodzinny zespół usługowy - matkę z córką. Nie muszę dodawać, że zadreżaliśmy go potem niewybrednymi żarcikami. Gdy rozglądałem się po mrocznym wnętrzu „Good Fellas” pomyślałem, że mój stary kumpel nic a nic się nie zmienił.

- Cześć, mała. - Jedna z kelnerek pochyliła się nad Kelly.

Dziewczyna miała biust jak Zeppelin, zastanawiałem się, czy z takim balastem z przodu uda jej się wrócić do pionu. Kelly była zachwycona. Rozglądała się dookoła z rozdziawioną buzią.

- Hej, Nick, gdzie my jesteśmy? - spytała z przejęciem.

- W miejscu, do którego ludzie przychodzą po pracy, żeby wypocząć.

- Jak w tym programie „Dzięki Bogu już piątek”?

- Mniej więcej.

A tymczasem nasza przewodniczka wprowadziła nas na zaplecze. Tu zaczął się całkiem inny świat. Jasne światło, szcęk talerzy, nic z mrocznego dostojności sali dla gości. Kuchnia po prawej, po lewej pomieszczenia biurowe. Ściany szare z wyraźnymi ubytkami w tynku, śladami po nieostrożnie przesuwanych meblach - albo po nalocie Zeppelinów.

Jeszcze parę kroków i nasza opiekunka wpuściła nas do pomieszczenia, które wyglądało na garderobę damskiego personelu, z tym jednak, że daleko inaczej, niż to sobie zawsze wyobrażałem.

Wydawało mi się bowiem, że w lokalu z tańcem erotycznym w garderobie siedzi tłum półnagich dziewcząt i wdzięczy się do luster, nakładając makijaż. Tymczasem nic z tych rzeczy. Czysto, przyzwoicie, jak u ciotki w salonie. Kilka foteli, jedno czy dwa lustra, ani śladu dymu z papierosów, a na ściennej tablicy - rozkład zajęć uniwersyteckich i ogłoszenia o pracach kół naukowych.

Dziewczęta, bardzo uprzejme, zaraz zajęły się Kelly.

- Jak się nazywasz, kochanie?

- Josie - pośpieszyłem z odsieczą, ale i tak Kelly musiała dawać sobie radę sama.

Dziewczęta szykowały się do występów, większość już w kostiumach. Jedna z nich, przebrana za Indiankę - jeśli parę piór i skórzaną przepaskę na biodrach można nazwać strojem - zaczęła małej przymierzać to i owo. Kelly poczerwieniała z emocji.

- Podoba ci się?

Nie musiała odpowiadać, oczy mówiły wszystko.

Ja zaś znalazłem się oko w oko z policjantką w nader nieprzepisowym uniformie.

- Szukam znajomego, Anglika. Nazywa się Pat. Mówił mi, że często tu zachodzi. Rzecz w tym - brnąłem - iż pomyliły nam się daty, a umówiliśmy się, że weźmie Josie na wakacje. Mała bardzo chciałaby go zobaczyć, ale jeśli się nie uda, to trudno.

- Dawno go nie widziałam - usłyszałem w odpowiedzi - i nie mam pojęcia, co się z nim dzieje, ale może Sherry coś wie. Powinna już tu być. Możecie poczekać, pewnie wkrótce się zjawi. Tam jest maszynka z kawą, proszę się poczęstować.

Nalałem sobie filiżankę. Kelly chichotała z dziewczętami. Była w siódmym niebie. Niby bardzo dobrze, ja jednak siedziałem spięty, bojąc się, że Kelly może coś chlapnąć.

Na stole i na krzesłach leżały podręczniki. Dziewczyna w stroju tureckiej nałożnicy z zacięciem stuknęła w laptopa, najpewniej zbliżał się termin oddania pracy seminaryjnej.

Tak minęło jakieś dwadzieścia minut. W pewnej chwili drzwi otworzyły się i do środka wpadła zdyszana dziewczyna z rozwianym włosom.

- Cześć, przepraszam za spóźnienie, mam nadzieję, że mój numer nie jest na początku.

Zrzuciła adidas i sięgnęła po kostium.

- Sherry - powiedziała moja „policjantka” - jest tu ktoś - gestem wskazała na

mnie - kto szuka Pata. Wiesz może, co się z nim dzieje?

- Szukam go już od dłuższego czasu - poderwałem się z miejsca - ale przepadł jak kamień w wodzie. Taki już jest, pojawia się i znika, zresztą po co ja to mówię.

- Właśnie - potwierdziła, ściągając džinsy jak gdyby nigdy nic. - Widziałam go jakiś miesiąc temu. - Spojrzała na Kelly, potem znów na mnie. - To pański przyjaciel?

- Znamy się.

- Skoro tak, to dam panu jego numer telefonu. Gdzieś tu powinnam mieć. Myślę, że nie będzie mi miał za złe. - Półnaga, w staniku i skąpych majteczkach, zaczęła przeszukiwać torebkę. - Dziewczęta, która dzisiaj jestem? - rzuciła, nie przerywając poszukiwań.

- Czwartą.

- Rany boskie! Niech się któraś ze mną zamieni, bo nie zdążę. Jeszcze muszę się umalować. - Wreszcie znalazła to, czego szukała. Podała mi reklamówkę „Good Fellas” z ręcznie dopisanym numerem telefonu i adresem na odwrocie. Rozpoznałem charakter pisma Pata.

- To gdzieś niedaleko? - spytałem.

- Riverwood? Jakies piętnaście minut samochodem, po drugiej stronie rzeki.

- Najpierw do niego zadzwonię. Bardzo pani dziękuję.

- Niech mu pan powie, że żyję - dodała z nieśmiałym uśmiechem, który wyrażał równie nieśmiałą nadzieję.

- Idziemy, Josie! - zawołałem do małej.

- Naprawdę musimy? - Wydęła wargi, wyraźnie rozczarowana.

Towarzystwo dziewcząt świetnie jej zrobiło. Nigdy jeszcze, od czasu gdy wyciągnąłem ją z kryjówki, nie wyglądała tak radośnie. Na ustach miała szminkę, na rzęsach tusz.

- Naprawdę. - Zacząłem ścierać makijaż.

- A czy mała nie może tu zostać? - wtrąciła się „policjantka”. - Zajmiemy się nią, nauczymy tańczyć!

- Właśnie, Nick, ja chcę tańczyć.

- Przykro mi, Josie, ale musisz jeszcze trochę podrosnąć, żeby tu pracować, prawda, drogie panie?

- Prawda - potwierdziły chórem, a ta, która pomagała mi doprowadzić małą do porządku dodała głosem zawodowej opiekunki:

- Jeśli się będziesz dobrze uczyć, to będziesz mogła z nami pracować.

Pokazano nam drogę do wyjścia na zapleczu.

- A czemu te panie ubierają się w bikini i pióra?

- Widać są ludzie, którym to się podoba.

Byliśmy już w drzwiach, gdy dobiegł mnie lament Sherry:

- Córka? Sukinsyn, oszust.

14

Znaleźliśmy się znów w alei Wisconsin. Szliśmy w dół, w stronę rzeki, rozglądając się za jakąś kawiarnią lub czymś takim, gdzie można by przeczekać deszcz. Tak dotarliśmy do „Georgetown Diner”. Z zewnątrz wyglądało to bardziej na zwykły dom mieszkalny niż restaurację. Weszliśmy.

W środku raczej pusto, niewielu gości. Zamówiłem kawę, Kelly wzięła colę, siedzieliśmy w milczeniu pogrążeni we własnych myślach. Ja zastanawiałem się, jak nawiązać kontakt z Patem, Kelly marzyła pewnie o tym, że gdy tylko skończy szkołę i zacznie studiować, to będzie paradować w stroju Pocahontas, jak dziewczyny z „Good Fellas”. „Georgetown Diner” był lokalem z ambicjami, łączył funkcje kawiarni i galerii sztuki. Na regale obok naszego stolika wystawiono na sprzedaż zestaw ręcznie malowanych kart pocztowych i widoków Georgetown.

- Nie możemy ot tak sobie pojechać do Pata - rozważałem półgłosem - bo to mogłoby go zdekonspirować. Trzeba też założyć, że telefon jest na podsłuchu. Mogli już ustalić, iż się znamy.

Kelly z całą powagą potwierdzała moje wątpliwości, choć zapewne nie do końca rozumiała, o czym mówię, ale była wręcz dumna, że traktuję ją jak dorosłą.

- Tym bardziej mnie to złości - ciągnąłem - że Pat mieszka ledwie piętnaście minut stąd. Nie wiem, co zrobić. Nie mam pomysłu.

- Wyślijmy mu kartkę - zaproponowała mała, wskazując na regał z pocztówkami.

- Ale zanim poczta dostarczy... - już miałem ją zbyć, kiedy zaświtało mi w głowie, że to wcale nie jest takie głupie. - Masz rację, dobry pomysł.

Uśmiechnęła się radośnie, zadowolona z pochwały. Wybrałem okolicznościową kartkę z życzeniami urodzinowymi ozdobioną wizerunkiem królika z różą w łapie. Poprosiłem kelnerkę o długopis.

„Pat. Sytuacja gówniana, potrzebuję pomocy, Kelly jest ze mną, Kev nie żyje. TO NIE JA - podkreśliłem. - Czekam pod nr 181 322 8665. Zadzwoń zaraz. Tylko z automatu. Nick”.

Umieściłem kartkę w kopercie, zakleiliśmy, poprosiłem kelnerkę o książkę telefoniczną, wyszukałem adres firmy, o którą mi chodziło. Okazało się, że jest całkiem niedaleko, nie trzeba jechać, można dojść pieszo. Zapłaciłem, wyszliśmy. Przestało padać, ale zrobiło się chłodno. Zapięliśmy szczelnie kurtki.

Przedstawicielstwo firmy kurierskiej znajdowało się kilka przecznic dalej, przy tej samej alei.

W kilka minut dotarliśmy na miejsce. Tuż obok znajdował się sklep ze zdrową żywnością i gadżetami dla pasjonatów tego typu rzeczy. Na wystawie jakieś wahadełka, piramidy i minerały, przywracające energię niedomagającym, a zdrowym pomagające ułożyć życie. Ciekawe, który z nich okazałby się skuteczny w mojej sytuacji? Pewnie i wszystkie razem by nie pomogły. Kelly upierała się, żeby ją zostawić, bo chce obejrzeć wystawę, ale pociągnąłem ją za sobą. Samotne dziecko na ulicy zawsze zwraca uwagę. Ktoś mógłby ją rozpoznać. Oczywiście istniało też ryzyko, że w kantorze firmy kurierskiej też ktoś skojarzy małą ze zdjęciem w gazecie. W takich sytuacjach decyzję podejmuje się na wycucie.

Uznałem, że ulica stwarza większe niebezpieczeństwo.

- Czy mogą państwo dostarczyć tę przesyłkę dziś o szesnastej? - spytałem. - Spóźniliśmy się z życzeniami dla bliskiej nam osoby, a to ostatni dzwonek - wyjaśniłem na wszelki wypadek.

Zapłaciłem piętnaście dolarów. Zapewniono mnie, że goniec na rowerze dojedzie pod wskazany adres dokładnie o szesnastej. Miałem dwie godziny na przygotowanie spotkania z Patem.

Tuż obok znajdował się hotel „Latham” i tam właśnie skierowaliśmy się po wyjściu z agencji kurierskiej. Oceniałem, że w dzielnicy uczęszczanej przez turystów mój brytyjski akcent nikogo nie zdziwi. W hotelu rzeczywiście kłębił się tłum, głównie zresztą obcokrajowców. Posadziłem małą w kącie, a sam udałem się do informacji.

- Szukam centrum handlowego z salą zabaw dla dzieci.

To amerykański wynalazek i całkiem niezły interes. Najlepszy dowód, że w całym kraju działało już kilka firm oferujących opiekę nad dziećmi, podczas gdy rodzice udają się po zakupy. Najbardziej znane to „Fun Zone” i „Kids Have Fun”. Dowiedziałem się o tym od Marshy. Poszedłem z nią kiedyś odebrać obie małe, gdy zostawiła je w takiej właśnie placówce na kilka godzin, żeby spokojnie zrobić zakupy. Przy wejściu dzieciom zakłada się rodzaj bransoletki z imieniem i nazwiskiem, która jest tak skonstruowana, że dziecko samo jej nie zdejmie. Rodzic z kolei otrzymuje specjalny znaczek, na podstawie którego będzie mógł odebrać pociechę. Słowem, pełne zabezpieczenie. Pamiętam, jak Marsha uśmiechnęła się wtedy na widok biura podróży, które zainstalowało się tuż obok owej przechowalni dla dzieci.

- Wiesz - powiedziała półzartem - lepszego punktu nie mogli sobie wymarzyć. Zawsze, kiedy przychodzę po dziewczynki kusi mnie, żeby machnąć ręką na przechowalnię, wstąpić tu, wziąć bilet gdzieś na koniec świata i niech się dzieje, co chce.

W informacji tymczasem powiedziano mi, że w mieście jest co najmniej

kilkanaście takich przechowalni, przy różnych centrach handlowych. Sprawdziłem adresy, wybrałem Landside Mall, niedaleko naszego hotelu w Aleksandrii. Wzięliśmy taksówkę. Tym razem szofer nie pytał o drogę.

Landside Mall zbudowano na planie krzyża z czterema wielkimi domami towarowymi - Searsa, Hechta, JCPenneya i Nordstroma - u wylotu każdego z ramion. Kompleks jest ogromny, trzypiętrowy, nie licząc podziemnego parkingu. Pośrodku, gdzie zbiegają się cztery pasaży, są ruchome schody. Na trzecim piętrze usytuowano ciąg restauracji, barów i kawiarni. Temperatura w środku niemal tropikalna, osobiście podejrzewałem, że specjalnie, aby pobudzić pragnienie i napędzić klientów do barów.

Znalazłem salę zabaw - „Kids Have Fun” - obok domu towarowego Hechta.

- Chcesz tu wstąpić? - spytałem Kelly. - Bardzo tu fajnie, możesz obejrzeć wideo i robić różne ciekawe rzeczy.

- Wiem, ale wolę być z tobą.

- Jak chcesz, ale chodź, obejrzymy sobie.

Na razie jeszcze nie zamierzałem jej tam zostawiać. Po pierwsze nie miałem pewności, czy Pat zadzwoni, a po wtóre trzeba najpierw rozpoznać teren.

- Czy obowiązuje u państwa rezerwacja? - spytałem w recepcji sali zabaw.

Okazało się, że nie. Dziecko można zostawić w każdej chwili. Jeśli Pat zadzwoni o czwartej będę miał pół godziny na oddanie Kelly. Zawsze trzeba się liczyć z najgorszym, a to w mojej sytuacji oznaczało, że znają numer komórki Keva, że podsłuchają moją rozmowę z Patem i w ten sposób dowiedzą się, gdzie mnie szukać. Przede wszystkim chciałem więc ukryć Kelly, żeby nie narażać jej na bezpośrednie niebezpieczeństwo, gdyby miał się sprawdzić najgorszy scenariusz. Nie mogłem też do końca ufać Patowi. Musiałem założyć, że albo jedni, albo drudzy zdążyli już do niego dotrzeć i że Pat nie jest po mojej stronie, a wręcz przeciwnie. Jednocześnie jednak musiałem się z nim zobaczyć, bo tylko z nim mogłem wiązać pewne nadzieje.

Obejrzelismy sobie salę zabaw. Z miny Kelly wywnioskowałem, że nawet jej się podoba.

- No dobra, idziemy, ale później będę cię musiał tu przyprowadzić.

- Czemu? - spytała, od razu bliska płaczu.

- Bo będę miał pewne sprawy do załatwienia, rozumiesz? Ale to później, a teraz możesz mi pomóc.

Ucieszyła się.

- Jak już mnie tu zostawisz, to nie na długo, obiecaj!

- Nawet się nie spostrzeżesz, a już będę z powrotem. - Wziąłem ją za rączkę i ruszyliśmy na rozpoznanie.

- Czego szukamy, Nick?

- Sklepu z aparatami fotograficznymi i telefonami.

Przeszliśmy przez cały niemal budynek. Znaleźliśmy interesujący mnie sklep na parterze. Kupiłem ładowarkę do baterii. Kelly zrezygnowała z kupna prezentu dla Melissy. Powiedziała, że podaruje jej bransoletkę, którą sama zrobiła i ma w domu. Wysłuchałem bez słowa.

Parę minut przed szesnastą wyjąłem komórkę Keva z kieszeni, włączyłem. Wskaźniki sieci i naładowania baterii przedstawiały się doskonale. Byłem gotów.

Po kwadransie rozległ się dzwonek.

- Halo.

- To ja.

- Skąd dzwonisz?

- Z automatu.

- O piątej czekam w Landside Mall w Aleksandrii. Wejdz od strony JCPenneya. Idź do środkowego pasażu, ruchome schody, trzecie piętro, stamtąd w stronę Searsa. Zrozumiałeś?

Pat milczał przez sekundę. Notował plan w pamięci.

- OK - potwierdził.

- Po lewej - ciągnąłem - jest restauracja „Roadhouse”. Wejdz do środka, weź

dwie kawy. Do zobaczenia.

- Będę - potwierdził Pat.

Wyłączyłem telefon.

- Kto dzwonił? - zainteresowała się Kelly.

- Pat, pamiętasz, mówiłem ci o nim. Mam się z nim spotkać. A teraz, młoda damo, idziemy do sali zabaw.

Nie czekałem na odpowiedź, bo tak czy owak musiałem teraz pozbyć się Kelly. Dla jej własnego dobra. Jeśli Pat mnie wystawi, to rychło zjawi się tu cały pułk policji.

W recepcji sali zabaw wypełniłem stosowny formularz. Wpisałem to samo nazwisko, pod którym zameldowałem się w hotelu. Kelly fachowym okiem oceniała czekające ją atrakcje: zjeżdżalnię z lądowiskiem w wielkim pojemniku pełnym plastikowych piłek, cały zestaw monitorów, na których bez przerwy wyświetlano kasety wideo dla dzieci, barek z sokami i colą. Na wszelki wypadek upewniła się, gdzie jest toaleta. Rozsądna dziewczynka. Dzieciaków była cała gromada, a między nimi uwijali się opiekunowie i opiekunki, organizując zabawy. Firma wyglądała na solidną, a Kelly powinno się podobać, zwłaszcza że przez ostatnie dwa dni za całą rozrywkę miała hotelowy telewizor. Istniało tylko jedno niebezpieczeństwo, że mała się rozgada i bezwiednie zacznie mnie sypać. Ale trudno, innego wyjścia nie miałem. Zapłaciłem za bilet plus dwadzieścia dolarów tytułem depozytu za magiczny klucz, bez którego nie oddadzą mi dziecka.

- Chcesz, żebym trochę z tobą został?

Wydeła wargi z miną osoby wtajemniczanej w sekrety placówki.

- Nie wolno, tu mogą być tylko dzieci. - Wskazała napis nad recepcją. „Uwaga, rodzice! Prosimy zachować ostrożność i nie zbliżać się do zabawek. Potknięcie grozi kalectwem”.

Jako rodzic z przypadku przyznałem im rację.

- Pamiętasz naszą tajemnicę? - szepnąłem małej do ucha. - Dziś nazywasz się

Josie!

- Tak - odparła niecierpliwie, było jej pilno do zabawy.

- Niedługo wrócę. Zawsze po ciebie wracam, wiesz o tym.

- Wiem - odrzekła, nie patrząc na mnie. Oczami chłoneła już czekające ją atrakcje.

Dobry omen - pomyślałem.

Schodami ruchomymi wjechałem na trzecie piętro. Poszedłem do kawiarni, zająłem upatrzony stolik pod ścianą, zamówiłem kawę i drożdżówkę.

Jeśli Pat nie zdąży na czas odczeka do następnej pełnej godziny i dopiero wtedy zjawi się w umówionym miejscu. Jeśli znów coś stanie na przeszkodzie, wtedy automatycznie spotkanie przenosi się na następny dzień na tę samą godzinę. Tego nie musiałem z nim ustalać, to podstawowe zasady postępowania operacyjnego, mieliśmy je we krwi.

Spojrzałem na zegarek - 16:48. W zasięgu wzroku miałem ruchome schody i pasaż wiodący na parter domu towarowego JCPenneya. Na trzecim piętrze znajdowało się główne wejście do Searsa, a obok niego restauracja „Roadhouse”.

Od razu zauważyłem Pata. Szedł pasażem od strony JCPenneya. Nie śpieszył się. Miał na sobie skórzaną lotniczą kurtkę, dzinsy i adidas. Nic się nie zmienił, przynajmniej z daleka tak się wydawało.

Znaliśmy się jak łyse konie, więc byłem pewien, że wejdzie do JCPenneya punktualnie o siedemnastej, że po drodze upewni się, czy nie ma ogona: zejdzie na parking, odczeka chwilę, zmieni miejsce, znów odczeka chwilę. Pat chadzał z głową w chmurach, ale nigdy w czasie akcji.

Zbliżył się do schodów ruchomych. Odwróciłem wzrok od niego, bo w tym momencie ważniejsze było to, co dzieje się za nim, czy nie wlecze za sobą ogona. Oślaniałem go, a jednocześnie zabezpieczałem swój tyłek. Zadanie nietrudne, bo ci, co mogli go ewentualnie śledzić, nie byli pewni, czy i skąd ich obserwuję. Największą trudność, a i zagrożenie w czasie akcji stwarzają właśnie tacy jak ja - nie wiadomo, gdzie są, a patrzą na wszystko żabim oczkiem.

W warunkach miejskich spotkania konspiracyjne najlepiej organizować w miejscach, w których jest sporo ludzi. Wśród tłumu najłatwiej się ukryć. Trudność wszakże polega na tym, że w tłumie łatwo też przeoczyć ewentualny ogon. Obserwatorzy równie łatwo wnikają w tłum, jak konspiratorzy, z tym jednak, że ich zadanie jest trudniejsze. W tłumie łatwo zmylić przeciwnika. Tak więc, jeśli kiedykolwiek przyjdzie wam konspirować, to polecam uczęszczane centrum handlowe. Będziecie bezpieczni.

Pat wjechał na górę. Tuż za nim wjechała gromadka dziewcząt. Pat skierował się w prawo, dziewczęta w lewo, do lodziarni Baskina i Robbinsa. Pat wszedł do restauracji „Roadhouse”. Oczekałem pięć minut, jeszcze raz rozejrzałem się wokół, dałem znak kelnerce, że zostawiam pieniądze za kawę na stoliku, i ruszyłem w ślad za Patem. Trzymałem się prawej strony pasażu, aby mieć lepszy widok na „Roadhouse”. Obrzuciłem też wzrokiem wnętrze sklepu z damską bielizną, usytuowanego naprzeciwko restauracji. Szukałem kogoś, kto wyróżniałby się na tle innych klientów.

Oczywiście miałem zaufanie do Pata, ale też nie mogłem niczego wykluczać, musiałem więc zachować odpowiednie środki ostrożności. Takie są zasady, tak się zawsze postępuje - żadnych emocji, rzeczowa analiza i gotowy scenariusz na każdy prawdopodobny rozwój sytuacji. Jeśli zajdą od strony Searsa, to robię to i to, jeśli spróbują mnie wziąć w dwa ognie, postąpię tak i tak. W ten sposób wyklucza się element zaskoczenia, zyskuje się cenne ułamki sekund, w czasie których można się wymknąć z rejonu bezpośredniego zagrożenia.

Wszedłem do restauracji i wreszcie zobaczyłem Pata. Myliłem się. Z bliska wyglądał na emeryta, choć ledwie przekroczył czterdziestkę.

Wybrał dwuosobowy stolik pod ścianą, na lewo od wejścia. Kelnerka zdążyła już przynieść dwie filiżanki cappuccino. W sali było pustawo, nie więcej jak dwanaście osób - pili, jedli, rozmawiali, jak to w lokalu. Podeszedłem do Pata, uśmiechnąłem się na powitanie, wyjąłem z kieszeni pięć dolarów, które sobie wcześniej przygotowałem, położyłem na stoliku i rzuciłem półgłosem:

- Idź za mną.

Za moment uzyskam pewność, czy Pat jest w porządku.

Na razie wstał i ruszył za mną bez słowa. Typowe zachowanie, bo to ja byłem gospodarzem spotkania - sponsorem, jak się mówi w naszym fachu - i do mnie należała inicjatywa.

Skierowałem się w stronę toalet w głębi lokalu. Przeprowadziłem rozpoznanie w czasie przechadzki z małą i wiedziałem, że przez toalety można przejść na teren domu towarowego Searsa. Przepuściłem Pata przodem, znaleźliśmy się w dziale odzieży dziecięcej. Stamtąd, klucząc i chwilami nawet zawracając, poprowadziłem go w stronę ruchomych schodów.

Zjechaliśmy na parter, przeszliśmy do działu kosmetyków, potem na parking, a z parkingu do pasażu z mnóstwem sklepików, butików, barów i kafejek.

Szliśmy w milczeniu. Pat o nic nie pytał, niczemu się nie dziwił, znał reguły.

Na zasadniczą rozmowę wybrałem „SubZone”, niewielką restaurację, w której podawano bagietki z dziesiątkiem rodzajów farszu.

Poleciłem Patowi złożyć zamówienie dla mnie: coś do picia oraz bagietkę z żółtym serem i szynką - a potem zająć stolik naprzeciwko toalet.

Sam tymczasem poszedłem właśnie tam, do toalet, żeby sprawdzić ewentualną drogę odwrotu. Znalazłem drzwi wiodące na klatkę ewakuacyjną. Nie otwierałem ich, miały bowiem czujniki instalacji alarmowej.

Wróciłem do restauracji. Ucieszyłem się, że akurat zrobiło się tłoczno, ta okoliczność mi sprzyjała.

Pat siedział przy stoliku oddzielonym od reszty przeszkloną ścianką. Przyniósł już kawę, czekał na zamówione kanapki. Nie czułem się najlepiej. Wypiłem za dużo kaw, a co ważniejsze emocje i zmęczenie z poprzednich dwóch dni zaczynały dawać o sobie znać. Nie wolno mi jednak pozwolić sobie nawet na chwilową dekoncentrację.

Zająłem miejsce naprzeciw Pata. Przez szybę mogłem obserwować wejście do lokalu, mnie zaś od strony drzwi zasłaniała kolumna i osoba mojego rozmówcy.

Wyglądał, delikatnie mówiąc, nieszczególnie. Oczy zaczerwienione i podkrążone, twarz opuchła, brzuch zwisający nad paskiem spodni.

- Przyjechałem do ciebie na wakacje i właśnie wybraliśmy się po zakupy. - Zgodnie z zasadami przedstawiłem scenariusz.

- W porządku.

Zakładając, że Pata przekabacono albo zmuszono do działania przeciwko mnie należało uwzględnić, iż ma ukryty mikrofon, za pomocą którego ktoś kontroluje naszą rozmowę. Musiałem to sprawdzić.

- W razie czego odskakuję w tym kierunku. - Gestem wskazałem toaletę.

Gdyby teraz Pat powiedział: „rozumiem, do toalety”, to miałbym dowód, że ktoś nas podsłuchuje. Na szczęście tylko kiwnął głową. Był więc czysty. Odetchnąłem. Mogłem przejść do rzeczy.

- I jak leci? - zacząłem.

- Średnio, ździebko lepiej niż tobie. A jak mnie znalazłeś?

- Przez Sherry z „Good Fellas”. Nawiasem mówiąc, niezła sztuka - zaśmiałem się.

- Ano niezła. - Też wyszczerzył zęby. - Co jest grane?

- Mam na karku wszystkie psy z całego miasta.

- Ale numer! - ożywił się.

Zacząłem opowiadać całą historię, ale nie skończyłem, bo właśnie kelnerka przyniosła kanapki. Długie na pół metra, wystarczyłoby dla pułku wojska.

- Coś ty, do cholery, zamówił? Mamy tu siedzieć cały dzień?

Nie odpowiedział, zaczął pożerać swoją bagietkę z takim apetytem, jakby głodował od paru dni.

- W zasadzie - ciągnąłem - chodzi mi tylko o jedno, żeby zamknąć sprawę i spieprzać do domu, ale muszę jeszcze to i owo załatwić. Po pierwsze ustalić, co się naprawdę dzieje. Pamiętasz Simmonsa?

- To on jeszcze funkcjonuje?

- Tak, jestem z nim w kontakcie. Powiedziałem mu nawet, że jeśli Firma mnie

z tego nie wyciągnie, to wywelekę polisę ubezpieczeniową.

- Poważnie? - Pat zrobił wielkie oczy. - Skoro tak, to znaczy, że wdepnąłeś w wielkie gówno. I co na to Simmonds? - Ni stąd, ni zowąd Pat zaczął chichotać.

Przedstawiłem mu szczegóły sprawy. Trwało to dobre piętnaście minut.

- Myślisz, że to PIRA załatwiła Keva? - spytał, gdy skończyłem. Cały czas podskubywał moją kanapkę, podsunąłem mu więc talerz pod nos.

- Trudno wyczuć. A ty jak sądzisz?

- No cóż, tu w Waszyngtonie krążyły wieści, że w osiemdziesiątym ósmym jacyś Amerykanie maczali palce w sprawach Gibraltaru. - Zaczął wyjadać z kanapki pikle i plasterki pomidora.

- To znaczy?

- Dokładnie nie wiem. Mówiło się, że sprawa miała coś wspólnego z ówczesnymi wyborami, że chodziło o głosy irlandzkiego elektoratu czy coś takiego. Mówiono także, że PIRA inwestuje wpływy z Noraid w rynkach narkotyków.

Skąd on wie o prochach? - przemknęło mi przez myśl i posmutniałem, uświadamiając sobie, że z własnego doświadczenia. Pat tymczasem nadal atakował moją kanapkę.

- To wyjaśniałoby sprawę Keva - rozważałem głośno. - Pracował przecież w DEA.

- Niewykluczone. Nasi - ciągnął - od lat dąsali się na jankesów o Noraid i pomoc dla PIRA. Jankesi jednak mieli to w dupie, ważniejsze dla nich były irlandzkie głosy w wyborach.

- A skąd wiesz?

- Słyszałem. Słyszałem, że PIRA kupuje kokainę w Ameryce, przerzuca do Europy i robi na tym spory szmal. Nie jest to nowa sprawa, bo trwa od lat, ale mógłbyś od tego zacząć. A zresztą, co ci będę tłumaczył. Od myślenia zawsze byłeś ty, nie ja.

Rzeczywiście. Gdy się ma i pieniądze, i organizację terrorystyczną, to nic prostszego, jak wejść w narkotyki i zacząć pomnażać majątek, to wręcz logiczne

rozwiązanie. Z drugiej strony nikt w Ameryce, żaden rząd, nie zacznie majstro-
wać przy Noraid, bo byłoby to politycznym samobójstwem, biorąc pod uwagę
siłę irlandzko-amerykańskiego elektoratu. Co innego, gdyby ujawnić, ba, udo-
wodnić, że funduszami z Noraid obraca się na rynku narkotyków. Kto wie, może
Kev wpadł na jakiś ślad i dlatego PIRA przysłała zabójców.

- Myślisz, że Kev coś wyniuchał albo przeciwnie - też się umoczył i dlatego
go załatwili?

- Nie mam pojęcia, a zresztą to nie moja broszka, nie lubię takich spraw -
uciał. - A w ogóle, to czego potrzebujesz?

- Pieniądzy.

Przestał dłużyć w mojej kanapce, sięgnął do kieszeni, wyjął kartę do banko-
matu.

- Na koncie jest jakieś trzy tysiące. Możesz wyciągnąć wszystko. A co z tą
małą? Masz jakieś plany?

- Z małą w porządku, jest ze mną - stwierdziłem sucho, dając do zrozumienia,
że nic więcej nie powiem. Nigdy za wiele ostrożności. - Dzięki za kartę i dzięki,
żeś przyszedł. - Nie chciałem, żeby pomyślał, iż nie jestem mu wdzięczny. - I
jeszcze jedno, nie będę cię w nic wciągał, nie chcę cię narażać, ale czy mógłbyś
zadzwoić do mnie wieczorem? Muszę coś przemyśleć, zastanowić się, co dalej.

- Dziewięć trzydzieści?

- OK. - W tym momencie błysnęła mi w głowie genialna myśl, już druga tego
dnia. - Słuchaj, może wiesz, czy Sinn Féin ma w mieście jakieś biuro czy coś
takiego?

- Nie wiem, ale mogę popytać, a czemu?

- Chciałbym sprawdzić, czy istnieje jakiś związek między tymi, co dobierają
mi się do skóry, a PIRA. Chciałbym więc popatrzeć, kto wchodzi, kto wychodzi,
kto się kręci wokół miejscowego przedstawicielstwa PIRA, jeśli coś takiego jest.
Myślę, że to byłby dobry początek.

Pat odsunął talerz z rozgrzebaną kanapką.

- OK. Bądź ostrożny, nie daj się ujechać.
- Bez obawy. A teraz wychodź, ja zostanę jeszcze dziesięć minut. Komórkę włączę o dwudziestej pierwszej dwadzieścia pięć.
- W porządku. Trzymaj się! A jak Sherry? Tęskni za mną? - Zaśmiał się i wyszedł.

15

Wróciłem do Searsa, znalazłem bankomat, podjąłem trzysta dolarów.

Zbliżał się wieczór, na dworze było ciemno, a w sklepach ciągle jeszcze tłumy. Nie mogłem wykluczyć, że mimo wszystko mam ogon, że śledzą mnie, aby dotrzeć do Kelly, więc na wszelki wypadek postanowiłem się rozejrzeć przed pójściem po małą do sali zabaw. Skrupulatnie unikałem kamer systemu ochrony. Nie zauważyłem nic szczególnego, wszystko wyglądało normalnie, jak to w sklepach. Naprzeciwko sali znajdował się sklep sportowy. Wszedłem tam, udając, że zafrapował mnie na wystawie sprzęt do koszykówki. Z zapalem zaprzyjętego kibica NBA oglądałem koszulki ze znakami różnych drużyn, a w istocie pilnie obserwowałem, co dzieje się w sali zabaw. Dzieciaków cała gromada, ale Kelly nie widziałem.

Poszwendalem się trochę po sklepie, po chwili wróciłem do swego punktu obserwacyjnego i wreszcie dostrzegłem małą. Siedziała na podłodze wśród gromadki maluchów i gapiała się w telewizor, popijając sok z kartonu. Gdy tak na nią patrzyłem pomyślałem, że ta mała istota nic tylko je, pije i ogląda telewizję. Maluczko, a będzie taka jak mój przyjaciel Portek.

Poszedłem po nią. W recepcji oznajmiłem, że chcę odebrać córkę. Chwilę trwało, nim sprawdzili, czy ja to ja, a Kelly to Kelly, po czym przyprowadzili małą.

- Cześć, Josie, jak było? - spytałem, zakładając jej buty.

Nic nie odpowiedziała. Dąsała się, że zjawilem się akurat w połowie filmu,

który oglądała. Potraktowałem to jako zapowiedź powrotu do normy. Przez tych kilkadziesiąt minut odpocząłem od Kelly, ale też uświadomiłem sobie, że w pewnym sensie było mi jej brak. To stwierdzenie zaskoczyło mnie samego.

Pojechaliśmy taksówką, ale wysiedliśmy kilka przecznic przed hotelem. Resztę drogi przeszliśmy pieszo. W tej okolicy, jak nigdzie indziej, mogliśmy się czuć bezpiecznie.

Weszliśmy na górę, otworzyłem drzwi. Telewizor grał, zachwalali właśnie zalety nowych nissanów. Zapaliłem światło, kazałem małej poczekać na korytarzu, a sam od progu uważnie obejrzałem pokój.

Łóżka nie pościelone, zasłony zasunięte, a więc pokojowej nie było. Zastosowała się do wywieszki „nie przeszkadzać”, czemu nie ma co się dziwić - mniej roboty za te same pieniądze.

Sprawdziłem jednak zabezpieczenia. Najpierw zmarszczka na kocu. Nie tknięta. Gdybym od progu zauważył, że coś jest nie tak musiałbym z miejsca zdecydować czy dajemy nogę, czy mimo wszystko wchodzimy.

Weszliśmy. Sprawdziłem pozostałe zabezpieczenia. Zajrzałem za komodę. Zapałka na swoim miejscu, dokładnie tam, gdzie ją umieściłem, a więc wsparta jednym końcem o mikroskopijną kropkę na ścianie. Nawet najlepszy zawodowiec nie zwróci na coś takiego uwagi. Krótko mówiąc, gdyby ktoś tu buszował, to mimo najlepszych chęci i fachowej wiedzy nie zdołałby umieścić zapałki dokładnie w tym samym miejscu. Wyglądało więc na to, że wszystko jest w porządku.

- Nick, co ty robisz? - Małą zainteresowały moje poczynania.

- Nic takiego, sprawdzam tylko, czy wtyczka dobrze tkwi w gniazdku. Wydawało mi się, że wypada.

Patrzyła na mnie zdziwiona, gdy na kolanach zacząłem zaglądać do szuflad w komodzie.

- Może ci pomóc?

- Nie, nie trzeba.

Usadowiła się na łóżku i zaczęła zajadać chrupki z celofanowej torebki. Rany boskie, jak te dzieci fatalnie się odżywiają.

Trzecie zabezpieczenie to spinacz do papieru. Umieściłem go w lewym rogu środkowej szuflady. Wziąłem lampkę nocną i uważnie sprawdziłem. Spinacz leżał na miejscu, tak jak go zostawiłem. W porządku, nikt nie zaglądał tu pod naszą nieobecność.

Uspokojony zająłem się Kelly. Zdjąłem jej buciki, schowałem do kieszeni kurtki, kurtkę powiesiłem przy drzwiach. Ogarnąłem trochę łóżka.

- Jesteś głodna?

- Nie wiem. - Spojrzała wymownie na wyjedzoną torebkę chrupek. - Myślisz, że powinnam coś zjeść?

- Jasne, że tak. Zaraz coś przyniosę. Poczekasz na mnie, a potem pozwolę ci posiedzieć do późnego wieczora. Tylko żebyś nikomu nie mówiła, to będzie taka nasza tajemnica, dobrze?

- Jasne - zaśmiała się.

Też poczułem się głodny. Pat wyżarł mi prawie całą kanapkę.

- Pamiętasz naszą umowę? - upewniłem się. - Zostawię na drzwiach wywieszkę „nie przeszkadzać”, a tobie nie wolno wychodzić i nie wolno nikomu otwierać, jasne?

- Jasne!

- À propos, oczywiście Mickey D's?

- Jasne!

Deszcz zelżał, ruch na ulicy też. Przede wszystkim musiałem kupić jakieś ubrania dla siebie i Kelly.

Zaraz potem poszedłem po jedzenie. Stojąc w kolejce po hamburgery myślałem, jak dziwnie toczy się życie. Jednego dnia w Vauxhall otrzymuję tajne zadanie, a niemal nazajutrz muszę wyteżać umysł, żeby sobie przypomnieć, jaki koktajl mleczny lubi mała dama, nie mówiąc już o tym, że zaczynam się martwić

czy spodoba jej się nowa bluzka, czy nie.

Wracając do hotelu sprawdziłem godzinę - 21.20, później, niż myślałem. Pora włączyć telefon. Przystanąłem w wejściu do sklepu, bo na dworze jeszcze mżyło.

Telefon zadzwonił punktualnie o czasie. Wiedziałem, kto dzwoni, ale mimo wszystko wzdrygnąłem się. Nie mogłem przecież wykluczyć, że to do Keva.

- To ja - rozległ się w słuchawce głos Pata. - Mam coś dla ciebie.

- Sekundę. - Zatkałem palcem drugie ucho, żeby niczego nie uronić. - Wal.

- Ball Street sto dwadzieścia sześć. Dzielnica Crystal City, między lotniskiem National a Pentagonem. Zapamiętałeś?

- W porządku. - W myślach powtórzyłem adres. Okolice z grubsza znałem. Byłem kiedyś w Pentagonie, a na lotnisku National co najmniej kilka razy. - Zdzwaniamy się jutro?

- Tak.

- O tej samej?

- Tak... Powodzenia.

- Cześć.

Wyłączyłem telefon, raz jeszcze w myślach powtórzyłem adres. Takie rzeczy notuje się wyłącznie w pamięci, w żadnym wypadku na papierze.

Telefon poprawił mi nastrój. Do tej pory poruszałem się po omacku. Teraz miałem punkt zaczepienia. Co prawda, nie bardzo jeszcze wiedziałem, jak wykorzystam wiadomość od Pata, ale zawsze był to jakiś początek. Poczulem się znów w siodle.

Kiedy zjedliśmy hamburgery rozsiedliśmy się przed telewizorem, ale Kelly chciała sobie pogadać.

- A u siebie, Nick, oglądasz telewizję?

- Trochę oglądam.

- A jaki jest twój ulubiony program?

- Czy ja wiem, chyba wiadomości, a zresztą angielska telewizja jest całkiem inna niż wasza. A twój ulubiony program?

- „Clueless”.
- A co to takiego, kryminał?
- Głupi jesteś jak but, wcale nie kryminał, ale o takiej jednej dziewczynie.
- I co ona robi?
- Nic nie robi, chodzi po sklepach.

Mała ślęczała prawie do jedenastej, wreszcie zasnęła, a ja zabrałem się do studiowania planu Waszyngtonu. Interesowała mnie, oczywiście, Ball Street.

I rzeczywiście znajdowała się dokładnie między lotniskiem a Pentagonem. Jeśli naprawdę urzędują tam chłopcy z PIRA, to trzeba im pogratulować odwagi i bezczelności, bo bywają zapewne w tych samych barach, co faceci z Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Chwilowo nic więcej nie miałem do roboty. Mała spała jak suseł. Otuliłem ją kołdrą, sam też się położyłem. W czasach kiedy służyłem w piechocie, a więc wieki temu, powiadano, że trzeba kimać, gdy tylko zdarza się okazja, bo nigdy nie wiadomo, kiedy znów będzie można złapać trochę snu.

Gdy otworzyłem oczy wydawało mi się, że w telewizorze idzie ciągle ta sama kreskówka. Marzyłem o herbacie.

Zwlokłem się z łóżka, przyczesalem włosy i wyjrzałem przez okno. Znów lało jak diabli. Zszedłem na dół, wziąłem trzy porcje śniadaniowe i picie. Wcale nie za dużo, zważywszy na apetyt małej.

- Wstajemy, wstajemy - urządziłem jej pobudkę.

Uchyliła jedno oko, widać, że niechętnie, ziewnęła, przeciągnęła się jak kot i znów zwinęła w kłębek. Wcale jej się nie chciało wstawać. Ale gdy zacząłem napszczać wodę do wanny zjawiała się w łazience z ręcznikiem w ręku. Bardzo dobrze, pomyślałem, wreszcie otrząsnęła się po przeżyciach ostatnich dni.

Zostawiłem ją w łazience, zaczęła się pluskać. Ja w tym czasie przejrzałem wszystkie kanały telewizyjne. Na żadnym ani słowem o nas nie wspomiano. W

stolicy Stanów Zjednoczonych notuje się tak wiele zabójstw każdego dnia, że nasza historia kwalifikowała się już tylko do archiwum, co oczywiście wcale mnie nie zmartwiło.

Po kąpieli Kelly samodzielnie ubrała się i uczesała, nie musiałem w niczym jej pomagać. Kiedy zasiadła do śniadania ja poszedłem wziąć prysznic.

Po wyjściu z łazienki oznajmiłem, że opuszczamy hotel.

- Wracamy do domu? - ucieszyła się. - Mówiłeś przecież, że jeśli spotkasz się z Patem, to pojedziemy do domu.

- Już niedługo - zapewniłem ją, podałem jej kurtkę, pomogłem włożyć buty - ale jeszcze nie teraz. Tata musi wypocząć. Pat da nam znać, kiedy będzie można pojechać do domu. A tymczasem musimy jeszcze coś zrobić. Nie bardzo umiem i nie bardzo mogę ci wytłumaczyć, co się dzieje, ale to wkrótce się skończy. Obiecuję ci, niebawem wrócisz do domu.

- Właśnie, bo Jenny i Ricky zostali bez opieki.

Zamarłem. Czyżbym coś spieprzył? Czy oprócz Kelly w domu był ktoś jeszcze? Musiałem wyglądać naprawdę głupio, bo Kelly pośpieszyła z wyjaśnieniem:

- To moje misie - powiedziała z uśmiechem, ale zaraz spoważniała. - Bardzo za nimi tęsknię, a poza tym chciałabym pójść na imprezę do Melissy. Pamiętasz, mówiłam ci o Melissie?

Pogłaskałem ją po głowie. Spojrzała na mnie niepewnie, jakby wiedziała, że coś przed nią ukrywam. Postarałem się zmienić temat.

- Chodź, pokażę ci, gdzie dziś się zatrzymamy. - Rozłożyłem plan miasta. - O, widzisz, tu, nad rzeką. Weźmiemy taksówkę, znajdziemy sobie hotel, koniecznie z telewizją kablową, i pooglądamy filmy. A jeśli w hotelu nie będą mieli telewizji kablowej, to pójdziemy do kina.

- A możemy na „Jungle-2-Jungle”?

- Oczywiście.

Nie miałem zielonego pojęcia, o jaki film jej chodzi, ale to nieważne. Istotne,

że udało się zejść z tematu rodziny i domu.

Uregulowałem rachunek, ku mojemu zaskoczeniu dali mi rabat, potem wróciłem na górę po Kelly i bagaż. Pistolet Keva zostawiłem tam, gdzie go ukryłem, w spluczce. Uznałem, że z jednym magazynkiem nie warto go dźwigać, zwłaszcza że miałem siga z trzema zapasowymi magazynkami.

Po wyjściu z hotelu skręciliśmy w pierwszą przecznicę, a po chwili znów skręciliśmy. Chciałem jak najszybciej zniknąć z pola widzenia, nim w recepcji zaczną się zastanawiać, gdzie się podziała trzecia osoba, bo przecież wynajmowałem pokój dla dwojga dorosłych z dzieckiem.

Złapałem taksówkę i poprosiłem do Crystal City. Tym razem za kółkiem siedział Azjata, na oko sześćdziesięcioletni. Na siedzeniu obok miał rozłożony plan miasta, ale nie pytał mnie o drogę. Wyglądało, że wiezie nas we właściwą stronę. Kelly nie zdejmowała kapelusza. Kusiło mnie, żeby z niej pożartować, że wygląda jak Miś Paddington, ale dałem spokój, za dużo musiałbym wyjaśniać.

Dojeżdżaliśmy, kierowca zapytał, gdzie się ma zatrzymać. Odparłem, że przy stacji metra. Co prawda, nie bardzo wiedziałem, gdzie jest stacja, ale to bez znaczenia.

Zapłaciłem, taksówka odjechała. Dzielnica wyglądała na elegancką. Zaraz obok miejsca, w którym wysiedliśmy, wznosił się budynek hotelu „Carlton-Ritz”, a wiadomo, ile tam biorą za apartament. Niedaleko też znajdował się Pentagon. Rozejrzałem się i pociągnąłem Kelly w kierunku miejscowego centrum handlowego. Chciałem znaleźć bankomat, aby stosownie rozpocząć nowy dzień w naszym życiu.

Zaopatrzeni w gotówkę znów wyszliśmy na ulicę. Skierowaliśmy się w stronę Potomacu. Trzymałem małą za rączkę, nie tylko wtedy, gdy przechodziliśmy przez ulicę, ale cały czas i wcale mnie to nie krępowało. Przeciwnie, sprawiało mi nawet przyjemność. Po raz pierwszy chyba poczułem coś w rodzaju dumy, że jestem za nią odpowiedzialny, choć może wcale nie o to chodziło. Facet prowa-

dżący dziecko za rączkę nie budzi podejrzeń i może właśnie dlatego tak mi się ten spacer we dwoje podobał?

Przeszliśmy pod wiaduktem, którym biegła trasa szybkiego ruchu do śródmieścia stolicy. Aż huczało od samochodów mknących górą. Przypomniała mi się scena z filmu „Kabaret”, kiedy to bohaterka krzyczy pod takim mostem, ile sił w płucach, odreagowując wszystkie frustracje. Pod mostem można krzyczeć do woli, bo i tak nie słyhać. Opowiedziałem małej, ale nie dodałem, że sam mam ochotę wrzeszczeć jak opętany.

Za wiaduktem roztaczał się całkiem inny widok. Łatwo można było sobie wyobrazić, jak okolica ta wyglądała pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu, bo chyba niewiele się zmieniła. Teraz wiało tu smutkiem opuszczonego, popadłego w ruinę miejsca - dawnej stacji kolejowej. Konstrukcję wiaduktu w tej części skrywał solidny betonowy mur, wzdłuż którego prowadziła pełna wszelakiego śmiecia udeptana droga. Chodnika nie było. Wyglądało na to, że i miejscowi, i przyjezdni zostawiali tu samochody, aby nie płacić za parking w mieście. Po prawej stronie drogi stał stary magazyn kolejowy, przerobiony na tanie kino. Nie zadano sobie trudu, żeby zlikwidować niepotrzebne nikomu tory. Biegły pod sam budynek, czerwieniejąc od rdzy i zieleniąc się od chwastów, które wyrastały między szynami i podkładami. Kontrapunktem dla tego obrazu był nieustanny huk pędzących górą samochodów.

Minęliśmy składnicę złomu, a idąc dalej przeszliśmy obok dawnej hurtowni cementu. Wystawiono ją nad samą rzeką, którą ongiś przyływały statki z cementowni. Nagle zobaczyliśmy hotel „Calypso”. Budynek utrzymany w stylistyce lat sześćdziesiątych nadal sprawiał solidne wrażenie. Tkwił tak jak wyzwanie rzucone przyszłości połyskującej chromem i szkłem. Przetarłem oczy, żeby dokładniej obejrzeć „Calypso”. Z dachu hotelu sterczała potężna antena satelitarna. Miała ze trzy metry. Przy tych gabarytach mogłaby z powodzeniem zdobić dach Pentagonu.

Za hotelem skręciliśmy w prawo, potem jeszcze raz w prawo i znaleźliśmy się

na Ball Street.

Cała okolica była nieprawdopodobnie głośna, bo do łoskotu aut sunących wiaduktem dochodził huk startujących i lądujących na pobliskim lotnisku samolotów.

- Gdzie my właściwie idziemy? - spytała Kelly, przekrzykując hałas.

- A tutaj - odparłem. - Chcę sprawdzić, czy właśnie tu znajduje się biuro mojego znajomego. Zaraz potem poszukamy sobie hotelu.

- A czemu musimy stale zmieniać hotele?

Zaskoczyła mnie. Zajęty byłem sprawdzaniem numerów domów i może dlatego dałem jej najgłupszą w świecie odpowiedź.

- Bo mnie się szybko nudzi, zwłaszcza gdy jedzenie jest nie najlepsze. To, co dali wczoraj, to była chała.

- Co to jest chała?

- To znaczy, że jedzenie było niedobre.

- Wcale nie. Mnie smakowało.

- Mówię ci, że chałowe. Dziś wybierzemy sobie jakiś przyzwoity hotel.

- A nie możemy pojechać do domu?

Na szczęście w tym momencie rozległ się huk startującego odrzutowca, a maszyna w pełnej krasie pojawiła się tuż nad naszymi głowami. Patrzyliśmy jak urzeczeni, a Kelly zapomniała, że winien jej jestem odpowiedź na dość zasadnicze pytanie.

- Chodź, poszukamy tego biura - odezwałem się, gdy samolot przeleciał.

Wodziłem wzrokiem po lewej stronie ulicy, wypatrując celu. Zabudowa architektoniczna Ball Street mogła służyć jako ilustracja eklektyzmu. Obok przerobionych hal fabrycznych i dawnych magazynów wznosiły się nowoczesne biurowce. Między nimi rozciągały się parkingi na nie zabudowanych działkach, za którymi zieleniały drzewa nad Potomakiem odległym o jakieś trzysta metrów.

Byliśmy na wysokości dziewięćdziesiątego numeru. Do przedstawicielstwa PIRA już blisko. I rzeczywiście, po chwili przed naszymi oczami pojawił się

nowoczesny dwupiętrowy biurowiec w stylu paryskiego Centrum Pompidou, a więc przeszklony z widocznymi na zewnątrz elementami stalowej konstrukcji. We wszystkich oknach paliły się jarzeniówki. Próbowałem odczytać szyldy nad wejściem, ale utrudniał to coraz mocniej padający deszcz. Musiałbym albo podejść bliżej, albo wpatrywać się przez dłuższy czas, a tego wolałem uniknąć. Odczytałem tylko jedną wywieszkę - UNICOM - reszty, niestety, nie udało się.

W każdym razie budynek wielce różnił się od tych siedzib Sinn Féin czy PIRA, które widywałem w Ulsterze. W Londonderry, na przykład, biura urządzone w piętrowej, pamiętającej lata dwudzieste kamieniczce z suterunami na dwóch poziomach, w Belfaście - podobnie. Nie umywały się do tego tu. Zacząłem się zastanawiać, czy Pat nie pomylił adresu? Spodziewałem się raczej czegoś innego, choć oczywiście nie mogłem wykluczyć, że PIRA zainstalowała się tu na Ball Street pod szyldem jakiejś pozornie zwyczajnej firmy handlowej.

Gdy już minęliśmy obiekt nawet się nie odwróciłem. Zasada polega na tym, żeby wszystko obejrzeć i zapamiętać za pierwszym razem.

- Nick? - odezwała się mała.

- Tak?

- Zmokłam.

Rzeczywiście, przemokła do szczętu, jej buty nasiąkły jak gąbka. Tak skoncentrowałem się na obserwacji budynku, że nie zważałem na kałuże. Wpadliśmy po kostki. Pomyślałem, że muszę kupić Kelly kalosze.

Doszliśmy do ostatniego skrzyżowania przed rzeką. Na prawo wznosił się wiadukt, a przed nim widać było dach hotelu „Calypso” z charakterystyczną anteną satelitarną. Humor mi dopisywał. Nie minęła jeszcze jedenasta, a już zaliczyliśmy rozpoznanie obiektu i znaleźliśmy całkiem przyzwoite lokum. Nieźle jak na jeden poranek.

Skreśliśmy na parking przy hotelu. Kazałem małej schować się między stojącą tam półcieżarówką a furgonem pocztowym. Im mniej oczu ją widzi, tym lepiej.

- Poczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

- A nie mogę pójść z tobą?

- Nie - odparłem dość zdecydowanie, żeby uciąć dalszą dyskusję. - A zresztą to nie potrwa długo. - Odwróciłem się na pięcie, zanim zdążyła znów otworzyć usta.

Recepcję urządzono w jednym z pokoi na parterze, a obsługa nie bawiła się w żadne formalności. Z miejsca okazała zrozumienie dla biednego Brytyjczyka bez paszportu i kart kredytowych, ale za to z gotówką, więc już po chwili wspinaliśmy się z Kelly na piętro do naszego pokoju.

- Podwójna chała! - Mała pociągnęła mnie za rękaw.

- Co proszę?

- Chała, podwójna! - powtórzyła. - O poprzednim hotelu powiedziałeś, że to chała. Więc ten to chyba podwójna chała!

Trudno było się nie zgodzić. Na dodatek zalatywało wymiocinami.

- Nie bądź taka prędką - zaprotestowałem, bo co miałem zrobić. - Poczekaj, aż zobaczymy pokój. Widziałaś antenę na dachu. Pewnie odbierają tu wszystkie kanały z całego świata. To całkiem porządny hotel.

W pokoju rzeczywiście stał wielki telewizor. Reszty wystroju dopełniały dwa podwójne łóżka, komoda połączona z biurkiem pamiętającym lepsze czasy, prymitywna szafa w ścianie i półka na walizkę.

W łazience odkryłem miniaturowy flakon z szamponem do włosów.

- Widzisz? - pokazałem z dumą małej. - Po czymś takim poznaje się klasę hotelu. To jest „Ritz”, moja droga.

Włączyłem komórkę do prądu, żeby podładować baterie, a zaraz potem zająłem się telewizorem. Pobuszowałem po kanałach, szukając czegoś sposobnego dla Kelly. Oglądanie telewizji stało się już częścią naszego SOP - standardowego

postępowania operacyjnego.

Zdjąłem z Kelly kurtkę, otrzepałem z deszczu, przełączyłem klimatyzator na grzanie. Zależało mi, żeby w pokoju zrobiło się gorąco.

- Co oglądasz?

- „Power Rangers”.

- O czym to jest?

Znałem tę kreskówkę, ale chodziło o podtrzymanie rozmowy. Trzeba dołożyć starań, aby wytworzyć, nazwijmy to, normalne stosunki. Nie zamierzałem zaprzyjaźnić się z małą, bo i po co, ale też nie chciałem, aby utrzymywał się między nami dystans. Kogoś mogłoby to zainteresować.

- A kto ci się najbardziej podoba? - pytałem o postaci z filmu.

- Katarzyna, to ta różowa.

- Ze względu na kolor?

- Nie, po prostu jest fajna i w ogóle. - Dodała jeszcze, że Katarzyna podoba jej się także dlatego, że jest Brytyjką. - A tata też jest Brytyjczykiem - podkreśliła, jakbym nie wiedział.

Pomogłem Kelly przebrać się w nowe dzinsy i bluzkę. Trwało to i trwało. Pomyślałem, że nie nadaję się na rodzica. Mając dzieci, człowiek nieustannie jest zajęty i gotowy na każde wezwanie. Jak lokaj.

Wreszcie się uporałem, mała przebrana w suche rzeczy i w ogóle zadbana. Zająłem się kawą. W tym hotelu rozpieszczano gości: mały ekspres, mleko w proszku i cukier, wszystko znajdowało się w pokoju. Czekając, aż się woda zagotuje wyjrzałem przez okno. Wychodziło na parking, w pewnym oddaleniu wznosił się wiadukt. Zdałem sobie sprawę, że mój nastrój w tej chwili dokładnie odpowiada widokowi za oknem.

Ciężarówki na wiadukcie wzbijały w powietrze pióropusze wody. Ciągle jeszcze padało, niezbyt mocno, ale takie siąpienie bywa szczególnie dokuczliwe, wciska się w każdą szparę i przenika do kości. Cały świat był mokry. Nie od razu zauważyłem, że Kelly też podeszła do okna i stanęła obok mnie.

- Nie znoszę takiej pogody - zwierzyłem się. - Nigdy zresztą nie znosiłem, a zwłaszcza gdy wstąpiłem do wojska. Nie miałem wtedy nawet osiemnastu lat. W takie dni jak dziś siadam sobie z kubkiem gorącej herbaty przy oknie i myślę o biednych żołnierzach, co marzną i mokną gdzieś na odludziu, nie wiadomo po co.

Patrząc na małą uśmiechnąłem się nieszczerze, bo wiele bym dał za to, aby właśnie teraz siedzieć gdzieś w mokrym okopie i nie mieć innych zmartwień, jak tylko to, że jest mokro, chłodno i głodno.

Wyciągnąłem się na łóżku, rozważając w myślach wszystkie możliwości. Niewiele tego, ale zawsze. Mógłbym, na przykład, machnąć na sprawę ręką i zwyczajnie uciec. Paszport można ukraść, a na lotnisku wystarczy łut szczęścia. Problem tylko w tym, że mogłoby owego łuta szczęścia zabraknąć. Ale też mógłbym wybrać mniej konwencjonalną drogę do domu - przez Kanadę, stamtąd statkiem byle gdzie do Europy, a dalej autostopem, co jest sposobem wielce cenionym przez studentów. Mógłbym jeszcze inaczej - przez Belize lub Gwatemalę. Spędziłem kilka lat w dżungli, więc dałbym sobie radę. Niedaleko Belize jest wysepka San Pedro, na której zaczyna się szlak przerzutu narkotyków na Florydę, a stamtąd to już małe piwo: skok na Karaiby i statkiem do domu.

Kiedyś jeden facet z naszego pułku przyleciał z Kanady... awionetką. Nie była to jakaś specjalna maszyna, przeciwnie seryjna, jednosilnikowa cessna, tyle że z dodatkowym zbiornikiem paliwa. Facet w czasie lotu miał kłopoty z radiem, ale znalazł sposób. Zmajstrował antenę z drutu i wypuścił ją z kabiny, obciążając tym, co akurat wpadło mu w ręce. Miał oczywiście spadochron, więc w razie czego mógł wyskoczyć, tylko po co.

Każde z wyjść wiązało się jednak ze zbyt dużym ryzykiem. Nie chciałbym reszty swojego życia spędzić w więzieniu, to po pierwsze. Po drugie, moglibyśmy z Kelly zostać po prostu zabici. W sumie więc najlepsze wyjście zaproponował Simmonds. Nagrody, rzecz jasna, nie dostanę, ale jeśli dostarczę mu to, czego oczekuje, to będę przynajmniej mógł wrócić do domu, a to dużo.

Zatem trzeba ustalić, kto bywa i co się dzieje w budynku przy Ball Street.

- Kelly?
- Uhm.
- Domyślasz się, co zaraz powiem.
- Jasne. - Uśmiechnęła się.

Nie miała już pretensji, że zmusiłem ją do zmiany ubrania.

- Dziesięć minut i jestem z powrotem.

Zamknąłem za sobą drzwi. Oczekałem chwilę, by się upewnić, że przekreśliła zamek. Na klamce umieściłem wywieszkę „nie przeszkadzać”.

Niemal naprzeciwko naszego pokoju była wnęka z automatami z colą i słodyczami. Wziąłem sobie puszkę i zawróciłem w stronę windy, a więc w prawo. Na końcu korytarza znajdowało się wyjście awaryjne - betonowe schody wiodące w górę i dół. W wypadku pożaru na niższej kondygnacji droga ewakuacji prowadzi na dach, skąd zagrożonych zabiera śmigłowiec.

Wspiąłem się na samą górę. Przejście na dach zabezpieczały solidne, podwójne drzwi przeciwpożarowe. Nie zauważyłem żadnej wywieszki ani ostrzeżenia o alarmie, niemniej jednak najpierw dokładnie sprawdziłem framugę i ścianę. Żadnych kabli czy przewodów. Pchnąłem drzwi. Cisza.

Na płaskim dachu wysypano pięciocentymetrową warstwę żwiru. Wziąłem garść, wsypałem między próg a drzwi, żeby się nie zamknęły.

Wielki odrzutowiec podchodził do lądowania na lotnisku National. W deszczu i mgle połyskiwały światła pozycyjne. Antena satelitarna, którą widziałem z dołu, zajmowała cały narożnik dachu. Pośrodku wznosiła się aluminiowa budka - maszynownia windy, jak się domyślałem. Skrajem dachu biegł rodzaj balustrady czy raczej murek metrowej wysokości. Skutecznie chronił przed niepożądanymi oczami z dołu, ale nie zasłaniał widoku z autostrady.

Przeszedłem przez całą szerokość dachu ku stronie wychodzącej na interesujący mnie obiekt. Z tej wysokości mogłem popatrzeć na szczyt budynku i przewody klimatyzacyjne.

Podszedłem z kolei do wieżyczki czy raczej budki, w której mieściła się

maszynownia hotelowych wind. Rozglądałem się za kablami elektrycznymi, bo do realizacji planu, który mi zaświtał w głowie, potrzebowałem źródła prądu. Co prawda, sprzęt, który zamierzałem zainstalować na dachu, mógł równie dobrze pracować na bateriach, ale żywotność baterii jest ograniczona i nie można na nich polegać. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Zbadałem zamek - bębnekowy. Da się otworzyć bez większego trudu.

Po powrocie do pokoju sprawdziłem w książce telefonicznej adresy kilku lombardów.

Potem zamknąłem się w łazience i rozładowałem magazynki sigi. Dobrze jest od czasu do czasu zwolnić sprężynę podającą naboje. Większość zacięć broni następuje właśnie w magazynku i jak na potwierdzenie tej prawdy pierwszy nabój dał się wyciągnąć bez trudu, ale z drugim miałem już kłopoty. Sprężyna się zacięła. Przewaga rewolwerów nad pistoletami polega właśnie na braku sprężyny. Magazynek rewolweru to walec - bębenek - z sześcioma nabojami. Jeśli rzadko używa się broni, to wtedy lepiej mieć rewolwer. Naboje mogą tkwić w bębnieku praktycznie w nieskończoność i nic się nie dzieje. Skończyłem opróżnianie magazynków. Naboje schowałem do kieszeni razem z pistoletem i magazynkami, żeby wszystko mieć pod ręką.

Wyszedłem z łazienki i sporządziłem listę rzeczy, które będą mi potrzebne. Przeliczyłem pieniądze. Na dziś wystarczy, a jutro mogę wziąć więcej z bankomatu.

Małej kleiły się oczy. Sporo zjadła i zaczęła przysypiać. Nastawiłem klimatyzator na jeszcze wyższą temperaturę. Za chwilę Kelly zaśnie na dobre.

- Wyjdę teraz - oznajmiłem. - Kupię ci kredki i książkę do kolorowania. Chcesz coś z McDonald'sa?

Na myśl o Micky D's mała się ożywiła.

- Frytki z sosem słodko-kwaśnym. A mogę pójść z tobą?

- Pogoda jest okropna, jeszcze byś się przeziębila.

Bez słowa wstała i podeszła do drzwi, gotowa zamknąć zasuwkę.

Po wyjściu z hotelu skierowałem się do stacji metra.

17

Waszyngtońskie metro jest całkiem przyzwoite. Stacje czyste i przestronne, połączenia szybkie. Przyćmione światło sprawia, że pasażerowie czują się dość zrelaksowani. Bywa, iż wymieniają nawet życzliwe spojrzenia, co nie zdarza się na przykład w Nowym Jorku czy Londynie. Poza tym metro to w stolicy Stanów Zjednoczonych jedyne chyba miejsce, gdzie nie widzi się ani prawdziwych, ani fałszywych weteranów wojny wietnamskiej, żebrzących o datek.

Przejechałem siedem, może osiem przystanków z jedną przesiadką. Cel mojej wyprawy nie był specjalnie odległy, ale znajdował się w dzielnicy pomijanej przez przewodniki dla turystów. Ja też nawykłem raczej do elegantszych dzielnic Waszyngtonu. Tymczasem zmierzałem do zgoła innego świata, świata ludzi, którzy od życia dostawali co najwyżej kopniaki.

Parterowy budynek, cofnięty od ulicy, bardziej przypominał supermarket niżli lombard. Miał jakieś pięćdziesiąt metrów długości, przeszkloną, okratowaną fasadę i wystawy pełne wszelakiego dobra, od zestawów instrumentów perkusyjnych, po deski do surfingu i komplety mebli do sypialni. Reklamowe plakaty w kolorze krzykliwej żółci obiecywały najlepszy interes w mieście: najniższy procent pożyczek pod zastaw i największy wybór złotej biżuterii. Przy drzwiach stali uzbrojeni ochroniarze.

W środku zwróciłem uwagę na długą, szklaną gablotę usytuowaną bliżej zaplecza sklepu. Pełniła ona jednocześnie funkcję lady. Stało za nią co najmniej sześciu ekspedientów w jednakowych, czerwonych koszulkach polo. Klientów też nie brakowało. Miało się wrażenie, że tam właśnie jest szczególna podaż i szczególny popyt. Przestałem się dziwić, gdy zobaczyłem, że w gablocie wystawiono pistolety, karabiny, słowem broń. Napis na ścianie za ladą zapraszał

klientów do strzelnicy na zapleczu.

Mnie interesowało coś innego. Skierowałem się do działu aparatów fotograficznych i kamer wideo. Idealem byłoby, gdybym znalazł profesjonalną kamerę obsługującą systemy bezpieczeństwa, zdalnie sterowaną z odpowiednio długim kablem i osobnym magnetowidem na zwykłe kasety VHS. Mógłbym wtedy umieścić kamerę na skraju dachu, obiektyw wycelować w stronę interesującego mnie budynku, całe urządzenie nagrywające zaś schować choćby w maszynowni, gdzie łatwiej o źródło prądu. W takim układzie mógłbym zmieniać kasety, nie ruszając kamery.

Niestety, ideałów nie ma. Znalazło się jednak coś, co też nadawało się do wykonania zadania, a mianowicie kamera wideo typu Hi-8, wielce ceniona przez telewizyjnych wolnych strzelców. Widywałem takich w Bośni. Filmowali, co tylko się dało, licząc, że w końcu trafi im się scena, najlepiej jakaś strzelanina, za którą zainkasują majątek. Jeśli jeszcze dostanę teleobiektyw, to będę zadowolony.

Przywołałem ekspedienta.

- Ile kosztuje ta Hi-8? - spytałem, akcentując słowa z amerykańska.

- Jest praktycznie nowa, mało używana. Pięćset dolarów.

Obruszyłem się, że to zdzierstwo.

- A ile pan da?

- A czy jest zapasowa bateria i przyłącze do sieci?

- Oczywiście, pełne wyposażenie, łącznie z futerałem.

- Mogę zobaczyć?

- Naturalnie.

- W porządku, cztery stówy.

Ekspedient zareagował w typowy sposób, jak hydraulik czy pośrednik samochodowy, gdy rozmowa schodzi na cenę. Podniósł wzrok do nieba, wyjął wargi, że niby traci na tym interesie i wreszcie rzekł:

- Czterysta pięćdziesiąt, ostatnie słowo.

- Niech będzie. Potrzebny mi jeszcze magnetowid. Może być zwykły.

- Mam coś takiego, niech pan pozwoli tutaj. - Podeszedł do półki i wyciągnął coś, co na oko miało ze sto lat, bo tak szczelnie pokrywała to urządzenie warstwa kurzu. Na wywieszce widniała cena: 100 dolarów.

- Nie będziemy się targować. Oddam za dziewięćdziesiąt.

Zgodziłem się.

- Potrzebny mi jeszcze teleobiektyw.

- A konkretnie?

- Co najmniej dwieście milimetrów, najlepiej Nikona.

Z doświadczenia wiedziałem, że metr odległości od obiektu przelicza się na milimetr ogniskowej, a doświadczenie miałem spore. Ile to godzin przesiedziałem na dachach podglądając ludzi? Oby tylko na dachach. Zdarzało się włamywać do cudzych domów, usuwać cegły w murze, żeby zrobić miejsce na aparat, bo zależało mi na takim, a nie innym zdjęciu. A wszystko dlatego, że robota nie ma sensu, jeśli obiektu nie da się później zidentyfikować na zdjęciu. Krótko mówiąc, liczy się zbliżenie, a do tego potrzebny jest teleobiektyw.

Sprzedawca pokazał mi rurę z ogniskową dwieście pięćdziesiąt milimetrów.

- Ile?

- Sto pięćdziesiąt - zawiesił głos, jakby czekał, że uznam, iż to stanowczo za dużo.

- Biorę - oznajmiłem ku jego rozczarowaniu. - Jeśli dołoży pan do tego cztery kasety i przedłużacz.

- Jakiej długości? - Ważył w myślach interes.

- Najdłuższy, jaki macie.

- Sześć metrów wystarczy?

- Niech będzie.

Sprzedawca promieniał. Nie wątpię, że miał na składzie także kabel dwunastometrowy.

Następnie zaszedłem do filii Walmarta. To największa sieć tanich domów

towarowych w Ameryce. Potrzebowałem paru drobiazgów do zainstalowania kamery.

Gdy chodziłem między półkami pełnymi najprzeróżniejszych dóbr bezwiednie zacząłem powtarzać w myślach receptury na sporządzenie rozmaitych materiałów wybuchowych z rzeczy i środków ogólnie dostępnych w drogeriach, mydlarniach, sklepach chemicznych i tych z kosmetykami. Dość pomieszać najzwyklejszy środek do czyszczenia, dajmy na to, kafelków z czymś jeszcze albo wziąć puszkę czegoś innego, zagotować, zebrać pianę, i otrzymuje się znakomity środek zapalający. Można też podgotować jeszcze trochę, wystudzić, a potem zebrać osad z dna, i już się da to i owo wysadzić. Wystarczy spędzić dwadzieścia minut w sklepie Sainsbury'ego w Londynie czy jakimkolwiek sklepie chemicznym gdzieś na końcu świata, aby kupić co trzeba do sporządzenia ładunku wystarczająco silnego, żeby rozerwać samochód na pół. Kosztować to będzie mniej niż dziesięć funtów.

Teraz wszakże rozglądałem się za czymś innym. Potrzebowałem dwulitrowej, koniecznie plastikowej butelki coli, nożyczek, plastikowych worków na śmieci, małej latarki halogenowej z kompletem kolorowych nasadek, taśmy klejącej, pary śrubokrętów, kombinerek. Te ostatnie oferowano za bezcen: dwadzieścia jeden końcówek i wkrętaków, i tylko pięć dolarów. Okazja, ale i wielkie oszustwo. Każde z tych narzędzi popsuje się albo stępi już po paru razach. Jednak to nie moje zmartwienie, użyję tych przyrządów tylko raz. Wziąłem jeszcze kilka książeczek do kolorowania dla Kelly, jakieś kredki, ołówki i coś tam jeszcze, żeby miała się czym bawić.

Z kompletem zakupów wróciłem do metra. Czekając na pociąg, napiłem się coli, zjadłem baton i zacząłem rozwiązywać jedną z zagadek rysunkowych w książeczce dla Kelly.

Deszcz przestał padać, ale ołowiane chmury nadal wisały nad miastem, a na ulicach połyskiwały kałuże. W drodze ze stacji do hotelu postanowiłem raz

jeszcze rzucić okiem na obiekt.

Do wnętrza budynku wiodły betonowe schody, otoczone z obu stron gęstymi krzewami. Tuż za drzwiami była recepcja, dalej znów drzwi, przez które przechodziło się do właściwej części biurowej. Zauważyłem jeszcze kamerę telewizyjną wycelowaną na wejście. Okna chyba się nie otwierały, jak to w nowoczesnych, klimatyzowanych biurach.

Na zewnątrz nie było żadnych napisów czy znaków, że budynek jest chroniony. Nie widziałem też urządzeń alarmowych, może zainstalowano je po drugiej stronie. Równie dobrze mógł tu działać system zdalnej ochrony, to znaczy specjalne czujniki połączone sztywnym łączem z policją bądź firmą ochroniarską.

Wreszcie dotarłem do hotelu. W pokoju było gorąco jak w łaźni. Kelly spała. Okruchy ciasta na buzi świadczyły, że zasnęła, pogryzając wafel.

Ledwie jednak złożyłem zakupy na podłodze Kelly otworzyła oczy.

- Gdzie byłeś?

- Kupiłem mnóstwo rzeczy, o, popatrz! - Zacząłem wyciągać książeczki z malowankami, kredki i całą resztę, czekając choćby na słowo uznania.

- Już to miałam - oznajmiła, przeglądając pierwszą z książek.

Skąd mogłem wiedzieć? Mnie zagadka, którą rozwiązywałem czekając w metrze, wydawała się nawet ciekawa.

- Trudno. Przyniosłem jeszcze coś do jedzenia i picia. Coli możesz wypić, ile chcesz. Potrzebna mi pusta butelka.

- A nie pójdziemy coś zjeść?

- Masz jeszcze ciastka.

- Nie chce mi się ciastek i mam dość siedzenia tutaj!

- Dziś nie będziemy wychodzić. Wiesz, że nas szukają, więc lepiej się schować, jeszcze trochę cierpliwości.

Nagle przyszło mi do głowy, że mała może pamiętać numer telefonu do domu i że zacznie wydzwaniać. Gdy więc zajęła się colą niepostrzeżenie wyjąłem

przewód telefoniczny z gniazdka za komodą.

Sprawdziłem czas - 16.30. Jeszcze prawie pięć godzin do seansu łączności z Patem.

Tymczasem zacząłem przygotowania. Chciałem filmować jutro skoro świt, a jak dobrze pójdzie, to może uda się nagrać godzinę jeszcze dziś przed zamknięciem biur.

Kelly, śmiertelnie znudzona, wyglądała przez okno.

Nalałem sobie trochę coli. W butelce zostało jeszcze sporo.

- Chcesz jeszcze? - zachęciłem małą. - Jeśli nie, to wyleję resztę. Potrzebna mi pusta butelka.

Pokręciła głową, że nie chce. Poszedłem więc do łazienki i wylałem resztę do muszli. Następnie usunąłem etykietę, nożyczkami odciąłem szyjkę i dno, otrzymując w ten sposób krótką i szeroką rurę. Przeciąłem ją wzdłuż. Z tak uzyskanego prostokątnego arkusza plastiku zacząłem wycinać koło niezbędne do włamania, którego zamierzałem dokonać.

Uporawszy się z tym zadaniem zająłem się kamerą. Zainstalowałem baterie, ale też podłączyłem ją do sieci, by móc korzystać z jednego bądź drugiego źródła zasilania.

- Co robisz?

Wolałbym, żeby nie pytała, ale trudno. Miałem zresztą na podorędziu gotowe kłamstwo.

- Nakręcimy kasetę dla mamy, taty i Aidy. Prześlemy im pozdrowienia, tylko nie mów, że się nudzisz. - Podniosłem kamerę do oka. - Zaczynamy!

- Cześć, mamó, cześć, tato, cześć, Aida - powiedziała Kelly - jesteśmy z Nickiem w hotelu i czekamy, kiedy będziemy mogli wrócić do domu. Cześć, tato, mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz...

- Pokaż im nowe ubrania - podpowiedziałem.

- Dobra - podeszła do ściennej szafy. - To moja nowa kurtka. Nick mi kupił. Ta jest niebieska, ale mam jeszcze różową. Też od Nicka. Nick wie, jakie kolory

lubię najbardziej.

- Taśma się kończy. Powiedz im do widzenia.

- Cześć mamo, cześć tato, do widzenia Aida. Kocham was... Możemy teraz to zobaczyć?

I znów musiałem skłamać.

- Nie mamy przewodu do podłączenia do telewizora. Wkrótce spotkam się z Patem. Może nam pożyczy.

To zamknęło sprawę. Kelly zajęła się kredkami i z całym zacięciem zaczęła kolorować obrazki w książkach. Dzięki Bogu! Włożyłem kasetę do kamery.

Spakowałem sprzęt, wziąłem też dwa plastikowe kubki po kawie i zacząłem szykować się do wyjścia.

- Bardzo cię przepraszam, Kelly, ale mam coś jeszcze do załatwienia.

Mała wzruszyła tylko ramionami.

Wspiąłem się na dach. O dziwo, przestało padać.

Najpierw musiałem się dostać do maszynowni. W tym też celu przygotowałem sobie plastikowy krążek. Wcisnąłem go w szparę między framugą a drzwiami poniżej zamka i zacząłem popychać w górę w stronę zapadki. Zamek nie należał do skomplikowanych. W maszynowni nie było nic cennego, drzwi zamykano tylko ze względów bezpieczeństwa, więc wystarczyło energicznie nacisnąć kawałkiem plastiku w określonym miejscu, żeby zapadka puściła.

Dostałem się do środka, zapaliłem latarkę, na jednej ze ścian znalazłem aż cztery gniazdka sieciowe.

Z kolei zająłem się sufitem. Miał prostą konstrukcję - metalowe panele, przymocowane nitami do żelaznej ramy. Za pomocą kombinerek usunąłem dwa nity, co pozwoliło unieść jeden z paneli nieco w górę. Przez powstałą w ten sposób szczelinę przeciągnąłem kabel zasilania kamery. Wtyczkę włączyłem do jednego z czterech gniazdek. W gmatwaninie przewodów i kabli biegnących po ścianach maszynowni jeszcze jeden drut nie powinien zwrócić niczyjej uwagi.

Kamerę owinałem w worki do śmieci, tylko obiektyw wystawał na zewnątrz. Zabezpieczyłem go od deszczu dwoma kubkami po kawie, z których wyciąłem denka. Wszystko razem umocniłem taśmą klejącą.

Wyszedłem na dach, włączyłem kamerę, czekałem, aż się rozgrzeje. Umieściłem całość w stosownym miejscu. W polu widzenia miałem wejście do budynku, a w teleobiektywie wydawało się bliskie jak na wyciągnięcie ręki. Nastawiłem ostrość, jeszcze raz wszystko sprawdziłem, wcisnąłem przełącznik uruchamiający nagranie, upewniłem się, że całość jest odpowiednio zabezpieczona i zszedłem na dół.

18

W pobliskiej pizzerii kupiłem pizzę niczym młyńskie koło. Ledwo z małą daliśmy radę. Przeżuwaliliśmy, gapiąc się w telewizor. Komórka Keva ciągle jeszcze się ładowała, a nam nie pozostawało nic innego, jak trawić pizzę i czekać na telefon od Pata.

Kaseta w kamerze na dachu wystarczała na trzy godziny i tyle też postanowiłem nagrać, choć tymczasem zapadł już zmierzch. Chciałem sprawdzić, czy aparatura funkcjonuje jak należy, a poza tym upewnić się co do jakości nocnych zdjęć.

Tymczasem nudziliśmy się jak mopsy, bo ile można oglądać telewizję, napychać się pizzą i opijać colą? Koniec końców Kelly sięgnęła po książkę i poprosiła, żeby jej poczytać.

Zgodziłem się. Poczytamy pół godziny, i wystarczy. Nie wystarczyło. Okazało się bowiem, że książka jest niezwykle sprytnie napisana. Czytaliśmy właśnie opowieść o trójce dzieci zwiedzającej muzeum. Jedno z nich nagle zniknęło i na tym kończyła się pierwsza część opowiadania. I tu zaczęły się schody. „Jeśli chcesz - głosiła informacja na dole strony - śledzić losy bohatera w magicznym tunelu - otwórz książkę na stronie szesnastej. Jeśli chcesz, aby madame Eddie

wyjaśniła zagadkę zniknięcia bohatera, otwórz na stronie pięćdziesiątej szóstej”.

- A więc - spytałem Kelly - co czytamy dalej?

- O tunelu.

I tak to trwało. Osiem razy dochodziliśmy do zakończenia i za każdym razem proponowano nam kilka wersji dalszego ciągu. Czytaliśmy i czytaliśmy, dobre dwie godziny. Mała przynajmniej miała rozrywkę.

Nie wyłączyłem ogrzewania i ciepło zaczęło mnie rozbierać. Przysypiałem, budziłem się i znów przysypiałem. W pewnym momencie zauważyłem, że rozsunała mi się kurtka, ukazując wystający zza paska pistolet. Spojrzałem na Kelly, czy się nie wystraszyła. Nic z tych rzeczy. Widać nie było to dla niej nic nadzwyczajnego, pewnie widywała broń u Keva.

Spojrzałem na zegarek - 20.15. Za kwadrans trzeba iść na dach po kasetę, a za następne pół godziny powinien zadzwonić Pat.

Punktualnie o wpół do dziewiątej wstałem.

- Wskoczę na chwilę po coś do picia.

- Po co? Mamy jeszcze dużo.

- Ale ciepło, przyniosę coś zimnego.

Wspiąłem się na dach. Znów zaczęło mżyć. Wyciągnąłem nagraną kasetę, włożyłem na jej miejsce nową, żeby wszystko było gotowe na rano.

Wracając do pokoju wziąłem kilka puszek coli z automatu. Firma robi na nas niezły interes.

W telewizji wyświetlano właśnie ulubiony film Kelly „Clueless”. Znała listę dialogową na pamięć i jak automat potrafiła cytować typowe odzywki. „Ty kretynie, ty ośle, ty baranie”. I jak tu się dziwić, że młodzi plugawią język?

Dochodziła dziewiąta. Pat powinien zadzwonić za trzy minuty. Wziąłem komórkę, zamknąłem się w łazience. Drzwi były szczelne, nie słyszałem wymiany zdań bohaterów „Clueless”. To dobrze.

Punktualnie o dziewiątej rozległ się dzwonek telefonu.

- Halo?

- Cześć. U ciebie w porządku? Dzięki za kanapkę.

Obaj zaśmialiśmy się na wspomnienie apetytu mojego przyjaciela.

- Które piętro zajmują? - spytałem, mając oczywiście na myśli obiekt i PIRA.

- Drugie.

- Rozumiem. Dałoby się zorganizować jeszcze trochę kasy?

- Mogę postarać się o dziesięć kawałków na jutro albo pojutrze. Musi ci wystarczyć do wyjazdu. Rozumiem, że wyjazd masz zorganizowany.

- Mam - zełgałem. Dla jego i swojego dobra zresztą. Gdyby Pata zwinęli i zmusili do mówienia, to zeznając, że szykuję się do wyjazdu naprowadziłby ich na fałszywy trop. Zaczęliby penetrować lotniska i porty, odpuszczając Waszyngton. - Musimy umówić się na częstszy kontakt, bo może ustalę coś w związku z obiektem, a w ogóle sytuacja bez przerwy się zmienia. Dwunasta zero zero, osiemnasta, dwudziesta trzecia. W porządku?

- W porządku. W telewizji i gazetach pełno było o twojej małej przyjaciółce i jej rodzinie, wiesz o tym?

- Wiem.

- Masz coś jeszcze?

- Nie.

- Trzymaj się.

- Ty też.

Wyszedłem z łazienki, włączyłem komórkę na ładowanie. Nie wiem, czy Kelly słyszała rozmowę, czy nie, ale nie wyglądała najlepiej. Nastawiłem wideo, włożyłem kasetę, dostroiłem telewizor.

- Chcesz popatrzeć ze mną? - Zawsze to lepsze niż wyglądanie przez okno.

- A mówiłeś, że nie mamy przewodów do wideo?

Trafiła mnie, spryciara.

- Kupiłem po drodze.

- Możemy zobaczyć moje nagrania dla mamy i taty?

- Już wysłałem - znów zełgałem.

Zasmuciła się i chyba nie uwierzyła.

- Muszę obejrzeć tę kasetę - wyjaśniałem. - Będzie widać ludzi, jak wchodzi i wychodzą z pewnego budynku. Są wśród nich bardzo sławni, są także znajomi twoich rodziców. Niektórych pewnie rozpoznasz. Zrobimy sobie konkurs. Kto rozpozna więcej osób, ten wygrywa, zgoda?

- Zgoda.

- Tylko musisz uważnie patrzeć. Jeśli kogoś rozpoznasz, to zaraz daj znać, cofnę taśmę i przekonamy się, czy masz rację.

Przygotowałem kartkę papieru, ołówek, żeby notować rezultaty zawodów. Usiadłem na podłodze i zaczęło się. Kelly wlepiła wzrok w telewizor. Obraz był całkiem ostry, znacznie lepszy niż zwykły VHS, w końcu Hi-8 to prawie profesjonalny sprzęt.

- Mam, mam, zatrzymaj!- krzyknęła Kelly.

Cofnąłem taśmę. Na ekranie grupa ludzi wchodziła do obiektu. Zdaniem Kelly jeden z nich to muzyk z popularnej kapeli Back Street Boys. Niech ma. Zapisałem: 298 (liczbę wzięłem z licznika na wideo) - dwóch mężczyzn, jeden w jasnym, długim trenczu, drugi w niebieskim.

Laikom wywiad i operacje szpiegowskie kojarzą się z wyczynami Jamesa Bonda - szybkie samochody, piękne kobiety i kasyna. Tymczasem rzeczywistość jest inna. Najpierw mozolne zbieranie informacji, potem wiele godzin siedzenia i drobiazgowa analiza. Dwóch facetów wchodzących do budynku może nie mieć najmniejszego znaczenia albo przeciwnie. Ważna jest interpretacja, analiza szczegółów, kojarzenie faktów. Co się da odczytać z ich zachowania? Co było przedtem? Co może zdarzyć się później? Coś, co pozornie nie ma znaczenia, może okazać się ważne. Wywiad to przede wszystkim wielogodzinna analiza, a szybkie samochody to mit.

Zmierzchało i obraz stawał się coraz mniej wyraźny. Kamera nie rejestrowała już kolorów. Rysy twarzy rozmywały się. Można jeszcze było rozróżnić, czy dana osoba to mężczyzna, czy kobieta i w przybliżeniu określić wiek, ale tylko tyle. A

zresztą dzień pracy dobiegał końca i coraz mniej osób przewijało się na ekranie. W końcu ulica opustoszała. Nie wyłączyłem jednak kasety. Chciałem sprawdzić, czy budynek jest w nocy chroniony. Jak dotąd żaden ochroniarz się nie pojawił.

Kelly promieniała. Rozpoznała na kasecie co najmniej dwóch popularnych aktorów, dwie dziewczyny z zespołu Spice Girls i nauczycielkę ze swojej szkoły. Ciekawe, czy jutro trafi się ktoś jeszcze, bardziej interesujący dla mnie. Nie zdziwiłbym się, gdyby nikogo nie rozpoznała, miała zaledwie siedem lat.

- Urządzimy sobie jutro taką samą zabawę?

- Aha. Dziś wygrałam, prawda?

- Wygrałaś, zdobyłaś więcej punktów niż ja. A teraz czas do łóżka. Musisz wypocząć, jeśli jutro mamy znowu grać.

Jeśli Kelly wskaże kogoś na kasecie, to świetnie. Miałbym dowód dla Simmondsa, a także musiałbym dokładniej rozpracować obiekt, ustalić, kto i co tam naprawdę robi. Tymczasem postanowiłem jeszcze raz udać się na Ball Street i na miejscu zastanowić się, jak i którędy najlepiej wejść do środka budynku.

Kiedy Kelly głęboko zasnęła otuliłem ją kołdrą, wziąłem kartę magnetyczną do zamka i cicho wyszedłem. Spojrzałem na zegarek, właśnie minęła dwudziesta trzecia.

19

Chciałem dokładnie rozpoznać zaplecze budynku, najpierw jednak zatrzymałem się przed frontonem, żeby sprawdzić, czy jest nocny strażnik i przyswoić sobie rozkład pomieszczeń na tyle, na ile da się to zrobić z zewnątrz.

Stanąłem w bramie naprzeciwko. Zawsze mogę udać pijanego, którego nagle przypiliło. Przez przeszkłone, podwójne drzwi, widziałem prawie całą, jasno oświetloną recepcję. Światła paliły się także w oknach na piętrze, wydobywając z mroku krzewy okalające wejście. Jednak dla mnie ciekawszy od gry świateł na mokrej od deszczu ulicy był wniosek, że w nocy płoną światła na korytarzach.

Tkwiałem w bramie przez dobry kwadrans. Nie zauważyłem jednak nawet zarysu jakiejś postaci. Nie świadczyło to jeszcze, że w budynku nikogo nie ma. Strażnik mógł bowiem siedzieć gdzieś przed telewizorem albo sprawdzać górne piętra. Mimo to nie mogłem czekać w nieskończoność, pora rozpoznać teren rozciągający się na tyłach biurowca.

Wychyłałem z bramy i na końcu Ball Street skręciłem w prawo, w stronę rzeki, gdzie wiodła zapuszczona uliczka. Nie miała chodników dla pieszych, za to nie brakowało w niej dziur wypełnionych tłustawą deszczówką. Kryjąc się w cieniu minąłem składnicę złomu, przeszedłem przez tory wiodące do dawnych magazynów cementu. W nocnej ciszy kroki niosły się echem, tym wyraźniejszym, że po autostradzie na wiadukcie przemykały o tej porze tylko pojedyncze pojazdy. Dotarłem do niezabudowanych, ale ogrodzonych działek. Szukałem jakiegoś przejścia na zaplecze obiektu.

Doszedłem do końca ulicy. Dalszą drogę zamykało solidne ogrodzenie z siatki, za którą unosiły się opary Potomacu. Nie pozostawało nic innego, jak zawrócić!

Kiedy ponownie dotarłem na wysokość dawnego składu cementu wspiąłem się na jego bramę i zeskoczyłem na drugą stronę. Stare kłódki szczęknęły groźnie. Stałem w cieniu i zacząłem nasłuchiwać. Cisza. W ogóle spokój jak makiem zasiał. Nawet z lotniska nie dobiegały żadne dźwięki. Widać nocą nie przyjmowano samolotów, żeby nie zakłócać wypoczynku okolicznych mieszkańców. National usytuowane jest praktycznie w środku miasta.

Ruszyłem dalej wzdłuż torów. Po prawej minąłem złomowisko pełne starych samochodów.

Przystanąłem, rozejrzałem się. Do pokonania miałem jakieś sto pięćdziesiąt metrów płaskiego, pustego terenu, dalej widniało ogrodzenie okalające mój budynek, odległe odeń o mniej więcej pięćdziesiąt metrów.

W pobliżu ogrodzenia rosły zbite w gęstą masę krzaki, tam właśnie przypnąłem, był to bowiem wymarzony punkt obserwacyjny. Przez kilka dobrych

minut siedziałem w kucki bez ruchu. Trzeba oswoić się z okolicą, dać czas zmysłom, aby nawykły do otoczenia. Wzrok, na przykład, musi się przystosować do mroku. Po chwili zacząłem wyławiać z ciemności coraz więcej szczegółów. Po tej stronie budynku nie było okien, ale na płaskiej, ceglanej ścianie dostrzegłem żelazne schody przeciwpożarowe, a na prawo od nich, na poziomie parteru, skrzynkę przyłączy.

Poszukałem wzrokiem wyjść awaryjnych. Jeśli będę chciał dostać się do środka, aby rozejrzeć się po pomieszczeniach zajmowanych przez PIRA, to właśnie tędy. Przedtem wszakże muszę sprawdzić, czy i jak są zabezpieczone te drzwi, czy zamki da się otworzyć od zewnątrz. Aby się o tym przekonać musiałem podejść bliżej.

Ogrodzenie miało ze trzy metry wysokości, raczej solidne, wspiałem się więc na górę, przeskoczyłem na drugą stronę. Przypadłem do ziemi, nasłuchując.

Działąłem bez pośpiechu, aby uniknąć zbędnego hałasu, który mógłby zdradzić moją obecność. Zacząłem przesuwać się w stronę obiektu, uważnie wybierając drogę i bacząc na każdy krok. Kryłem się w cieniu budynku i drzew. Cały czas pilnie obserwowałem i obiekt, i wszystko dookoła.

Dotarłem w ten sposób pod samą ścianę. Tuż obok rosły dwa wiekowe, sądząc z grubości pni, drzewa. Przyłgnąłem do jednego z nich. Na murze dostrzegłem czujnik urządzenia alarmowego, reagującego na najmniejszy nawet ruch na schodach przeciwpożarowych. Niczego więcej na podstawie obserwacji nie dało się wywnioskować, pozostawało więc zagadką, co czujnik uruchamia: alarm dźwiękowy, kamerę czy światła. Żadnej kamery telewizyjnej w zasięgu wzroku nie było, dostrzegłem natomiast dwa reflektory, zainstalowane nad wyjściami awaryjnymi. Nie paliły się, co mogło oznaczać, że są podłączone do czujnika i zapalają się automatycznie, gdy czujnik zareaguje na ruch. Dziwił mnie jednak brak kamery. Bez niej straż wewnątrz budynku nie mogła przecież sprawdzić, co wywołało alarm. Ale to już nie mój kłopot, po prostu musiałem przyjąć, że czujnik uruchamia wszystko. Krótko mówiąc, alarm w stereo i kolorze.

Na prawo od budynku, tuż przy ogrodzeniu, zauważyłem trzy drewniane palety. Zanotowałem to w pamięci, może się przydać.

Zająłem się drzwiami, obejrzałem je bardzo dokładnie. Solidne, okute blachą i to w taki sposób, że stal osłaniała także szpary między drzwiami a ościeżnicą, co zabezpieczało je przed ewentualnym wyważeniem. Jednak zamki zamontowano byle jakie, bębnekowe, typu Yale, małe piwo dla mnie.

Sprawdziłem z kolei skrzynkę z przyłączami. Kable elektryczne i telefoniczne, przewody gazowe i rury doprowadzające wodę - wszystko to jak na dłoni, niczym nie osłonięte. W razie czego można się pobawić. Poczuję się lepiej.

Oczywiście musiałem się liczyć z ochroną, ale nocnych strażników udaje się czasami wykorzystać do własnych celów. Można wszystko tak urządzić, że strażnik sam podejdzie do drzwi. Wystarczy go zwabić pod byle pretekstem, działać tak, aby zechciał zobaczyć, co się dzieje. Sam wtedy otworzy drzwi. Taką jednak ewentualność musiałem wykluczyć. Jeśli bowiem zdecyduję się wejść do budynku, to tak, żeby nikt mnie nie widział. Żadnych śladów, żadnych świadków.

Parking przed budynkiem był całkiem pusty, żadnego auta, co też przemawiało za tym, że w nocy nie ma tu strażników. Trzeba to jednak sprawdzić. Najprościej, udając pijaczka z przepełnionym pęcherzem. Podejdę od frontu i zacznę sikać. Przez przeszklone drzwi zobaczę, czy ktoś jest w środku, czy nie. Jeśli jest, to co najwyżej wyjdzie i mnie opieprzy.

Wycofałem się tą samą drogą, którą dostałem się na zaplecze, i znów znalazłem się na Ball Street. Mżyło coraz bardziej. Na ubraniu zostały rdzawe ślady po wspinaczkach przez płoty.

Podchodziłem do obiektu drugą stroną ulicy, gdy znalazłem się bliżej, przeszedłem ukosem przez jezdnię. Pamiętając o kamerach nad wejściem, nie podnosiłem głowy. Chwiejnym krokiem wspiąłem się na schodki, mniej więcej na trzy czwarte ich wysokości, rozpiąłem rozporek i zacząłem zraszać krzaki.

Niemal natychmiast rozległ się wrzask.

- Kurwa, uważaj, co robisz, kutasie!

W krzakach się zakotłowało.

Przeraziłem się jak nie wiem co. Musiałem puścić małego, żeby sięgnąć po sigę. Obląłem sobie nogi, ale pistolet miałem już w ręku.

Dopiero wtedy przyszło opamiętanie. Może niepotrzebnie go wyciągnąłem? Może jednak należy grać swoją rolę do końca? Kiedy tak się zastanawiałem z krzaków w dalszym ciągu dobiegał stek wyzwisk, a dopiero po chwili wyłoniła się jakaś postać.

- Co za ćwok! Żeby tak mnie załatwić! Już ja ci pokażę.

Facet, który wylazł z krzaków miał niewiele ponad dwadzieścia lat. Prezentował się nędznie: stare wojskowe buty bez sznurowadeł, wyświechtane czarne dżinsy, uświniona kurtka z kapturem, kołtun na głowie, nie ogolony, ale za to z kolczykiem w uchu.

Młodzieniec, mimo mokrych plam na ubraniu, na mój widok wyraźnie się ucieszył. Pomyślał pewnie, że ma do czynienia z zabłąkanym nawalonym turystą, którego da się oskubać.

- Ty, fiucie - rozpoczął targi - odkupisz mi śpiwór i ciuchy. Zobacz, co zrobięś. Dawaj szmal, bo... - wyraźnie zaczął się wczuwać w rolę - ...bo jak nie, to tak ci dopierdołę, że rodzona matka cię nie pozna. Jak można tak lać na człowieka?

Postanowiłem skorzystać z okazji. Zacząłem bębnić pięściami w drzwi. Jeśli w środku jest strażnik, to powinien zainteresować się tym, co się dzieje na progu. Poproszę wtedy o pomoc.

Walilem ze wszystkich sił, aż szyby brzęczały. Cały czas odwracałem twarz od kamery nad wejściem. Chłopak musiał dojść do wniosku, że naprawdę robię po nogach ze strachu. Zaczął wspinać się na schody, strojąc groźne miny.

Ja zaś niemal się przykleiłem do przeszklonych drzwi. Jednak nie widziałem nic szczególnego, żadnych popielniczek z niedopałkami, żadnych rozłożonych gazet, żadnego włączonego telewizora. Cisza i porządek, co mogło świadczyć

tylko o jednym - w nocy nikogo tu nie ma.

- Ty świnió - usłyszałem tuż za plecami. Jeszcze chwila, a facet naprawdę mi przyłoży.

Obróciłem się, odsunąłem połę kurtki, sięgnąłem po broń.

- O kurwa - jęknął, wyraźnie zaskoczony, i zaczął się wycofywać, wlepiając wzrok w siga. - Pierdolone gliny - stękał - jak nie tak, to siak, ale zawsze człowieka oleją.

Patrzyłem, jak włókł się przed siebie, utyskując na swój los. W ciągu dwóch dni dwa razy unurzałem się w urynie. Ale też w głębi duszy współczułem biedakowi, którego wyrwałem ze snu i który snuje się teraz po okolicy, szukając odpowiedniego miejsca w pobliżu wylotu urządzeń klimatyzacyjnych jakiegoś budynku, gdzie mógłby w miarę bezpiecznie złożyć skołatany łeb, licząc, że tej przynajmniej nocy nikt już go nie oleje.

Upłynął jeszcze kwadrans, nim wróciłem do hotelu. Ostrożnie, żeby nie zbudzić Kelly, wśliznąłem się do pokoju. Zasnęła pośród cukierków i ciastek, których nikt nie kazał jej sprzątać.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się, brudne ubranie włożyłem do hotelowej reklamówki, a tę wcisnąłem do torby. Nazbierało się tego. Ubrałem się, wsunąłem pistolet za pasek, nastawiłem budzik na piątą trzydzieści.

20

Spałem źle i drzemałem tylko, gdy budzik zadzwonił. Całą noc przewracałem się na łóżku. Wstawałem teraz z najwyższym trudem, wściekły, że to już. Tak pewnie czuje się każdy, kto musi iść do pracy, której serdecznie nie znosi.

Zwlokłem się wreszcie, podszedłem do okna, odsunąłem firanki. Nasze piętro znajdowało się niemal na wysokości wiaduktu. Z jednej strony połyskiwały reflektory aut jadących do miasta, z drugiej - jak pociski smugowe na zwolnionym filmie - czerwieniały tylne światła samochodów wyjeżdżających z Waszyngtonu.

Zasunąłem firankę, zredukowałem nawiew ciepłego powietrza w klimatyzatorze, nastawiłem maszynkę z kawą i poszedłem do łazienki.

Przy okazji zerknąłem w lustro. Wyglądałem okropnie, jak strach na wróble. Mała porozrzucała kredki w łóżku, a te pomalowały mi twarz w abstrakcyjne wzory, gdy nocą rzucałem się w pościeli. Zdjąłem kurtkę, zawinałem kołnierzyk od koszuli i zmyłem te barwy wojenne.

Wróciłem do pokoju. Kawa jeszcze się nie zaparzyła. W ustach czułem taki niesmak, jakbym miał kaca giganta. A i wygląd pomieszczenia mógł świadczyć o małej imprezce. Wszędzie walały się niedojedzone resztki. Znalazłem puszkę sprite'a, pociągnąłem łyk zwietrzałego, ciepłego napoju.

Na razie, do świtu przynajmniej, nie miałem nic specjalnego do roboty. W zasadzie nawykłem do takich sytuacji. Moje życie płynęło między skrajnościami: albo musiałem się zwijać jak w ukropie, albo czekałem, lecz Bóg wie na co. Postawiłem krzesło przy oknie, rozsunąłem firanki i gapiłem się na przejeżdżające auta. W mroku trudno było rozeznaczyć, czy jeszcze pada, czy to tylko koła rozpryskują kałuże na jezdni.

Po kwadransie zaczęło powoli szarzeć. Najwyższy czas, żeby pójść na dach. Nie zamierzałem budzić Kelly, im dłużej śpi, tym lepiej dla mnie. Upewniłem się tylko, czy mam w kieszeni kartę magnetyczną do zamka w drzwiach.

Krople deszczu bębniły o blaszany dach maszynowni windy. Podciągnąłem się i rozpląszczyłem na mokrej blasze, uruchamiając kamerę. Znów przemokłem, sprawdzając, czy w polu widzenia kamery jest to, co mnie interesuje, i czy obiektyw nie zaparował. Zaparował, więc zacząłem przecierać szkło mankietem koszuli i wtedy, nagle, poczułem się, jak zawieszony między dwoma różnymi światami. Tuż za mną coraz głośniejszy huk samochodów na wiadukcie, a od strony rzeki dobiegał świergot witających świt ptaków. Nie zdążyłem jednak nacieszyć się ptasim chórem, bo z National wystartował pierwszy tego dnia odrzutowiec. Huk rozdarł powietrze, maszyna zniknęła w chmurach.

Uporałem się z obiektywem, jeszcze raz wszystko sprawdziłem i włączyłem

kamerę.

Dochodziła szósta. Wróciłem do pokoju, zaparzyłem kawę i znowu zasiadłem przy oknie. Właśnie hotel opuszczała jakaś para. Zapewne spędzili upojną noc. Mój wzrok podążał za nimi, natomiast myśli biegly swoją drogą. Analizowałem rozmowę telefoniczną z Kevem. Pat utrzymywał, że jeśli rzeczywiście Kev wskazywał na PIRA, to sprawa łączy się z narkotykami, Gibraltarem i Amerykanami. Może i tak. Zwłaszcza że i ja sam nie do końca rozumiałem tę naszą operację w Gibraltarze. Rok 1987 był dla PIRA wyjątkowo paskudny. *Annus horribilis* - jak powiadają. Mieliśmy w tym z Euanem pewien udział. Na początku roku PIRA solennie zapewniała swoich sympatyków, że odniesie wyraźny „sukces w wojnie o wyzwolenie narodowe”, rychło jednak słowa zamieniły się w gówno. W lutowych wyborach PIRA wystawiła dwudziestu siedmiu działaczy Sinn Féin. Zdobyli ledwie po tysiąc głosów. Mało kogo w Republice Irlandii obchodziło ewentualne zjednoczenie z Ulsterem. Ludzie mieli inne sprawy na głowie: bezrobocie i rosnące podatki. Wyniki wyborów dowiodły, że PIRA w ogóle straciła poczucie rzeczywistości, a z drugiej strony, że ugoda Londynu z Irlandią daje efekty. Zwykli ludzie naprawdę zaczęli wierzyć, że współpraca Londynu z Dublinem sprawdza się i że wreszcie rysują się perspektywy trwałego rozwiązania konfliktu.

PIRA, oczywiście, nie mogła się z tym pogodzić, uznała, że musi coś zrobić dla podniesienia morale, a owo coś oznaczało morderstwo. I tak w sobotę 25 kwietnia doszło w Ulsterze do zabójstwa sędziego Maurice'a Gibsona. Z konieczności obaj z Euanem uczestniczyliśmy w uroczystościach, jakie faceci z PIRA zorganizowali z tej okazji w swoich melinach. A nawet wypiliśmy po parę drinków, żeby się nie zdekonspirować. Chłopcy z PIRA wprost nie posiadali się z radości, bo nie dość, że pozbyli się jednego ze swych najgroźniejszych wrogów, to jeszcze wbili klin między Londyn a Dublin. Ugoda między obu stolicami znalazła się pod znakiem zapytania, i o to bojownikom PIRA chodziło.

Ale nim na dobre wytrzeźwieli po obchodach koło fortuny się obróciło. Otóż

dwa tygodnie po zabójstwie sędziego nasi z pułku dobrali się do facetów z PIRA, a konkretnie do brygady z East Tyrone, i to dokładnie wtedy, gdy ci ostatni szykowali się do zamachu na jeden z komisariatów policji w Loughall w hrabstwie Armagh. Malowało też poparcie dla PIRA i topniały siły. Z tysiąca jej żołnierzy w 1980 roku w 1987 roku pozostało mniej niż dwustu pięćdziesięciu, z czego około pięćdziesięciu w czynnej służbie. Po naszej akcji w Loughall ich liczba spadła do czterdziestu. Był to nasz wielki sukces, bo jednym uderzeniem zlikwidowaliśmy co najmniej piątą część sił PIRA. Czegóż takiego nie notowano od 1921 roku. Gdyby tak dalej szło PIRA w ogóle przestałaby istnieć.

Co więcej, wkrótce po klęsce w Loughall Gerry Adams sromotnie przegrał w wyborach parlamentarnych. Sinn Féin straciła sporo głosów, głównie na rzecz bardziej umiarkowanej SDLP - Social Democratic and Labour Party - wspólnej partii socjaldemokratów i laburzystów, za którą w Irlandii Północnej opowiedział się katolicki elektorat. Potem, 31 października, dokładnie wtedy, gdy w Dublinie obradowała doroczna konferencja Sinn Féin, francuscy celnicy zatrzymali u wybrzeży Bretanii frachtowiec „Eskund”. Statek niewielki, ale za to po brzegi wyladowany darami dla PIRA od pułkownika Kaddafiego. W ładowniach było tyle kałasznikowów, tyle ton semteksu i rakiet przeciwlotniczych, że łajba chyba tylko cudem trzymała się na wodzie.

Kompletna kompromitacja. Nic dziwnego, że Gerry Adams i PIRA dyszeli żądzą zemsty. Musieli coś przedsięwziąć, zrobić coś spektakularnego, żeby pokazać i Kaddafiemu, i irlandzkim emigrantom w Stanach, którzy łożyli na Noraid, że jeszcze się liczą.

I tak 8 listopada, w Dzień Pamięci, podłożyli piętnastokilogramową bombę z zapalnikiem zegarowym pod pomnik w Enniskillen w hrabstwie Fermanagh. Wybuch spowodował śmierć jedenastu osób, a ponad sześćdziesiąt zostało poważnie rannych. Opinia światowa zareagowała głębokim oburzeniem. W Dublinie tysiące ludzi wpisało się do księgi kondolencyjnej. Moskwa, jak wiadomo, niespecjalnie wrażliwa na ludzkie nieszczęścia, potępiła zamach jako „barba-

rzyńskie morderstwo”. Ale najdotkliwiej z punktu widzenia PIRA zareagowała irlandzka diaspora w Stanach Zjednoczonych, odcinając się od wszystkiego. Krótko mówiąc, PIRA sama sobie ukreśliła stryczek na szyję. Chłopcom wydawało się, że zamach zostanie uznany za akt determinacji w walce z okupantem, a tymczasem nie. Co więcej, w przekonaniu wielu PIRA po prostu odsłoniła swoje prawdziwe oblicze, dokonując masakry niewinnych osób, na dodatek w tak szczególnym dniu, kiedy to cały kraj czci pamięć swoich żołnierzy.

Właśnie dlatego Gibraltar pozostawał dla mnie pewną zagadką. Co prawda, mogłem pojąć, że Adams i spółka rozpaczliwie pragną udowodnić swoim sympatykom - a było ich coraz mniej - że jeszcze nie składają broni, że nadal działają. Jednak nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego zdecydowali się zmanifestować tę gotowość w sposób, który z pewnością wywołałby oburzenie całej opinii światowej. Zamach w Gibraltarze pociągnąłby za sobą niemal wyłącznie śmierć osób cywilnych, i to nie tylko Brytyjczyków. O tej porze roku w Gibraltarze aż się roi od turystów, a wśród nich - o czym PIRA musiała dobrze wiedzieć - nie brak Amerykanów. Powtórka Enniskillen w Gibraltarze równałaby się politycznemu samobójstwu.

I oto pomyślałem, że może trzeba spojrzeć na sprawę z zupełnie innej perspektywy. PIRA to organizacja terrorystyczna, ale nie tylko. Obecność chłopców z PIRA, tu w Waszyngtonie, zdaje się świadczyć, że prowadzą także interesy, a więc terroryści, ale i biznesmeni. Tam gdzie zaczynają się pieniądze, kończy się ideologia. Doskonale zresztą wiedziałem, że faceci z PIRA dość regularnie spotykają się z bojówkami protestantów, a więc ideologicznym przeciwnikiem, w takich sprawach jak narkotyki, prostytutka, wymuszanie. Wspólnie decydują, na przykład, o przydziale terytoriów w Ulsterze temu czy innemu przedsiębiorstwu taksówkowemu. Sumując, można powiedzieć, że PIRA dysponuje odpowiednią infrastrukturą, także wiedzą, nie mówiąc już o broni, aby plasować się w czołówce międzynarodowej przestępczości zorganizowanej, a gdy jeszcze zjednoczy siły z innymi organizacjami terrorystycznymi, to wtedy może właściwie

wszystko. Jeśli przyjąć takie założenie, to nie ma wątpliwości, że wdepnąłem w największe gówno, jakie można sobie wyobrazić.

Na parkingu para, która przed chwilą opuściła hotel, zwarła się w czułym uścisku, ale to też gówno. Niby świata za sobą nie widzą, a zaraz każde pojedzie w swoją stronę.

Do południa nie spodziewałem się telefonu od Pata, kasetą w kamerze wystarczy na trzy godziny nagrania, nadal mogłem więc kontemplować widok z okna. Tyle że nieco mnie to już znużyło.

Lekko potrząsnąłem Kelly. Jęknęła i wtuliła się głębiej w poduszkę.

- Zejdę na dół coś kupić - szepnąłem cicho, żeby nie wybijać jej ze snu. Mruknęła tylko „aha”. Moje plany widać nic jej nie obchodziły, a przynajmniej o tej porze. Nie należała do rannych ptaszków.

Wymknąłem się wyjściem awaryjnym i poszedłem do „7-Eleven” po drugiej stronie wiaduktu. „7-Eleven” to sieć otwartych od siódmej do jedenastej sklepów z tym, co najpotrzebniejsze, a ten, do którego wszedłem wyglądał w środku jak Fort Knox. Wszędzie kraty, także kasjer siedział w zakratowanym boksie, a napisy na ścianie głosiły, że w kasie nie ma więcej jak pięćdziesiąt dolarów. Informację tę adresowano do lokalnych rzezimieszków. Z myślą o nich zainstalowano także kamery telewizyjne.

Właściwie nie musiałem nic kupować. Mieliśmy w pokoju wszystko, co trzeba, i jeszcze trochę. Chciałem jednak побыć sam, bez Kelly, odetchnąć chwilę. W stoisku z prasą klientów witała kolejna uprzejma wywieszka: „Nie pluć, nie czytać niezakupionej prasy”. Wziąłem „Washington Post” - najważniejszy dziennik stołeczny - i całe naręczę kolorowych magazynów. Podeszedłem do warownej kasy, wsunąłem parę banknotów w wąską szparę, kasjer spojrzał na mnie podejrzliwie i jakby z żalem, że nie daję mu najmniejszego powodu do karcenia mnie z wysokości jego kasjerskiego stołka.

Wróciłem do hotelu i postanowiłem zjeść śniadanie. Przy stolikach siedziało

sporo gości. W telewizji nadawano właśnie wiadomości. Jak z oddali, bo skupiłem się na menu, doszło do mnie coś o procesie pokojowym w Irlandii Północnej, chyba George Mitchell wystąpił z jakąś nową inicjatywą. Zaraz potem spiker przytoczył fragmenty oświadczeń Sinn Féin i rządu brytyjskiego, z których wynikało to, co zwykle z takich oświadczeń wynika. My jesteśmy cacy, a ci drudzy be. My chcemy pokoju, a tamci brużdżą, słowem, nic nowego.

Brałem właśnie sok pomarańczowy dla Kelly, gdy w miejsce spikera pojawiła się spikerka z wiadomościami lokalnymi. Zdrętwiałem słysząc, że nawiązuje do zabójstwa Brownów.

Skupiłem się na soku. Nie odwracałem głowy w obawie, że na ekranie pojawiło się właśnie zdjęcie z rodzinnych zbiorów Keva ze mną na pierwszym planie.

Chyba jednak do zdjęć jeszcze się nie dobrali, bo spikerka oświadczyła, że nadal nie wiadomo nic pewnego, ale policja jest na tropie osobnika podejrzanego o porwanie siedmioletniej Kelly. Dysponuje jego rysopisem. Pasował do mnie jak ulał.

Nie wiedziałem, co robić, bałem się ruszyć z miejsca. Jedzenia i picia nabrałem już tyle, że więcej na tacy nie dało się pomieścić. Miałem wrażenie, że wszyscy wlepiają we mnie oczy. Wsadziłem kromkę pieczywa do tosterka. Starczyło na niewielką chwilę, bo gotowa grzanka zaraz wyskoczyła. Zacząłem ją smarować, modląc się w duchu, żeby wreszcie spikerka zmieniła temat. Na sali zrobiło się cicho. Nie powinienem dłużej stać przy bufecie, bo zaczynało to być podejrzanym.

Wziąłem głęboki oddech, chwyciłem tacę, odwróciłem się i... nikt na mnie nie patrzył, goście jedli, rozmawiali, czytali gazety, a cisza też zrodziła się w mojej wyobraźni, bo w sali panował zwykły gwar.

Kelly jeszcze spała, co mnie ucieszyło. Postawiłem jej śniadanie przy łóżku, a sam zająłem się swoim. Włączyłem telewizor, przeleciałem wszystkie kanały, szukając wiadomości lokalnych. O wydarzeniach w Tyson's Corner chwilowo

jednak nie wspomniano. Przejrzałem gazetę. Nie poświęcano już nam czołówek, ale też nie zapomniano o nas całkowicie, niestety. Znalazłem na piątej stronie małą notatkę o zabójstwie. Na szczęście bez zdjęcia. Przytaczano wypowiedź rzecznika policji, jakoby ze wstępnych ustaleń wynikało, iż zabójstwo związane jest z narkotykami. Luther i spółka mogą się tylko cieszyć, pomyślałem.

Starałem się myśleć obiektywnie, niczego z góry nie zakładać, bo i tak w całej sprawie pojawiło się za wiele znaków zapytania. Zbyt wiele teorii może tylko utrudnić wyjaśnienie zagadki. Lepiej zająć się konkretnymi. Po pierwsze - ochronić Kelly i siebie; po wtóre - kontynuować obserwację obiektu za pomocą kamery wideo, co pozwoli ustalić, czy PIRA maczała palce w zabójstwie Keva; po trzecie - wydusić od Pata pieniądze, bo bez nich nie uda się wrócić do domu; wreszcie po czwarte - namierzyć Euana, bo przyda się w rozmowach z Simmondsem, i to bez względu na to, czy będę miał coś Simmondsowi do zaoferowania, czy nie.

Spojrzałem na Kelly. Leżała na plecach z rączkami wyciągniętymi w górę, śniło jej się pewnie, że jest tą różową Katarzyną. Zrobiło mi się jej żal. Nie zdawała sobie jeszcze sprawy z tragedii, nie rozumiała, co naprawdę stało się z jej bliskimi. Ktoś jednak będzie musiał jej kiedyś powiedzieć, ktoś też będzie musiał zaopiekować się nią na stałe. Miałem nadzieję, że będzie to ktoś odpowiedni, na przykład dziadkowie, jeśli oczywiście ma dziadków.

Najważniejsze, że uszła z życiem, ale zagrożenie zostało. Zabójcy są przekonani, że Kelly widziała i słyszała, i o wszystkim mi opowiedziała. Pewnie miotają się po całym mieście, żeby tylko nas namierzyć.

Zastanawiałem się, jak wyciągnąć z małej więcej informacji, ale nie wymyśliłem nic mądrego. Nie jestem psychologiem, a jeśli już o tym mowa, to dobry psycholog i ze mną miałby o czym porozmawiać.

Sięgnąłem po magazyn motoryzacyjny i w miarę, jak się wgłębiałem w lekturę zacząłem zdradzać wymarzonego ducati na rzecz bmw. Potem przejrzałem magazyn wędkarski. Przeczytałem cuda o rajach dla wędkarzy, jakim jest jezioro Tahoe w Kalifornii, na granicy z Nevadą. Studiowałem właśnie uczonego artykuł na

temat rozmaitych haczyków i błysków, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Bez zastanowienia chwyciłem siga, zarepetowałem, spojrzałem na Kelly. Kto wie, co zdarzy się za chwilę. Może wybiła nasza ostatnia minuta. Zanim obudziłem małą położyłem rękę na jej ustach. Dzieciak się wystraszył. Dałem znak, że ma milczeć. Ani słowa, choćby nie wiem co.

- Chwileczkę! - krzyknąłem w stronę drzwi, a jednocześnie skoczyłem do łazienki i odkręciłem prysznic. - O co chodzi? - zapytałem, podchodząc do progu.

- Obsługa - zabrzmiała odpowiedź.

Zerknąłem przez wizjer. Przed drzwiami stała Murzynka około pięćdziesiątki. Miała na sobie hotelowy uniform roboczy, obok niej dojrzałem wózek z przyborami do sprzątanania.

Nic innego nie znalazło się w zasięgu wzroku, ale też, jeśli to Luther ze swoimi ludźmi albo policja, to jasne, że nie będą pchać się na pierwszy plan.

Wpatrywałem się w sprzątaczkę, usiłując z jej oczu wyczytać, co naprawdę się dzieje. Jeśli obok stoi pluton policji w kamizelkach kuloodpornych albo chłopcy od Luthera, to jej wzrok musi zdradzić niepokój.

- Dziękuję, nie trzeba, wszystko w porządku, a poza tym dziecko jeszcze śpi.

- Przepraszam pana, ale nie było wywieszki na klamce, żeby nie przeszkadzać.

- A rzeczywiście, zapomniałem.

- A może życzy pan sobie świeże ręczniki?

- Ręczniki? Chyba tak. Jedną chwilę, tylko narzucę coś na siebie. Właśnie brałem prysznic.

Ręczniki trzeba wziąć, odmowa byłaby podejrzana.

Przerzuciłem pistolet do lewej dłoni i uchylilem drzwi na parę palców, mierząc dokładnie w szparę między framugą a drzwiami. Gdyby w tym momencie zza pleców sprzątaczkki ktoś wyskoczył byłaby to ostatnia czynność w jego pieprzonym życiu.

Nic takiego się nie stało, uchylilem więc drzwi jeszcze trochę, zabezpieczając

je stopą przed nagłym pchnięciem.

- Dzień dobry pani - uśmiechnąłem się życzliwie. Na wszelki wypadek nie wysuwałem ręki po ręczniki, nadal nie byłem pewny, czy nikt nie czyha na korytarzu i czy nagle nie wyskoczy. Mógłby mnie pociągnąć za rękę i po sprawie.

Trzymałem więc rękę po swojej stronie czekając, aż sprzątaczką poda co trzeba.

- Wystarczą nam dwa ręczniki kąpielowe - oznajmiłem. - I szampon, jeśli pani ma - dodałem.

Dostałem jedno i drugie.

- Dziękuję - uśmiechnąłem się, ona również. Zamknąłem drzwi.

Kelly leżała z szeroko otwartymi oczami. Pilnie obserwowała każdy mój ruch.

- No i jak? - zagadnąłem.

Zaczęła się śmiać. Ja też.

- Prawie nas dopadli - powiedziałem ze śmiechem.

Mała spoważniała w jednej chwili.

- Ja wiem - szepnęła - że nie pozwolisz, żeby mnie zabrali.

Dochodziło wpół do jedenastej. Za dwadzieścia minut trzeba zmienić kasetę w kamerze na dachu. Wziąłem tymczasem wczorajszą, przewinąłem do początku, żeby była gotowa.

Kelly wiedziała już, czego od niej oczekuję. Wstała, podeszła do drzwi, żeby zaraz po moim wyjściu przekręcić zamek.

- Wykap się, zanim wrócę - poinstruowałem.

- Właśnie, zawsze tylko zrób to, zrób tamto. - Wzruszyła ramionami.

Poszedłem na dach. Wciąż padało.

Do umówionego telefonu mieliśmy jeszcze godzinę, zaczęliśmy więc z małą

przeglądać kasetę z porannym nagraniem.

- To naprawdę ważne - uprzedziłem ją - zwłaszcza jeśli kogoś rozpoznamy, bo wtedy tata będzie mógł ustalić, kto go tak strasznie bił. Musisz więc uważnie patrzeć i jak tylko zauważysz kogoś, kogo widziałaś albo znasz, jak choćby tatę Melissy, albo sprzedawcę ze sklepu, do którego chodzicie z mamą po zakupy, albo któregoś z tych ludzi, co przyszli wtedy do taty, to zaraz mi powiedz. Tak się umawiamy, zgoda?

Włączyłem kasetę, zacząłem przeglądać na szybkich obrotach, zwalniając, gdy przy wejściu do obiektu pojawiała się jakaś postać. Skrzętnie też zapisywałem, kto wchodzi i jak wygląda - mężczyzna, kobieta, czarny, biały, skośnooki i w jakim ubraniu.

Dla Kelly nie była to już taka zabawa jak wczoraj.

- A ten? - usiłowałem ją zainteresować.

- Nie znam.

- A ta pani?

- Też jej nigdy nie widziałam.

- A tego pana? Popatrz uważnie.

- Nie.

Wreszcie trafił się ktoś, kogo rozpoznała. Cofnąłem taśmę.

- Kto to?

- Pan Mooner z Fox Kids.

- Punkt dla ciebie, zapisuję. A tego znasz? - Zatrzymałem taśmę.

Pokręciła głową.

- Bo wiesz - ciągnąłem - ten człowiek przypomina mi jednego mojego znajomego, straszego zapominalskiego. Nigdy nie pamiętał, gdzie co położył. Kiedyś wieczorem idąc spać wyjął sztuczną szczękę i rano nie mógł jej znaleźć. Szukał jej cały tydzień i przez cały ten czas mógł jeść tylko zupy.

Historyjka była, szczerze mówiąc, średnia, ale mała roześmiała się i przez kolejne minuty patrzyła na ekran z nieco większą uwagą.

Spojrzałem na zegarek: 11.45, a my ciągle jeszcze oglądamy kasetę. Właśnie u wejścia do obiektu mignęły dwie sylwetki. Zatrzymałem.

- Może znasz któregoś z tych panów, bo mnie wydają się znajomi... - Szukałem w pamięci kolejnej opowiadki, żeby podtrzymać uwagę Kelly.

- Nie, nie znam.

- Trudno, obejrzymy jeszcze trochę, a potem zajmiemy się czymś innym. - Włączyłem szybkie obroty, ale właśnie na ekranie znów mignęła jakaś postać. Mężczyzna wychodził z budynku.

Mała podskoczyła na łóżku.

- A tego pana to znam!

Zatrzymałem taśmę.

- Tak? A kto to jest?

- Był u taty, razem z innymi.

- A jak się nazywa? - Starąłem zachować spokój. - A może wiesz, jak się nazywali pozostali?

- A czy pojedziemy dziś do domu, do mamy? Wczoraj obiecywałeś, że jutro pojedziemy i właśnie jest jutro.

- Musimy jeszcze coś załatwić, a przede wszystkim tata chce wiedzieć, jak się ci ludzie nazywali. Pomyśl, Kelly, może sobie przypomnisz.

Próbowałem podejść do małej psychologicznie, choć nic nie wiem o psychologii, zwłaszcza dziecięcej.

Kelly tylko pokręciła głową.

- Tata ich znał, prawda?

- Pewnie tak, przyszli przecież do niego.

- Może coś zapamiętałaś, zastanów się. Czy, na przykład, palili papierosy?

- Nie wiem, ale chyba nie.

- Czy któryś z nich nosił okulary?

- Chyba ten!

Spojrzałem uważnie na ekran, rzeczywiście, facet miał na nosie okulary w

cienkiej drucianej oprawie.

- Bardzo dobrze, a czy któryś z nich miał obrączkę?

- Nie wiem.

Postawiłem jeszcze dziesiątki pytań, o kolor samochodu, kolor butów, o to, jak byli ubrani, czy w rozmowie padło jakieś imię, czy mówili po amerykańsku.

Małej zaczęło zbierać się na płacz, ale mimo to wciąż pytałem. Musiałem dotrzeć do jej pamięci.

- Kelly, pomyśl jeszcze raz, to bardzo ważne. Czy jesteś pewna, że ten człowiek był u taty tego dnia?

Oczy małej nabiegły łzami, chyba jednak przesadziłem.

- Tylko nie płacz. - Objąłem ją. - Nic takiego się nie stało, ale powiedz, czy ten właśnie człowiek był u taty?

Przytaknęła.

- Bo widzisz, to jest bardzo ważne. Gdy opowiemy o tym tacie będzie mógł go złapać i to dzięki tobie. Możesz być dumna, że pomogłaś ojcu.

Spojrzała na mnie, na jej buźce pojawił się cień uśmiechu, widać pochwała zrobiła swoje.

Jeśli Kelly się nie myliła, to rzeczywiście trafiliśmy na ważny ślad, jednego z zabójców Keva namierzyliśmy w budynku, w którym mieści się zakamufLOWANA delegatura PIRA.

Kaseta jeszcze się nie skończyła.

- Wiem - próbowałem pójść za ciosem - sprawdźmy, czy na kasecie nie ma pozostałych gości taty. To byli Murzyni, prawda?

- Wcale nie, biali.

- No właśnie, biali.

Przejrzeliśmy jeszcze kilkanaście minut nagrania, lecz, jeśli nie liczyć faceta, który mnie wydawał się podobny do Nelsona Mandeli, i drugiego, którego Kelly wzięła za Michaela Jacksona, nie znaleźliśmy nic ciekawego.

- Pojedziemy teraz do domu? - znów zaczęła dopytywać się mała. - Pokażemy

kasetę tacie? Sam mówiłeś, że tak trzeba.

- Nie, jeszcze nie teraz - rozwiąłem jej nadzieje. - Najpierw muszę się upewnić, czy ten człowiek rzeczywiście był wtedy u taty, ale to szybko pójdzie - zę-
łgałem po raz nie wiadomo który.

Staralem się skupić na najważniejszych sprawach i na konkretnych krokach, jakie należało przedsięwziąć, ale pobudzony umysł mnożył rozmaite warianty. Mała powiedziała, że Kev znał ludzi, którzy do niego przyszli, a więc nie zabili go obcy. Czy mój prześladowca - Luther - należy do tej samej grupy, czy nie? Raczej tak. Co takiego Kev wiedział? Nie mógł być w nic wplątany, bo nie puściłby pary z ust, a przecież powiedział mi, że ma sprawę. A może DEA rozpracowywała właśnie udział PIRA w handlu narkotykami? Może to właśnie Kev wpadł na trop i został namierzony przez PIRA albo facetów od narkotyków. Tylko jak go namierzili, skąd wiedzieli, że on to on, skąd go znali?

Spekulacje do niczego nie prowadzą. Szkoda czasu.

Kelly przeglądała któryś z kolorowych magazynów. Położyła się obok mnie na łóżku. Czuję się jakoś nieswojo, bo głowę oparła na moim torsie. Poruszyłem się, żeby sprawdzić godzinę. Mała pomyślała pewnie, że chcę ją przytulić.

Pat powinien zadzwonić lada moment, czas uruchomić telefon. Wstałem z łóżka, włączyłem komórkę, podszedłem do okna. Ciągle jeszcze padało. Patrząc na ruch na wiadukcie, zastanawiałem się, co powinienem teraz zrobić. Przed wszystkim spotkać się z Patem, ale w jakimś innym miejscu. Centrum handlowe mogło być już spalone.

Punktualnie o umówionej porze rozległ się dzwonek.

- Halo?

- Cześć, stary.

W tle słyszałem odgłosy ulicy. Pat dzwonił z automatu.

- Są nowe elementy - powiedziałem. - Musimy się spotkać.

- Może być za dwie godziny?

- Może. Na Union Station, odpowiada ci?

- Na Union... nie ma sprawy. - Mówił trochę dziwnie, z przerwami.

Union Station to waszyngtoński główny dworzec. Byłem tam kilka razy i nieźle pamiętałem rozkład wnętrza.

- Wejdiesz przez główne wejście. - Ja wystąpiłem z inicjatywą spotkania, więc do mnie należało określenie warunków. - Pójdiesz do baru kawowego na piętrze z widokiem na schody. Weźmiesz kawę, usiądziesz przy stoliku, przyjdę po ciebie, OK?

W słuchawce zapadła cisza.

- W porządku, Pat? - zaniepokoiłem się.

- W porządku, będę - potwierdził i zakończył rozmowę.

Union Station wygląda całkiem inaczej, niż można by sądzić po otoczeniu, bo wokół rozciąga się raczej uboga dzielnica. Dworzec tymczasem jest imponującą budowlą, a niedawno został kompletnie odnowiony i urządzony z iście paryskim szykiem. Nie spotka się tu bezdomnych jak na wielu innych dworcach świata. Kasy i poczekalnie jak na najlepszym lotnisku międzynarodowym. Mnóstwo sklepów, restauracji, barów, jest nawet multipleks. Pociągów nie widać i nie słychać, perony są bowiem oddzielone estetyczną, dźwiękochłonną ścianą. Co najważniejsze - z mojego punktu widzenia - miejsce to zawsze tętni życiem, a teraz, przed świętami wielkanocnymi, na dworcu pewno kłębi się tłum podróżnych.

Wzięliśmy taksówkę. Gdy dotarliśmy na Union Station do spotkania z Patem pozostała prawie godzina, więc poszliśmy z Kelly po zakupy. Potrzebowałem paru rzeczy, niezbędnych do rozpoznania wnętrza obiektu. Zamierzałem bowiem wejść do pomieszczeń PIRA. Skoro Kelly rozpoznała faceta na kasecie stało się to koniecznością.

Kupiłem więc aparat fotograficzny typu Polaroid i sześć rolek filmów, a także najzwyczajszy w świecie bawełniany szary dres. Kupiłem też nowy zapas taśmy maskującej i klejącej, solidne nożyce, scyzoryk z mnóstwem ostrzy, adidas, gumowe rękawice, baterie, folię, sok pomarańczowy w plastikowej, wyjątkowo

wysmukłej butelce, pudełko pinezek, tuzin jajek w pojemniku oraz ścienny zegar kwarcowy na baterie dość sporych rozmiarów. Kelly patrzyła na to wszystko z niejakim zdziwieniem, ale o nic nie pytała.

Za dwadzieścia druga, objuczeni jak wielbłądy, bo na dodatek wzięliśmy jeszcze parę książek dla małej, skończyliśmy wreszcie zakupowe szaleństwo.

Główna hala dworcowa ma kształt rotundy zwieńczonej wielką kopułą jak w jakiejś katedrze. Stąpając po przepięknej posadzce weszliśmy na schody, prowadzące do restauracji na piętrze.

Przy wejściu powitała nas szefowa sali.

- Poprosimy o stół na dwie osoby.

- Życzy pan sobie w części dla palących?

- A czy może być ten? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie, wskazując stół pod ścianą, ale z widokiem na wejście.

- Oczywiście.

Rozsiedliśmy się, bagaże złożyliśmy pod stołem. W zasięgu wzroku miałem całe podejście do baru kawowego, w którym umówiliśmy się z Patem.

Kelnerka nie dała na siebie czekać. Zamówiłem dwie cole i dużą pizzę.

- Z dodatkowymi grzybami - wtrąciła Kelly, patrząc na mnie, czy się zgodzę.

Zgodziłem się, oczywiście.

- Zawsze z mamą zamawiamy dodatkowe grzyby - wyjaśniła Kelly, gdy kelnerka odeszła od stolika. - Tata mówi, że jesteśmy leśnymi ludkami. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie, patrząc, jak zareaguję.

- To wspaniale - uciałem, bo nie była to pora na konwersację o szczęśliwym dzieciństwie.

Kelly nie zaprotestowała. Zajął się colą, zadowolona, że przynajmniej nie musi siedzieć sama w hotelu.

Pat zjawił się przed czasem, ubrany tak samo jak wczoraj, jakby stosował się do zasady, że na tajne spotkanie przychodzi się z wyraźnym znakiem rozpoznawczym. A może po prostu nie chciało mu się przebrać. Kiedy tak patrzyłem na

niego z góry miałem wrażenie, że coś z nim nie tak. Chwiał się nieznacznie czy też zataczał. Domyśliłem się, skąd ten stan.

Tymczasem pilnie obserwowałem, czy Pat nie ciągnie za sobą ogona. Chodziło nie tylko o jego, ale i mój tyłek.

Odczekałem pięć minut, po czym wstałem z miejsca.

- Muszę pójść do ubikacji - wyjaśniłem malej. - Zaraz wrócę.

Po drodze poprosiłem kelnerkę, żeby zwróciła uwagę na Kelly.

Skierowałem się najpierw do hali biletowej w pobliżu peronów. Panował tam niebywały tłok, jakby połowa Stanów Zjednoczonych postanowiła nagle zjechać do Waszyngtonu, a druga połowa właśnie stąd wyjeżdżała. Klimatyzacja nie dawała sobie rady z taką masą ludzkich ciał, było duszno, powietrze wilgotne, w hali panowała duchota. Wmieszałem się w tłum ciągnący na górne piętro.

Pat stał w kolejce po kawę. Był trzeci czy czwarty. Podszedłem z szerokim uśmiechem na obliczu, klepnąłem go w ramię.

- Pat? A co ty tu robisz?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Czekam na kogoś.

Z bliska zauważyłem, że źrenice ma wielkie jak spodki.

- Ja też. Masz chwilę, żeby skoczyć ze mną do Mickey D's?

- Czemu nie.

Wyszliśmy z baru, poszliśmy w stronę schodów ruchomych wiodących na wielopiętrowy parking dworcowy.

Pat stanął dwa stopnie wyżej. W połowie drogi obrócił się do mnie.

- Co to za pieprzony Mickey D'?

- McDonald's - odparłem krótko, jakby zdziwiony, że nie wie rzeczy tak oczywistej. Ale skąd mógł wiedzieć, nie kolegował się jak ja z siedmioletnią damą. Byliśmy właśnie na poziomie, z którego odjeżdżały autobusy. - Gdyby coś - uprzedziłem Pata zgodnie z zasadą - pryskam w stronę autobusów, a dalej skręcam w prawo do wyjścia.

- W porządku, zrozumiałem - odparł niby normalnie, ale znów w jego głosie zabrzmiała jakaś dziwna nuta.

Parking samochodowy zajmował dwa piętra nad dworcem autobusowym. Wiodły tam już zwykle schody. Zaczęliśmy się wspinać, ale na półpiętrze, skąd roztaczał się widok na dolne i górne piętro, zatrzymałem się. Miejsce wydawało się w porządku, a czasu miałem mało.

- Dwie sprawy, Pat. Mam tu listę rzeczy; chciałbym, żebyś się o nie postarał. Wołałem nie mówić tego przez telefon. - Podałem mu kartkę. - Wszystko potrzebne - zastrzegłem. - A druga sprawa to pieniądze.

Pat zaczął czytać. Albo się zdziwił na widok dziwnego skądinąd spisu, albo nie mógł się skupić, w każdym razie czytanie szło mu wyraźnie niesporo.

- Jeszcze dziś mam dostać trochę szmalu - rzekł, nie odrywając oczu od spisu - ale i tak większość pochłonie ta lista. Jutro, może pojutrze postaram się o więcej. Kurwa mać - dokończył patrząc na zamówienie - a kiedy to trzeba dostarczyć? - Ni stąd, ni zowąd zachichotał, jakby do własnych myśli.

- No cóż, jeszcze dziś. Dasz radę? - Spojrzałem mu prosto w oczy.

Pat tymczasem chichotał jak głupi. Opanował się dopiero, gdy spostrzegł, że patrzę na niego ze śmiertelną powagą. Chrząknął i też spoważniał.

- Zrobię, co się da.

- Przyłóż się, będę ci wdzięczny. - Jeszcze poważniejszym tonem dodałem: - Pat, nie możesz mnie zawieść, sam nie dam rady. I jeszcze jedno, zapisałem ci na drugiej stronie. Chodzi o to, żebyś podjechał po mnie o dwudziestej trzeciej. - Pat patrzył na kartkę. - O jedenastej wieczorem, dziś, zrozumiałeś? - powtórzyłem.

Znałem Pata na tyle, by wiedzieć, że kiepsko się z nim dzieje. Widziałem, że stara się zapamiętać wszystko, co mu mówię, ale koncentracja przychodziła mu z wielkim trudem. Pat potrzebuje pomocy. Dobrze, że zrobiłem ten spis.

- Jakie masz auto? - spytałem.

- Mustanga, czerwonego - odparł. - Czerwonego jak jaja szatana - dodał i zaczął się śmiać jak szalony ze swojego własnego dowcipu.

- Idź już - ponagliłem. - Idź w stronę ulicy H. - Pokazałem mu drogę.
- Do zobaczenia wieczorem - rzekł i ruszył.

Patrzyłem za nim przez dłuższą chwilę, aby upewnić się, czy ktoś go nie śledzi. I znów zauważyłem chwiejny krok.

Przez parking samochodowy wróciłem do głównej hali, stamtąd na piętro do restauracji. Kelly ciągle jeszcze walczyła z pizzą.

- Ale cię długo nie było - powiedziała z ustami pełnymi grzybów.

- Bo akurat zabrakło papieru toaletowego i musiałem czekać, aż przyniosą - odparłem żartem.

Kelly spojrzała niepewnie, ale po chwili zrozumiała, że to tylko dowcip i uśmiechnęła się.

22

Po powrocie do hotelu włączyłem małej telewizor, sam zaś zająłem się zakupami. Wywaliłem wszystko na łóżko. Kelly była ciekawa, co zamierzam z tym zrobić.

- Pat prosił mnie, żeby mu coś przygotować - wyjaśniłem. - Pooglądaj sobie telewizję - zachęciłem. - A może jesteś głodna? - spytałem.

- Skądże - odparła.

Rzeczywiście, głupie pytanie, zjadła przecież pizzę wielką jak mina przeciwczołgowa.

Wziąłem się najpierw za zegar kuchenny. Metodycznie zacząłem wyłamywać całą ramę, skrzynkę i cyferblat. Gdy z tego ostatniego została już tylko resztko o średnicy mniej więcej pięciocentymetrowej dopełniłem dzieła, wyłamując dwie wskazówki. Teraz miałem werk tylko ze wskazówką minutową.

- Co z tego zrobisz, Nick? - zainteresowała się Kelly.

- To taka sztuczka; pokażę ci, gdy skończę, zgoda?

- Zgoda. - Wlepiała wzrok w telewizor, ale kątem oka obserwowała moje po-

czynania.

A ja zająłem się z kolei pojemnikiem z jajami. Wyrzuciłem zawartość do kosza, bo nie o jaja mi chodziło, ale o pudełko. Przeciąłem je na pół i do połówki przykleiłem kilka warstw taśmy klejącej w taki sposób, żeby pod taśmą powstał rodzaj rękawka na wskazówkę zegara, którego właśnie pozbawiłem ramy i cyferblatu. Nasunąłem pudełko na wskazówkę, z werku sterczała teraz zamiast niej połowa pudełka na jaja.

- Chcesz zobaczyć sztuczkę? - zaprosiłem Kelly na pokaz mojego wynalazku.

Umieściłem go na komodzie, tuż przed telewizorem, a właściwie tuż pod czujnikiem na podczerwień, który odbiera sygnały nadawane pilotem. Całość zabezpieczyłem taśmą klejącą.

- A na czym ta sztuka polega? - Mała nie mogła się doczekać.

- Zobacysz, a na razie weź do ręki pilota.

Wzięła.

- Spróbuj wyłączyć dźwięk.

Wyłączyła.

- A teraz daj znowu głośniej.

Tak zrobiła.

- Otóż założę się z tobą, że za piętnaście minut nie uda ci się wyłączyć dźwięku za pomocą pilota, choć ja nie ruszę się z miejsca.

- Naprawdę? Bujasz.

- Przekonasz się.

Kelly schowała pilota pod swoją poduszkę. Pomyślała pewnie, że zapowiadana sztuka polega na tym, iż coś jednak zmajsuję w tym urządzeniu.

Siedziałem bez ruchu, tak jak obiecałem. Kelly też, ciekawa, co nastąpi. Dopytywała się tylko bez przerwy, czy już minęło piętnaście minut.

- Jeszcze nie, dopiero siedem.

Połowa pudełka po jajkach, przymocowana do wskazówki zdążyła wyraźnie przesunąć się w górę. Minęło jeszcze kilka minut i pudełko całkiem przysłoniło

czujnik telewizyjnego zdalnego sterowania.

- No, spróbuj teraz wyłączyć dźwięk - poleciłem małej.

Nacisnęła stosowny przycisk na pilocie, ale bez skutku.

- Może bateria w pilocie jest za słaba - pośpieszyłem z pomocą. Włożyliśmy świeżą baterię, ale nie pomogło. Pilot nadal nie działał. Mała była przejęta, ja zaś nie zamierzałem wyjawiać sekretu.

- Czary - wyjaśniłem z tajemniczym uśmiechem.

Wypiłem trochę soku pomarańczowego, resztę wylałem do umywalki, butelkę przepłukałem. We wszystkich urządzeniach wymieniłem baterie na świeże i przygotowałem cały sprzęt do zapakowania.

Dwadzieścia po dziesiątej, gdy byłem gotów do wyjścia, Kelly już spała. Będę musiał ją jednak obudzić, uprzedzić, że wychodzę. Mogłaby się bowiem wystraszyć, gdyby raptem się ocknęła i zobaczyła, że mnie nie ma. Przywiązałem się do niej, nie chciałem, aby stała jej się krzywda. Wyglądała tak słodko we śnie. Co z nią będzie - przemknęło mi przez myśl - gdy już to wszystko się skończy, zakładając oczywiście, że wyjdziemy z tego cało.

Jeszcze raz sprawdziłem cały sprzęt. Odłączyłem komórkę od ładowarki, wsadziłem do kieszeni. Upewniłem się, czy mam przy sobie pieniądze. Sprawdziłem broń. Na koniec wcisnąłem jeszcze do kieszeni paczkę biszkoptów, zjem po drodze.

- Kelly - pochyliłem się nad śpiącym dzieckiem. Żadnej odpowiedzi. Potrząsnąłem ją delikatnie za rączkę. Zaspana otworzyła jedno oko. - Muszę wyjść na chwilę. Telewizor zostawiam włączony; jeśli chcesz, możesz sobie oglądać.

- Dobrze - mruknęła.

Nie miałem pojęcia, czy zrozumiała, czy nie, ale też nie chciałem jej rozbudzać na dobre, bo nie miało to sensu.

- Wezmę klucz, nie musisz na mnie czekać - dodałem. - A zresztą zaraz wrócę - zapewniłem jak zwykle.

Zjechałem windą na dół, wyszedłem na zewnątrz. Przestało padać, ale po-

wietrze było wilgotne i na tyle chłodne, że oddech zmieniał się w parę.

Ruszyłem w lewo, a więc w przeciwną stronę niż zwykle. Nie miałem po temu specjalnego powodu, ale chciałem sprawdzić, na wszelki wypadek, czy nikt nie depcze mi po piętach. Pogryzając biszkopty przeszedłem obok obiektu. W oknach paliły się te same światła co wczoraj i w ogóle wszystko wyglądało podobnie. Zastanawiałem się, czy w krzakach przy wyjściu śpi ten sam bezdomny gnojek. Czas mijał, przyspieszyłem kroku, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Patem. Skręciłem w prawo, na drogę pod wiaduktem.

Nieco dalej droga odbijała od wiaduktu, a jeszcze dalej zaczynał się ugor. Warkot samochodów pędzących górą dobiegał coraz słabiej. W ciszy moje własne kroki pobrzmiwały coraz głośniejsze. Po prawej miałem teraz składowiska samochodów odholowywanych przez policję z nielegalnych parkingów w mieście. Zastanawiałem się, jak to jest z Waszyngtonem, czemu władze miasta mają ciągły deficyt w budżecie, skoro zbierają miliony z mandatów za złe parkowanie? Po lewej ciągnęły się jakieś warsztaty w blaszanych budach. Zatrzymałem się przy pierwszym z nich, ukrywając się w cieniu.

Zabawne, oto stoję sobie o rzut kamieniem od Pentagonu i niemal pod samym nosem facetów, którzy radzi byliby mnie wykończyć. Nie pierwszy raz zresztą znajdowałem się w takiej sytuacji. Adrenalina szybciej napływa wówczas do żył.

W nocną ciszę wdarł się warkot silnika. Pewnie Pat, ale na wszelki wypadek wyciągnąłem broń i ukląknąłem, żeby strzał był pewniejszy.

Z ciemności wyłonił się czerwony mustang. Wymierzyłem w kierowcę i trzymałem go na muszce, dopóki nie zatrzymał wozu. Owszem, to był Pat, w świetle ulicznej lampy rozpoznałem jego rzymski profil.

Nie opuszczając pistoletu podszedłem do wozu, otworzyłem tylne drzwi. Pat znał się na rzeczy, wyłączył oświetlenie kabiny. Wsiadłem, drzwi zamknąłem delikatnie, bez trzasku.

Pat trzymał dłoń na hamulcu ręcznym. Użył ręcznego do zatrzymania wozu, aby nie uruchamiać świateł stopu. Bez stopu, bez światła w kabinie ktoś, kto

mógłby nas obserwować z pewnej odległości nie zauważyłby, że auto się zatrzymało i że ktoś do niego wszedł.

Pat zwolnił hamulec, ruszyliśmy.

- Na skrzyżowaniu w prawo - podałem kierunek, obserwując, czy nikt za nami nie jedzie.

- Wszystko jest w torbie na siedzeniu - rzekł Pat.

Rozumieliśmy się w pół słowa, niczego nie musieliśmy sobie wyjaśniać. Jeśli po południu był na haju, to teraz jego głos brzmiał rzeczowo, no może dało się wyczuć nutkę zawstydzienia.

Sięgnąłem do torby, wyjąłem laptopa.

- Dźwięk wyłączony? - upewniłem się. Poprosiłem go o komputer z zainstalowanym systemem Windows 95, a ten, gdy się go uruchamia, wygrywa stosowny sygnał, co oczywiście nie było mi do niczego potrzebne.

Pat nie odpowiedział, zrobił tylko taką minę, jakby chciał spytać, czy mam go za kretyna. Zaśmiałem się, on też i to przełamało nieco sztywną atmosferę.

Przejeżdżaliśmy właśnie obok hotelu. Na wszelki wypadek nie odwróciłem głowy, żeby nikt, nawet przypadkiem, mnie nie rozpoznał. Następnie skręciliśmy w prawo, pod wiaduktem Pat zatrzymał, bo akurat zapaliły się czerwone światła na skrzyżowaniu.

- Dalej prosto, a potem w prawo na Pennsylvania Avenue - podałem kierunek.

- W porządku.

Wjechaliśmy w elegantszą dzielnicę, dobrze oświetloną. Obaj pilnie obserwowaliśmy przebytą drogę we wstecznych lusterkach, on w wewnętrznym, ja - bocznym. Nie oglądaliśmy się za siebie, nie chcieliśmy, aby ktokolwiek pomyślał, że mamy się na baczności.

Owszem, jechało za nami parę aut, ale żadne nie wyglądało podejrzanie, co - oczywiście - jeszcze o niczym nie świadczyło.

Pat przygotował się odpowiednio. Na siedzeniu, pod prawym udem miał dziewiątkę, półautomat, a pod nogami, na podłodze - MP5K, tego samego kalibru

- doskonałą broń na akcję z samochodu, choć może odrobinę za silną jak na to, z czym ewentualnie należało się liczyć. MP5K to broń o niewielkich gabarytach, ale szybkostrzelna, a Pat założył jeszcze podwójny magazynek na trzydzieści naboji.

- Na kogo? - zapytałem.

- Z tego, co mi opowiedziałeś nabrałem niechęci do Luthera. Nie chciałbym, aby twój nowy przyjaciel i jego kumple zaczęli mnie ciągać.

Zbliżaliśmy się do kolejnych świateł.

- Zrób tu prawo-lewo - poleciłem. - Przekonamy się, czy mamy towarzystwo.

Za nami jechało kilka wozów. W ciemności trzeba przede wszystkim zwracać uwagę na kształt i siłę reflektorów. Jeśli takie same reflektory zauważy się po trzech, czterech zakrętach, to sygnał, że trzeba coś postanowić.

Pat dał migacz w prawo i zaczął przesuwając się na prawy pas.auta za nami kierowały się albo prosto, albo też w prawo. Żadne nie posuwało się lewym pasem. Na kilka metrów przed światłami Pat przełączył migacze i zjechał na lewy pas. Zrobił to sprawnie i w taki sposób, aby nie wywołać zagrożenia, paniki, a nade wszystko niepotrzebnych podejrzeń. Wyglądało to tak, jakby w ostatniej chwili zmienił zamiar albo zorientował się, że właśnie trzeba skrócić w lewo, a nie w prawo.

Staralem się zapamiętać wszystkie samochody stojące razem z nami pod światłami, choć żaden nie wyglądał podejrzanie. Siedzieli w nich młodzi ludzie, przeważnie pary. Ale jeśli po kilku kolejnych zakrętach któreś z tych aut objawi się w polu widzenia, to krewa.

Skręciliśmy w lewo, nikt za nami nie pojechał. Mieliśmy więc chwilę dla siebie, żeby pogadać.

- Te twoje instrukcje można o kant dupy - zaczął Pat. - Napisałeś: „trzy budynki”, w rzeczywistości są tam cztery. Twoje szczęście, że okazałem się czujny - pochwalił się.

- Masz rację, pomyliłem się, taksówka jechała za szybko i nie policzyłem

dokładnie.

- Pomyślałem sobie - ciągnął Pat - że może byłoby dobrze, żebym poszedł z tobą jako numer drugi?

Pat miał rację, tak byłoby lepiej, szybciej i bezpieczniej, bo w razie czego we dwóch łatwiej się wyrwać. Z drugiej jednak strony, Pat to mój jedyny łącznik ze światem zewnętrznym, przeto nie powinienem go narażać, postanowiłem więc odrzucić propozycję.

- Odpieprz się - powiedziałem - pamiętam, co było ostatnim razem. - Obaj zaczęliśmy się śmiać.

Chodziło o to, że PIRA przygotowała nowy rodzaj ładunku wybuchowego i planowała zamach. Dwukilową bombę, rzeczywiście wymyślną, chciano zainstalować na jednym z parkometrów w mieście. Zapalnik miano podłączyć do zegara na parkometrze, a ten można było nastawić maksimum na jedną godzinę. Na razie najnowszy wynalazek PIRA czekał w schowku w melinie. Melina zaś znajdowała się w komunalnej czynszówce jednej z dzielnic Londonderry, znanej zresztą z tego, że mieszkało tam wielu zwolenników oderwania Ulsteru od Anglii. Udaliśmy się tam z Patem, znaleźliśmy schowek - urządzono go pod podłogą w kuchni i zamaskowano piecykiem gazowym - wyciągnęliśmy bombę. Pat wyniósł ładunek w wyświechtanej płóciennnej torbie.

Dalszy ciąg zadania był prosty, mieliśmy bowiem wsiąść do auta, które zaparkowaliśmy nieopodal, przy niewielkim centrum handlowym, przejechać na drugą stronę miasta i podłożyć ładunek pod samochód jednego z czołowych działaczy INLA, Irlandzkiej Armii Wyzwoleńczej, czyli odłamu IRA skłóconego z naszymi wynalazcami. Ten, oczywiście, znajdzie ładunek, zidentyfikuje go jako produkt PIRA i wtedy dwie organizacje wezmą się za łby. Zaczną się nawzajem zwalczać, zamiast zasadzać się na siły bezpieczeństwa i strzelać do bezbronnej ludności.

Spojrzałem na Pata, też myślami błądził daleko.

- A co z samochodem, znalazł się?

- Nie mam pojęcia i gównie mnie to obchodzi.

Rzecz w tym bowiem, że gdy zjawiliśmy się na parkingu, po naszym aucie nie było ani śladu, jakiś skurwysyn zwinął nam wóz, co jednak nie zwalniało nas z zadania. Bombę trzeba było podłożyć zgodnie z planem. Policja przymknęła prawie całe kierownictwo INLA niby to na przesłuchanie, aby dać nam czas na podrzucenie ładunku, ale też nie mogła trzymać facetów bez końca. W tej sytuacji nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko z bombą w torbie puścić się biegiem przez całe miasto.

Spojrzałem na Pata, myślał pewnie o tym samym, bo wiedziałem, że się uśmiecha na wspomnienie naszego maratonu.

Po drodze natknęliśmy się na dwa patrole wojskowe, przedarliśmy się na bezczelnego, bo też inaczej by się nie dało. Gdyby bowiem zaczęli grzebać w torbie i znaleźli ładunek, to koniec z nami. Żołnierzowi przysługuje dodatkowy urlop, gdy załatwi terrorystę w Ulsterze, więc żaden z ośmiu facetów w mundurach - tylu liczyły patrole - z automatem gotowym do strzału, nawet nie słuchałby wyjaśnień.

Fajnie jest powspominać, jeszcze fajniej widzieć Pata obok siebie, ale też wszystko ma swój koniec.

- Wysadzisz mnie przy stacji metra koło Pentagonu, OK?

Oderwałem się od wspomnień i zacząłem się przygotowywać do opuszczenia auta. Pat zjechał na prawy pas, wyhamował przy krawężniku. Wsiadłem. Wsadziłem głowę przez otwarte okno od strony pasażera i głośno podziękowałem za odwiezienie. Jednocześnie sięgnąłem po torbę. Przypadkowy obserwator powinien pomyśleć, że oto kumpel podrzucił mnie do metra po wspólnej wyprawie na boisko. Wyprostowałem się. Pat ruszył. Poczulem się nagle strasznie samotny. Zacząłem się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, odrzucając jego propozycję.

Okrężną drogą, o dwudziestej trzeciej piętnaście, wróciłem do hotelu.

Sprawdziłem i uporządkowałem cały sprzęt, dostarczony przez Pata i spakowałem z powrotem do torby. Przejrzałem kieszenie, wyjąłem wszystkie

drobne, bo monety w kieszeniach mogą zadźwięczeć w najmniej odpowiedniej chwili. Paszport i portfel owinąłem w kawałek folii plastikowej i schowałem do kieszeni kurtki.

Przed samym wyjściem podskoczyłem w miejscu kilka razy, żeby się przekonać, czy nic w kieszeniach nie brzęczy. Potrząsnąłem też torbę, aby sprawdzić, że jest upakowana jak należy.

- Zgadnij, mała, co teraz? - szepnąłem do Kelly. - Znow muszę wyjść, ale niedługo wrócę, przecież wiesz.

Mała niczego nie słyszała, spała jak suseł. Wyszedłem z hotelu i ruszyłem w stronę obiektu.

23

Przy bramie torbę założyłem na plecy jak tornister. Tak było wygodniej i rozsądniej, bo w razie ucieczki nie musiałbym porzucać sprzętu. Gdyby zaś sprawy przybrały naprawdę zły obrót, to miałem wolne ręce, by sięgnąć po sigę.

Przebiegłem przez bramę. Od obiektu oddzielał mnie jeszcze pas nieużytków i parkan z siatki. Panowała absolutna cisza, tylko z wiaduktu dobiegał warkot przejeżdżających samochodów. Szedłem ostrożnie. Nieco rozmiękły grunt to nie najlepsze podłoże do nocnych wycieczek, łatwo się poślizgnąć, a to wywołałoby niepotrzebny hałas. Ja zaś nauczony doświadczeniem musiałem się liczyć z tym, że w okolicy mogą koczować jacyś bezdomni.

Dobrze się przygotowałem do siatki otaczającej budynek PIRA. Ściągnąłem torbę z pleców i przysiadłem w krzakach. Pierwszy etap miałem za sobą. Teraz trzeba odczekać chwilę, oswoić się z otoczeniem, rozejrzeć się, wyteżyc słuch, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Musiałem działać ze szczególną ostrożnością. Na tego typu robotę chodzi się zwykle we dwóch. Jeden stoi na czujce, a drugi robi, co do niego należy. Ja tymczasem zdany byłem wyłącznie na siebie, więc przez kilka dobrych minut nie robiłem nic, tylko nasłuchiwałem i obserwowałem okolicę.

Rozgwieżdżone niebo sprawiało, że widoczność miałem znacznie lepszą niż wczoraj. Parking przy obiekcie był pusty, a drewniane palety leżały przy płocie, dokładnie tam, gdzie wczoraj.

Wyciągnąłem zawiniątko z dokumentami, wygrzebałem dziurę pod jednym z krzaków, wsunąłem pakiet i starannie zasypałem ziemią. Gdyby tak się zdarzyło, że zostałbym zwinięty na robocie, to bez dokumentów będę czysty, gdy zaś uda mi się zwać, to po jakimś czasie wrócę i odzyskam papiery.

Wytarłem ręce o trawę, zacząłem się przygotowywać do następnego etapu. Wyciągnąłem z torby dres. Sądzę, że podobnie mieli na sobie faceci, którzy załatwili Keva.

Kolejny problem to przejście z dwudziestokilogramowym bagażem przez stosunkowo wysoką siatkę.

Sprawę rozwiązałem w ten sposób, że z kurtki wyciągnąłem sznurek, służący do ściągania jej w pasie. Przywiązałem go do uszu torby, a koniec wzięłem w zęby. Następnie podniosłem torbę tak wysoko, jak tylko się dało i przywiązałem do siatki na specjalny węzeł - taki, co to daje się rozwiązać jednym szarpnięciem. Wolny koniec sznurka przerzuciłem na drugą stronę ogrodzenia.

Sprawdziłem, czy pistolet nie wysunie mi się w czasie pokonywania przeszkody i wspiąłem się na płot. Będąc na górze przerzuciłem torbę na drugą stronę, nie zwalniając jeszcze sznurka. Zeskoczyłem i przez dobrą chwilę trwałem bez ruchu, nasłuchując i rozglądając się wokół. Dopiero gdy upewniłem się, że wszystko jest w porządku ściągnąłem torbę. Potem znów przykucnąłem i przez dłuższą chwilę nasłuchiwałem.

Działanie w pojedynkę wymaga ogromnej koncentracji. Nie da się bowiem jednocześnie obserwować i wykonywać zadania. Trzeba to robić na przemian. Kto próbuje inaczej, ten najczęściej ma kłopoty.

Wyprostowałem się, zarzuciłem torbę na lewe ramię, rozpiąłem bluzę od dresu, żeby w razie czego łatwiej mi było wyciągnąć broń, i powoli zacząłem przesuwać się bliżej obiektu.

Pierwsza rzecz, którą teraz trzeba było zrobić i od której zależało powodzenie całości, to zneutralizować czujnik systemu alarmowego, a ten, jak wynikało z wczorajszej obserwacji, reagował na ruch. Zacząłem doń podchodzić ze stosownej odległości. Posuwałem się przy samym murze. W ten sposób doszedłem do miejsca, w którym czujnik mógł już zareagować. Położyłem tam torbę, wyznaczając sobie tym samym wyraźną granicę, której nie wolno mi przekroczyć. Wszystkie kolejne czynności będę wykonywał po tej stronie granicy.

Czujnik zapewne uruchamiał reflektory oświetlające teren i budynek. Nieco mnie zdziwiło, że na całej ścianie tkwił tylko jeden czujnik, zwykle bowiem instaluje się dwa albo i więcej, tak aby ich pola widzenia wzajemnie się uzupełniały. Tu jednak zastosowano oszczędnościowe rozwiązanie. Ktoś, kto podejmował decyzję zakładał pewnie, że wystarczy jeden czujnik zabezpieczający wyjście awaryjne, bo tylko tędy można dostać się do środka.

Dochodziła pierwsza, za pięć godzin zacznie świtać, więc czasu zostało niewiele, ale nie zamierzałem się śpieszyć. Okrężną drogą, ze względu na czujnik, poszedłem po paletę. Dźwignąłem oburącz, na ugiętych pod ciężarem nogach. Przeniosłem paletę pod mur i ustawiłem pionowo przy ścianie. Przydźwigałem drugą, ustawiłem ją na pierwszej, tworząc coś w rodzaju drabiny.

I znów zacząłem nasłuchiwać, co tym razem było o tyle trudne, że dyszałem ciężko ze zmęczenia. Palety swoje ważyły.

Po chwili zacząłem się wspinać. Na pierwszą wszedłem bez kłopotów, druga też wydawała się mocno tkwić w miejscu, ale ledwie wspiąłem się na dwa szczeble cała konstrukcja runęła z trzaskiem, a ja zwałem się na ziemię jak wór kartofli. Niech to szlag...

Upadłem na plecy, górna paleta zwała mi się na nogi, hałas mógł poderwać umarłego. O dziwo, nikt się nie zjawił, nikt nie nadbiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje, żaden pies nie zaszczekał, nie zapaliły się żadne światła. Wokół panowała głęboka cisza, którą zakłócał tylko mój przyspieszony oddech.

Na szczęście wszystko runęło po bezpiecznej stronie granicy wyznaczonej

przez torbę. Wygrzebałem się spod palety, klnąc z cicha. Cały plan okazał się do dupy, ale co innego mogłem wymyślić? Kupić drabinę i paradować z nią przez całe miasto?

Przeszedłem tymczasem wzdłuż muru do krańca budynku i zerknąłem na ulicę. Cisza i spokój.

Zastanawiałem się co dalej, bo wyglądało na to, że mogę próbować wspinać się na palety bez końca, a i tak nie dojdę do miejsca, z którego można by się dostać do czujnika. Może rzeczywiście drabina to nie taki głupi pomysł. Można by ją w ciągu dnia ukryć gdzieś w pobliżu, a w nocy wydobyć z kryjówki. Można, ale teraz już za późno.

Więcej pomysłów nie miałem, więc uznałem, że trzeba „działać tak, jak dyktuje sytuacja”. To właśnie zalecają w Firmie, gdy sami nie wiedzą, jak postąpić.

Właśnie!

Niech się dzieje, co chce, muszę ściągnąć Kelly. Wystarczy, że mała oprze się całym ciałem o paletę, a będę mógł się wspiąć tak, jak planowałem. Ile to potrwa? Piętnaście minut? Góra! A co potem? Albo każę jej czekać, albo odprowadzę do hotelu. Nie muszę tego akurat teraz rozstrzygać. Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja.

Ruszyłem więc po małą. Torbę i dres zostawiłem przy płocie, po stronie obiektu, a następnie zacząłem posuwać się wzdłuż ogrodzenia, szukając dziury czy czegoś takiego, co pozwoliłoby mi wydostać się prosto na ulicę. Nie miałem czasu na wędrówkę starą drogą. Znalazłem przejście - wąską alejkę między budynkami, jakby przeniesioną z filmu o nowojorskiej mafii z lat pięćdziesiątych. Tak przynajmniej wyglądała w mroku. Znalazłem się na Ball Street. Do hotelu miałem nie więcej jak dwie minuty drogi. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że klucz do numeru zostawiłem razem z portfelem w schowku pod krzakiem. Wracać nie było co.

Wszedłem na piętro i zapukałem do drzwi, zrazu delikatnie, potem nieco

mocniej. Gdy zacząłem się zastanawiać, czy walnąć jeszcze mocniej, czy zrezygnować, usłyszałem: „Cześć, Nick”, a po chwili drzwi się otworzyły.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - zdziwiłem się. - Powinnaś poczekać, aż odpowiem - zacząłem ją karcić, ale w tym momencie zobaczyłem krzesło przy drzwiach i zrozumiałem, że mała zadziałała naprawdę mądrze. - Zerknęłaś przez wizjer. - Uśmiechnąłem się. - Bardzo dobrze, mądra dziewczynka. Mam pewien plan - ciągnąłem - jeśli tylko zechcesz mi pomóc. Zgoda?

- A jak mam pomóc? - spytała, ziewając.

- Pokażę ci na miejscu. Idziesz ze mną?

- Chyba tak.

- To świetnie, bo wiesz - znalazłem sposób, żeby ją zachęcić - to jest ważne. Zastąpisz tatę, a potem wszystko mu opowiesz.

Rozpromieniła się.

Szedłem szybko, Kelly ledwie nadążała. Alejką między budynkami przedostaliśmy się na tył obiektu. Było ciemno, mała zaczęła się ociągać.

- Gdzie mnie zabierasz, Nick?

- Na podchody, lubisz się bawić w podchody, prawda? - odparłem szeptem, sugerując wielką przygodę. - Masz do wykonania tajną misję, jak bohaterowie „Power Rangers”.

Podziałało, bo raźniej ruszyła do przodu. Wzięłem ją za rękę. Podeszliśmy do płotu, gdzie zostawiłem torbę i dres.

- Muszę to włożyć - wyjaśniłem - to specjalny strój wywiadowcy. - Mała spojrzała niepewnie. Zrozumiałem, że skojarzyła dres z facetami, którzy załatwili Keva, ale brnąłem dalej. - Tata też ma taki specjalny strój, a dla ciebie zaraz coś wymyślimy, zdejmij kurtkę. - Gdy zdjęła wywróciłem kurtkę na lewą stronę i kazałem założyć. Podobało jej się.

Zarzuciłem torbę na ramię, gestem wskazałem kierunek.

- Teraz zaczniemy się skradać, żeby nikt nas nie zobaczył - ciągnąłem zabawę

w podchody.

Dotarliśmy do palet pod ścianą obiektu. Zdjąłem torbę i położyłem ją w tym samym miejscu co poprzednio.

- OK? - Uniosłem kciuk na znak, że wszystko jest w porządku.

- OK! - Mała odpowiedziała tym samym gestem.

- Popatrz tam - wskazałem palcem na czujnik na ścianie. - Widzisz - upewniłem się - tę małą jakby lampę?

Kelly skinęła głową, że widzi.

- Otóż jeśli to coś nas zobaczy, to wtedy zaczną się straszne rzeczy, zapalą się światła, włączy się alarm i przegramy. Ale to coś może nas zobaczyć tylko po drugiej stronie torby, więc musimy uważać, żeby nie przejść na tamtą stronę. Będziesz pamiętać?

- Będę - szepnęła.

- OK?

- OK!

Dopełniliśmy rytuału, unosząc kciuki do góry.

Zająłem się paletami. Ponownie ustawiłem jedną na drugiej, szeptem wyjaśniłem małej, na czym polegać będzie jej zadanie. Zrozumiała w lot, z całą swoją dziecięcą siłą zaczęła przyciskać palety do muru, czyniąc przy tym sporo niepotrzebnego hałasu, ale pewnie wydawało jej się, że wysiłek fizyczny wymaga stosownej dozy jęków i stękań.

Ja tymczasem wyjąłem z torby sprzęt - zegar, a raczej to, co zeń zostało, oraz pojemnik na jajka, który zaraz nasunąłem na wskazówkę. Upewniłem się, czy taśma klejąca trzyma jak należy. Trzymała.

Kelly nadal napierała na palety z całej siły. Dałem jej znak, żeby przystopowała, bo jeszcze nie skończyłem przygotowań.

Wyjąłem z torby dwie gumki aptekarskie, nasunąłem je sobie na przegub. Mała patrzyła z zaciekawieniem.

- Znowu zobaczysz czary.

Nic nie powiedziała, ale zrobiła taką samą minę jak wtedy, gdy wypróbowałyśmy mój wynalazek na telewizorze w hotelu.

- Jesteś gotowa?

- Tak.

- No to zaczynamy.

Zacząłem wspinać się na palety, ostrożnie i powoli. Zdawałem sobie sprawę z wątych sił mojej pomocnicy. Po chwili stanąłem na szczycie piramidy, skąd mogłem sięgnąć do czujnika. Wskazówkę na zegarze uzbrojoną w pudełko po jajkach ustawiłem w pozycji poziomej i cały mechanizm na wyciągniętej ręce podsunąłem tuż pod czujnik. Plecami oparłem się o mur. Teraz pozostało tylko czekać. Piętnaście minut.

Ruch wskazówki minutowej był na tyle wolny, że czujnik nie powinien zareagować. Tak się zresztą je nastawia. Można, oczywiście, inaczej wyregulować czułość urządzenia, ale wtedy reagowałoby na najmniejsze zakłócenia. Wystarczyłoby, żeby obok przeleciała mucha i już alarm gotowy, więc ze względów praktycznych dobiera się odpowiednio mniejszą czułość, przynajmniej na to liczyłem. Liczyłem też, że Kelly wytrzyma kwadrans.

Mrugnąłem do niej porozumiewawczo. Minuty ciągnęły się bez końca. Czekaliśmy w skupieniu, żeby wskazówka, a wraz z nią pudełko, podniosła się do pionu, gdy nagle ciszę rozerwał przeraźliwy dźwięk policyjnego radiowozu.

Kurwa, kurwa mać, a szło już tak dobrze!

Zadrzałem. Dźwięk dobiegał z drugiej strony obiektu, od ulicy. Ale to chyba jednak nie po nas, starałem się uspokoić. Po pierwsze, słyhać tylko jeden radiowóz, a po wtóre, gdyby po nas, to raczej nie włączaliby syreny.

- Nick, Nick, słyszysz? - szepnęła Kelly, wyraźnie wystraszona.

- Słyszę, ale to nic takiego - uspokoiłem ją. - Trzymaj drabinę. - Chodziło mi oczywiście o palety.

Nic więcej nie mogłem zrobić. Najmniejszy ruch i cały wysiłek na nic. Serce waliło mi jak młotem, ale starałem się stać nieruchomo.

A tymczasem radiowóz zatrzymał się gdzieś przy Ball Street. Syrena ucichła, a z oddali zaczęły dobiegać strzępy głośnej rozmowy, trzask otwieranych i zamkniętych drzwi samochodu, a po chwili warkot uruchamianego silnika. Mogłem sobie wyobrazić, co się dzieje. Ktoś pewnie dał znać glinom, że w aucie migdali się jakaś para. Tak sobie pomyślałem, stojąc jak palant z ręką wyciągniętą pod czujnikiem, i modliłem się, żeby tak było.

Wstrzymałem oddech, pudełko zbliżało się do pionu. Za chwilę wszystko się zdecyduje. Pewności nie miałem żadnej. Mój wynalazek mógł, ale nie musiał zadziałać. Wóz albo przewóz.

Wóz! Pudełko przysłoniło czujnik i... nic, żadnych świateł, żadnego alarmu. Ściągnąłem z przegubu jedną z gumek i przymocowałem pojemnik do czujnika. Sprawdziłem, czy dobrze trzyma i dla pewności nasunąłem jeszcze jedną gumkę. Czujnik został pokonany.

Wysunąłem wskazówkę w pudełka, mechanizm schowałem do kieszeni. Zeskoczyłem na ziemię, poklepałem Kelly po plecach.

- Dobra robota, moja mała!

Uśmiechnęła się szeroko, nie bardzo wiedząc, na czym właściwie całe to przedsięwzięcie polegało. Najważniejsze, że się udało i że mogła zastąpić tatę.

24

Teraz należało zająć się pozostałymi systemami alarmowymi, to zaś oznaczało wyłączenie, a ściślej zablokowanie linii telefonicznych. Od Pata, oprócz innych rzeczy, dostałem specjalny aparat służący właśnie do tego celu. Było to pudełko wielkości połowy książki, nafaszerowane elektroniką, wyposażone w sześć kolorowych kabelków zakończonych krokodylkami. Jeśli kable te podłączy się w określony sposób do przewodów telefonicznych, wychodzących z budynku, to następuje blokada i każda próba połączenia z jakimkolwiek numerem zewnętrznym kończy się fiaskiem - słychać jedynie sygnał zajętości. Systemy

alarmowe opierają się właśnie na sieci telefonicznej. Sygnał, że coś się dzieje jest wysyłany automatycznie do stacji monitorującej, zwykle do policji. Gdy jednak podłączy się takie urządzenia, wtedy nie ma mowy o alarmie, ponieważ numer policji czy agencji ochrony będzie stale zajęty.

- Chodź - szepnąłem Kelty do ucha - musisz mi jeszcze pomóc.

Wziąłem torbę i podszedłem do skrzynki z przewodami umieszczonej tuż przy drzwiach przeciwpożarowych.

Wyjąłem z kieszeni zegar i schowałem go do torby, wyciągnąłem z niej natomiast owo elektroniczne pudełko oraz sporą płachtę czarnego, dość grubego materiału. Pat kupił ją dla mnie w sklepie fotograficznym, służy ona zwykle do osłaniania kamer kliszowych.

- Znowu będą czary-mary - mrugnąłem do Kelly. Mówiłem szeptem, bo w nocy głos daleko się rozchodzi. - Musimy być bardzo cicho - upomniałem ją. - Gdy będziesz chciała coś powiedzieć, to najpierw daj mi znać, szturchnij mnie, a ja przykucnę i będziesz mogła powiedzieć mi prosto do ucha, o co chodzi, rozumiesz?

- Tak - odparła z przejęciem, zgodnie z instrukcją prosto do ucha. Wyglądała dość głupio w kurtce odwróconej na lewą stronę i kapturze naciągniętym na głowę.

- Znakomicie, tak właśnie należy się zachowywać na podchodach - pochwaliłem ją, naciągając na dłonie gumowe rękawiczki. - A teraz uważaj - przystąpiłem do wytłumaczenia jej zadania: - wezmę latarkę, nakryję się tą płachtą, a ty sprawdzisz, czy światło nie wydostaje się na zewnątrz. Jeśli zobaczysz choćby najmniejszy promyczek, to stuknij mnie w ramię.

- Dobrze - szepnęła.

- Rozglądaj się pilnie dookoła. Gdy tylko coś zobaczysz albo usłyszysz, to zaraz daj mi znać.

Skinęła głową, że rozumie.

Narzuciłem płachtę na głowę i ramiona, pochyliłem się nad skrzynką z

przewodami. Latarkę z czerwonym filtrem trzymałem w zębach.

Miałem doświadczenie w tych sprawach, nieraz już dobierałem się do przewodów telefonicznych i zakładałem blokadę. Chodzi o to, aby kable z urządzenia blokującego podłączyć według określonego schematu, a robi się to na zasadzie prób i błędów. Na aparacie jest sześć świateł - gdy zapalą się wszystkie, to znak, że blokada działa.

Pod płachtą było duszno, zacząłem się pocić. Istniała oczywiście obawa, że oprócz alarmu telefonicznego obiekt został wyposażony w alarm dźwiękowy. Tego nie mogłem do końca wykluczyć, ale zakładałem, że nie ma dodatkowego zabezpieczenia. Z faktu, że na zewnątrz zainstalowano tylko jeden czujnik wnioskowałem, iż właściciele poskąpili na zabezpieczenie budynku.

Po dziesięciu minutach prób zapalił się wreszcie cały rząd światełek. Robota była skończona. Zwinąłem płachtę i podałem małej.

- Potrzymaj, będę jeszcze tego potrzebował. Fajnie jest, no nie?

- Fajnie, ale zimno - poskarżyła się.

- Wytrzymaj jeszcze trochę; za chwilę wejdziemy do środka, a tam będzie ciepło. Obiecuję.

Poświęciłem jeszcze chwilę na obserwację. Nie usłyszałem niczego niepokojącego, nie było też widać niczego podejrzanego. Czas zająć się drzwiami.

Amerykanie nagminnie stosują zamki bębnekowe, a te można pokonać na trzy sposoby. Rzecz jasna, najprościej zrobić to podrobionym kluczem. Gdy się go nie ma można wyłamać zamek na siłę za pomocą specjalnego wytrycha tytanowego. Jest to tak zwany surowy klucz, tyle że sporządzony z tytanu, czyli wyjątkowo twardego metalu. Dobiera się egzemplarz odpowiednio do wielkości zamka, następnie wbija się go do środka, co powoduje wyłamanie zapadek. Wówczas wystarczy założyć dźwignię na klucz, przekręcić zamek, wrywając w ten sposób resztę zapadek, i droga stoi otworem. Jednak ten sposób był nie do przyjęcia w mojej sytuacji. Wbijanie wytrycha młotkiem wywołałoby hałas, a mnie zależało na możliwie dyskretnym wejściu i równie dyskretnym wyjściu.

Pozostawał więc trzeci sposób, a mianowicie sforsowanie drzwi za pomocą specjalnego klucza nastawnego, małego cudu techniki, przypominającego pistolet z płaską lufą. Tę lufę wsuwa się do środka zamka, a następnie naciska kilkakrotnie rodzaj spustu na rękojeści. Mechanizm w środku uruchamia cały szereg dźwigni, które dopasowują się do kształtu zapadek. Krótko mówiąc, jest to jakby klucz dorabiany na oczekaniu. Za pomocą takiego klucza można w ciągu niecałej minuty otworzyć praktycznie każde zamknięcie typu Yale, co – niestety – nie jest dobrą wiadomością dla właścicieli zamków bębnekowych.

Tyle też zajęło mi sforsowanie drzwi do obiektu. Znów pracowałem pod płachtą z latarką w zębach. Pierwsze próby nie były udane, musiałem więc przedstawić mechanizm w taki sposób, aby sprężyny uderzały w zapadki z większą siłą. Przyciągnąłem drzwi do siebie, żeby zamek stawiał mniejszy opór. Po kilku naciśnięciach spustu usłyszałem serię charakterystycznych kliknięć – zapadki jedna po drugiej zaczęły ustępować. Droga do wnętrza stała otworem. Zostawiłem „klucz” w zamku i uchylilem drzwi. Zrobiłem to ostrożnie, bo nie mogłem wykluczyć, że we framudze zainstalowano dodatkowe zabezpieczenie, które uruchomi system alarmowy. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Odetchnąłem z ulgą. Przymknąłem drzwi na powrót, ponieważ wewnątrz paliło się światło.

- Pamiętaj - szepnąłem do małej - żeby w środku niczego nie dotykać.

Skinęła, że rozumie.

Po przedzieraniu się przez nieużytki i płoty byłem ubłocony od stóp do głów. Wnętrze obiektu, jak zdążyłem zauważyć, było starannie wysprzątane, wręcz sterylnie czyste, ale i na to byłem przygotowany. Zdjąłem buty i dres i schowałem do torby, wyjąłem zaś czyste adidas. Nie zostawiają żadnych śladów, będę mógł poruszać się w nich szybko i cicho.

Kiedyś, właśnie za sprawą brudnych nóg, omal nie sfuszerowaliśmy niezwykle ważnej roboty. Było to w 1991 roku, a zadanie polegało na usunięciu pewnych dokumentów z kartoteki BCCI w Londynie. Rzecz w tym, że następnego dnia rozpoczynała się kontrola nadzoru bankowego, mieli też wejść audy-

torzy. Sprawa była pilna i przydzielono nam do pomocy księgowego, ponieważ sami nie bylibyśmy w stanie dokonać wyboru stosownych dokumentów. Facet zgłosił się na robotę kompletnie nieprzygotowany, nie miał zapasowych butów, kazaliśmy mu więc wejść do środka w samych skarpetkach. Ale to i tak nie pomogło - pocił się jak mysz i co krok zostawiał za sobą mokre ślady, na które nawet małe dziecko zwróciłoby uwagę. Rezultat był taki, że we czterech, bo tylu nas było, musieliśmy poświęcić więcej czasu na sprzątanie po naszym „ekspercie” niż na odnalezienie dokumentów, które trzeba było ukryć przed opinią publiczną.

Tym razem nie przewidywałem podobnych kłopotów. Jak zdążyłem zauważyć, podłogę pokrywała wykładzina dywanowa. Kazałem Kelly zdjąć buty i schowałem je do torby. Poleciałem też, by założyła kurtkę na prawą stronę. Rozejrzałem się jeszcze, czy czegoś nie zostawiliśmy przed wejściem. Wszystko było w porządku.

- Żadna dziewczynka w twoim wieku - szepnąłem małej do ucha - nie była na takiej wyprawie. To prawdziwa wyprawa szpiegowska - dodałem, aby jeszcze bardziej pobudzić jej wyobraźnię. - Musisz więc słuchać mnie we wszystkim, zgoda?

Wyraźnie przejęta kiwnęła tylko głową.

Zarzuciłem torbę na ramię.

- Gdy otworzę drzwi wejdiesz do środka, przejdziesz kilka kroków naprzód, żeby zrobić mi miejsce, i zaczekasz, rozumiesz?

- Tak.

Nie uprzedziłem jej, co ma robić, gdyby coś poszło nie tak, ale nie chciałem jej straszyć. Lepiej niech jej się wydaje, że całe to przedsięwzięcie to bułka z masłem, jeśli tylko będziemy cicho.

- No to uważaj! Raz, dwa, trzy, wchodzimy. - Uchyliłem drzwi, przepuściłem małą przodem i wsunąłem się za nią.

Ruszyliśmy korytarzem, szukając schodów na piętro. Parter wyglądał tak, jak się spodziewałem - typowe pomieszczenie biurowe, wielka hala bez ścianek

działowych, zastawiona biurkami, szafą na dokumenty i sztuczną zielenią. Wyłowiłem szum pracujących klimatyzatorów. Po drodze mineliśmy wydzielone boksy dla kierowników oraz osobny pokój z fotokopiarkami.

Klatka schodowa znajdowała się w dalszej części korytarza, po lewej stronie, za uchylnymi drzwiami. Pchnąłem je delikatnie, żeby zawiasy nie zaskrzypiały, i przepuściłem Kelly. Na schodach nie było światła, więc zapaliłem latarkę, oświetlając stopnie. Zaczęliśmy się wspinać.

Choć byłem w adidasach, a Kelly w skarpetkach, to jednak nasze kroki niosły się echem w klatce schodowej niczym w studni. Czerwone światło latarki potęgowało niesamowite wrażenie. Nic dziwnego, że mała poczuła strach.

- Nick, boję się.

- Nie ma czego, Kelly - uspokoiłem ją. - Razem z twoim tatą nieraz braliśmy udział w takich podchodach - dodałem i wziąłem ją za rękę.

Doszliśmy do drzwi na piętrze. Otwierały się na zewnątrz, czyli w naszą stronę, tak jak powinny zgodnie z przepisami o zabezpieczeniu przeciwpożarowym.

- Sza - szepnąłem małej prosto do ucha. Chciałem jej dodać otuchy, a jednocześnie sprawić, żeby poczuła dreszczyk emocji.

Uchyliłem drzwi i zerknąłem do środka. Nic podejrzanego, pusto, a wystrój taki sam jak na dole - biurka, szafy i zielen. Przepuściłem małą przodem, gestem wskazując miejsce, gdzie powinna stanąć.

Wsunąłem się za nią. Położyłem torbę na podłodze.

- Poczekaj tu sekundę - szepnąłem, sam zaś skierowałem się na koniec korytarza, ku drzwiom awaryjnym. Po drodze, po prawej, minąłem toalety, pomieszczenie z automatami z colą i kawą oraz pokój z fotokopiarkami. Odsunąłem zasuwkę na drzwiach awaryjnych, sprawdziłem, czy są otwarte, zabezpieczając sobie w ten sposób możliwość natychmiastowej ucieczki. Nie zadałem sobie trudu, żeby wyjrzeć na zewnątrz, bo nie było takiej potrzeby. Wiedziałem przecież, że drzwi wychodzą na schody przeciwpożarowe.

Wróciłem do Kelly, wziąłem torbę i ruszyliśmy ku frontowej części budynku. Układ piętra był podobny do parteru, sporą część zajmowała wielka hala biurowa z przeszklonymi boksami dla kierownictwa. Wyznawano tu widać zasadę, że pańskie oko konia tuczy.

Hala liczyła nieco ponad 15 metrów szerokości, tyle przynajmniej oddzielało nas od frontowych okien. W świetle lamp ulicznych z jednej strony i światel z korytarza z drugiej pusta hala przedstawiała dość niesamowity widok. W prawo, wzdłuż przeszklonej ściany, ciągnął się korytarz prowadzący do pozostałych pomieszczeń biurowych. Domyślałem się, że właśnie tam znajduje się to, czego szukam. Gdzie dokładnie, tego nie wiedziałem, ale doszedłem do wniosku, że dobrze będzie pójść tym właśnie korytarzem.

Mała była przejęta, dumna, że robi to, co zwykł robić tata. Uśmiechnąłem się do niej. Trzymała się z dala od przeszklonej ściany, jakby wiedziała, że tak właśnie trzeba.

W hali biurowej nie zauważyłem niczego niezwykłego. Na biurkach stały zdjęcia małżonek i pociech, na ścianach wisiały wykresy, zdjęcia wyróżniających się pracowników, kartki z pozdrowieniami z wakacji oraz liczne plakaty głoszące chwałę wydajnej pracy - urzędowa socjotechnika: „Kto chce wypłynąć na szerokie wody, ten musi oderwać się od brzegu”, „Kto się poddaje, ten przegrywa, kto przegrywa, ten się poddaje” i tym podobne gówna. Patrzyłem z zaciekawieniem, bo niczego takiego jeszcze nie widziałem. Tylko jeden plakat przypomniiał mi dawne czasy w pułku - w dowództwie SAS wisiał taki sam. Przedstawiał kierdel owiec w zagrodzie, a napis głosił: „Albo stań na czele, albo słuchaj innych, ale nigdy nie przeszkadzaj”. Według mnie wystarczyłby tylko ten. Resztę można by spokojnie wyrzucić.

Zagłębiliśmy się w korytarz. Był obszerny, szeroki na jakieś trzy metry i w odróżnieniu od hali biurowej pozbawiony jakichkolwiek dekoracji. Żadnych napisów, plakatów, tablic, fotografii, jedynie pojedyncza gaśnica na gołej ścianie i żadnych drzwi. Widocznie był to tylko łącznik prowadzący do dalszej części

budynku.

I rzeczywiście, po około dziesięciu metrach doszliśmy do kolejnego korytarza biegnącego prostopadle do tego, którym przyszliśmy.

- Pamiętaj, niczego nie dotykaj - przypomniałem małej.

Sądząc po liczbie drzwi z tego korytarza wchodziło się do siedmiu gabinetów. Wszystkie były zamknięte, jak się przekonałem, naciskając klamki. Zostały wyposażone w zamki bębnekowe, takie jak przy drzwiach wejściowych. Żadna przeszkoda, ale znów musiałem sięgnąć po wypróbowane już urządzenie.

- Kelly - zwróciłem się szeptem do małej - teraz jest najważniejszy moment. Zajmę się zamkami, a ty będziesz stać na czatach. Dasz mi znak, gdyby ktoś nadchodził. To bardzo ważne, rozumiesz?

Nie powiedziała ani słowa, tylko skinęła z przejęciem głową.

- I jeszcze jedno - przypomniałem jej. - Musimy być bardzo cicho, a więc ani mru-mru. Gdyby coś się działo nie krzycz, tylko daj mi znać ręką, zgoda?

Potwierdziła bez słowa.

Otworzyłem pierwsze drzwi i zajrzałem do środka. Pomieszczenie nie miało okien, więc zapaliłem światło. Gabinet okazał się dość obszerny - sześć na cztery i pół metra - i typowy, urządzony prostymi meblami: stała tam szafa na akta, biurko, na nim parę telefonów i zdjęcie rodziny. Chyba nie to, czego szukam. Nie zajrzałem do szaf z dokumentami, było na to za wcześnie. Najpierw trzeba rozpoznać całość. Taka jest zasada. Kto się do niej nie stosuje może zmarnować mnóstwo czasu w jednym pomieszczeniu, podczas gdy to, co najważniejsze leży sobie spokojnie na biurku w pokoju obok.

Wyszedłem więc, ale zostawiłem drzwi otwarte, zakładając, że być może tu wrócę.

Gestem dałem znać małej, że wszystko idzie jak trzeba. Uśmiechnęła się, dumna, że powierzyłem jej ważne zadanie, zupełnie jak osobie dorosłej.

Otworzyłem kolejne drzwi i znów gówno. Zwykły gabinet podobny do pierwszego, z trzema drobnymi różnicami. Otóż na ścianie wisiał jakiś kolorowy

wykres - plan roczny zapewne - oraz wywieszka, że nie wolno palić, a na stoliku ustawiono kilka kubków do kawy.

Ludzie przyzwyczajają się do swoich miejsc pracy, ale też miejsce pracy odzwierciedla przyzwyczajenia pracownika. Urzędas, który spędza za biurkiem cały tydzień z miejsca zauważy na nim najdrobniejszą zmianę. Dlatego też, gdy się operacyjnie penetruje jakiś obiekt, to trzeba pamiętać, żeby wszystko zostawić dokładnie tak, jak było.

Sprawdziłem trzecie pomieszczenie, potem czwarte. Bez skutku, to znaczy żadne z nich nie wyglądało tak, jak, w moim wyobrażeniu, powinien wyglądać cel wyprawy.

Miałem wrażenie, że zaczynam gonić w piętke, ale zostało jeszcze troje drzwi do otwarcia i tyleż gabinetów do sprawdzenia.

Dałem znak Kelly, że wszystko idzie dobrze i zająłem się drzwiami numer pięć po drugiej stronie łącznika.

Za nimi znajdował się gabinet znacznie okazalszy niż poprzednie, wyposażony w eleganckie meble. Przy niskim stoliku, na którym leżało kilka magazynów, stały dwa fotele, obok wygodne kanapy dla gości. Był również drewniany barek i drewniane szafki na akta. Na ścianach wisiały najprzeróżniejsze dyplomy i tym podobne. Jednak nie o to mi chodziło.

Ale za biurkiem, przy którym stał ciężki skórzany fotel, zauważyłem jeszcze jedne drzwi. Dobrałem się do nich i znalazłem się w jeszcze bardziej wytwornie urządzonym gabinecie. Eleganckie szafki na akta, wspaniałe biurko kryte skórą, a na nim komputer typu PC, który najwyraźniej nie był połączony z żadnym innym, nie należał do sieci. Nie widać było kabli, w gabinecie nie było nawet telefonu. Dotarłem więc do celu, najważniejszego, newralgicznego punktu całej struktury.

Zawsze i wszędzie, w każdej organizacji, strukturze czy konstrukcji występuje taki właśnie newralgiczny punkt, który siłą rzeczy podlega specjalnej ochronie. Jego fizyczny kształt może być różny. W wyrzutni scudów w Iraku może to być kawałek światłowodu, którym przekazuje się sygnał do odpalenia. W

elektrowni atomowej - jakiś „chips” - niewielki układ scalony w urządzeniu sterującym. Rzecz w tym, że bez czegoś takiego cała struktura staje się bezużyteczna. Ważne, by umieć coś takiego znaleźć, bo wtedy można unieruchomić dany obiekt stosunkowo prosto i tanio. Aby uszkodzić jakąś maszynę, nie trzeba od razu dziesiątków kilogramów trotylu. Taki sam efekt można uzyskać, łupiąc młotkiem w jedno, ale właśnie newralgiczne łożysko.

Jeden rzut oka na dwa pozostałe gabinety upewnił mnie ostatecznie, że pokój z pecetem jest tym, o który mi chodziło.

- Chyba znaleźliśmy - uśmiechnąłem się do Kelly.

Trwała na posterunku, tak jak jej kazałem.

Najpierw zabrałem się do dokumentacji zabezpieczającej. Zrobiłem całą serię zdjęć polaroidem: ogólny widok sekretariatu, zbliżenia biurka, szafek, stolika i magazynów, które na nim leżały. W sumie osiem fotografii ukazujących co, gdzie i jak leży. Jeśli w czasie dalszej akcji przesunę coś, to na podstawie zdjęć będę mógł umieścić na właściwym miejscu.

Odbitki ułożyłem na podłodze przy ścianie. Wszystkie śmieci starannie zebrałem do kieszeni. Następnie poszedłem po małą.

Kazałem jej pilnować odbitek i dać mi znać, kiedy ostatecznie będą gotowe. Wiadomo, że na zakończenie procesu wywoływania zdjęcia z polaroida czeka się parę minut. Przypomniałem jej jeszcze, żeby niczego nie dotykała.

- Wiesz - dodałem - kiedy chodziliśmy z twoim tatą na podobne wyprawy, to on też pilnował zdjęć.

- Naprawdę?

Zamknąłem drzwi i zabezpieczyłem je dwoma klinami wsuniętymi pod próg, a następnie zrobiłem serię zdjęć drugiego, najważniejszego gabinetu. Widać było, że sprzątaczkę nie mają tu dostępu, że właściciel lub właściciele sami zajmują się porządkami i to raczej niezbyt często, co oczywiście przemawiało za tym, iż był to właśnie ów newralgiczny punkt. Świadczyła też o tym niszczarka do dokumentów, stojąca za biurkiem. Czego tak pilnowano i strzeżono, tego jeszcze nie

wiedziałem. Podszedłem tymczasem do Kelly.

- Jak idzie?

- Zaraz będą gotowe. - Pokazała palcem na pierwsze ze zdjęć, na którym pojawił się już obraz.

- Wspaniale. Weź jeszcze tamte - wskazałem na odbitki z drugiego gabinetu - i też ułóż na podłodze.

- Dobrze. - Zaczęła przenosić odbitki z taką miną, jakby miały zaraz wybuchnąć.

Zająłem się komputerem. Nie był wyłączony, tylko uśpiony. Nacisnąłem „enter”. Myszy wolałem na razie nie dotykać w obawie, że zostawiono ją w ściśle określonym położeniu jako znak zabezpieczający. Na monitorze ukazało się logo Windows 95, a w głośniku rozległ się charakterystyczny sygnał firmy Microsoft, co mnie ucieszyło, bo z innymi programami miałbym kłopot.

Kelly nadal pilnowała zdjęć.

- Coraz więcej widać - zameldowała.

Ja tymczasem sięgnąłem do torby po dyskietkę z programem dekodującym. Nie byłem w tych sprawach takim mistrzem jak młodociani hakerzy, którzy potrafią włamać się do komputerów Pentagonu, ale technika nie była mi obca, a w każdym razie potrafiłem się posługiwać programami dekodującymi. Sprawa jest zresztą prosta. Wystarczy wsunąć dyskietkę do napędu, a reszta robi się sama. Program szpera w plikach, wykrywa tajne hasła, nic się przed nim nie ukryje.

- Popracuję teraz przy komputerze - uprzedziłem Kelly. - Daj mi znać, kiedy wszystkie zdjęcia będą gotowe.

Wróciłem do głównego gabinetu, notując po drodze w pamięci, że trzeba będzie usunąć ślady stóp z miękkiej wykładziny na podłodze.

Uruchomiłem program z dyskietki i zaczęło się. Na ekranie pojawiło się pytanie: „Czy chcesz kontynuować X1222?”. Wystarczyło potwierdzić. Program na dyskietce był rzeczywiście wspaniały. Niczego nie musiałem kombinować, wystarczyło kliknąć, reszta robiła się sama.

Napis na ekranie informował, że przetwarzanie danych zajmie kilka minut.

Spojrzałem na szafkę z dokumentami. Zamek byle jaki, otwarcie go nie nastręczy żadnych trudności.

Sięgnąłem do torby po odpowiedni przyrząd, a ściślej zestaw przyrządów - kilkadziesiąt stalowych prętów o rozmaitych kształtach, przypominających z wyglądu koronkarskie szydełka. Całość mieści się w pokrowcu wielkości portfela, a za pomocą czegoś takiego można się dostać do każdego praktycznie zamka bębnowego, od zamków w drzwiach samochodowych po Yale.

W kilka chwil otworzyłem szafkę. Zawartość niewiele mi mówiła - jakieś rachunki i wykresy.

A tymczasem napis na monitorze sygnalizował, że konwersja plików dobiega końca.

Z wdzięcznością pomyślałem o chłopaku, który stworzył program. Szczeniak miał ledwie osiemnaście lat. Najpierw robił za punka - kolorowy czub na głowie i mnóstwo koleczków w uszach, nosie i gdzie tylko. Potem zmienił styl. Ogolił głowę i zaczął się nosić jak bezdomny lump. Wtedy to podpadł za jakieś gówno i trafił do więzienia, gdzie odkryto jego niebywały talent. Stworzył coś, nad czym specjaliści z GCHQ - Rządowego Centrum Łączności - biedzili się od lat, a mianowicie ów genialny program do łamania kodów. Rychło obrósł w piórka, dostawał honoraria w wysokości głównej wygranej w totka.

Na monitorze ukazał się napis: „Hasło - So0)Ssh1time”. Pomyślałem sobie, że właścicielowi należą się gratulacje za pomysłowość, bo zwykli użytkownicy sięgają na ogół po znacznie prostsze kody, jak choćby imię małżonki, numer rejestracyjny samochodu czy datę urodzenia.

Na ekranie pojawiło się kolejne pytanie: „Czy chcesz kontynuować?”

Dobre sobie, po to tu przyszedłem. Kliknąłem, że tak.

Z torby wyciągnąłem przygotowaną stację z twardym dyskiem. Podłączyłem jak trzeba do komputera i do zasilania. Zamierzałem skopiować całą zawartość, wszystkie pliki, programy i co tam jeszcze.

Tego bez myszy nie dałoby się już zrobić, więc najpierw strzeliłem polaroidem, żeby po wszystkim móc ustawić mysz w dokładnie takim samym położeniu, w jakim zostawił ją prawowity właściciel.

Na monitorze tymczasem ukazał się następny napis. Dyskietka wykryła jakieś kolejne zabezpieczenie plików i pytała, czy życzę sobie kontynuować, czy nie.

Kliknąłem, że tak.

Zawołałem Kelly.

- Chodź, pomożesz mi. Będziesz patrzeć na ekran i jak się pokaże taki pasek ze znakiem zapytania, to dasz mi znać.

Mała wyglądała niewyraźnie.

- Nick - odezwała się nieśmiało - muszę do łazienki!

- Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz skończymy.

Przypomniało mi się, jak to było ze mną, gdy byłem w jej wieku. Rodzice tak samo odpowiadali, że za chwilę, za minutę, za sekundę, choć ja ledwo wytrzymałem.

Kliknąłem myszą, bo komputer znów o coś zapytał.

- Nick, ale ja naprawdę muszę!

- Na duże czy małe? - Nie bardzo wiedziałem, jak się pyta małe dziewczynki, czy chcą tylko siku, czy coś jeszcze.

Kelly nie zrozumiała, spojrzała na mnie jak na przygłupa.

Tymczasem sprawa wcale nie była taka prosta. Zgodnie z zasadami operacyjnymi nie wolno korzystać z toalety na obiekcie i nie muszę chyba tłumaczyć dlaczego. A w ogóle zasada jest taka, że wszystko, co się na obiekt w czasie działań operacyjnych wnosi trzeba po akcji zabrać ze sobą. I właśnie mając to w pamięci przygotowałem sobie butelkę na wypadek, gdyby zachciało mi się sikać i kawał plastiku, gdyby raptem żołądek dał o sobie znać. Ale też miałem pracować sam, o Kelly nie pomyślałem, więc byłem w kropce. Mała do butelki nie nasika i nie narobi na folię. Co począć?

- Nick, już dłużej nie wytrzymam! - Rzeczywiście, ścisnęła nerwowo kolana i

widać było, że za chwilę będzie za późno.

- Dobra, idziemy.

Nie miałem innego wyjścia, nie mogłem dopuścić, żeby walnęła kupę na dywan.

Wziąłem ją za rękę, otworzyłem drzwi na korytarz, zerknąłem, czy nikogo nie ma i pociągnąłem ją za sobą.

Najbliższa toaleta znajdowała się w korytarzu wiodącym do wyjścia awaryjnego za halą biurową. Zapaliłem światło, wpuściłem małą do środka. W ostatniej chwili. Niewiele brakowało, a nie zdążyłaby usiąść na kiblu. Biedne dziecko.

Nie chciałem marnować czasu, bo posiedzenie mogło potrwać kilka dobrych minut, postanowiłem więc wrócić do komputera.

- Siedź cicho, a gdy skończysz nie spuszczaaj wody, tylko poczekaj na mnie - poleciłem. - Ja pójdę na chwilę do komputera i zaraz wrócę.

Nie wiem, czy usłyszała, ale minę miała błogą jak każdy w podobnej sytuacji.

Pobiegłem do komputera. Kliknąłem, gdzie trzeba, układając w myślach dalszy plan. Gdy tylko skończę przepisywanie dysku pójdę po małą, wygrzebię gównno z kibla, bo innego wyjścia nie ma, zapakuję w folię, resztkę spłukam wodą z kranu, żeby nie uruchamiać zbiornika, bo mogłoby to wywołać niepotrzebny hałas.

Komputer szumiał obiecująco. Sięgnąłem do torby po folię i właśnie wtedy rozległ się przeraźliwy krzyk.

Instyktownie chwyciłem broń, przylgnąłem do ściany, zarepetowałem i odciągnąłem bezpiecznik.

Serce waliło mi jak młotem, na plecach czułem zimny pot jak zawsze w podobnych sytuacjach, gdy trzeba zdecydować, czy uciekać, czy walczyć.

Krzyk dobiegał z korytarza wiodącego ku wyjściu przeciwpożarowemu, co oznaczało, że droga ucieczki jest zamknięta. Pozostała tylko walka.

Serce podeszło mi do gardła. Byłem przerażony. Każdy się boi. Kto twierdzi, że nie zna uczucia strachu, ten kłamie albo jest psychiczny. Zawodowiec potrafi opanować strach. Trening i doświadczenie podpowiadają, jak to zrobić, aby przystąpić do działania.

Zanim zdążyłem zebrać myśli rozległ się jeszcze bardziej rozpaczliwy krzyk:

- Nick, ratuj! - Jakby ktoś nożem przeszył. Przed oczami stanęły mi obrazy z niedawnej przeszłości: Kelly w kryjówce, ja z Kelly przed telewizorem, razem na ulicy...

Stałem przy drzwiach, gotów wyskoczyć na korytarz, gdy usłyszałem tubalny głos:

- Trzymam ją i zabiję, więc żadnych, kurwa, numerów!

Akcent nie był ani amerykański, ani murzyński, ani żaden z tych, jakich mógłbym się spodziewać, ale i tak poznałem od razu. Tak mówią chłopcy z Belfastu.

Dobiegło mnie jeszcze kilka wyzwisk. Byli chyba w pobliżu hali biurowej. Mała darła się jak opętana, ledwo więc słyszałem faceta, ale wiadomo było, czego ode mnie chce.

- W porządku! - zawołałem. - Wychodzę.

- Tylko żadnych numerów! Najpierw rzuć broń, ale już, a ty zamknij mordę, do kurwy nędzy! - To ostatnie było skierowane do Kelly.

Wyszedłem na korytarz, dotarłem do łącznika i zza rogu rzuciłem pistolet na podłogę.

- A teraz, ręce na łeb i wyłaż, tylko wolno i środkiem korytarza, bo jak nie, to zabiję tę małą. Słyszysz?

Nie był to głos szaleńca. Przeciwnie, facet wiedział, czego chce.

- Dobra, ręce na łeb i wychodzę - powtórzyłem polecenie. - Już?

- Już.

Kelly wrzeszczała tak, że ściany się trzęsły.

Wyszedłem za róg. Wiedziałem, że oboje z Kelly są tuż za wahadłowymi przeszklonymi drzwiami, ale nie spojrzałem w tamtą stronę. Bałem się, że kontakt wzrokowy może go jeszcze bardziej rozwścieczyć. Nie chciałem też spojrzeć małej w oczy. Na filmach często widzi się taką scenę: bohater spojrzeniem dodaje otuchy ofierze. W życiu jest całkiem inaczej. Trzyma się głowę na kłódkę i robi to, co człowiekowi każą. A właśnie kazał mi się zatrzymać.

- Stój!

Stanąłem w miejscu ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Obróć się w lewo.

Obróciłem się i w mroku dostrzegłem sylwetki małej i napastnika. Kelly stała tyłem do mnie, facet trzymał ją za włosy, drugą ręką wciskał pistolet w plecy. Pchnął nogą drzwi i popychając ją przed sobą wyszedł na oświetlony korytarz, a mnie jakby obuchem zdzielił. Rozpoznałem go! Był to Morgan McGear!

Wyglądał inaczej niż w Belfaście. Biegał wtedy w dzinsach i skórzanej kurtce; teraz stał przede mną w eleganckim granatowym garniturze, który musiał kosztować majątek, i w równie drogich butach. Broni nie rozpoznałem, ale był to chyba półautomat.

Łypał na mnie, zastanawiając się pewnie, co tu robię, w dodatku mając przy sobie dziecko. Był pewny siebie, panował nad sytuacją i uważał, że nic nie mogę mu zrobić. Lewą ręką trzymał Kelly za włosy - zacząłem żałować, że nie obciąłem ich krócej - prawą wciskał jej lufę gnata w kark, a ja miałem pełną świadomość, że nie blefuje. Kto jak kto, ale McGear nie zawaha się pociągnąć za spust.

Mała była w szoku. Takiej jeszcze jej nie widziałem.

- A teraz, chuju - zawołał do mnie - podejdź bliżej! Tylko powoli i żadnych numerów, pamiętaj!

W otaczającej nas pustce każdy dźwięk przybierał na sile. Mała nadal krzyczała wniebogłosy, McGear kłął, tocząc pianę z gęby. Wydawało mi się, że cały budynek trzęsie się w posadach.

Oczywiście zrobiłem, co kazał. Zacząłem wolno iść w jego stronę. Próbo-
wałem spojrzeć małej w oczy, chciałem jej dodać otuchy, ale nic z tego. Oczy
miała zapuchnięte, tak że chyba nic nie widziała. Wyglądała żałośnie z zalaną
łzami, zaczerwienioną twarzą. Nie zdążyła nawet dopiąć dzinsów.

Gdy znalazłem się jakieś trzy metry przed nim McGear wrzasnął, żebym się
zatrzymał. Spojrzałem mu w oczy. Wiedział, że ma nas w garści, ale był jedno-
cześnie lekko przestraszony. Głos tego nie zdradzał, ale oczy tak. Jeśli ma zamiar
nas wykończyć - pomyślałem - zrobi to teraz. Trudno, kiedy zawodzą wszystkie
plany, trzeba się pogodzić z rzeczywistością, a ta była gówniana, przynajmniej z
mojego punktu widzenia. Niech się dzieje, co chce.

Właśnie wtedy McGear kazał mi się odwrócić. Zmartwiałem, to już koniec.

- Na kolana, skurwysynu!

Przykucnąłem w taki sposób, żeby w razie czego móc poderwać się na nogi,
ale McGear nie dał się na to nabrać.

- Ty, kurwa, żadnych numerów! - wrzasnął. - Żadnych przysiadów! Nie
próbuj mnie robić w chuja, masz klęknąć i się nie ruszać.

Usłyszałem, że zachodzi mnie z tyłu, ciągnąc za sobą Kelly. Łkała żałośnie.
Usłyszałem coś jeszcze, jakiś szmer czy coś podobnego, ale zupełnie nie potra-
fiłem tego rozpoznać. Czułem tylko, że zaraz zdarzy się coś niedobrego i że od-
bije się to źle na moim zdrowiu. Ale co mogłem zrobić? Klęczałem z oczami
wbitymi w ścianę.

- Nie odwracaj się - ostrzegł McGear - bo załatwię tę małą....

Wydawało mi się, że jeszcze coś dodał, ale co, tego już nie zrozumiałem, a w
istocie nawet nie usłyszałem, bo coś ciężkiego zważyło mi się na kark i osunąłem
się na podłogę.

Oberwałem potężnie, ale nie straciłem przytomności. Próbowałem się pod-
nieść, jak bokser, który po ciężkim ciosie chce dać znać sędziom, że to jeszcze nie
koniec i gramoli się na kolana.

Bez skutku. McGear przygwoździł mnie do podłogi. Uniosłem powieki, aby

zobaczyć, czym mnie tak załatwił, bo nie mógł to być pistolet. Żeby człowieka powalić trzeba czegoś znacznie cięższego. Nie miałem jednak pojęcia, co to mogło być.

Tymczasem zaś nie byłem w stanie ruszyć ani ręką, ani nogą, ani w ogóle niczym. Leżałem jak neptek, ale miałem świadomość, że McGear przewraca mnie na plecy i przyciska do podłogi. Poczulem też coś metalicznego najpierw przy policzku, a po ułamku sekundy w ustach. Chwilę trwało, nim doszło do mnie, że sukinsyn wetknął mi lufę w gębę. Jednocześnie zaś, najpierw jakby z oddali, później coraz wyraźniej, zaczęły do mnie dobiegać słowa.

- Żadnych numerów, chuju, żadnych numerów! - krzyczał jak oszalały.

Poczulem też jego oddech. Śmierdział whisky i papierosami.

Kolanami przygniatał mi ramiona, lufę wciskał do gardła. Nie wypuszczał przy tym małej. Pociągnął ją za sobą na podłogę i nadal trzymał lewą ręką za włosy. Kelly wiła się z bólu. Chciał pewnie, żebym to widział i nie stawiał oporu.

- Żadnych numerów! - ryczał. - Nie takich twardzieli załatwiałem!

Miał rację, i ja o tym doskonale wiedziałem. Pamiętałem, co zrobił z pewnym facetem, którego kazano mu kiedyś przesłuchać, ponieważ padło podejrzenie, że jest naszym informatorem. Najpierw wywiercił mu dziury w rzepkach kolanowych wiertarką Black & Deckera. Potem przypiekał prądem, a jeszcze później wsadził faceta do wanny i przepuścił prąd. Nieszczęśnik zdołał się wyrwać i goluteńki wyskoczył przez okno. Niestety, nie zginał na miejscu, złamał kręgosłup. McGear z kumplami zawlekli go z powrotem do budynku i zastrzelili w windzie.

Czułem się jak pijany. Niby zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale też wszystko dochodziło do mnie trochę jak przez mgłę i nie od razu, jakby komputer we łbie miał kłopoty z programem.

Po chwili jednak komputer zaskoczył, choć jeszcze nie do końca. Wyteżyłem wzrok, żeby sprawdzić, czy McGear odwiódł kurek, ale nie dałem rady. Wizja nadal szwankowała. Przed oczami miałem tylko czerwone i białe plamy, a Mc-

Gear nadal krzyczał jak opętany.

- Załatwię cię, skurwysynie! Skąd się tu wzięłeś, kim jesteś?!

Mała też wrzeszczała i w ogóle nie można było się pozbierać.

Raz jeszcze wyteżyłem wzrok i tym razem wizja wróciła. Kurek był odwieziony. Rozpoznałem broń - półautomat 9 mm. Odbezpieczony!

Sprawa była beznadziejna i nic nie mogłem zrobić. McGear trzymał paluch na spuście. Jak się ruszę, to po mnie.

- Twardziel, kurwa, twardziel! - wrzeszczał McGear. - Zobaczymy, jaki z ciebie twardziel! - Całą siłą skoczył mi na piersi, jeszcze chwila, a połamię mi wszystkie żebra. Lufę jeszcze głębiej wcisnął mi w gardło.

Kelly piszczała ze strachu i bólu, McGear szalał, a ja wiedziałem tylko jedno, że leżę jak neptek z gnatem w gardle i że facet może ze mną zrobić, co zechce.

Tak to trwało, aż wreszcie McGear trochę się uspokoił. Zaczął się podnosić, cały ciężar ciała przesunął na broń, wciskając ją jeszcze głębiej. Muszka zgrzytała o zęby i boleśnie zdzierła podniebienie. Nie wypuszczał Kelly. Ciągał ją za włosy po podłodze.

W końcu wstał, machnął pistoletem, żebym nie miał wątpliwości, kto jest górą.

- Na kolana, twardzielu - rozkazał.

Grzebiąc się z podłogi zobaczyłem wreszcie, czym mnie załatwił - gaśnicą, która wisiała na ścianie. Ostra krawędź niemal mnie oskalpowała. Krew lała się strumieniem i znów nic nie mogłem poradzić. Rany na głowie są wyjątkowo paskudne.

Wygrzebałem się na kolana w miarę prosto, z tyłkiem wysoko uniesionym, spojrzałem na McGeara, próbując zorientować się w sytuacji. Zaczął iść tyłem w kierunku gabinetu, cały czas trzymając mnie na muszce.

- Za mną - rozkazał. - Na kolanach - dodał, jakbym nie wiedział, że tak to będzie wyglądać.

Kelly była wykończona. McGear włókł ją za włosy, a mała łapała go rączkami

za przegub, żeby mniej bolało. Za nią ciągnęła się smuga krwi. Pewnie ubabrała się w mojej posoce. McGear nie zwracał na małą żadnej uwagi. Pilnował tylko mnie. Cofał się, trzymając mnie na muszce.

Tak dobrnęliśmy do drzwi pierwszego gabinetu.

- Stać! - wrzasnął McGear w prog.

Całą siłą woli starałem się skupić. Jedno było pewne, że jeśli czegoś nie wymyślę, i to zaraz, moje piękne życie jak nic się skończy.

- Włóż! - wrzasnął McGear.

Zacząłem przemierzać próg.

- Wstań! Tyłem!

Zrobiłem, jak kazał. Chwiejąc się na nogach podążyłem za nim do środka. Byłem przy stoliku, gdy kazał mi się zatrzymać.

- Obróć się.

Nietypowe polecenie! Zwykle bowiem w takich sytuacjach każe się facetowi stać tyłem, żeby niczego nie widział. W ten sposób skuteczniej się go kontroluje. Ale to jego problem. Odwróciłem się, jak kazał.

Zobaczyłem, że posadził małą na skórzanym fotelu. Wyciągnął go zza biurka i ustawił po swojej lewej stronie. Nadal trzymał ją za włosy, a pistoletem celował we mnie.

Z pistoletami rzecz się ma tak, że górna część zamka, tą, na której znajduje się muszka i szczerbinka, jest ruchoma. Po oddaniu strzału cofa się, wyciąga zużyta łuskę i wraca do pierwotnego położenia, wprowadzając do komory kolejny nabój. Broń jest gotowa do strzału. Jeśli jednak odciągnie się zamek do tyłu, nawet odrobinę, to broń nie wypali. I to była moja szansa. Jeśli uda mi się błyskawicznie złapać za zamek, odciągnąć choćby o milimetr i przytrzymać, to McGear nie będzie mógł strzelić. Problem tylko w tym, że trzeba to zrobić błyskawicznie. Nie miałem nic do stracenia.

Tymczasem nic się nie działo. McGear łapał na mnie, ja na niego. Zastanawiał się pewnie, co ze mną zrobić. Trwało to ze dwadzieścia sekund, mnie jednak

wydawało się, że całą wieczność.

Kelly krzyczała i wierciła się z bólu na krześle. Nogi miała podrapane, bo McGear przeciągnął ją przez cały korytarz. Złapał ją mocniej za włosy i potrząsnął.

- Zamknij się, do jasnej cholery! - wrzasnął i na moment odwrócił oczy ode mnie. To była szansa, chyba jedyna.

Rzuciłem się do przodu, krzycząc na cały głos, żeby McGear był jeszcze bardziej zdezorientowany. Złapałem za pistolet i z całej siły starałem się odciągnąć zamek.

Udało się.

- Kurwa mać! - ryknął wściekle McGear.

Trzymałem zamek z całej siły. McGear gwałtownie naciskał spust, ale było już za późno. Pomogłem sobie drugą ręką, żeby jeszcze dalej odciągnąć zamek. Jednocześnie napierałem na niego całym ciałem, próbując przycisnąć go do ściany. Kelly wrzeszczała wniebogłosy, bo nie wypuszczał jej włosów z ręki. Starałem się jej nie słyszeć i nie widzieć. Całą uwagę skupiłem na pistolecie. A tymczasem udało mi się przyprzeć sukinsyna do ściany. Czułem, że traci oddech. Kelly wplątała mi się pod nogi, ale nie zwróciłem na to uwagi. Zapiszczała z bólu i w tym momencie McGear puścił ją. Uznał widać, że jedną ręką nie da sobie ze mną rady. Kelly wymknęła się z plątaniny nóg i wypadła z gabinetu.

Ja zaś zacząłem walić go bykiem. Krew puściła mi się z nosa, jemu też. Nie zważałem na nic, tylko waliłem łbem, gdzie popadnie i cały czas dociskałem do ściany.

- Ty chuju! - krzyczał na cały głos. - Zabiję cię!...

Na co ja odpowiadałem tym samym, też wrzeszcząc:

- Chuju, chuju!

W pewnym momencie poczułem jego zęby na twarzy. Ugryzł mnie w czoło i pod okiem, ale nie poczułem bólu. Nie przestawałem też walić go bykiem. Zdawałem sobie sprawę, że to za mało, że w ten sposób na pewno nie uda mi się

go załatwić, ale nic innego nie mogłem zrobić. Cały też czas wrzeszczałem jak opętany, klnąc, żeby go przerazić i oszołomić, a sobie jeszcze bardziej podnieść poziom adrenaliny.

W pewnym momencie, gdy głowa trochę mu opadła, dosięgnąłem go zębami. Poczulem w ustach coś miękkiego, jak galareta, co przez ułamek sekundy stawało opór, ale ścisnąłem mocniej i okazało się, że odgryzłem mu kawał policzka. Ryknął z bólu wielkim głosem, ale myślałem tylko o jednym, żeby go wykończyć do reszty, a przynajmniej na tyle, ile się uda.

Wrzeszczał jak zarzynane prosię. W oczach miał przerażenie.

Obaj spływaliśmy krwią, bo lała się strumieniami. W ustach czułem metaliczny smak posoki i kwaśny potu. Zachłysnąłem się, krew i kawałki odgryzionego policzka McGeara rzuciły mi się nosem.

Cały czas próbowałem wykręcić mu rękę, żeby odwrócić broń, a jednocześnie nie puszczałem zamka, by uniemożliwić mu oddanie strzału. On zaś pociągał za cyngiel, a lewą ręką starał się wyłamać mi palce i wyrwać pistolet. Wszystko zależało teraz od tego, czy uda mi się wytrwać i nie puścić zamka. Jednocześnie dociskałem McGeara do ściany i usiłowałem odsunąć pistolet od siebie.

Nie puszczałem policzka. Gryzłem, kąsałem, ciągnąłem, jak tylko się dało. Zęby zgrzytnęły o kość. Gryzłem wszędzie - w powieki, nos, szczękę, włosy.

Zacząłem tracić oddech, adrenalina przestawała działać, wysiłek fizyczny był przeogromny. Zakrztusiłem się, gdy kawał odgryzionej skóry wpadł mi do gardła. Ledwo udawało mi się złapać oddech, on zaś ze świstem wciągał powietrze przez wygryzioną dziurę w policzku.

Walilem na oślep, bo krew zalała mi oczy. Nie miałem pojęcia, co dzieje się z Kelly, ale też niewiele mnie to w tej chwili obchodziło. I tak nic nie mogłem dla niej zrobić. Jeśli nie załatwię McGeara, to oboje jesteśmy skończeni.

Starałem się odsunąć pistolet od siebie, a jednocześnie skierować w jego stronę. Wszystko jedno gdzie, byle w niego.

Palcem wcisnąłem jego paluch na cynglu i zwolniłem chwyt na zamku. Mc-

Gear wrzasnął jeszcze głośniej.

Dwie pierwsze kule poszły w powietrze, ale ja dalej dociskałem jego paluch na cynglu. Kolejna kula trafiła go w biodro, a następna w udo. McGear osunął się na ziemię.

Cisza, która nastąpiła była wręcz ogłuszająca. Tak mi się wydawało. Wszystko zatrzymało się jak w stop-klatce.

Po chwili, może sekundzie, może dwóch, usłyszałem krzyk małej. Darła się jak wariatka. Najważniejsze, że była w budynku. Byłem zbyt oszołomiony, żeby pobiec do niej, a poza tym dusiłem się, bo kawał skóry McGeara nadal tkwił mi w gardle.

Bolało mnie wszystko, nie miałem nawet siły podnieść głowy, miałem wrażenie, że mięśnie karku przestały funkcjonować.

McGear wił się na podłodze, cały we krwi.

- Nie zabijaj mnie, daruj - błagał.

W odpowiedzi zrobiłem mu to, co on mnie. Skoczyłem na niego kolanami, złapałem pistolet i wcisnąłem mu go w gardło. Jeszcze żył, a przynajmniej w oczach tliło się życie.

- Dlaczego załatwiliście Keva? - spytałem, wyciągając lufę z gardła, żeby mógł odpowiedzieć.

Patrzył na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział co.

- Mów - syknąłem - muszę wiedzieć.

- Nie wiem, o co ci chodzi - wystękał, a jego spojrzenie świadczyło, że chyba mówi prawdę.

- A co jest w tym komputerze?

Tym razem odpowiedział błyskawicznie:

- Odpieprz się.

Znów wcisnąłem mu lufę w gardło.

- Patrz na mnie - szepnąłem miękko, niemal po ojcowsku. Spojrzałem mu prosto w oczy i zrozumiałem, że nie puści pary z gęby, choćby nie wiadomo co się

działo. Był na to zbyt cwany.

Sam się odpieprz - pomyślałem i nacisnąłem spust.

26

Odetchnąłem głęboko, przetarłem oczy, bo po strzale krew McGeara bluznęła mi w twarz, i starałem się jakoś ogarnąć. Powoli. Jeszcze jeden głęboki oddech i chwila zastanowienia, co dalej.

Nie ma wątpliwości, że za moment zjawią się gliny. Ktoś musiał usłyszeć strzały i zawiadomił policję, a przynajmniej tak trzeba zakładać. Nadal słyszałem krzyk Kelly, a więc ciągle jeszcze była w budynku. To dobrze.

Najważniejszy jest sprzęt. Poderwałem się na nogi i chwiejnym krokiem przeszedłem do drugiego gabinetu. Wyjąłem dyskietkę, wyłączyłem stację z twardym dyskiem, wrzuciłem wszystko do torby i wycofałem się do głównego pomieszczenia.

McGear leżał na podłodze skulony jak Kelly we śnie, tyle że to, co zostało z twarzy, było jak ogromna, krwawa pizza, spod której szara masa z mózgu spływała na ziemię.

Zarzuciłem torbę na ramię, wyszedłem na korytarz, odszukałem swojego siga. Czas teraz odnaleźć Kelly. Nie będzie to trudne. Nadal krzyczała, więc wystarczy pójść za jej głosem.

Szarpała za klamkę drzwi przeciwpożarowych. Całe plecy miała we krwi, pewnie mojej. Piszcziała, podskakiwała, waliła piąstkami w drzwi, była w kompletnym szoku. Chwyciłem ją za ramię.

- Uspokój się! - krzyknąłem i chyba źle zrobiłem.

Mała zaczęła się wyrwać. Nie puszczałem. Odwróciłem ją ku sobie i spojrzałem w oczy.

- Uspokój się i posłuchaj. Chcą cię zabić, rozumiesz? Zabić!

Nadal próbowała się wyrwać i krzyczała jak oszalała. Zamknąłem jej usta

dłonią. Z trudem łapała powietrze przez nos.

- Oni chcą cię zabić - powtórzyłem z mocą, na tyle spokojnie, na ile zdołałem.

- Rozumiesz? Przestań wreszcie krzyczeć. Uspokój się.

Ucichła i przestała się szarpać. Puściłem ją.

- Daj mi rękę.

Jej dłoń była miękka i bezwładna.

- Uspokój się. Musisz mnie słuchać. - Świdrowałem ją oczami, a ona patrzyła na mnie niewidzącym wzrokiem. Łzy jak groch płynęły jej po policzkach, ale widać było, że stara się powstrzymać szloch.

Otworzyłem drzwi. Zimne i wilgotne powietrze smagnęło mnie w twarz. Byłem jak ociemniały, niczego nie widziałem, nie nawykły do mroku wzrok odmawiał posłuszeństwa. Niemal po omacku zacząłem schodzić po metalowych stopniach klatki przeciwpożarowej, ciągnąc małą za sobą. Kroki niosły się echem po całej okolicy, ale nie zważałem na to, i tak już narobiliśmy dość hałasu.

Gdy zsunęliśmy się na ziemię ruszyłem biegiem w stronę płotu. W połowie drogi potknąłem się i zaryłem nosem w błoto. Kelly znów zaczęła ryczeć. Potrząsnąłem nią, bo co innego miałem zrobić, i kazałem jej się zamknąć.

Dobiegaliśmy do płotu, gdy od strony wiaduktu usłyszałem syreny policyjnych radiowozów. Nie miałem wątpliwości, że jadą po nas, i rzeczywiście po chwili dźwięk spotężniał. Radiowozy dojeżdżały do parkingu.

- Zostań tu! - krzyknąłem do małej, przerzuciłem torbę przez płot i sam też skoczyłem na drugą stronę.

Policja była coraz bliżej. Przerazona Kelly podskakiwała i machała rękami, wołając:

- Nick, Nick, nie zostawiaj mnie, ja chcę z tobą!

Nic nie odpowiedziałem. Patrzyłem w alejkę między budynkami wiedząc, że tam za chwilę pokaże się policja, a rękami na oślep wygrzebywałem zawiniątko z dokumentami. Od ulicy zaczęły połyskiwać niebieskie światła policyjnych kogutów.

Kelly zaczęła szlochać.

- Będzie dobrze, będzie dobrze - starałem się ją uspokoić. - Popatrz na mnie, popatrz - Kelly podniosła oczy. - Na razie zostaniesz po tamtej stronie, nic ci się nie stanie.

Radiowozy były już na Ball Street, po drugiej stronie budynku.

Wygrzebałem pakunek, wcisnąłem papiery do kieszeni.

Wozy zajechały pod budynek, syreny powoli cichły, ale niebieskie światła policyjnych sygnałów nadal połyskiwały w mroku. Kelly była mokra od łez i półprzytomna ze strachu.

- Kelly, córeczko - szepnąłem. - Kelly, posłuchaj... - Chyba jednak usłyszała. - Idź za mną. - Chodziło mi o to, żeby szła równolegle ze mną po swojej stronie ogrodzenia.

Łkała żałośnie i coraz bardziej rozpaczliwie wołała, że chce do mamy.

- Nie zatrzymuj się, idź za mną - ponaglałem, sunąc szybko wzdłuż płotu.

Z trudem nadażała, potknęła się i upadła w błoto. W żaden sposób nie mogłem jej pomóc.

- Ja chcę do domu! - szlochała. - Zabierz mnie do domu! - wołała, leżąc na mokrej ziemi.

Na ulicy, przed budynkiem, a więc dwieście metrów od nas, były już chyba ze trzy radiowozy. Jeszcze moment, a włączą szperacze, oświetlą teren i będą nas mieli.

- Kelly, wstawaj, rusz się.

Od ulicy były niebieskie smugi policyjnych kogutów. Pojawiły się światła ręcznych reflektorów.

Kelly poderwała się, ruszyliśmy biegiem, dotarliśmy do przejścia między budynkami, przeskoczyłem na jej stronę, niewiele brakowało, a torba ze sprzętem spadłaby jej na głowę. Chwyciłem małą za rękę i pociągnąłem między domy.

Teraz trzeba namierzyć jakieś auto, możliwie stare, bez alarmu, stojące w miarę daleko od latarni.

Trafiło mi się takie wśród zaparkowanych przy chodniku. Chevy, na oko sześćdziesięcioletnie.

Zrzuciłem torbę na ziemię.

- Siadaj i pilnuj - kazałem małej.

Wyciągnąłem narzędzia, w kilkanaście sekund uporałem się z zamkiem, wyrwałem kable spod stacyjki, połączyłem „na krótko” i silnik zapalił. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał trzecią trzydzieści trzy.

Zostawiłem silnik na wolnych obrotach, włączyłem wycieraczki i nastawiłem dmuchawę, żeby przeczyścić szyby od porannej rosy. Wrzuciłem torbę, kazałem Kelly zająć miejsce z tyłu.

- Połóż się i śpij!

Nie zaprotestowała, choć miałem wątpliwości, czy uśnie. Pewnie do końca życia będzie skazana na kłopoty z zasypianiem.

Ruszyłem bez pośpiechu, skręciłem w pierwszą przecznicę w lewo, jechałem wolno, aby nie budzić podejrzeń. Tak ujechaliśmy może czterysta metrów, gdy z naprzeciwka nadjechał radiowóz na sygnale. Wyciągnąłem siga, położyłem pod udem na siedzeniu. Nie dam się skurwysynom.

- Leż i nie podnoś się - poleciłem Kelly. - Rozumiesz?

Żadnej odpowiedzi.

- Kelly, słyszysz?

- Tak - odparła cicho.

Jeśli będę musiał zabić policjantów, to trudno, a zresztą na tym polega ich praca, za to im płacą, że w każdej chwili ktoś może dać im w czapę. W myśli ułożyłem plan. Jeśli mnie zatrzymają - stanę. Poczekam, aż podejdą na odległość strzału i zanim się zorientują wyciągnę pistolet.

Radiowóz był coraz bliżej. Nie zwalniałem i nie przyśpieszałem. Może pomyślał, że to jakiś robotnik jadący na ranną zmianę. Błyski koguta zaczęły mnie oślepić.

Byłem spokojny, nerwy i tak nie pomogą. Co będzie, to będzie. Radiowóz

przemknął obok. Pędził dziewięćdziesiątką.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Hamują! Serce podeszło mi do gardła. Zawrócą? Nie, światło stopu zgasło. Albo zwalniali przed zakrętem, albo postanowili odpuścić.

Co dalej? Po pierwsze, trzeba pozbyć się auta i to jeszcze przed świtem, zanim właściciel się zorientuje, a może wstawać o wschodzie słońca. Muszę także kupić nowe ciuchy dla siebie i dla małej, i poszukać hotelu.

Kelly znów zaczęła rozpaczać.

- Ja chcę do domu - szlochała żałośnie.

- Pojedziemy do domu, ale jeszcze nie teraz! - musiałem krzyknąć, bo inaczej nie usłyszałyby, darła się wniebogłosy.

Przestawiłem lusterko, żeby ją zobaczyć. Leżała skulona, z kciukiem w buzi, jak wtedy - w schowku - gdy ją znalazłem.

- Pojedziemy do domu, obiecuję.

Posuwaliśmy się wzdłuż rzeki, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo nie do końca kontrolowałem kierunek. Po mniej więcej półgodzinie znaleźliśmy przy drodze supermarket z działem odzieżowym czynny całą dobę. Przed sklepem stało ze dwadzieścia, może trzydzieści aut, w większości zapewne - jeśli nie wszystkie - należące do personelu.

Kelly się uspokoiła. Nawet nie zapytała, dlaczego stajemy.

- Kupię coś do ubrania, a przy okazji coś do jedzenia. Na co miałabyś ochotę?

Mała zadrzała, chyba się wystraszyła.

- Nie zostawiaj mnie - zaczęła prosić. Wyglądała okropnie. Buzia czerwona, oczy zapuchnięte od łez, spocona, włosy w strąkach. Nie da się siedmioletniej dziewczynki w takim stanie, pobitej i pokrwawionej, wziąć po zakupy o czwartej rano do nocnego sklepu.

Sięgnąłem do torby po dres.

- Nie, kochanie - rzekłem - nie możesz pójść ze mną, bo trzeba popilnować rzeczy. - Gestem wskazałem torbę na siedzeniu. - Jesteś już dużą dziewczynką i w

ogóle bardzo mi dzisiaj pomogłaś.

Zgodziła się niechętnie i bez przekonania. Nie miała zresztą wyboru.

Zacząłem nakładać dres.

- Nick?

- Słucham?

- Słyszałam strzały. Ten człowiek... ten człowiek nie żyje?

- Jaki człowiek? - Udawalem głupiego, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Ach ten?! Skądże. On chyba się pomylił i wziął nas za kogoś innego. - Przerwałem wywód, chwyciłem bluzę. - Policja weźmie go do szpitala - zapewniłem, uznając temat za wyczerpany.

Wysiadłem z auta, ale pochyliłem się przy oknie, żeby powiedzieć - jak zwykle - dwa słowa na pożegnanie. Nie zdążyłem, mała mnie uprzedziła.

- Zaraz wrócisz, prawda? Chcę do domu, do mamy.

- Oczywiście, zaraz będę, a do mamy też pojedziemy.

Spojrzałem w lusterko wsteczne. Rany na czole i pod okiem jeszcze nie przyschły. Splunąłem na mankiet, otarłem twarz tyle, ile się dało. Nic więcej nie mogłem zrobić. Może w sklepie pomyślą, że w pracy zdarzył się wypadek.

Dałem znak Kelly, żeby zamknęła samochód od wewnątrz i położyła się płasko na siedzeniu. Tak też zrobiła.

Przed wejściem do sklepu wziąłem wózek, zatrzymałem się przy bankomacie i wyjąłem trochę pieniędzy. Kupiłem dwa komplety ciuchów - dla małej i dla siebie - a oprócz tego zestaw do golenia oraz pudełko papierowych chusteczek i tabletki przeciwbólowe. Kark dokuczał mi tak, że nie mogłem odwrócić głowy. Kroczyłem sztywno i równo, niczym robot. Przy kasie wrzuciłem jeszcze do wózka parę puszek coli, jakieś chrupki i ciastka.

Klientów było niewielu, nikt na szczęście nie robił min na mój widok.

Wróciłem do auta i zapukałem w okno. Szyba była zamglona od wilgoci. Mała przetarła ją rękawem. Widać było, że płakała. Dałem jej znak, żeby otworzyła.

- Hej, co słyhać? - uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

Nie doczekałem się odpowiedzi. Rzuciłem zakupy na siedzenie.

- Mam dla ciebie prezent. - Podałem jej baton. Zaczęła go rozpakowywać. Doczekałem się wreszcie cienia uśmiechu.

Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał piątą. Włączyłem silnik, ruszyłem w stronę Beltway - waszyngtońskiej obwodnicy.

Stamtąd skierowałem się na międzynarodowe lotnisko Dulles. Za chwilę znacznie świtać. Najwyższy czas pozbyć się auta; ostrożność nakazywała zakładać, że właściciel jest rannym ptaszkiem.

Kelly leżała z tyłu, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w drzwiczki. Albo pograżyła się w marzeniach, albo nocne wydarzenia pomieszały jej w głowie. Na razie nie miałem czasu ani ochoty rozstrzygać tej kwestii.

Na kilka kilometrów przed lotniskiem zacząłem rozglądać się za motelem. Spostrzegłem reklamę Economy Inn - to taka sieć moteli średniej klasy, w sam raz dla nas. Najpierw jednak musieliśmy się ogarnąć, aby wyglądać przyzwoicie.

Gdy zbliżyliśmy się do lotniska ujrzałem światła samolotu, podchodzącego do lądowania, pewnie pierwszego tego ranka. Skierowałem się na parking przy lotnisku. Przystanąłem na chwilę, żeby się upewnić, czy przy wjeździe nie zainstalowano kamer monitorujących. Na szczęście ich nie było. Zapewne umieszczono je tylko przy wyjeździe, ale to już nie mój problem. Wziąłem kwit z automatu, wyszukałem wolne miejsce i stanąłem pośród paru tysięcy innych aut.

- Kelly, przebieramy się. - Wyciągnąłem zakupy. Gdy ściągała brudne ubrania wilgotną chusteczką przetarłem jej buzię. - Nie będziemy już płakać, dobrze? - Wziąłem grzebień, zacząłem ją czesać, ale za mocno widać, bo skrzywiła się z bólu. - Już dobrze, jeszcze tylko wytrzymamy nos - powiedziałem i podałem jej chusteczkę.

Sam też przebrałem się w nowe ciuchy, a stare wcisnąłem pod siedzenie. Poszliśmy na przystanek autobusu dowożącego pasażerów z parkingu do terminalu. Kelly nadal wyglądała jak półtora nieszczęścia.

Wysiedliśmy przy hali odlotów. Mimo wczesnej pory było bardziej tłoczno, niż się spodziewałem - mrowie ludzi przy odprawach, w sklepach, w kafeteriach i restauracjach.

Szliśmy w milczeniu. Trzymałem Kelly za rękę, a torbę przerzuciłem przez lewe ramię. Kierowałem się ku schodom ruchomym, wiodącym do hali przylotów. Stamtąd zamierzałem przejść na postój taksówek. W połowie schodów Kelly szepnęła, że chce do ubikacji.

- Musisz? - zależało mi na tym, aby jak najszybciej opuścić lotnisko.
- Bardzo.
- Trudno. - Nie chciałem przerabiać tej samej lekcji po raz wtóry.

Znaleźliśmy toalety zaraz obok wyjścia dla przylatujących pasażerów. Do damskiej i męskiej przechodziło się przez sporawy korytarzyk z kabinami dla niepełnosprawnych. Odprowadziłem Kelly, wróciłem do hali głównej, gdzie przy automatycznych drzwiach zgromadzili się ci, którzy czekali na przybywających pasażerów.

Człowiek zawsze wyczuje na sobie czyjś wzrok. Minęła zaledwie minuta, może dwie od momentu, gdy stanąłem w hali. Zorientowałem się, że ktoś mnie obserwuje. Obejrzałem się, gapiła się na mnie starsza kobieta. Stała z równie starym, siwym facetem, zapewne mężem, tuż przy barierce odgradzającej przejście dla przybywających. Pewnie na kogoś czekali, ona jednak, zamiast wypatrywać wychodzących, wlepiała oczy we mnie.

Dlaczego, do cholery? Zainteresowała ją moja pokiereszowana twarz? Oby tylko to. Przy wejściu raz po raz strzelały flesze aparatów fotograficznych, ludzie rzucali się sobie w ramiona, a babsztyl gapił się na mnie.

Mało tego! W pewnej chwili zaczęła coś gadać do męża. Oczywiście nie słyszałem, ale wystarczyło popatrzeć, żeby wiedzieć, o czym mówi. Wyraźnie

podniecona zerkała w moim kierunku, tłumacząc coś mężowi. Facet spojrzał na mnie, potem na nią i wzruszył ramionami, jakby mówił, żeby dała spokój. Ona jednak upierała się przy swoim. Pewnie zwróciła na nas uwagę, gdy wchodziliśmy z Kelly do toalety, no i skojarzyło jej się, że gdzieś już nas widziała. A gdzie? Łatwo było się domyślić, że w telewizorze albo w gazecie.

Nie ruszałem się z miejsca. Chciałem się przekonać, co ta kobieta robi. Jak tylko opuści swoje stanowisko przy barierce będę musiał coś zadziałać.

Było widać, że ze wszystkich sił usiłuje sobie przypomnieć, gdzie nas widziała. Serce waliło mi jak młotem. Nie patrzyłem w jej stronę, żeby się nie zdradzić, ale było jasne, że jeszcze chwila, a kobieta połączy doniesienia o morderstwie na Tyson's Corner z podobizną Kelly pokazaną w telewizji.

Sekundy ciągnęły się jak wieczność. Wreszcie Kelly wyszła z ubikacji.

- Gotowa? - Chwyciłem ją za rękę, nie czekając na odpowiedź.

Kątem oka widziałem, że kobieta ciągnie swego starego za mankiet. Na szczęście w tym momencie w kolejce wychodzących zjawiał się ktoś, na kogo czekali i siwy rzucił się do powitania, nie zważając na małżonkę.

Ta jednak nie dawała za wygraną. Pociągnęła go jeszcze raz.

Chciałem puścić się pędem, ale to tylko potwierdziłoby jej podejrzenia. Szedłem więc nieśpiesznie, jak wszyscy, grając rolę szczęśliwego ojca, co niestety wymagało prowadzenia rozmowy.

- Ładne lotnisko, prawda? Zawsze tu ląduję, gdy przylatuję do Stanów. Byłaś tu już kiedyś? - gadałem jak najęty nie dając małej czasu na odpowiedź.

Musiałem zmobilizować całą siłę woli, żeby się nie odwrócić. Rozmyślałem gorączkowo nad tym, co zrobię, gdy dojdzie do najgorszego, to znaczy, gdy ta stara napuści na mnie gliny. Będę ugotowany. Z lotniska nie ma ucieczki. Więcej tu ochroniarzy i policjantów niż pasażerów. Do wyjścia z hali miałem jeszcze ze trzydzieści, czterdzieści metrów i ciągle czułem na sobie wzrok tej wiedźmy. Bałem się, że lada chwila zaczną się krzyki, obkoczy nas policja, każą podnieść ręce do góry i tak dalej. Tymczasem słyszałem tylko gwar ludzkich rozmów, z

którego od czasu do czasu wybijały się okrzyki powitania.

Dotarliśmy do wyjścia. Skręciłem w lewo i przyspieszyłem, ciągnąc za sobą Kelly.

- Nick, co się dzieje? - zaniepokoiła się.

- Nic takiego - uspokoiłem ją. - Musimy złapać taksówkę.

Tymczasem na postoju czekały w kolejce trzy osoby. Niecierpliwiłem się, czułem się jak dzieciak, co nie może się doczekać i przebiera nogami.

Niech już coś przyjedzie.

W końcu przysłała nasza kolej. Załadowaliśmy się śpiesznie do taksówki. Obejrzałem się za siebie. Nic podejrzanego. Można odetchnąć. Kelly czuła chyba, że coś jest nie tak, bo nie odzywała się słowem.

Staralem się zapomnieć o incydencie na lotnisku. Nie dało się. Zacząłem się więc pocieszać, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, ale też bez skutku, bo niczego dobrego nie mogłem się spodziewać. Przeciwnie - musiałem założyć, że kobieta poleciała jednak na policję, donosząc, że właśnie nas widziała i że wzięliśmy taksówkę. Niech to szlag.

Spojrzałem na Kelly, ziewnąłem znacząco.

- Jestem śpiący, ty nie?

Pojęła w lot, wyciągnęła się na siedzeniu, kładąc mi głowę na kolanach.

Kazałem taksówkarzowi zatrzymać przed Marriottem. Do naszego Economy Inn chciałem dojść piechotą. Odczekałem, aż taksówka odjedzie.

- Idziemy do motelu i pamiętaj, ani mru-mru, kiedy będę zamawiał pokój. Wiesz przecież, że muszę trochę na kłamać. Jeśli się uda, to już niedługo pojedziemy do domu.

W recepcji siedział czarnoskóry młodzieniec, chyba student, dorabiający na dyżurach, bo pilnie czytał jakiś podręcznik. Wygłosiłem ten sam tekst co zwykle, z tą tylko różnicą, że nieco go ubarwiłem mówiąc, że nie dość, że nam ukradli dokumenty, to jeszcze pobili. Facet ogromnie się przejął i wręcz zaczął przeproszać za rodaków.

- Nie wszyscy są tacy - zapewniał. - A w ogóle Ameryka to piękny kraj. - Zaczął zachwalać uroki Wielkiego Kanionu Kolorado. Przytaknąłem uprzejmie, a nawet obiecałem, że na pewno tam pojedziemy.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju. Zacząłem rozbierać Kelly, gdy nagle spojrzała mi badawczo w oczy i zapytała wprost:

- Pojedziemy zaraz do rodziców?
- Jeszcze nie teraz. Jeszcze coś musimy załatwić.
- Ale ja chcę do mamy, Nick. Zabierz mnie do domu. Obiecywałeś!
- Już niedługo. Bądź cierpliwa.
- A w domu wszyscy będą? Mama, tata, Aida?
- Ależ oczywiście.

Chyba jednak nie uwierzyła. Zrozumiałem, że dłużej nie potrafię kłamać. Niech się dzieje, co chce, ale muszę jej powiedzieć. Lepiej teraz niż później, bo i tak się dowie. Przeraziła mnie myśl, że kiedyś w przyszłości, jeśli wyjdziemy z tego cała i oddam ją pod opiekę dziadków czy kogoś innego, mała mogłaby mieć słuszny żal, że cały czas ją okłamywałem.

- Kelly.... - Usiadłem obok i pogłaskałem ją po włosach. Położyła mi głowę na kolanach. - Kelly, muszę ci coś powiedzieć. Ani mamy, ani taty, ani Aidy nie ma w domu i już nigdy nie będzie. Poszli do nieba, rozumiesz?

Wyrzuciłem to z siebie jednym tchem, żeby raz na zawsze z tym skończyć. Naiwnie sobie wyobraziłem, że mała powie zwyczajnie: „Ach tak” i zajmie się czymś innym.

Tymczasem zaległa cisza, tylko klimatyzator szumiał miarowo.

Kelly zmarszczyła czoło. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiała.

- To dlatego, że nie byłem grzeczna i nie pomogłam tatusiowi?

Poczułem się tak, jakby ktoś dźgnął mnie nożem, choć nie było to jeszcze najtrudniejsze pytanie. Miałem zresztą gotową odpowiedź.

- Nie, kochanie, nawet gdybyś próbowała pomóc tatusiowi, to i tak by zginęli. Zaczęła cicho szlochać. Głaskałem ją po plecach i usiłowałem wymyślić, co

by tu powiedzieć na pociechę. Nie zdążyłem.

- Ale ja tak nie chcę, nie chcę, żeby ich nie było. Chcę, żeby byli ze mną - usłyszałem.

- Ależ są - wyrwało mi się.

Uniosła twarz, spojrzała na mnie.

- Ależ tak! Bo widzisz, kiedy robisz coś, co robiłaś z rodzicami i Aida, to tak jakby oni byli z tobą.

Nie zrozumiała, ja zresztą też, ale brnąłem dalej:

- Powiem ci, jak to jest. Za każdym razem, gdy zamawiam pizzę z grzybami przypominają mi się twoi rodzice, bo wiem, że mama przepadała za grzybami. I w ten sposób twoi rodzice są zawsze ze mną. Mama, tata i Aida też. Zawsze będą z tobą.

- Jak to? - Chciała usłyszeć więcej.

- Chodzi mi o to - brakowało mi słów - że na przykład, gdy będziesz nakrywać do stołu, ustawiać talerze i tak dalej, to mama będzie przy tobie. A dlaczego? To proste, bo właśnie mama uczyła cię, jak się nakrywa do stołu. Gdy będziesz rzucać piłką do kosza tata będzie z tobą, bo to on cię tego uczył. Kiedy będziesz się bawić zjawi się Aida, bo przecież bawiliście się zawsze razem. Rozumiesz? Zawsze będziesz z nimi.

Nie wiem, czy mój wywód był przekonujący, ale nic więcej nie zdołałem wymyślić. Kelly wtuliła buzię w moje kolana. Poczulem łzy.

- Ale ja chcę ich zobaczyć, Nick! Powiedz, czy ich zobaczę?

Ścisnęło mnie w gardle. Było mi równie ciężko jak jej, a może jeszcze ciężiej. Nie miałem pojęcia, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji.

- Nie, Kelly, oni już nie wrócą. Umarli, ale nie przez ciebie, nie dlatego, że zrobiłaś coś złego czy też dlatego, że czegoś nie zrobiłaś. Oni naprawdę nie chcieli cię zostawiać samej, ale już tak jest na tym świecie. Są takie sprawy, że nawet dorośli nie potrafią sobie z nimi poradzić.

Nic nie powiedziała. Zerknąłem w dół. Oczy miała szeroko otwarte, patrzyła

w ścianę. Objąłem ją.

Człowiek czasami potrzebuje okazać smutek i żal, i tak pewnie było z małą. Bardzo pragnąłem ją ukoić, ale bałem się, że znów coś sknoczę. Nie znam się na takich sprawach i nie wiem, jak to się robi.

- Wiesz - powiedziałem - kiedyś nadejdzie taki dzień, kiedy znów będziecie razem, ale nie zaraz, nieprędko. Najpierw będziesz miała dzieci, jak mama. Potem, gdy umrzesz, twoje dzieci będą się smucić tak jak ty teraz. Rodzice bardzo cię kochali, wiem o tym. Ja znałem ich tylko kilka lat, ale ty byłaś z nimi przez całe swoje życie. Pomyśl o tym, Kelly.

Wydawało mi się, że na buzi pojawił się cień uśmiechu. Przytuliła się do mnie mocniej.

- Chcę być z tobą, Nick.

I znów ścisnęło mnie w gardle.

- Rozumiem, byłoby fajnie, ale to niemożliwe. Będziesz musiała pójść do szkoły, nauczyć się, jak być dorosłą.

- A ty mi w tym pomożesz?!

Biedna mała. Gdyby tylko wiedziała, że przy mnie nie miałyby nawet gdzie schować zabawek. Jak mógłbym wziąć odpowiedzialność za wychowywanie dziecka, skoro nawet nie miałem gdzie trzymać roweru?

Najpierw broń, potem sprzęt, a dopiero potem można pomyśleć o sobie - taki jest porządek rzeczy. Rozładowałem magazynek w pistolecie, niech mechanizm też odpocznie. Nie było to konieczne, ale chciałem w jakiś sposób zaznaczyć, że oto dobiegł końca pierwszy etap, a zaczyna się następny.

Kelly spała jak suseł.

Podłączyłem telefon, żeby doładować baterię. Komórka to mój jedyny łącznik ze światem, powinna - chciałoby się powiedzieć. Wyjąłem wszystkie graty z torby. Nowe ciuchy odłożyłem na bok, sprzęt włożyłem z powrotem. Byłem zły, że kamera została na dachu, bo pewnie znajdą ją i tym samym skojarzą strzelaninę

na Ball Street z nami. Żałowałem też kasety z nagraniem. Przydałaby się do rozmów z Simmondsem, a kto wie, czy nie stałaby się zabezpieczeniem na przyszłość.

Leżałem na łóżku z rękami pod głową, słuchałem szumu klimatyzatora i rozmyślałem o tej całej pieprzonej grze i o tym, co w niej robią tacy jak ja czy McGear. Byliśmy narzędziami w cudzym ręku, to pewne. Gdy jednak uświadomiłem sobie, że oto zaczynam się nad sobą litować dałem spokój, bo przecież i McGearowi, i mnie nikt niczego nie kazał. Sami wybraliśmy sobie takie życie.

Zastanawiałem się nad korzyściami, jakie wypływają z wydarzeń ostatniej nocy. Były takie, choć ogólnie sytuacja przedstawiała się fatalnie. Na podstawie badania krwi policja na pewno ustali związek między morderstwem Brownów a Ball Street, a to już dobrze. Najważniejsze, że znalazłem wspólną nić łączącą zabójstwo na Kevie, PIRA, obiekt przy Ball Street i to wszystko, co skopiowałem z komputera.

Na razie jeszcze nie obejrzałem dyskiety, byłem zbyt zmęczony, aby wyciągnąć laptopa. Nie chciałem popełnić błędów. Poza tym adrenalina przestała działać i kark, i w ogóle wszystko zaczęło mnie straszliwie boleć.

Wziąłem gorący prysznic, próbowałem się ogolić. Ślady po zębach McGeara pomału się zasklepiały.

Należała mi się chwila wypoczynku, ale musiałem być w pogotowiu, więc ubrałem się i załadowałem magazynki. Zamierzałem zdrzemnąć się parę godzin, potem coś zjeść, a następnie przejrzeć pliki z dysku na laptopie. Z planu jednak nic nie wyszło. Nie mogłem zasnąć, wierciłem się i kręciłem na łóżku, sen nie przychodził.

Włączyłem telewizor, przeleciałem po kanałach, żeby zobaczyć, czy jest już coś o Ball Street. Było.

Typowe sprawozdanie. Najpierw panorama budynku, potem cięcie na policję i karetkę ratunkową, a jeszcze potem gadający facet w zbliżeniu. Nie zadałem sobie trudu, żeby włączyć dźwięk, bo wiedziałem, o czym może mówić mój

dawny obszczany, bezdomny przyjaciel. Spodziewałem się zresztą, że go znajdą i pokażą w telewizji.

Kelly zaczęła się wiercić na łóżku. Pewnie przyśnił jej się McGear.

Nie ma co mówić, dzielna mała. Te kilka ostatnich dni wywróciło jej życie do góry nogami. Martwiłem się o nią. Siedmioletnich dziewczynek nie powinno się wciągać w takie gówno. Nigdy. Co z niej wyrośnie, co ją czeka? Nagle zdałem sobie sprawę, że bardziej martwię się o nią niż o siebie.

Telewizor grał, kiedy się obudziłem. Spojrzałem na zegarek - dziewięta trzydzieści pięć. O dwunastej ma dzwonić Pat. Wyłączyłem telewizor, bo chciałem zająć się komputerem. Poderwałem się, żeby wstać, ale mi się nie udało. Ledwo się ruszałem. Byłem cały obolały i czułem się jak dogorywający emeryt. Z wysiłkiem zwlokłem się z łóżka. Szyją w ogóle nie byłem w stanie ruszyć, kark zupełnie zeszywniał.

Wyjęcie laptopa z torby wymagało niemało wysiłku, nie mówiąc już o podłączeniu do gniazdka i tak dalej. Kelly zaczęła się budzić i zanim zdołałem przygotować laptopa do pracy, była już całkiem przytomna. Leżała wsparta na łokciu i patrzyła, co robię. Włosy miała zmierzwione jak rabarbar po uderzeniu pioruna. Słuchała w milczeniu, jak obrzucam laptopa przekleństwami za to, że nie chce czytać z dyskietki, po czym spokojnie, jakby to była oczywista sprawa, powiedziała, że pewnie się zawiesił i trzeba go zresetować.

Uwielbiam ten ich komputerowy żargon. Spojrzałem na Kelly podejrzliwie i zamiast jej podziękować za dobrą radę mruknąłem tylko:

- Tak sądzisz?

Zrobiłem jednak dokładnie tak, jak powiedziała. Wyłączyłem, włączyłem, zadziałało.

Uśmiechnąłem się do małej z wdzięcznością, a ona odpowiedziała mi tym samym.

Zacząłem przeglądać foldery i pliki. Uderzyło mnie, że zamiast nazw zwykle

stosowanych w biznesie miały etykiety przypominające raczej kryptonimy, jak Łasica czy Guru. Zorientowałem się, że zawierają wiele faktur i arkuszy. Nie potrafiłem ich odczytać, bo buchalteria to dla mnie chińszczyzna.

Otworzyłem plik o nazwie - Tata. Na ekranie pokazały się rzędy kropek i cyfr. Nic mi nie mówiły.

- I co z tym zrobić, mądralo? - spytałem Kelly.

- Nie wiem, mam tylko siedem lat - wyduła wargi.

Dochodziła dwunasta. Włączyłem komórkę i dalej przeglądałem pliki na dyskietce, próbując coś zrozumieć.

Wybiła dwunasta i minęła.

Po kwadransie zacząłem się niepokoić, ponieważ telefon milczał. W myślach ponaglałem Pata, żeby wreszcie zadzwonił. Muszę przecież wydostać się ze Stanów, spotkać się z Simmondsem, bo już mam, a przynajmniej wydaje mi się, że mam w ręku to, o co mu chodziło. Im dłużej będę zwlekał, tym większe ryzyko! Pat, zadzwoń wreszcie!

Zawsze był punktualny, jeśli więc nie dzwoni, to musiało się wydarzyć coś naprawdę poważnego. Nawet na haju dotrzymywał słowa i stawiał się zgodnie z umową. Starłem się odpędzić ponure myśli, tłumaczyłem sobie, że zadzwoni - zgodnie z zasadą - w zapasowym terminie. Niewiele to pomogło. Z nerwów ścisnęło mnie w dołku, nie potrafiłem się skupić na monitorze. Moje jedyne wyjście, deska ratunkowa, stracone! Ogarnęło mnie przygnębienie, miałem uczucie, że spadam w przepaść bez dna, że wszystko diabli wzięli. Musiałem się z tego otrząsnąć, coś postanowić, coś zrobić.

Zamknąłem laptopa. Zapasowy dysk wsadziłem do kieszeni. Kelly leżała w pościeli, gapiąc się na telewizor.

- Założę się, że wiesz, co zrobię w ciągu najbliższej minuty - powiedziałem żartobliwym tonem.

Kelly wyskoczyła z łóżka i rzuciła mi się na szyję.

- Nie, Nick, nie wychodź - prosiła. - Zostań, pooglądamy sobie telewizję,

dobrze? A jak nie, to idę z tobą.

- Ale nie mogę na to pozwolić. Musisz tu zostać.

- Tak cię proszę.

I co miałem zrobić? A zresztą samemu też mi było niesporo.

- No już dobrze, idziesz ze mną, ale pamiętaj, masz mnie we wszystkim słuchać.

- Zgoda. - Rzuciła się nakładać kurtkę, ale ją powstrzymałem.

- Chwileczkę, młoda damo, najpierw tam - pokazałem palcem łazienkę. - Trzeba się wykapać, umyć głowę, a dopiero potem będziemy się ubierać.

- Tak jest - zgodziła się. Niecierpliwiła się jak pies, który wie, że wyjdzie na spacer.

- I nie zapomnij o zębach - rzuciłem, gdy znikła w łazience. - O zęby trzeba dbać, bo ci wypadną - pouczyłem.

- Tak, tak - potwierdziła.

Przeleciałem kanały w telewizorze. Nie znalazłem niczego o Ball Street. Po chwili zajrzałem do łazienki. Tuba z pastą do zębów nietknięta.

- Myłaś zęby?

Kiwnęła, że tak, ale minę miała średnią.

- No dobrze, zobaczymy - pochyliłem się - chuchnij! Ty kłamczucho, a może nie wiesz, jak należy myć zęby?

- Wiem.

- W takim razie mi pokaż.

Szczoteczka była trochę za duża. Mała zaczęła szorować w lewo i prawo.

- Chyba nie tak cię uczono.

- A właśnie, że tak.

Lekko się zdziwiłem, bo byłem pewien, że co jak co, ale mycia zębów to ją nauczono.

- Poczekaj, pokażę ci, jak to się powinno robić.

Wcisnąłem wałeczek pasty na szczoteczkę, kazałem jej stanąć obok siebie

przed lustrem i zacząłem pokazywać prawidłowe ruchy szczoteczką, w górę i w dół. Opieka nad dzieckiem? Wychowanie? Żaden problem! Wystarczy mądre zastosowanie zasady WPN - wyjaśnić, pokazać i niech powtórzy - jak w wojsku. Pod tym względem miałem bogate doświadczenie. Niejednej gromadzie kotów tłumaczyłem w ten sposób tajniki posługiwania się bronią. Jedyna różnica, to że mój obecny kot miał siedem lat.

- Rób tak jak ja, w górę, w dół, w górę, w dół...

Nagle zrobiło się głupio. Mała parsknęła śmiechem. Resztki pasty wylądowały na lustrze. Ja też zacząłem się śmiać.

Po kąpieli Kelly założyła nowe džinsy, nowy podkoszulek, na głowę wcisnęła czapkę z czarnego sztruksu z wyhaftowanym napisem „Washington, D.C.” nad daszkiem. Kupiłem dwie takie, dla niej i dla siebie.

Ja też umyłem głowę, przycesałem się jak należy i oboje wyglądaliśmy całkiem przyzwoicie. Mała nałożyła jeszcze niebieską kurtkę i adidasy, i mogliśmy wyjść. Planowałem udać się w pobliże mieszkania Pata, żebyśmy mogli zaraz się spotkać, gdy on o szóstej zadzwoni.

Co zrobić z zapasową dyskietką? Postanowiłem schować ją tu, w pokoju. Lepiej bowiem podzielić łupy. Gdyby tak się zdarzyło, żeby nas z małą namierzyli i zwinęli, to przynajmniej nie odzyskają wszystkiego. Za pomocą kawałka taśmy klejącej przymocowałem dyskietkę pod dnem komody, na której stał telewizor. Jak zwykle porozmieszczałem znaki alarmowe w całym pokoju. Jeszcze tylko jedno spojrzenie na całość i mogliśmy wychodzić.

Nadal mżyło i było wyraźnie zimniej niż rankiem. Kelly była w siódmym niebie - zachwycona, że zabrałem ją ze sobą. Uśmiechała się, ja też, choć w głębi duszy martwiłem się o Pata. Wyszliśmy omijając recepcję. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Euana. Zdecydowałem jednak, że nie, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Lepiej nie odsłaniać wszystkich kart od razu.

W okolicy było mnóstwo rozmaitych hoteli. Uszliśmy kawałek, jakieś czterysta metrów, kazałem małej chwilę poczekać, a sam zaszedłem do pierwszego

lepszego hotelu, żeby z recepcji zadzwonić po taksówkę.

- Nasuniesz kaptur - poinstruowałem małą, gdy czekaliśmy na taryfę - przytulisz się do mnie i będziesz udawać śpiącą. I bez gadania, obiecałaś przecież, że będziesz mnie słuchać.

Zamówiłem kurs do Georgetown. Kelly odegrała swoją rolę znakomicie. Wątpię, żeby kierowca choć przez moment widział jej buzię.

Wysiedliśmy przy Wisconsin Avenue. Była czwarta, zaczynał się zwykły popołudniowy ruch. Ludzie spacerowali, oglądali wystawy, zachodzili do sklepów. My też poszliśmy najpierw na spacer, później coś zjeść, a o wpół do szóstej rozsiedliśmy się w centrum handlowym - Georgetown Mall. Było ciepło i przyjemnie, zachciało nam się spać.

Zamówiłem kawę, mała - koktajl mleczny, którego nawet nie tknęła, bo objadła się hamburgerami. Co chwila zerkałem na zegarek. Niecierpliwiłem się, ale odczekałem do za pięć szósta i dopiero wtedy włączyłem komórkę. Sprawdziłem - bateria naładowana, sygnał sieci - mocny.

Wybiła szósta.

Cisza.

Minęła minuta.

Minęła druga.

Telefon milczał. Nie mogłem w to uwierzyć. Byłem jak sparaliżowany. Kelly niczego nie zauważyła, zajęła się oglądaniem komiksów.

Minęły cztery minuty. To straszne. Pat nigdy nie wystawiłby mnie do wiatru, chyba że stało się coś okropnego. Wiedział równie dobrze jak ja, że punktualność podczas trwania operacji ma cenę ludzkiego życia. Miał zakodowane, że nawet minuta spóźnienia może drogo kosztować. Bywa tak, że natarcie rusza bez osłony, bo ktoś się spóźnił i ludzie idą na śmierć.

Musiało więc coś się stać, i to coś poważnego, bardzo poważnego.

Trzymałem komórkę pod napięciem jeszcze przez kilkanaście minut. Wreszcie o szóstej dwadzieścia wstałem.

- Chodź, Kelly, odwiedzimy Pata.

Gdzieś prysła aura zwykłego dnia. Nic nie wyglądało normalnie i zwyczajnie jak jeszcze przed godziną. I rozwiały się też wszystkie nadzieje.

28

Wyszliśmy na ulicę i złapaliśmy taksówkę. Riverwood okazała się zamożną dzielnicą o mieszanej zabudowie. Obok zadbanej domów jednorodzinnych stały eleganckie budynki apartamentowe z podziemnymi garażami. O dostatku mieszkańców świadczyły europejskie wozy zaparkowane na podjazdach, a także bogate wystawy sklepowe, wytworne butiki, renomowane księgarnie i galerie sztuki.

Kazałem taksówkarzowi zatrzymać się nie przy domu Pata, lecz przecznice dalej. Padał drobny deszcz i zaczynało się ściemniać, trochę za wcześnie jak na tę porę roku, ale pod ołowianym niebem wszystko wokół nabierało ponurej barwy. Kierowcy włączali światła.

- Miejmy nadzieję, że Pat jest u siebie - odezwałem się - bo jeśli nie, to cała ta podróż na nic i trzeba będzie wracać do hotelu.

Kelly była wyraźnie podminowana spotkaniem z Patem, i nic dziwnego. Mówiłem jej przecież, że Pat pomoże nam wrócić do domu. Nie byłem pewien, ile z tego, co rankiem powiedziałem jej o rodzicach i siostrze zapadło jej w pamięć. Nie miałem pojęcia, czy dzieci w jej wieku w ogóle pojmują, co to jest śmierć i że nie ma od niej odwrotu.

Ulica, przy której mieszkał Pat była charakterystyczna dla tej dzielnicy. Szeroka, naprawdę elegancka i widać, że z tradycjami. Nawet dwa wysokie apartamentowce wylaniające się zza rzędu willi potwierdzały wrażenie zamożności tej dzielnicy. Nie bywałem tu wcześniej, nie wiedziałem, w którym konkretnie domu mieszka mój przyjaciel, ale wystarczyło policzyć numery. W pewnym momencie na parkingu dostrzegłem czerwonego mustanga, czerwien-

szego niż jaja samego szatana - jak zwykł mówić Pat. Była dziewiętnasta piętnaście. Skoro Pat jest w domu, to czemu, do kurwy nędzy, nie zadzwonił?

Weszliśmy do kawiarni naprzeciwko. Nazywała się „La Colombina”. Powitał nas aromat świeżo palonej kawy i dźwięki rumby, co przypomniało mi Bogotę. Niewykluczone, że właśnie dlatego Pat wybrał sobie tę okolicę. Poprosiłem o stół przy oknie. Szyba była zroszona, przetarłem ją serwetką i zacząłem obserwację.

Kelly zachowywała się nienagannie, nie odzywała się. Widać pamiętała, że buzię wolno jej otworzyć tylko wtedy, gdy jej na to pozwolę. A zresztą całą jej uwagę pochłoniął magazyn „Girl!”. Sprawdziłem komórkę - bateria naładowana, sygnał sieci w porządku.

Podeszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienie. Zdecydowałem się wziąć coś do jedzenia. Nie byłem głodny, ale chciałem dłużej posiedzieć w kawiarni. Przygotowanie dania trwa dłużej niż zaparzenie kawy, a poza tym można jeść bardzo wolno, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

- Wezmę kanapkę klubową i duże cappuccino, a ty, Josie, na co masz ochotę?
- Czy podajecie Shirley Temple? - spytała Kelly ze znawstwem.
- Oczywiście, kochanie - zapewniła kelnerka.
- To poproszę.

Shirley Temple? Chyba koktajl, pomyślałem, ale cholera wie. W każdym razie kelnerka była zadowolona. Kelly wróciła do lektury, a ja podjąłem obserwację.

Po chwili podano napoje.

- Co to takiego? - spytałem, gdy zostaliśmy sami.
- Sprite z czereśniami i truskawkami!
- Obrzydliwość. Daj spróbować.

Smakowało to jak rozpuszczona guma do żucia, ale widać dzieciaki to lubią. Mała piła koktajl wielkimi łykami.

Przyniesiono kanapkę, a w istocie całą kanapkową górę. Nie chciało mi się

jeść, ale się przyłożyłem. Dawno temu, w pułku, a i później też, nauczyłem się, że żarcie trzeba traktować tak jak sen. Śpij, bracie, i jedz, gdy nadarza się okazja, nie wiadomo, kiedy się powtórzy.

W kawiarni, jak to w kawiarni, nie działo się nic specjalnego, ale oto nadszedł czas, kiedy wypadało wyjść. Minęły trzy kwadranse od naszego przyjscia i każda minuta dłużej mogłaby wzbudzić zdziwienie. A zresztą Kelly zaczęła ponaglać.

- Co robimy?

- Zapnij kurtkę i wychodzimy. Sprawdzimy, czy Pat jest u siebie.

Jeszcze raz przeszliśmy obok domu Pata. Mustang stał na parkingu jak przedtem. Na niczym mi tak nie zależało, jak na tym, żeby dowiedzieć się, co jest grane. Jeśli Patowi znudziła się zabawa ze mną, to trudno, jego prawo. Taki scenariusz jednak wydawał się wątpliwy; Pat chciał mi pomóc. Mówił o tym. Musiało więc zajść coś innego, coś poważnego, i muszę to sprawdzić. Potem trzeba będzie przeanalizować sytuację i nakreślić dalszy plan działania bez Pata.

Kiedy tak szliśmy Kelly nagle zapytała:

- A czy ty w ogóle wiesz, gdzie Pat mieszka?

- Naturalnie, że wiem, ale jeszcze go nie ma. Właśnie przeszliśmy obok jego domu i nie zauważyłem, aby był u siebie.

- A nie możesz zadzwonić?

Nie mogłem, bo nie miałem pewności, czy jego telefon przypadkiem nie jest na podsłuchu, a nie chciałem, aby nas skojarzono. Mała jednak podrzuciła mi pewien pomysł.

- Posłuchaj, Kelly! Chciałabyś zrobić kawał Patowi?

- Jasne!

- Otóż zrobisz tak...

Wyjaśniłem jej, o co mi chodzi, po czym zaczęliśmy spacerować w kółko, aż mała wykuła wszystko na pamięć. Gdy upewniłem się, że jest gotowa znalazłem automat telefoniczny jakieś trzy przecznice dalej.

- Zaczynamy? - spytałem, podając jej słuchawkę.

Podniosła kciuk do góry rozpromieniona i podniecona.

Wykręciłem 911. Kelly spisała się znakomicie.

- Halo! - krzyczała do mikrofonu. - Właśnie go widziałam, tego pana, na pierwszym piętrze, Jedenaście-dwadzieścia jeden, Dwudziesta Siódma ulica... on ma pistolet... on go zabił... ten pan... strzelił... ratunku!

Przerwałem połączenie.

- Znakomicie, a teraz pójdziemy zobaczyć, co się będzie działo.

Wybrałem inną drogę, tak aby dojść do domu Pata z drugiej strony, gdzie teren nieco się podnosił. Ściemniło się już na dobre i nadal padało. Skręciliśmy w Dwudziestą Siódmą i z wolna zaczęliśmy się zbliżać do celu.

W oddali odezwała się syrena policyjna, po chwili zawyła głośniejsz, błysnęły światła i niebiesko-biały radiowóz przemknął obok nas. Z drugiej strony nadjechał następny, potem kolejny. Wszystkie kierowały się w to samo miejsce.

Gdy podeszliśmy bliżej zobaczyliśmy jeszcze jeden, nieoznakowany wóz policyjny, z przenośnym kogutem na dachu.

Zbliżyliśmy się, ale nie do samego domu. Zatrzymaliśmy się nieopodal, na przystanku autobusowym, skąd można było obserwować wydarzenia, nie budząc niczyich podejrzeń. A zresztą zgromadziła się tam już grupka gapiów.

- Przyjechali po Pata? - spytała Kelly.

Byłem zbyt pogrążony w ponurych myślach, by odpowiedzieć. Nadjechała właśnie karetka, a mnie jakby kto obuchem zdzielił.

- Powiem ci za chwilę, tymczasem popatrzmy, co się dzieje.

Gapiliśmy się jak wszyscy, tak minął kwadrans. Z piskiem opon zajechał wóz reporterski lokalnej telewizji i właśnie wtedy z domu wyniesiono nosze. Dwóch sanitariuszy niosło zwłoki w czarnym plastikowym worku i chyba ja jeden pośród gapiów doskonale wiedziałem, czyje. Mogłem mieć tylko nadzieję, że śmierć nastąpiła szybko, choć to, co widziałem na Tyson's Corner taką nadzieję wykluczało.

- Pójdziemy, Kelly - powiedziałem cicho. - Pata dziś już nie będzie.

Czułem się tak, jak gdyby podstępnie zrabowano mi coś najcenniejszego i to niemal na moich oczach, przy czym miałem świadomość, że nigdy już tego nie odzyskam. Pat zapłacił najwyższą cenę za naszą, odnalezioną po latach, przyjaźń. Byłem zrozpaczony i zagubiony, jakbym nagle znalazł się sam bez kolegów z patrolu, na obcym, pełnym wrogów terenie, bez mapy i broni, nie mając pojęcia, gdzie iść. Choć nie widywaliśmy się przez wiele lat Pat był prawdziwym przyjacielem i pozostał takim do końca.

Z trudem oderwałem się od wspomnień, musiałem jednak wziąć się w garść. Gdy ciało załadowano do karetki ruszyłem z przystanku z powrotem pod górę, aby nie pchać się gliniarzom na oczy. Jeden z radiowozów szykował się już do odjazdu, w karetce też włączono sygnał. Wyobraziłem sobie, co dzieje się w mieszkaniu Pata. Ekipa dochodzeniowo-śledcza zapewne rozpakowuje sprzęt, szykuje się do zabezpieczenia śladów. I znów całą siłą woli zmusiłem się do odsunięcia od siebie myśli o przyjacielu. Pata już nie ma. Mam jeszcze Euana. Trzeba myśleć logicznie. Trzeba - choć to trudne, coraz trudniejsze.

Przy pierwszej przecznicy skręciliśmy w lewo. Za nami rozległa się syrena karetki ruszającej spod domu. Ulica, którą szliśmy prowadziła w głąb osiedla. Po obu stronach wznosiły się eleganckie rezydencje z kamiennymi schodami wiodącymi ku wejściom.

Szliśmy bez słowa, trzymając się za ręce.

Nie myślałem już o Pacie. Skupiłem się na czymś innym, znacznie ważniejszym, a mianowicie: co Pat mógł ujawnić, co powiedział o nas facetowi bądź facetom, którzy go dopadli. I druga kwestia: kto go załatwił? Mogli to zrobić chłopcy z PIRA, a równie dobrze Luther i spółka, jeśli oczywiście zabójstwo miało związek z nami - ze mną i z Kelly. Nie mogłem, co prawda, wykluczyć innych przyczyn; cholera wie, czym Pat się jeszcze zajmował. Musiałem jednak założyć, że ci, którzy go załatwili chcieli dowiedzieć się, gdzie się ukrywamy. Pat niewiele wiedział, tylko tyle, że zamierzam włamać się do siedziby PIRA. Znał jeszcze numer mojej komórki, to wszystko. Raz jeszcze potwierdziło się, że

podstawowa zasada operacyjna brzmi: lepiej wiedzieć mniej niż więcej. Nam przynajmniej TOP - Tajemnica Operacyjna - uratowała głowy.

Byłem tak zamyślony, że początkowo niczego nie usłyszałem. Potem pomyślałem, że to Kelly i chciałem uściskiem ręki dać jej znak, żeby się uspokoiła i była cicho. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to męski głos, cichy, ale stanowczy.

- Stać. Nie ruszać się, bo zabiję. Stać w miejscu!

Nie było w tym głosie śladu wahania. Przeciwnie - całkowita pewność siebie i zdecydowanie.

29

Zrobiłem, co mi kazano.

Kelly przyłgnęła do mnie, obejmując kurczowo rękami w pasie.

- Nie bój się, nikt ci nie zrobi krzywdy - zełgałem jak pies.

Tymczasem napastnik, jak zorientowałem się po odgłosie kroków, przesunął się za moimi plecami nieco w lewo. Domyśliłem się też, że dopadł nas od strony wąskiej alejki między domami.

- Radzę, nie rób głupstw! - ostrzegł. - Jeden ruch i koniec z tobą.

Sądząc z głosu miał około trzydziestu lat, był pewny siebie, stanowczy i dobrze wyszkolony.

Musiałem przyznać mu rację, lepiej było się nie ruszać. To nie były puste groźby. Zastosowałem się więc do udzielonej mi rady, tym bardziej że nie był już sam. Usłyszałem kroki, ktoś nadbiegł, a po chwili jeszcze ktoś. Zaczęli odciągać małą.

- „Nick, Nick!” - krzyknęła, a ja nie mogłem nic zrobić. Zawlekli ją gdzieś. Gdzie - tego nie widziałem, bo wszystko działo się za moimi plecami. Nie widziałem też żadnego z napastników. Nie pozostawało mi nic innego, jak starać się uspokoić i czekać na rozwój wypadków.

A tymczasem z tyłu dobiegły komendy wypowiedziane rzeczowo, niemal uprzejmie.

- Podnieś ręce, ale powoli, i załóż na głowę. Jazda.

Zastosowałem się do polecenia.

- A teraz odwróć się.

Zrobiłem to powoli. Zobaczyłem przed sobą dość niskiego, ciemnowłosego faceta. Stał jakieś dziesięć metrów ode mnie u wylotu alejki, w pozie znamionującej profesjonalistę, i mierzył we mnie z pistoletu. Dyszał, zapewne biegł za nami. Ubrany był w garnitur, pod marynarką dostrzegłem rzepy. Zrozumiałem, kto załatwił Pata.

- Podejdź bliżej - rozkazał.

Nie widziałem małej, musieli ją zaciągnąć w głąb alejki. Przed oczami stanął mi obraz zmaltretowanego ciała małej Aidy. Skurwysyny!

- Stać. Obróć się w lewo - mówił spokojnie, cicho, ale stanowczo. Miał świadomość, że panuje nad sytuacją. W tym samym momencie usłyszałem warkot silnika. Auto zatrzymało się z mojej prawej. Kątem oka dostrzegłem, że jest to ten sam caprice, którego widziałem przy pierwszym motelu.

- Idź do przodu - zabrzmiało kolejne polecenie.

Ruszyłem w głąb alejki. Ani śladu Kelly.

- Klęknij.

Klęknąłem. Perspektywa śmierci właściwie nigdy mnie nie przerażała. Każdy kiedyś musi pożegnać się z tym światem. Zawsze natomiast pragnąłem, aby - gdy już nadejdzie ten moment - stało się to szybko i możliwie bez komplikacji. Wierzę w życie pozagrobowe, a przynajmniej mam nadzieję, że coś takiego istnieje. Nie interesuje mnie wszakże reinkarnacja, bo nie chciałbym wrócić na ziemię w postaci - dajmy na to - robaka, którego żywot jest nadzwyczaj krótki. Jeśli już, to wolałbym być duchem, zawieszonym w przestworzach, który wie o wszystkim, począwszy od tajemnicy stworzenia gatunku ludzkiego, a na recepturze coli skończywszy. Zawsze też miałem przeczucie, że umrę młodo, choć niekoniecznie

aż tak młodo, jak to się teraz zapowiadało.

Tymczasem nic się nie działo. Nikt nic nie mówił i w ogóle robiło się nudnawo. Wreszcie jakiś samochód, chyba ten sam caprice, którego widziałem kątem oka, wjechał w alejkę i zatrzymał się za mną. Reflektory wyłowiły z mroku domy. Przed każdym wznosił się garaż, a przy ulicy stało kilka samochodów, należących zapewne do mieszkańców. Moja sylwetka rzucała długi cień na moką jezdnię.

Caprice stał z zapalonym silnikiem. Usłyszałem szcęk otwieranych drzwi i meldunek nadawany przez radio typowym nowojorskim akcentem. Facet mówił jak sprzedawca hot dogów na Broadwayu, podawał namiary.

- Jesteśmy w alejce między Dent i Avon. A zresztą zobaczycie światła... Tak jest, mamy oboje.

Kłęczałem na deszczu, z rękami założonymi za głowę. I znów nic się nie działo. Moi opiekunowie czekali zapewne na tych, do których skierowany był meldunek. W pewnej chwili usłyszałem kroki od strony auta. Ktoś szedł w moim kierunku. Zacisnąłem zęby, spodziewając się najgorszego. Nic jednak nie nastąpiło, ten ktoś skręcił nieco w prawo i stanął.

Słuch mnie jednak zawiódł, bo nie usłyszałem kroków drugiej osoby. Poczulem tylko, że ktoś chwyta mnie mocno za ręce założone za głowę i zaczyna rewidować. Wymacał siga, wyciągnął, sprawdził, czy broń jest zabezpieczona. Puścił ręce, a jednocześnie wyciągnął skądś - pewnie z kieszeni - plastikową torebkę. Pochylił się nade mną, oddech miał nieco przyśpieszony, poczułem woń kawy.

I znów cisza, w której rozlegał się tylko chrzęst plastiku za moimi plecami. Zapewne chowano pistolet do torebki. Z prawej, w zasięgu wzroku, pojawił się facet jak z żurnala. Czarny garnitur, marynarka wysoko zapinana ze stójką. To chyba od maestra Armaniego! Miał pewnie pod trzydziestkę, smagły, zadbany i niesłychanie wytworny. Nie chodził, nie stapał, nie kroczył, musiał unosić się nad ziemią, bo na butach nie miał ani śladu deszczu. Trzymał mnie na muszce.

Z tyłu dobiegł szloch Kelly. Musiała być w aucie. Za cholerę nie wiedziałem,

jak i kiedy ją tam wsadzono, ważne, że zorientowałem się, gdzie jest. Tymczasem facet za mną kontynuował rewizję osobistą, a wszystko, co wyciągał mi z kieszeni umieszczał pieczołowicie w plastikowej torbie.

Sprzedawca hot dogów obchodził się z małą dość uprzejmie. Nie krzyczał, nie klnął. Może też miał dzieci.

- Już dobrze, nic ci nie będzie - pocieszał. - Jak masz na imię?

Odpowiedzi nie usłyszałem, ale dobiegł mnie komentarz sprzedawcy hot dogów:

- Chyba nie, moja panno, coś mi się wydaje, że nie nazywasz się Josie, lecz Kelly.

W duchu pogratulowałem małej odwagi. Nie straciła głowy.

Tymczasem nadjechał drugi samochód. Zatrzymał się na ulicy u wylotu alejki, a po chwili tyłem zaczął podjeżdżać bliżej nas.

Wszystko, co miałem w kieszeniach wylądowało już w plastikowej torbie u faceta za moimi plecami. Mnie zaś ciągle trzymano na klęczkach, z rękami na karku, pod czujnym okiem właściciela garnituru od Armaniego.

Za sobą usłyszałem gwar. Pewnie zaczęli gromadzić się gapie. Pomyślałem, że może ktoś zawiadomi kogo trzeba. Tylko, kurwa, kogo? Resztkę nadziei na interwencję rozwiął ktoś, kto wysiadł z auta, które właśnie nadjechało.

- Proszę państwa, proszę się rozejść. Wszystko w porządku, nic się nie dzieje, nie ma co oglądać.

Zgłupiałem. Facet nie zwracałby się do tłumu w ten sposób, gdyby nie miał do tego tytułu. Mam więc do czynienia z policją czy czymś podobnym. Zaświtała mi isierka nadziei. Może uda mi się z tego wyplątać. Miałem przecież przy sobie skopiowaną dyskietkę, więc może uda się coś wytargować.

Samochód, który wjeżdżał tyłem w alejkę zatrzymał się jakieś pięć metrów ode mnie. Wysiadło trzech facetów - kierowca i dwóch pasażerów. Początkowo trzymali się w cieniu, więc nie widziałem twarzy. Po chwili jednak jeden z nich wszedł w światła caprice'a i wtedy zrozumiałem, że wpadłem w prawdziwe

gównu.

Był to Luther. Wyglądał dużo gorzej niż za pierwszym razem i miał niezbyt przyjazną minę. Nosił to samo ubranie co poprzednio, ale bez krawata. Krawata zresztą jeszcze długo nie będzie mógł założyć. Sądząc z krzywego uśmiechu szykował dla mnie parę przykrych niespodzianek. Trudno, jego prawo.

Podszedł do mnie, jakby chciał zademonstrować jedną z nich. Przymknąłem oczy, gotując się na cios, on jednak przeszedł mimo, co wystraszyło mnie jeszcze bardziej.

Wsiadł do auta i zaczął gadać do małej.

- Cześć, Kelly, pamiętasz mnie. To ja, Luther.

Mała coś mruknęła w odpowiedzi, czego jednak nie usłyszałem, choć natężyłem słuch. Na razie dobiegało do mnie tylko to, co mówił Luther.

- Nie pamiętasz? Przychodziłem czasami do taty, razem jeździliśmy do pracy. A teraz mam się tobą zaopiekować.

Mała najwidoczniej stawiała opór.

- Nie, twój tata wcale nie zginął - ciągnął Luther. - Przysłał mnie, żebym cię zabrał. No, chodź wreszcie, ty mała suko.

- Nick, Nick! - Kelly zaczęła pisać ze strachu - Nick, ja nie chcę, nie chcę z nim iść!

Luther nie zważał na protesty. Złapał ją jak zwierzątko i zawłókł do swojego auta. Mała wierzgała, próbowała się wyrwać. Wszystko na nic. W sekundę wrzucił ją do samochodu i we trójkę odjechali. Czułem się tak, jakby mnie znów udzielono gaśnicą.

- Wstawaj! - Ktoś szarpnął mnie za ramię. Ręce w dalszym ciągu trzymałem założone za głowę. Samochód z tyłu ruszył.

Zerknąłem w prawo. Wlókł mnie niski. Trzymał mnie lewą ręką, w prawej niósł plastikową torbę z moimi rzeczami - bronią, komórką Keva, portfelem, paszportem, kartą do bankomatu i drobnymi, które mi zarekwirował. Obrócił mnie o sto osiemdziesiąt stopni i pchnął w stronę auta. Ubezpieczał go elegancik

w garniturze od Armaniego. Cały czas trzymał mnie na muszce.

Do tej pory byłem potulny jak baranek. Nadszedł czas, aby wydostać się z tego gówna, inaczej koniec ze mną. Auto czekało, silnik pracował, miałem niewiele czasu, żeby coś wymyślić - tyle, ile potrzeba do przejścia dziesięciu metrów. Owo coś zaś powinno być zaskakujące, błyskawiczne i agresywne. Co więcej, musi się udać za pierwszym razem, drugiego nie będzie.

Facet, który mnie ciągnął za sobą był z pewnością praworęczny, bo trzymał mnie lewą ręką. Oznaczało to, że w momencie, kiedy zacznę wierzgać będzie musiał rzucić torbę z moimi rzeczami i dopiero wtedy sięgnie po broń. Jeśli jednak to założenie jest mylne, to będę gryzł ziemię. Niewiele jednak ryzykowałem, tak czy owak już byłem trupem.

Mieliśmy z niskim jeszcze trzy metry do auta, kiedy elegancik zaczął otwierać drzwi, żeby mnie wsadzić. Na ułamek sekundy oderwał wzrok ode mnie, patrząc na klamkę, i to był ten moment.

- Aaaaach! - wrzasnąłem, robiąc jednocześnie pół obrotu, i z całej siły uderzyłem niskiego prawą ręką w lewe ramię.

Zaskoczenie było pełne. To mi się udało. Zyskałem może sekundę, może odrobinę więcej; tyle potrwa, zanim przeciwnicy ocenią sytuację i zareagują.

Poszedłem za ciosem, starając się tak wymanewrować niskiego, aby znaleźć się po jego prawej stronie. Obaj wrzeszczeliśmy jak opętani. Niski zdążył już się zorientować, rzucił torbę i sięgał po broń.

Wszystko to działo się błyskawicznie, choć czas zdawał się stać w miejscu. Zauważyłem, że niski prychnął śliną, starając się ostrzec dwóch pozostałych. Na razie się nimi nie przejmowałem, nie było sensu. Jeśli są szybsi ode mnie, to znajomość tego faktu w niczym nie zmieni mojej sytuacji.

Zerkając w dół zobaczyłem pistolet za paskiem przeciwnika. Nie spuszczałem go z oczu, bo tylko to się w tej chwili liczyło. Dobięły mnie krzyki dwóch pozostałych. A więc wszyscy już wyszli na ring.

Colt 45 mm to broń do prowadzenia pojedynczego ognia, co oznacza, że

każde kolejne odpalenie wymaga pociągnięcia za język spustowy. Przed oddaniem pierwszego strzału należy broń zarepetować, czyli wprowadzić nabój do komory, a do tego potrzebne są obie ręce. Można też przenosić broń gotową do strzału, a więc z nabojem wprowadzonym do komory, ale zabezpieczoną. Colt ma dwa systemy zabezpieczenia - dźwignię przy zamku oraz dodatkowy bezpiecznik w rękojeści. Aby oddać strzał trzeba odciągnąć tę pierwszą i zwolnić ten drugi, to zaś jest możliwe tylko wtedy, gdy dłoń mocno obejmuje rękojeść.

Lewą ręką złapałem za lufę, a jednocześnie prawą, odginając kciuk, sięgnąłem ku rękojeści. Udało się. Kciukiem odciągnąłem dźwignię bezpiecznika, a czterema pozostałymi palcami mocno chwyciłem za kolbę, aby zwolnić drugi bezpiecznik. Nie wiedziałem, czy broń jest zarepetowana, czy nie, i nie miałem czasu na oględziny. Pociągnąłem lewą ręką za zamek. Był jednak zarepetowany, bo na ziemię potoczył się nabój, połyskując mosiądzem w świetle ulicznych lamp. Nie zmartwiłem się specjalnie utratą jednego naboju, ważniejsze, że drugi jest w komorze.

Największe niebezpieczeństwo groziło mi teraz ze strony elegancika. Miał przecież w ręku broń.

Obracałem się nadal, aż elegancik znalazł się na linii strzału. Mierzyłem nisko, bo wiedziałem, że sukinsyny noszą kamizelki kuloodporne. Pociągnąłem za cyngiel kilka razy. Wielbiciel ubrań od Armaniego padł jak podcięte drzewo. Nie wiedziałem, czy już z nim koniec, czy jeszcze nie.

Odepchnąłem niskiego i wzrokiem poszukałem kierowcy. Był w aucie, na swoim miejscu. Kulił się ze strachu, dygotał i wrzeszczał jak opętany.

Podbiegłem do auta, szarpnąłem drzwi i mierząc do niego, krzyknąłem, żeby się posunął. Nie chciałem się z nim szarpać, na to nie było czasu. Zależało mi tylko na tym, żeby dostać się do wozu i uciekać. Dałem mu potężnego kopa z prawej nogi, wsadziłem lufę w policzek i przede wszystkim wyciągnąłem jego broń. Colta odrzuciłem, bo zostało w nim niewiele naboii, o ile w ogóle jeszcze jakieś były.

Kierowca dostał w prawe ramię. Trafiła go jedna z kul przeznaczonych dla elegancika. Otwór wlotowy był niewielki i dość czysty, ale dołem spod rękawa płynęła krew. Czterdziestkapiątka to nie byle co, rana wylotowa musi być straszna. Pewnie wyrwało mu wszystkie mięśnie. Jedno było pewne: z tym facetem nie będę miał żadnych problemów.

- Gdzie oni pojechali? Gadaj! - ryknąłem, wrzucając bieg. - Gdzie?

Na wpół wrzeszcząc, na wpół łkając odpowiedział mi, żebym się odpierdolił. Szare ubranie zaczynało nasiąkać krwią.

- Gdzie pojechali! - powtórzyłem, szturchając go lufą w nogę.

Wyjechałem na wąską ulicę osiedlową, po drodze straciłem oba boczne lusterka, bo nie da się brać bezpiecznie wiraży, a jednocześnie przesłuchiwać faceta. On tymczasem znów sklął mnie, więc pociągnąłem za spust. Ciśnienie wzrosło, gdy gazy wylotowe i woń kordytu wypełniły wnętrze samochodu. Kula przeorała mu nogę na jakieś trzydzieści centymetrów, a więc dość obrzydliwie. Facet kwiczał jak zarzynane prosię.

Nie miałem pojęcia, gdzie jadę i gdzie powinienem jechać. Mój towarzysz tymczasem przestał wrzeszczeć, trząsł się za to w konwulsjach. Zsunął się, wpadł pod deskę rozdzielczą, tylko głowa kołatała mu o siedzenie. Żałował pewnie, że pochopnie zrezygnował z kariery sprzedawcy hot dogów w Nowym Jorku. Jeszcze chwila, a straci przytomność.

- Gdzie oni jadą?! - Jeszcze raz zażądałem odpowiedzi. Musiałem to z niego wycisnąć, zanim straci przytomność.

- Na południe, dziewięćdziesiątkapiątką.

Szczęście mi dopisywało, jechaliśmy właśnie drogą prowadzącą do I-95¹.

- A teraz mów, skąd jesteście! - warknąłem.

Nie odpowiedział. Skrzywił się z bólu, próbując nabrać powietrza. Zdzieliłem go kolbą w skroń. Jęknął cicho, niezdarnie oderwał dłoń od nogi i chwycił się za

¹ I-95 - Interstate 95 - to autostrada międzystanowa biegnąca wzdłuż całego wschodniego wybrzeża, od stanu Maine, przez Boston, Nowy Jork, Waszyngton, aż na Florydę.

głowę.

Minęliśmy Pentagon, zaraz za nim, jak ze złego snu, wyłonił się z mroku szyld motelu „Calypso”.

- Kim jesteście i czego ode mnie chcecie? Gadaj!

Tym razem zaczął mówić, ale ledwo go rozumiałem. Miał pełno krwi w ustach i z trudem łapał powietrze.

- Wypuść mnie, zostaw na szosie, to ci powiem.

Na to nie mogłem się zgodzić.

- Posłuchaj, wkrótce umrzesz. Jak mi powiesz, to spróbuję ci pomóc. Dlaczego chcecie nas zabić? Kim jesteście?

Głowa opadła mu na ramiona. Nie odpowiedział, bo już nie był w stanie.

Spostrzegłem ich tuż przed Beltwayem - waszyngtońską obwodnicą - gdzie jezdnia miała po trzy pasy w każdą stronę. Jechali środkowym, cała trójka, jeden z przodu, dwóch z tyłu. Kelly nie dostrzegłem, ale w świetle reflektorów widziałem, że ci z tyłu siedzą dość szeroko, tak że między nimi było miejsce na jedną osobę.

Na autostradzie nic nie mogłem działać, co zresztą było mi na rękę. Zyskałem czas, żeby się ogarnąć, uspokoić i zastanowić nad dalszym planem. Tak czy owak wkrótce trzeba będzie coś postanowić. Dziewięćdziesiątkapiątka kończy się na Florydzie, ale znacznie bliżej, bo jakieś pół godziny jazdy z Waszyngtonu znajduje się Quantico, gdzie mieści się akademia FBI i DEA. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Luther i ten czarny facet znali Keva, bywali u niego. Dlaczego wykończyli Keva? Jeśli dokonali zabójstwa, to jaki jest związek między „złą DEA” a moimi „przyjaciółmi zza wielkiej wody”? Czy należy rozumieć, że coś ich jednak łączyło, coś, na co Kev wpadł i co kosztowało go życie?

Jeszcze raz przysłała mi do głowy Floryda, a wraz z nią pewien pomysł. Odłożyłem go jednak na później.

Spojrzałem na mojego pasażera. Był w straszliwym stanie, nadal okropnie

krwawił. Krew rozlała się wielką plamą na gumowych wykładzinach na podłodze i biedak kapał się w czerwonej kałuży pod siedzeniem. Światło przydrożnych lamp dobywało z mroku jego twarz. W oczach nie było już życia, zszarzał, skurczył się, wyglądał jak stara ryba. Skończy się lada chwila. Gówniany los.

Sięgnąłem pod jego marynarkę. Z kabury pod pachą wyjąłem dwa zapasowe magazynki. Nie reagował, niczego nie czuł, choć może jeszcze błędził gdzieś myślami, a może był świadom kończącego się życia.

Samochodu, w którym była Kelly nie spuszczałem z oka. Wycieraczki nastawiłem na najwyższy bieg. Spod kół przejeżdżających obok aut i ciężarówek tryskały strumienie wody. Włączyłem dmuchawę, żeby odparować szyby od wewnątrz.

Autostrada znakomicie ułatwiała mi zadanie. Mogłem trzymać się z dala, nie tracąc ich z oczu. Tylko przy zjazdach podjeżdżałem bliżej, żeby ich nie zgubić.

Po kilku minutach, w czasie których nic się nie działo, pojawił się drogowskaz: „Lorton”. Wtedy włączyli migacz i zaczęli przesuwac się na prawy pas, szykując do zjazdu z autostrady. A więc nie jadą do Quantico, pomyślałem. Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać, musiałem przystąpić do akcji. Zmieniłem magazynek na nowy, zarepetowałem.

Dopiero teraz, zjeżdżając na prawy pas, spostrzegłem, że wokół ciągnie się las i to dość gęsty. Koła stukają rytmicznie o spoiny w betonowej nawierzchni.

Mój pasażer całkiem zsunął się pod siedzenie. Plecami opierał się o drzwi. Zwaliłby się do reszty, gdyby nie kamizelka kuloodporna, która podtrzymywała jeszcze bezwładne martwe ciało.

Jechałem pasem zarezerwowanym dla zjeżdżających z autostrady, jakieś dwadzieścia metrów za nimi, a więc na tyle blisko, że w każdej chwili mogłem ich dojsć, ale na tyle daleko, żeby nie mogli rozpoznać wozu, a tym bardziej mnie. Zresztą nie spoglądali do tyłu. Nic nie wskazywało na to, że wiedzą, co się stało po ich odjeździe. Wziąłem kilka głębokich oddechów i zacząłem się szykować.

Zjazd na Lorton skręcał łagodnym łukiem w prawo i lekko pod górę. Obie

strony drogi były gęsto porośnięte drzewami, jechało się więc jakby w tunelu. Postanowiłem zaatakować na pierwszym skrzyżowaniu. Całkowicie skupiłem się na czekającym mnie zadaniu, nie dopuszczałem myśli o niebezpieczeństwie.

Z daleka zamigotały światła na skrzyżowaniu. Dodałem gazu i zbliżyłem się do nich. Włączyli właśnie prawy migacz, zaczęli hamować. Przez skrzyżowanie, z lewa ku prawej, przeleciał z hukiem tir. Gdy zaczęli wchodzić w prawy zakręt nacisnąłem gaz do dechy i mocniej chwyciłem kierownicę.

Gdy ich doszedłem miałem na liczniku prawie osiemdziesiąt - i nadal przyspieszałem. Zrównując się z nimi skręciłem kierownicę ostro w prawo. Prawym bokiem łupnąłem w ich przód. Moim wozem potężnie rzuciło, z hukiem otworzyła się poduszka powietrzna, auto obróciło się, przejechało jeszcze parę metrów i zatrzymało się niemal na środku skrzyżowania. Ich wóz rzuciło na pobocze. Usłyszałem trzask tłukących się szyb i pisk opon.

Gdy tylko samochód stanął zwoleńłem pas i szarpnąłem drzwi. Buchnęło mroźne powietrze. Dobiegł mnie szum pary ulatującej z chłodnicy i sygnał alarmujący, że nie zamknąłem drzwi i nie zgasilem świateł. Dopiero po chwili usłyszałem stłumione jęki dobiegające z ich auta.

Pierwsza sprawa to kierowca, trzeba go unieszkodliwić. Walczył z pasami bezpieczeństwa. Strzeliłem przez szybę. Nawet nie wiem, gdzie trafiłem, ważne, że padł. Spojrzałem na tylne siedzenie, zobaczyłem Kelly. Przycupnęła skulona na podłodze, rączkami zatykała uszy.

Luther zaczął strzelać. Kryjąc się za uchylonymi drzwiami próbował wycołać się na zewnątrz. Ja też padłem na ziemię, ale nie przerywałem ognia. Waliłem tuż pod drzwi. Luther wrzasnął, a więc trafiłem. Nie wiem, czy dostał bezpośrednio, czy tylko rykoszetem, i gównu mnie to obchodziło. Ważny był skutek.

Podniosłem się zza maski mojego auta, za którą się schowałem, rozglądając się za trzecim. Zdażył już wysiąść, ale zapął go opuścił. Podniósł ręce do góry. Oczy miał szeroko otwarte.

- Nie strzelaj - zaskamlał, a ja walnąłem mu dwa razy prosto w głowę.

Kelly nadal kulila się w samochodzie pod siedzeniem. Sama nie wyjdzie.

Przeszukałem zwłoki, najpierw kierowcy i tego trzeciego. Interesowały mnie portfele i amunicja. Luthera zostawiłem sobie na koniec.

Leżał przy aucie. Ręce kurczowo splótł na klatce piersiowej.

- Pomóż mi, ratuj... błagam...

Kula trafiła go pod pachę i musiała wejść w głąb klatki piersiowej. Stał mi przed oczami obraz Keva, Marshy i Aidy. Dałem mu kopniaka. Otworzył usta, chciał krzyknąć, ale tylko zacharczał. Widać było, że się kończy. To dobrze, byle nie tak szybko.

Skoczyłem po małą, zacząłem ją wyciągać.

- Kelly, to ja, nie bój się, już po wszystkim! - Musiałem ją przekrzyknąć, bo wrzeszczała tak strasznie, że sam siebie nie słyszałem. - Już po wszystkim, już dobrze!

Jakie dobrze? Lada moment zjawi się policja. Rozejrzałem się wokół. Szosa przelotowa, po dwa pasy w każdą stronę. Po lewej zjazd z dziewięćdziesiątki-piątki, dalej wiadukt, za nim, po prawej, jakieś czterysta metrów od skrzyżowania - stacja benzynowa Texaco, a jeszcze pół kilometra dalej, na wzgórzu - motel „Best Western”.

Na zjeździe z autostrady błysnęły światła. Ktoś nadjeżdżał. Luther jęczał z cicha. Oddychał, ale zostały mu już tylko minuty życia.

Kelly darła się wniebogłosy. Postawiłem ją przed sobą, aby zasłonić pistolet tkwiący za paskiem. Nadjeżdżające auto było tuż-tuż. Machnąłem, żeby się zatrzymali.

Dobrzy samarytanie podróżowali toyotą previą. Facet z żoną i dwójką dzieciaków. Zatrzymali się. Odegrałem stosowną scenę z sobą w roli zaszokowanej i rozhisteryzowanej ofiary wypadku. Krzycząc „ratunku” podbiegłem do toyoty od strony kierowcy. Prowadziła kobieta. Otworzyła drzwi. „Mój Boże” - wzdychała z niekłamanym współczuciem, a jej mąż już łączył się z pogotowiem przez tele-

fon komórkowy.

Upewniłem się, czy pistolet jest zabezpieczony i przystawiłem kobiecie lufę do policzka.

- Wysiadać, wszyscy won. - Drugą ręką wymachiwałem młynka jak wariat, licząc, że za takiego mnie wezmą i nie będą robić głupstw. - Wysiadać, bo zastrzele. Wszyscy won!

Pierwszy załamał się facet.

- Błagam, niech pan tego nie robi - jęknął i rozplakał się.

Kelly zdążyła się już uciszyć, przyglądała się, jak gram komedię.

Kobieta zachowała spokój.

- Wysiadamy. Dean, zabierz dzieci. Wysiadamy.

Dean, czyli mąż, zaczął się zbierać w sobie.

- Tylko zostaw portfel na siedzeniu! - krzyknąłem.

Wcisnąłem Kelly do środka, skoczyłem za kierownicę i dodałem gazu.

Pierwsza rzecz to uciec ze strefy bezpośredniego zagrożenia, potem można zacząć się zastanawiać. Dziewięćdziesiątkępiątkę musiałem wykluczyć, na autostradzie policja by mnie namierzyła bez trudu. Skierowałem się więc pod wiadukt. Droga zwęża się zaraz za stacją benzynową, ale było mi wszystko jedno, nacisnąłem gaz do dechy.

Kelly popłakiwała skulona na tylnym siedzeniu. Na razie nie miałem dla niej czasu. Adrenalina powoli odpływała, zacząłem dygotać, pocąc się przy tym jak mysz. Wziąłem kilka głębokich oddechów, aby złapać więcej tlenu i uspokoić roztrzęsiony organizm. Byłem wściekły na siebie, że tam, na miejscu, przestałem panować nad sobą. Powinienem był rozwalić Luthera, a nie cackać się z nim jak kretyn.

Zorientowałem się, że droga prowadzi na południe i że nie bardzo wiem, gdzie. Zjechałem na pobocze, zatrzymałem wóz, sięgnąłem do schowka po mapę drogową. Trzeba się uspokoić, coś postanowić, bo jeszcze trochę, a zacznę się kręcić w kółko. Kelly wyglądała marnie, ale nie miałem pojęcia, co powiedzieć,

by ją ukoić.

- Widzisz, mówiłem ci, że cię nie zostawię. Dobrze się czujesz? - Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Spojrzała na mnie, kiwnęła, że tak. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

Niech się dzieje, co chce, zdecydowałem wreszcie. Najpierw pojedziemy do motelu, żeby zabrać rezerwową dyskietkę z danymi z Ball Street, a potem się zwiniemy.

Znalazłem wjazd na autostradę w stronę miasta. Tuż przed Beltwayem - obwodnicą - na przeciwnym pasie rozbłysły koguty radiowozów. Nie przejąłem się tym. Mój pas był wolny.

Blisko godzinę trwało, nim dotarliśmy do naszej „Economy Inn”. Zajechałem na parking, małej kazałem czekać w aucie. Z trudem to do niej dotarło, wreszcie kiwnęła głową, że słyszy.

Poszedłem na górę. Najpierw wyjąłem pistolet i dopiero potem otworzyłem drzwi. Szarpnąłem za komodę, telewizor z hukiem zwałił się na podłogę, odlepiłem dyskietkę. Jeśli Luther i spółka byli związani z PIRA, to musieli wiedzieć, a przynajmniej zakładać, że mam dyskietkę. Wziąłem też czarną torbę, a z łazienki dwa ręczniki, które najpierw mocno zmoczyłem. Razem z kawałkiem mydła wcisnąłem je do motelowej plastikowej torby na brudną bieliznę. Wyszedłem, zamknąłem drzwi, na klamce umieściłem wywieszkę „nie przeszkadzać”.

Mała siedziała z tyłu skulona i nieruchoma. Wyprowadziłem wóz na drogę, ale zaraz zajechałem na parking „Marriott” tuż obok.

30

Parking był zatłoczony. Znalazłem miejsce w długim rzędzie samochodów osobowych i półciężarówek, wysiadłem, poszedłem do tyłu po ręczniki. Gdy tylko otworzyłem drzwi Kelly rzuciła mi się na szyję, cała rozdygotana.

Przytuliła się z całych sił. Własne łzy i krew, która bluznęła mi na kurtkę, gdy trzeciemu wpakowałem dwie kule w łeb, rozmazały jej się na buzi.

- Już dobrze, malutka, już po wszystkim - szepnąłem, a ona jeszcze bardziej do mnie przylgnęła. - Muszę się postarać o nowe auto. Poczekaj tu na mnie, to nie potrwa długo.

Próbowałem delikatnie oderwać ją od siebie i usadzić w wozie, ale wszystko na nic. Nie chciała mnie puścić, przywarła do mnie tak mocno, że przez ubranie czułem na piersiach jej gorący oddech.

Przygarnąłem ją do siebie i zacząłem głaskać po głowie. Na dobrą sprawę nie wiem, które z nas bardziej tego potrzebowało. Bałem się myśleć o tym, co się rzeczywiście stało, ale najpierw musiałem się upewnić, czy Luther mówił prawdę. Nie był to najlepszy moment na tego typu przesłuchanie, ale trudno.

- Kelly, znałaś Luthera? Czy wpadał po tatę i razem jeździli do pracy?

Kiwnęła tylko głową.

- Nie zostawię cię, Kelly, nigdy! A teraz musimy się trochę ogarnąć. - Zacząłem wycierać jej buzię wilgotnym ręcznikiem. - Skoro idziesz ze mną, to dostaniesz ważne zadanie: popilnujesz torby, gdy ja pójdę po auto, zgoda?

- Zgoda.

Gdy mała doprowadzała się do porządku zajrzałem do portfela i znalazłem trochę ponad dwieście dolarów.

Na parkingu nie było lamp, a z ulicy dochodziło niewiele światła, ponieważ cały teren obsadzono drzewami, a poszczególne sekcje parkingu rozdzielał wysoki do pasa żywopłot. Panował więc mrok.

Ulokowałem małą w krzakach, obok położyłem torbę.

- Schowaj się tu. Podjadę po ciebie, tylko wybiorę samochód.

- A będę cię widzieć? - spytała szeptem spod kaptura. Mokre liście oblepiły jej kurtkę.

Już wcześniej upatrzyłem sobie dodge'a combi, który stał nieopodal.

- Widzisz to niebieskie auto? Tym pojedziemy. - Starannie doбираłem słowa.

Jakoś nie chciało mi przejść przez gardło, że zwyczajnie ukradnę wóz. Bezsensowne skrupuły po tym, co się wydarzyło!

W pięć minut uporałem się z zamkiem i stacyjką, silnik odpalił od pierwszego razu. Przetarłem rękawem szybę, ustawiłem dmuchawę i podjechałem pod małą. Skoczyła na siedzenie z przodu, uśmiechając się szeroko. Ruszyliśmy. Po sekundzie zatrzymałem się.

- Pasy!

Zapięła.

Wróciliśmy na autostradę. Policja zdążyła już ustawić znaki ostrzegawcze i grubo przed Lorton pojawiły się tablice, że zjazd jest czasowo nieczynny. Z wiaduktu nad skrzyżowaniem widać było mnóstwo radiowozów z włączonymi kogutami. Nie zwolniłem jak inni, którzy chcieli się pogapić.

Sprawdziłem paliwo. Nieźle - trzy czwarte zbiornika. Wystarczy, żeby odjechać spory kawał drogi, zanim trzeba będzie zatankować. Włączyłem radio, zmieniałem stacje, szukając wiadomości.

Ruch na szosie był całkiem spory, co bardzo było mi na rękę. Inna sprawa, że jazda autostradą jest straszliwie nudna. Jedyne urozmaicenie polega na tym, że czasami są dwa pasy, innym razem trzy. Dobrze przynajmniej, że przestało padać.

Po stu sześćdziesięciu kilometrach byłem tak znużony, że oczy same mi się zamykały. Tuż za granicą Wirginii z Karoliną Północną wziąłem paliwo. Kelly spała.

Do pierwszej zrobiłem ponad dwieście siedemdziesiąt kilometrów. W Ameryce w poszczególnych stanach obowiązują różne przepisy drogowe. W Wirginii nie wolno przekroczyć stu kilometrów na godzinę. W Karolinie mogłem grzać ponad sto dziesięć kilometrów na godzinę. Na poboczach zaczęły pojawiać się wielkie tablice reklamujące South of the Border - wielkie centrum handlowo-rekreacyjne w Karolinie Południowej, ponad trzysta kilometrów od Waszyngtonu. Zatrzymują się tam z reguły wszyscy podróżujący na Florydę. Ja też postanowiłem tam przystanąć.

Dojechałem o piątej. Centrum obejmuje ogromny obszar, jest czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę, pełno tu sklepów, restauracji, barów. Jest nawet dancing, a dla dzieciaków karuzele i inne atrakcje.

Zajechałem na stację benzynową. Było niewiele cieplej niż w Waszyngtonie, przynajmniej o tej porze, ale słychać było cykady. Nie ma wątpliwości - to Południe. Stałem przy dystrybutorze, wpatrując się w licznik, gdy na stację zajechał nowy, jak spod igły, terenowy jeep cherokee z napędem na cztery koła. Z otwartych drzwi buchnął głośny rap. W środku siedziało czworo młodych ludzi - dwóch chłopców i dwie dziewczyny - ani chybi studenci po wypadzie nad morze.

Kelly ocknęła się, gdy tylko zajechaliśmy na stację. Przecierała oczy i z wielkim zainteresowaniem przyglądała się dyskotecie na kółkach. Spytałem ją na migi, bo stałem daleko, czy chce czegoś do picia. Skinęła, że tak.

Zaszedłem więc do sklepu, wziąłem parę puszek, jakieś kanapki i podszedłem do lady. Czarnoskóry kasjer pod sześćdziesiątkę zaczął liczyć.

W tym momencie do sklepu wkroczyła ekipa z jeepa - obie dziewczyny, tlenione blondynki z włosami do ramion, i jeden z chłopaków, dziobaty chudzielec z rzadką kozią bródką.

- Miłość jest ślepa - mruknął kasjer do mnie, a ja tylko się uśmiechnąłem.

Dziewczyny gadały bez przerwy, robiły więcej szumu niż ta dyskoteka na kółkach. Głuche czy co? Drugi z chłopaków tankował wóz. Wszyscy ubrani jednakowo w szorty i przyduże podkoszulki - prawdopodobnie wracali znad morza. Wyglądali na takich, którzy mają zamożnych rodziców.

Stanęli za mną do płacenia.

- Dzień był ekstra - szczebiotała jedna z dziewcząt, szykując pieniądze. Pałała jak najęta na cały sklep o wszystkim, co jej ślina na język przyniosła. Narzekała na rodziców, że niczego nie rozumieją i że dają jej za mało pieniędzy, choć śpią na forsie.

- A do roboty nie łaska - mruknął kasjer, odliczając moją resztę.

Uśmiechnąłem się, zgarniając drobne do kieszeni. Miejsce przy kasie zajęła

jedna z dziewczyn. Druga, która stała za mną z chłopakiem, najwyraźniej obrażona komentarzem kasjera i moją reakcją, postanowiła dać nam nauczkę.

- Popatrz tylko na tę mordę - rzuciła scenicznym szeptem do chłopaka, a ten zaraz zawtórował:

- Coś pana ugryzło?

Spory zwitek banknotów i cała kolekcja kart kredytowych w torebce blondynki przy kasie - a postarałem się zajrzeć - świadczyły, że tata wcale nie jest taki skąpy, jak opowiadała. Pozostała dwójka brała piwo z chłodni i chichotała.

Mój dodge i ich cherokee stały naprzeciwko siebie przy dystrybutorach. Młody człowiek zdążył już zatankować, siedział za kółkiem i nucił coś w takt muzyki z kompaktu.

Kelly przysypiała na tylnym siedzeniu. Przykucnąłem i zabębniłem palcami w szybę. Poderwała się lekko wystraszona, bo nie mogła mnie zobaczyć. Wysunąłem do góry puszkę z colą.

Dziewczyny i chudzielec zaczęli się ładować do wozu. Ciągłe jeszcze manifestowali oburzenie z powodu scenki przy kasie.

- Pierdolony skurwiel - rzuciła ta bardziej pyskata, tak żebym na pewno usłyszał.

- Który, biały i czarny? - popisał się dowcipem chudzielec ku radości pozostałej trójki.

Wsiadłem do wozu, podjechałem pod kompresor. Domyślałem się, że w cherokee robi się gęsto. Dziewczyny nie mogły ścierpieć, że ktoś śmiał im zwrócić uwagę, a chłopaki będą chciały się odegrać.

I rzeczywiście! Chłopiec, który siedział za kierownicą, zrobił ręką charakterystyczny obraźliwy gest, dał gaz do dechy, aż opony zapiszczały, i wyjechał na szosę.

Odczekałem minutę i ruszyłem w ślad za nimi.

Postanowiłem niczego nie zaczynać na autostradzie, chyba że nie będzie in-

nego wyjścia. Zakładałem jednak, że wcześniej czy później cała czwórka zjedzie gdzieś na boczną drogę, żeby uraczyć się piwem i - być może - zabawić się w krzakach daleko od czujnych oczu policjantów z drogówki.

Zgadłem. Po mniej więcej ośmiu kilometrach cherokee skręcił na zapuszczoną wiejską drogę, wiodącą nie wiadomo gdzie, a ja za nim.

- Kelly - uprzedziłem małą - widzisz to auto? Muszę ich zatrzymać i o coś zapytać, ale ty, pamiętaj, nie pokazuj się.

- Jak chcesz. - Nie okazała specjalnego zainteresowania, zajęta colą.

Nie chciałem spychać ich z drogi ani działać zbyt brutalnie. Zależało mi na tym, aby ktoś, kto mógłby przypadkowo przejeżdżać obok nie nabrał podejrzeń.

Tymczasem minęliśmy jakiś przydrożny sklep, zamknięty oczywiście o tej porze, potem parking dla ciężarówek, camping, a raczej osiedle z przyczepami campingowymi, jakieś pola, ugory, dom na pustkowiu i już myślałem, że nic z tego nie wyjdzie, gdy zobaczyłem, że cherokee hamuje i staje.

Podjechałem do nich, dałem w lewo i gdy się z nimi zrównałem nacisnąłem klakson, a jednocześnie zacząłem wymachiwać mapą, że niby zgubiłem drogę i proszę o pomoc. Stropili się nieco, myśleli pewnie, że to policja, ale gdy zapaliłem światło w kabinie rozpoznali i małą, i przede wszystkim mnie - kutasa ze stacji benzynowej - i zachichotali uspokojeni. Sięgnęli bez skrupowania po puszki z piwem, które w pierwszym odruchu pochowali pod siedzeniami.

Wysiadłem z wozu. Podszedłem do nich cały w uśmiechach. Cykady grały jeszcze głośniejsze niż na stacji. Na mapie, którą trzymałem w ręce, widniały zupełnie inne okolice, a konkretnie Waszyngtonu, ale oni nie mogli o tym wiedzieć. Gdy się zorientują będzie za późno.

Kierowca gadał coś do pozostałej trójki. Pewnie zapowiadał, jaki to numer zaraz wywinie: gdy tylko stanę przy jeepie naciśnie gaz do dechy, a wtedy ja się wykopyrtnę.

- Dobry wieczór - zacząłem - czy państwo mogliby mi pomóc? Jadę do Raleigh i chyba się pogubiłem.

Kierowca opuścił szybę. Z tylnego siedzenia dobiegały szepty, żeby rzeczywiście wyciął zapowiadany numer, ale chłopak widać miał już inny pomysł. Może uznał, że będzie jeszcze śmieszniej, jeśli zamiast do Raleigh skieruje mnie zupełnie gdzie indziej.

- Nie ma sprawy, daj pan tę mapę, to pokażę - rzekł.

Przez otwarte okno podałem mu mapę, gadając cały czas:

- Jeszcze przed granicą widziałem tablice na Raleigh, ale potem już nie. Chyba pomyliłem zjazd z autostrady po stacji benzynowej.

Chłopak nawet nie zerknął na mapę.

- Niech pan teraz skręci w lewo i jedzie prosto jakieś trzydzieści kilometrów, aż do... - Dziewczyny były zachwycone, z trudem tłumili chichot.

A ja tymczasem złapałem go lewą ręką za głowę, a prawą przystawiłem mu pistolet do skroni.

- O kurwa, on ma broń - jęknął przerażony kierowca, pozostała trójka zamarła.

- Bardzo pana przepraszam - zaczął się jąkać - my tylko żartowaliśmy. Wie pan, jak to jest - wypilo się co nieco i w ogóle, więc niech pan się na nas nie gniewa. - Dygotał jak osika.

Nie zaszczyciłem go odpowiedzią, wrzasnąłem tylko do dziewczyn, że mają dawać torebki.

Umiem rozkazywać, a wygląd też może przestraszyć, tak mi się przynajmniej wydaje, w każdym razie dziewczyny natychmiast rzuciły torebki. Kierowca zaczął płakać, przerażone blondyny skuliły się na tylnym siedzeniu.

- Hej, ty. - Spojrzałem groźnie na drugiego chłopaka. Zrobił taką minę, jakby to nie o niego chodziło. - Do ciebie mówię, dawaj kasę, rzuć portfel przez okno, ale już. - W sekundę portfel znalazł się, jak kazałem, na ziemi.

Kierowca był jeszcze bardziej przerażony, gdy sięgnąłem do stacyjki po kluczyki.

- Zaraz będzie z tobą koniec - szepnąłem groźnie. Nadal przyciskałem mu pistolet do głowy. Nikt z pozostałej trójki nawet nie pisnął, choć wszyscy słyszeli,

co powiedziałem. - Zmów pacierz, czy co tam chcesz, tylko szybko.

Zamiast się modlić zaczął żebrać:

- Błagam, niech mnie pan nie zabija.

Zerknąłem w dół, szorty z szarej bawełny przybrały wyraźnie ciemniejszą barwę. Tatuś nie będzie zachwycony, gdy stwierdzi, że synuś zlał się na siedzenie. Jasnobieżową skórę trudno będzie doczyścić.

Było naprawdę śmiesznie, ale - niestety - trzeba było kończyć przedstawienie. Dałem krok do tyłu. Jednym ruchem zgarnąłem torebki i portfele z ziemi. Na odchodnym zerknąłem jeszcze na dziewczyny. Ta zadziorna wyglądała, jakby połknęła osę.

- Ty, co cię tak ugryzło? - nie wytrzymałem.

I to było na tyle. Skoczyłem do wozu, wycofałem i ruszyłem w swoją drogę.

- Czemu - spytała Kelly po chwili, najwyraźniej zdziwiona - czemu kazałeś im wszystko oddać?

- Potrzebujemy dużo pieniędzy, a poza tym należało nam się, bo jesteśmy od nich lepiej wychowani. A zresztą, sami dali - dokończyłem, sprawdzając w lusterku, jak zareaguje. Zmilczała, ale widać było, że ma swoje zdanie na temat mojego małego kłamstwa.

- Chciałabyś zrobić coś pożytecznego? - spytałem, niezupełnie zmieniając temat.

- A co?

- Policz, ile mamy.

Wysypała pieniądze z torebek i portfeli, i zabrała się do liczenia.

- Milion albo i więcej - oznajmiła po pewnym czasie.

- Lepiej sprawdź jeszcze raz.

Pięć minut później padła bardziej realna liczba - trzysta trzydzieści sześć dolarów. Dziewczyny nie miały racji, tatuś na pewno nie był skąpy.

Na szosie pojawiły się tablice, na których pojawiła się nazwa miejscowości

Florence w Karolinie Południowej. Miasto niewielkie, wszystkiego czterdzieści tysięcy mieszkańców, ale dla mnie w sam raz. Była piąta dwadzieścia, słońce wstanie koło siódmej. Do miasta mieliśmy jeszcze ponad dziewięćdziesiąt kilometrów, chciałem zdążyć przed świtem. Plan polegał na tym, żeby we Florence pozbyć się dodge'a, a na dalszą podróż na Florydę znaleźć coś innego, niekoniecznie zresztą samochód.

Szesnaście kilometrów przed miastem znaleźliśmy przydrożny parking z toaletami i stoiskiem miejscowej informacji turystycznej. Wziąłem plan miasta. Kelly jeszcze się nie przebudziła. Ptaki zaczynały poranny śpiew, znak, że wkrótce zacznie świtać. Powietrze było stosunkowo rześkie, ale dzień zapowiadał się ciepły i pogodny. Dobrze było rozprostować kości po długiej jeździe i tym wszystkim, co się stało. Czuję się brudny, śmierdziałem potem, oczy szczypały i nawet bez lusterka mogłem być pewien, że zapuchły i nabiegły krwią od niewyspania. Kark nadal mi dokuczał i wciąż jeszcze poruszałem się, jakbym kij połknął.

Z mapy wynikało, że przez miasto przechodzi kolej. To dobrze, przynajmniej na początek. Zrobiłem porządek z torebkami i portfelami. Eleganckie sztuki, skórkowe z monogramami. W jednej z torebek znalazłem porcję heroiny i innych narkotyków, owinięte w cynfolię. Bananowa młodzież na wiosennych feriach, kurwa ich mać. Rodzice pewnie urabiają sobie ręce po łokcie, a skurwiele uważają, że wszystko im się należy. Dobrze, że ich okradłem. A jeszcze bardziej ucieszyła mnie myśl, że pewnie ze wstydu nikomu nic nie powiedzą. Chyba jeszcze siedzą w krzakach i martwią się, jak by tu wyczyścić siedzenie, żeby nikt się nie zorientował. Wyrzuciłem torebki i portfele do kosza na parkingu.

Pojechaliśmy na dworzec. Centrum miasta wyglądało jak śmiertelnie chory pacjent, którego za wszelką cenę chce się jeszcze utrzymać przy życiu, licząc na cud. Odnowiono co szacowniejsze zabytkowe domy, pootwierano sklepy z pamiątkami dla turystów i chyba tylko dla nich, bo na pewno nie dla zwykłych ludzi. Martwe miasto, i tyle.

Dworzec przypominał tysiące innych amerykańskich dworców. Pełno bezdomnych i pijaków. Śmierdziało potem i zgnilizną. Pijacy drzemali na brudnych ławkach, na których i tak nikt zdrowy na umyśle nigdy by nie usiadł.

Przestudiowałem rozkład, znalazłem kombinowane połączenie na Florydę - pociąg do De Land, a stamtąd autobus do Daytona Beach, czyli tam, dokąd chciałem się dostać. Zbliżała się szósta. Pociąg odjeżdżał o siódmej.

Kasa wyglądała niemal dokładnie tak jak w koreańskim „7-Eleven” - drugistorze, w którym byliśmy w Waszyngtonie. Obłaząca biała farba, solidne kraty, kasjera ledwo widać.

Godzinę później siedzieliśmy już w pociągu. Wagon bez przedziałów, co najwyżej połowa miejsc zajęta. Kelly wtuliła się we mnie zmęczona jak pies.

- Nick?

- Proszę? - Na wszelki wypadek przyjrzałem się pasażerom. Nic szczególnego. Zmordowani podróżą dorośli z dziećmi, jak ja.

- A gdzie my właściwie jedziemy?

- Odwiedzić znajomego.

- Jakiego znajomego? - Zaciekawiała się i ożywiła. Ucieszyła się na myśl, że będzie ktoś nowy, pewnie miała dość mojego towarzystwa.

- Nazywa się Frankie, mieszka w pobliżu plaży.

- Jedziemy do niego na wakacje?

- Niezupełnie.

Odpowiadałem cierpliwie, ba, nawet starałem się podtrzymać konwersację, bo i tak wiedziałem, że mała zaraz zaśnie. Rytmiczny stukot kół o szyny i pęd pociągu ukołyszą ją jak nic.

- A kto jest twoją najlepszą koleżanką? Melissa?

- Jasne, że Melissa. Zawsze sobie wszystko mówimy, ale nikomu innemu... - Zwierzyła mi się, jaka to Melissa jest wspaniała i w ogóle „naj”, ale też - jak to kobieta - nie omieszkała dodać, że przyjaciółka bywa wredna, bo bawi się z taką jedną, której ona, Kelly, nie znosi. - A kto jest twoim najlepszym kolegą, Nick?

Proste pytanie i łatwa odpowiedź, ale lepiej nie ujawniać imienia. Zawsze istnieje groźba, że mogą nas zgarnąć, więc lepiej bez nazwisk. Po co narażać kogokolwiek. Słońce zaczęło wstawać, zaciągnąłem zasłonę na oknie.

- Mój najlepszy kolega nazywa się... David - za nic nie powiem, że Euan – i, tak jak ty z Melissą, my też zawsze wszystko sobie opowiadamy, ale nikomu innemu. A wiesz, że David ma córkę trochę starszą od ciebie i nikt o tym nie wie, tylko on, ja i teraz ty!

Nie odpowiedziała, chyba zasnęła, a ja nie wiedzieć czemu ciągnąłem opowieść:

- Poznaliśmy się, gdy miałem siedemnaście lat, od tego czasu się przyjaźnimy.
- Pogłaskałem ją po głowie i chciałem jeszcze coś dodać, ale zabrakło mi słów. Jak to wyrazić, że my z Euanem to jakby jedno, że zawsze możemy na siebie liczyć. Tak rzeczywiście jest, tylko nie miałem pojęcia, jak to jej powiedzieć.

31

Z Frankiem de Sabatino było tak, że podpadł facetom z La Cosa Nostra w Miami. Skreślili go - jak to się u nich mówi. Władze federalne ukryły go w Anglii jako tzw. koronnego świadka i wtedy go poznałem. Byłem jednym z trzech agentów przydzielonych do jego ochrony w Abergavenny. Spędził z nami trzy miesiące, po czym wrócił do Stanów. Miał około metra siedemdziesiąt, był nieco flejtuchowaty, czarnowłosy, kudłaty, jakby sobie robił trwałą na wzór i podobieństwo footballistów z lat osiemdziesiątych, kiedy panowała taka moda. Cały zresztą wyglądał jak piłka footballowa.

Wszystko zaczęło się od tego, że FBI śledząc La Cosa Nostra na południu Florydy - FBI nie używa słowa „mafia” - odkryła, iż trzydziestoczteroletni ówczesnie Sabatino, geniusz komputerowy pracujący dla jednego z florydzkich bossów LCN, po cichu odprowadzał setki tysięcy dolarów z transakcji narkotykowych na swoje konto. Agenci federalni oczywiście przekabacili Frankiego, to

znaczy zmusili do zeznań przeciwko mafii, nie dając mu wyboru. Powiedziano mu, że albo będzie zeznawał, albo go zamkną, a jednocześnie dadzą cynk do La Cosa Nostra, co robił z komputerowymi kontami. Było jasne, że siedzący w więzieniu ludzie LCN z miejsca by go załatwili. Wylądował więc w Anglii, a nas wyznaczono do ochrony, ponieważ obawiano się, że mafia zlikwiduje go przed procesem, na którym miał być głównym świadkiem oskarżenia. Pat zaprzyjaźnił się z Frankiem. Żartowaliśmy później, że pewnie dlatego zaraz potem poprosił o zwolnienie ze służby. No cóż, dziś wiem, że Pat miał swoje słabości, a to kosztuje.

Frankie lubił się pokazać, a gust miał przedziwny. Dyskretna elegancja w jego mniemaniu oznaczała, na przykład, bladopomarańczową koszulę, szkarłatne spodnie i kowbojskie buty z krokodylej skóry, wszystko ciasno opięte - przy czym tłusty brzuch wylewał mu się z koszuli. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby dojść do wniosku, że Frankie był lekko zboczony. Po procesie, na którym zeznawał jako koronny świadek, dano mu nowe nazwisko i nową tożsamość. Proponowano mu też wyjazd, ponieważ nadal groziła mu zemsta ze strony LCN, ale Frankie, ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich, postanowił zostać w Stanach, i to na Florydzie. Uznał być może, że gdzie indziej nie można kupić tak eleganckich koszul. Więcej o nim nie słyszałem.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Euana. Po namyśle doszedłem jednak do wniosku, że tego nie zrobię. Niewiele mógłby mi pomóc, a poza tym lepiej nie uruchamiać wszystkich rezerw. Euan będzie mi bardziej potrzebny po powrocie do kraju, zwłaszcza gdy będę miał pełną jasność, co jest na dyskietce PIRA, a tym zajmie się właśnie Frankie. Kto jak kto, ale taki geniusz komputerowy na pewno da sobie radę z szyframi i kodami.

Do De Land dotarliśmy o drugiej po południu. Autobus do Daytona Beach już czekał. Po spędzeniu wielu godzin w klimatyzowanym wagonie upał uderzył w nas, jakbyśmy otworzyli drzwi do pieca. Wokół wszyscy opaleni, w letnich ubraniach, niebo bez jednej chmurki. Poraziło nas ostre słońce, oboje z Kelly

mrużyliśmy oczy jak nietoperze. Przez całą drogę w rozgrzanym autobusie do Daytona pociliśmy się, koszule przylepiały się do winylowych foteli.

Podróż upłynęła spokojnie, nic się nie działo. Od czasu do czasu z wielkim hukiem wyprzedzali nas pólnadzy szaleńcy na świecących niklem harleyach. Daytona Beach to mekka harlejowców i w ogóle maniaków motocyklowych wszelkiej maści, o czym świadczyły przydrożne parkingi, pełne maszyn najróżniejszych marek.

Po dwóch godzinach przejechaliśmy przez most nad rzeką Halifax, a właściwie morską odnogą oddzielającą starszą część miasta, i znaleźliśmy się w centrum Daytona Beach. Z trudem odlepiliśmy się od winylowych siedzeń, odebraliśmy bagaż i najpierw zafundowaliśmy sobie po szklance świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego. Dopiero potem poszliśmy na postój taksówek. Słońce paliło żywym ogniem.

Poprosiłem taksówkarza, żeby nas zawiózł do jakiegoś hotelu, „zwykłego”, jak się wyraziłem.

- To znaczy?

- Taniego.

Taksówkarz - Latynos - miał na sobie wściekle kolorową kwiecistą koszulę, za którą Frankie oddałby pewnie pół życia. Na tablicy rozdzielczej kiwała się figurka Matki Boskiej, obok widniało zdjęcie gromadki pociech, a z magnetofonu kasetowego, nastawionego oczywiście na cały regulator, słychać było Głorię Estefan. Otworzyłem okno, wystawiając twarz na powiew oceanu. Jechaliśmy Atlantic Avenue, która biegnie kilometrami wzdłuż plaży. Po drugiej stronie alei ciągnął się rząd barów, jadłodajni, chińskich knajp i knajpeczek, sklepów i sklepików z wyposażeniem na plażę, drugstore'ów z naszym ulubionym 7-Eleven, parkingów, hoteli i moteli, jednym słowem obowiązywało tu hasło - frontem do turystów i urlopowiczów.

Tu bowiem żyje się z przyjezdnych. Niemal na wszystkich hotelach widnieją napisy „Witamy na wakacjach”. Ludzie przyjeżdżają, aby wypocząć, korzystając

z każdego pretekstu zresztą. Tablica przed jednym z hoteli głosiła, że odbywa się tam Krajowy Zjazd Cheerleaders - pańienek, które zagrzewają na meczach zawodników i kibiców. Spora grupa dziewcząt w skąpych strojach ćwiczyła właśnie na boisku. Niewykluczone, że na trybunach ślinił się mój przyjaciel Frankie.

- Daleko jeszcze? - zainteresowała się Kelly.

- Jeszcze dwie przecznice - zapewnił taksówkarz i rzeczywiście, zaraz za rzędem „Economy”, „Budget”, „Holiday Inn” i innych hoteli należących do znanych firm pojawił się nasz „Castaway Hotel” - Hotel Wyrzutków.

Trzeba przyznać, że nazwa adekwatna do sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

- Szajs - wyrwało mi się, gdy taksówka odjechała, a Gloria Estefan wybrzmiała w oddali.

- Potrójny z serem - zawtórowała Kelly.

Szajs, ale dla nas w sam raz, a co więcej tylko dwadzieścia cztery dolary za noc.

W recepcji opowiedziałem tę samą bajkę co zwykle, dodając, że mimo nie-szczyścia nie chcemy zrezygnować z wyprawy do Disneyworldu w niedalekim Orlando. Podejrzywałem, że recepcjonistka nie uwierzyła w ani jedno słowo, ale nie miało to znaczenia, bo interesowała ją wyłącznie gotówka, którą zaraz skrzętnie ukryła w kieszeni brudnawych dzinsów.

Na naszym piętrze kręciła się gromada młodych facetów, którzy raczej nie przypominali studentów, spędzających wakacje. Ich sprawa. Niewykluczone, że sprowadziły ich do miasta atrakcje związane ze zjazdem cheerleaders.

Nasz pokój różnił się od celi tylko tym, że miał okno na całą ścianę. Podłogę pokrywała wręcz zabytkowa warstwa kurzu. Nic dziwnego, że nikt nie ważył się jej usunąć. Od przegrzanych murów bił taki żar, że poczuliśmy się jak w osławionym więzieniu w Kalkucie.

- Zaraz włączę klimatyzator i będzie lepiej - pocieszyłem Kelly.

- Jaki klimatyzator? - Spojrzała wymownie na gołe ściany. Położyła się na łóżku, a ja mógłbym przysiąc, że w tym momencie usłyszałem chór zachwyco-

nych pluskiew. - Pójdziemy na plażę? - poprosiła.

Też byłem nie od tego, ale - jak zawsze - najpierw musiałem zadbać o sprzęt.

- Pójdziemy, niedługo. Przedtem jednak trzeba zrobić porządek z rzeczami. Pomożesz mi?

Rozpromieniła się. Wręczyłem jej magazynki od czterdziestki piątki.

- Wyciągnij wszystkie naboje i schowaj tu - gestem wskazałem boczną kieszeń w torbie. Magazynki nie pasowały do mojego siga, ale naboje tak.

- Tak jest - rzuciła z zapalem, dumna, że powierzyłem jej tak odpowiedzialne zadanie.

Rozmyślnie nie pokazałem Kelly, jak ma to zrobić, niech sama wykombinuje, nie będzie się nudzić. Ja tymczasem zająłem się dyskieta. Śrubokrętem rozprułem nieznacznie materac i schowałem ją do środka. Wziąłem prysznic, ogoliłem się, uważając na zadrapania na twarzy, które zdążyły już ściemnieć pod strupami. Przebrałem się w świeże dżinsy i szary podkoszulek, małej też kazałem doprowadzić się do porządku.

Zrobiła się za piętnaście piąta. Kelly stroiła się po kąpieli w czarne dżinsy i zieloną bluzkę, zerkając w telewizor, a ja sięgnąłem po książkę telefoniczną.

- Co oglądasz? - spytałem, bo nie odrywała oczu od ekranu. Okazało się, że dają właśnie coś, co koniecznie musi obejrzeć. Zaczęła mi nawet tłumaczyć, co to jest, ale niewiele z tego zrozumiałem, zajęty książką telefoniczną.

Szukałem pod „d”, a konkretnie - „De Niro”, bo takie nazwisko - Al De Niro, jak słyszałem - przybrał Frankie na nową drogę życia. Nie był to chyba najlepszy pomysł w sytuacji faceta, który powinien się ukrywać, ale Frankie miał swoje powody. Wybrał takie imię i takie nazwisko, ponieważ był wielkim fanem Ala Pacino i Roberta De Niro. Mówiło się nawet, że wsiąkł w narkotyki po obejrzeniu Ala Pacino w „Człowieku z blizną”. Życie myliło mu się z fikcją. Faktem jest, że potrafił cytować z pamięci dialogi, a nawet odgrywał przed nami, w Abergavenny, i to dość udatnie, różne sceny z tego filmu. Smutne, ale prawdziwe.

Nie muszę mówić, że żadnego Ala De Niro nie znalazłem. W informacji też

niczego nie wskórałem. Sprawa zaczęła się komplikować. Miałem do wyboru, albo obdzwaniać informacje telefoniczne we wszystkich miastach Florydy, albo wynająć prywatnych detektywów. Jedno i drugie wymagało jednak sporo czasu, a ponadto, gdybym się zdecydował na detektywów, trzeba by sporo im zapłacić.

Drapałem się w tyłek i kombinowałem, co by tu zrobić. Stropiłem się nieco, widząc, że Kelly się na mnie gapi. Rozsunąłem zasłony, słońce wlało się do pokoju, wyjrzałem przez okno, mrużąc oczy, bo siedzieliśmy z małą w półmroku jak nietoperze w jaskini. Musiałem nieźle wyciągać szyję, żeby zobaczyć kawałek morza, choć za pokój z widokiem wzięli od nas pięć dolarów ekstra. Na plaży było pełno - całe rodziny z dziećmi, jakaś młoda para migdałaca się na oczach wszystkich bez specjalnego skrepowania i sporo takich jak my bladziochów, wyglądających niczym frytki przed smażeniem. Niewykluczone, że byli to nasi współpasażerowie z pociągu.

W pokoju obok grzmiała głośna muzyka z piekła rodem, aż kurz tańczył na podłodze. Chłopcy pewnie słuchali koncertu „live” z udziałem samego szatana. Wychodzili właśnie na podryw - jak mogłem się domyślić - mocno podpici, z błyszczącymi od kremu kultowymi tatuażami na ramionach.

Kelly, szczęśliwa, że kolejny odcinek serialu zakończył się happy endem, zaczynała się nudzić. Spytała, co będziemy robić.

- Nie wiem, gdzie mieszka ten mój znajomy, i nie mam pojęcia, jak go szukać.

- Ten od komputerów?

- Właśnie.

- Spróbuj w Internecie - rzuciła od niechcienia. Nawet na mnie nie spojrzała, bo na ekranie znów działo się coś ważnego. Ma rację! Facet, który ma bzika na punkcie komputerów i w ogóle żyje w cyberprzestrzeni, musi być w Internecie. Zdziwiłbym się, gdyby Frankie nie nawigował po sieci, oglądając pornosy, a zresztą Internet jest chyba lepszym pomysłem, przynajmniej na początek, niż detektywi.

- A ty się znasz na Internecie?

- Oczywiście, przerabiamy Internet na zajęciach przedszkolnych.

- Jakich?

- No mówię - przedszkolnych. Uczą nas, jak się wchodzi do Internetu.

Pełen podziwu dla mojej małej partnerki sięgnąłem do torby po laptopa. W tym momencie uświadomiłem sobie, że laptop niczego nie rozwiąże. Po pierwsze, nie wiedziałem, czy jest wyposażony w stosowny modem i odpowiednie oprogramowanie. A poza tym, gdyby nawet miał jedno i drugie, to trzeba mieć kartę kredytową, żeby wejść na określone strony Internetu. Kradzionych kart nie mogłem użyć, ponieważ trzeba podać prawdziwy adres. Zrezygnowany odłożyłem komputer.

- Wiesz - poskarżyłem się małej - pomysł masz dobry, tylko nie da się tego zrobić na naszym laptopie.

Mała nie odrywała oczu od telewizora. Siedziała na łóżku, popijając ciepły sok z kartonu.

- No to chodźmy do kawiarni internetowej - rzuciła jak gdyby nigdy nic. - Mama Melissy chodziła do takiej właśnie kawiarni, żeby odebrać e-mail, gdy popsuł im się telefon.

- Ach tak?!

W „Cybercino” można było dostać kawę, kanapki, napoje, a przede wszystkim za parę dolarów posiedzieć przy komputerze. Do dyspozycji gości były boksy, jak w biurze, ze stoliczkami na napoje i kanapki oraz wywieszkami reklamującymi rozmaite strony internetowe i cennikiem ze stawkami za godzinę korzystania z połączeń internetowych.

Kupiłem kawę, drożdżówki, colę i najpierw samodzielnie próbowałem wejść do sieci. Nic z tego nie wyszło, oddałem więc ster w ręce bardziej doświadczonego nawigatora po Internecie, czyli Kelly. Poruszała się po cyberprzestrzeni jak po własnym podwórku.

- Wiesz, z czego korzysta ten twój znajomy - AOL, msn, CompuServe? -

spytała, biorąc do ręki mysz.

- Nie mam bladego pojęcia.

- Nie szkodzi, poszukamy.

Chwilę później otworzyła stronę zwaną InfoSpace, nacisnęła stosowną ikonę i zaczęło się.

- Nazwisko?

- De Niro - odparłem.

Wpisała w odpowiednie okienko.

- Imię?

- Al.

- Miasto?

- Nie jestem pewien. Wpisz Florydę.

Tak zrobiła, nacisnęła ikonę z napisem „Search” i już parę chwil później na ekranie wyświetlił się adres e-mailu - poczty elektronicznej - Frankiego. Nie wierzyłem własnym oczom. Co więcej, przy adresie znajdowała się stosowna ikona dla chcących coś nadać. Kelly nacisnęła co trzeba i posłaliśmy wiadomość: „Nick Dwa poszukuje Ala De Niro lub kogoś, kto jest fanem Ala Pacino i Roberta De Niro i był kiedyś w Wielkiej Brytanii”. Użyłem imienia, które tylko Frankie mógł znać. Otóż tak się złożyło, że w ekipie, która ochraniała go w Abergavenny, było trzech Nicków. Frankie nas ponumerował, a ponieważ mnie poznał jako drugiego z kolei, taki też dał mi numer. „Cześć, Drugi” - mawiał, witając się ze mną wylewnie. Niczym ojciec chrzestny, czule przy tym obejmował i całował. Na szczęście nie tylko mnie.

Kawiarnię otwierano o dziesiątej rano, a w ramach opłaty za posiedzenie przy komputerze można było korzystać z jej adresu internetowego. Napisaliśmy więc na zakończenie listu do Frankiego, że oczekujemy na odpowiedź pod tym właśnie adresem i że do skrzynki elektronicznej zajrzemy nazajutrz o dziesiątej piętnaście rano. Ryzyko było niewielkie, wątpliwe bowiem, aby e-mail Frankiego był pod lupą i żeby ktoś skojarzył „Nicka Dwa” z moją osobą.

Tymczasem zgłodnieliśmy, więc gdy tylko zakończyliśmy wyprawę w głąb Internetu, poszliśmy do naszej ulubionej restauracji, do Mickeya D. Wzięliśmy po Big Macu na wynos. Ucztowaliśmy na bulwarze. Zapadał już wieczór, ale nadal było ze dwadzieścia stopni.

- A może zagramy w minigolfa? - zaproponowała Kelly.

Przechodziliśmy właśnie obok czegoś, co wyglądało jak Disneyland albo Gleneagles w miniaturze, a w rzeczywistości było poletkiem do minigolfa z dołkami rozrzuconymi jakby po Wyspie Skarbów.

Zagraliśmy. Spodobało mi się, choć mała beczelnie oszukiwała. Przyjemnie jednak było oderwać się od wszystkiego i trochę odetchnąć.

Przy jedenastym dołku, przy którym przeszkodą do pokonania był wodospad w kształcie smoka, który zamiast ogniem zionął wodą, małej zebrało się na pogaduszki.

- Nick?

- Uhm? - Zastanawiałem się właśnie, jak uderzyć piłkę, żeby pokonać ostry kąt przed kolejnym dołkiem.

- A pojedziemy kiedyś do Dawida?

- Do kogo?

- No, tego twojego najlepszego przyjaciela.

- Może. - Nie udało się, piłka wpadła w przeszkodę w postaci minijejora.

- A masz rodzeństwo? - Zaczęło to przypominać teleturniej „Dwadzieścia pytań”.

- Mam.

- Siostrę czy brata?

- Trzech braci. - Za szóstym uderzeniem udało mi się wreszcie umieścić piłkę w dołku. Trzy punkty karne, bo według regulaminu należało to uczynić za trzecim razem. - Johna, Joego i Jima.

- A ile mają lat?

Dobre sobie. Nie dość, że nie pamiętałem, ile mają lat, to w dodatku nie

miałem pojęcia, co się z nimi dzieje i jak jej to wytłumaczyć.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Nie wiem i już - uciałem. - Lepiej się pośpiesz, ludzie za nami czekają.

Choć to może dziwne, to przez te sześć dni przywiązałem się do Kelly i wyglądało na to, że ona do mnie też. Ale, nawet gdybym bardzo chciał, nie mogę jej zastąpić ani Keva, ani tym bardziej Marshy. Tak sobie pomyślałem, gdy wracaliśmy do hotelu, i serce mi się ścisnęło.

Na śniadanie zafundowaliśmy sobie lody, a zaraz potem, o dziesiątej piętnastu, zalogowaliśmy się w sieci. W kawiarnianej skrzynce czekała na nas wiadomość, a właściwie zaproszenie do rozmowy. Kelly nacisnęła kilka klawiszy. De Niro, a właściwie - Big Al - bo tak się przedstawił, już czekał. Jak to dobrze, że Kelly umiała poruszać się po Internecie. Rozpoczęła się elektroniczna rozmowa.

Z miejsca przeszedłem do rzeczy. Kazałem małej wystukać: Potrzebuję pomocy.

- A konkretnie? - Na ekranie wyświetliła się odpowiedź.

- Mam coś, co trzeba zdekodować albo skonwertować. Nie wiem dokładnie, co jest w środku, ale wiem, że ty sobie z tym poradzisz.

- Za friko?

Cały Frankie. Zdałem sobie sprawę, że muszę go czymś zachęcić. Frankie lubił pieniądze, ale jeszcze bardziej podniecała go sama procedura „dojenia”, jak mawiał o włamywaniu się do elektronicznych kont wielkich bossów. Pat przejął to po nim, przyszło mi teraz do głowy. Był jego uczniem. Tak więc musiałem coś błyskawicznie wymyślić, dać mu coś na przynętę, przekonać, że chodzi o coś ekstra, krótko mówiąc, podrażnić ambicję, podniecić, uczynić z niego współnika. Tylko wtedy Big Al zechce się ze mną umówić.

- Na razie nic nie mogę powiedzieć - podyktowałem, a mała wystukała na klawiaturze. - Możesz mi wierzyć, sprawa jest ciekawa. Spotkajmy się, a sam

zobaczysz. Jestem w Daytona. - Na zakończenie kazałem małej jeszcze dopisać: - Gdy wszyscy zaczęli mnie przekonywać, że tego w ogóle nie da się zrobić, pomyślałem o tobie.

Chyba go zachęciłem, bo na ekranie pojawiło się pytanie:

- Format?

Podaliśmy szczegóły.

- Mam czas wieczorem, o dziewiątej. Spotkamy się przy „Boot Hill Saloon”, przy Main Street.

- W porządku.

- Yeehah! - odpowiedział jak typowy internauta. Nic się nie zmienił.

Kelly wyłączyła komputer. Cała sesja kosztowała nas dwanaście dolarów, sto razy mniej niż prywatny detektyw.

Mieliśmy z Kelly cały dzień dla siebie. Zajrzeliśmy do sklepów. Kupiliśmy sobie okulary słoneczne, a prócz tego sprawiłem małej nowe szorty, podkoszulek i sandały. Ja, niestety, nie mogłem sobie pozwolić na wakacyjny strój, bo niby gdzie miałbym wcisnąć siga. Kupiłem tylko przepaskę na głowę, żeby ukryć rany na czole. Okularami przysłoniłem siniaki pod oczami.

Poszliśmy się przejść nad morze, a potem wróciliśmy do hotelu. Obdzwoniłem kilka linii lotniczych, sprawdzając połączenia z Londynem. Jeśli Al zdeko-duje dyskietkę i jeśli rzeczywiście będzie na niej to, o co chodzi Simmondsowi, to nie mamy tu czego więcej szukać. Al musi mieć też odpowiednie kontakty, więc wykombinuje nam paszporty, a z pieniędzmi też nie powinno być problemów. Poszliśmy coś zjeść, po lunchu znów pograliśmy w minigolfa. Wygrała, oczywiście, mała, inaczej być nie mogło.

O siódmej trzydzieści zaczęło się zmierzchać, zapaliły się neony i miasto przybrało inny wygląd. Zewsząd dobiegała muzyka, ludzie spacerowali, młodzi krążyli w samochodach w poszukiwaniu letniej przygody.

Nie mam pojęcia, czemu to przypisać, może pogodzie, może atmosferze, ale

poczułem się wyzwolony i odprężony. Była mała, byłem ja i nic mnie więcej nie obchodziło. Fundowaliśmy sobie lody, łąziliśmy, oglądaliśmy wystawy, krótko mówiąc, było fajnie, rodzinnie, chciałoby się powiedzieć. Złapałem się nawet na tym, że zaczynam ją traktować jak ojciec, który uważa, że trzeba przynajmniej trochę ograniczyć kaprysy córki. Przy kolejnej wystawie, gdy zaczęła się przy-
mawiać o jakieś drobiazgi, całkiem poważnie zwróciłem jej uwagę, że już miała dość przyjemności jak na jeden dzień.

Martwiłem się o nią. Zastanawiałem się, dlaczego tak łatwo przeszła do porządku dziennego nad tym wszystkim. Może jeszcze nie pojmowała, co się naprawdę stało, nie zrozumiała, co jej mówiłem o Kevie, Marshy i o siostrze. A może to podświadomość sprawiała, że mała w ogóle nie chciała o tym myśleć. Tymczasem zachowywała się dokładnie tak, jak trzeba w naszej sytuacji, jak zwykle dziecko, po prostu normalnie.

Staliśmy właśnie przed sklepem z zabawkami. Kelly spodobał się pierścionek ze świecącym w mroku oczkiem. Odmówiłem, skłamałem, że nie mam pieniędzy.

- A nie możesz ukraść?

Poczułem się, jakbym dostał w pysk. Natychmiast odbyłem z nią poważną rozmowę o moralności, o tym, co dobre, a co złe. Zbyt łatwo wsiąkła w to, co wynikało ze szczególnych okoliczności.

Przed umówioną godziną poszliśmy jeszcze na pizzę i - oczywiście - na lody, a następnie ruszyliśmy na spotkanie z Alem. Okazało się, że „Boot Hill Saloon” to kultowe miejsce harlejowców. Tłok był nieprawdopodobny.

Zajęliśmy strategiczną pozycję naprzeciwko, na starym cmentarzu, skąd dokładnie można było obserwować wejście do lokalu. Cmentarz to jedyna pozostałość po dawnej Daytona Beach. Wszystko inne zaczęto w latach dwudziestych przebudowywać, przerabiać na hotele, pensjonaty i knajpy.

Głośne dźwięki rock and rolla, dobiegające z Saloonu, mieszały się z równie hałaśliwą muzyką południowoamerykańską, dochodzącą z przejeżdżających samochodów. Była to pora, kiedy młodzi zawierają znajomości na resztę nocy.

Bulwarem przejeżdżały jeepy z potężnymi głośnikami i dyskotekowymi światłami. Przypomnieli mi się moi przyjaciele z cherokee. Ciekawe, czy wrócili już do domu.

Czekając na Ala przysiedliśmy z wielkimi porcjami lodów Häagen Dazs na mogile pani J. Mostyn, która usnęła w Panu 16 lipca 1924 roku. Panie świeć nad jej duszą.

32

Wbrew nazwie Main Street wcale nie jest najważniejszą arterią w Daytona Beach, ta bowiem wiedzie z północy na południe wzdłuż plaży, Main zaś biegnie do niej prostopadle, od mostu na rzece Huxley ku morzu. Co roku o tej właśnie porze w Daytona odbywa się całotygodniowy zjazd harlejowców. Przyjeżdżają ich tysiące i spotykają się właśnie na Main Street, która w istocie powinna nazywać się ulicą Motocyklową czy raczej - aleją Harleja Davidsona. Obok barów dla motocyklistów swoje towary oferują sklepy i sklepiki z częściami zamiennymi, akcesoriami, kultowymi kaskami, skórzanymi kurtkami i innymi rzeczami, bez których żaden szanujący się harlejowiec nie pokaże się ani na ulicy, ani na szosie, a już na pewno nie odważy się wejść do „Boot Hill Saloon” czy do baru „Dirty Harry's” albo „Froggie's”, w którym na wystawie można podziwiać harleja odrobionego z kości.

Wielkiego Ala nietrudno dostrzec. Wyłowiłem go z tłumu na dobry kilometr przed Saloonem. Szedł, a właściwie kroczył od strony mostu ubrany w niebiesko-biało-żółtą koszulę hawajską i blad różowe spodnie. Jedno i drugie pękało w szwach, był jeszcze grubszy, niż kiedy widziałem go ostatnio. Całości dopełniały białe pantofle i niechlujna, jak zawsze, fryzura. W sumie wyglądał jak bezrobotny statysta z serialu „Miami Vice”. Dźwigał aktówkę, co mnie ucieszyło, bo oznaczało, że przybywa odpowiednio wyposażony. Zniknął na chwilę w drzwiach Main Street Cigar Store - znanej w całym mieście eleganckiej trafiki - a gdy się

wynurzył trzymał w zębach wielkie hawańskie cygaro.

Stanął przed Saloonem, jak się umówiliśmy, pośród gromady harlejowców, ssał cygaro z taką miną, jakby cały świat, a co najmniej to miejsce, należał do niego. Za nim, na frontonie baru, widniało wielkie malowidło, przedstawiające motocyklistę, z napisem: „Zabrania się wchodzić w strojach lub ze znakami klubowymi”. Chodziło zapewne o to, aby członkowie rywalizujących gangów motocyklowych wzajemnie się nie prowokowali.

- Widzisz tego faceta? - szturchnąłem Kelly.
- Jakiego faceta?
- Tego tam, tłuściocha we wścieklej koszuli.
- I to ma być ten haker?
- Co proszę?
- Włamywacz komputerowy.
- Jak go zwał, tak go zwał, właśnie na niego czekamy.

Ulicą przejechał autobus z wielką reklamą SeaWorld - słynnego delfinarium w Miami. Przedstawiała ogromną orkę wyskakującą z wody. Parsknęliśmy z małą śmiechem, bo nasz przyjaciel wyglądał dokładnie tak samo.

- No to chodźmy do niego.
- Poczekaj, najpierw trzeba się rozejrzeć, sprawdzić, czy nikt go nie śledzi - pouczyłem. - Właśnie dlatego czekaliśmy tu, po tej stronie ulicy, a nie tam. Należało się upewnić, czy nic nam nie zagraża - dokończyłem miniwykładu ze sztukioperacyjnej. - No i jak, widzisz coś?

Choć nie bardzo wiedziała, na co trzeba zwrócić uwagę, rozejrzała się w lewo, potem w prawo i z wielce poważną miną zameldowała:

- Wszystko w porządku.
 - Daj rękę, przejdziemy przez jezdnię, uważaj na samochody.
- Opuściliśmy grób pani Mostyn i ruszyliśmy na drugą stronę ulicy.
- Jeszcze jedno - uprzedziłem małą - być może będę musiał zrobić coś dziwnego, więc się nie przestrasz. My zawsze tak się wygłupiamy.

- Dobra.

Ostrzegłem ją na wszelki wypadek. Po tym, co przeżyła w ciągu ostatnich sześciu dni, mało co będzie ją w stanie zaskoczyć czy przerazić.

Al rozpoznał mnie z daleka, zrobił minę jak Marion Brando w „Ojcu chrzestnym”, wyjął cygaro z ust, przechylił głowę i ruszył ku mnie z otwartymi ramionami.

- Aha, Nicki Numer Dwa - ucieszył się Al. Na krągłym jak arbuz obliczu wykwitł szeroki uśmiech. Wreszcie pojawił się ktoś, z kim będzie mógł swobodnie pogadać. Życie w ciągłym ukryciu nie jest łatwe. - Jak ci idzie, opowiadaj.

- Potrząsał moją ręką. Cygaro powędrowało znów między zęby. Jego woda po goleniu miała kwiatowy zapach. - A cóż to za śliczną młodą damę tu widzimy?

Pochylił się nad małą, a mnie zaświeciło się czerwone światełko w mózgu. Może przesadzam, może jestem niesprawiedliwy, ale Al budził we mnie obrzydzenie.

- To Kelly. Kolega prosił, żeby się nią zająć, to jego córka.

Wątpliwe, aby Frankie dowiedział się o wydarzeniach w Waszyngtonie, była to za mała sprawa, aby pisały o niej gazety w innych stanach. Nie znał też Keva.

- No, wspaniale - basował, ściskając małą za rękę, jak na mój gust odrobinę za długo. - Mamy tu SeaWorld, mamy Disneyworld, wszystko, o czym może zamarzyć młoda dama. Floryda - słoneczny stan - zacytował oficjalne hasło z przekonaniem lokalnego patrioty. - Gdzie idziemy? - spytał, gdy wreszcie oderwał się od Kelly. - Na molo, na krewetki? - dorzucił z nadzieją.

- Nie - uciałem z miejsca. - Do hotelu. Zależy mi, żeby ci zaraz pokazać, z czym przyjechałem.

Wziąłem Kelly za rękę, postarałem się, żeby Al szedł z mojej drugiej strony, a nie obok małej, i ruszyliśmy. Po drodze prowadziliśmy nic nie znaczącą rozmowę o tym, jak miło znów się widzieć. Al jednak dobrze wiedział, że nasze spotkanie nie jest przypadkowe, że zaczyna się dlań przygoda jak w filmie, i był zachwycony.

Skreśliśmy w prawo, potem w lewo i znaleźliśmy się na parkingu za sklepami. Spojrzałem na Kelly, mrugnąłem porozumiewawczo, puściłem jej rękę i z obrotu, oburącz chwyciłem Alę za ramię. Pchnąłem go pod ścianę.

- Jestem czysty! - zawołał półgłosem. Znał się na rzeczy, wiedział, o co chodzi.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że nie może niczego ukrywać pod ubraniem, takie było opięte. Wołałem się jednak upewnić. Sprawdziłem poniżej pleców, tam gdzie zaczyna się naturalna krzywizna kręgosłupa i gdzie najłatwiej coś ukryć, jemu zaś przyszłoby to bez trudu wśród zwałów tłuszczu.

- Pewnie nieraz widziałaś, jak Nicky to robi - mrugnął do Kelly, która bacznie obserwowała całą scenę.

- Tata też, ale w niebie.

- Mądra dziewczynka - pochwalił, choć nie bardzo mógł wiedzieć, o czym Kelly naprawdę mówi.

Sprawdziłem górę, przesunąłem dłonie w dół, ku nogom. Nie protestował, powiedziałbym nawet, że poddawał się przeszukaniu z wyraźną przyjemnością. Był czysty.

- A teraz aktówka.

- Nie ma sprawy.

Otworzył teczkę. Dwa cygara, jakieś kable, złączki, dyskietki, napędy twarde dysków - krótko mówiąc części komputerowe i nic więcej. Na wszelki wypadek sprawdziłem, czy nie ma jakiegoś ukrytego schowka.

Nie było, Al był rzeczywiście czysty i... zachwycony, że go obmacałem. Chyba nawet mu stanął.

- W porządku, idziemy.

- A po drodze kupimy sobie lody - dodał Al z łakomą miną.

Wzięliśmy taksówkę. My z małą siedliśmy z tyłu, Al wcisnął się na siedzenie obok kierowcy. Ledwie się mieścił. Teczkę i litrowy pojemnik lodów „Ben & Jerry's” trzymał na kolanach.

Po paru minutach byliśmy już w hotelu. Al był wyraźnie podniecony. Przypomniały mu się pewnie dawne czasy, gdy robił wielkie rzeczy i był naprawdę kimś. Otworzył aktówkę i zabrał się do dzieła.

- Co teraz porabiasz? - spytał.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem z małą na łóżku, obserwując przygotowania, z których i tak nic nie rozumiałem. Mała - przeciwnie - przyglądała się z miną znawcy.

- Ma pan jakieś gry?

Podejrzewałem, że Al co najwyżej wzruszy ramionami. On tymczasem zareagował zupełnie inaczej.

- Pewnie, całe mnóstwo! Możemy się pobawić, jeśli będzie czas. A jakie są twoje ulubione?

Zaczęli rozmawiać o wadach i zaletach „Quake” „Third Dimension” i jeszcze innych przebojach komputerowych, o których nie miałem najmniejszego pojęcia.

- A ty - wtrąciłem się - czym się teraz zajmujesz?

- No cóż - odparł - uczę chętnych, jak się tym posługiwać - gestem wskazał laptopa - a od czasu do czasu robię coś dla prywatnych detektywów, ale nic specjalnego. Sprawdzam konta w bankach i tym podobne. Nic wielkiego. Sam wiesz, znalazłem się na bocznym torze i tak musi być.

I chyba dobrze, pomyślałem, oceniając jego gust. Ciekawe, co by na siebie włożył, gdyby się nie bał, że go namierzą.

Al zawsze był gadatliwy, teraz też usta mu się nie zamykały, jakby się bał ciszy.

- Nie jest tak źle - mrugnął porozumiewawczo. - To i owo się zaoszczędziło. - Cały czas majstrował przy laptopie, podłączał kable, włączał, wyłączał. - A co u ciebie? - powtórzył pytanie, które już raz zadał. - Ciągle w tym samym?

- Ciągle.

Siedział odwrócony tyłem, cały - zdawałoby się - pochłonięty komputerem.

- Państwowa posada?

- Ano.

- Ty palancie - zaśmiał się i popatrzawszy na Kelly powiedział: - O, przepraszam. Znasz francuski? - spytał i nie czekając na odpowiedź, ciągnął swoje: - Łżesz! Gdybyś pracował tam, gdzie kiedyś, tobyś mnie nie potrzebował. Big Al nie da się zrobić w konia - i znów zwrócił się do małej. - Français? - a kolejne pytanie skierował do mnie: - A jak żona?

Na ekranie laptopa pokazało się logo Windows 95, zabrzmiał znajomy sygnał.

- Rozwiodłem się trzy lata temu. Wiesz, jak to jest, człowiek ciągle poza domem i nie ma czasu dla rodziny. Nawet nie wiem, co z moją byłą żoną, od dwóch lat nie miałem od niej wiadomości. Podobno przeniosła się do Szkocji... - Urwałem, bo zdałem sobie sprawę, że Kelly pilnie słucha.

- To tak jak ja - podchwycił Al - młody, wolny i samotny!

I porębany, dokończyłem w myślach, bo w sumie taki był. Nie miał przyjaciół, chyba że mnie by zaliczył do tej kategorii.

Za ścianą znów zaczęła się dyskoteka. Chłopcy podśpiewywali, ale słysząc było także damskie głosy. Widać udało im się zaprzyjaźnić z uczestniczkami zjazdu cheerleaders.

Podąłem Alowi dyskietkę. Jeszcze trochę, a wyjaśnią się wszystkie zagadki. Al kopał jak lokomotywa. W pokoju zrobiło się szaro od dymu, powietrze zgęstniało tak, że siekierę można by powiesić. Nie szkodzi, wyniesiemy się stąd, gdy tylko Al skończy.

Zerknąłem na ulicę, uchyliłem nieco okna. Obok zabawa trwała w najlepsze. Przez okno poleciało parę puszek po piwie. Dziewczyny piszczały zachwycone. Kto wie, może trzeba by poradzić Alowi, żeby zrobił sobie tatuaż i sprawił harleya.

Al otworzył pierwsze pliki.

- Największy kłopot - wyjaśniłem - jest z arkuszami. Nie mam pojęcia, co zawierają, po prostu nie rozumiem. A ty?

- To proste - odparł, nie odrywając oczu od ekranu. - To dane o dostawach i

płatnościach, tylko nie wiem, czego. - Stuknął tłustym paluchem w ekran. - Nie wolno dotykać ekranu - upomniał sam siebie. Pochłonęła go gra, uwielbiał wnikać w cudze tajemnice. - Spójrz tutaj. - W głosie pobrzmiwała duma znawcy. Pokazał rzędy rubryk oznaczonych literami: UM, JC, PJS. - To zapis dostaw, co, gdzie i do kogo.

Otwierał stronę po stronie, coraz bardziej pewny, że wstępna diagnoza była trafna.

- Z całą pewnością - dodał - to dotyczy przesyłek i płatności. A swoją drogą, ciekawe, jak w to wszedłeś? Nie jesteś chyba zbyt mocny w te klocki, a pliki pewnie były zabezpieczone hasłem lub szyfrem?

- Postarałem się o stosowny program.

- Tak? Ciekawe jaki?

- Mxy Twenty-one - zełgałem.

- Eee, to gówno, przestarzałe - skomentował ze znawstwem. - Są nowsze, trzy razy szybsze - dodał, zerkając na małą. - Problem z wami, Brytyjczykami, polega na tym, że ciągle jeszcze żyjecie w epoce węgla i pary. - Zamknął arkusze, przeszedł do następnych plików.

- O, właśnie - wtrąciłem - z tym też mam kłopot.

- Jaki kłopot? - Popatrzył na mnie jak na dziecko, które nie potrafi zawiązać sznurowadeł.

- To jakiś szyfr czy coś takiego. - Nieśmiało pokazałem rzędy przypadkowych, jak mi się wydawało, cyfr, liter i znaków.

- Ach to, to żaden szyfr, ale GIF - pliki graficzne i tyle. Wystarczy wybrać odpowiedni program. - Postukał w klawiaturę, znalazł, co trzeba. - Krótko mówiąc, są to zeskanowane fotografie.

Czekając, aż komputer otworzy program graficzny zabrał się za lody. Znikło pół pojemnika, nim podał łyżkę małej.

- Lepiej zacznij jeść, Kelly, bo wujek Al może ci nic nie zostawić.

Tymczasem na ekranie pojawiła się pierwsza fotografia - czarno-białe zdjęcie

mężczyzn stojących na schodach przed zabytkowym budynkiem. Z miejsca ich poznałem. Byli to Seamus Macauley i Liam Fernahan - rzekomo niezależni przedsiębiorcy, a w istocie eksperci finansowi PIRA. Organizowali zbiórki pieniędzy i prowadzili interesy PIRA i byli w tym naprawdę dobrzy. Kiedyś nawet załatwili rządowe pieniądze, rzekomo na odbudowę miast w Ulsterze. Plan był przekonujący, sporządzony rzetelnie. Jego autorzy argumentowali, że wprowadzenie go w życie zapewni nowe miejsca pracy - to po pierwsze, a po drugie - że jeśli mieszkańcy Irlandii Północnej odbudują miasta własnymi rękami, to na pewno nie będą chcieli ich niszczyć. Krótko mówiąc, będzie mniej zamachów bombowych i napadów z bronią w ręku. Władze zgodziły się, nie wiedząc, że cały program kontroluje PIRA. Brała łapówki od przedsiębiorców, decydowała o zatrudnieniu. Przedsiębiorcy wliczali łapówki w koszty, a w dodatku liczba zamachów nie zmniejszyła się, skoro władze płaciły za odbudowę, to warto było coś wysadzić lub zniszczyć. W ten oto sposób rząd płacił podwójnie.

Nie ulegało wątpliwości, że PIRA rozwinęła skrzydła i do przeszłości należały dni, kiedy musiała żebrać o datki w Belfaście, Kilburn czy Bostonie. Powstało całe imperium finansowe PIRA. W odpowiedzi władze stworzyły specjalną komórkę do śledzenia interesów PIRA i ścigania przestępczości gospodarczej w Ministerstwie do spraw Irlandii Północnej. Zatrudniono licznych specjalistów. Wraz z Euanem często im pomagaliśmy.

Al otworzył kolejną fotografię. Macauley i Fernahan z dwoma innymi facetami wsiadają do merca. Rozpoznałem nieboszczyka Morgana McGeara. Nieźle się prezentował w garniturze, nawiasem mówiąc tym samym, w którym wystąpił po raz ostatni. Czwartego nie znałem, w życiu go nie widziałem. Kelly chyba też nie, bo patrzyła na ekran obojętnym wzrokiem.

Zdjęcie najwyraźniej zrobiono z ukrycia, ale było niezłej jakości, a sądząc z marek samochodów widocznych na parkingu, wykonano je gdzieś w Europie.

- Pokaż następne - poprosiłem.

Al zorientował się, że kogoś rozpoznałem i aż się palił, żeby się dowiedzieć,

kogo. Od pięciu lat był - jak sam powiedział - na bocznym torze i korciło go, żeby wziąć udział w czymś naprawdę ważnym. Nie zamierzałem go w nic wtajemniczać.

Otworzył kilka kolejnych zdjęć. Tym razem nikogo nie rozpoznałem. Za to Al pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Już wiem - powiedział - co jest na arkuszach.

- Co?

- *Está es la coca, señor!* Znam tego faceta, pracuje dla karteli narkotykowych.

Ze zdjęcia patrzył na mnie czterdziestoletni elegancki mężczyzna o latynoskich rysach. Sądząc po szczegółach w tle zdjęcie zrobiono w Stanach.

- To Raoul Martinez, pracuje w kolumbijskiej misji handlowej.

Rzecz stawała się coraz bardziej interesująca. PIRA odżegnywała się od narkotyków, przynajmniej oficjalnie, z drugiej jednak strony zyski z handlu narkotykami stanowiły ogromną pokusę. To co miałem w ręku, a ściślej - w komputerze - to wyraźna poszlaka, że PIRA ma bezpośrednie kontakty z kartelami narkotykowymi. Poszlaki to za mało. Potrzebowałem czegoś więcej.

- Chyba zobaczymy Raoula w jeszcze lepszym towarzystwie - powiedział Al, otwierając kolejne zdjęcia. - No właśnie - ucieszył się - spójrz tylko, to Wielki Sal!

Mężczyzna na zdjęciu był mniej więcej w tym samym wieku co Martinez, ale znacznie wyższy i potężniejszy. Chyba trenował kiedyś podnoszenie ciężarów, a później zwyczajnie się roztył. Łysy, wyglądał staro jak na swój wiek.

- Martinez nigdzie się bez niego nie rusza. Pracowaliśmy z nimi w dawnych czasach. Sal to bardzo miły człowiek, bardzo rodzinny. Rozprowadzaliśmy kokainę po całym wschodnim wybrzeżu, aż po Kanadę. Zależało nam, żeby kanały były drożne i właśnie oni obaj tym się zajmowali. Wszystko grało, każdy coś z tego miał. Chłopcy byli w porządku.

Al otworzył jeszcze kilka zdjęć. Jedno z nich przedstawiało Martineza z Sa-lem w restauracji, w towarzystwie pewnego mężczyzny.

- Nie mam pojęcia, kto to taki - przyznał Al, ja też bez skutku wyteżalem pamięć.

- Nick? - wtrąciła się Kelly.

- Poczekaj - zbyłem ją niezadowolony, że przerywa. - No i co? - zwróciłem się do Ala.

- Nie wiem.

- Nick!

- Nie teraz, Kelly, za chwilę.

- Nick!

- Nie przeszkadzaj, idź się bawić.

- Nick, ja wiem, kto to jest.

- Wiesz?

- A wiem - wyduła dumnie wargi.

- O nim mówisz? - Pokazałem na Martineza.

- Nie, o tym. - Wskazała faceta, którego nie potrafiliśmy z Alem umiejscowić.

- Jesteś pewna?

- Tak.

- No więc? - Po doświadczeniach z kasetą w Waszyngtonie spodziewałem się usłyszeć, że to Clint Eastwood albo Brad Pitt.

- To szef taty!

Słowa jakby zawisły w powietrzu. Zapadła cisza. Al gwizdnął przez zęby.

- Jak to - spytał - szef twojego taty?

- A tak, był kiedyś u nas z jakąś panią.

- Pamiętasz, jak się nazywa?

- Nie, ale pamiętam, że gdy zeszłam do kuchni, żeby się czegoś napić tata kazał mi się przywitać. „Kelly - powiedział - przywitaj się z panem, to mój szef!”

- Dość dobrze naśladowała głos Keva. W jej oczach dostrzegłem cień smutku.

Al pośpieszył z pytaniem:

- A twój tata, co on właściwie robi?

- Odczep się, Al! - przerwałem ostro, a półgłosem, żeby mała nie słyszała, opowiedziałem krótko o wydarzeniach w Tyson's Corner. - Jatka, rozumiesz? Jej ojciec, matka i siostra... I nie był to nikt obcy, załatwili go ludzie, których znał. Pracował w DEA.

Wzięłem Kelly na kolana, żeby mogła dokładnie obejrzeć zdjęcie.

- Nie mylisz się, jesteś pewna, że to szef taty?

- Pewnie! To on, tak tata powiedział, a my z mamą żartowałyśmy sobie potem z jego kowbojskich wąsów. Prawda, że wygląda jak kowboj?

Rzeczywiście, facet jakby żywcem wzięty z reklamy marlboro. Kelly dotknęła ekranu paluszkami, obraz się rozmazał. Przytuliła się do mnie, a ja poczułem, że narasta we mnie wściekłość. Gdybym tylko dostał go w ręce... Opanowałem się i poprosiłem Ala, żeby jeszcze raz pokazał wszystkie zdjęcia po kolei.

Impreza w pokoju obok rozkręciła się na całego. Al otwierał kolejne zdjęcia, aż do pierwszego, tego z Macauleyem i Fernahanem.

- Znasz tych ludzi, poznajesz kogoś? - pytałem małą.

- Nie.

Słuchałem jednym uchem, jak powtarza „nie”, pochłonięty pewną myślą. Gdy Al otworzył zdjęcie przedstawiające Macauleya z Fernahanem, McGearem i jeszcze jednym facetem, przyjrzałem się uważniej nie tyle postaciom co samochodom, zwłaszcza zaś numerom rejestracyjnym...

- Gibraltar! - wyrwało mi się.

- A ci faceci - zainteresował się Al - to terroryści z Irlandii?

- Coś w tym rodzaju.

Zaległa cisza. Zastanawiałem się, co to wszystko znaczy.

- Dla mnie sprawa jest jasna - odezwał się Al, wyraźnie podniecony.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że terroryści z Irlandii kupowali kokainę od Kolumbijczyków. Transporty szły zwykłym szlakiem przez Florida Keys, dalej przez Karaiby i Afrykę Północną. Gibraltar służył jako baza przerzutowa do Europy. Chłopcy

zarobili krocie, my też co nieco, bo Floryda to nasz teren i braliśmy działkę za tranzyt. Ale gdzieś pod koniec osiemdziesiątego siódmego roku z dnia na dzień wyłączono Gibraltar.

- Dlaczego? - Nie potrafiłem ukryć podniecenia.

- Podobno wpadli miejscowi czy coś takiego, w każdym razie kanał do Gibraltaru przestał funkcjonować. Wydaje mi się, że teraz transporty idą przez Afrykę Południową i przez zachodnią Hiszpanię. Z tego, co słyszałem, to chłopcy z Irlandii porozumieli się z jakimiś terrorystami w Hiszpanii.

- ETA?

- Nic mi to nie mówi. - A! wzruszył ramionami. - Wiem tylko, że chodzi o terrorystów lub też bojowników o wolność czy coś w tym rodzaju. Nie wiem, jak się nazywają, zresztą nieważne, dla mnie to zwyczajni handlarze narkotyków, a w każdym razie idą ręką w rękę z chłopcami z Irlandii. Wydaje mi się, że Raoul z szefem taty naszej Kelly zabezpieczali sprawę od tej strony, to znaczy dbali o to, żeby Irlandczycy mogli swobodnie korzystać ze szlaków przez Florydę, bo w przeciwnym wypadku Kolumbijczycy daliby towar komu innemu.

- Mówisz tak, jakby przydzielano konkretne korytarze powietrzne.

- Naturalnie. - Jeszcze raz wzruszył ramionami, jakby mówił o sprawach oczywistych i dziwił się, że tego nie rozumiem. - Na tym polega interes.

Oczy zaczęły mi się otwierać. Dręczyło mnie jednak pytanie, z kim PIRA kontaktowała się w Gibraltarze? Czy chodziło wtedy o utrzymanie kanału przelotowego? Zacząłem sobie przypominać - wrzesień 1988 roku, zamach na sir Petera Terry'ego, byłego gubernatora Gibraltaru. Opuścił stanowisko kilka miesięcy wcześniej, a w trakcie kadencji z całą energią zwalczał przemyt narkotyków. Ledwie uszedł z życiem, wypuszczono serię bodaj dwudziestu pocisków z kałasznikowa. Zamachowca oczywiście nie złapano, ale jeśli idzie o AK47, to przychodzi na myśl nasz przyjaciel McGear. Niewykluczone, że czwarty facet na fotografii z Gibraltaru właśnie otrzymywał podobne ostrzeżenie. I jeszcze jedna sprawa - kilka miesięcy po zamknięciu szlaku przez Gibraltar zastrzelono tam

paru chłopców z PIRA. Powstaje pytanie: czy istnieje związek między tymi dwoma wydarzeniami?

Jedno jest pewne, potwierdza się, że w DEA działy się dziwne rzeczy i że maczał w nich palce szef Keva, a Kev wpadł na jakiś ślad. Niewykluczone, że wielki szef brał działkę od PIRA.

- Masz tu towar pierwsza klasa. - Al gwizdnął przez zęby z niekłamanym podziwem. - Ciekaw jestem, co z tym zrobisz. Kogo zamierzasz szantażować?

- Szantaż?

- A tak. Gruba ryba z DEA rozmawia z bossami kartelu narkotykowego, z waszymi terrorystami i przedstawicielem władz Gibraltaru. Te zdjęcia zrobiono właśnie po to, aby mieć w ręku dowody. Bądź realistą, jeśli ty z tego nie skorzystasz, to zrobi to ktoś inny, a z pewnością ten, kto robił te zdjęcia.

33

Jeszcze raz przejrzelśmy wszystkie zdjęcia, Kelly nikogo więcej nie rozpoznała.

Spytałem Ala, czy dałoby się powiększyć fotografie.

- A po co, i tak wszystkich znasz.

Miał rację, szkoda zachodu, chciałem tylko, żeby mała mogła dokładniej obejrzeć zdjęcie szefa jej ojca.

Zapadła cisza, przez kilka minut w milczeniu przerzucaliśmy kolejne zdjęcia na ekranie.

- Co jeszcze wiesz o Gibraltarze? - spytałem po chwili.

- Niewiele, a co cię interesuje? - Al dawno już sięgnął po drugie cygaro, Kelly opędzała się od gęstego dymu. - A zresztą - dodał - co tu kombinować, weź na logikę: jak się ma pieniądze, wchodzi się w układ z Kolumbijczykami i przerzuca towar do Europy. Wszystkie gangi tak robią, dlaczego ci twoi Irlandczycy mieliby postępować inaczej? - Spojrzał na mnie tak, jakby mówił o najzwyklejszych

w świecie sprawach, mnie się jednak nadal wydawało, że to za mało jak na motyw zabójstwa Keva i jego bliskich.

Znów zapadła cisza. Przerwał ją Al, uznał, że wypada coś powiedzieć.

- W każdym razie, ktoś kogoś przyciska do muru. Nie mam wątpliwości, że chodzi o szantaż.

Nie byłem tego taki pewien, ale też nie wykluczałem, że zdjęcia mogą stanowić rodzaj polisy ubezpieczeniowej dla PIRA na wypadek, gdyby szef Keva albo chłopcy w Gibraltarze chcieli wycofać się z gry. Za pomocą takich zdjęć zawsze można ich zachęcić do dalszej współpracy.

- Kelly - spojrzałem na małą - bądź tak miła, skocz do automatu i przynieś coś do picia.

Ucieszyła się, że może wyjść z zadymionego pokoju. Poszedłem z nią do drzwi, odsunąłem odrobinę zasłonę, tak żeby widzieć automaty. Korytarz był pusty, sąsiedni pokój, w którym trwała impreza, miał zamknięte drzwi. Dobiała zza nich głośna muzyka, domyślałem się, że panienki zaczęły już demonstrować to i owo ze swego zawodowego repertuaru. Patrzyłem, aż mała dojdzie do automatów. Przysiadłem na łóżku. Al majstrował coś w komputerze. Popatrzyłem na ekran, po czym powiedziałem:

- Najpierw mordują Keva, później dowiadujemy się, że jego szef miał układ z kartelami. Z tego wniosek, że mamy do czynienia z korupcją w DEA, która wie o transportach z Kolumbii na Florydę z przeznaczeniem dla irlandzkich terrorystów, którzy z kolei przerzucają towar do Europy via Gibraltar. I jeszcze jedno, wiemy mianowicie, że pod koniec osiemdziesiątego siódmego roku mieli z tym pewne problemy.

Al chyba mnie nie słuchał, rozmyślał o skorumpowanym szefie DEA.

- No tak - wykrztusił wreszcie - powinienes ustrzelić drania!

- Czy ja wiem.

- Kurwa, musisz mu dopierdolić, Nicky! Nienawidzę ich! Nienawidzę DEA, nienawidzę glin, nienawidzę wszystkich tych skurwysynów, którzy zrujnowali mi

życie. Jebany Federalny Program Ochrony Świadców. Przez nich wszystkich żyję jak pustelnik. Niech mnie w dupę pocałują.

Wydawało się, że zaraz eksploduje, ale nie miałem czasu na pocieszanie frustrata.

- Frankie - uciałem - potrzebne mi auto.

Nie słuchał. Pięć lat życia w stresie zrobiło swoje.

- Wykorzystali mnie, po prostu wykorzystali, a potem kazali się odpieprzyć...

- Potrzebne mi auto!

Oprzytomniał, wrócił na ziemię.

- Auto? Na jak długo?

- Dwa, góra trzy dni. Potrzebuję też pieniędzy.

- Kiedy?

- Zaraz.

Żał mi go było. Al nie nadawał się do takiego życia. Za miękki i za głupi. Moja wizyta to najlepsze, co go spotkało od pięciu lat. Co to za życie? - bez przyjaciół, rodziny, znajomych; w ciągłym strachu, że go namierzą i dopadną. Tak zapewne wyglądałoby moje życie, pomyślałem, gdybym nie zdobył tych materiałów dla Simmonsa.

Al zadzwonił do firmy wynajmującej samochody. Obiecali podstawić wóz za mniej więcej godzinę. Całą trójką poszliśmy tymczasem do bankomatu. Al wyciągnął tysiąc dwieście dolarów za pomocą czterech różnych kart.

- Wiesz, jak to jest - skomentował - strzeżonego i tak dalej... Lepiej mieć kilka kart, bo nie wiadomo, kiedy człowiekowi będzie potrzebna większa gotówka.

Może on nie jest taki głupi, pomyślałem.

W oczekiwaniu na samochód wróciliśmy do hotelu. Czulem, że Al jeszcze z czymś wyskoczy. Od pół godziny widać było, że coś kombinuje. Nie pomyliłem się.

- Nicky - zaczął - a co byś powiedział na naprawę duże pieniądze?

Sprawdzałem właśnie torbę, czy wszystko spakowane.

- Jak duże?

- No, bardzo duże.

- Chcesz mi dać w prezencie?

- Powiedzmy. - Podeszedł bliżej, przyglądając się, jak pakuję bagaż. - Chodzi o to, że na dyskietce są numery kont, na których umieszczono mnóstwo dolarów. Daj mi dwie minuty, a resztę sam załatwię. Znam się na tym. Zwinę, ile się da z tych kont. Nick - objął mnie, jak na mój gust, zbyt serdecznym gestem - dwie minuty i obaj stajemy się bogaczami. No więc? - Świdrował mnie oczami.

Nie uległem od razu.

- A jakie mam gwarancje, że oddasz mi moją połowę?

- Przeleję na twoje konto w dowolnym banku, bez najmniejszego śladu. Sam diabeł nie dojdzie, wiem, jak to się robi.

To fakt, jeśli o to chodzi, o manipulowanie kontami i zacieranie śladów, to Frankie de Sabatino był mistrzem.

- A więc Nick, zgoda? - Patrzył błagalnie jak dziecko, które właśnie coś przeskrobało.

Dałem mu dwie minuty, skopiował co trzeba. Dałem mu także numer swojego konta. Niech to szlag! Pomyślałem, że przecież małą trzeba będzie posyłać do szkoły i w ogóle coś jej zapewnić. Mnie też coś się należało za tyle lat służby, a poza tym - co tu dużo mówić - to była okazja.

Frankie skończył kopiowanie. Minę miał poważną.

- Gdzie teraz jedziesz, jakie masz plany?

- Lepiej nie pytaj, znasz zasady. Wszyscy, którzy się ze mną kontaktowali, nie żyją. Nie chciałbym, aby i tobie coś się stało.

- Gówno prawda. - Zerknął na małą i wzruszył tylko ramionami. - Boisz się, że wygadam i dlatego nie chcesz powiedzieć.

- Ależ nie - zaprzeczyłem nieszczerze, bo rzeczywiście obawiałem się, że może coś niechcący chlapanąć. - Poza tym i tak wiesz, co zrobię, jeżeli zaczniesz gadać albo nie przekażesz pieniędzy na konto.

Uniósł tylko brwi.

- To proste - zaśmiałem się. - Dam znać, komu trzeba, gdzie cię można znaleźć.

Zbladł, a po chwili zaczerwienił się z bezsilnej złości.

- No cóż - pokiwał z żalem głową - zawsze mnie ktoś trzyma za gardło.

Recepcja dała znać, że jest już auto - niebieski nissan. Al podpisał, co trzeba, dał mi kopię, która będzie potrzebna przy oddawaniu samochodu. Wsiedliśmy z małą. Otworzyłem okna, Al marudził przy krawężniku, od sąsiadów nadal waliła muzyka.

- Dam ci znać e-mailem, gdzie zostawię auto.

Skinął tylko głową. Pewnie smutno mu było, że odjeżdżamy.

- A może cię gdzieś podrzucić po drodze?

- Nie, wracam do siebie. Mam trochę roboty - uśmiechnął się. - Jak dobrze pójdzie, to rano obaj będziemy bogaci.

Podaliśmy sobie ręce. Al pochylił się, zagadał do Kelly:

- A ty, młoda damo, nie zapomnij odwiedzić wujka Ala za dziesięć lat. Pójdziemy na lody.

Ruszyliśmy wolno nadmorską aleją. Nadal jeszcze był spory ruch. Od neonów i reklam biło więcej światła niż od lamp ulicznych.

Kelly wyglądała przez okno z tyłu, później zatopiła się we własnych myślach. Nie powiedziałem jej, że mamy przed sobą ponad tysiąc sto kilometrów.

Wkrótce miasto zostało za nami, wyjechaliśmy na autostradę. I znów jak wiele razy przedtem zacząłem analizować w myślach słowa Keva: „Nie uwierzysz, na co wpadłem. Twoi przyjaciele z za wielkiej wody pracują jak mrówki... Właśnie rozpocząłem pewną grę i ciekaw będę twojego zdania”. Czy to miało znaczyć, że opowiedział o wszystkim swojemu szefowi, a ten rozkazał go zlikwidować? To raczej wątpliwe, jeśli bowiem Kev wpadłby na ślad afery, to nie zwierzałby się nikomu z DEA. Do kogo więc mógł dzwonić? Kogo, jeśli w ogóle, zawiadomił?

Z siedziby PIRA w Waszyngtonie wyniosłem sporo cennych materiałów, niektórych nawet nie byłem w stanie zinterpretować, ale niewykluczone, że Kev też coś ma. Im więcej będę mógł przedstawić Simmondsowi, tym lepiej dla mnie. Postanowiłem więc wrócić do Waszyngtonu.

Na autostradzie usiadłem wygodniej za kółkiem, włączyłem ręczny gaz, żeby auto jechało ze stałą prędkością i nie myślałem o niczym.

Tak minęła noc. Zatrzymałem się tylko po to, żeby zatankować, łyknąć kawy i wziąć trochę puszek coli dla małej, gdy się obudzi.

O świcie krajobraz zaczął się zmieniać, zrobiło się chłodniej - jechaliśmy przecież na północ. Poranne ostre słońce raziło w oczy.

Zajechałem na stację, bo czas było uzupełnić paliwo. Kelly ocknęła się.

- Gdzie jesteśmy? - ziewnęła.

- Nie wiem.

- A gdzie jedziemy?

- To niespodzianka.

- Opowiedz mi o swojej żonie. - Nagle zmieniła temat.

- Niewiele pamiętam, to było tak dawno. - Spojrzałem w lusterko. Mała znów skuliła się na siedzeniu, była zbyt zmęczona albo znudzona, żeby drażyć temat.

Chciałem sprawdzić, co Kev miał u siebie. Plan polegał na tym, żeby jeszcze dziś, o zmierzchu, włamać się do domu. Zakładałem, a raczej domyślałem się, że Kev musiał mieć jakiś schowek - sejf czy coś takiego - i to właśnie chciałem spenetrować. Problem tylko w tym, że nie bardzo wiedziałem, gdzie szukać. O świcie, po akcji, chciałbym opuścić Waszyngton na dobre. Wielki Al jeszcze tego nie wiedział, ale liczyłem na jego pomoc w tej sprawie. Jeśli nie udzieli nam jej z własnej woli, to go zmuszę.

Koło dziewiątej Kelly rozbudziła się na dobre, ale pochłonęło ją kolorowe pismo, które kupiłem na stacji benzynowej. Jechaliśmy więc w milczeniu. W

aucie walały się puste puszki po napojach, tacki po jedzeniu, kubki po kawie i w ogóle mnóstwo śmieci.

- Kelly?

- Uhm?

- Powiedz mi, czy tata ma w domu takie miejsce, schowek, gdzie trzyma różne ważne rzeczy, na przykład pieniądze albo pierścionki mamy?

- Jasne.

- A gdzie?

- U siebie w pokoju.

Brzmiało to logicznie, ale też gabinet - jak pamiętałem - przewrócono do góry nogami.

- A konkretnie?

- Na ścianie.

- Której?

- No, na ścianie! Dokładnie nie wiem, bo nam nie wolno tam wchodzić, ale kiedyś wracałyśmy z Aidą z przedszkola i drzwi do pokoju taty były otwarte. Widziałam, że coś chowa.

- Za obraz - próbowałem podpowiedzieć, choć nie sądziłem, aby Kev urządził sobie schowek za obrazem. To byłoby zbyt proste i banalne.

- Nie, za taką drewnianą ścianą.

- Mogłabyś mi pokazać?

- Jedziemy do domu? - Mała aż podskoczyła z wrażenia. - Ekstra! Zobaczę się z Jenny i Ricky.

- Chyba się nie da, nie będą mieli czasu. - Próbowałem ostudzić jej zapał. Mała spojrzała na mnie jak na idiotę.

- To przecież moje misie. Mówiłam ci, są w moim pokoju. Będę mogła je zabrać? Tęsknią za mną.

Poczułem się rzeczywiście jak ostatni kretyn.

- Oczywiście, ale pod warunkiem, że będziesz cicho. - Wiedziałem, że planów

i zamiarów mała zgłosi znacznie więcej. Nie myliłem się.

- A będę mogła wstąpić do Melissy i przeprosić, że nie byłam na urodzinach?
- Nie będziemy mieli tyle czasu.

Posmutniała.

- Ale zadzwonisz do jej mamy, dobrze?

Zgodziłem się.

Dojeżdżaliśmy, pokazały się pierwsze tablice informujące o zjazdach z autostrady do Waszyngtonu. Byliśmy w podróży od osiemnastu godzin. Jeszcze dwie i znajdziemy się na miejscu. Oczy mnie piekły. Do zmierzchu pozostało kilka godzin, lepiej wypocząć teraz, bo za dnia i tak nie ma co próbować w Tyson's Corner. Zjechałem na przydrożny parking, żeby się zdrzemnąć.

Kelly mościła się z tyłu, pośród śmieci, resztek żarcia i przy wtórce moich bąków.

O szóstej minęliśmy zjazd na Lorton. Nie padało, ale niebo było zachmurzone. Do celu zostały jeszcze trzy kwadransy jazdy.

Nie widziałem małej w lusterku, pewnie znów przysnęła.

- Hej, śpisz?
- Nie, ale jestem zmęczona. Dojechaliśmy?
- Jeszcze nie. Na razie nie wstawaj, dobrze?

Wjechałem w znane sobie osiedle, zwalniając jak należy przy „śpiących policjantach” - garbach umieszczanych na drodze właśnie po to, aby wymusić wolną jazdę. Zresztą nie śpieszyło mi się, chciałem się najpierw przyjrzeć. Na pierwszy rzut oka nie widać było niczego nadzwyczajnego, ale na podjeździe, przed domem Keva, stał radiowóz.

Nie zwalniałem, nie przyspieszałem, jechałem swoim tempem, patrząc przed siebie.

Przejechaliśmy, spojrzałem w lusterko wsteczne. W radiowozie paliły się światła pozycyjne, w środku siedziało dwóch mundurowych - zwykła warta. Okien i drzwi domu jeszcze nie zabito deskami, ale teren nadal ogradzały żółte

taśmy policyjne.

Nie mam pojęcia, czy wartownicy zwrócili na nas uwagę, ale nawet gdyby zanotowali i sprawdzili numer, to dalej jak do Ala nie trafią. Postanowiłem jednak, że w razie konieczności pryskam sam, małą zostawiam, niech zajmą się nią mundurowi. Groźni byli tylko cywile, a tych w pobliżu nie zauważyłem. A zresztą, gdyby miało dojść do starcia, innego wyjścia i tak nie było. Trzeba zostawić małą, choć przyrzekałem, że tego nie zrobię. Ale jakie to było przyrzeczenie - takie sobie, dla świętego spokoju, bez znaczenia. Bez znaczenia? Uświadomiłem sobie nagle, że przeciwnie.

Dojechałem do końca Hunting Bear Path - ulicy Keva - skręciłem w prawo, żeby jak najszybciej zniknąć z pola widzenia policjantów w radiowozie, potem skręciłem jeszcze raz w prawo, żeby wyjechać na tyły posesji Brownów.

W pobliżu znajdowało się osiedlowe centrum handlowe - kilka sklepów ze wspólnym parkingiem, pustawym o tej porze. Uznałem, że można bezpiecznie stanąć. Pies z kulawą nogą nie zwróci na nas uwagi.

- Nasze sklepy - pisnęła radośnie Kelly.

- Niczego nie będziemy kupować - uciałem z miejsca. - Nie mamy pieniędzy, ale spróbujemy wejść do domu.

- O jak dobrze! A czy będę mogła zabrać Pollypockets i Yak-baks ze swojego pokoju?

- Naturalnie - zgodziłem się, choć nie miałem pojęcia, o czym mówi.

Najpierw otworzyłem kufer, wyjąłem torbę i przesiadłem się do małej.

- Idziemy? - niecierpliwiła się, gdy przygotowywałem sprzęt.

- Za chwilę. Pokażesz mi, gdzie jest schowek taty, dobrze? To bardzo ważne. Tata chciał, żebym coś sprawdził. Musimy być cicho, bo przed domem stoi policja. Trzeba uważać, a ty musisz być bardzo grzeczna.

- Obiecuję, a będę mogła zabrać Pocahontas?

- Tak - zgadzałem się na wszystko, byle tylko pokazała, gdzie Kev trzyma papiery. - Gotowa? Załóż kaptur.

Niebo zasnuły chmury i zrobiło się ciemno. Na szczęście nie było chodników dla pieszych, więc raczej nie groziło nam przypadkowe spotkanie z mamą Melissy.

Torbę zarzuciłem na ramię, małą wziąłem za rękę i ruszyliśmy. Dochodziła siódma, rozbłysły pierwsze lampy. Plan polegał na tym, aby iść na tył posesji, rozejrzeć się i spróbować wejść do środka.

Na działce położonej na zapleczu domu Keva trwała budowa. Wszędzie leżały jakieś belki, materiały budowlane, ustawiono nawet parę przenośnych toalet dla robotników. Błoto było nieprawdopodobne, jak to na budowie, miejscami tak grząskie, że bałem się, iż zostawimy w nim buty.

Kelly się niecierpliwiła, wręcz dygotała z podniecenia, ale pilnowała się mnie.

- O tam, popatrz - wyrwało jej się. - Tam mieszka Candice. Kiedyś razem urządziłyśmy sklep w garażu. Zarobiłyśmy dwadzieścia dolarów.

- Sza - musiałem przerwać. - Bądź cicho, bo policja nas złapie.

Wydostaliśmy się na tył domu Keva, stanęliśmy w cieniu budynku garażowego na sąsiedniej posesji. Zacząłem nasłuchiwać. Silnik w radiowozie pracował na wolnych obrotach - pewnie chłopcy się grzali. Słysząc było strzępy melodunków nadawanych przez radio. Ulicą od czasu do czasu przejeżdżały auta, zwalniały na garbie i znów przyspieszały.

W niektórych z sąsiednich domów paliły się już światła i w oknach widać było krzątających się mieszkańców. Takie podglądanie zawsze mnie ekscytowało i krępowało zarazem. Miałem wrażenie, jakby specjalnie dla mnie znakomity dokumentalista sir David Attenborough nakręcił serial pod tytułem „Człowiek w jego naturalnym środowisku”. Pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy jako świeżo upieczony żołnierz służyłem w Ulsterze, zlecano mi takie właśnie zadania: żeby zaglądać ludziom do domów, obserwować, co robią, rozglądać się, czy ktoś nie ma ukrytej broni. W domach dzieją się przedziwne rzeczy, trudno uwierzyć, co ludzie wyprawiają, nie tylko w sypialniach. Bywało, że kazano nam obserwować całymi godzinami, a mnie bardzo się to podobało. Tu, na Tyson's

Corner nie działo się nic specjalnego. Ludzie oglądali telewizję, włączali pranie i pewnie martwili się, że po zbiorowym morderstwie w sąsiedztwie spadną ceny domów.

Kev nigdy nie zainstalował światła na podwórku, tylko nad drzwiami werandy była lampa. Zapalało się ją od wewnątrz.

Dałem znak małej, że zaraz spróbujemy wejść do środka. Ucieszyła się. Wyjąłem z torby co trzeba.

- Poczekaj tu - szepnąłem - zanim nie otworzę drzwi.

Pierwsza rzecz, jaką trzeba sprawdzić, to czy drzwi są zamknięte tylko na zamek, czy może także na zasuwki od środka. W tym drugim przypadku nie ma sensu dobierać się do zamka. Zasada jest taka, że wybiera się tak zwane ostatnie drzwi, a więc te, które wychodząc z domu, zamyka się na samym końcu. Wiadomo bowiem, że takie drzwi nie mogą być zamknięte od wewnątrz.

Zawsze też trzeba się rozejrzeć, czy właściciele nie zostawili gdzieś klucza. Po co mordować się z zamkiem, skoro klucz może być pod ręką. Ludzie zwykle chowają klucze na framudze, pod wycieraczką, pod kubłem na śmieci, pod progiem i w podobnych miejscach.

Kev był na to za ostrożny, więc z miejsca zająłem się zamkiem. Przykryłem się płachtą, latarkę wziąłem w zęby i zacząłem grzebać w zamku. Ustąpił po paru chwilach.

Otworzyłem, drzwi prowadziły bezpośrednio do salonu. Pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę i która mnie ucieszyła, bo ułatwiała zadanie, to że kotary w oknach były szczelnie zasunięte, a druga - to silna woń jakichś chemikaliów.

34

Na palcach wróciłem po Kelly i szepnąłem:

- Idziemy.

Buty mieliśmy całe w błocie, więc zdjęliśmy je przed wejściem do domu.

Obie pary schowałem do torby. Weszliśmy do środka.

Przysłoniłem latarkę palcami, wąski promień światła kierowałem na podłogę, żeby się nie potknąć. Stapaliśmy po gołych deskach. Cała wykładzina zerwana, meble zsunięte w jeden kąt. Czyszczono pewnie dom po morderstwie, stąd zresztą ów zapach chemikaliów, który uderzył mnie od progu. Zrobiono to naprawdę starannie, bo nie dostrzegłem żadnych śladów krwi. Na ogół po ekipie dochodzeniowej z wydziału śledczego wchodzi specjaliści z firmy zajmującej się sprzątaniami.

Dotarliśmy do drzwi prowadzących do holu od frontu. Kelly zachowywała się cicho jak prawdziwy zawodowiec, a ja ukląknęłam, uchyliłam nieznacznie drzwi, sprawdzając, czy po drugiej stronie nic nam nie grozi. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale przez witraż nad wejściem do holu wlewało się światło ulicznych lamp, malując wszystko w kolorowe wzory. Zgasilem latarkę, kazałem małej pilnować torby, sam zaś zacząłem nasłuchiwać i oswajać się z otoczeniem.

W radiowozie silnik nadal pracował na wolnych obrotach.

- Nick? - Mała pociągnęła mnie za rękaw.

- Sza.

- Nick, dlaczego nie ma dywanu i co to za okropny zapach?

- Później pogadamy - szepnąłem, przykładając jej palec do ust na znak, że ma być cicho.

Z radia w wozie policyjnym dobiegały trzaski i szumy. Chłopcy siedzieli w milczeniu, pewnie raczyli się kawą i rozmyślali o psiej służbie. Od czasu do czasu w radiu odzywał się głos operatorki z centrali. Brzmiał ostro i nieprzyjemnie.

Dałem małej znak, żeby została w miejscu, sam zaś poczołgałem się pod drzwi gabinetu Keva. Otworzyłem je, zajrzałem do środka, po czym wróciłem po małą i torbę.

W gabinecie wszystko wyglądało po staremu, z tym tylko, że papiery, zdjęcia, pamiątki, które wówczas leżały na podłodze, ktoś zebrał i ułożył pod ścianą. Monitor i klawiatura stały na biurku jak dawniej, komputer i drukarka na pod-

łodze obok. Na wszystkich sprzętach połyskiwały resztki proszku używanego do zdejmowania odcisków palców.

Drzwi do holu zostawiłem otwarte, aby przynajmniej odrobina światła z ulicy rozświetlała mroczne wnętrze. Latarki na razie nie zapalałem. Wyjąłem z torby płachtę i pudełko pinezek, a następnie starannie zasłoniłem jedyne okno wychodzące na zewnątrz, przymocowując płachtę do framugi. Zamknąłem też drzwi i dopiero wtedy zapaliłem latarkę.

Starałem się trzymać ją tak, aby światło nie padało mi na twarz, bo mała mogłaby się wystraszyć. Wiadomo, jak człowiek wygląda, gdy oświetlić go w mroku silnym promieniem latarki. Skutki mogą być dramatyczne, o czym przekonałem się kiedyś w Jemenie. Robiliśmy tam coś z chłopakami, trzymając latarki w zębach, co sprawiało, że wyglądaliśmy jak diabły. Dość powiedzieć, że dziecko - znalazła się tam jakaś matka z dzieckiem - dostało najprawdziwszej hysterii z przerażenia, niemal paraliżując całą skomplikowaną operację. W każdym razie utkwilo mi to w pamięci, fakt zaś, że pomyślałem o Kelly i o tym, żeby zaoszczędzić jej nieprzyjemnych wrażeń świadczył, że wiem co nieco o dzieciach.

- Jesteśmy na miejscu, pokaż mi, gdzie to jest - szepnąłem małej do ucha. Pachniała colą, gumą do żucia i czekoladą.

Omiotłem latarką ściany, żeby jej ułatwić zadanie. Wskazała palcem drewnianą, szeroką listwę przypodłogową tuż przy drzwiach. Nie zauważyłem, żeby ktoś próbował ją odkręcać lub wyłamywać, co mnie tylko ucieszyło.

Wziąłem śrubokręt i zabrałem się do roboty. Zza okna dobiegł warkot przejeżdżającego auta, usłyszałem też śmiech chłopców w radiowozie - pewnie nagrywali się z dyżurnej z centrali. Nudzili się, nie mieli nic specjalnego do roboty, zabezpieczali tylko budynek przed żądnymi sensacji sąsiadami. Mógłbym się założyć, że dom zostanie wkrótce rozebrany, a na jego miejsce powstanie coś nowego, bo raczej nie znajdzie się chętny na kupno nieruchomości, w której dokonano masowego morderstwa.

Nie puszczałem małej od siebie. Wołałem mieć ją na oku i w razie czego pocieszyć, podtrzymać na duchu. Poza tym nie nudziła się, przyglądając się, co robię.

Odkręciłem kawał listwy, odsłonił się sporawy otwór w murze, błysnęło metalem. Pochyliłem się, obejrzałem dokładniej. Metalowa skrzynka, niewielkich rozmiarów, z kształtu i wielkości przypominająca pojemnik na broń. Zamek, niestety, skomplikowany. Otwarcie go zajmie mi sporo czasu.

Wyjąłem narzędzia, zacząłem grzebać w środku, pamiętając, żeby od czasu do czasu spojrzeć na małą, uśmiechnąć się, zapewnić, że już kończę. Kelly jednak zaczęła się niecierpliwić. Minęło dziesięć, potem piętnaście minut, wreszcie dwadzieścia, a ja ciągle nie mogłem uporać się z zamkiem. Mała nie wytrzymała.

- A moje misie? - zażądała półgłosem.

- Szsza - przyłożyłem palec do ust. - Policja! - szepnąłem, żeby się odczepiła razem ze swoimi misiami. Dalej grzebałem w zamku, ale spokój nie był mi pisany.

- Obiecałeś przecież - powiedziała z pretensją w głosie, a co gorsza wcale nie szeptem.

Na to trzeba już było zareagować zdecydowanie. Skoro nie daje się po droboci, to należy ostro.

- Zamknij się - syknąłem groźnie.

Zdziwiła się, ale pomogło.

Tymczasem szczęście mi sprzyjało i właśnie uporałem się z zamkiem. Otworzyłem skrzynkę, chowałem narzędzia, gdy mała znów się odezwała, i to dość głośno:

- Nick, co tu się działo, nic nie jest tak, jak było!

Obróciłem się na pięcie i zasłoniłem jej usta ręką.

- Zamknij się, do kurwy nędzy!

Nie spodziewała się takiej reakcji, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Pociągnąłem ją za sobą w stronę okna. Zacząłem nasłuchiwać, czy nic się nie

dzieje na podjeździe, czy chłopcy w radiowozie czegoś nie spostrzegli. Uznałem, że chyba jednak nie, bo usłyszałem tylko strzępy rozmowy, śmiech i trzaski w radiostacji.

Uspokoilem się, ale gdy obróciliśmy się - ciągle jeszcze trzymałem małą za buzię - rozległ się suchy trzask, a po chwili ciszę rozdarł znacznie głośniejszy odgłos przedmiotów spadających na podłogę. Kelly zawadziła kurtką o biurko i pojemnik pełen długopisów, ołówków i różnych drobiazgów zwałił się na gołe deski.

Wyobraźnia oczywiście potęguje wrażenie hałasu, pewnie trzask nie był aż tak głośny, jak się wydawało, ale chłopcy z radiowozu musieli usłyszeć.

Kelly zaczęła się wrywać, nie było czasu, żeby się z nią mocować, więc zostawiłem ją, jak stała, sam zaś podszedłem do drzwi.

Tak jak się spodziewałem, usłyszałem szcęk otwieranych drzwi radiowozu i głośniejsze, bo nie tłumione już drzwiami, trzaski z radiostacji.

Wyciągnąłem siga z pasa, sprawdziłem i skoczyłem do kuchni, zamykając za sobą drzwi. Na dalszy ciąg nie musiałem długo czekać.

Usłyszałem, jak otwierają się drzwi wejściowe, potem suchy trzask włączanego kontaktu elektrycznego. W szparze pod drzwiami zabłysło światło.

Zaraz potem usłyszałem kroki, metaliczny dźwięk kluczy przy pasku, przyspieszony oddech i wypowiedziane półgłosem wezwanie.

- Melvin, Melvin, chodź zobacz.

- O rany!

Czas działać. Wyciągnąłem pistolet przed siebie, drugą ręką nacisnąłem klamkę, wysunąłem się cicho na korytarz.

Melvin stał w drzwiach do gabinetu obrócony do mnie tyłem - młody, a w każdym razie młodszy ode mnie, średniej budowy ciała. Wystarczyły dwa kroki, chwyciłem go lewą ręką za głowę, pociągnąłem do tyłu, przystawiając lufę do karku.

- Rzuć broń, Melvin i żadnych numerów - syknąłem.

Staralem się, aby głos brzmiał rzeczowo i spokojnie, choć w istocie wszystko się we mnie gotowało.

Melvin puścił pistolet.

Nie wiedziałem, czy jego towarzysz miał pistolet w rękę, czy nie. W środku było ciemno. Zakładałem jednak, że jeśli wchodząc do domu, dobył broń, to wcisnął ją już z powrotem do kabury, zgodnie z tym, co im wkładają do głowy na szkoleniach, że gdy się ma do czynienia z dziećmi broń należy schować, bo dziecko może się przestraszyć. Tak pewnie zrobił, bo nie zobaczył nikogo poza Kelly.

- Zapal światło, Kelly - poleciłem stanowczym tonem.

Cisza.

- Kelly, światło - powtórzyłem ostrzej.

Usłyszałem drobne kroki, trzask włącznika, zrobiło się jasno.

- Zostań tam. - Zauważyłem kątem oka, że mała zaczyna płakać.

Przed sobą zaś miałem nieprawdopodobnego, jak na glinę, tłuściocha. Wyglądał jak żywa reklama opon Michelina, a jest to - jak wiecie - taki okrągły człowieczek z gumy. Musiał ważyć dobrze ponad sto kilogramów, zbliżał się do wieku emerytalnego. Broń, tak jak zakładałem, zdążył już schować, ale rękę trzymał tuż przy kaburze.

- Nie rób tego - ostrzegłem. - Melvin, powiedz mu, żeby nie robił głupstw - dodałem, wciskając mu mocniej lufę w szyję.

- Ron! - Melvin nie kazał na siebie czekać. - Nie szalej, nie warto.

Ron też chyba doszedł do podobnego wniosku, tak przynajmniej wyczytałem w jego oczach. Myślał raczej o żonie, o ratach za mieszkanie i jutrzejszym śniadaniu, a nie o ewentualnej nagrodzie za bohaterski czyn.

W tym momencie w radiostacji Melvina odezwała się dyżurna z centrali:

- Patrol sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt dwa, zgłóście się. - Ton był ostry, rozkazujący. Pomyślałem, że jeśli ta kobieta ma męża, to mu nie zazdrozczę.

- To do was, Melvin, prawda?

- Tak jest.

- Powiedz jej, że wszystko w porządku - poprosiłem, mocniej wciskając lufę w jego szyję. - Pamiętaj, broń jest odbezpieczona, palec trzymam na spuście, więc żadnych numerów.

- Ja odpowiem - zaoferował się Ron. Pewnie jednak coś głupiego przyszło mu do głowy.

- Sześćdziesiąt dwa, odbiór. - Głos był coraz bardziej natarczywy.

- Zgoda - przyjąłem ofertę Rona. - Weź radio w lewą rękę, prawą podnieś do góry - zastrzegłem. - Kelly, bądź cicho.

Mała powstrzymała chlipanie. Ron włączył mikrofon.

- Sześćdziesiąt dwa zgłasza się. Wszystko w porządku.

- Potwierdzam sześćdziesiąt dwa, godzina dwudziesta druga trzynaste, bez odbioru.

Ron wyłączył mikrofon, Kelly znów zaczęła płakać, a ja stałem w drzwiach, wciskając Melvinowi pistolet w szyję. Ron stał pośrodku pokoju z bronią ukrytą w kaburze i patrzył na mnie nie do końca przekonany.

- Posłuchaj mnie, Ron - trzeba było przełamać impas - zdajesz sobie sprawę, że wystarczy jedno twoje głupstwo, a z Melvinem koniec. Ty też nie masz szans. Rozumiesz, co mówię?

Kiwnął tylko głową.

- A więc, Ron, rób, co ci każę. Odwróć się do tyłu.

Tak zrobił.

- A teraz na kolana!

Klęknął. Mała stała obok, może metr, a może mniej od niego. Błagałem w myślach, żeby się nie ruszała, bo wystarczy pół kroku, a znajdzie się na linii strzału.

Melvin pocił się jak mysz. Pot lał mu się strumieniem z czoła i trudno było go utrzymać. Koszula przesiąkła tak, że widać było kontury kamizelki kuloodpornej pod spodem.

- A teraz, Ron - ciągnąłem - chciałbym, żebyś wyjął pistolet. Zrób to lewą ręką, a ściślej dwoma palcami i bardzo, ale to bardzo powoli. A gdy już wyciągniesz go z kabury, to rzuć w swoje lewo, rozumiemy się? - Nie czekając na odpowiedź, zwróciłem się znów do jego towarzysza: - Melvin, poradź mu, żeby nie robił żadnych głupstw.

- Ron, proszę cię...

Ron wyjął pistolet z kabury, zrobił to rzeczywiście powoli, i rzucił na podłogę.

- Teraz, Ron, chciałbym, żebyś lewą ręką odpiął kajdanki i rzucił je za siebie.

Zrobił, jak kazałem. Musiałem tymczasem zająć się Melvinem, bo zaczął dygotać ze strachu.

- W porządku - szepnąłem mu prosto do ucha - nic ci się nie stanie, przeżyjesz. Jeszcze wnukom będziesz opowiadać. Tylko rób, co ci każę, w porządku?

Zgodził się. Mogłem więc znów zająć się Ronem. Kazałem mu położyć się plackiem na podłodze, twarzą do ziemi. Tak też zrobił. Z jego strony nic mi już nie groziło.

- A teraz ty, Melvin. Słuchaj uważnie, żebyś nie popełnił błędu. Otóż zabiorę teraz pistolet i dam dwa kroki do tyłu, ale nie miej złudzeń, będziesz cały czas na muszce, rozumiemy się?

Kiwnął, że tak. Odskokczyłem więc nie na jeden, ale na dwa kroki na wypadek, gdyby raptem poczuł się bohaterem i obróciwszy się, chciał mi wyrwać broń, przewrócić albo jeszcze coś innego.

- A teraz, chłopcze, najpierw klęknij, a następnie połóż się obok Rona.

Wykonał bez słowa. Zaszedłem go wtedy od tyłu, przytknąłem gnata do skroni, podniosłem z podłogi kajdanki i założyłem Melwinowi na lewą, a Ronowi na prawą rękę. Następnie kazałem im obrócić się plecami do siebie i podać wolne ręce, które też skulem korzystając z kajdanek Melvina.

Nie utrudniali mi zadania, byli posłuszni - rozsądni chłopcy.

Zabrałem im portfele i schowałem je do torby. Wrzuciłem tam też radiotelefon Rona, uprzednio wyjąwszy baterie. Radio Melvina wsunąłem do kieszeni.

Jednocześnie wyciągnąłem z torby krążek taśmy klejącej i zacząłem ich owijać począwszy od nóg w górę. Wyglądali jak mumie. Zostawiłem tylko niewielką szparę na nosy, żeby się nie podusili. Następnie zawlokłem ich do holu, co biorąc pod uwagę ciężar, zwłaszcza Rona, nie było łatwym zadaniem. Nie chciałem jednak, aby widzieli, czego szukam w gabinecie.

Mała przykucnęła pod ścianą. Wyglądała jak półtora nieszczęścia i trudno się dziwić. Tak bardzo pragnęła wrócić do domu, a takiego, o jakim myślała, po prostu nie ma i nie będzie. Nie ma rodziców, nie ma siostry, a dom stał się obcy, nic w nim nie jest jak dawniej, a wszędzie unosi się drażniący smród chemikaliów.

- Idź po misie - wyrwało mi się, zanim jeszcze zdołałem pomyśleć.

Bez słowa pobiegła na górę.

Wróciłem do gabinetu i wreszcie zająłem się schowkiem. Był pusty, nie było w nim nic poza jedną... dyskietką komputerową.

Usiadłem przy biurku, włączyłem PC-ta. Pliki nie były zaszyfrowane ani nawet zabezpieczone żadnym hasłem i nie było to przeoczenie ze strony właściciela, jak się domyślałem. Kev specjalnie zostawił otwarty zapis na wypadek, gdyby mu się coś stało, żeby każdy mógł przeczytać.

Przejrzałem kilka plików - nic ciekawego. Po chwili jednak znalazłem folder oznaczony słowem „Flavius”. Z miejsca zorientowałem się, o co chodzi, bo był to kryptonim naszej gibraltarskiej operacji.

Otworzyłem, zacząłem czytać. Kev - jak się okazuje - odkrył to, na co również wpadł Al podczas naszej sesji na Florydzie, a mianowicie, że kontakty chłopców z Ulsteru z kartelami zaczęły się, gdy PIRA uruchomiła na zlecenie Kolumbijczyków kanały przerzutowe do Afryki Północnej i Gibraltaru, skąd narkotyki szły do Hiszpanii i innych krajów. Kanały były drożne, PIRA spisywała się znakomicie, kartele płaciły jak należy.

Po pewnym czasie jednak PIRA postanowiła rozszerzyć swój udział, wejść głębiej w interes, pomnożyć kapitał pochodzący ze składek i darów amerykań-

skich sympatyków. Ów kapitał - Noraid - nie był bagatelny. Według obliczeń Keva, Sinn Féin zbierała ponad pół miliona funtów rocznie i właśnie owe pół miliona postanowiono zainwestować w towar z Kolumbii, przetransportować do Europy, a tam wymienić na broń i amunicję z krajów byłego bloku komunistycznego. PIRA ma towar, Związek Radziecki przestaje istnieć, do głosu dochodzi rosyjska mafia, gotowa wziąć każdą ilość towaru i dostarczyć każdą broń. Powstaje sytuacja, o jakiej można tylko marzyć.

Pochłonęła mnie lektura, ale trzeba było ją przerwać. Jakkolwiek by było, znalazłem się pod jednym dachem z dwoma policjantami i dzieciakiem brutalnie potraktowanym przez życie. Lepiej jednak się zmywać. Wyłączyłem komputer, schowałem dyskietkę do kieszeni, w samą porę, bo znów w radiu odezwała się dyżurna z centrali.

- Sześćdziesiąt dwa zgłoś się!

Kurwa!

Skoczyłem do holu.

- Ron, to do ciebie!

Ron łypnął na mnie z podłogi takim wzrokiem, że nie trzeba było nic więcej. Wiedziałem, że tym razem już go nie zmuszę. Ale spróbować trzeba. Oderwałem kawał taśmy klejącej, odsłaniając mu usta.

- Pocałuj mnie w dupę - usłyszałem. - Sam z nią pogadaj, przecież nas nie zabijesz!

- Sześćdziesiąt dwa...

Ron miał rację, wyczuł moją słabą stronę.

- Kelly, gdzie jesteś?! - krzyknąłem.

- Już schodzę, właśnie znalazłam Ricky'ego.

Nie było czasu na zabawę.

- Zakładaj kurtkę i buty, ale już.

Sam też wskoczyłem w adidas, złapałem torbę, jeszcze raz rzuciłem okiem na Rona i Melvina, czy mają czym oddychać. Leżeli spokojnie, pewnie już ob-

myślali, co napiszą w raporcie.

Wyszliśmy z małą przez werandę. Trzymałem ją mocno za rękę i kątem oka sprawdzałem, czy nie gubi Ricky'ego i Jenny. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby rozryczała się na całą okolicę, że misiom dzieje się krzywda.

Wsiedliśmy do wozu, ruszyłem, a gdy światła uliczne zaczęły zaglądać do wnętrza, zerknąłem na małą w lusterku wstecznym. Wyglądała na nieszczęśliwą. Oczy podpuchnięte, policzki mokre, smutna mina. Miała wszelkie powody i prawo, żeby mieć pretensje do całego świata. Była na tyle inteligentnym dzieckiem, że pewnie uświadamiała sobie, że właśnie po raz ostatni widziała rodzinny dom, że, tak naprawdę, to domu już nie ma. No cóż, pod tym względem zrównała się ze mną. Ja też nie mam domu.

Gdy pojawiły się tablice kierujące na lotnisko Dulles dodałem gazu. Nie miałem najmniejszego zamiaru wracać na Florydę.

35

Dojeżdżając na lotnisko skierowałem się na ten sam parking co poprzednio. Jak tak dalej pójdzie - roześmiałem się w duchu - to stać tu będą wyłącznie kradzione przeze mnie wozy. Przy wjeździe zaczęło kropić, a gdy parkowaliśmy deszcz już równo bębnił o dach samochodu.

Nie mogłem wykluczyć, że Ron z Melvinem zanotowali numer rejestracyjny, gdy przed włamaniem przejeżdżałem przed domem Keva, że skojarzyli samochód ze mną i że numer podano już wszystkim patrolom w mieście, ale też nie specjalnie się tym przejąłem. Zresztą, co mogłem w tej sytuacji zrobić? Liczyłem tylko, że w deszczu i pośród setek, jeśli nie tysięcy aut na lotniskowym parkingu nieprędko nas odkryją. Możemy więc w miarę bezpiecznie odczekać te kilka godzin, jakie pozostały do rana, kiedy to zacznie się większy ruch i po prostu wmieszamy się z Kelly w tłum pasażerów. Na razie było pusto. Obawiałem się, że o tej wczesnej porze mała dziewczynka, której towarzyszył mężczyzna z pokie-

reszowaną twarzą, od razu zwróciłyby na siebie uwagę.

Tymczasem zająłem się małą.

- Bardzo mi przykro, Kelly, że nakrzyczałem na ciebie, ale, niestety, musiałem. Czasami dorosły musi być stanowczy wobec dzieci.

Siedziała z opuszczoną głową, tuląc do siebie oba misie.

- Naprawdę jest mi przykro. Jesteś grzeczną dziewczynką, ale poniosło mnie, byłem bardzo zdenerwowany. Nie gniewasz się? A co byś powiedziała na podróż do Anglii?

Milczała, ale podniosła wzrok i spojrzała na mnie. Uznałem to za pozytywną odpowiedź.

- A więc lecimy, zgoda?! Jesteś naprawdę grzeczną dziewczynką i zawsze mi pomagasz. Czy chciałabyś jeszcze coś dla mnie zrobić?

Wzruszyła ramionami, ciągle jeszcze obrażona. Wyciągnąłem rękę do jej skarbów, pogłaskałem miśka.

- Jenny i Ricky też będą mieli zajęcie, zobaczysz!

Jeszcze miała opory.

- Najpierw trzeba zrobić porządek z rzeczami.

Przesiadłem się do niej, na tył, i otworzyłem torbę.

- Zastanówmy się, co jeszcze będzie nam potrzebne, a co można wyrzucić. Nie ma sensu dźwigać tego wszystkiego.

Miałem zamiar pozbyć się wszystkich gratów poza płachtą fotograficzną i przyborami toaletowymi, bo tylko to będzie jeszcze potrzebne, ale też chciałem ją czymś zająć.

- To wyrzucamy, to też, a to bierzemy ze sobą - paplałem jak najęty.

Kelly z całą powagą kiwała głową.

Niepotrzebne rzeczy przeniosłem do bagażnika. Rozpadało się na dobre. Ułożyłem małej poślanie na tylnym siedzeniu. Z torby zrobiłem poduszkę, rozścieliłem płachtę.

- Teraz posiedzimy tu, odpoczniemy, bo jest za wcześnie, żeby pójść na lot-

nisko. Możesz sobie pospać. - Otuliłem ją płachtą jak kocem, nie zapominając o misiach. - Przytul je, żeby nie zmarzły. - Wreszcie się uśmiechnęła.

- Zostaniesz ze mną? Nie będziesz wychodził? - upewniła się. Lody zostały przełamane, znów byliśmy kumplami.

- Nie. Mam tu trochę pracy. - Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie musiałem kłamać. Rozłożyłem laptopa na kolanach i go włączyłem. Sprawdziłem jeszcze, czy kluczyki są w stacyjce. Gdyby policja namierzyła nas musiałem być przygotowany na ucieczkę.

Ekran się rozjaśnił, blade światło rozeszło się po wnętrzu wozu. Wsunąłem dyskietkę Keva. Korciło mnie, żeby doczytać materiały do końca. Najpierw jednak, na wszelki wypadek, postanowiłem skopiować wszystko na twardy dysk. Trwało to chwilę.

- Kelly? - rzuciłem półgłosem, czekając, żeby komputer uporał się z zadaniem.

Nie zareagowała. Monotonny szum deszczu zrobił swoje, mała zasnęła.

Zabrałem się do czytania.

Gibraltar - o czym wiedziałem, bo nie była to żadna tajemnica - niemal od zawsze stanowił centrum handlu narkotykami, prania brudnych pieniędzy i przemytu. Od zawsze też Hiszpania domagała się zwrotu Skały - jak powszechnie nazywano kolonię. W 1987 roku Hiszpanie zażądali od Margaret Thatcher, aby wreszcie jej rząd położył kres przemytowi narkotyków. Z Londynu poszły odpowiednie instrukcje do władz Gibraltar, ale niewiele to pomogło. Gangi narkotykowe nadal przerzucały wielkie ilości towaru z Afryki Północnej do Gibraltar, korzystając z szybkich motorówek. Londyn zagroził wprowadzeniem rządów komisarycznych w kolonii, a jednocześnie zarządził tajne, niezbyt zresztą legalne śledztwo mające na celu ujawnienie powiązań miejscowych notabli - wysokich urzędników lokalnej administracji, szefów policji, itd. - z handlarzami narkotyków. Albo zainteresowani wyczuli pismo nosem, albo ktoś musiał ich ostrzec, dość że przerwali współpracę z PIRA i całą resztą.

Tak więc szlak narkotykowy przez Gibraltar został zamknięty, korupcja ograniczona, z czego oczywiście Kolumbijczycy nie mogli być zadowoleni, bo godziło to w ich interesy. Zaczęli więc usilnie szukać możliwości ponownego otwarcia szlaku. Według ustaleń Keva Kolumbijczycy doszli do wniosku, że potrzebna jest demonstracja siły, że w Gibraltarze trzeba przeprowadzić spektakularny zamach bombowy, aby ostrzec miejscowych. Realizację tego zadania zlecono PIRA.

Tymczasem PIRA znalazła się w kropce. Liderom zależało na ponownym otwarciu szlaku narkotykowego, ale mieli w pamięci to, co stało się po zamachu w Enniskillen, kiedy to organizacja znalazła się pod pręgierzem opinii publicznej i zaczęła tracić poparcie. Zamach w Gibraltarze musiałby pociągnąć za sobą wiele niewinnych ofiar, w wyniku czego świat zwróciłby się przeciwko PIRA. Odmówili więc wykonania zlecenia.

Z tego, co ustalił Kev wyłaniał się niezwykle interesujący obraz sytuacji. Kolumbijczycy zareagowali ostro, zagrozili, że jeśli PIRA nie podejmie się przeprowadzenia zamachu, to kartele wykluczą ją z interesu, a na jej miejsce wprowadzą konkurencję spod znaku UVF - organizacji ulsterskich protestantów.

Dla kierownictwa PIRA było to nie do przyjęcia. Zaczęto główkować i, jak napisał Kev, znaleziono rozwiązanie naprawdę genialne - ja przynajmniej tak je oceniłem. Rzecz sprowadzała się do tego, komu postanowiono zlecić przeprowadzenie zamachu. Byli to: McCan, pseudo Mad Danny, Danny Wariat, którego usunięto kiedyś z PIRA, ale przywrócono wbrew - co ważne - opinii Gerry'ego Adamsa; a także Mairead Farrell, która po śmierci narzeczonego stała się zbyt fanatyczna, nawet jak na PIRA. „Ta baba to coś w rodzaju odbezpieczonego granatu” - powiedział kiedyś Simmonds. Krótko mówiąc, PIRA chciała się obojga pozbyć i właśnie im powierzono wykonanie zadania w Gibraltarze. Dano im Seana Savage'a, który miał nieszczęście służyć w tym samym ASU, czyli, inaczej mówiąc, w bojówce.

Wyposażono ich we wszystko co trzeba do sporządzenia bomby: semtex oraz

technikę, i wysłano do Hiszpanii. Tam mieli przećwiczyć operację, zorientować się w sytuacji i stamtąd przeprowadzić rozpoznanie. Zastrzeżono także, że wszystko ma być związane na ostatni guzik, co oznaczało, że najpierw należy zablokować miejsce podłożenia bomby, a dopiero potem przystąpić do właściwego zamachu. Owa blokada to nic innego jak auto zaparkowane w miejscu, gdzie zamierza się podłożyć ładunek. Całej trójce dano słabe papiery, a jednocześnie po cichu zawiadomiono Londyn o tym, co się szykuje. Liczono, że do zamachu nie dojdzie, ponieważ terroryści zostaną aresztowani, a kartele nie wycofają się z interesu, bo będą przekonane, iż PIRA zrobiła wszystko co w jej mocy.

Na odprawie przekazano nam informacje o całej trójce oraz, jak pamiętam, podkreślono, że nie będzie samochodu blokującego miejsce podłożenia bomby i że ładunek ma być zdetonowany ręcznie. Oznaczało to, że będzie to bomba odpalana za pomocą zdalnego zapalnika. Który z trójki zamachowców - McCann, Farrell czy Savage - będzie owym urządzeniem dysponował, tego nikt nie wiedział. W praktyce oznaczało to wyrok śmierci dla całej trójki. Skoro nie można ustalić, kto ma zapalnik, to trzeba zakładać, że mogą nim dysponować wszyscy. W takim przypadku najmniejszy podejrzany ruch kogokolwiek z nich musi wywołać reakcję z naszej strony. Krótko mówiąc, strzelamy do każdego, kto w decydującym momencie sięgnie do kieszeni. Uściślając: kiedy Savage wkładał rękę do kieszeni, nie mogłem się zastanawiać, czy sięga po miętówkę. Musiałem przyjąć, że właśnie zamierza odpalić bombę. Podobnie Euan, gdy puszczał serię do McCanna i Farrell. Mieliśmy takie powiedzenie w pułku: „Tuzin lepszy od szóstki”. Lepiej odpowiadać przed dwunastoosobową ławą przysięgłych, niż być niesionym na cmentarz przez szóstkę kolegów.

Na ekranie ukazała się informacja, że należy już podładować baterię. Niech to szlag! Jeszcze wszystkiego nie przeczytałem.

Kartele uwierzyły, że chłopcy z PIRA zrobili, co było w ich mocy. W końcu zginęło trzech bojówkarzy. PIRA nie została więc odcięta od interesu, choć - dokładnie tak jak powiedział Wielki Al - kanały przerzutowe trzeba było prze-

nieść do Afryki Południowej i Hiszpanii.

W PIRA wszyscy byli zachwyceni. Interes się kręcił, a w dodatku udało się pozbyć niewygodnych osób, przy czym cała trójka poległych w Gibraltarze została obwołana męczennikami sprawy, co oczywiście wzbudziło falę sympatii dla PIRA w samej Irlandii i na nowo otworzyło kurek z amerykańskimi dolarami. Amerykanie irlandzkiego pochodzenia znów ochoczo przystąpili do zrzutki. Ponadto międzynarodowa opinia publiczna głośno potępiła Londyn za śmierć trójki nacjonalistów, chociaż po cichu światowi przywódcy gratulowali pani Thatcher stanowczości w walce z terroryzmem.

Kurwa! Znow na ekranie pokazało się ostrzeżenie, że bateria się kończy. Nie miałem źródła zasilania, więc chcąc nie chcąc, wyłączyłem komputer. Jeżeli uda mi się przewieźć ten materiał do Londynu, Simmonds powinien mnie ozłocić.

Była trzecia trzydzieści i nie pozostawało mi nic innego, jak odczekać jeszcze parę godzin do rana, kiedy to zaczną lądować i startować pierwsze samoloty i pojawią się pasażerowie. Wtedy, bez zwracania na siebie uwagi, będziemy mogli wtopić się w tłum.

Odchyliłem oparcie, aby się zdrzemnąć, ale sen nie nadchodził. Miałem w głowie gonitwę myśli. Cała ta operacja w Gibraltarze była od początku do końca ukartowana. Chodziło tylko o to, aby PIRA i Kolumbijczycy mogli nadal zarabiać na narkotykach. Pytanie, co się dalej działo, jaką rolę odegrał Kev? Co mnie przypadło w udziale? Wyciągnąłem się na siedzeniu, słuchając, jak deszcz bije o dach samochodu.

Dla mnie i dla Euana wszystko zaczęło się 3 marca, a więc na niespełna tydzień przed wydarzeniami w Gibraltarze. Obaj byliśmy wtedy w Ulsterze. Każdy z nas robił swoje, gdy nagle i jemu, i mnie kazano zameldować się w Lisburn - w dowództwie armii brytyjskiej w Ulsterze. Tam już czekał śmigłowiec, Puma - pamiętam jak dziś - i odlecieliśmy do Stirling Lines w Herefordzie, czyli do pułku. SAS stacjonuje właśnie w Herefordzie.

Czekał na nas jeden z oficerów wywiadu. Prosto z lotniska zabrał nas do szefostwa pułku. Gdy przed salą odpraw zobaczyłem porcelanowe filiżanki z herbatą i biszkopty zorientowałem się, że chodzi o coś poważnego. Poprzednio podobna celebrazja miała miejsce, gdy pułk wizytowała pani Thatcher.

Sala była nabita, okna zasłonięte, na ścianie za podium -wielki ekran.

Rozglądaliśmy się z Euanem za wolnymi krzesłami, gdy usłyszałem, że ktoś nas woła.

- Chłopaki, tu!

Okazało się, że to Kev i Slack Pat oraz dwóch kumpli z ich patroli, Geoff i Steve. Ich kompania - „A” - odbywała właśnie półroczną służbę w oddziałach antyterrorystycznych.

- Masz pojęcie, o co chodzi? - spytał Euan Keva.

- O Gibraltar, przyjacielu. Jedziemy na Skałę. PIRA szykuje tam zamach bombowy.

Wszedł dowódca, sala się uciszyła.

- Dwie sprawy - rzekł. - Po pierwsze, czasu jest mało. Wylot nastąpi zaraz po odprawie. Po drugie, brak wystarczającego rozpoznania. Mimo to Joint Operations Committee² żąda, aby wyruszyć natychmiast. To, co wywiad zdołał zebrać zostanie wam przekazane zaraz, reszta na miejscu.

Nie bardzo rozumiałem naszą, to znaczy moją i Euana obecność. Jako agenci Detu, XIV Pododdziału Wywiadu operującego w Ulsterze, nie mieliśmy prawa działać nigdzie indziej. Milczałem jednak. Gdybym zaczął dyskutować mogliby mnie odesłać i ominęłaby mnie ciekawa sprawa.

A zresztą na sali siedzieli członkowie z dowództwa, oficer operacyjny i cała gromada tajniaków. Kompletu dopełniali: oficer amunicyjny i saper, specjalista od rozbierania ładunków wybuchowych z oddziału antyterrorystycznego.

A tymczasem na podium wszedł facet, którego nigdy przedtem nie widziałem.

² Komisja Wspólnych Operacji, czyli szefostwo decydujące o tajnych działaniach wszystkich służb (przyp. tłum.).

W jednej ręce trzymał filiżankę z herbatą, w drugiej biszkopta. Stanął po prawej stronie prowadzącego odprawę, a przy nogach ułożył neseser.

- Nazywam się Simmonds - przedstawił się. - Pracuję w wywiadzie, kieruję wydziałem Irlandii Północnej. Na sali, wśród was, są oficerowie wywiadu wojskowego i cywilnego. Będziemy pracować wspólnie. Najpierw jednak wyjaśnię, czemu zawdzięczamy to nasze dzisiejsze spotkanie.

Sądząc po rozmiarach neseseru facet wybierał się razem z nami. Tymczasem zgaszono światło i włączono projektor, a Simmonds kontynuował:

- Jeszcze w ubiegłym roku zdobyliśmy informację, że jeden z oddziałów PIRA zainstalował się w Hiszpanii, a ściślej, na południu tego kraju. Przechwyciliśmy korespondencję od jednego ze znanych bojówkarzy, Seana Savage'a, z datownikiem jednej z miejscowości na Costa del Sol.

Na ekranie ukazało się zdjęcie Seana.

- Nasz bohater - ciągnął Simmonds z lekką ironią - wysłał pocztówkę, zawiadamiając mamusię i tatusia w Ulsterze, że właśnie podjął pracę za granicą. To nas zaalarmowało, ponieważ specjalnością synka jest produkcja bomb.

Kpi, czy o drogę pyta? - pomyślałem. - Simmonds jednak nie wyglądał na faceta skorego do żartów.

- Później, w listopadzie, na lotnisku w Madrycie namierzono dwóch mężczyzn podróżujących z Malagi do Dublina. Legitymowali się irlandzkimi paszportami. Hiszpanie dla porządku przesłali dane do Londynu, my sprawdziliśmy i okazało się, że paszporty były fałszywe.

Idioci, pomyślałem. Zawsze w lecie działania terrorystyczne w Ulsterze słabną, bo chłopcy z PIRA wyjeżdżają z rodzinami na wakacje, głównie zresztą do Hiszpanii, a konkretnie do Torremolinos. Co ciekawe, faceci z RUC - policji i bezpieczeństwa ulsterskiej - też lubią tam jeździć na urlop. Jedni i drudzy spotykają się w tych samych barach i wszystko jest w porządku, nikt się niczemu nie dziwi. Poza sezonem obecność chłopców z Ulsteru musiała wywołać podejrzenia. Gdyby wsiedli do samolotu w Maladze, dajmy na to w sierpniu, nikt by się nimi nie za-

interesował. Ale w listopadzie? Sami się podłożyli.

Okazało się też, że jednym z mężczyzn był właśnie Sean Savage, nazwisko jego towarzysza zwróciło uwagę wszystkich obecnych na sali.

- Oto - ciągnął Simmonds - Daniel Martin McCann, o którym, jak sędzę, każdy z panów słyszał - dokończył z krzywym uśmiechem. Nazywają go Danny Wariat i nie bez przyczyny. Facet maczał palce w co najmniej dwudziestu sześciu zabójstwach. Trafiał do pudła - owszem – ale odsiedział tylko dwa lata.

W dalszym ciągu Simmonds powiedział, że zdaniem analityków obecność McCanna i Savage'a na Costa del Sol mogła oznaczać dwie rzeczy: PIRA szykuje zamach na osobę lub instytucję brytyjską w samej Hiszpanii albo przygotowuje akcję w Gibraltarze.

- Jedno można stwierdzić z całą pewnością - dodał Simmonds. - Ci, o których mowa nie pojechali do Hiszpanii, żeby się opalać.

Rozległ się śmiech, Simmonds był zadowolony. Wiedział, że jeśli chce się utrzymać uwagę słuchaczy, to nawet na najpoważniejszych odprawach trzeba od czasu do czasu rzucić dowcip.

Na ekranie pokazał się plan Gibraltaru. Przypomniały mi się dawne czasy, kiedy jeszcze jako zwykły żołnierz piechoty służyłem w Gibraltarze w latach siedemdziesiątych. Było naprawdę fajnie.

- Gibraltar - ciągnął Simmonds - to dość trudny cel, łatwo narobić tam sporych szkód, a jest kilka miejsc szczególnie atrakcyjnych z punktu widzenia zamachowców. Na przykład siedziba gubernatora albo gmach sądu. Jednak według naszej oceny najbardziej prawdopodobny jest zamach na miejscowy garnizon - Royal Anglians. Co wtorek rano odbywa się ceremonia zmiany wart z udziałem orkiestry I Batalionu. Wydaje nam się, że ładunek zostanie podłożony na placu, na którym oddział kończy defiladę. Jest tam parking i bombę można łatwo ukryć w samochodzie.

Mógłby dodać, że z punktu widzenia zamachowców miejsce było wręcz idealne także z innego powodu. Plac otacza gęsta zabudowa, teren jest więc za-

mknięty, co zawsze potęguje skutki wybuchu.

- W tej sytuacji zarządziliśmy zawieszenie od jedenastego grudnia wtorkowych ceremonii. Do prasy daliśmy informację, że czasowo nie będzie zmian wart, bo trzeba wyremontować kordegardę przed siedzibą gubernatora. Chodziło o to, aby zebrać więcej danych, żeby żaden remont przy placu nie był w przyszłości potrzebny.

Nie był to tak dobry dowcip jak poprzedni, ale tu i ówdzie rozległy się śmiechy.

- Wzmocniliśmy miejscowe siły policyjne, wysyłając agentów po cywilnemu. Nasililiśmy działania operacyjne, co przyniosło pewne wyniki. Otóż kiedy w lutym, a konkretnie dwudziestego trzeciego, wznowiono cotygodniowe uroczyste zmiany wart, zaobserwowano pewną kobietę, która specjalnie na tę okazję przyjechała do Gibraltaru i maniacko wręcz fotografowała defiladę. Podawała się za turystkę przebywającą na wakacjach na Costa del Sol. Sprawdziliśmy, okazało się, że posługuje się skradzionym paszportem irlandzkim. Tydzień później znów przyjechała do Gibraltaru. Tym razem przeszła za orkiestrą całą trasę aż na plac. Nawet małpa, a jak wiecie, na skałach w Gibraltarze mieszka ich całe stado, domyśliłaby się, że kobieta przeprowadza rozpoznanie.

Tym razem przez salę przeszedł głośny śmiech, a ja nie byłem do końca pewien, czy bawią nas jego dowcipy, czy raczej sam fakt, że nam je opowiada. Co on sobie właściwie myśli? Przecież rzecz jest poważna, więc albo ma wszędzie, albo jest tak wielką szycią, że nikt mu nie podskoczy. Na swój użytek uznałem, że jego obecność w Gibraltarze na pewno nam pomoże.

- Zdaniem wywiadu - Simmonds nagle spowaźniał - do próby zamachu może dojść jeszcze w tym tygodniu, chociaż McCann i Savage siedzą w Belfaście i nic nie wskazuje na to, że zamierzają wyjechać z miasta.

Nie mylił się. Nie dalej jak wczoraj widziałem obu przy barze na Falls Road. Ledwie trzymali się na nogach i nie wyglądali na gotowych do akcji, o jakiej mówił Simmonds. Choć z drugiej strony, ostentacyjne pijaństwo może stanowić

część przygotowań, chodzi o to, aby uspić naszą czujność. A może po prostu wypili na pożegnanie? Kto ich tam wie?

- No i w tym miejscu zaczynają się schody. - Simmonds nie zerkał już do notatek. Czy to znaczy, że żartów już nie będzie? Pewnie nie, ponieważ Simmonds lekko podniósł głos i wyraźniej akcentował każde zdanie.

- ...zaczynają się schody. Jeśli bowiem spróbujemy zdjąć obu, to PIRA może zlecić robotę komu innemu. Komuś, kogo nie znamy. To po pierwsze. Po drugie, nie ma co liczyć na rzetelną współpracę Madrytu, bo, jak wszyscy wiecie, istnieje zasadniczy spór z Hiszpanią na temat Gibraltaru, więc nie ma żadnej gwarancji, że Hiszpanie wydaliby podejrzanych, gdyby ich namierzyli w Madrycie czy Maladze. Poza tym nie mamy dowodów, lecz tylko poszlaki, a to za mało, żeby podjąć działania na drodze prawnej. W tej sytuacji, panowie, musimy ich zatrzymać w samym Gibraltarze. - Simmonds wyjął ostatnie zdjęcie i wyłączył rzutnik. W sali pociemniało, tylko lampa na podium rozświetlała nieco twarz mówcy. - Są trzy możliwości. Pierwsza to aresztowanie na samej granicy z Hiszpanią. Może okazać się to trudne, ponieważ nie wiemy, jakim autem będą podróżować, a strażnik na granicy ma dziesięć, góra piętnaście sekund na rozpoznanie i podjęcie stosownych czynności. Musielibyśmy liczyć się z poważnym ryzykiem, bo terroryści na pewno będą uzbrojeni. Druga możliwość to zatrzymanie w przewidywanym miejscu zamachu, co wydaje się równie niepewne i nacechowane takim samym ryzykiem jak opcja numer jeden. Pozostaje więc trzecia możliwość i właśnie po to się zebraliśmy.

Wypił łyk herbaty i poprosił o włączenie światła.

- A oto plan: Służba Bezpieczeństwa zorganizuje stałą obserwację PIRA na miejscu, w Gibraltarze - zwracał się po kolei do przedstawicieli poszczególnych służb. - Na dwóch kolegach, którzy właśnie przybyli z Ulsteru, spoczywać będzie obowiązek ostatecznego potwierdzenia tożsamości inwigilowanych osób. Władze cywilne muszą mieć co do tego absolutną pewność, zanim przełożą kierownictwo operacji w ręce wojska. Aresztowania dokona czwórka ludzi z oddziału

antyterrorystycznego, ale podkreślam - zatrzymanie może nastąpić dopiero po podłożeniu bomby, w żadnym przypadku wcześniej.

„Koledzy, którzy właśnie przybyli z Ulsteru” - dopiero teraz do mnie dotarło, że to Euan i ja.

- Aresztowanych przekazujemy natychmiast w ręce przedstawicieli władz cywilnych. Osobom dokonującym zatrzymania zapewnia się normalną ochronę wobec władz sądowych, a więc nie będą one powoływane na świadków i wzywane na przesłuchania. I jeszcze jedno, koledzy z Ulsteru nie biorą, powtarzam - nie biorą udziału w zatrzymaniu i nie uczestniczą w ewentualnym starciu. Mam nadzieję, że panowie domyślają się, dlaczego - uśmiechnął się wymownie. - To byłoby wszystko - zakończył, ale spojrzawszy na naszego dowódcę, dorzucił jeszcze: - Francis, rozumiem, że za dziesięć minut odlatujemy do Lyneham, a tam już czeka hercules.

Trzy godziny później znaleźliśmy się na pokładzie herculesa, transportowca C130, który wystartował z Lyneham z bazy RAF-u. Euan zamartwiał się, że ubrudził sobie nowiutkie adidasy, Kev sprawdzał broń i, co ważniejsze, przynajmniej w moim przekonaniu, zawartość toreb sanitarnych. W razie czego chciałbym dostać kroplówkę bez żadnej zwłoki.

Wylądowaliśmy o wpół do dwunastej w nocy, w czwartek, 3 marca. Miasto jeszcze nie spało, wszędzie paliły się światła. Na lotnisku czekano na nas i natychmiast przewieziono do koszar, a ściślej do bazy Royal Navy - HMS Rooke, gdzie przydzielono nam sześć pomieszczeń w budynku mieszkalnym. Podzieliliśmy je na część sypialną, kuchenną, no i oczywiście operacyjną i tak to się zaczęło. Najpierw do pracy wzięli się chłopcy z łączności. I wkrótce rozdzwoniły się telefony, zaczęły funkcjonować teleksy, łącza satelitarne i wszystko, co zwykle instaluje się w takich okolicznościach.

Przy kolacji Simmonds poinformował, że według ostatnich doniesień wywiadu ekipa terrorystów będzie liczyć nie dwie, ale trzy osoby.

- Trzecią, która najpewniej obejmie dowództwo, jest niejaka Mairead Farrell. Za godzinę powinniśmy mieć zdjęcie. Tymczasem mogę powiedzieć, że to kawał wyjątkowo wrednej d... - zawiesił głos dla większego efektu - ...damy - dokończył. - Klasa średnia, trzydzieści jeden lat, była uczennica szkoły prowadzonej przez zakonnice.

Gdy umilkł śmiech dorzucił jeszcze kilka danych:

- Dziesięć lat za podłożenie bomby w hotelu „Conway” w Belfaście w siedemdziesiątym szóstym. Pierwsze kroki po wyjściu z więzienia skierowała do... PIRA, od razu wznowiając działalność terrorystyczną. Jej narzeczony, niejaki Brendan Burns - dodał Simmonds z niewyraźnym uśmiechem - zginął niedawno w wyniku przypadkowej eksplozji ładunku wybuchowego.

Jeszcze zanim poszliśmy spać chłopak z łączności dostarczył nam mapy Gibraltaru, a przy okazji doniósł, że „Firma ma już konkretne zamiary na klientów”.

- Na mapach szczegółowo rozrysowaliśmy wszystkie trasy od granicy do placu - wyjaśnił. - Reszta tylko w zarysie. Główne punkty mają odpowiednie kryptonimy.

Główne punkty - dobre sobie. Spojrzałem na załączoną listę, ponad setka nazw do wykucia na blachę i to zaraz. W porównaniu z tym konfrontacja z PIRA to doprawdy drobnostka.

- Macie pytania, chłopcy?

- Mamy - odparł Kev - trzy sprawy: gdzie śpimy, gdzie sramy i gdzie jest herbata?

Nazajutrz rano pobraliśmy broń i udaliśmy się na strzelnicę. Czterech chłopaków z oddziału antyterrorystycznego przywiozło własne pistolety, bo nasze zostały w Londonderry, co zresztą nie miało większego znaczenia. Sądzi się na ogół, że jak już ktoś w pułku przyzwyczai się do jakiejś konkretnej broni, to już niczego innego nie weźmie do ręki. Jednak wcale tak nie jest. Nikt specjalnie nie wybrzydza, bierze się, co jest i jeśli tylko broń odpala, a pociski trafiają tam,

gdzie się mierzy, to człowiek jest zadowolony.

Na strzelnicy każdy robił swoje. Chłopcy z antyterrorystycznego chcieli przede wszystkim sprawdzić magazynki i w ogóle upewnić się, czy sprzęt jest w porządku po podróży. My z Euanem też, a ponadto chcieliśmy przestrzelać nową bronią i przekonać się, jak się sprawuje na różnych dystansach. Najpierw więc wystrzelaliśmy po magazynku, żeby się upewnić, czy wszystkie mechanizmy funkcjonują jak należy, a następnie urządziliśmy sobie strzelanie na odległość - na pięć, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia i dwadzieścia pięć metrów. Chodzi o to, żeby zawsze mierzyć w ten sam punkt i sprawdzać rozrzut. Tym sposobem ustaliliśmy, że na piętnaście metrów lepiej mierzyć wyżej, bo pocisk pada znacznie niżej niż wtedy, gdy strzela się na krótszy dystans. Każda broń jest inna, każda ma swoją własną charakterystykę, więc zawsze lepiej jest poćwiczyć. Na strzelnicy zeszła nam dobra godzina.

Potem wyczyściliśmy broń, ale bez rozkładania. Nie ma sensu rozkładać pistoletu, gdy ma się pewność, że wszystko działa jak należy, więc tylko przeczyściliśmy komorę naboju i usunęliśmy nagar.

Zaraz potem zabraliśmy się do wkuwania mapy, co oczywiście robi się w terenie, przy okazji zaś sprawdzaliśmy łączność, notując w pamięci miejsca, gdzie fale znikają. Byliśmy jeszcze w mieście, gdy po południu, o drugiej, Alfa - koordynator operacji - wezwał wszystkich do natychmiastowego zameldowania się w sztabie.

Simmonds czekał już w sali odpraw, był spięty. Jak wszyscy, spał tylko parę godzin, ale coś się musiało wydarzyć, bo był wyraźnie nie w humorze. W sztabie zrobiło się tłumniej i głośniejsze. Simmonds, nie ogolony, z dwudniowym zarostem, trzymał w ręku plik papierów, a chłopcy z wywiadu przynosili nowe dokumenty. Nam rozdano kopie planów operacji, oznaczonej już oficjalnie kryptonimem „Falvius”.

- Mniej więcej półtorej godziny temu - oznajmił Simmonds - Savage i Mc-

Cann przeszli przez odprawę paszportową w Maladze. Przylecieli rejsem z Paryża. Odebrała ich Farrell. Nie wiemy, skąd się tam wzięła, ale oznacza to, że oddział jest w komplecie. Powstał wszakże mały problem - Hiszpanie zgubili ich ślad. Wiemy tylko, że odjechali z lotniska taksówką. Wystawiliśmy już czujki na przejściu granicznym. Nic nie wskazuje na to, aby terroryści zamierzali odstąpić od planowanego zamachu. Ale - zawiesił głos, spoglądając na każdego z nas po kolei - otrzymałem właśnie dwie niezwykle istotne wiadomości. Po pierwsze, nie będzie samochodu blokującego miejsce planowanego zamachu. Wymagałoby to bowiem dwukrotnego przekraczania granicy, a nasi klienci wolą ograniczyć ryzyko. Trzeba więc założyć, że ładunek będzie się znajdował w samochodzie, którym będą podróżowali. Po drugie, bomba zostanie odpalona ręcznie, za pomocą zdalnego detonatora. Terrorystom chodzi o to, aby wybuch nastąpił w ściśle określonym momencie, zrezygnowali więc z mechanizmu zegarowego. Proszę więc pamiętać, że każdy z nich może mieć w kieszeni zapalnik, a nasze zadanie polega na tym, aby nie dopuścić do eksplozji. Stawką jest życie setek osób.

Obudził mnie huk silników lądującej maszyny. Spojrzałem na zegarek, minęła szósta, spałem trzy godziny. Dzień jeszcze się nie zaczął, ale deszcz zelżał.

- Kelly, Kelly, obudź się, czas wstawać. - Potrząsnąłem małą.

- Już, już. - Usiadła, przecierając oczy.

Zacząłem doprowadzać ją do porządku, żeby nie wyglądała jak półtora nie-szczęścia, gdy znajdziemy się w hali. Oboje powinniśmy prezentować się przyzwoicie.

Wysiedliśmy, sprawdziłem, czy wzięliśmy wszystko i czy na siedzeniach nie zostało nic, co mogłoby przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę - na przykład zestaw wytrychów do zamka - i dopiero wtedy zamknąłem samochód. Poszliśmy na przystanek autobusu dowożącego pasażerów z parkingu na lotnisko.

W hali panował już zwykły o tej porze ruch. Odprawiali się przede wszystkim podróżujący służbowo, którym zależało na czasie. Inni, głównie zresztą młodzi

ludzie z plecakami, czekali na połączenia. Wielu porozkładało śpiwory na krzesłach i drzemało. Uwijali się sprzątający, wyposażeni w mechaniczny sprzęt.

Przy wejściu wziąłem gratisowy egzemplarz magazynu lotniskowego. Przejrzałem rozkład lotów. Najbliższy samolot do Londynu odlatywał o piątej po południu. Zapowiadało się więc długie czekanie.

Popatrzyłem na Kelly - nam obojgu przydałoby się solidne mycie. Zjechałiśmy więc na dolną kondygnację, do hali przylotów. W automacie kupiłem zestaw z przyborami do golenia, pastą i szczoteczkami do zębów i poszliśmy do toalety. Zamknęliśmy się w jednej z kabin przeznaczonych dla niepełnosprawnych.

Ogoliłem się, Kelly umyła buzię. Kawalkiem papieru toaletowego usunąłem błoto z naszych butów, doprowadziłem małą do porządku, uczesałem ją, a na włosy założyłem przepaskę, żeby nie było widać, jak bardzo są tłuste. Zadrapania na twarzy goiły mi się całkiem przyzwoicie, choć musiałem jeszcze uważać, bo ciągle trochę bolało. Po półgodzinnych zabiegach staliśmy się podobni do ludzi.

- Gotowa?

- Lecimy do Anglii?

- Jeszcze nie w tej chwili, jeszcze coś trzeba załatwić. Idziemy! - Pociągnąłem ją delikatnie za włosy, w przepasce prezentowała się niezłe i choć zrobiła obrażoną minę, spodobała jej się zaczepka.

Skierowałem się ku wielkim panoramicznym oknom wychodzącym na pasy startowe. Wiele osób zachodzi tam, aby popatrzeć na samoloty, więc nikt na nas nie zwróci uwagi. Mnie tymczasem przyświecał zupełnie inny cel.

Po drodze wstąpiliśmy do Federal Express. Wypełniłem stosowny formularz, w odpowiednią rubrykę wpisałem numer karty kredytowej Ala - nie zbiednieje, a zresztą dorobił się dzięki mnie.

- Do kogo piszesz? - zainteresowała się Kelly.

- Do nikogo, chcę tylko wysłać to do Anglii. - Pokazałem jej dyskietki. - Wolę nie mieć ich przy sobie.

- Rozumiem, ale do kogo je wysyłasz? - Coraz bardziej upodobniała się do Keva.

- Nie bądź taka ciekawa.

Zakleiliśmy pakiet, zaadresowałem. Dawniej, gdy nie było komputerów, komórek i w ogóle tych wszystkich cudów elektronicznych, z zasady korzystaliśmy z Federal Express, gdy chcieliśmy przekazać materiały do Centrali. Dziś jest inaczej, wszystko się zmieniło, choćby robienie zdjęć w czasie rozpoznania obiektu. Dawniej wywoływało się filmy w hotelowej łazience i niosło zdjęcia właśnie do Federal Express. Dziś pstryka się kamerą cyfrową i wysyła z komórki prosto do Londynu.

Rozglądałem się za odpowiednim miejscem przy oknach i w końcu znalazłem wolne krzesła, w pobliżu których - bo o to mi naprawdę chodziło - było w ścianie gniazdko elektryczne. Obok drzemali dwaj młodzi ludzie.

- Usiądziemy tu, chciałbym coś obejrzeć w komputerze.

Wyjąłem laptopa, podłączyłem. Kelly zaczęła marudzić, że jest głodna.

- Daj mi pięć minut - poprosiłem i zabrałem się do czytania.

Było jasne, że Gibraltar był od początku ustawiony. Nadal jednak nie rozumiałem roli Keva. W miarę czytania rozjaśniało mi się w głowie.

Otóż pod koniec lat osiemdziesiątych Margaret Thatcher zaczęła wywierać naciski na ówczesnego prezydenta Ameryki, George'a Busha, w sprawie milionów dolarów, jakie Amerykanie irlandzkiego pochodzenia zbierali w ramach Noraid i wykładali na potrzeby PIRA. Bush znalazł się w niewygodnej sytuacji, bo właśnie zaczynała się kampania wyborcza, a głosy „Ajryszów” miały olbrzymie znaczenie. Znalaziono jednak pewne rozwiązanie. Londyn miał dostarczyć przekonujące dowody, iż fundusze z Noraid idą na zakup narkotyków, a to oznaczałoby kompromitację PIRA w oczach amerykańskich sympatyków i rozwiązywałoby ręce Bushowi. W końcu, kto śmiałby się poskarżyć, że władze Stanów Zjednoczonych walczą z groźnymi prochami?

Nasz wywiad zaczął więc gromadzić materiały świadczące o tym, że PIRA

bierze udział w handlu narkotykami i że towar jest kierowany przez Gibraltar. Wszystko było na najlepszej drodze aż do 6 marca, kiedy to sprawa się ryła. Biały Dom wycofał się z umowy. Irlandzkie głosy były bowiem zbyt ważne.

Z początkiem lat dziewięćdziesiątych w Białym Domu nastąpiła zmiana warty, w Londynie rządy objął nowy premier, a w Irlandii Północnej rozpoczął się proces pokojowy. Amerykanom dano do zrozumienia - i uczyniono to na najwyższym szczeblu - że jeśli nie wywrą stosownego nacisku na PIRA, aby wreszcie jej ludzie zasiedli do stołu obrad, to Londyn ujawni, co dzieje się z funduszami z Noraid, czyli na co naprawdę idą amerykańskie pieniądze. Wtedy okaże się, że mocarstwo, które wzywa do walki z narkotykami nie potrafi zrobić porządku na własnym podwórku. Groźba była więc poważna.

Tak doszło do kolejnego porozumienia. Clinton zgodził się, żeby Gerry Adams przyjechał do Ameryki, dzięki czemu zyskał sławę jako budowniczy pokoju, nie mówiąc już o tym, że zjednał sobie irlandzki elektorat, co też miało swoją wagę. Manewr z Adamsem pozornie miał dać do myślenia premierowi Majorowi, stosującemu określoną politykę wobec PIRA. W rzeczywistości Adamsowi stanowczo zapowiedziano, że jeśli PIRA będzie sabotować proces pokojowy w Ulsterze, to Waszyngton rozjedzie jego i jego organizację jak miękkie gówno.

Zaraz potem doszło do przerwania ognia w Ulsterze i wszystko zdawało się wskazywać, że wreszcie, po wielu latach bezowocnych wysiłków, zaczną się prawdziwe negocjacje. PIRA otrzymała obietnicę, że będzie miała wpływ na kształt układu pokojowego, którego ojcami byli Clinton i rząd brytyjski.

Ale 12 lutego 1996 roku w londyńskich dokach, a konkretnie na Canary Wharf eksplodował potężny ładunek wybuchowy. Zginęły co najmniej dwie osoby, a szkody oceniano na setki milionów funtów. Porozumienie o przerwaniu ognia zostało oczywiście zerwane i sprawy wróciły do poprzedniego stanu.

Na tym się jednak nie skończyło, o czym dowiedziałem się z materiału Keva. Odkrył on, że PIRA, nie bez powodzenia, a przeciwnie - całkiem skutecznie -

szantażowała pewne wysoko postawione osobistości w Gibraltarze. Gibraltar - wydaje się - nadal był postrzegany jako brama do Europy. Hiszpania przedstawiała zbyt duże ryzyko. Kev ustalił też, że PIRA w podobny sposób potraktowała pewne osobistości w Ameryce. Wszystko po to, aby interes mógł się kręcić bez przeszkód. Jedną z owych osobistości, jak twierdził Kev, należała do kierownictwa DEA. Kev jednak nie potrafił jej zidentyfikować, nie wiedział, o jaką konkretnie osobę chodzi.

Ja wiedziałem, więcej nawet, miałem dowód - fotografię jego szefa.

Wiedziałem też, po co McGear, Fernahan i Macauley jeździli do Gibraltaru. Jeździli tam, aby przedstawić komu trzeba propozycję nie do odrzucenia - szlak ma być otwarty, bo inaczej dokumenty, zdjęcia i inne dowody ujrzą światło dzienne. Kto wie, czy w tle tego wszystkiego nie leżały zbyt daleko idące finansowe żądania ze strony ETA.

Zamknąłem komputer. Trzeba wracać do Londynu i zobaczyć się z Simmondsem.

- Możemy teraz zjeść śniadanie? - Kelly miała dość czekania.

Poszliśmy do „Dunkin' Donuts”. Wypiła cały karton mleka, ja wziąłem kawę, a między siebie podzieliliśmy cały tuzin pączków.

O dziesiątej zeszliśmy do sali przylotów. Potrzebne nam były paszporty. Brytyjskie czy amerykańskie, wszystko jedno. Przejrzałem rozkład. Więcej szans, że trafią się amerykańskie, ponieważ wiele amerykańskich rodzin wracało do domu z wiosennych wakacji.

Witających było sporo, stali za barierkami po obu stronach wyjścia z odprawy celnej i paszportowej, trzymali w rękach bukiety kwiatów, robili zdjęcia. Usiedliśmy z Kelly z boku, niedaleko taśmociągu, którym wyjeżdżały bagaże pasażerów rejsów krajowych. Objąłem małą ramieniem i zacząłem jej szeptać do ucha. Ktoś postronny mógłby pomyśleć, że czekając na kogoś zabawiam dziecko, które się niecierpliwi. W rzeczywistości wtajemniczałem ją w plan kradzieży

dokumentów i szkolilem na złodziejkę.

- A więc jak, dasz radę?

Właśnie wylądowało kilka samolotów i pierwsza fala pasażerów ustawiła się po bagaż. Znalazłem wśród nich rodzinę, która z grubsza przynajmniej odpowiadała naszym wymaganiom.

- O, popatrz, ci mogliby się nadać, tylko że mają dwóch chłopców i żadnej córki. Chciałabyś przez jeden dzień uchodzić za chłopca?

- W żadnym razie. Chłopcy śmierdzą!

Powąchałem własną koszulę i nie mogłem się nie zgodzić.

- Zgoda, poczekamy.

Nie trwało to długo. Mieliśmy szczęście. Z samolotu z Frankfurtu, który właśnie wylądował, wysiadła rodzina wręcz idealna z naszego punktu widzenia. Rodzice przed czterdziestką, dwójka dzieci - córka i syn w wieku dziesięciu, najwyżej jedenastu lat. Co więcej, mama trzymała w ręku plastikową, przezroczystą torbę, a w niej wszystko to, co mogło nas zainteresować. Nie wierzyłem własnym oczom.

- Widzisz ich? - szepnąłem. - Oto, czego potrzebowaliśmy. Zaczynamy.

- Taak - odparła z pewnym wahaniem. Przypomniała mi się moja mama, która w takich wypadkach mawiała o słomianym zapale i trzęsących się portkach. Zadałem sobie w duchu pytanie, czy powinienem zmuszać Kelly. Mogłem się jeszcze wycofać, choć czasu zostało niewiele, bo oto cała rodzina skierowała się ku toaletom. A więc teraz albo wcale? Teraz, nie ma się co zastanawiać.

- Wejdzie razem z córką, a ty za nimi. - Pchnąłem lekko małą. - Jak już będziesz w środku najpierw sprawdź, czy nikt nie widzi. Pamiętaj.

Ruszyliśmy w ślad za całą czwórką. Mama i córka weszły do toalety, tata wraz z synem oddalił się. Może poszli po taksówkę albo na parking przyprowadzić samochód. My przeszliśmy przez męską toaletę i schowaliśmy się w jednej z kabin dla niepełnosprawnych.

- Poczekam tu na ciebie.

- Dobrze.

- Wszystko pamiętasz?

Z całą powagą kiwnęła głową.

- No to idź. - Wypuściłem świeżo przysposobioną agentkę i zostałem sam. Kabina była duża, przystosowana dla osób na wózkach inwalidzkich, więc najmniejszy szmer niósł się echem jak w wąwozie. Posadzka była wilgotna, pachniało chlorkiem, z tabliczki na drzwiach wynikało, że właśnie przed kwadransiem odbyło się sprzątanie.

Serce waliło mi jak młotem. Denerwowałem się nie bez przyczyny. Cała moja przyszłość zależała teraz od siedmioletniej dziewczynki, od tego, jak wykona to, co jej poleciłem. Miała pójść do damskiej toalety, wejść do kabiny sąsiadującej z tą, którą wybrała mama z córką, sięgnąć pod przepierzeniem po plastikową torbę, schować ją pod kurtkę i natychmiast wyjść, nie oglądając się za siebie. Niby proste, ale zarazem niesłychanie ważne. Bez paszportów nie ma mowy o wyjeździe, a wyjechać musimy, bo inna możliwość nie wchodzi w rachubę. Do Ala nie możemy wrócić. Sama podróż byłaby zbyt ryzykowna, a poza tym nie miałem pojęcia, czy się w coś nie wplątał. Jednym słowem, trzeba wyjechać i to zaraz, a do tego potrzebne są paszporty.

Myślałem właśnie o tym, gdy rozległo się nerwowe pukanie i wystraszony głos małej.

- Nickkkk!

Otworzyłem natychmiast. Wpadła do środka, jakby ją kto ścigał. Zatrzasnąłem drzwi, posadziłem ją obok siebie. Nie, nie zapomniałem zamknąć klapy.

- Spisałaś się na medal.

Nic nie odpowiedziała, patrzyła tylko wystraszonym wzrokiem. Ja też miałem duszę na ramieniu, bo doskonale wiedziałem, że zaraz zacznie się piekło.

I rzeczywiście, usłyszeliśmy, jak kobieta wypadła z toalety, krzycząc na cały korytarz:

- Złodzieje, ukradli mi torbę! Louise, gdzie jesteś? Louise?

- Mamo, mamo - rozległ się płacz i matka wraz z córką wybiegła z toalety.

Nie ruszaliśmy się z Kelly ze swego miejsca. Trzeba odczekać, przed toaletą pewnie zebrał się już tłumek, a jeśli nie, to i tak wszyscy gapią się w tę stronę. Lepiej zaczekać i korzystając z chwili wolnego czasu obejrzeć zdobycz.

Okradliśmy panią Fionę Sandborn i jej rodzinę. No i dobrze. Gorzej, że pan Sandborn nie wyglądał na zdjęciu jak pan Stone, czyli ja. Nie szkodzi, poradzimy sobie z tym. Kłopot w tym, że w paszporcie pana Sandborna figurowała dwójka dzieci.

Wyjąłem z torby pieniądze, wziąłem także okulary Fiony Sandborn. Rozglądałem się, gdzie ukryć torbę. Znow problem. Spłuczka, do której chciałem ją wrzucić znajdowała się za ścianą. Na razie wstałem, małej też kazałem wstać i nasłuchiwałem, co się dzieje za drzwiami.

Nietrudno było się tego domyślić. Kobieta sprowadziła policjanta, ten spisuje protokół, zapewne zaraz przystąpi do wizji lokalnej, czyli wejdzie do toalety i zacznie zaglądać do kabin. Zacząłem się pocić.

Nasłuchiwałem przez dłuższy czas. Wydawało mi się, że minęła cała godzina. W pewnym momencie Kelly nie wytrzymała, spytała szeptem, czy możemy już wyjść.

- Jeszcze trochę.

I właśnie w tej chwili ktoś wszedł do środka, zaczął walić w drzwi i zaglądać do kabin. Szukano pewnie winowajcy lub - co bardziej prawdopodobne - rozglądano się za torbą podejrzewając, że złodzieja interesowały wyłącznie pieniądze i że całą resztę gdzieś podrzucił. Za sekundę zaczęły dobijać się do nas.

- Kelly, jak zapukają do nas masz odpowiedzieć - szepnąłem.

Rozległ się łomot, a przynajmniej mnie się tak wydawało, a zaraz potem energiczny głos oznajmił:

- Policja. Jest tam kto?

- Powiedz, że zaraz - poinstruowałem małą.

- Zaraz wyjdę! - krzyknęła.

Policjant poszedł dalej. Najgorsze minęło, a przynajmniej taką miałem nadzieję.

Tymczasem musiałem się jeszcze pozbyć pistoletu i magazynków. Jedno i drugie wsunąłem do torby Fiony, a całość do pojemnika na śmieci.

Odczekaliśmy jeszcze godzinę, zanim uznałem, że można wyjść.

- Od dziś nazywasz się Louise, Louise Sandborn.

- Niech będzie. - Kelly nie okazała zdziwienia.

- Moja panno, uśmiech na buzi i wesołe spojrzenie. - Zrzuciłem torbę na ramię, wziąłem małą za rękę. - W porządku, wyruszamy.

- Do Anglii?

- Do Anglii, ale najpierw musimy dostać się do samolotu. Nawiasem mówiąc, byłaś wspaniała, spisałaś się na medal.

O wpół do dwunastej znaleźliśmy się znów w hali odlotów. Najbliższy samolot - rejs BA216 - odlatywał na Heathrow o 17.10, a więc mieliśmy przed sobą kilka dobrych godzin oczekiwania.

Poszliśmy tymczasem do telefonu i zaczęliśmy obdzwaniać linie lotnicze, korzystając z numerów zamieszczonych w magazynie lotniskowym. Okazało się, że w samolocie British Airways, tym o 17.10, nie ma wolnych miejsc. Następny rejs tej samej linii o 18.10 miał także komplet. Tak samo było z rejsami United Airlines o 18.10 i 18.40. Dostaliśmy wreszcie dwa ostatnie miejsca na lot Virgin Airlines o 18.45. Podałem dane według paszportu pana Sandborna uprzedzając, że odbierze on bilety bezpośrednio na lotnisku. Wymieniłem też numer karty kredytowej Ala.

Sprawdziłem stanowisko Virgin Airlines w sali odlotów. Wywieszka głosiła, że będzie czynne od wpół do drugiej, a więc za półtorej godziny.

Terry Sandborn był trochę starszy ode mnie, nosił długie włosy do ramion, nieco już przyprószone siwizną. Ja zaś miałem włosy ledwie do ucha i w dodatku brązowe. Paszport, na szczęście, pochodził sprzed czterech lat.

Ku ucieście Kelly i lotniskowego fryzjera zafundowałem sobie całkiem nową fryzurę. Kazałem się ostrzyć krótko, niemal na łąsą pałę, na modłę amerykańskich żołnierzy piechoty morskiej.

Zaraz potem wstąpiłem do kiosku i poprosiłem o środki przeciwbólowe. Dano mi coś, co - sądząc z załączonej ulotki - znakomicie pomagało na bóle menstruacyjne. Bardziej wszakże interesował mnie skład leku, a ten okazał się w sam raz.

Niepokoilem się oczywiście, czy nas nie namierzają w związku z paszportem, ale założyłem, że policja uznała, iż złodziejowi zależało wyłącznie na pieniądzech, więc sprawę paszportu, zawiadomienia stosownych władz zostawiła Sandbornom. Liczyłem na to, że zanim linie lotnicze i straż graniczna otrzymają odpowiedni komunikat my będziemy już daleko. Zresztą przekonamy się o tym niebawem, przy odbiorze biletów.

Stanowisko Virgin Airlines otwierano za pół godziny. Czas na ostatnią czynność.

- Kelly, idziemy do toalety.
- Nie potrzebuję.
- Ale ja potrzebuję, zresztą zobaczysz.

Poszliśmy znów do kabiny dla niepełnosprawnych. Najpierw przymierzyłem okulary Fiony. Miały bardzo grube szkła, co bardzo mi odpowiadało. Złote ramki były trochę za małe, ale trudno. Zrobiłem zeza, spojrzałem zza szkieł na małą. Myślałem, że pęknie ze śmiechu.

Potem wyjąłem fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi.

- Muszę to zażyć - uprzedziłem małą - będę po tym wyglądał nie najlepiej, ale tak trzeba.

Połknąłem sześć tabletek i przysiadłem na sedesie, czekając na efekt. Po chwili zrobiło mi się gorąco, a zaraz potem wystąpiły zimne poty. O to właśnie chodziło, i o coś jeszcze. Zdażyłem unieść kciuk w górę na znak, że wszystko jest w porządku, gdy zaczęły się mdłości. Całe śniadanie - pół tuzina pączków i kawa - spływały do sedesu.

Ku przerażeniu małej rzygałem jak kot. Warto było. Sprawdziłem w lustrze, wyglądałem jak wymoczek, tak się też czułem. Na wszelki wypadek wziąłem jeszcze dwie tabletki.

Przy odprawach kręciło się kilku pasażerów, a przy stanowisku Virgin Airlines nie było nikogo. Kasjerka, przystojna, dwudziestokilkuletnia Murzynka, coś pilnie notowała. Nawet nie zauważyła, gdy podeszliśmy.

- Dzień dobry, moje nazwisko Sandborn. - Po tabletkach z kodeiny głos mi się zmienił, stał się niższy i chrapliwy. - Szwagier zamawiał dla nas dwa bilety na lot o osiemnastej czterdzieści pięć.

- Ma pan numer rezerwacji?

- Przykro mi - nie, ale proszę sprawdzić pod nazwiskiem. Sandborn.

Postukała w komputer.

- Tak jest, panie Sandborn, dwa bilety, dla pana i dla Louise. Bagaż?

Miałem torbę i laptopa w futerale. Odegrałem scenkę, że niby się zastanawiam, czy laptop będzie mi potrzebny w czasie lotu i oddałem torbę. Była lekka, ale za sprawą płachty fotograficznej w środku wyglądała na spory bagaż.

- Proszę paszport.

I znów odegrałem komedię. Najpierw zacząłem szukać w kieszeniach, że niby nie pamiętam, gdzie go wetknąłem, a jednocześnie wdałem się w rozmowę.

- Szwagier mi mówił, że dostaliśmy dwa ostatnie miejsca i dzięki Bogu, ale proszę sprawdzić, czy są obok siebie. Mała bardzo boi się latać - wyjaśniłem konfidencjonalnym szeptem. - Bądź cierpliwa, córeczko. - Poglaskałem Kelly, a zwracając się do recepcjonistki dodałem: - Wie pani, lecimy w takiej przykrew sprawie. - Zrobiłem bolesną minę, spojrzałem wymownie na małą, potem znów na moją rozmówczynię. - Jej babcia... - dla większego wrażenia zawiesiłem głos, dając jakby do zrozumienia, że nie powinienem o tym mówić przy dziecku.

- Zaraz sprawdzę.

Zaczęła przyciskać klawisze komputera z niebywałą szybkością. Ja tymcza-

sem wyciągnąłem wreszcie paszport i położyłem na ladzie.

- Wszystko w porządku, panie Sandborn, dwa miejsca obok siebie - uśmiechnęła się, nie biorąc paszportu do ręki.

- Och, to dobrze, bardzo pani dziękuję. Proszę mi powiedzieć, czy mogliśmy skorzystać z państwa klubowej poczekalni? Widzi pani, po chemoterapii łatwo się męczę, a dziś mieliśmy ciężki dzień i nie najlepiej się czuję.

Kobieta spojrzała na mnie ze szczerym współczuciem.

- Moja mama też przez to przechodziła. Miała guza na wątrobie, ale chemia pomogła - dodała mi otuchy, a ja podziękowałem za zrozumienie, myśląc w duchu o jednym: niech mnie ta kurwa wpuści do poczekalni klubowej, żebym nie musiał więcej szwendać się po całym lotnisku.

- Dowiem się, proszę sekundę poczekać - obiecała, obdarzając Kelly promiennym uśmiechem. Podniosła słuchawkę, wymieniła z kimś kilka słów w niezrozumiałym dla mnie żargonie lotniczym i gestem dała do zrozumienia, że sprawa jest załatwiona. - Nie ma przeszkód, panie Sandborn, mamy wspólny klub z United Airlines, zaraz wypiszę panu kartę.

Zacząłem wylewnie dziękować, recepcjonistka sięgnęła po paszport. Ufałem, że jesteśmy już w takiej komitywie, że tylko rzuci okiem i już. Na wszelki wypadek odwróciłem się do Kelly opowiadając, jak to wspaniale, że już niedługo zobaczymy babcię.

- Zapraszamy na pokład o siedemnastej trzydzieści. - Odwróciłem się z wdzięcznym uśmiechem. - A teraz proszę udać się do przejścia C, stamtąd odjeżdża autobus do naszego klubu. Życzę przyjemnego lotu.

- Bardzo pani dziękuję. Louise, ukłoń się.

Marzyłem tylko o jednym, żeby wreszcie znaleźć się po drugiej stronie. Tymczasem było jeszcze kilka przeszkód do pokonania. Pierwsza to przejście przez bramkę ochroniarzy i kontrola bagażu. Puściłem Kelly przodem. Po drugiej stronie kazali mi otworzyć i włączyć laptopa. Normalka, zawsze tak sprawdzają, byłem więc przygotowany. Plik „Flavius” był już w katalogu „Gry”.

Poszliśmy do autobusu przy wyjściu C. Chwilę trzeba było poczekać, aby zebrało się więcej pasażerów, wreszcie ruszyliśmy do właściwej hali odlotów, która na Dulles mieści się przy pasach startowych.

Ruch był spory, wewnątrz bardzo eleganckie. Sądząc po akcencie większość pasażerów to Brytyjczycy, ale także sporo Niemców i Francuzów. Udaliśmy się z małą do klubu United, zatrzymując się na chwilę przy barze.

Kelly wzięła colę, ja cappuccino i usiedliśmy w kącie. Zacząłem analizować w myślach, czy nie popełniłem jakiegoś błędu.

Wszedł właśnie facet z identyfikatorem ochrony lotniska. Skierował się do recepcji, o czymś rozmawiał, a mnie serce podeszło do gardła. Samolot stał niedaleko, na wyciągnięcie ręki - chciałoby się powiedzieć - a jednocześnie był jakby w zupełnie innym świecie.

Tłumaczyłem sobie, że nie powinienem się denerwować, bo gdyby rzeczywiście chciano nas zatrzymać, to uczyniono by to już wcześniej. Logika logiką, ale nie potrafiłem stłumić niepokoju. Droga jeszcze daleka, różnie może się zdarzyć. Pociłem się, we łbie mi się kręciło. Nie wiedziałem, czy od tabletek, czy zwyczajnie ze strachu.

- Nick, czy nadal mam być Louise, czy już wystarczy?

Udałem, że się głęboko zastanawiam.

- Do końca dnia. Do końca dnia jesteś panną Louise Sandborn.

- Czemu?

- Inaczej nie wpuszczą nas do Anglii.

Nie wiem, czy wyjaśnienie było przekonujące, ale mała uśmiechnęła się i kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- I jeszcze jedno, kiedy ja mówię do ciebie „Louise”, to ty musisz do mnie mówić „tato”. Tak się umawiamy, dobrze? Do końca dnia.

Nie byłem pewny, czy się zgodzi, ale ona tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Dobrze.

Być może było jej to potrzebne.

Trzy godziny, które trzeba było odczekać w klubie okazały się okropne. Gdybym miał słabsze serce pewnie bym się wykończył. Ciśnienie mi skoczyło, puls przyśpieszył. Jedyna pociecha, że w klubie mało kto nas widział.

Przekonywałem się w duchu, że skoro nic nie mogę zrobić, to powinienem się uspokoić i nie przejmować. Byle tylko dostać się do tego cholernego samolotu.

- Dobrze się czujesz, Louise?

- Tak, tato - odparła z szerokim uśmiechem. Oby tak dalej.

Nastał wreszcie czas odlotu. Recepcjonistka zaprosiła nas na pokład dziękując, że zaszczyciliśmy klub naszą obecnością. Poza nami kilkanaście osób zaczęło się szykować do wyjścia.

- Louise.

- Proszę?

- Pora lecieć do Anglii.

Trzymając się za ręce, przykładowie jak tata z córką, ruszyliśmy do wyjścia. Gadałem po drodze jak najęty, na wszelki wypadek, żeby nikt nas nie zaczepiał.

W kolejce stało pięć, może sześć osób. Cywil o latynoskich rysach sprawdzał paszporty, ale nim przyszła nasza kolej dołączyło do niego jeszcze dwóch umundurowanych funkcjonariuszy z ochrony. Gadali o czymś z podejrzanym ożywieniem. Rękawem otarłem pot z czoła.

Mundurowi - jeden biały, drugi Murzyn - mieli broń. Czarny musiał powiedzieć coś śmiesznego, bo biały zaśmiał się głośno i potoczył wzrokiem dookoła. Kolejka przesunęła się do przodu.

Przyciągnąłem Kelly do siebie jak rodzic, który chroni dziecko w tłumie. Laptop dyndał mi na ramieniu, mała ścisnęła misie.

Jeszcze tylko jedna osoba i nasza kolej.

Uśmiechnąłem się, podałem paszport i karty pokładowe. Czuję na sobie wzrok mundurowych, byłem pewien, że mnie obserwują. Niczym bokser w ringu

całą uwagę skupiłem na Latynosie. Na czole poczułem krople potu. Zorientowałem się, że je zauważył. Nie mógł również nie spostrzec, że z trudem łapię powietrze.

Kelly trzymała się pół kroku z tyłu. Odwróciłem się do niej.

- Panie Sandborn.

Zamarłem, wstrzymałem oddech, podniosłem wzrok.

- Tylko paszport - powiedział i oddał mi karty pokładowe. Uśmiechnąłem się niepewnie, jak ktoś, kto boi się latać.

Spojrzał na zdjęcie w paszporcie, potem na mnie, potem znów na zdjęcie.

Kurwa, dopadł mnie.

- Męska menopauza, wie pan, jak to jest - zaśmiałem się głupawo. - Kazałem się zrobić na Bruce'a Willisa. - Poglaskałem się znacząco po wystrzyżonych prawie na pałę włosach sugerując, że zdjęcie jest nieaktualne, ale to naprawdę ja.

Nie zareagował. Zastanawiał się. Ważył decyzję. Wreszcie zamknął paszport.

- Przyjemnego lotu - powiedział i oddał mi dokument.

Skinąłem głową, ale nie patrzył już na mnie, zajął się następną osobą w kolejce.

Przeszliśmy do przodu, podałem karty pokładowe stewardesom, mundurowi z ochrony nawet nie mrugnęli.

Byliśmy już w rękawie. Czuję się tak, jakbym raptem wydostał się z bagna na brzeg. Chciało mi się biec, ale oczywiście kroczyliśmy spokojnie, jak wszyscy inni.

Ciągle jednak niepokoił mnie Latynos z kontroli paszportowej. Wyraźnie miał wątpliwości, więcej nawet - zaczął chyba coś podejrzewać. Ciekawe, że o nic nie pytał. Nawet jeśli wydostaliśmy się z bagna na brzeg, to do suchego lądu jeszcze spory kawałek.

Znaleźliśmy nasze miejsca, wcisnąłem laptopa do schowka nad siedzeniem, usiedliśmy, wziąłem do ręki kolorowy magazyn i głęboko odetchnąłem. Groźba jeszcze nie minęła, trzeba podnieść poziom tlenu we krwi.

Samolot powoli zaczął się zapelniać. Stewardesy liczyły pasażerów, sprawdzały, czy ich liczba zgadza się z listą. Za każdym razem serce podchodziło mi do gardła, bałem się, że zza pleców stewardes wyskoczą faceci w mundurach. Cały czas powtarzałem sobie w myśli, że i tak nic nie mogę zrobić. Byłem pasażerem i tyle. Zawsze podczas lotu, czy to samolotem cywilnym czy wojskowym, miałem świadomość, że mój los jest w cudzych rękach, że nie mam wpływu na nic, bo całkowicie i bez reszty zależę od innych.

Nadal jeszcze wsiadali pasażerowie. Gdy z głośników dobiegła piosenka Glorii Gaynor „I Will Survive”³ ogarnął mnie pusty śmiech. Zerknąłem na Kelly, była zachwycona, mościła właśnie misie na siedzeniu.

Steward zaczął sprawdzać, czy wszyscy zapięli pasy, a przynajmniej robił takie miny i gesty, jakby właśnie po to przemierzał całą kabinę. Zaniepokoiło mnie, że miał jeszcze na sobie wyjściową marynarkę. Pasy zwykle sprawdza się tuż przed startem, a wtedy załoga przebiera się w robocze stroje. Steward mógł więc szukać czegoś lub kogoś. Jeszcze bardziej się zdenerwowałem, kiedy przystanął przy naszych fotelach. Popatrzył, uśmiechnął się i zaraz potem znikł za kotarą.

I znów serce podeszło mi do gardła, spodziewałem się najgorszego. Tym bardziej że właśnie jedna ze stewardes wyjrzała zza kotary, patrząc uważnie na nas. Wątpię, żeby zainteresowały ją misie Kelly.

Ścisnęło mnie w dołku, nogi zaczęły drżeć. Stewardesa zniknęła, ale zza kotary wychynął steward. Niósł coś w plastikowej torbie. Przykucnął przy nas.

- Cześć - zwrócił się do małej.

- Cześć.

Sięgnął do torby. Oczami wyobraźni widziałem już, że wyciąga broń. Nieźle to sobie wymyślili! Mundur stewarda miał mnie zmylić, uspić moją czujność!

Tymczasem w ręku stewarda znalazła się niewielka nylonowa torebka z logo Virgin i napisem „Dla podniebnych dzieci”.

³ I Will Survive - (ang.) A jednak przetrwam (przyp. tłum.).

- To dla ciebie - wręczył prezent małej.

Gotów byłem go uściskać.

- Bardzo panu dziękujemy - wymamrotałem. - Dziękujemy bardzo - powtórzyłem.

Widać było, że stara się na mnie nie patrzeć. Po chwili zaczęto częstować napojami przed startem. Marzyłem o piwie, ale to byłoby wbrew roli, którą grałem. Wziąłem więc sok pomarańczowy.

- Co wybierasz? - zaczęliśmy z Kelly przeglądać program seansów na pokładzie.

- „Clueless”.

- Niech ci będzie.

Dwadzieścia minut później, punktualnie i zgodnie z rozkładem, samolot wystartował. Po raz pierwszy w życiu nie przeszkadzało mi, że wszystko jest w rękach pilota.

36

Wysłuchaliśmy całej tej nonsensownej formułki powitalnej w wykonaniu kapitana, który zapewnił, że miło mu nas gościć na pokładzie, że polecimy na takiej i takiej wysokości z taką i taką prędkością, i że dadzą posiłek, i w ogóle. Z wolna napięcie ustępowało, przestałem się wreszcie pocić, a zlany byłem potem od stóp do głów. Nawet skarpetki można by wyjąć. Kelly miała smutną minę.

- Co ci jest? - Dałem jej lekkiego kuksańca w bok.

- Nic, tylko mi smutno, że nie pożegnałam się z Melissą. Nawet jej nie powiedziałam, że jadę do Anglii.

- Wiesz, jaka jest na to rada? - Zdobyłem już stosowne doświadczenie. - Pomyśl sobie o różnych dobrych rzeczach, które wspólnie z nią robiłaś, a zaraz zrobi ci się weselej. - Wiedziałem jednak, że na tym się nie skończy.

- A ty? - spytała mała. - O czym myślisz, gdy jest ci smutno? O Dawidzie? A

co takiego robiliście razem?

Miałem gotową odpowiedź.

- Wiesz - zacząłem opowiadać - jakieś dwanaście lat temu, kiedy pracowaliśmy razem, Dawid remontował dom i potrzebne mu były deski na podłogę.

Mała uwielbiała słuchać różnych historyjek, zwłaszcza na dobranoc. Widać było, że oczy jej się kleją. Przytuliła się mocniej do mnie, a ja ciągnąłem swoją opowieść o tym, jak gwizdaliśmy całą podłogę z sali do squasha w jednej z baz sił bezpieczeństwa w Ulsterze, kiedy służyliśmy. Wyprawiliśmy się o trzeciej nad ranem, ze wszystkim co trzeba - młotkami, dłutami, obcęgi. Zdemonstrowaliśmy całą podłogę, załadowaliśmy do furgonetki i przewieźliśmy do domu do Anglii. Nie, nie mieliśmy wyrzutów sumienia ani niczego podobnego. Rząd Jej Królewskiej Mości włożył wiele trudu i pieniędzy w to, aby nas nauczyć, jak się włamywać do rozmaitych pomieszczeń i wynosić stamtąd różne rzeczy. Co w tym złego, że skorzystaliśmy z tej wiedzy na prywatny użytek? Przez trzy następne dni pracownicy układaliśmy podłogę w domu Euana w pobliżu Brecon. Prezentowała się znakomicie.

Chciałem spytać małą, jak jej spodobała się moja opowieść, ale spała już jak suseł.

Mnie też oczy się zamykały, ale nadal działały tabletki, którymi się nafaszerowałem, a przede wszystkim dręczyło mnie pytanie, na które ciągle jeszcze nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Nie miałem już wątpliwości co do tego, że między PIRA a skorumpowanymi agentami DEA zawiązało się przymierze. Wydawało się też, że centralną postacią tego związku był szef Keva. Kev natrafił na ślady korupcji, ale nie wiedział, kto konkretnie jest w nią zamieszany. Chciał się z kimś podzielić swoim odkryciem. Czy należy przyjąć, że owym kimś był szef, że Kev zadzwonił do niego akurat w dniu mojego przyjazdu? Jest to raczej nieprawdopodobne, bo Kev nie mógł jednak wykluczyć szefa z listy podejrzanych. Porozumiał się więc - i to jest bardziej prawdopodobne - z kimś spoza DEA, spoza Departamentu, ale z kimś, kogo znał

i cenił. Mógł to być Luther. Znali się z Kevem, ale czy Kev miał do niego zaufanie? Kto to wie. Trudno powiedzieć, do kogo Kev zadzwonił. Jedno jest pewne, że zginął wkrótce po odłożeniu słuchawki.

Na dwie godziny przed lądowaniem zapalono światła, stewardesy zaczęły podawać śniadanie. Szturchnąłem Kelly, mruknęła tylko coś pod nosem i jeszcze mocniej otuliła się kocem, więc dałem jej spokój. Gdy samolot wystartował chciało mi się śpiewać z radości, teraz jednak znów ogarnęły mnie czarne myśli, tak czarne jak kawa w filiżance, którą właśnie przyniesiono. Ponury nastrój był uzasadniony, tylko idiota mógłby się cieszyć w mojej sytuacji, mieliśmy przed sobą jeszcze daleką drogę. W samolocie nikt nas nie niepokoił. Jeśli jednak wiedzą, że jesteśmy na pokładzie, to z pewnością spróbują nas zdjąć na lotnisku, a najpewniej zaraz po wyjściu z samolotu. Jeśli się mylę, to i tak pozostaje kolejna przeszkoda na drodze do wolności, a mianowicie kontrola paszportowa. W stosunku do pasażerów przylatujących jest ona o niebo dokładniejsza niż wobec odlatujących. Prześwietlają dokumenty, taksują fachowym okiem, obserwują zachowanie, słowem biorą pod lupę. Na Dulles nam się udało, co nie znaczy, że jeszcze raz się powiedzie.

Zażyłem cztery tabletki na bóle menstruacyjne, dopiłem kawę. Przypomniałem sobie - i na szczęście - o amerykańskim paszporcie, poprosiłem więc o formularz, jaki muszą wypełniać wszyscy obcokrajowcy. Niewiele brakowało, a byłbym zapomniał. Kelly jeszcze spała.

Wypełniłem rubryki, jako adres zamieszkania podałem Hunting Bear Path w Tyson's Corner, bo było to jedyne miejsce, które jako tako znałem. W razie czego powiem, że właśnie się przeprowadziliśmy.

Zdarzyło się już kiedyś, że zatrzymano mnie przy kontroli paszportowej. Wracałem po akcji rejsowym samolotem, który lądował na Gatwick. Gdy tylko podałem paszport do kontroli podeszło dwóch i obstawili mnie z dwóch stron.

- Pan Stamford? Oddział Specjalny, pan pozwoli z nami.

Nie klóciłem się, nie awanturowałem i nie szarpałem. Miałem znakomitą legendę, znajdowałem się w Anglii, byłem pewien, że wszystko zaraz się wyjaśni.

Tymczasem rozebrali mnie do rosołu, drobiazgowo zrewidowali, zaczęli przesłuchiwać. Padały pytania jedno po drugim, jak z karabinu maszynowego - gdzie byłem, co robiłem, dlaczego. Na wszystko miałem gotową odpowiedź, bo - jak wspomniałem - miałem bardzo solidną legendę. To też sprawdzili. Zadzwonili do Jamesa, który oczywiście wszystko potwierdził. Wydawałoby się, że powinni mnie wypuścić. Nic z tego, zawlekli mnie do separatki, wrzucili bezceremonialnie i zaraz zjawili się trzech policjantów. Chłopy jak dęby! Bez słowa spuścili mi solidne lanie.

Wkrótce potem zaprowadzono mnie znów na przesłuchanie i tam postawiono oficjalny zarzut, że jestem pedofilem i że oni dobrze wiedzą, co robiłem w Tajlandii. Było to o tyle dziwne, że nie byłem w Tajlandii, tylko w Rosji, czego oczywiście nie mogłem wyjawic, a nawet gdybym to zrobił i tak nikt by tego nie potwierdził. Nie pozostawało mi nic innego, niż czekać, aż sytuacja się wyjaśni.

I owszem, wyjaśniła się, ale nie tak od razu. Koniec końców zjawili się chłopcy z wywiadu, nawet mi pogratulowali, że nieźle się spisałem, bo sprawa była zaaranżowana. Zafundowano nam takie ćwiczenie, wszystkim nielegalom. Jedno tylko było prawdziwe, a mianowicie lanie, jakie dostałem. Policja nie patyczkuje się z facetami, którzy dobierają się do nieletnich i chętnie wyręcza sądy. Robi to naprawdę rzetelnie. Jeden z naszych wylądował po tym biciu w szpitalu, a wszystko dlatego, że ktoś na górze, kto to przygotował, wymyślił sobie taki, a nie inny pretekst. Nie uprzedził przy tym policji, że nie wszystko musi być prawdą.

Kelly jeszcze drzemała. Wyglądała tak, jak ja się czułem, czyli podle. Włosy miała tak potargane, jakby spędziła noc w stodole. Ziewnęła, zaczęła się przeciągać, otworzyła jedno oko, potem drugie z wyrazem najwyższego zdumienia. Podałem jej karton soku pomarańczowego.

- Jak się masz, Louise?

Chwilę trwało, nim się połapała.

- Dobrze. - Zawiesiła głos, uśmiechnęła się i dodała: - Dobrze, tatusiu.

Wcale jej się nie chciało wstawać, przeciwnie - wtuliła się w poduszkę, a ja nie miałem serca powiedzieć, że zaraz lądujemy.

Tymczasem pokazano kasetę wideo „Witamy w Londynie”. Na ekranie pojawiły się pocztówkowe ujęcia Pałacu Królewskiego, zmiany warty, królowej podróżującej powozem i im podobne. Mówiąc szczerze, nigdy nie widziałem takiego Londynu, jak na tym filmie.

Samolot usiadł, zaczął kołować i trzeba było wrócić do swojej roli.

Gdy tylko maszyna stanęła przy rękawie wszyscy zaczęli zrywać się na równe nogi.

- Nie śpiesz się, nie ma po co - szepnąłem Kelly. Nie chciałem znaleźć się na początku, lepiej zawsze w środku tłumu.

Spakowaliśmy się spokojnie, policzyliśmy misie i dołączyliśmy do reszty. Wyciągałem szyję, żeby zobaczyć, czy przy wyjściu już na nas czekają, ale nie udało mi się niczego zaobserwować.

Przedreptaliśmy w kolejce przez cały samolot, za pierwszym rzędem foteli skreśliśmy w lewo do wyjścia, znaleźliśmy się w rękawie, gdzie czekało trzech ludzi z obsługi naziemnej, jak zwykle przy przylotach. Właśnie rzucili się, żeby pomóc staruszce na wózku. Trochę się uspokoiłem. Idzie dobrze, pomyślałem, aby nie zapeszyć.

Wyszliśmy z rękawa i podążyliśmy za tłumem w głąb budynku, do kontroli paszportowej i celnej. Kelly była wyjątkowo grzeczna, szła jak gdyby nigdy nic, w nic jej zresztą nie wtajemniczałem, nie chciałem jej straszyć.

Kręciło się mnóstwo ludzi, w sklepach bezcłowych było tłoczno, przy wyjściach też. Jedni wyjeżdżali, inni przyjeżdżali, każdy coś niósł. Laptopa i torbę ze skarbami małej przerzuciłem przez ramię, ona niosła misie. Szliśmy trzymając się za ręce.

Heathrow uchodzi za jeden z najbardziej bezpiecznych portów lotniczych

świata, a jeśli idzie o systemy zabezpieczenia - kamery, monitory, ochronę - to nie ma sobie równych. Doskonale wiedziałem, że od momentu wyjścia z samolotu śledzą nas dziesiątki par oczu. Trzeba więc iść spokojnie, z pewną miną, żeby niczym nie budzić podejrzeń. Jechaliśmy ruchomym chodnikiem, odczekałem, kiedy wokół nas zrobiło się luźniej, i pochyliłem się nad małą.

- Pamiętaj, że nazywasz się Louise Sandborn, a ja jestem twoim tatą.

- Dobrze, tato. - Posłała mi szeroki uśmiech.

Ciekawe, czy za pół godziny będzie nam do śmiechu.

Z ruchomego chodnika przeszliśmy do windy, zjechaliśmy w dół do kontroli paszportowej. Tu zadecyduje się nasz los.

Przy każdym stanowisku stała niewielka kolejka - cztery, pięć osób. Setki razy nielegalnie przekraczałem granice, do dziesiątków krajów wjeżdżałem pod przybranym nazwiskiem i z fałszywym paszportem, nigdy jednak nie czułem takiego napięcia jak teraz, nigdy też nie byłem tak nieprzygotowany. Zacząłem rozmawiać z Kelly, coś jej opowiadałem, żeby tylko ukryć targający mną niepokój.

- Gotowa, idziemy?

- Tak jest, tato!

Oddałem jej torbę z zabawkami, żeby przygotować paszport i wypełniony formularz. Stanęliśmy na końcu kolejki.

Przypomniał mi się jeden z amerykańskich przyjaciół, który przebył trasę z Bostonu do Kanady, a stamtąd do Londynu, cały czas legitymując się cudzym paszportem. Zabrał go przez pomyłkę koledze, z którym dzielił pokój hotelowy w Bostonie. Zanim się zorientował było za późno, musiał więc dawać sobie radę. Tu zagadał, tam się zakręcił i przechodził przez kontrole bez najmniejszego kłopotu.

Czekaliśmy na swoją kolej. Laptopa ciągle miałem na prawym ramieniu. Kelly trzymałem lewą ręką. Starąłem się uśmiechać, ale nie przesadnie. Zdawałem sobie sprawę, że mogą nas obserwować - nie tylko zresztą na ekranach monitorów, ale także przez specjalne lustra. Na Heathrow to nic specjalnego. Stojący

przed nami biznesmen właśnie z uśmiechem odebrał swój paszport. Teraz nasza kolej.

Podałem papiery. Urzędniczka najpierw przejrzała formularz wizowy. Z wysokości swego stołka spojrzała na małą.

- Witaj w Anglii.

- *Hi* - odpowiedziała Kelly po amerykańsku. Kontrolerka dobiegała czterdziestki, włosy po trwalej, ale niezbyt udanej.

- Jak się leciało? - zwróciła się do Kelly.

Kelly stała przy mnie z misiem w ręku, drugi - czyli Jenny albo Ricky, nie rozróżniałem ich - sterczał w torbie na ramieniu.

- Dziękuję, bardzo fajnie.

- A jak ci na imię? - urzędniczka ciągnęła konwersację, patrząc w formularz wizowy.

Zaniepokoiłem się, czy mała pamięta.

- Kelly - usłyszałem i omal nie padłem z wrażenia. Tyle przeszliśmy, żeby teraz wpaść z powodu głupstwa. Scena jak z kiepskiego filmu. Co miałem zrobić?

- Nie mów głupstw - skarciłem z uśmiechem małą. Urzędniczka spoważniała.

Na sekundę, może dwie, choć mnie wydawało się, że trwa to wieczność, zaległa cisza. Rozpaczliwie szukałem wyjścia z sytuacji. Oczami wyobraźni widziałem już, jak urzędniczka uruchamia przycisk alarmowy. Zanim jednak zdołałem wykrztusić słowo Kelly stanęła na wysokości zadania.

- Dała się pani nabrać - zachichotała - to jest Kelly - pokazała misia - a ja jestem Louise. A jak pani ma na imię?

- Margaret. - Znów była uprzejma. Gdyby tylko wiedziała, jak była blisko trafienia!

Odłożyła formularz, wzięła do ręki paszport. Spojrzała na zdjęcie, potem na mnie, a następnie, czego mogłem się domyślić po błękitnej poświacie, oświetliła stronicę ultrafioletem, żeby sprawdzić autentyczność dokumentu, potem znów spojrzała na mnie.

- A to zdjęcie dawno pan robił?

- Ze cztery lata temu - odparłem i dodałem ściszym głosem: - Przechodziłem chemoterapię, włosy ledwie zaczęły odrastać. - Pociągnąłem ręką po głowie. Po tabletkach przedstawiałem naprawdę nędzny widok. Tak się też zresztą czułem. - Odwożę Louise do dziadków w Anglii. Żona została w domu. Synek nam bardzo choruje. Tak to już jest, nieszczęścia chodzą parami.

- Ach, rozumiem - odrzekła, wydawało się ze szczerym współczuciem, ale paszportu nie oddawała.

I znów nastąpiła krepująca cisza. Czy urzędniczka czekała, że jeszcze coś powiem, czy sama szukała właściwych słów, czy... Wreszcie mój paszport znalazł się na powrót na kontuarze.

- Życzę przyjemnego pobytu.

W pierwszym odruchu chciałem złapać paszport i pobiec przed siebie, ale się opanowałem. Schowałem go do kieszeni, zapiąłem kurtkę, bo tak powinno to wyglądać. Na koniec obróciłem się do Kelly.

- Idziemy.

Mała ani drgnęła. Co jest, do cholery?

- Do widzenia pani - uznała za stosowne pożegnać się. - Życzę pani miłego dnia.

Skierowaliśmy się dalej, jak wszyscy pasażerowie, po bagaż. Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru czekać, bo i po co.

Skręciłem od razu do wyjścia, wmieszałem się w tłum pasażerów z Brukseli, którzy już odebrali swój bagaż, przeszedłem przez niebieską bramkę - czyli wyjściem dla tych, którzy nie mają nic do oclenia. Nikt nas nie zaczepił. Przy wyjściu w ogóle nie było celników. Byliśmy wolni.

W hali przylotów, za wielkimi, przesuwanymi drzwiami, kłębił się tłum

oczekujących. Jedni wypatrywali bliskich, inni klientów. Na nas nikt nie czekał, ba, nikt nawet na nas nie spojrzał.

Pierwsze kroki skierowałem do punktu wymiany walut. Na Ronie, Melvinie i Sandbornach obłowiłem się całkiem nieźle, w sumie - po wymianie - miałem w kieszeni trzysta funtów. Jak ostatni głupek zapomniałem poprosić o drobne, więc nie mogłem skorzystać z automatu i musieliśmy z Kelly odstać swoje w kolejce po bilety do metra. Mniejsza z tym, najważniejsze, że byłem wolnym człowiekiem, że dookoła kręcili się zwykli ludzie, że nikt nas nie znał i nic nam nie groziło. Choć podróż metrem do śródmieścia zajęła prawie godzinę, jechaliśmy z przyjemnością.

Londyńskie City to przedziwna mieszanina stylów architektonicznych. Obok szacownych acz surowych, niemal purytańskich zabytkowych budynków, wzniesionych przez przedstawicieli dawnego establishmentu, wznoszą się powtorki z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zaprojektowane przez facetów, którzy uparli się, żeby popsuć wszystko dookoła. W jednym z takich właśnie budynków, przy Lombard Street, tak wąskiej, że dwa auta nie mogły się na niej wyminąć, niedaleko stacji „Banki”, znajdował się bank NatWest.

Weszliśmy do wielkiej hali operacyjnej, w której za pancernymi szybami siedzieli kasjerzy. Nie miałem jednak zamiaru podejmować pieniędzy, przyszedłem po co innego.

W recepcji królowała para młodych ludzi, dwudziestolatków, w służbowych mundurkach, ozdobionych haftowanymi emblematami banku na piersiach. Pewnie po to, żeby nie nosili bankowych strojów po godzinach, pomyślałem. Kelly zapewne dodałaby „Jak gdyby po to”.

Oboje spojrzeli na nas z dezaprobatą. Fakt, nie prezentowaliśmy się z małą zbyt dobrze. Nie przejmując się wcale wrażeniem, jakie wywarliśmy, rzuciłem bez troski:

- Cześć, jak się macie? - Następnie oznajmiłem, że chciałbym się widzieć z Guyem Bexleyem.

- Kogo mam zapowiedzieć? - spytała recepcjonistka.

- Nicka Stevensona.

Zaczęła wykręcać numer, jej kolega zagłębił się w papierach z miną człowieka zapracowanego, ja zaś szepnąłem małej, że w sprawie mojego nowego nazwiska pogadamy później.

- Pan Buxley zaraz zejdzie, zechcą państwo usiąść.

Rozsiedliśmy się na plastikowej kanapce. Widać było, że Kelly nad czymś się zastanawia.

- Nick, a ja jak się dziś nazywam - Louise Stevenson czy Louise Sandborn?

- Uhm... Kelly! - odparłem po chwili namysłu.

Na szczęście zjawił się Guy Bexley - zgodnie z bankową nomenklaturą mój „osobisty manager”. To właśnie do niego miałem się zwrócić, gdybym chciał wyjąć z depozytu „polisę ubezpieczeniową”. Guy dobiegał trzydziestki, nosił kozią bródkę i chyba nie najlepiej czuł się w służbowym garniturze. Wolałby pewnie biegać w zwykłych portkach i nie siedzieć za biurkiem - zabawowy typ.

Przywitaliśmy się.

- Dawno pana u nas nie było, panie Stevenson.

- Co robić, praca. A to jest Kelly - przedstawiłem małą.

Przykucnął przy niej.

- Cześć, Kelly. - Popisał się manierami jak z podręcznika dla wzorowych urzędników bankowych.

- Chciałbym zajrzeć do sejfu.

Zaprowadził mnie do jednego z pomieszczeń na zapleczu, gdzie przyjmuje się indywidualnych klientów, omawia kredyty, analizuje konta i gdzie można też spokojnie przeglądać zawartość sejfów. Takich pomieszczeń jest kilka, są to małe pokoiki ze stolikiem i paroma krzesłami. Byłem tu nieraz. Guy posadził nas przy stoliku, a sam poszedł po moją kasetkę. Na odchodnym poprosiłem go jeszcze o stan konta.

- Po co tu przyszliśmy? - Kelly, zupełnie jak Kev, lubiła wszystko wiedzieć.

- Zaraz zobaczysz.

Po chwili wrócił Guy, przyniósł skrzynkę i wydruk z konta, oczywiście dyskretnie złożony w pół. Byłem ciekaw, więc od razu, trochę zbyt pośpiesznie, rozłożyłem kwit. Interesowała mnie wyłącznie liczba w prawym dolnym rogu, czyli ostatnia operacja.

Czteryście dwadzieścia sześć tysięcy pięćset siedemdziesiąt dolarów zaksięgowane w funtach według przelicznika 1,58 dolara za funt.

Wielki Al dotrzymał słowa. Zrobiło mi się gorąco z wrażenia, ale opanowałem się, Bexley jeszcze nie wyszedł.

- To zajmie mi parę minut. - Gestem wskazałem sejf.

- Oczywiście. Jak pan będzie gotów proszę potem zawiadomić recepcję, odbiorą to od pana. - Uścisnął mi dłoń, pożegnał się z Kelly i wyszedł.

To, co nazywałem swoim sejfem było metalową kasetką, owszem, sporawą, czterdzieści pięć na trzydzieści centymetrów, ale bez zamka. Kiedyś nosiłem się z zamiarem wynajęcia prawdziwego sejfu, ale zrezygnowałem z tego pomysłu, gdy przypomniałem sobie, jak to było w Knightsbridge. Poza tym do prawdziwego sejfu potrzebny jest klucz, ja zaś nie miałem go gdzie schować, a z wiadomych przyczyn przy sobie nie mogłem go nosić. Zdecydowałem się więc na kasetkę, którą, nawiasem mówiąc, kupiłem u Woolthwortha za nędzne grosze, a zresztą nic lepszego tam nie sprzedają. O resztę dbał bank, to znaczy umieszczał moją skrzynkę w skarbcu obok prawdziwych sejfów, a o to mi chodziło. Był tylko jeden problem, a mianowicie - do kasetki można było dostać się tylko w określonej porze. Gdybym nagle musiał uciekać z kraju i byłaby mi potrzebna moja polisa, to mógłbym ją zabrać tylko w godzinach urzędowania banku.

Uniosłem wieko, na wierzchu leżało kilka numerów „Private Eye”. Umieściłem je tam specjalnie na wypadek, gdyby ktoś przypadkowo otworzył kasetkę. Lepiej, żeby się nie zorientował, co tam naprawdę trzymam. Pisma dałem małej do oglądania, sam zająłem się resztą.

Najpierw wydobyłem swoją komórkę i z miejsca podłączyłem do kontaktu,

żeby się doładowała.

Następnie wyciągnąłem plastikową torebkę z gotówką. Było tego trochę - parę paczek dolarów oraz funtów, a także pięć południowoafrykańskich krugerrandów i dziesięć brytyjskich złotych suwerenów. Monety ukradłem po akcji w Zatoce Perskiej, kiedy to działaliśmy na tyłach frontu, w Iraku. Każdemu z nas wydano wtedy po dwadzieścia złotych krążków na wypadek, gdyby nas złapano. Po powrocie z akcji zameldowaliśmy, że złoto zgubiło się podczas potyczek. A tak naprawdę, to je sobie przywłaszczyliśmy. Wypadło po dziesięć sztuk na głowę. Początkowo traktowałem je jako pamiątkę, później jednak złoto poszło w górę i pamiątka nabrała wartości. Ale nie przyszedłem tu po złoto. Interesowały mnie funty.

Prawdę mówiąc, nie tylko funty. Pod torebką z pieniędzmi schowałem coś jeszcze cenniejszego, a mianowicie portfel z kompletem dokumentów - paszport, karty kredytowe, prawo jazdy - wszystko na nazwisko Nicholas Duncan Stevenson. Papiery były autentyczne, wszystkie wydane przez stosowne władze. Kosztowało to - nie powiem - sporo czasu i wysiłku, a zaczęło się od tego, że kiedyś w pubie w Brixton trafił mi się gość, który za pięćdziesiąt funtów odstąpił swój numer ubezpieczenia społecznego. Warto było zapłacić. Na tej podstawie wyrobiłem sobie stuprocentowe papiery, o których poza mną nie wiedział nikt, i o to właśnie chodziło.

W kasetce trzymałem też elektroniczny notatnik, z którego można nadawać faksy, przysyłać wiadomości i zakładać bazę danych. Na razie zapisywałem tam tylko zaszyfrowane numery telefonów i adresy.

Kelly kartkowała „Private Eye” bez zainteresowania i zrozumienia. Upewniłem się, że nie patrzy na mnie, sięgnąłem głębiej do kasetki. Wyciągnąłem browninga 9 mm, półautomat. Zdobyłem go od poprzedniego właściciela w Afryce pod koniec lat osiemdziesiątych. Załadowałem magazynki - miałem w skrzynce zapas amunicji - zarepetowałem, sprawdziłem, mała popatrzyła, ale o nic nie zapytała.

Włączyłem notatnik, wystukałem na klawiaturze hasło - 2242 - sprawdziłem numer, podniosłem słuchawkę.

- Do kogo dzwonisz? - Kelly jak zwykle chciała wszystko wiedzieć.

- Do Euana.

- A kto to?

- Mój najlepszy przyjaciel.

- Jak to? - Coś jej się nie zgadzało i poniekąd słusznie.

- Sza, nic nie mów. - Właśnie uzyskałem połączenie.

Euana nie było, zostawiłem więc wiadomość - oczywiście zakodowaną - na automatycznej sekretarce.

Wszystko, czego na razie nie potrzebowałem, między innymi laptopa i wydruki, schowałem do kasetki. Kelly wyraźnie znudziła się przeglądaniem pisma, więc odebrałem od niej egzemplarze „Private Eye” i położyłem je na wierzchu tak jak poprzednio.

Czułem, że mała wyskoczy zaraz z pytaniem. Nie myliłem się.

- Nick?

- Słucham?

- A mówiłeś, że twój najlepszy przyjaciel to David.

- Rzeczywiście, ale to skomplikowana historia. Naprawdę nazywa się Euan, ale czasami nazywam go Davidem, bo... - już chciałem zełgać, ale pomyślałem sobie, że przecież mogę powiedzieć, jak jest naprawdę. - Widzisz - zacząłem - nie bez powodu powiedziałem ci, że on nazywa się David. Gdyby nas złapali Euan byłby kryty, bo nie wiedziałabyś przecież, że on w ogóle istnieje, rozumiesz? Tak się zawsze robi. Nazywa się to OPSEC, czyli inaczej tajemnica operacyjna. - Skończyłem umieszczać rzeczy w kasetce, zamknąłem wieko.

Kelly zmarszczyła czoło, próbowała zrozumieć, o czym mówię.

- A więc nazywa się Euan?

- No właśnie, a jak się do niego wybierzemy, to pokażę ci tę podłogę, o której ci opowiadałem. - Przywołałem panienkę z recepcji i oddałem jej kasetkę. -

Idziemy na duże zakupy - oznajmiłem małej. - Kupimy sobie nowe ubrania, a potem wynajmiemy pokój w jakimś hotelu i poczekamy na telefon od Euana. Zgoda?

- Zgoda - ucieszyła się.

Kiedy już będzie po wszystkim - uświadomiłem sobie - trzeba będzie pomyśleć o nowym banku i nowym koncie. Powinienem też rozstać się z nazwiskiem „Stevenson”. Będzie z tym trochę problemów, ale trudno, warto się namęczyć, żeby potem spokojnie żyć z prawie pół milionem dolarów ulokowanym w bezpiecznym miejscu.

Wzięliśmy taksówkę. Po drodze pokazywałem małej Londyn. Opowiadałem chyba z większym zapalem, niż ona słuchała, sądząc zaś po minie kierowcy, którą widziałem we wstecznym lusterku, wiele szczegółów mi się pomyliło.

Wysiedliśmy przed Trafalgar Square, na Strandzie, gdzie jest całe mnóstwo sklepów z ciuchami. Kupiliśmy sporo dżinsów, koszulek, a także przybory toaletowe, a potem znów wzięliśmy taksówkę i kazaliśmy się zawieźć do hotelu „Brown”.

- Spodoba ci się - zapewniałem Kelly. - Hotel ma dwa wejścia, od Dover Street i od Albermarle Street. Dla takich jak my - wywiadowców - to bardzo ważne.

Jeszcze po drodze zadzwoniłem z telefonu komórkowego do recepcji, żeby zarezerwować pokój. Pół godziny później byliśmy już na miejscu. Okazało się, że wejście od Dover Street jest nieczynne. Trochę było mi głupio wobec małej, ale trudno.

Pokój był o niebo lepszy od tych, z których korzystaliśmy w Ameryce, wręcz luksusowy, a co ważniejsze z minibarem pełnym czekolady Toblerone, z czego oczywiście mała była bardzo rada. Mnie ucieszyło piwo. Nie dałem się jednak skusić, ponieważ miałem jeszcze coś do zrobienia.

Różnica czasu i zmęczenie po podróży zaczęły dawać znać o sobie. Kelly

zaraz rzuciła się na łóżko. Musiałem ją rozebrać, kąpiel odłożyłem na jutro. Zasnęła w mgnieniu oka.

Sprawdziłem, czy telefon jest w sieci i czy bateria działa. Euan doskonale znał mój głos, a wiadomość, jaką mu zostawiłem, była jasna: „Mówi John, hydraulik. Kiedy mam przyjść w sprawie kranu? Proszę o wiadomość. Mój numer...”

Była piąta. Postanowiłem, że najpierw zdrzemnę się dziesięć minut, potem wezmę prysznic, a następnie zjem coś i położę się spać.

Drzemałem znacznie dłużej, niż zamierzałem, bo do za piętnaście szósta rano, kiedy to obudził mnie dzwonek telefonu.

- Halo? - usłyszałem znajomy bas.
- Potrzebuję pomocy. Kiedy możesz wpaść do Londynu?
- A kiedy chciałbyś?
- Już.
- Jestem w Walii, podróż zajmie mi trochę czasu.
- Będę czekał pod tym numerem.
- W porządku. Przyjadę pociągiem, tak będzie szybciej.
- Dzięki. Daj mi znać na godzinę przed przyjazdem pociągu.
- Nie ma sprawy - odparł i rozłączył się.

Ulżyło mi. Kamień spadł mi z serca. Czułem się tak, jakby mi lekarz powiedział, że badania wypadły pozytywnie i nie mam raka.

Podróż pociągiem z Walii musi potrwać ze trzy godziny. Nie miałem nic do roboty, jak tylko czekać i napawać się chwilowym spokojem. Zacząłem przeglądać „Timesa”, którego dostarczono pod drzwi pokoju. Pisano głównie o wyborach. Kelly obudziła się. Włączyłem telewizor, sprawdziłem, co nadają na różnych kanałach. Cudownie - żadnych „Power Rangers”. Telefonicznie zamówiłem śniadanie do pokoju.

Zjedliśmy bez pośpiechu, wykapaliśmy się, przebrali w nowe ciuchy i spacerem przez Piccadilly Circus, Leicester Square, Trafalgar Square, udaliśmy się

na stację Paddington. Po drodze znów wcieliłem się w rolę przewodnika, ale Kelly wcale mnie nie słuchała. Bardziej interesowały ją gołębie, chciała je nakarmić. Nie mogłem się doczekać na telefon, wreszcie o dziewiątej pięćdziesiąt zadzwonił. Musiałem zatkać jedno ucho, bo mała i inne dzieciaki piszczwały z zachwytu, że gołębie jedzą z ręki.

- Będę za godzinę.
- Czekam na stacji metra Charring Cross, peron trzeci.
- W porządku.

Wybrałem Charring Cross, bo po pierwsze, miejsce jest tłumne, a po drugie z hotelu o tej samej nazwie co stacja doskonale widać postój taksówek, a Euan weźmie taksówkę z dworca Paddington, dokąd dojeżdżał jego pociąg.

Czekaliśmy w hotelowym holu, wyglądając Euana. W hotelu było pełno Amerykanów i Włochów. Ci pierwsi okupowali stoisko informacji, zamawiając bilety na wszystko, co się dało. Ci drudzy kłębili się w holu, wchodzili, wychodzili, pokrzykiwali na siebie, tłoczyli w drzwiach i, ogólnie rzecz biorąc, robili zamieszanie.

Tak upłynęło pół godziny, aż wreszcie zobaczyłem taksówkę, w której majaczyła znajoma sylwetka.

- Popatrz, to on - uprzedziłem małą.
- Nie wyjdziemy mu naprzeciw?
- Nie, poczekamy tu, zrobimy niespodziankę tak jak w Daytona, pamiętasz?
- Rozumiem, najpierw trzeba przeprowadzić obserwację.

Patrzyłem więc z daleka, jak Euan wysiada z taksówki, mimo że chciało mi się biec, tak bardzo ucieszyłem się na jego widok. Miał na sobie dzinsy, a na nogach buty pamiętające lepsze czasy. Miał też czarną kurtkę, dzięki czemu łatwo go będzie wyłowić z tłumu na peronie.

- Damy mu parę minut, a potem zrobimy mu niespodziankę, zgoda?
- Fajnie - zgodziła się z zapalem Kelly. Gołębie zostawiły jej na plecach dwa znaki firmowe, których na razie nie było sensu ruszać. Lepiej poczekać, aż wy-

schną.

Jeszcze przez pięć minut obserwowałem, czy za Euanem nie ciągnie się jakiś ogon, a następnie przeszliśmy z małą na stację, świeżo zresztą odnowioną. Euan był już na trzecim peronie. Stał pod ścianą i czytał gazetę. I znów chciało mi się biec, ale się powstrzymałem. Szliśmy z małą wolno, spokojnie, bez zwracania niczyjej uwagi.

Uśmiechnęliśmy się obaj na powitanie.

- Cześć - powiedział. - Jak leci? - Spojrzał na Kelly, ale o nic nie zapytał. Wiedział, że w odpowiedniej chwili wszystko mu wyjaśnię. Skierowaliśmy się ku schodom wychodzącym w stronę Tamizy.

- Co za wspaniała fryzura. - Euan z trudem powstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem na widok mojej na wpół łysej głowy.

Wzięliśmy taksówkę. Kierowcy kazałem jechać okrężną drogą. Są pewne zasady, których zawsze trzeba przestrzegać, wymyślono je dla naszego dobra. Kto się do nich nie stosuje, ten wcześniej czy później wpada w gówno. Podróż do hotelu zajęła nam dwadzieścia minut. Gdybyśmy pojechali najkrótszą drogą dotarlibyśmy w dziesięć, ale tak mieliśmy pewność, że nikt nas nie śledził.

Gdy tylko znaleźliśmy się w hotelu włączyłem małej telewizor i zamówiłem coś do jedzenia - wszyscy byliśmy głodni.

Euan wdał się w pogawędkę z Kelly, z czego ta była bardzo rada. Widać było, że cieszy ją nowe towarzystwo, choć - niestety - dorosłego. Najwyraźniej oboje przypadli sobie do gustu.

Przyniesiono jedzenie - hamburgera z frytkami dla Kelly i dwie kanapki dla Euana i dla mnie.

- Skoro oglądasz sobie telewizję - rzekłem do małej - to nie będziemy ci przeszkadzać, pogadamy z Euanem w łazience.

Nie zaprotestowała.

- Do zobaczenia, Kelly, zostaw mi trochę frytek - rzucił Euan na odchodnym.

Wzięliśmy jedzenie i kawę, i zamknęliśmy się w łazience.

Zacząłem opowiadać o wszystkim po kolei, Euan słuchał uważnie. Wieść o Kevie i Marshy wyraźnie go przybiła. Gdy doszedłem do pierwszego spotkania z Lutherem i spółką przerwał mi.

- Sukinsyny! I kim oni właściwie są? Myślisz, że należą do tej samej grupy, która załatwiła Keva?

- Na to wygląda. Kev znał tych trzech, którzy przyszli po niego. Kelly potwierdza, że Luther pracował z Kevem. Jednego tylko nie wiem, a mianowicie, do kogo Kev zadzwonił, żeby - jak mi powiedział - „rozpocząć zabawę”.

- Do Luthera?

- Tak sądzę. Luther chyba działał w DEA i należał do spisku. Nie ma wątpliwości, że pewni faceci z DEA maczali palce w handlu narkotykami.

Opowiedziałem o tym, jak wykończyłem McGeara i o tym, co przy pomocy Sabatina odkryłem na dysku.

- A więc - podsumował Euan - PIRA sprowadza narkotyki do Europy, a dla ochrony interesu stosuje przekupstwo, szantaż i groźby. A co z McGearem, wycisnąłeś z niego coś ciekawego?

- Niestety niczego.

- A ten Sabatino? Czy zrobił kopie tych materiałów?

- Dobrze wiesz, że tego ci nie powiem - zaśmiałem się. - Znasz zasady, OPSEC, bracie.

- Słusznie, nie powinienem pytać.

Opowiedziałem mu, co znalazłem w skrytce u Keva. Słuchał w milczeniu, a ja poczułem się raptem bardzo zmęczony. Teraz, gdy oddałem pałeczkę Euanowi, przeżycia minionych dziesięciu dni dały znać o sobie.

Euan też nie wyglądał najlepiej.

- Jedno mi się tylko w tym wszystkim nie zgadza - powiedział.

- Co takiego?

- Otóż Kolumbijczycy powinni chyba wiedzieć, że po zamachu bombowym w

Gibraltarze zostaną nasilone środki bezpieczeństwa, a tym samym kanał się zatka.

- Czy ja wiem? Traktowali to chyba inaczej, jako ostrzeżenie. A w ogóle to nie moja sprawa. Marzę tylko o jednym, żeby przekazać to wszystko Simmondsowi i mieć święty spokój.

- No cóż, pomogę ci, jak tylko będę mógł. - Otworzył nową paczkę Benson & Hedges. Najwyraźniej znowu wpadł w nałóg. Odsunąłem się, bo nie znoszę dymu.

- Wolałbym nie wciągać cię w to, Euan. Już wiesz, co się stało z Kevem i Patem, ja też siedzę w tym gównie po uszy. Chciałbym jedynie móc liczyć na ciebie, gdyby sprawy przybrały zły obrót.

- Powiedz tylko słowo. - Zaśmiał się widząc, że odganiem od siebie dym. Wiedział zresztą, że nienawidzę papierosów. Nie zapaliłem nawet w chwilach największego napięcia.

- Jutro po południu powinny dotrzeć do ciebie kopie materiałów. Wysłałem je z Waszyngtonu pocztą kurierską. Gdyby coś się stało ze mną albo z Simmondsem ty przejmujesz sprawę. - W łazience zrobiło się gęsto od dymu. Jeszcze chwila, a uruchomią się czujniki przeciwpożarowe.

- Jasne - rzekł bez śladu podniecenia.

Taki już był. Gdyby powiedzieć mu, że właśnie trafił milion w totka wzruszyłby tylko ramionami i co najwyżej powiedział, że fajnie.

- Co wysłałeś na mój adres, ile jest jeszcze kopii?

- Nie powiem, nie musisz wiedzieć. - Zaśmiał się krótko, rozumiał, że nie przekazuję mu wszystkich informacji dla jego dobra. - Jeszcze jedno - dodałem - wolałbym nie zabierać Kelly na spotkanie z Simmondsem. Nie był mną zachwycony, gdy ostatnio rozmawialiśmy. Może dojść do ostrego spięcia i lepiej, żeby małej przy tym nie było. Ty jesteś jedyną osobą, której mogę ją powierzyć. To nie potrwa długo, dzień, najwyżej dwa. Co ty na to?

- Nie ma sprawy - odparł bez namysłu, jak się spodziewałem.

- Weźmiesz ją do Brecon?

- Oczywiście. Mówiłeś jej, że mieszkam w Walii?

- Jasne i o zagrodzie na owce też.

Wyrzucił peta do sedesu. Wiedział, że nie znoszę smrodu po papierosach.

- Mówię ci, stary, to był naprawdę okropny tydzień. - Położyłem mu ręce na ramionach i spojrzałem głęboko w oczy.

- Masz to już za sobą. Chodźmy do małej, a potem oddaj to gównu Simmondsowi i miej to z głowy.

- Dobry był hamburger?

- Uhm, zostawiłam trochę frytek dla Euana.

- Posłuchaj, Kelly - usiadłem przy niej na łóżku - ustaliliśmy z Euanem, że pojedziesz z nim na wieś. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Ja będę zajęty w Londynie. Mam tu różne sprawy do załatwienia. To nie potrwa długo. Przyjadę po ciebie jutro. No to jak, pojedziesz? Zobaczysz tę podłogę, o której ci opowiadałem.

Mała zrobiła smutną minę. Chyba wiedziała, że nie ma wyboru.

- To nie potrwa długo - powtórzyłem - a u Euana na wsi będziesz sobie mogła obejrzeć owce...

- Ja chcę zostać z tobą - mruknęła, wpatrując się w swoje palce.

- Nie chcesz jechać? Nie chcesz obejrzeć owiec? - udałem zdziwienie.

Zawstydziała się. Była zbyt dobrze wychowana, żeby powiedzieć „nie” w obecności Euana. Nie chciała mu robić przykrości.

- Tylko na jeden dzień - powtórzyłem. - Przecież podoba ci się Euan - dodałem, mając pełną świadomość, że to świństwo tak mówić.

Zmilczała, ale cały czas patrzyła na mnie.

- Na jedną noc, a zresztą będę do ciebie dzwonił, obiecuję.

Była bardzo nieszczęśliwa. Przyrzekłem, że po raz ostatni zostawiam ją samą i w tym momencie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Wiesz co? Dam ci mój telefon. Włożysz go sobie pod poduszkę, a ja do ciebie zadzwonię, zgoda? Rozumiem, że dasz jej osobny pokój? - To ostatnie

skierowałem do Euana, próbując wciągnąć go do rozmowy.

- Oczywiście, z widokiem na owczarnię - potwierdził.

- Z telewizorem? - upewniłem się.

- Oczywiście - odparł bez namysłu, choć pewnie już zaczął się zastanawiać, skąd weźmie dodatkowy telewizor.

Kelly nie była zachwycona, ale zgodziła się. Włączyłem komórkę, wpisałem swój PIN i wręczyłem małej przypominając, żeby na miejscu doładowała baterię.

- A potem schowasz go pod poduszkę, zgoda?

- T-tak. - Wiedziała, że dyskusja się skończyła.

- No to pakujemy misie. A jak się nazywają? - wtrącił Euan. - Czy jechały już kiedyś pociągiem?

Mała rozchmurzyła się. Zeszliśmy na dół i taksówką pojechaliśmy na dworzec Paddington.

38

Na pocieszenie kupiliśmy małej słodyczy, lodów, picia i w ogóle wszystkiego. Marudziła jeszcze w kiosku, wybierając komiksy, kiedy Euan zerknął na zegarek.

- Komu w drogę, temu czas, pociąg zaraz odjeżdża - ponaglił.

Odprowadziłem ich na peron.

- Zadzwoń wieczorem, słowo. - Uściskałem małą. Jenny i Ricky spoglądali na mnie z plecaka.

Konduktor zamknął drzwi. Mała wychyliła się z okna.

- Nick? - gestem przywołała mnie bliżej.

Podszedłem.

- Co chcesz mi powiedzieć? - spytałem, nachylając się do niej.

- A nic. - Wychyliła się i cmoknęła mnie w policzek.

Wmurowało mnie w ziemię. Pociąg ruszył.

- Do jutra i nie martw się o nas! - krzyknął Euan na pożegnanie.

Gdy ostatni wagon znikł w oddali poczułem uścisk w sercu jak wtedy, gdy Pata wynoszono do karetki. Samego mnie to zdziwiło. Mała była przecież bezpieczna i w dobrych rękach, więc powinienem być spokojny. Poszedłem zadzwonić do Vauxhall.

- Dwadzieścia sześć, dwanaście - poprosiłem, gdy zgłosiła się centrala. Rozległ się sygnał, a po chwili znajomy głos.

- Dwadzieścia sześć, dwanaście - słucham.

- Stone z tej strony. Mam to, czego potrzebujesz.

- Nick! Gdzie jesteś?

- W Anglii - odparłem zupełnie niepotrzebnie, bo właśnie włączyły się dworcowe głośniki i podano, że pociąg do Exeter odjeżdża za pięć minut.

- Wspaniale.

- Musimy się zobaczyć.

- Właśnie. Ale - zawiesił głos, jakby sprawdzał kalendarz - nie mogę się stąd ruszyć do świtu. O czwartej trzydzieści rano, będzie dobrze? Pójdziemy na spacer, pogadamy.

- Gdzie?

- Będę szedł w stronę metra, znajdziesz mnie.

- Nie ma sprawy. - Odwiesiłem słuchawkę z uczuciem ulgi, że wreszcie sprawy zaczynają się układać. Kelly bezpieczna, Simmonds rozmawiał ze mną dość sympatycznie. Jeszcze tylko kilka godzin i w końcu będę miał wszystko z głowy.

Wróciłem do hotelu, wynająłem auto - zaraz po spotkaniu z Simmondsem zamierzałem pojechać do Brecon po małą. Zamówiłem coś do jedzenia i zacząłem układać sobie w głowie, co i jak powiedzieć Simmondsowi. Materiał miałem ekstra, dokładnie to, czego chciał, więc powinien być zadowolony. Szkoda tylko, że nie udało się z kasetą wideo z Ball Street, ale trudno i tak przywożę więcej, niż Simmonds mógł się spodziewać. W najgorszym wypadku powinno wystarczyć na przyklepanie spraw i rozstanie „za porozumieniem stron”. O przyszłość nie ma

się co martwić. W końcu mam z czym zacząć życie na nowo.

Martwiłem się tylko o małą. Co z niej wyrośnie? Jak o nią zadbać? Czy to, co się stało, nie zaważy ujemnie na jej życiu? Zrobię oczywiście wszystko, co będzie można. Liczyłem też na Simmondsa, powinien pomóc. Najlepiej byłoby odesłać ją do dziadków. Jeśli to się nie uda, to przynajmniej podpowie, do kogo się zwrócić.

Nie udało mi się zasnąć. O trzeciej poszedłem odebrać samochód.

Do Vauxhall pojechałem okrężną drogą - przez Kings Road do World's End, a następnie z powrotem wzdłuż Tamizy. Chciałem jeszcze raz przemyśleć na spokojnie, co i jak opowiedzieć Simmondsowi, a przy okazji popatrzeć sobie na miasto i zabytki od strony rzeki. To naprawdę jeden z najpiękniejszych widoków w świecie, a tej nocy wszystko wyglądało jeszcze piękniej. Żałowałem, że nie ma ze mną Kelly.

Na miejsce spotkania, przy stacji metra zaraz za mostem Vauxhall, dotarłem przed czasem. Pojechałem więc jeszcze kawałek, do mostu Lambeth. Wszystko wyglądało normalnie, niczego podejrzanego nie zauważyłem. Na stacji benzynowej, w połowie drogi między mostami, stały cztery auta. Młodzi ludzie kupowali coś w sklepie. Zajechała śmieciarka, żeby zatankować przed poranną zmianą.

Nieco dalej, po drugiej stronie rzeki strzelały ku niebu wieże Westminsteru. Uśmiechnąłem się do siebie. Gdyby tylko szanowni posłowie wiedzieli, czym naprawdę zajmuje się królewski wywiad! W radiu mówili, że szykują się zmiany w rządzie. Niedługo wybory i znów beze mnie, bo ani Stone, ani Stamford, ani Stevenson nie są nigdzie zarejestrowani jako wyborcy. W ogóle ich nie ma.

Zawróciłem, żeby jeszcze raz rzucić okiem na umówione miejsce. Miałem jeszcze czas. Zajechałem na stację benzynową, wziąłem kanapkę i coś do picia.

Planowałem, że podejść do Simmondsa, przejdziemy się kawałek do auta, klucząc, zgodnie z zasadami operacyjnymi. Wsiądziemy i udamy się na przejażdżkę. W ten sposób zapewnimy sobie bezpieczeństwo.

Zaparkowałem samochód jakieś czterysta metrów za umówionym miejscem. Była za pięć czwarta. Jeszcze mnóstwo czasu i nic do roboty. Zacząłem więc oglądać wystawę w salonie motocyklowym. Naprawdę mógłbym sobie sprawić dwa kółka. Zasluguje na jakiś prezent, mało tego, na nagrodę!

O czwartej dwadzieścia stanąłem w cieniu pod arkadami wiaduktu, naprzeciw wyjścia z Vauxhall, z którego Simmonds powinien się wynurzyć. Wokół żywej duszy, jeśli nie liczyć dwóch pijaczków, którzy przemknęli, szukając czegoś, co jeszcze mogło być czynne. Zresztą po chwili nie było po nich śladu.

Simmondsa dostrzegłem z daleka. Szedł, jak to on, lekko zgarbiony. Po wyjściu skręcił w prawo, w stronę przejścia dla pieszych. Domyślałem się, że dalej skieruje się w stronę żelaznej kładki, którą przechodzi się na stację. Nie wyszedłem mu naprzeciw. Nie było takiej potrzeby, a zresztą wolałem, żeby to on podszedł do mnie.

Wynurzyłem się z cienia dopiero wtedy, gdy przeszedł na moją stronę ulicy.

- Nick, jak się masz? - uśmiechnął się na powitanie, ale nie zatrzymał się, skręcił w stronę mostu Lambeth. - Przejdziemy się - nie było to pytanie, raczej stwierdzenie.

- Mam auto. - Próbowałem pociągnąć go w przeciwną stronę. Stał, spojrzał na mnie karcąco jak nauczyciel niezadowolony z ucznia.

- Nie, przejdziemy się.

Trochę mnie to zdziwiło. To ja byłem gospodarzem spotkania, do mnie więc należało zabezpieczenie i Simmonds powinien o tym wiedzieć, ale on tylko popatrzył na mnie badawczo i ruszył przed siebie. Co miałem zrobić? Poszedłem za nim.

Na drugim brzegu Tamizy w świetle reflektorów jaśniały mury parlamentu. Szliśmy szerokim chodnikiem wzdłuż rzeki. Po lewej ciągnął się trawnik, a za nim wąska jezdnia, z której korzystały samochody dostawcze, zaopatrujące sklepy i butiki usytuowane pod arkadami wiaduktu.

Simmonds nic się nie zmienił, wyglądał niechlujnie jak zwykle - krawat po-

luzowany, koszula i marynarka jak psu z gardła.

- A więc, Nick, co przywozisz? - uśmiechnął się, ale nie spojrzał na mnie.

Zacząłem opowiadać, a on nie przerywał, szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię i tylko od czasu do czasu kiwał głową. Czułem się jak syn, który wreszcie może otworzyć się przed ojcem i wszystko z siebie wyrzucić.

Gadałem dobry kwadrans. Teraz jego kolej. Spodziewałem się, że przystaniemy na chwilę albo przysiadziemy na ławce, ale nic takiego nie nastąpiło. Simmonds nie zwalniał, a ja dotrzymywałem mu kroku.

- Nie miałem pojęcia - rzekł wreszcie - że to aż tak wyglądało. - Tym razem spojrzał na mnie. - A kto jeszcze wie?

- Tylko Sabatino i Euan, a poza nimi nikt.

- Dałeś im kopie dyskietek?

- Nie - skłamałem. Nawet jeśli przychodzi się z prośbą o pomoc, to nie należy odsłaniać wszystkich kart. Lepiej coś zostawić na później, może się przydać.

- Widzisz - ciągnął Simmonds niezwykle spokojnym tonem - to istotne, żeby nikt się do tego nie dostał, przynajmniej na razie. To coś więcej niż korupcja. PIRA, Gibraltar - wszystko wskazuje na to, że DEA jest bardzo poważnie umoczone, a zresztą sam już chyba do tego doszedłeś. Ciekaw jestem - zawiesił głos, jak sędzia przed zadaniem zasadniczego pytania - czy twoim zdaniem, sprawa sięga głębiej? Czy jeszcze ktoś wchodzi w grę?

- Cholera wie - odparłem. - Ostrożności nigdy za wiele, dlatego najpierw chciałem pogadać z tobą prywatnie.

- A gdzie zostawiłeś tę małą od Keva?

- W hotelu - skłamałem po raz drugi. - Śpi jak zabita. Będę potrzebował pomocy, żeby ją odesłać do dziadków.

- Oczywiście, ale wszystko w swoim czasie.

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Doszliśmy właśnie do baru pod arkadami, zaraz za nim ulica wpadała w tunel pod torami kolejowymi. Simmonds skręcił w prawo, pod arkady.

- Rozumiesz, że muszę mieć materiały w rękę, bez tego nic nie zrobię w twojej sprawie - odezwał się dość stanowczym tonem, jakby nie dopuszczał, że może być inaczej. Nadal odwracał wzrok ode mnie. Patrzył pod nogi, ostrożnie stawiając kroki, żeby nie wejść w kałuże.

- Nie mam dyskietek przy sobie, jeśli ci o to chodzi.

- Nick, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ciebie i małą ochronić, ale potrzebuję dowodów. Chodzi o dyskietki oraz ich kopie, rozumiemy się? Możesz mi je dać?

- Teraz?

- Teraz.

- To niemożliwe. Potrzebuję kilku godzin.

- Nick, bez tego nic nie jestem w stanie załatwić. Wszystkie dyskietki, co do jednej, łącznie z tymi, które chciałbyś włączyć do swojej „polisy ubezpieczeniowej”.

- Wiesz, że muszę zadbać o własne bezpieczeństwo - mruknąłem w odpowiedzi.

Skręciliśmy jeszcze raz w prawo, szliśmy teraz wzdłuż torów z powrotem w stronę stacji. I znów obaj milczeliśmy. Górą przetaczał się pociąg towarowy, budząc zapewne wszystkich okolicznych mieszkańców. Po cholere tak się dopytuje? Dlaczego musi wiedzieć, ile było dyskietek i po co mu wszystkie? To było zastanawiające.

- Zapewniam cię - podniosłem głos, żeby przekrzyczeć turkot pociągu - że z dyskietkami wszystko w porządku. Wiem, o co chodzi, pilnuję wszystkiego, w końcu chodzi o moją dupę i paru innych ludzi też, łącznie z tobą.

- Wszystko powinno być w jednym ręku, i to ja muszę mieć pełną kontrolę nad całym materiałem. Sprawa jest naprawdę poważna, a ryzyko olbrzymie.

Coś tu jest nie tak, pomyślałem, a głośno powiedziałem:

- Rozumiem. A co będzie, jeśli tobie coś się stanie? Jeśli oddam ci „polisę”, to nie będę miał żadnych dowodów. Orientujesz się, że chodzi nie tylko o Amery-

kanów, także o nas. Gibraltar był od początku reżyserowany, to już wiadomo.

Simmonds wbił wzrok w kałużę. Milczał.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju - ciągnąłem. - Otóż na odprawie mówiono nam, że ładunek zostanie zdalnie odpalony. Ciagle nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że wywiad miał tak szczegółowe dane o terrorystach, a nie wiedział, że bomby w ogóle nie było.

Nie odpowiedział.

Coś mi się nie zgadzało. Zaraz. Czyżby? O kurwa!

Czułem się tak, jakby znów ktoś przyłożył mi gaśnicą w głowę. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem? Turkot towarowego nikt w oddali, znów zrobiło się cicho.

- Ty wiesz, jak było naprawdę - wypaliłem.

Simmonds nadal milczał, a ja rozmyślałem gorączkowo.

Kto prowadził odprawę w Gibraltarze? Kto powiedział, że bomba ma być zdalnie odpalona? Simmonds! Kto dowodził na stanowisku Alfa? Do jasnej cholery, dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?!

Stanąłem jak wryty, Simmonds szedł dalej.

- Teraz rozumiem, że to nie tylko PIRA i Amerykanie. Sprawa ma szerszy zasięg, a ty też w tym siedzisz!

Po prawej stronie przestrzeń pod arkadami zajmowały jakieś warsztaty, magazyny, składy i tym podobne, a tu i ówdzie stały przed nimi ciężarówki firmowe. Po lewej, jakieś dwadzieścia metrów od wiaduktu, rozciągał się trawnik okalający jedno z komunalnych osiedli mieszkaniowych - nie była to specjalnie elegancka dzielnica. Po drodze musieliśmy mijać śmietniska, kluczyć między autami czekającymi na naprawę i furgonetkami pomocy drogowej zaparkowanymi na noc.

Simmonds stanął, po czym podszedł do mnie. Po raz pierwszy spojrzał mi w oczy.

- Nick! Musisz mi dać wszystko, co do jednej sztuki. Nie możemy dopuścić do tego, żeby choć jedna dyskietka lub jej kopia wymknęła się nam z rąk.

Miał twarz pokerzysty, który właśnie wykonał decydujący ruch. Ja nie potrafiłem ukryć szoku i przerażenia.

- Niezupełnie - ciągnął Simmonds - podzielaliśmy pogląd Amerykanów, że trzeba cię zlikwidować, ale oni byli zdeterminowani. My też się nie cofniemy, jeśli zaistnieje taka konieczność.

- My?

- Sytuacja jest dużo poważniejsza, niż myślisz, Nick. Jesteś inteligentny, rusz głową, pomyśl o realiach, o politycznych, biznesowych konsekwencjach przerwania ognia. Gdyby zawartość dyskietek została ujawniona, to sprawy przybrałyby katastrofalny obrót. Zgadzam się z tobą, że to, co stało się z Kevem i jego rodziną było niefortunne, też ich żałuję. Prawdę mówiąc, osobiście doradzałem moim amerykańskim kolegom bardziej subtelne działania, gdy Kev dał mi znać, co odkrył.

Zrozumiałem, dlaczego kazał mi natychmiast wracać z Waszyngtonu. Poszczególne elementy układały się w logiczną całość. Kev zadzwonił do Simmondsa, a ten uznał, że trzeba mnie natychmiast odwołać ze Stanów. Bał się, że spotkam się z Kevem, że Kev może mi coś powiedzieć albo, co gorsza, że mógłbym uniemożliwić egzekucję.

Pomyślałem o Kelly. Dobrze, że jest w bezpiecznym miejscu.

Simmonds musiał czytać w moich myślach.

- Jeśli nie oddasz nam materiałów zabijemy małą, a potem ciebie. Przedtem oczywiście wyciśniemy z ciebie wszystko, co trzeba. Nie bądź naiwny, Nick, obaj znamy zasady gry, obaj w tym siedzimy. Chodzi o biznes, Nick, o sprawę, a nie o uczucia. - Spojrzał na mnie jak ojciec na syna marnotrawnego. - Nie masz wyboru, Nick - dodał.

Blefuje, pocieszyłem się. Wprost nie mogłem w to wszystko uwierzyć.

- A przy okazji - ciągnął - masz pozdrowienia od Euana. Kazał ci powiedzieć, że udało mu się zdobyć telewizor dla małej. Możesz mi wierzyć, Nick, Euan załatwi tę małą. Zależy mu na emeryturze.

Euan, nigdy! Pokręciłem przecząco głową.

- Przypomnij sobie Gibraltar - podsunął Simmonds. - Kto pierwszy strzelił?

Miał rację - Euan. Simmonds dowodził, rola Euana polegała więc na rozpoczęciu ostatecznej rozgrywki. Nadal jednak nie mogłem w to uwierzyć.

- Niech ci zresztą sam opowie. - Simmonds wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął telefon komórkowy, wprowadził PIN i uśmiechając się wyjaśnił: - Właśnie dzięki temu Amerykanie mogli cię namierzyć. To bardzo sprytne urządzenie. Ludziom wydaje się, że rozmówcę można zlokalizować tylko w czasie rozmowy, a wcale tak nie jest. Telefon komórkowy to miniaturowa radiostacja, a jeszcze inaczej - miniaturowe urządzenie naprowadzające. Wystarczy, że jest włączone, aby ustalić, gdzie przebywa właściciel. To bardzo pożyteczne. - Potwierdził PIN. - Po Lorton, kiedy ich tak fatalnie załatwiłeś, nie mieliśmy już innego wyjścia, jak tylko ułatwić ci powrót do Londynu. Musiałem się dowiedzieć, ile i co wiesz. A na marginesie, gratuluję udanej kuracji po chorobie nowotworowej.

Niech go szlag trafi! Wszystko wiedział. Mogłem się zorientować wcześniej, gdy słowem nie wspomniał o mojej łysej głowie. Nie musiał, bo wiedział. Euan był sprytniejszy, z miejsca zapytał o włosy, żebym nie nabrał choćby cienia podejrzenia, że coś wie. Na myśl, że mój najlepszy przyjaciel wykorzystał cały talent i umiejętności zawodowe przeciwko mnie poczułem się chory.

Simmonds uśmiechał się. Był pewny swego, trzymał mnie mocno za jaja.

- Nick, jeszcze raz powtórzę: wszystkie dyskiety, co do jednej, albo małej stanie się straszna krzywda. Wolelibyśmy tego uniknąć, ale sprawa jest zbyt poważna.

Chciałem, żeby wreszcie połączył się z Euanem. Liczyłem na to, że usłyszę od niego, że to absurd, że mogę być spokojny. W głębi serca jednak wiedziałem, że nie ma żadnej nadziei.

Simmonds kończył już wprowadzanie numeru Euana.

To był ostatni moment, życie Kelly wisiało na włosku. Ta rozmowa nie może się odbyć. Pozostało mi tylko jedno wyjście.

Wyprowadziłem potężnego haka, mierząc między oczy. Usłyszałem trzask łamanej chrząstki, Simmonds z cichym jękiem zwałił się na ziemię. Paroma ruchami wkopałem go pod stojącą obok ciężarówkę, po czym wyrwałem mu komórkę. Stałem nad nim i oburącz zacząłem wciskać mu komórkę w krtań, tuż poniżej jabłka Adama. Obejrzałem się. W pobliżu, co prawda nie było nikogo, ale pozostawałem na widoku. Na to, co chciałem zrobić potrzebowałem dobrych kilku minut. Złapałem Simmondsa za głowę i zaciągnąłem głębiej pod arkady, między dwie ciężarówki. Tam przyklęknąłem nad nim i znów zacząłem go dusić komórką. Wił się, wrywał, wyciągał ręce do mojej twarzy. Jęczał przy tym i stękał żałościwie. Pochyliłem się i całym ciężarem ciała zacząłem przyciskać mu głowę do klatki piersiowej. Jeszcze minuta, dwie i będzie po wszystkim.

Ale on jakby nabrał nowych sił, zwykle tak się dzieje w obliczu śmierci. Zaczął wrywać się, machać rozpaczliwie rękami. Nie zważałem na nic, trzymałem go mocno.

Dobrał mi się do twarzy. Odchyliłem się trochę do tyłu, ale nie przestawałem go dusić. Blizny po walce z McGearem puściły, a Simmonds trafił palcami w otwartą ranę tuż pod okiem i pociągnął w dół. Nie mogłem powstrzymać okrzyku bólu, a co gorsza, odruchowo szarpnąłem głową do tyłu, co tylko pogorszyło sprawę, bo paznokcie zerwały kawał skóry.

Nic mnie już nie obchodziło, czy ktoś nas widzi, czy nie. Z trudem łąpałem oddech. Pot zalewał otwarte rany na twarzy.

Simmonds osłabł, zaczęły się przedśmierne drgawki. Ręce mu opadły. Stracił przytomność. Przemknęło mi przez myśl, żeby go zostawić. Niech leży, aż go znajdą, a później niech wegetuje jak warzywo. Niedotleniony mózg już nigdy nie odzyska sprawności. Wahałem się przez ułamek sekundy, nie dłużej, i nie wstałem, nie zwolniłem chwytu. Postanowiłem wykończyć skurwysyna.

Trwało to może pół minuty. Oddech ustał. Sprawdziłem puls. Pulsu nie było. Zaciągnąłem ciało pod ścianę, zacząłem się ogarniać. Sprawdziłem telefon, wyłączył się w czasie walki. Chusteczką wytarłem ślady swoich palców, rzuciłem

komórkę obok ciała i ruszyłem do auta. Nie zastanawiałem się, czy ktoś nas widział, czy nie, miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Jechałem na zachód, mankietem próbowałem zatamować krew pod okiem. Myśli wirowały mi w głowie, z wolna jednak wszystko zaczęło układać się w logiczną całość.

Już wiedziałem, w jaki sposób Luther i spółka zdołali mnie namierzyć. Biciem wycisnęli od Pata numer komórki i zlokalizowali mnie, gdy włączyłem aparat, czekając na telefon właśnie od niego.

Życie zawdzięczam zasadzie tajemnicy operacyjnej. Gdybym powiedział Euanowi albo Simmondsowi, że istnieje tylko jeden komplet informacji - w moim laptopie, lub gdybym - co gorsza - przekazał komputer Simmondsowi już byłoby po mnie. Daliby mi w czapę jak nic, we własnym interesie.

Głowiłem się nad tym, czy rzeczywiście Simmonds umawiał się z Euanem na telefon po naszym spotkaniu? Do Brecon jest co najmniej trzy godziny jazdy, tymczasem lada chwila odkryją ciało Simmondsa. Jeśli Euan dowie się, że Simmonds nie żyje natychmiast gdzieś się wyniesie, zabierając ze sobą małą, albo załatwi ją na miejscu, a sam ucieknie. W jednym i drugim przypadku Kelly byłaby zgubiona. Co więc robić? Zadzwoić - dałem jej przecież telefon komórkowy i kazałem trzymać pod poduszką - żeby natychmiast uciekała? Tylko gdzie? Euan mieszka na pustkowiu, dopadnie ją jak nic.

Zadzwoić na policję? A kto uwierzy w tę poplątaną historię? Stracę mnóstwo czasu bez żadnej gwarancji, że policja zechce ruszyć palcem, a wtedy i tak będzie za późno.

Przypomniał mi się Wielki Al. Życzyłem mu jak najlepiej. Pomyślałem, że chyba jest gdzieś w bezpiecznym miejscu. Z takim kontem mógł sobie wszystko załatwić. Jeśli przekazał mi ponad cztery stowy, to sobie wziął pewnie dwa razy tyle, więc nie ma się co o niego martwić.

Dojeżdżałem do Heathrow. Pojawiły się znaki, informujące o najbliższej

stacji benzynowej. Miałem już plan. Skręciłem na stację. Musiałem zadzwonić i odbyć rozmowę.

39

Na stacji był spory ruch. Musiałem stanąć dalej, jakieś sto metrów od głównego wejścia. Wysiadałem właśnie, gdy zaczęło lać jak z cebra. Zanim dobiegłem do automatów, a było ich kilka tuż obok pawilonu Burger Kinga, przemokłem do suchej nitki. Dwa pierwsze aparaty działały wyłącznie na karty magnetyczne, trzeci, na szczęście, był na monety. Sięgnąłem do kieszeni po drobne, okazało się, że mam tylko trzy funty. Za mało. Otarłem twarz z krwi i deszczu i pobiegłem do sklepu na stacji. Wziąłem gazetę i podałem kasjerce banknot pięcioletni. Spojrzała na mnie badawczo. Nie wyglądałem najlepiej. Miałem już wyjść, ale przyszło mi do głowy, że reszta z pięciu funtów nie wystarczy. Wróciłem więc do kasy, wziąłem drobne, podałem banknot dziesięcioletni. Kasjerka miała przestraszona minę. Wydała szybko resztę i chyba odetchnęła z ulgą, gdy odwróciłem się i wyszedłem.

Gdy wykrecałem numer ścisnęło mnie w dołku jak nastolatka, który po raz pierwszy dzwoni do dziewczyny, aby umówić się na randkę. Martwiłem się, czy Kelly naładowała komórkę i czy w ogóle ją włączyła.

Sygnal w słuchawce świadczył, że komórka działa.

Ucieszyłem się jak dziecko na widok cukierków, ale zaraz pojawiły się nowe wątpliwości. A jeśli Euan odebrał jej aparat? Co wtedy? Odłożyć słuchawkę czy jednak z nim rozmawiać? Może jeszcze nic nie wie...

Dłużej nie mogłem się zastanawiać, bo właśnie w słuchawce rozległ się znajomy głosik.

- Halo, kto mówi?

- Cześć Kelly, to ja, Nick - starałem się mówić spokojnie, jakby nic się nie działo. - Jesteś sama?

- Tak, obudziłeś mnie. Przyjedziesz? - Odniosłem wrażenie, że jest zmęczona i zaniepokojona. - Euan powiedział, że gdzieś wyjeżdżasz, a ja mam zostać tu na dłużej. Nick, ja nie chcę. Powiedziałaś przecież, że mnie nie zostawisz....

Połączenie było fatalne. Aby cokolwiek słyszeć zasłoniłem drugie ucho. Deszcz bił o ściany budki telefonicznej, ktoś obok krzychał do telefonu, że nie może jechać dalej, że jak go złapią i stwierdzą, że siedzi za kółkiem za długo, straci licencję, a wszystko przez te nędzne kilka kurtek, które na rano trzeba dostarczyć do domu towarowego Carlisle'a. Na to nakładał się jednostajny szum samochodów pędzących autostradą oraz warkot silników aut, które podjeżdżały do stacji. Musiałem wyteńczyć całą uwagę, nie mogłem przecież kazać małej mówić głośniejsze.

- Posłuchaj mnie, na pewno cię nie zostawię. Euan kłamie, właśnie dowiedziałem się o nim bardzo nieprzyjemnych rzeczy. A teraz powiedz mi, gdzie jesteś?

- W łóżku.

- A Euan?

- Śpi w swoim pokoju, chcesz z nim rozmawiać?

- Nie, poczekaj, niech pomyślę. - Zastanawiałem się, jak jej powiedzieć, czego od niej oczekuję. - Posłuchaj - zacząłem na nowo - jestem już w drodze i niedługo przyjadę, ale przedtem musisz coś zrobić i to coś bardzo trudnego. Jeszcze tylko ten jeden jedyny raz, zgoda? - Poczułem się jak ostatni łajdak.

- Znowu mam gdzieś uciekać?

- Nie, to znaczy tak. Najpierw schowaj się pod kołdrę i mów tylko szeptem, zgoda?

Nie odpowiedziała, ale usłyszałem szelest pościeli.

- I co teraz, Nick, co mam zrobić? - spytała po chwili szeptem, tak jak jej kazałem.

- Naciśnij jakąkolwiek cyfrę na klawiaturze komórki, wtedy zapali się światło. Zerknij na ekran i powiedz mi, czy widzisz taki mały obrazek baterii.

Znów szelest przesuwanej pościeli.

- Widzę.

- A ile jest kresek przy baterii?

- Trzy, jedna miga.

- To dobrze.

Wcale nie było dobrze. Dwie i pół kreski oznaczało, że bateria jest do połowy wyczerpana i może nie wystarczyć. Kierowca ciężarówki odwiesił właśnie słuchawkę i klął na rozmówcę.

- Co to za hałas? - zaciekawiała się mała.

- To nic takiego. Posłuchaj bardzo uważnie...

- A czemu Euan jest niedobry? - przerwała mi. - Mówiłeś przecież.

- Mówiłem, ale teraz Euan chce mnie skrzywdzić, a jak zobaczy, że ze mną rozmawiasz, to i tobie może coś zrobić, rozumiesz?

Dopiero po chwili usłyszałem trwożny szept:

- Rozumiem.

Zapewne nie powinienem w ten sposób rozmawiać z dzieckiem, ale nie miałem czasu i musiałem od razu przystąpić do rzeczy.

- A teraz uważaj, powiem ci, co masz zrobić. Musisz wszystko zapamiętać, bo telefon może przestać działać. Otóż masz natychmiast wyjść z domu, tylko nie wolno ci budzić Euana. Musisz wyjść po cichu, na palcach, a potem masz się schować za drzewami, co rosną tuż obok bramy. Wiesz, o czym mówię?

- Wiem.

- A więc tam masz się ukryć i czekać na mnie. Nie wolno ci wychodzić, dopóki nie usłyszysz samochodu. Dopiero jak zatrąbię dwa razy wyjdiesz z kryjówki. Przyjadę niebieską astrą, rozumiesz?

- A... czym?

Niech to szlag! Czego się spodziewałem po siedmioletniej Amerykance.

- Niebieskim autem. Przyjadę po ciebie niebieskim autem. Zatrąbię dwa razy.

- Kazałem jej powtórzyć, aby mieć pewność, że zapamiętała, a potem przesze-

dłem do trudniejszej części. - Gdyby Euan się obudził musisz uciekać, musisz biec z całej siły i też się ukryć, rozumiesz? Jeśli Euan cię złapie, to już nigdy się nie zobaczymy. Jakby cię wołał nie wychodź z kryjówki, rozumiesz?

- Ale ty po mnie przyjedziesz? - wystraszyła się.

- Oczywiście, ale po kolei. Najpierw wstań z łóżka, tylko po cichu. Odłóż telefon i ubierz się ciepło. Nie zakładaj butów. No, zaczynamy.

Odłożyła telefon i zaczęła się krzątać po pokoju.

Pośpiesz się, na litość boską, Kelly, ponaglałem ją w duchu.

Całą siłą woli starałem się zachować spokój. Minęły dwie długie minuty.

- Nick, jestem gotowa.

- Dobrze, a teraz posłuchaj bardzo uważnie. Euan nie jest przyjacielem, próbował mnie zabić, rozumiesz? Rozumiesz, Kelly? Chciał mnie zabić.

W słuchawce zaległa cisza.

- Ale czemu? - odezwała się po chwili. - Nie rozumiem... Nick, mówiłeś przecież, że to twój najlepszy kolega.

- Tak mówiłem, ale teraz jest inaczej, więc posłuchaj...

- Słucham.

- Rób dokładnie to, co ci mówię. Najpierw weź adidas i schowaj do kieszeni, potem zejź na dół, ale nie wyłączaj telefonu, rozumiesz?

- Tak.

Głos z taśmy uprzedził, że mam wrzucić kolejne monety, bo inaczej połączenie zostanie przerwane. Cholerne automaty.

- Musisz być bardzo cicho, żeby nie obudzić Euana. Gdyby jednak się obudził, to biegnij z całej siły do kryjówki.

- Dobrze.

- A teraz zejź po schodach, tylko bardzo cicho i idź do kuchni. Po drodze nie mów, odezwij się dopiero, gdy będziesz w kuchni. Pamiętaj! Szeptem.

- Idę.

Usłyszałem szcęk otwieranych drzwi. Znałem dom Euana, więc oczami

wyobraźni mogłem śledzić wędrowkę Kelly. Przejdzie obok łazienki na piętrze. Tuż obok znajduje się sypialnia Euana. Jeśli zostawił drzwi otwarte... Kurczę, nie zapytałem jej wcześniej, a teraz jest za późno! Za sypialnią Euana, tam gdzie zaczynają się schody, stoi stary zegar. Doszła, bo usłyszałem dostojne tykanie wiekowej maszynerii i w tym momencie przypomniał mi się pewien film Hitchcocka.

Po schodach schodziła ostrożnie, tylko raz w słuchawce rozległ się trzask drewnianego stopnia. Serce podeszło mi do gardła. Czy Euan śpi przy otwartych drzwiach? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Na dole mała musi skrócić o sto osiemdziesiąt stopni. Wejście do kuchni jest za schodami.

Nic nie było słychać. Dopiero po chwili zaskrzypiały nieoliwione zawiasy, a więc dotarła do kuchni. Czuję potworne wyrzuty sumienia. Jak można tak narażać dziecko! Co jednak mogłem zrobić? To jedyna szansa. Jeśli się nie uda, to mała zginie; gdybym siedział z założonymi rękami, to też by zginęła.

- Jestem w kuchni - wyszeptała, choć mnie wydało się, że krzyczy - ale nic nie widzę. Czy mogę zapalić światło?

- Nie, Kelly, nie! - Z trudem opanowałem się, żeby nie wrzasnąć. - Mów ciszzej, cicho, ale wyraźnie i wolno, tak jak ja. - Zacząłem cedzić słowo po słowie, żeby zrozumiała, o co chodzi. - Nie zapalaj światła, bo Euan może się obudzić. Poruszaj się bardzo wolno, żeby niczego nie potrącić, rozumiesz?

- Tak - szepnęła tak cicho, że ledwie usłyszałem. Miejsce zwolnione przez kierowcę ciężarówki zajęła jakaś kobieta, która rozpoczęła głośną rozmowę z przyjaciółką.

Euan urządził sobie sporą kuchnię, wykorzystując w tym celu starą szopę na podwórku. Wyburzył ściany, przestrzeń między dawną szopą a domem przykrył przeszklonym stropem. Podłogę układaliśmy razem, ze skradzionych w jednostce paneli. Środek kuchni zajmował wielki stół, a wokół na specjalnych stojakach stało mnóstwo doniczek z kwiatami. Sukinsyn lubił zieleń! Drżałem na myśl, że

mała wywróci coś w ciemności, że huk spadającej na dębowe panele doniczki obudzi Euana, którego miałem za przyjaciela, któremu ufałem, którego wręcz kochałem, a który tak mnie wystawił do wiatru.

Drżałem też, że lada chwila bateria w komórce się wyczerpie.

- W porządku? - starałem się mówić pewnie, żeby tylko mała nie wpadła w panikę.

- Jest strasznie ciemno, nic nie widzę.

Wyteżyłem pamięć, żeby przypomnieć sobie rozkład kuchni.

- Przesuń się w prawo, tam jest zlew, a potem daj krok do przodu, nad blatem jest kontakt elektryczny, widzisz?

- Nie... to znaczy już znalazłam, mam go włączyć?

- Tak.

Westchnęła z wyraźną ulgą. Włącznik uruchamiał niewielką świetlówkę nad zlewem i piecykiem elektrycznym.

- A teraz - ciągnąłem - idź powolutku do drzwi i zamknij je, ale bardzo ostrożnie i cicho.

- Dobrze, ale powiedz, że zaraz po mnie przyjedziesz?

- Przyjadę, ale najpierw zrób, co ci mówię. - Nadal starałem się mówić spokojnie i przekonywająco, choć bałem się jak nigdy. Lada moment mogą zadzwonić do Euana, że Simmonds nie żyje.

Usłyszałem cichy szcęk zamykanych drzwi. Myśli kłębiły mi się w głowie. Czy wolno tak narażać dziecko?

- A teraz otwórz szafkę pod zlewem. Stoją tam różne butelki i puszki. Wyciągnij je po kolei i postaw na stole.

W słuchawce zaległa cisza, po chwili zaś rozległ się szcęk ustawianych na stole przedmiotów.

- Wszystko wyjęłam.

- To wspaniale, mądra dziewczynka. A teraz przeczytaj mi nalepki na butelkach, tylko szeptem.

- Nie mogę.

- Czemu.

- Jest ich bardzo dużo, a światło jest za słabe i nie widzę liter. - Głos zaczął jej drżeć, napięcie dawało znać o sobie.

Niech to szlag!

- Dobrze, Kelly, poradzimy sobie. Podejź do drzwi i przekreśl kontakt. Tylko powoli.

- D-dobrze - pociągnęła nosem. Jeszcze trochę, a zacznie płakać. Usłyszałem kroki, a po chwili... - Zapaliłam światło, Nick, co mam teraz zrobić?

- Będziemy czytać, dobrze? Wszystkie nalepki po kolei.

- A... Ajax.

- Dobrze, a teraz następną.

Kurwa mać, to chyba nie ma sensu. Przyciskałem słuchawkę do ucha, serce waliło mi jak młotem, rzucałem się niczym lew w klatce. Kobieta telefonująca z sąsiedniej budki zaczęła się na mnie gapić. Miała na co. Pokrwawiony, ubranie potargane, a jeszcze do tego dziwaczne zachowanie. Ani chybi morderca! Byłem pewien, że zrezygnowała z plotek, a zaczęła opowiadać przyjaciółce o mnie.

W słuchawce rozległ się głośny, metaliczny szczęk. Zamarłem.

- Kelly, Kelly?

Cisza.

- Kelly?

- Przepraszam, Nick, straciłam łyżeczkę. Nick, ja się boję, zabierz mnie stąd. Ja nie chcę tu być.

- Jeszcze tylko trochę, dobrze?

Zacząła cicho popłakiwać.

Kurczę, nie teraz.

- Nie płacz, Kelly, kochanie. Zabiorę cię, ale przedtem musimy coś zrobić, a ty musisz mi pomóc. Euan chce mnie zabić i tylko ty możesz mnie uratować. Musisz być dzielna.

- Nick, przyjedź po mnie, zabierz mnie.

- Zabiore, nie martw się, będzie dobrze.

Wcale nie będzie. Kończyły się drobne, zostały dwie, może trzy monety, a automat stał się wybredny. Tę, którą właśnie wrzuciłem wypluł z powrotem.

A mała tymczasem z mozołem odczytywała naklejki na kolejnych pojemnikach i puszkach. Ciągle jednak nie było tego, o co mi chodziło. W ten sposób nigdy to się nie skończy. Wreszcie jednak padła oczekiwana nazwa.

- To taka zielona puszka?

- Tak.

- Wspaniale, połóż ją z powrotem na stole... położyłaś? Dobrze, teraz idź do pomieszczenia obok, tam gdzie stoi pralka...

Euan był niezwykle pedantyczny, w domu wszystko miało swoje miejsce.

- ...zaraz za drzwiami jest mała szafka... otwórz ją. Powinna tam być niebieska butelka. Widzisz?

- Widzę.

- Przeczytaj mi napis.

- G... g... gli... glikol.

- Bardzo dobrze, weź ze sobą i wracaj do kuchni.

Usłyszałem tylko trzask. Czyżby telefon wylądował na podłodze? Minęła chyba wieczność, zanim mała znów się odezwała.

- Telefon mi upadł.

- Nie szkodzi. Jesteś przy stole?

- Tak.

- No to teraz odkręć tę niebieską butelkę.

Cisza, a po chwili pociąganie nosem i przyspieszony oddech.

- Nie mogę, Nick.

- Ejże, przecież wiesz, jak się otwiera butelkę.

- Nie mam siły, ręce mi drżą.

- Spróbuj jeszcze raz. - Znów usłyszałem pociąganie nosem, za chwilę się

rozplacze.

Kurwa mać, nic z tego nie wyjdzie, nie uda się.

- Kelly, Kelly, w porządku? Kelly, odezwij się!

Cisza.

- Odezwij się, odezwij.

Łkanie.

- Nick... ja nie mogę. Nick, zabierz mnie stąd. Nick, proszę. - Rozplakała się na dobre.

- Kelly, kochanie, nie płacz, uspokój się. Jestem tu, z tobą. A teraz posłuchamy oboje, czy wszystko w porządku, dobrze? Nic nie będziemy mówić. Słuchamy oboje, zgoda?

Rzeczywiście chciałem posłuchać, czy Euan się nie obudził, ale też zależało mi na czymś innym. W każdej operacji następuje taki krytyczny moment i wtedy trzeba przerwać działanie, aby odpocząć i się uspokoić. Nerwy i pośpiech sprzyjają błędom. Miałem jasny plan, ale wcielić go mogła w życie tylko Kelly, a ile można wymagać od dziecka, i to w takiej sytuacji, pod taką presją. Na domiar złego kończyły mi się drobne, bateria w komórce też już pewnie była bliska wyczerpania.

Kobieta obok kończyła rozmowę. Wychodząc spojrzała na mnie tak, jakby spodziewała się, że wyciągnę tasak i rzucę się na nią.

- Kelly, słyszysz mnie?

- Tak. Czy mam jeszcze raz spróbować otworzyć tę butelkę?

Nie rozumiałem, dlaczego nie daje rady. Dopiero po chwili oświeciło mnie, że pewnie jest tam taka specjalna nakrętka, którą najpierw trzeba nacisnąć, a dopiero potem przekręcić. Zacząłem więc wyjaśniać małej, co ma zrobić. W tym momencie w słuchawce zabrzmiał ostrzegawczy sygnał.

Cholerna bateria!

- Kelly, kochanie, musisz się pośpieszyć, bo za chwilę telefon przestanie działać.

Cisza.

- Kelly?

Cisza. Bateria się skończyła?

- Otworzyłam.

Co za ulga!

- Co teraz mam zrobić?

- Otwórz tę zieloną puszkę. Pomóż sobie łyżką; tą, która spadła. Odłóż telefon, bo trzeba to robić dwoma rączkami, tylko ostrożnie.

Usiłowałem w myślach opracować inny plan działania na wypadek, gdyby ten nie zadziałał, ale alternatywy nie było. Albo to, albo nic. Otworzyła puszkę.

- A teraz czeka nas najtrudniejsze zadanie, ale dasz sobie radę. Wiem o tym, bo jesteś bardzo mądrą dziewczynką.

- Przepraszam, że płakałam. Co mam teraz zrobić?

- Schowaj telefon do kieszeni, weź ze stołu jakąś większą butelkę, podejź do drzwi wejściowych, otwórz je, ale nie całkiem i postaw butelkę między drzwiami a progiem, tak żeby się nie zamknęły. Zrób to po cichu i ostrożnie. Drzwi wejściowe są bardzo ciężkie.

- A co dalej?

- Potem ci powiem i jeszcze jedno: pamiętaj, że gdyby telefon przestał działać masz natychmiast uciekać i schować się tam, gdzie ci mówiłem.

To był rzeczywiście najtrudniejszy moment. Przez otwarte drzwi do domu napłył chłodny powietrze z zewnątrz, zmieni się ciśnienie, Euan może się zorientować, że coś się dzieje. Był zawodowcem, tak jak ja. Nawet jeśli śpi, to podświadomość czuwa.

To jednak była nasza jedyna szansa.

- Jestem z powrotem w kuchni, co teraz?

- Wspaniale. Do ilu umiesz liczyć?

- Do dziesięciu tysięcy, mama mnie nauczyła. - W głosie Kelly zabrzmiała duma. Była spokojniejsza, czuła pewnie, że zbliżamy się do końca.

- Wystarczy do trzystu. Będziesz liczyć w myślach, zgoda?

- Już?

- Za chwilę. Teraz podejdź do kuchenki i odkręć gaz. Wiesz, jak to się robi.

- Wiem, czasami pomagałam mamie w kuchni.

Poczułem uścisk w sercu, ale nie czas na wspomnienia i na wyrzuty sumienia, że w taki sposób wykorzystuję dziecko. Ale trudno, nie ma innego wyjścia, a skoro już się zaczęło, to lepiej skoncentrować się i przeprowadzić rzecz do końca.

- Dobrze, przekręć wszystkie kurki, w piekarniku też.

Przed Burger Kinga zajechał autobus, wysypała się gromada dzieci, pewnie wracająca z wakacji. Sześcioro czy siedmioro podbiegło do automatów krzycząc, przepychając się, chichocząc. Hałas był nie do wytrzymania. Nie słyszałem dalej.

- Kelly, poczekaj sekundę. - Wychyliłem się z budki i wrzasnąłem: - Czy nie możecie się zamknąć, do kurwy nędzy? Rozmawiam z ciotką, bo właśnie umarł mój wuj, czy nie możecie być cicho przez chwilę?

Uspokoili się, a niektórzy nawet zarumienili się ze wstydu. Zamknąłem drzwi.

- Kelly, teraz najważniejsze. Telefon za chwilę przestanie działać. Idź, odkręć gaz, weź słuchawkę ze sobą, żebym słyszał.

Rozległ się syk ulatującego gazu. Euan korzystał z propanu z butli.

- Strasznie śmierdzi, Nick.

- To dobrze. A teraz wyjdź z kuchni i zamknij za sobą drzwi, tylko po cichu, żeby nie obudzić Euana. Wyjdź na korytarz i poczekaj... i nic nie mów do telefonu...

Usłyszałem szcęk zamykanych drzwi.

- Nick?

Z trudem się opanowałem.

- Tak, Kelly?

- A czy mogę pójść po Jenny i Ricky'ego?

- Nie, Kelly, nie możesz...

- Proszę.

- Nie, i słuchaj uważnie. Policz teraz do trzystu, potem nabierz powietrza, wejdź do kuchni i wylej tę niebieską butelkę na zieloną puszkę. Całą butelkę. A potem wróć na korytarz, tylko powoli, bez biegania, żeby Euan się nie obudził.

Jeśli potknie się po drodze i przewróci, to koniec, nie będzie dla niej ratunku.

- A więc idź powoli, jak wyjdiesz zamknij drzwi do kuchni, a potem wyjdź z domu.

- A Jenny i Ricky?

Udałem, że nie słyszę.

- Jak tylko wyjdiesz na dwór biegnij do kryjówki. Musisz biec z całej siły, bo zaraz wybuchnie pożar. Nie zatrzymuj się, nie oglądaj, schowaj się i nie wychodź, dopóki nie przyjadę. Masz siedzieć cicho i nie ruszać się, choćby nie wiem co, zrozumiałaś?

W takich właśnie sytuacjach człowiek gratuluje sobie, że w odpowiednim czasie nauczył się sporządzać mieszanki zapalające i wybuchowe z tego, co jest pod ręką. Gdy nas tego uczono uważaliśmy, że to strasznie nudne i nieprzydatne. Wszystko trzeba było wykuć na pamięć, bo przecież nie bierze się udziału w akcji z garścią notatek w ręku. Nauczyłem się więc, jak przygotowywać materiały wybuchowe z najzwyklejszych w świecie płynów i proszków, jakich używa się w domu. Przepisów jest mnóstwo, począwszy od prostych mieszanek zapalających jak ta, którą właśnie przyszykowaliśmy z małą, skończywszy na bardziej wyrafinowanych. Można sporządzić domowym sposobem prawdziwą bombę, a następnie zdetonować z odległości setek, a nawet tysięcy kilometrów za pomocą zwykłego pagera.

W słuchawce rozległ się ostatni sygnał ostrzegawczy i nastąpiła cisza. Bateria się skończyła.

Glikol zacznie reagować z zawartością zielonej puszkę. Za trzydzieści, czterdzieści lub pięćdziesiąt sekund, jeśli puszkę była zawilgocona, nastąpi samozapalenie mieszanki, a w konsekwencji wybuch gazu.

Kelly miała najwyżej minutę, zanim dom stanie w płomieniach.

A jeśli nie zdąży?

Błagam, zostaw te cholerne misie!

Odwiesiłem słuchawkę, skoczyłem do auta. Właśnie pierwsze promienie zaczęły walczyć o lepsze z ciężkimi ołowianymi chmurami.

40

Była to najgorsza podróż w całym moim życiu.

W pewnym momencie pojawił się drogowskaz - „Newport, 112 kilometrów”. Wcisnąłem pedał gazu i nie zdejmowałem z niego nogi, a przynajmniej tak mi się wydawało, po czym pojawił się kolejny drogowskaz - „Newport, 90 kilometrów”. Miałem wrażenie, że kręcę się w kółko, a w dodatku po pas w wodzie.

Gdy ustąpiło napięcie obolałe ciało zaczęło dawać o sobie znać. Najbardziej dokuczał mi kark. Krew, co prawda, przestała się sączyć, ale oko, w które Simmonds wepchnął palce, spuchło i widziałem coraz gorzej.

To dopiero skurwysyn z tego Euana. Tak mnie zawiódł. Od lat uważałem go za przyjaciela, miałem do niego zaufanie. Nie chciałem nawet o tym myśleć, czułem pustkę w sercu. Pewnie niebawem pustka zamieni się w rozpacz albo wściekłość. Teraz miałem przed oczami dworzec, małą, jak się wychyla z okna, i uśmiech na twarzy Euana.

Co dalej? Gdzie mam się udać? Raczej nie będą się do mnie dobierać, bo wiedzą, że mam „polisę” - komplet materiałów, które w razie czego mogę ujawnić. Kopie wysłane na adres Euana zapewne utkną pośród niedoręczonych przesyłek. Zabójstwo Simmondsa postarają się zatuszować, a jeśli jakiś nadgorliwy policjant zacznie węszyć, to z miejsca go załatwią, jak Johna Stalkera - nie on pierwszy i nie ostatni.

Zacząłem wreszcie rozumieć, jak to możliwe, że z chwilą, gdy rozpoczynają się rozmowy pokojowe w sprawie Ulsteru PIRA, albo - częściej - ktoś podający

się za bojownika PIRA, dokonuje zamachu. Ofiarą pada żołnierz albo policjant w Irlandii Północnej lub bomba wybucha w Anglii. Dlaczego tak się dzieje? To proste, konflikt warto podsycać, bo to dobry interes.

Zbyt wielu ludzi czerpało zyski z konfliktu, żeby w Ulsterze zapanował spokój. RUC, Royal Ulster Constabulary, to najlepiej opłacana policja w Europie, jeśli nie w świecie. Komendant oczywiście głosi wszem i wobec, że jego jedynym celem jest doprowadzenie do wygaszenia konfliktu, a w rzeczywistości marzy, żeby nigdy do tego nie doszło. Ma pod sobą masę ludzi, a to oznacza władzę i wpływy. W obrębie policji powstały liczne udzielne księstwa i bez przerwy stawiają nowe żądania - więcej ludzi, więcej sprzętu, więcej wszystkiego - pod pretekstem walki z terrorystami.

Nawet zwykły policjant, powiedzmy dwudziestoczterolatek z żoną i dwójkiem dzieci, marzy o tym, aby konflikt trwał. Żyje bowiem na pewnym poziomie, ma ładny dom i stać go na zagraniczne wakacje. Czemu więc miałoby mu zależeć na spokoju i pokoju? Tylko by na tym stracił.

Wojsko też nie życzy sobie zakończenia konfliktu. Po pierwsze dlatego, że Ulster to wspaniały poligon, na którym zawsze można sprawdzać nowy sprzęt i ćwiczyć w niemal bojowych warunkach, a po drugie, za sprawą Irlandii Północnej armia brytyjska otrzymuje więcej pieniędzy z budżetu. Co roku dochodzi do kłótni o fundusze. Royal Navy domaga się coraz więcej pieniędzy na Tridenty - atomowe okręty podwodne. Lotnictwo żąda nowych myśliwców, które powinny zastąpić „latające trumny” - tornada. Mówi się o „Eurofighterze 2000” - myśliwcu nowej generacji, który ma zostać wprowadzony w kilku krajach europejskich. Zarówno jedni, jak i drudzy, to znaczy marynarka i lotnictwo, przegrywają z armią. Gdzie znajdzie się taki odważny, który odmówi funduszy na walkę z terroryzmem, zwłaszcza gdy generałowie podnoszą kwestię „operacyjnych imperatywów” i „nowej strategii”. Prostym żołnierzom też nie zależy na pokoju. W Ulsterze otrzymuje się wysoki żołd i darmowe jedzenie. Chłopcy pchają się na półroczne staże bojowe. A zresztą, do wojska wstępuje się po to, aby walczyć. Ja

właśnie po to się zaciągnąłem, a służbą w Ulsterze byłem wręcz zachwycony.

Brytyjski przemysł także mógłby sporo stracić na zawieszeniu ognia w Ulsterze. Wielkie zakłady zbrojeniowe zbiły majątek na specprodukcji. Sprzęt, który przeszedł próbę w Ulsterze znajduje wielu chętnych nabywców za granicą. Właśnie za sprawą Ulsteru Wielka Brytania awansowała do pierwszej trójki światowych eksporterów broni, co z kolei korzystnie wpłynęło na wyniki w handlu zagranicznym.

Pojąłem wreszcie, dlaczego McCann, Farrell i Savage musieli zginąć. Wszystko układało się w logiczną całość. Najpierw Enniskillen i wielka porażka PIRA. Opinia światowa jest oburzona. Irlandczycy mieszkający w Ameryce wstrzymują zbiórkę funduszy. Wysycha rzeka pieniędzy. Pojawia się poważna groźba, że zacznie się prawdziwy dialog i że w Ulsterze zapanuje pokój, do czego Simmonds i jego klika żadną miarą nie chcą dopuścić. Stwarzają więc „męczenników”, aby dolać oliwy do ognia i podtrzymać konflikt.

A ja? Jaką rolę odgrywam w tym wszystkim? No cóż, jestem tylko trybikiem we wspaniale funkcjonującej maszynie. Jeśli się dobrze zastanowić, to Ulster wcale nie jest czymś wyjątkowym. Przeciwnie, jest jednym z licznych interesów. Ci sami ludzie, którzy podsycają konflikt w Ulsterze prowokują zamieszki w Hebronie, napuszczają Chorwatów na Serbów. Ich dziełem mogło też być zabójstwo prezydenta Kennedy'ego, bo chciał położyć kres wojnie w Wietnamie. Simmonds miał rację, to biznes. Zresztą nic mnie to nie obchodzi, bo niby dlaczego? Wystarczy, że pomściłem Keva i Pata.

Zjechałem z autostrady na węższą drogę do Abergavenny. Przestało padać, ale jechało się fatalnie. Szosa do Abergavenny słynie z tego, że bez przerwy jest w remoncie. Nie miałem jednak żadnego wyboru. Do Euana nie da się dojechać inaczej niż przez Abergavenny. Mieszka ponad piętnaście kilometrów za miastem w kierunku na Brecon.

Jechałem jak wariat, wciskając się między samochody. Kierowcy przesyłali

pod moim adresem ciężkie wiązanki. Co gorsza, zaczął się właśnie poranny szczyt, a tuż przed miastem, gdzie akurat kładzono nową nawierzchnię, powstał ogromny korek. Sznur samochodów ciągnął się na dobre półtora kilometra.

Zjechałem na pobocze. Stojący w korku zaczęli trąbić, robotnicy z ekipy remontowej usiłowali mnie zatrzymać, ale nie zważałem na nic. Docisnąłem pedał gazu licząc na to, że nie dopadnie mnie drogówka.

Tak dotarłem do obwodnicy w Abergavenny. Tam jednak zrobiło się jeszcze gorzej. Utknąłem pod światłami. Wydostałem się wjeżdżając na chodnik.

Za miastem - nowy dramat. Droga wąska, jednopasmowa. Grzałem ostro sto dwadzieścia, sto trzydzieści na godzinę. Ścinałem zakręty, nie naciskałem hamulca, w razie potrzeby redukowałem tylko biegi, zrywałem tylne koła i w wirażę wchodziłem poślizgiem.

Tak przejechałem mniej więcej półtora kilometra, gdy przede mną wyrosła wielka ciężarówka pełna owiec. Zajmowała całą szerokość drogi, bydłęta upakowano na dwóch poziomach. Napis na tylnej klapie głosił, że jeśli miałbym uwagi co do kierowcy i sposobu, w jaki prowadzi wóz, to mogę sobie zadzwonić pod taki to, a taki numer do dyrekcji firmy. Czytać mogłem do woli, bo facet włókł się trzydzieści na godzinę, a o wyprzedzeniu nie było mowy.

Droga wiła się jak wąż w trawie i kierowca z pewnością widział mnie w lusterku. Musiał się zorientować, że się śpieszę, ale nie zamierzał mnie przepuścić. Nawet zwolnił do dwudziestu na godzinę. Spojrzałem na zegarek - dziewięta trzydzieści pięć, niemal równo trzy godziny od wyjazdu z Londynu.

Raz po raz wysuwałem się dając znaki, że mi się śpieszy. Owce patrzyły z politowaniem, a sukinsyn za kółkiem bawił się moim kosztem. W lusterku widziałem, że wprost boki zrywa ze śmiechu. Znałem drogę i wiedziałem, że jeśli facet się zaprze, to przytrzyma mnie przez wiele kilometrów. Widoczność żadna, na poboczach błoto po kostki, a dalej drzewa i chaszczce.

Gdy przed kolejnym zakrętem ciężarówka wyhamowała wcisnąłem gaz do deski, zjechałem na przeciwny pas i śmignąłem do przodu. Gdyby w tym mo-

mencie z przeciwka nadjechał samochód nie byłoby ratunku. Czołowe zderzenie jak nic, a przy tej szybkości nie byłoby co zbierać. Nawet w takiej chwili sukinsyn dalej bawił się ze mną w kotka i myszkę. Zaczął migać światłami i trąbić. Liczył pewnie, że stracę głowę i wyląduję w rowie. Miałem jednak szczęście, pas był pusty. Wkrótce ciężarówka została daleko w tyle.

Kwadrans później byłem już na miejscu, to znaczy dojechałem do skrzyżowania ze ścieżką wiodącą do doliny, gdzie wznosił się dom Euana. I znów dopisało mi szczęście - nie pojawił się ani traktor, ani ciężarówka czy maszyna rolnicza, bo o wyprzedzeniu nie byłoby mowy. Po dwudziestu minutach zobaczyłem za wzgórzem słup dymu strzelający w niebo.

41

Ściany jeszcze się trzymały, ale dachu nie było, zawalił się do środka. Zgliszczka dymiły, a zmęczeni i przemoczeni strażacy dogaszali resztki. W akcji brały udział dwa wozy. Na miejscu była także karetka pogotowia. Stała po drugiej stronie domu.

A obok - gromada gapiów, sąsiedzi z okolicy w gumiakach i pelerynach.

Zatrzymałem samochód przy bramie. Paru strażaków obrzuciło mnie przelotnym spojrzeniem, ale nikt nie powiedział słowa. Mieli jeszcze sporo roboty z dogaszaniem pożaru.

Wyskoczyłem z wozu i pobiegłem ku kępie drzew po drugiej stronie drogi, jakieś pięćdziesiąt metrów od siedliska, kląć i wrzeszcząc jak wariat.

- Kelly, Kelly!

Cisza.

- Kelly, to ja, Nick. Kelly, pokaż się.

I znów nic. Ani śladu małej. W głębi duszy czułem, że to się tak skończy, że mała nie przeżyje. Wyrok zapadł, gdy odebrała telefon.

Nie było sensu dalej wołać ani szukać. Wróciłem więc na drogę i dołączyłem

do gromady gapiów. Ten i ów spojrział na mnie podejrzliwie. Pokieroszowana twarz nie mogła budzić zaufania, ale nikt mnie nie zaczepił. Po chwili znów wszyscy zaczęli wpatrywać się w zgliszcza.

- Był ktoś w środku? - spytałem głośno.

- W nocy paliło się światło - pośpieszyła z odpowiedzią jakaś kobieta. - Sanitariusze z karetki próbowali wejść - dodała. - Jaka szkoda, to był taki miły człowiek.

Wysunąłem się z tłumu, podszedłem bliżej do pogorzeliska. Jeden ze strażaków dał znak, żebym się zatrzymał.

- Nie wolno. Niech pan się cofnie.

- Radio Walia - przedstawiłem się rzeczowym tonem. - Czy może pan powiedzieć, co się właściwie stało?

Strażacy wyciągali ze zgliszczy nadpalone sprzęty, układali w osobny stos i zlewali wodą z sikawki. W powietrzu unosiła się woń spalenizny.

- Musiało dojść do zaprószenia ognia, a potem wybuchła butla z gazem - rzucił przez ramię. - Proszę się odsunąć.

- Czy są ofiary - zabici, ranni?

W tym momencie na stosie wyciąganych z pogorzeliska sprzętów wylądowało coś znajomego, Jenny albo Ricky. Nigdy ich nie rozróżniałem, a teraz nie miało to najmniejszego znaczenia. A zresztą plusz był osmalony, brakowało jednej łapy.

- Jeszcze nic pewnego, ale byłoby dziwne, gdyby ktoś przeżył tak potężny wybuch.

Racja. W innych okolicznościach byłbym dumny jak paw, że to moje dzieło.

W innych, ale nie teraz. Mała zginęła. Z drugiej strony, może dobrze się stało... No bo jakie miałyby życie ze mną? Co mógłbym jej dać?

Gdyby przeżyła byłaby w szoku. Nie obyłoby się bez pomocy psychiatry, zwłaszcza że to, co wspólnie robiliśmy zaczynało jej się podobać, a nie jest to życie odpowiednie dla dziecka. Śmierć Kelly ostatecznie rozwiązała ten problem,

a ja już nie będę musiał się nią opiekować ani martwić.

Tak sobie myślałem idąc do auta. Co się stało, to się nie odstanie i nic na to nie poradzę. Nie da się niczego cofnąć.

Nic tu po mnie, o szczegółach dowiem się z gazet.

Z oddali tymczasem usłyszałem coś jak skrzeczenie ptaka. Nadstawiłem ucha.

- Nick!

Stałem jak wryty. Odwróciłem się.

Mała, żywa i cała, wybiegała do mnie zza drzew.

Puściłem się biegiem, ale zwolniłem, bo nie chciałem robić sensacji, choć w środku wszystko się we mnie gotowało.

Kelly rzuciła mi się na szyję. Odsunąłem ją lekko.

- A dlaczego nie byłeś tam, gdzie się umówiliśmy? - spytałem z udawaną surowością. Z radości chciało mi się skakać, jak ojcu, który odnajduje zagubione w tłumie dziecko i sam nie wie, czy ma mu złoić tyłek, czy utulić. Też nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Najważniejsze, że się znalazła.

- A więc, dlaczego nie było cię w kępie, gdzie ci kazałem siedzieć?

Spojrzała na mnie urażona.

- Przecież zawsze mi tłumaczysz, że najpierw trzeba przeprowadzić obserwację, sprawdzić, czy jest czysto.

- Ty mądralo. - Uściskałem ją z całych sił i zaniósłem do samochodu. Była przemoczona do suchej nitki, włosy skołtunione. Bez słowa posadziłem ją z tyłu, siadłem za kółkiem i spojrzałem w lusterko.

- Ty, mała, zapnij pasy. - Przekręciłem kluczyk i ruszyliśmy.

Koniec